

WYPISY POLSKIE

na Klasę II

SZKÓŁ ŚREDNICH

ułożył

FLORJAN ŁAGOWSKI.

WYDANIE DRUGIE.

WARSZAWA

NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA

—
1906

A. PROZA.

Staropolska gościnność.

Codzienne życie dawnych ziemian polskich było wogóle skromne: zato, gdy się gość jaki zjawił, zastawiano na jego przyjęcie, co było najlepszego w piwnicy, a gospodyni polska przygotowywała dla gościa najsmaczniejsze zakąski i potrawy.

Z tym szlachetnym, pięknym rysem naszych przodków łączyła się i cnota, przekazywana z ojca na syna, że nawet najzaciętszy wróg, gdy wszedł pod dach gościnny i zażądał schronienia, był bezpieczny i mógł zasypiać spokojnie. Każdy gospodarz musiał w takim razie mówić do siebie, jak cześnik w komedji Fredry p. t. «Zemsta» na widok swego wroga:

«Nie wódź mię na pokuszenie,
Ojców moich wielki Boże!
Wszak, gdy wstąpił w progi moje,
Włos mu z głowy spaść nie może».

Wzgarda publiczna spotkałaby była takiego szlachcica, któryby się odważył złamać święte prawa gościnności.

Stare podanie z czasów saskich zachowało nam piękny przykład takiej gościnności. Kiedy na początku XVIII wieku Szwedzi rozgospodarowali się w Polsce, powstał przeciw nim Kurpie. Byli to chłopci, mieszkańcy dwóch puszczy, Myszynieckiej i Ostrołęckiej, tak nazywani od «kurpi» czyli chodaków, plecionych z łyka lipowego, których używali na obuwie. Jako mieszkańcy

puszcz, byli to sami celni strzelcy, niesłuchanie odważni i zacieci na Szweda.

Kiedy wojewodzina Działyńska na czele Kurpiów zniosła jeden oddział Karola XII i w pień go wycięła, rozgniewany tym król, dla pomszczenia się na nich, ruszył w puszcę. Ale zastał tych leśnych bartników już dobrze przygotowanych. Z powalonych ogromnych kłód starodrzewia potworzyli oni zasieki, w których bezpieczni, jakby z za murów warownych dzielny opór stawiali, ścieląc trupem idących na przebój Szwedów.

Karol XII, kiedy mu Kurpie większą połowę zwycięskich chorągwi wystrzelali, ledwie sam uniósł życie z tej klęski i z jednym drabantem uchodził. Przedarł się przez gęstwiny leśne, wydostał się na pole i ujrzał niedaleko dwór i wioskę w pobliżu. Strudzony bojem, zmęczony drogą, bez namysłu udał się do dworu szukać schronienia i wypoczynku.

Ledwie stanął na ganku, gospodarz wyszedł na powitanie gościa. A gospodarzem był nie kto inny, tylko podkanclerzy Szczuka, zapalony stronnik Augusta II, a tym samym śmiertelny wróg Karola. Poznał on od razu króla szwedzkiego, bo widział go kilkakrotnie w Warszawie i w obozie. Zobaczywszy go, struchlał z przerażenia i cofnął się, ale pomny swej powinności, powitał króla uprzejmie przemową łacińską i zaprosił pod swój dach gościnny.

Właśnie dwaj jego synowie dowodzili Kurpiami w pobliżu puszczy; nie łatwiejszego nie było, jak ująć takiego ważnego wroga i wydać go w ręce króla polskiego.

Tego jednak Szczuka nie zrobił; nakarmił Karola, napoił, dał nocleg wygodny i spokojny, a nazajutrz wyprowadził sam wraz z towarzyszem boczną drogą na bezpieczny gościniec, którym król dostał się do swoich chorągwi.

Józef Ignacy Kraszewski.

Król w gościnie.

Kiedy król Stanisław August Poniatowski w r. 1784 objeżdżał Litwę, przyjmowany wszędzie z zapalem i radością, przyrzekł panu Rdułowskiemu, chorążemu no-

wogrodzkiemu, iż z Nieświeża przyjedzie do niego w odwiedziny.

Ucieszył się tym pan Rdułowski bardzo, ale mu niemały sprawiało kłopot, gdzieby pomieścił tylu i tak dostojnych gości, nie miał bowiem w swym domu tak obszernych pokoi. Położenie jego było tym przykrzejsze, iż mając czuwać nad usługą królewską, nie mógł się sam od boku pana oddalić.

W wigilję tedy owego dnia, w którym król miał do domu jego zawitać, prosił pan chorąży przyjaciół i wszystkich jemu obowiązanych, ażeby zaraz ruszyli do jego domu do Snowia i tam w jego nieobecności przygotowali wszystko na przyjęcie tak znakomitego gościa. Jakóż zebrało się w Snowiu przez dzień cały bardzo wiele szlachty, a nazajutrz o świcie przybył sam gospodarz, ażeby w domu swoim oczekiwać króla.

Około południa przybył Stanisław August w towarzystwie dwóch najdostojniejszych panów.

Potym zajeżdżały niezliczone pojazdy, jeden za drugim, a z nich wysiadali najznakomitsi dostojnicy, duchowni i świeccy.

Gospodarz, przyjmując króla w ganku, padł mu do nóg, dziękując za zaszczyt, wyświadczony jego domowi, a wszyscy obecni wzniesli okrzyk na cześć przybyłego gościa. Pani chorążyna podała ramię królowi i zaprowadziła go do obszernej sali bawialnej, która się w okamgnieniu zapełniła gośćmi.

Król, kilka chwil zabawiwszy, wyszedł do komnaty dla niego przeznaczonej, aby wyprawić listy do Warszawy, a tymczasem goście przybyli z królem, bawili się wesołą rozmową.

Kiedy król wrócił do towarzystwa, przystąpiła do niego pani chorążyna i tak przemówiła:

— Najjaśniejszy panie, skromny nasz domek nie ma sali tak obszernej, w którejby mogli się zmieścić wszyscy tu obecni tego powiatu obywatele — a przecież wszyscy łakną dzielić gody królewskie. Pozwól przeto, miłościwy panie, służyć sobie obiadem w stodole.

Na to król bardzo uprzejmie odpowiedział:

— Wybornie! wszakże króla narodu rolniczego właściwiej będzie nakarmić w stodole — i podawszy rękę gospodyni domu, udał się z nią naprzód do stołu.

Za przykładem króla poszli wszyscy obecni i w jednej chwili ogromna stodola, cudem prawie przemieniona w salę jadalną, zapełniła się biesiadnikami.

Ledwie za przykładem i pozwoleniem króla zasiedli wszyscy za stołem, gdy uwagę powszechną zwrócił na siebie stojący przed królem wizerunek Piasta, misternie z ciasta i cukru zrobiony. Była to rzecz prześliczna. Na wozie dwoma wołami ciągnionym, a naładowanym kołami, siedział Piast kołodziej, a u wrót Kruszwicy wojewodowie zachodzą mu drogę i przynoszą koronę i berło.

Uradowany tym widokiem król zawołał:

— Patrzcie, panowie, czy może być przy uczcie w stodole milsze wspomnienie nad tego kołodzieja obwołanego królem!

I zaczęła się przy stole żywa rozmowa, czy wybór Piasta kołodzieja odbył się w istocie, czy też może zdanie to było tylko wymysłem późniejszym. Lecz król odezwał się z uśmiechem:

— Zmiłujcie się, nie odbierajcie nam naszego Piasta; niech on nam służy na zawsze za dowód, że w zacnym narodzie prosty kołodziej cnotami swojemi może dostąpić najwyższej władzy.

Po tych słowach króla zapal niezwykły ogarnął wszystkich, a gdy za chwilę gospodarz ogromnym kielichem wniósł zdrowie Jego Królewskiej Mości, wszyscy obecni powstałi i jak jeden mąż wznieśli okrzyk na cześć dostojnego gościa, który, odpowiadając na życzenia, wypił zdrowie gospodarstwa i zebranej szlachty.

Wtedy radość wszystkich nie miała już granic; bawiono się najwesелей i mnogie wychylano puhary. Ale ze względu na obecność króla wszystko odbywało się przyzwyczajenie i umiarkowanie.

z «*Pamiętników S. Soplicy*» Henryka Rzewuskiego.

Przywiązanie do rodzinnej strzechy.

Gdy Klemens Janicki wracał z ziemi włoskiej, wojewoda Kmita, chcąc uczcić słynnego już poetę, zaprosił go do swego domu do Wiśnicza. Miło było Klemensowi Janickiemu bawić w Wiśniczu, a przecież widocznie czegoś mu nie dostawało, za czymś tęsknił; nieraz bowiem wśród wesolej zabawy pogrążał się w zadumie i westchnienie gwałtem prawie wyrывało mu się z piersi.

— Co ci jest? — zapytał go wojewoda. — Powiedz czego pragniesz, a wszystko dla ciebie uczynię.

— Miłościwy panie! — rzekł na to poeta — pozwól mi na dni parę odjechać.

— Co? odjechać? — zawołał wojewoda zdziwiony. Alboż ci źle u mnie?

— O nie, miłościwy panie! Bardzo mi tutaj miło, ale dwanaście lat już nie byłem we wsi rodzinnej i nie widziałem moich starych rodziców.

Na to wojewoda:

— Bóg świadkiem, że mi bardzo przykro rozstać się z tobą, ale trudno ci odmówić, kiedy w tak pocziwiej jedziesz myśli. Zawsze to ojciec i matka drożsi od ludzi obcych.

Pozwolił tedy pan wojewoda na wyjazd Janickiemu i swoją kolasę dał mu do drogi.

Wyszli panowie pożegnać Klemensa, a jeden zapytał, gdzie mieszkają jego rodzice?

Klemens, nie wstydząc się wcale swego chłopskiego pochodzenia, odpowiedział:

«Za Żnińskim bagnem jest wieś przejezdna,
Co się Janusza na imię zowie;
Tamtędy niegdyś polscy królowie
Jeździli w pruską ziemię od Gniezna;
I tam mój ojciec, mieszkawiec wioski,
Orze pocziwie grunt pradziadowski!»

Wyjechał tedy we wspaniałej kolasie i w sukniach bogatych do lubej wsi rodzinnej, gdzie mieszkali jego rodzice, krewni i znajomi, gdzie tyle drogich sercu pozostało pamiątek.

Jak drzewo w ziemię puszcza korzenie i, choć zrąbane z wierzchu, krzewi się zawsze pod spodem: tak i pamiątki z lat młodościowych i z miejsc rodzinnych żyją i korzenia się w sercu człowieka, choćby z wierzchu Bóg wie jaka zaszła w nim zmiana.

Szybko toczyła się pańska kolasa po drodze; ale dla Klemensa pędziła ona za leniwo; onby na skrzydłach orlich rad był przelecieć przez góry i lasy, stanąć w ojcystym domu i uściskać starych rodziców...

Podę wsią stoi krzyż na wzgórzu, a pod krzyżem w cieniu siedzi jakaś siwa i zgarbiona staruszka. Zwróciła głowę ku gościńcowi i niby patrzy przed siebie, ale nie

nie widzi. Od dwóch lat już zapadła na jej oczy ciemna zasłona i zakryła cały świat Boży: ona ślepa nieboga. Wsparła głowę o krzyż, siedzi smutna i nieporuszona.

Wtym zbliża się do niej jakaś młoda kobieta i rzeknie zdala:

— Ej matko, matko, cóż to znowu tak siedzicie samotnie?

Ciemna staruszka westchnęła i zwróciła głowę.

— Czekam tu na mojego Klimka; jak poszedł na te nauki, tak już nie wraca. Jam sobie oczy już nadaremnie wypatrzyła, a stary ojciec legł w grobie i nie doczekał się jego powrotu. Pono i ja pójdę za nim, a nie usłyszę więcej głosu jedyne go syna. Co dzień chodzę pod ten krzyż i czekam, czy nie nadejdzie—i czekam nadaremnie.

Wtym zaturkotało coś po gościńcu.

— Ktoś jedzie! czy to nie on? — zawołała staruszka.

Dziewczyna popatrzyła na gościniec i rzekła:

— Ej, gdzie tam; to kolasa wspaniała, wiezie pewnie jakiegoś wojewodę albo kasztelana.

Tymczasem kolasa zbliża się a zbliża, aż nareszcie przystanąła. Młody pan w bogatych szatach wystawił głowę i zapytał:

— Czy wy z Januszy, niewiasty?

Dziewczyna nie poznała twarzy ani głosu, ale serce ślepej matki zabiło jak młotem. Zerwała się z pod krzyża i z całej piersi wykrzyknęła:

— Klimku! Klimku! synu mój jedyny!

Wyskoczył młody pan z pysznej kolasy i rzuca się do nóg starej kobiecie, całuje jej kolana i jak dziecko zalewa się łzami.

— Matko moja—woła—to ja, ja, twój Klimek!

Staruszka nieposiada się z radości, może nareszcie przycisnąć syna do serca. Ale zarazem musi mu powiedzieć, że ojciec i brat już nie żyją, a ona sama może go widzieć jeno sercem i duszą, ale nie oczyma.

Dziewczyna, szczęściem staruszki rozrzewniona, pobiegła co tchu do wsi i wnet wyszła gromada cała, młodzi i starzy, baby i dzieci, wszyscy biegli przypatrzeć się temu Klemensowi, co w takiej pysznej przyjechał karecie i miał suknie tak bogate. Już przybyli na miejsce, a jeszcze stara matka trzymała syna w objęciach, a on klęczał u jej kolan.

Miesiąc cały zabawił Klemens Janicki na wsi, choć

codzień od pana wojewody przychodziły listy, aby co prędzej wracał.

Dobry syn postawił najpierw krzyż na grobie ojca, potem dla ciemnej matki o wszelkie potrzebne postarał się wygody, a przyrzekszy jej, że wkrótce znowu do niej przybędzie, odjechał do Krakowa.

Ale stało się inaczej. Podobano się Bogu w kwiecie wieku powołać go do siebie.

Stara, ślepa matka przeżyła syna, ale do samego końca tailli przed nią ludzie jego śmierć zawczesną.

Biedna staruszka, rozstając się ze światem, błogosławiła jeszcze nieobecnemu synowi, który nie potrzebował już tego błogosławieństwa, bo wcześniej od niej stanął przed tronem Najwyższego.

Walery Łoziński.

Dobry syn.

Hordy tatarskie, pustosząc piękne ziemie Podola ogniem i mieczem, wtargnęły i na Pokucie. Tysiącami gnano lud wiejski w niewolę, rabowano kościoły, a wsie i dwory pańskie puszczano z dymem.

W ziemi Halickiej mieszkał wówczas podsędek Krzysztof Strząbski, wraz ze świątobliwą matką swoją, która kochała nad życie syna, a i on odpłacał się jej wielkim przywiązaniem synowskim.

Krzysztof Strząbski, gdy tylko posłyszał, iż Tatarzy się zbliżają, opuścił dom i przyłączył się do pospolitego ruszenia, aby stawić opór strasznej dziczy. Ciężko mu było opuszczać ukochaną matkę, lecz pocieszał się tym, że dzikie hordy nie odważą się posunąć tak daleko w głąb kraju.

Gdy po jakimś czasie zbliżał się do swej wioski, spostrzegł zamiast zabudowań dworskich tylko zgłiszczą i popioły, a na domiar nieszczęścia dowiedział się, iż matkę jego ukochaną Tatarzy w jasyr zabrali. Przywiązanemu synowi ledwo serce nie pękło z żalu. Chciałby był natychmiast pośpieszyć, by uwolnić matkę najdroższą, lecz nie miał na to pieniędzy i musiał kilka lat żyć w tęsknocie i pracować na okup dla niej.

Gdy wreszcie zebrał dostateczny fundusz na wykupienie matki, udał się natychmiast z orszakiem zbrojnym do Krymu, do stolicy chańskiej Bakezy-Seraju. Stawiwszy się przed chanem, oddaje okup i błaga, aby mu pozwolono widzieć ukochaną matkę. Chan, wzruszony tak wielkim przywiązaniem synowskim, pozwala na to.

Gdy Krzysztof doszedł do domu, gdzie mieszkali brańce, usłyszał niestety te złowieszcze słowa:

— Czemuż tak późno przychodzisz? twoja matka dogorywa!

Wszedłszy do izby więziennej, ujrzał w kącie nędzne posłanie a na niem schorzałą niewiastę.

— Matko moja! — zawołał, padając przed nią na kolana.

— Synu! — cichym głosem wyrzekła staruszka — przyjmij ostatnie błogosławieństwo.

Wysłała rękę położyła na głowie syna i skonała. Kochający syn ze łzami w oczach zabrał ciało najdroższej matki, i odbywszy mozolną i daleką podróż, zawiózł je do swej wioski. Tu odbyło się solenne nabożeństwo za duszę nieboszczki, a potem pochowaną została w grobie rodzinnym.

Imię Krzysztofa Strząbskiego pozostanie na zawsze wzorem miłości synowskiej.

E. Estkowski.

Grosz ubogiego.

W pewnym wielkim mieście wybudowano szkołę ze składek publicznych. Budynek wystawiono bardzo piękny, jak to przystało na świątynię nauki, a pieniądze nań zbierano od ludzi wszelkich stanów. Dawali je panowie z pałaców, księża i urzędnicy, a nawet i lud roboczy. Znaczna zebrała się suma; stanął też gmach tak piękny, iż po całych godzinach przypatrywać się było można pysznym jego kolumnom, figurom na dachu, wielkim oknom i różnym innym ozdobom.

Przed tymże gmachem stał pewien ubogi człowiek i przypatrywał mu się z widoczną uciechą. Śmiał się i zacierał ręce, a szczególnie objawiał radość swoją,

widząc, jak uczniowie szli na lekcje albo z lekcji wychodzili.

Nie uszło to uwagi chłopców i budziło ich ciekawość.

Razu pewnego, gdy po ukończeniu nauk rocznych wychodzili ze świadectwami szkolnemi, gromada młodzieży obstała owego człowieka i pytała go, dlaczego się tak raduje.

— Cieszę się, mówił pocziwiec, gdyż myślę sobie, że i ja do waszych nauk przyczyniłem się trochę.

— A to jakim sposobem? — krzyknęła gromada, śmiejąc się i biorąc pod boki.

— Nie śmiecie się, moi panowie — odrzekł wyrobnik łagodnie. Ot, kiedy zbierano składkę na waszą szkołę, i ja dałem na nią ciężko zapracowaną złotówkę. Zato nie jedliśmy tego dnia kolacji, i dzieciaki głodne spać poszły. Ale nie żał mi tego wcale, owszem, cieszę się niewymownie, gdy widzę, że w tej szkole uczy się tylu młodych panów, a ta nauka kiedyś na ludzi pożytecznych krajowi was wy kieruje.

— A bez waszej złotówki pewno nie byłoby tego wszystkiego? — rzekł jeden szydersko.

— Cha! cha! cha! — wrzasnęła reszta, śmiejąc się do rozpuku, i rozbiegła się na wszystkie strony.

Ubogiemu lzy w oczach stanęły, gdy wtym przystąpiło do niego dwóch starszych młodzieńców, skłoniło mu się z uszanowaniem, a jeden z nich odezwał się w te słowa:

— Błogosławione twe ręce pracowite i błogosławiony grosz wdowi, rzucony do skarbnicy naszej nauki! Do końca życia nie zapomnimy, że i tobie winni jesteśmy to światło, które w dalszym życiu ma nas prowadzić ku dobru naszemu i całego społeczeństwa. Ciesz się i raduj, pocziwy człowiecze, a Pan Bóg wynagrodzi ci kiedyś sownie ten ciężko zapracowany grosz, który złożyłeś dla nas w ofierze.

E. Estkowski.

Trafna odpowiedź.

Franciszek Sobiech, gospodarz z pod Rzeszowa, oddał do szkół syna swego Wojciecha, który wnet tak

mądrym został, że się Sobieskim zwać począł, powiadając, że go tylko na wsi Sobiechem przezwali, a właściwie nazywa się Sobieskim.

Razu jednego sąsiad Sobiecha był w Rzeszowie na targu i spotkał Wojciecha.

— A, jak się masz Wosiu?—rzecze do niego.

Ale mój Wojciech jakoś nie słucha.

— Hej, Wosiu Sobiechu!—krzyknie sąsiad—czy nie słyszysz?

A mój Sobieski obróciwszy się, rzecze:

— Czyli tam u was zawsze jeszcze tak wiele głupców?

— Ubyło trochę—odpowie sąsiad—od kiedyś ty wyjechał.

E. Estkowski.

Pomoc Sobieskiego.

Za czasów Jana III mieszkał w Warszawie poczciwy i pracowity krawiec Adamczyk, który miał kilkoro dzieci. W czasie wiedeńskiej wyprawy wpadł w nędzę, zabrakło mu bowiem roboty.

Syn jego starszy służył w rocie kozaków królewicza Jakóba i odznaczył się męstwem.

Raz znalazł sposobność, by opowiedzieć królowi o nędznym stanie swoich rodziców.

Sobieski zadumał się nieco, potem rzekł do niego:

— Za powrotem do Warszawy ukażę się w ferezji, zdobytej w namiocie wezyra; niech twój ojciec takich ferezji dużo uszyje, a sprzeda je snadno.

I tak się stało.

Sobieski wrócił jako zwycięzca do Warszawy i ukazał się w ferezji tureckiej. Tymczasem krawiec dostał sukna u kupców na kredyt i narobił sukien podobnych do królewskiej. Dowiedziawszy się o tym panowie tak kupowali te suknie, że krawiec nastarczyć ich nie mógł. Wkrótce został zamożnym rzemieślnikiem, córki suto wyposażył i synów opatrzył.

Dobry gospodarz.

Była godzina siódma z wieczora; słońce pochylało się ku zachodowi, miły wietrzyk powiewał, tym miłszy, że po skwarnym dniu sierpniowym był wielce pożądanym dla mieszkańców Warszawy.

Ulicą Miodową, w kierunku Długiej, siedł starzec siwowłosy, okryty długim płaszczem granatowym, z pod którego widać było suknię kapłańską. Snać śpieszył się, bo mimo wieku podeszłego, siedł żwawym krokiem.

— A gdzież to tak szparko, panie Danielu?—odezwał się nagle poza nim głos gruby. I w tejże samej chwili jakiś pan wsunął idącemu rękę pod ramię.

Starzec nie zatrzymał się wszakże, podniósł głowę, spojrzał na tego, co go zaczął, i odparł krótko:

— Do domu.

— Przecież już siódma godzina, czas pracę złożyć i zabawić się nieco—rzekł tamten.

Ale te słowa nie trafiły do przekonania starca, wstrząsnął bowiem głową przecząco.

— Nie mogę—odpowiedział łagodnie — wierzaj mi, panie Józefie, że nie mogę, muszę wracać do domu, mam chorego.

— Kogo?

— Starego Jana, mego służącego, niosę mu właśnie lekarstwo.

— No, to zanieśmy je razem, a potem pójdziemy razem do ogródka—odparł pan Józef.—Wieczór tak piękny, koledzy czekają nas, panie Danielu, z ogrodu mamy iść do Wolskiego. Janowi nie się nie stanie, gdy sam poleży, nie dziecko przecież, a wyście pewno z jakie dziesięć godzin śleczeli dziś nad książkami, i chcecie jeszcze przy łóżku chorego w duszności siedzieć? Zdrowiem szafować nie trzeba, należy teraz odetchnąć świeżym powietrzem.

— Nie przeczę—odparł staruszek — iż pracowałem całe dziesięć godzin, i że miłoby mi było z wami się rozerwać, ale Jana nie zostawię samego; choć jeden wieczór posiedzę w duszności, nie rozchoruję się z tego, a spełnię obowiązek. Służył mi wiernie przez czas długi, należy mu się więc opieka i współczucie. Za serce sercem płacić trzeba; pieniądź zimny kruszec, nie wynagrodzi dostatecznie.

To powiedziawszy, starzec skinął głową i znowu żwawym krokiem podążył ulicą, by zasiąść przy łożu chorego sługi.

Tym dobrym panem był Daniel Janocki, bibliotekarz Żałuskich. Urodzony 1720 r., żył za czasów Augusta III i Stanisława Augusta, zasłynął jako człowiek uczony i niezmiernie pracowity. Trzydzieści lat życia spędził w bibliotece Żałuskich.

Był on rodem z Poznania; skutkiem ustawicznego ślęczenia nad książkami w starości stracił wzrok.

Janocki był znanym nie tylko z uczoneści, lecz także z dobrego serca. Dla biednych, dla sług swych był prawdziwym aniołem opiekuńczym.

T. J.

Stopka królowej Jadwigi.

Na przedmieściu Krakowa, zwanym Piaski, stał blisko prawie przez półtrzecia wieku niedokończony kościół Nawiedzenia Najświętszej Panny OO. Karmelitów, założony przez Władysława Hermana. Świątobliwa królowa Jadwiga, w r. 1390, skłoniła męża swego Władysława, ażeby go wykończył. Wyjednałszy na to potrzebne fundusze, pragnąc przyspieszyć budowę świątyni Pańskiej, przebywała tu często i krzątając się pomiędzy pracującymi rzemieślnikami, zachęcała do pośpiechu, to miłym słówkiem, to datkiem. Jako staranna i rządną gospodyni, nadzorowała robotę, wierna położonej sobie zasadzie, którą w liście do męża wyraziła: „odrzuconiem wszelkiej światowej okazałości, spodziewam się zasłużyć na miłosierdzie Boga“.

Chodząc po wznoszących się coraz wyżej murach, i mając nadzieję, że w nich wkrótce zabrzmi pieśń chwały Pańskiej, wstąpiła raz na mur świeży, i trzewik jej ulgnął w niewyschniętym wapieniu. Sparła więc nogę na leżącym gładzie, a gdy jeden z kamieniarzy, oczyszczał jej trzewik, królowa, którą uderzyło oblicze jego szlachetne i pełne rzewności, wdała się z nim w rozmowę, z tą właściwą jej dobrocią, co ośmiela i poufali. Dowiedziała się wtedy, że pomimo najcięższej pracy, kamie-

niarz nie może zarobić tyle, ile mu potrzeba na utrzymanie starego ojca, chorej żony i małych dzieci.

Przejęta litością, zdjawszy z palca kosztowny pierścień, ofiarowała go biedakowi, mówiąc:

„Pracuj i módl się, a Bóg cię nie opuści“.

Kamieniarz stanął zdumiony, a gdy królowa odeszła, on, ocierając łzy wdzięczności, spostrzegł ślad jej stopy, oznaczony wapiem na kamieniu. Na ten widok, powziął myśl szczęśliwą wykucia tej stopy, a obok niej 1390 rok tego zdarzenia.

Kamień ten wmurowano przy drzwiach w cokół zewnętrzny kościoła. Kamieniarz, ile razy tu przechodził, całował tę stopkę królowej Jadwigi, której dar wniósł w dom jego spokój i szczęście.

Za jego przykładem, oddawali tę cześć wykutej stopce i inni, a po śmierci królowej 1399 r. uważali ten kamień jako drogą po niej relikwię.

W r. 1657 Szwedzi opanowawszy Kraków, ze względów strategicznych zburzyli ten kościół. Przy uprzątnięciu gruzów ukazał się ten kamień ze stopką królowej, lecz z odbitą częścią, na której był rok wykuty. Kiedy na nowo ze składek pobożnych wznosił się kościół i kaplica Matki Boskiej pospolicie zwanej Piaskową, OO. Karmelici, chroniąc od zagłady ten kamień, wmurowali go w jej narożnik, i wykuli na nowo rok 1390. Ta pamiątka przechowuje się do dni naszych.

K. Wł. Wójcicki.

Szopka.

Szopki należą do najstarszych zabytków przeszłości, i śmiało je wraz z kantyczkami odnieść możemy do czasów Piastowskich.

Poprzedziły one u nas nie tylko misterje ale wszelkie pobożne djalogi, w które tak obfituje dawna nasza literatura. Zdaje się nawet rzeczą niewątpliwą, że szopki dały im początek.

Dzisiejsze szopki, jakie widzimy tak w Warszawie jak i po innych miastach, zaledwie cię pierwotnych zachowały, dla tego powiemy naprzód o najdawniejszym ich układzie.

Starożytne szopki, o których mamy wiadomości, przedstawiały rodzaj odkrytego domu, w głębi którego widać było stajenkę ubogą, w żłobie narodzone Dzieciątko Jezus, a przy nim stojących: Najświętszą Marię Pannę i Świętego Józefa; u nóg zaś ich klęczącego wołu i osła. Aniołowie unosili się nad tym żłobem, u pułapu jaśniały gwiazdy. Przód tego domu był niezajęty, i na nim dopiero ukazywały się postacie bardziej ziemskie, należące do widowiska szopki.

Najpierw dwaj pasterze, z których jeden wierszowaną przemową wita zebranych widzów, opowiadali sobie wzajemnie o pojawionym się cudzie przy urodzeniu Chrystusa.

Odśpiewawszy kantyczkę tejże treści, ustępowali ze sceny, a w ich miejsce ukazywały się wspaniałe postacie Trzech Królów na koniach, i z wielbłędami, otoczone licznym orszakami, królowie składają swoje dary bogate u stóp Jezusa, na znak hołdu i powitania Zbawiciela świata.

Po nich występował groźny król Herod, który po wziętym wiadomości o urodzeniu cudownego Dzieciątka, co ma zająć tron jego, rozkazuje wodzowi swemu, ażeby wszystkie urodzone dnia tego niemowlęta w pień wycięte zostały. Polecenie spełniono, ale w tej rzezi niewinątek ginie nowonarodzony syn samego Heroda. Król w rozpacz przywołuje śmierć, ażeby skróciła mu żal i cierpienie z powodu zgonu jedynaka.

Przywołane widmo złożone z białych, nagich kości, z czaszką trupią, staje, dzierżąc w ręku straszną kosę.

Przestraszony Herod żebrze litości, ale śmierć jest nieubłagana, i niezważając na prośby klęczącego u nóg jej w pokornej postaci, a niedawno tak dumnego, ścina mu głowę.

Wtedy wybiegał czarny djabeł z okrzykiem i śmiechem radosnym: porywał królewskie zwłoki, zarzucał na plecy i unosił do piekła.

Taką była jedynie w całości swej pierwotna szopka, jak ją jeszcze widzimy w końcu XVI wieku, zakończona odśpiewaniem kolendy i zapowiedzią wesołych zapust.

Z tego widzimy, że szopka dawna miała wszystkie cechy właściwe pobożnemu dIALOGOWI, który podania religijne przedstawiał sposobem scenicznym, a przez to więcej wymownym na umysł i serce pełne prostoty i głębokiej wiary.

Na początku XVIII wieku widzimy wprowadzone nowe postacie do szopki, dawniej nieznane. Tak występuje czarownica masło robiąca, której djabeł w tej pracy dopomaga, dalej żyd z żydówką, Słowak z olejkami pod nazwą Węgra, wreszcie słynna Magdalena wraz z grotem tańczących krakowiaków.

Na zakończenie wychodził zawsze dziadek z brodą siwą i torbą, prosząc zebranych widzów o datek; z tą różnicą, że w końcu XVI wieku miejsce jego często zastępował pątnik czyli pielgrzym, który opowiadawszy cuda o Świętej Ziemi, jak zwiedzał Betleem, Golgotę i Jeruzalem, wyciągał na długiej lasce tykwę z workiem, w który wkładano drobne dary.

Za czasów Jana Sobieskiego wprowadzono inne jeszcze postacie do szopki, a które po wszystkich dworach ziemian naszych, pałacach i zamkach panów, jak po główniejszych miastach ówczesnego królestwa, z radością powitane zostały.

Po oddanym hołdzie przez Trzech Królów, gdy ci zatrzymywali się celem złożenia darów przy żłobku, trąby wojenne i muzyka niespodzianie słyszeć się dawały i ukazywał się najpierw hussarz w pełnej zbroi z proporcem; za nim otoczony wojownikami konno wjeżdżał król Jan III-ci, który w przemowie wierszowanej odzywał się do Trzech Królów, ażeby ustąpili mu pola, bo jako hetman najwyższy chrześcijańskiego rycerstwa, po strasznym a dwukrotnym pogromie całej potęgi ottomańskiej, raz pod Chocimem (r. 1673) gdy miał tylko buławę wielką, drugi raz pod Wiedniem (r. 1683) już jako król panujący,—przybywa złożyć pokłon Dzieciątku Jezus a Zbawicielowi świata i prosić o błogosławieństwo na dalszą przyszłość i wyprawy rycerskie w obronie Krzyża Chrystusowego.

Trzej królowie ustępowali z szopki, a Jan III z chórem orszaku swego intonował pieśń:

«O gospodzie uwielbiona»

która była tak ulubioną wielkiemu Stefanowi Czarnieckiemu, i tak znaną w jego chorągwiach. Poczym cała drużyna królewska uroczystym marszem przesuwała się przez szopkę.

Tego rodzaju dodatek do dawnego widowiska zdaje się, że wyszedł z dworu króla Sobieskiego, po powrocie z oswobodzonego Wiednia, współczesny bowiem rękopis mówi, że: «takie szopki, jakie się ukazywały w Gody

1683 r. w Warszawie, zaraz widziano w Krakowie, we Lwowie, w Poznaniu i po wielu innych większych miastach, a w każdym dworze czekano na nie jak kania dżdżu».

Zaciera się pamięć króla Jana III pod Augustem II a postać jego i orszaku rycerskiego znika z szopki za najściem Karola XII.

Szopka pomimo to zachowała do naszych czasów pierwotną myśl i typowe postacie, ale na prowincji tylko po mniejszych miasteczkach. W Warszawie bowiem od lat kilkunastu traci coraz więcej właściwy sobie charakter. Wprowadzono do niej kurtynę i dekoracje, oraz różne osoby ze sztuk teatralnych, nieznane dawniej w zakresie szopkowego widowiska.

S. p. Józef Korzeniowski, widząc w ten sposób zacieraną właściwą charakterystykę tego godnego uszanowania zabytku tak odległych czasów, miał zamiar przywrócić mu pierwotne znaczenie: wprowadzić wszystkie postacie typowe, a uszlachetnić dialogi i pieśni, starając się zachować całą ich myśl i prostotę. Nieraz o tym mówił, układał plan cały, ale choroba, a po niej zgon rychły niedozwoliły mu wykonać tej godnej znakomitego pióra jego pracy. Urzeczywistniła tę myśl Korzeniowskiego, Seweryna z Żochowskich Pruszkowa, która w dialogu p. n. «Szopka» w całej prostocie pierwotnej zachowała ten zabytek, przystrojony tylko wdzięcznym poetycznym słowem, które nie zaciera wcale właściwej charakterystyki starożytniej szopki.

Jak się szopki zespoliły z życiem ludowym u nas, najlepszym dowodem jest to, że istniały obok późniejszych misterjów i pobożnych dialogów, a nawet obadwa te rodzaje przetrwały.

Szopki wiejskie zachowały całą prostotę XVII wieku, ale z pewnemi zmianami, stosownie do okolic kraju.

Zawsze w nich żłobek z Dzieciątkiem Jezus, Bogarodzica ze świętym Józefem, wół i osieł klęczący: czarownica robiąca masło, której djabeł wyjada śmietanę, król Herod, śmierć i djabeł, oraz Zydzi, Węgiei i parobczaki wiejskie z dziewczętami zapełniają widowisko.

W krakowskich szopkach występuje jeszcze wysmulki góral z niedźwiedziem, jak w innych stronach cygan, także wiodący niedźwiedzia na łańcuchu.

Po wsiach szopki ukazują się od świętego Szczepana; to jest: w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia czyli Gód. Dzień ten jest jednym z najważniejszych

w życiu sielskim. Na Boże Narodzenie parobcy i czeladź służąca u gospodarzy, dziękuje za służbę; w dzień św. Szczepana jest więc wolną i nikomu nie służy; stąd u mazurów trafne przysłowie:

«Na święty Scepon, każdy se pon!»

Chłopcy wiejscy chodzą z szopkami tylko do drugiego lutego czyli uroczystości: «Oczyszczenia Najświętszej Panny Marji». Po miastach ukazują się jeszcze przez cały ciąg zapust aż do Popielca.

W Za-Dnieprzu nazywają szopki wertepami, i do postaci przywiązanych do starożytnej tradycji dodają osoby miejscowego typu. Że i tu należą do odległej przeszłości, okazał nam w badaniach swych Erazm Iżopolski, odkrywszy na jednym takim wertepie wyryty rok 1564,

K. Wł. Wójcicki.

Święty Kazimierz.

«Szezyć się, o Litwo, z Kazimierza swego
Iż poszedł ze krwi narodu twojego:
Patrz, abyś w jego ślady tu wchodziła,
Być kiedy nie rzekł, żeś się odrodziła».

(Ze współczesnego dialogu).

Czym dla Polski święty Stanisław, tym dla Litwy jest święty Kazimierz, ten jej Patron odwieczny, w osobie którego zespoliło się tyle wspomnień religijnych, narodowych i historycznych.

Święto jego jest nie tylko świętem kościelnym, ale niby doroczną pamiątką, pamiątką wiekopomnej chwały. Jako takie, obchodzi je Litwa w szczególnym skupieniu, z tym zapatrzeniem duchowym nie tylko w niebo, ale i w przeszłość promienną, piękną, potężną. Zarówno z nieba, jak i z rozpamiętywania przeszłości idzie zawsze otucha i moc wytrwania, którą Litwie w najcięższych chwilach jej wymodlił może ten jej Patron Wielki.

Święty Kazimierz — to rodzony wnuk króla Władysława Jagiełły, tego wiekopomnego twórcy połączenia Litwy z Polską, a syn mądrego Kazimierza Jagiellończyka i bogobojnej Elżbiety, córki cesarza Alberta II.

Dzień 3 października roku 1458 — błysnął krajowi naszemu świetnym nad Krzyżakami zwycięstwem i życliwym poselstwem Irzyka Podiebrackiego. O świcie tegoż dnia, który przypadł we wtorek w Krakowie, stolicy kraju, postępem nauk i pobożnością już głośnej, Elżbiecie królowej, urodziło się drugie z kolei dziecko, któremu na chrzcie świętym nadano imię Kazimierz.

Dziecię to stało się ukochanym dzieckiem królowej, która usiłowała też przelać w nie całą duszę swoją, pełną miłości do Boga i ludzi, zaś umysł młodego królewicza oświecał i rozwijał Długosz; wspólne starania ich przyniosły owoc rzetelny — młode chłopię zaczęło wkrótce dziwić wszystkich rozumem swym, nabożnością i istną anielskością ducha. Już Długosz przepowiadał mu świętość.

Ale młodego królewicza, jak gdyby skusić próbowała z początku ziemską chwała. W roku 1471, a zaledwie trzynastym swego życia, Kazimierz zmuszony jest, z woli ojca i na błagania umyślnie przybyłych posłów, przyjmując ofiarowaną mu koronę węgierską, którą chwilowo a bezprawnie posiadał syn Hunjada, Maciej Korwin. Na czele licznych zastępów podąża więc królewicz do Węgier. Lecz tam czeka go zawód. Stronnictwo Macieja bierze górę, i wiarołomnie opuszczony pod Netrą przez swych stronników, Kazimierz zmuszony jest ratować się ucieczką.

Niepowodzenie to na jakiś czas przygnębia wrażliwą duszę młodzieńca, lecz dusza ta, nie z tego świata, wkrótce zapomina ziemskich niepowodzeń, a ofiarowawszy je na Jasnej Górze, ślubuje sobie poświęcić się służbie Bożej.

Odtąd obcy prawie wszelkim sprawom ludzkim, królewicz Kazimierz, wyrzekszy się zaszczytów i władzy, pędzi żywot wzorowy, idealny, cichy, rozmodlony cały, wcielający pojęcie cnót chrześcijańskich, skromności, pokory. Życie jego jest niby już tylko nieustannym gotowaniem się do wiecznej drogi. Osadzony przez ojca w roku 1477 w Wilnie na zamku niższym, żył jak anachoreta, rozczytując się w Piśmie świętym, rozmyślając, układając modlitwy, z których przepiękny hymn: *Omni Die*, znany i dziś powszechnie pod imieniem hymnu Świętego Kazimierza, został po nim na wieczną pamiątkę.

Ale nietylko modlił się ów młodzian Boży. — «Wspierać ubogich, dźwigać upadłych, zbolących cieszyć, uci-

śnionych wyzwalać, wszelkiej nędzy i cierpień ciężarem przybitych śpiesznie ratować — było to jego najmielszą zabawą, jedynym szczęściem na ziemi». Wdowy zwały go opiekunem, sieroty ojcem, ubodzy i nieszczęśliwi pocieszycielem.

Tak, z wysokości swego stanowiska, ten Święty Królewicz jaśniał niby wzór doskonały i czysty, działając przykładem swym i wpływem niemało na naprawę obyczajów powszechną. Za życia już wielbił go kraj cały.

Lecz żywot ziemski przyszłego Litwy Patrona nie trwał długo, dusza jego była mocna, ale ciało mdłe, w 26 roku życia ciężka choroba przecina pasmo dni młodzieńca. Ciało jego złożono uroczysto w kaplicy, królewską zwanej, w wileńskiej katedrze. Wkrótce wśród pobożnego ludu grób Królewicza zasłynął cudami.

W roku 1520 Papież Leon X wszczął sprawę kanonizacji księcia polskiego Kazimierza. Ostatecznie jednak w poczet Świętych śty Kazimierz zaliczony został dopiero w roku 1602 przez Papieża Klemensa VIII, który też wyznaczył dzień 4 marca, jako poświęcony czci jego. Stało się to za panowania króla Zygmunta III, a za szczególnym staraniem biskupa wileńskiego Benedykta Wojny.

Gdy bulla o kanonizacji nadeszła do Wilna, ową radosną wieść powitano z zapalem i oto uczcił gedyminowy gród swego świętego obchodem tak wspomniałym, jakiego nie widziano. Przedstawiciel króla, kanclerz państwa Leon Sapieha, biskup, duchowieństwo, cechy, ludu tysiące, bramy tryumfalne, pienia pobożne, huk dzwonów, wzniosłe przemowy — wszystko to złożyło się na imponujący hołd dla świętości i cnoty. Odbył się ów obchód uroczysty dnia 20 maja 1604 r.

W 32 lata później raz jeszcze powtórzono go w tej samej prawie świetności, gdy dnia 14 sierpnia 1636 r. przenoszono prochy Świętego do nowozbudowanej królewskiej kaplicy. Uroczystości tej był sam król Władysław IV przewodnikiem. Wobec niego to mówił wówczas Sarbiewski w te słowa:

«A jeśli wolno pobożnie mniemać, jakby się słusznie dla cnót ich godziło, że owe stare Jagiellony nasze, króle i bohaterzy Polski i Litwy, w Niebios krainie już żyją, stamtąd spogląda pewno ów wielki Władysław Jagiello na Kazimierza wnuka, patrzy Władysław III, król Węgier i Polski, który za wiarę i bezpieczeństwo chrześci-

jańskich ludów z chwałą od Turków pod Warną poległ, na swego synowca: patrzy sam król Jędrzej Kazimierz na syna, patrzą Władysław Czech i Węgier, Jan Albert Aleksander i Zygmunt polscy królowie na brata swego, który nie tak na tym wspaniałym posłaniu, a bardziej na sercach naszych i pobożności powszechnej spoczywa».

«Kurjer Litewski».

X Kościuszko w Ameryce.

Przed stu przeszło laty Ameryka Północna toczyła z Anglią walkę o swoją niepodległość. Wielu znakomitych, a wolność miłujących mężów śpieszyło z Europy na drugą półkulę, ażeby czynną przyłożyć rękę do dzieła oswobodzenia walczącego o swoją swobodę narodu.

W końcu grudnia 1777 r. przybył także Kościuszko do Ameryki. Bez wszelakich środków i pism polecających stanął przed Washingtonem.

— Cóż pan zamýślasz począć? — zapytał wódz naczelny, który zawsze mówił bardzo zwięźle.

— Przychodzę jako ochotnik, aby walczyć o niepodległość Ameryki—również krótko i stanowczo odpowiedział Kościuszko.

— Cóż pan umiesz? — spytał następnie Washington.

Na co odrzekł z właściwą sobie szlachetną prostotą Kościuszko:

— Racz mnie doświadczyć, generale!

Stało się temu zadość i Washington wkrótce przekonał się o dzielności szlachetnego Polaka. Oddano mu najpierw kompanję; a kiedy podczas odwrotu Anglików z Filadelfji ścigali ich Amerykanie, Kościuszko na czele kompanji ochotników cudów waleczności dokazywał.

Francuz Lafayette, który dowodził oddziałem ścigającym nieprzyjaciela, w wieczór po krwawym dniu dowiadywał się o dowódcę owych ochotników.

— Jest to młody Polak, szlachetnie urodzony, ale ubogi i, jeśli się nie mylę, nazywa się Kościuszko—odpowiedziano.

Ochotnicy stali o pół mili od obozu; Lafayette dosiadł konia, pośpieszył do ochotników i kazał się zaprowadzić do Kościuszki.

Wszedłszy do namiotu, zastał go jeszcze obryzganego krwią i okrytego kurzem. Kościuszko siedział wsparty na rękę przy stole, na którym była rozłożona mapa. Tu się poznali obaj młodzi bohaterowie i od tej chwili ścisła łączyła ich przyjaźń.

Lafayette doniósł o waleczności Kościuszki Washingtonowi, a ten odtąd pilną na niego zwracał uwagę. Kościuszko odznaczył się w wyprawie na Rode Island i przy oblężeniu Nowego Jorku.

Kiedy Washington, objeżdżając szeregi, zbliżył się do oddziału Kościuszki, ten, wystąpiwszy naprzód, zawołał z zapalem:

— Wodzu!—jutro w wieczór zdobędę baterję nieprzyjacielską, lub zginę!

W samej rzeczy, korzystając z ciemnej nocy, Kościuszko podsunął się pod baterję; ale pomimo ostrożności, odkryty, krwawą musiał stoczyć walkę. Ciężko ranny w prawą rękę, chwycił w lewą pałasz i wiódł oddział do szturm. Odwagą i zapalem jego zagrzani żołnierze wyparli wroga; Kościuszko zdobył trzy działa i dwa sztandary i zabrał znaczną liczbę jeńców.

Jak go żołnierze kochali, świadczy następujące zdarzenie.

Żołnierz trafiony kulą, kiedy go towarzyszył, podnosząc z ziemi, chciał ratować, rzekł:

— Zostaw mnie, ja tylko prostym jestem żołnierzem; raczej ratuj naszego kapitana i zdobyte armaty!

Kiedy po zdobyciu Nowego Jorku Washington dziękował oficerom, ujął Kościuszkę za zranioną rękę i wobec zebranych, chwalać jego zasługi i męstwo, wyniósł go na stopień podpułkownika i swego adjutanta; a gdy go bliżej poznał, synem swoim nazywał. Umiał cenić te zaszczyty Kościuszko, bo w liście do Niemcewicza tytuł ten «uważał za swoje najwyższe na ziemi dobro, które najbardziej szanuje».

Kościuszko w charakterze swym wiele miał podobieństwa do Washingtona: waleczny w boju, był zarazem ludzkim dla nieprzyjaciela. Dał tego dowód, kiedy jeden z generałów amerykańskich rozkazał mordować zwyciężonych Anglików. Kościuszko oparł się temu rozkazowi i pod karą śmierci nakazał swym żołnierzom, aby szanowali życie nieprzyjaciół. To też tak męstwem

swym jako też ludzkością zjednywał sobie miłość i uszanowanie żołnierzy.

Wojsko amerykańskie zrazu przyjmowało służbę tylko na pewien czas, po upływie którego oddziały wracały do domu, lub na nowo się zaciągały. Tak sobie postanowił był postąpić pewnego razu oddział, którym dowodził Kościuszko; a ponieważ nawet służył nad czas oznaczony, głośnie wznosił przeciw temu skargi. Słyszając to, Kościuszko przyznał użalającym się na to słuszość, wreszcie w te do nich odezwał się słowa:

— Przyjaciele! słowo uwolnienia was od służby jest wam dane, a to słowo jest dla mnie święte i niezłomne. Jeżeli dobrowolnie nie chcecie zostać, tedy idźcie w pokój, ja was ze służby uwalniam. Co się zaś mnie tyczy, nie opuszczę powierzonego mi miejsca i zostanę z temi, którzy razem ze mną chcą walczyć.

Słowa te cudownie podziały na wzburzone umysły; zabrzmiął też jednomyślny okrzyk:

— Zostaniemy przy tobie; nie opuścimy naszego wodza!

Po skończonej wojnie niepodległa Ameryka, wdzięczna za tyle usług, ozdobiła piersi Kościuszki orderem Cyneynata, wyniosła go na stopień generała brygady, nadała mu prawo obywatelstwa, a oprócz pensji rocznej, wyznaczyła znaczne obszary ziemi. A kiedy Kościuszko w r. 1817 umarł w Solurze, Stany Zjednoczone uczciły pamięć jego pomnikiem w mieście Westpoint.

z wypisów polskich Próchnickiego i Wójcika.

Kościuszko w Szwajcarji.

W Szwajcarji Kościuszko zamieszkał w Solurze u Franciszka Zeltnera, byłego prefekta, z którego rodziną od dawna utrzymywał stosunki. Zeltnerowie byli dawniej zamożni, lecz w czasie rewolucji stracili swe mienie.

U Piotra Zeltnera Kościuszko mieszkał we Francji przez lat dwanaście, a córkę jego Emilję trzymał do chrztu. Franciszek Zeltner, brat tamtego, miał również córkę Emilję i Kościuszko serdecznie się do niej przy-

wiązał. Uczył ją sam historii, matematyki i rysunków.

U Zeltnera znalazł opiekę troskliwą, delikatność w stosunkach codziennych i cześć głęboką, prawie religijną dla swej osoby. Zeltnerowie zresztą liczyli na spadek po Kościuszcze. Rzeczywiście też zarówno obu córkom Piotra, jak i dwom córkom Franciszka Zeltnera, zapisał sumy poważniejsze.

Wymagania miał skromne. Zajmował jeden tylko pokój z mieszkania Zeltnera. Pokój był skromny. Łóżko pod kotarą, zasłane twardym materacem, z dwiema poduszkami, okryte lekką kołdrą, stół, sofa, kanapa i duży fotel—oto całe umeblowanie, wśród którego bohater polski spędził ostatnie dwa lata swego życia. W pokoju tym stała doniczka z krzewem róż, ulubionym kwiatem Kościuszki; doniczkę tę zmieniano często, starając się, aby krzew zawsze okryty był kwiatami.

Życie płynęło tu równo i spokojnie. Letnią porą wstawał Kościuszko o 5-ej, w zimie o 6-ej. Po śniadaniu spożytym w towarzystwie Zeltnerów, załatwiał korespondencję, zajmował się układaniem zadań lub pytań dla swej uczennicy, czytał wiele. Po obiedzie udawał się zwykle na partję bilardu.

Lekarz zalecił mu jak najbardziej ruchliwe życie, więc kupił sobie konia i powozik. W czasie pogody jeździł konno, ale zawsze stępa, bo choć odzyskał władzę w nodze, rannej w bitwie pod Maciejowicami, lecz nie mógł się mocno utrzymać w siodle. Wiezorami, zwłaszcza zimą, grywał w wista z Zeltnerami, lekarzem Schürem, księdzem Schmittem, pułkownikiem Grimmem i kilku innemi częstemi gośćmi w domu Zeltnerów.

Z rodziny bliższej nie miał przy sobie nikogo. Siostra jego ukochana, Anna, zamężna Estkowa, już nie żyła, zmarli też dwaj jej synowie, a trzeci, najstarszy, nie utrzymywał z wujem prawie żadnych stosunków. Pozostała tylko wdowa po drugim siostrzeńcu, Tadeuszu, Katarzyna Estkowa. Jej też Kościuszko zapisał testamentem rodzinny majątek Siechnowicze, nadając równocześnie włościanom tej wsi wolność osobistą, oraz prawo własności posiadanych gruntów i zagrod.

Całą działalność swoją skupił teraz w dobroczynności, która stała się w Szwajcarji przysłowiową. Przeddrzwiami domu Zeltnerów gromadzili się codziennie żebracy, a żaden nie odszedł bez jałmużny. W czasie spacerów Kościuszko wstępował do mieszkań ludzi ubo-

gich, pocieszał ich datkiem, słowami i nadzieją. Koń jego tak się przyzwyczaił do stawania przed każdym napotkanym na drodze żebrakiem, że zawsze sam się zatrzymywał przed nimi i czekał na wykonanie przez jeźdźcę zwykłego ruchu ręki. O dobroczynności Kościuszki krążą najrozmaitsze opowiadania, notowane przez współczesnych, a dodające do wieńca sławy tego wielkiego męża garść listków, drobnych wpawdzie, ale niepośledniej wartości.

H. Mich.

Korpus kadetów.

W parę lat po wstąpieniu na tron Stanisława Augusta Poniatowskiego założona została (otwarta r. 1766) szkoła rycerska w Warszawie, nosząca nazwę Szkoły lub Korpusu kadetów. Stąd oddany na jej pomieszczenie pałac królewski, Kazimierowski zwany, (wzniesiony przez króla Jana Kazimierza pod koniec jego panowania), poczęto także mianować «koszarami kadeckimi».

Podług przepisów tej Szkoły: «nowicjusze przez czas dwuletni chodzą w granatowych sukniach, bez wyłogów i kołnierza pąsowego, ze złotemi guzikami, w kamizelkach i spodniach białych. Uczą się musztry, odprawiają warty bez patrontaszów i pałaszów, tylko z karabinem».

Mundur kadecki wspominany jest dwojaki: krótki i długi, czerwony z kołnierzykiem białym. Był on rodzajem wysokiej nagrody dla kadeta. Ci, którzy nie uczyli się i nie sprawowali jak należało, nigdy nie byli przypuszczeni do zaszczytu noszenia munduru. Tylko w końcu roku po egzaminach rada korpusowa wyrokowała o tych, którzy zasługują na mundury kadeckie. Tak zwane obłóczyny czyli przywdzianie munduru połączone było z uroczystym ceremonjałem kościelno-wojskowym.

Szefem korpusu kadetów był książę Adam Czartoryski, generał ziem podolskich. Znakomity ten obywatel nadał cały kierunek temu pierwszorzędnemu zakładowi naukowemu, z którego wyszły setki najdzielniejszych obywateli i żołnierzy, począwszy od Kościuszki.

Napisany przez Czartoryskiego «Katechizm moralny dla uczniów korpusu kadetów» jest obrazem podniosłego kierunku i zasad, w jakich młodzież kadecka wychowywana tu była.

Oto wyjątki z «Katechizmu», które lepiej dadzą pojąć te zasady:

— Czy dosyć jest być szlachetnie urodzonym?

— Pewnie, że nie dosyć; urodzenie z enotą i przymiotamiłączone, jest zaszczytem. Szlachectwo zaś bez enót i przymiotów ustawnym jest zarzutem. Jak człowiek pocziwy, mężny, dobroczynny, litościwy, największego wart szacunku, tak najpodlejszym jest stworzeniem szlachcie niepocziwy, dumny, przewrotny, okrutny, nielitościwy. — Chępić się ze szlachectwa lub gardzić temi, którzy szlachtą się nie urodzili, a osobliwie wyrzucać im to na oczy, ostatnią jest podłością.

Dalej pisze Czartoryski o rozrywkach kadeta: «Niech się uprawuje w ręczość w bieganiu z kolegami do mety, niech się kocha w ryszunkach wojennych, koniem niech toczyć lubi; słowem, niech pamięta, że wojowniczy ród dziadów naszych nie spodziewał się wydać plemienia niewieściuchów, którzy zalegając pole, sławę i kraj stracili».

Na zapytanie, czy godzi się podsłuchiwać, list cudzy sobie powierzony odpieczętować, papiery leżące na stole cudzym czytać? — odpowiada zacny autor «Katechizmu», «iż jest to podłość wielka pozwalać sobie na którąkolwiek z rzeczy wyżej wzmiankowanych; jest to zdrada, którą zacny umysł brzydzić się powinien».

W latach 1815—1830 pod nazwą Korpusu kadetów istniała szkoła wojskowa w Kaliszu. Komendantem wojskowym tego zakładu był pułkownik I. Mycielski, dyrektorem zaś nauk podpułkownik Koss.

Z. Gloger.

Młodzież krakowska w r. 1655.

Ścigany przez Szwedów, a opuszczony przez swoich, musiał król Jan Kazimierz ustąpić z Krakowa i udać się na Śląsk, pozostawiając obronę miasta dzielnemu

wojownikowi, Stefanowi Czarnieckiemu, kasztelanowi kijowskiemu.

Dumny król szwedzki, Karol Gustaw, który już wówczas całą prawie Polskę w swoich miał rękach, pewny był, że Kraków opierać mu się nie będzie. Stanąwszy tedy pod murami miasta, zażądał dobrowolnego poddania się, grożąc straszną zemstą, gdyby go nie usłuchano.

Lecz nie uląkł się zuchwałych pogróżek dzielny wojownik, i oświadczył, iż poprzysiągł wierność królowi, miasta nie odda. Rozjuszony tą odpowiedzią, Szwed postanowił użyć wszelkich środków, ażeby szturmem wziąć miasto.

Ale i oblężeni wszelkich dokładali starań, ażeby stawić czoło dumnemu najeźdźcy. Kto mógł, chwycił za broń i śpieszył na mury miasta, ażeby bronić starodawnej Piastów stolicy.

W chwili tak wielkiego niebezpieczeństwa i młodzież krakowska, pomna na swe obowiązki względem ojczyzny i króla, zebrała się w znaczną gromadę i prosiła Stefana Czarnieckiego, ażeby jej walczyć pozwolił. Wódz przyjął niesioną mu pomoc, a rozkazawszy dostarczyć dzielnym uczniom potrzebnej broni, posłał im zarazem chorągiew czerwoną z białym krzyżem jako znak wojenny.

Młodzi obrońcy ojczyzny zaczęli swą służbę od Boga, prosząc go o pomoc i błogosławieństwo, a wkrótce potem wysłano ich wraz z częścią zamkowej załogi na nieprzyjaciela, podsuwającego się pod mury miejskie. Odważnie natarli studenci na wrogów, bili się mężnie i wielu Szwedów trupem położywszy lub ciężko poraniwszy, wrócili do miasta z dwoma zabranymi działami. Ludność w mieście zebrana witała powracających obrońców głośnemi okrzykami radości.

Odtąd odbywali młodzi wojownicy ciągłą straż na murach miasta, a ilekroć tego było potrzeba, czynili odważne wycieczki poza obręb twierdzy, aby niepokoić nieprzyjaciela i odpierać go. W jednej z takich wycieczek tak się im poszczęściło, iż mnóstwo Szwedów położyli trupem, resztę zaś w taki wprawili popłoch, iż sam król Karol Gustaw musiał dosiąść konia i powstrzymać ucieczkę starych i w tyłu bitwach doświadczonych żołnierzy przed dzielną krakowską młodzieżą.

Cztery tygodnie wytrzymał Stefan Czarniecki oblężenie miasta, a lubo wreszcie poddać się musiał, mężna

jego obrona zawsze chlubą będzie dla niego samego, jakoteż dla tych wszystkich, którzy go w tych usiłowaniach wspierali.

Władysław Betza.

Z życia księcia Józefa Poniatowskiego.

Był rok 1809. Niepokojem były serca mieszkańców Warszawy, głucha wieść obiegała miasto: Austriacy uzbrojeni dążą do stolicy. Chcą zdobyć stary gród Mazowsza!

Ten i ów pocieszał wszelkie strapionych:

— Nie lękajcie się! Księżę Józef Poniatowski nie dopuści Niemców do nas, toć podążył pod Raszyn!

Ale ci, którzy słabe mieli serca, odpowiadali trwożnie:

— Nie pomoże tym razem ani jego odwaga ani jego szabla — toć podobno Austriaków jest cztery razy więcej niż naszych.

Tymczasem dnia 21 kwietnia jeszcze straszniejsza wiadomość niby gromem uderzyła mieszkańców naszego miasta. Księżę Józef, mimo walecznego oporu, który drogo kosztował Niemców, zmuszony był cofnąć się z pod Raszyna, a następnie z Warszawy.

Nazajutrz po ustąpieniu księcia Józefa, wkroczyli Austriacy do stolicy z muzyką, z rozwiniętymi chorągwami, w kaskach bluszczem ustrojonych.

Atoli trzy tygodnie zaledwie upłynęło, gdy pełnego ranka po ulicach miasta rozległy się radosne wołania:

— Nie masz już Austriaków!

W istocie Austriacy nocą opuścili Warszawę, a nie chcąc mieć świadków swojej sromoty, aby nie obudzić śpiących, koła armat poobwiązywali słomą.

Wkrótce dowiedzieli się mieszkańcy Warszawy, że oswobodzenie swe zawdzięczają księciu Józefowi. Z pod Warszawy udał się on bowiem na południe Polski i zajął Lublin, Zamość, Sandomierz i Kraków, miasta, które przy rozbiorze naszego kraju dostały się pod panowanie Austrii. Przerażeni tym najściem, Austriacy dobrowol-

nie opuścili Warszawy, śpiesząc na obronę miast zajętych. Daremne były jednak ich wysiłki: książe Józef odzyskaną część Polski wcielił do Księstwa Warszawskiego, poczym pośpieszył do Warszawy, aby ogłosić swój tryumf.

Piękny był to dzień, gdy ulubieniec narodu i szczególnie zwycięzca wjeżdżał do stolicy. Lud tłumnie z okrzykami radości witał bohatera, a na placu Świętego Aleksandra pod trzema krzyżami wznosiła się tego dnia brama z napisem:

«Tędy Jan III wracał z pod Wiednia».

Długim szeregiem, wzdłuż Nowego Światu i Krakowskiego-Przedmieścia, stało wojsko polskie w paradnych mundurach, oraz tłumy mieszczan, panów i pań, młodzieży i dzieci, a wszyscy w świątecznych strojach, wszyscy rozradowani. Krzyk «Niech żyje książe Józef, nasz obrońca!» niemal bez przerwy leciał pod obłoki, budząc w sercu zwycięzcy uczucie wielkiej radości ze spełnionego obowiązku.

* * *

Józef Poniatowski urodził się w r. 1763, a był synem Andrzeja Poniatowskiego, generała wojsk austriackich i rodzonego brata ostatniego króla Polski — Stanisława Augusta.

Straciwszy ojca wcześniej, za namową matki obrał sobie zawód wojskowy i wstąpił do wojska austriackiego, gdzie dosłużył się stopnia pułkownika.

Roku 1789 król Stanisław powołał bratanka do Warszawy i polubiwszy go, mianował wkrótce generałem.

W roku 1792 wybuchła w kraju wojna domowa. Naród polski na sejmie wielkim ułożył rozumne i sprawiedliwe prawa. Prawa te nazwane «Konstytucją trzeciego maja» (gdyż ogłoszone zostały dnia trzeciego maja 1791 roku), nie podobały się tym, którzy tylko o własne dobro dbając, nie kochali Polski. Postanowili oni obalić konstytucję, zawiązawszy konfederację czyli związek w Targowicy.

Znaleźli się jednak ludzie zacni i uczciwi, którzy postanowili bronić konstytucji. Tak rozpoczęła się u nas wojna domowa 1792 roku.

Król Stanisław przyrzekł narodowi, iż go nie opuści, lecz nie czując się sam na siłach, mianował głównym

wodzem wojsk bratanka swego Józefa, wyrobiwszy mu tytuł księcia.

Książe Józef podzielił wojsko na trzy dywizje: jedną oddał pod komendę Tadeusza Kościuszki, drugą pod Michała Wielhorskiego, trzecią sam prowadził i pod Zieleńcami odniósł zwycięstwo nad nieprzyjacielem.

Lecz król Stanisław, nastraszone groźbami z zagranicy, przeszedł na stronę tych, którzy byli przeciwni konstytucji i rozkazał bratankowi, aby broń złożył. Książe Józef spełnił ten rozkaz, lecz zażądał jednocześnie dymisji, poczym odesławszy królowi wszystkie swe ordery kraj nasz opuścił.

W dwa lata potem, w roku 1794, powrócił jednak na wezwanie Tadeusza Kościuszki, który powołał wszystkich Polaków do walki w obronie ojczyzny. I oto teraz książe Józef, niegdyś wódz głównodowodzący, dobrowolnie zgadza się zostać podkomendnym tego, który pod nim służył, byle kraj ratować.

I znowu walczył dzielnie, lecz niestety, znowu na próżno. Kościuszkę został ranny i wzięty w niewolę pod Maciejowicami, wojsko złożyło broń, a Polska rozebrana została.

Król Stanisław, podpisawszy ten rozbiór, wyjechał do Grodna, przed wyjazdem, namawiając bratanka, aby wstąpił do wojska rosyjskiego i obiecując mu tam wysokie stanowisko. Lecz książe Józef pozostał w Warszawie, gdyż nie tracił nadziei, że będzie mógł jeszcze służyć swej ziemi.

Nadzieja ta nie zawiodła go. Napoleon I utworzył legjony.

Oceniając waleczność Polaków, Napoleon po zwycięstwie odniesionym nad królem pruskim odebrał mu zabraną niedawno Warszawę wraz z przylegającym do niej pasem ziemi i utworzył niezależne Księstwo Warszawskie.

Książe Józef Poniatowski służył również w legjonach. W roku 1809, kiedy Prusacy opuścili Warszawę, rozciągnął nad miastem opiekę, a później dowiedziawszy się, że Austriacy dążą, aby zająć naszą stolicę, pośpieszył naprzeciw nich pod Raszyn. O rezultacie tej bitwy już była mowa: książe Józef ustąpił wprawdzie, ale potem odniósł kilka świetnych zwycięstw nad nieprzyjacielem. Gdy w roku 1812 Napoleon wypowiedział wojnę Rosji, książe Józef towarzyszył mu w tej wyprawie, licząc na pomoc i poparcie obiecane przez Napoleona Pola-

kom. W słynnej bitwie pod Lipskiem, w której przeciw Napoleonowi wystąpili sprzysiężeni monarchowie europejscy, tak odważnie walczył, że Bonaparte, podczas najgrotszej walki kazał mu oznajmić, że mianuje go swoim marszałkiem.

Lecz nasz bohater odparł spokojnie:

— Jeśli ten zaszczyt ma mi odebrać dowództwo nad wojskiem polskim, to go nie przyjmę.

Cesarz uspokoił go obietnicą, że większe go jeszcze zaszczyty czekają.

Lipsk było to ostatnie pole, na którym okrył się sławą ten dzielny i szlachetny rycerz polski.

Straciwszy w bitwie bardzo dużo ludzi, Napoleon postanowił wrócić do Francji, aby zebrać większe siły. Trzeba było w tym pochodzie przebyć bystrą, niespokojną rzekę Elsterę, a ponieważ nieprzyjaciół wciąż za wojskiem francuskim postępował, Napoleon rozkazał, aby księżę Józef ze swoim oddziałem osłaniał tyły armji. Most na Elsterze miał być natychmiast po przejściu wojsk spalony.

Niestety, Francuzi zapomnieli o Polakach i przeszedszy most, zaraz go spalili. Skoro księżę Józef ze swoim hufcem nadciągnął nad rzekę Elsterę, zastał już tylko szczątki i zgłiszczą. Opuszczony rycerz miał do wyboru: przebyć wpław rzekę i pośpieszyć za Napoleonem albo broń złożyć i oddać się na łaskę nadciągających nieprzyjaciół. Księżę Józef wybrał pierwsze i ranny już kilkakrotnie, wskoczył z koniem do Elstery, kule nieprzyjacielskie pogoniły za nim... Ugodzony śmiertelnie, zachwiał się i stoczył się z konia w nurty rzeki....

Tak zginął rycerz odważny, dobry Polak i godny następcę Jana Tarnowskiego, Karola Chodkiewicza i Stanisława Żółkiewskiego.

* * *

Było to we wrześniu roku 1814. Warszawa wyglądała tak świątecznie, jak gdyby przygotowała się do jakiejś wielkiej uroczystości: wszystkie kamienice zdobne były wieńcami z zieleni, z okien i balkonów zwisały się amarantowe z białymi orłami chorągwie. Ulice, wyspane gałązkami jedliny, zalegały tłumy ludu, a wszyscy śpieszyli w stronę Krakowskiego-Przedmieścia, ku kościołowi Świętego Krzyża.

Wielka uroczystość, lecz uroczystość żałobna miała się odbyć tego dnia w Warszawie—pogrzeb księcia Józefa Poniatowskiego.

Wdzięczni Polacy przywieźli zwłoki bohatera z Lipska i postanowili pochować je w Krakowie, w grobach królewskich na Wawelu.

Okolo południa rozległ się ponury odgłos dzwonów we wszystkich kościołach Warszawy, zabrzmiały pienia żałobne i ukazał się orszak pogrzebowy. Rozpoczęły pochód szeregi zakonników w kapturach, na twarze nasuniętych, z gromnicami płonącymi w ręku. Dalej szli księża świeccy i dziadkowie kościelni z krzyżami, a za nimi dopiero ukazał się ciągniony przez żołnierzy czarny wóz, z trumną całunem zasłoniętą. Szeregi wojska polskiego w żałobie, ze sztandarami owiniętymi krepą, towarzyszyły trumnie, za którą dążył tłum osób różnego wieku i stanu. Kto żyw, śpieszył oddać ostatnią posługę zwłokom bohatera.

Kir okrywał dnia tego ściany świątyni Świętego Krzyża, w pośrodku głównej nawy stał szkarłatny katafalk, tam umieszczono trumnę. Wymowny kaznodzieja w słowach pełnych uczucia przypominał zebranym wierzącym zasługi zmarłego.

Uroczyste nabożeństwa żałobne za duszę zmarłego odprawiano przez dni kilka, poczym przewieziono trumnę ze zwłokami księcia Józefa do Krakowa i złożono na Wawelu, gdzie do dziś dnia spoczywa obok trumny króla Jana Sobieskiego i Tadeusza Kościuszki.

z «Kurjera Częstochowskiego» J. T.

Bitwa grochowska.

W 75-tą rocznicę bitwy pod Grochowem, w «Gazecie Polskiej» znajdujemy następujące treściwe a barwne o niej wspomnienie:

W chwili wybuchu powstania listopadowego 1831 r. wojsko polskie liczyło zaledwie 30,000 ludzi. Po rozpoczęciu jednak kroków nieprzyjacielskich siły narodowe znacznie się powiększyły. Generał Vaudoncourt, autor «Wojny polskiej 1831 r.» oblicza je mianowicie na 54 ba-

taljony = 45,900 ludzi; 96 szwadronów = 15,300 jazdy i 136 dział, razem blisko 75,000 ludzi.

Armja rosyjska wynosiła tymczasem: 96 bataljonów, 155 szwadronów, 12 pułków kozackich, 396 dział, co razem czyni 135,000, pośród których samej jazdy 30,000 ludzi.

Wojska te rozpoczęły ruch pomiędzy 5 a 6 lutego 1831 r.

W dziesięć dni potem Polacy odnieśli pierwsze zwycięstwo, które ogromnie podniosło ducha w całym narodzie. Dnia 15 lutego generał Dwernicki, przebywszy z 5,000 Wisłę pod Mniszewem, pobił pod Stoczkiem Geismara, który utracił 1,200 ludzi i 11 armat.

17-go armja rosyjska zaczęła się posuwać naprzód. Pod Dobrem nastąpiło starcie polskiej dywizji Skrzyneckiego z korpusem Rosena. Skrzynecki na czele 8,000 przez cały dzień stawiał opór 30,000 i od tej chwili nabył wielkiej wziętości.

19-go Polacy zaczęli koncentrować się na równinach Pragi i po gwałtownej bitwie pod Wawrem, rozwinięli się na bardzo niedogodnym dla nich polu Grochowskim.

20-go generał Dybicz uderzył na las, o który armja polska opierała swoje lewe skrzydło. Bitwa trwała cały dzień, a wielkie straty, poniesione przez Rosjan, zniweczyły ich plany.

23-go Szachowski wykonał przejście przez Bug po lodzie; 24-go dywizja piechoty pod Krukowieckim i dywizja jazdy pod Jankowskim wyszły przeciw niemu. Potyczka zrobiła Rosjan panami Białoleki. Lecz 25-go, nad ranem, gien. Krukowiecki odebrał to ważne stanowisko i rozproszył Rosjan. Atoli, zamiast ścigać i zupełnie pokonać nieprzyjaciela, Krukowiecki zatrzymał się, a Szachowski, korzystając z tego, mimo znacznych strat, zdołał przybyć na prawe skrzydło armji rosyjskiej.

Bitwa pod Grochowem rozpoczęła się.

Armja polska zajmowała wówczas pozycję następującą:

Ujawniona już poprzednio ważność Olszyny była oceniona należycie i punkt ten silnie został obsadzony. Około godziny 9^{1/2} z rana zagrzmiały pierwsze armaty a wkrótce potem prawe skrzydło rosyjskie zaczęło rozwinąć się w kierunku Olszyny. O godz. 10-ej Rosen ru-

szuł do ataku. Pierwszy ten atak został odparty z ogromnymi stratami Rosjan.

Wówczas Rosen pchnął nowe siły. Widząc to, Chłopicki posłał pod Olszynę Prądyński. Tymczasem w ogniu była już cała dywizja Żymirskiego, która, dokazując cudów waleczności, ponownie odparła Rosjan. 2-gi, 3-ci, 5-ty i 7-my pułki linjowe okryły się tam chwałą wiekopomną. Po chwili jednak nastąpił nowy gwałtowny atak, w którym wzięły udział świeże pułki rosyjskie. Atak ten wyparł Polaków z Olszyny, przyczem Żymirski otrzymał śmiertelną ranę. Była już godzina 11-sta. Wojska rosyjskie, opanowawszy las, znalazły się jednak w pozycji «nieprzyjemnej», jak mówi A. Puzyrewskij, w swojej słynnej historii wojny 31-go roku, gdyż «raził je silnie ogień baterji, ustawionych za Olszyną».

Chłopicki, zdając sobie sprawę z położenia rzeczy, pchnął wtedy naprzód dywizję Skrzyneckiego.

I oto po zaciętej walce, Olszyna znów przechodzi do rąk polskich.

Wtedy to Dybicz postanawia nowy atak przy udziale znacznych i świeżych sił.

I ten atak wszakże zostaje odparty.

Chłopicki, pragnąc skorzystać z tej chwili, wprowadza do boju na lewym skrzydle i w środku całą dywizję Żymirskiego, podtrzymującą Skrzyneckiego, a sam staje na czele czterech bataljonów gwardji grenadierów dywizji Szembeka i osobiście prowadzi je do ataku.

«Przy dźwięku pieśni narodowych — opisuje ten moment Puzyrewskij — zagrzań osobistym przykładem ukochanego wodza, Polacy rzucają się naprzód i z niepowstrzymaną siłą uderzają na nasze zmordowane, rozstrojone pułki, które cofać się zaczynają. Polacy stopniowo odzyskują cały las; kolumny ich podchodzą do samego krańca i tyraljerzy wybiegają naprzód. Prądyński, wskazując na baterję rosyjską, woła: «Dzieci! sto kroków jeszcze, a działa te wasze!» Dwa z nich zdobyto i wymierzono na wzgórek, na którym stał Dybicz. Był to już jednak ostatni rozpaczliwy wysiłek Polaków. Feldmarszałek, widząc śmiało ich natarcie, znowu ruszył do ataku».

I tu rozpoczęła się jedna z najkrwawszych scen w tej bitwie. Przeszło 90 armat grzmiało po obu stronach Olszyny, słały się wały trupów, a jednocześnie

kirasjerzy i ułani gwardji rosyjskiej okrażali «Polskie Termopile».

Tymczasem Chłopicki spodziewał się jeszcze, że uda mu się zmienić obrót sprawy na swoją korzyść i w tym celu rozkazał Krukowieckiemu zwrócić się ku Olszynie, a Łubieńskiemu poprzeć jazdą atak zamierzony. Łubieński jednak rozkazu nie spełnił, znajdując, że miejscowość nie nadaje się do działania jazdy, przyczem miał oświadczyć, jak mówi Brzozowski (*La guerre de Pologne en 1831*), że «spełni jedynie formalny rozkaz głównodowodzącego». Chłopicki tedy udał się do Radziwiłła z prośbą, aby ten zmusił Łubieńskiego do posłuszeństwa, ale, wracając stamtąd, został raniony odłamem granatu i uniesiony z pola bitwy.

Moment ten był decydującym. Wszystko się rozprzegło. Znikło dowództwo jednolite. Radziwiłł stracił głowę... A przecież pomimo to wszystko, Rosjanie nie osiągnęli zwycięstwa, nie postąpili naprzód. Walka była nierozegrana.

O godzinie 5-ej po południu Dybicz zawiesił bitwę. O 6-ej rozpoczął się odwrót armji polskiej za Wisłę, nie spowodowany koniecznością, ale — brakiem dowództwa.

W ten sposób jedna z krwawych kart wielkiego dramatu dziejowego, którego akt ostatni rozegrał się we wrześniu tego samego roku podczas szturmów Warszawy, jedna z najpamiętniejszych kart w historii naszego życia porozbiorowego — została zapisana w tym dniu ręką Przeznaczenia na naszą niekorzyść.

Ale i w tej niekorzyści przecież znalazła się smutna dla narodu pociecha: — męstwo niezrównane i sława tych dzielnych żołnierzy, których kości spoczęły za ojczyznę na polach Grochowa.

«Na tych polach — mówi Vaudoncourt — odebrała utwierdzenie zasada, którą czuje każde serce, posiadające prawdziwe męstwo i niezłomność woli — zasada, że człowiek uczyni wszystko, co chce istotnie, bo oto wojsko polskie, liczące 35,000 ludzi ze 100 działami *zatrzymało pod Grochowem pole bitwy* przeciw 120,000 i 400 działom.

Podczas nocy pragnęło ono nawet odnowić bój przez śmiałe uderzenie na bagnety. Wzmocnione przez dywizje, które w dzień użyte być nie mogły, miało ono wielkie i, kto wie, czy nie słuszne nadzieje zwycięstwa, ale — wojsko polskie nie miało wodza...»

Te słowa obcego generała mówią wiele.

I rzeczywiście, — zgodnie ze świadectwem wszystkich — przyjaciół i nieprzyjaciół naszych — żołnierzy polski pod Grochowem zdobył sobie wawrzyn niewiednący.

«Olszyna» przeszła do historii, a dzień 25 lutego 1831 r. zajął w pamięci narodu miejsce obok największych dni, jakie Polska przeżywała w ciągu długich wieków swojej doli i niedoli...

Zdobycie Warszawy.

Epilogiem kilkomiesięcznych, krwawych wojny zapasów była bitwa na Woli, przedmieściu Warszawy i zdobycie Warszawy przez marszałka Paskiewicza.

W dniu 6 września 1831 roku — pisze Wiktor Gomułicki — o piątej rano, artylerja rosyjska rozpoczęła piekielny ogień. Skierowano go przedewszystkim na fortyfikacje Woli. Bronił ich generał Sowiński, weteran z pod Moskwy, na szczudle, na równy męstwem i pogardą śmierci. Przy jego boku stał Piotr Wysocki, pierwszy twórca powstania.

Garstka, licząca około półtora tysiąca ludzi, z dziesięcioma armatami, wytrzymywała przez kilka godzin bohaterską walkę z artylerją rosyjską, rozporządzającą 60-ma działami. Zniecierpliwiło to wodza rosyjskiego, który pchnął w to miejsce liczne pułki piechoty, oraz *sto piętnaście* dział wielkiego kalibru. Zguba Woli była nieuchronna. Szesnaście bataljonów rzuciło się na redutę 54-tą, bronioną przez garstkę naszych z 6-ma zaledwie armatami na łożach potrzaskanych. Cma rozjuszonych żołnierzy okryła w jednej chwili «jak mrówki upadłego w mrowisko motyla», zwycięzkie «ura!» dobyło się z tysiąca piersi, gdy nagle... ziemia zadrżała, zahuczał grzmot podziemny, i w wulkanicznym wybuchu, setki poszarpanych ciał, wraz z ziemią i ceglami, wyleciały z hukiem straszliwym w powietrze! Reduta 54-ta przeszła do dziejów narodowych jako pamiątka «reduta Ordona».

Wkrótce potem Sowiński, napróżno wzywany do poddania się, zginął śmiercią bohaterską. Wysocki, ciężko raniony, dostał się do niewoli.

O trzeciej po południu ogień z obu stron ustał. Feldmarszałek oznaczył na dzień następny jenerałny szturm do miasta. Krótką przerwę w działaniach wojennych obrócono na ponowne próby zawiązania układów.

Po długich obustronnych staraniach, wczesnym rankiem 7-go września, do obozu rosyjskiego udał się Krukowiecki z Prądyńskim, w towarzystwie adjutantów: Breańskiego, Forstera, Montebello i Sobolewskiego.

Wyniosły ton przedstawiciela rządu polskiego przeszkodził porozumieniu. Spotkanie skończyło się na tym, że Krukowiecki, przyjąwszy do wiadomości warunki feldmarszałka (tym razem mniej już ponętne), mówił sobie, że odpowiedź ostateczną udzieli dopiero po porozumieniu się z sejmem. Paskiewicz pozostawił mu trzy godziny na załatwienie tej formalności.

Trzy godziny upłynęły bez skutku. Odsunięto termin jeszcze o pół godziny... Ale Krukowiecki nie zjawił się i zjawić się nie mógł, gdyż załedwie powrócił do Warszawy, opozycja, z Bonawenturą Niemojewskim na czele,—udzieliła mu dymisję.

Na rozkaz feldmarszałka, trzysta pięćdziesiąt armat rozpoczęło kanonadę, która od pierwszej z południa trwała bez przerwy do samej nocy. Był to dla Warszawy istny sądny dzień. Ziemia dosłownie «trzęsła się...»

Pod wieczór zaczęły walić się domy; całe przedmieście Czyste stanęło w płomieniach; wojsko rosyjskie wdierało się już przez rogatkę Wolską do miasta.

Krukowiecki, wymógwszy na sejmie zezwolenie, wysłał do Paskiewicza jenerała Prądyńskiego z listem, który w kilkunastu, gorączkowo skreślonych słowach mieścił właściwie—akt kapitulacji.

Niestety! zanim jeszcze poseł stanął w obozie rosyjskim, już powiał w sejmie wiatr inny. Izba posłów ogłosiła akcję prezesa za nieważną i unicestwiła wszelkie układy.

Na spienionym koniu, wśród ryku armat, huku pękających granatów, krzyku i lamentu tłumów, cisnących się na ulicach w przerażeniu, wpadł do miasta wysłaniec feldmarszałka, jego adjutant hr. Berg (późniejszy namiestnik Królestwa). Przybywał podpisać z Krukowieckim warunki rozemu.

Ale Krukowieckiego już w mieście nie było. Pragnąc ocalić od zagłady przynajmniej powierzoną sobie armję, wyprowadził ją przez most na Pragę. Pełnomocnik Paskiewicza z kim innym traktować nie chciał. A granaty coraz gęściej wpadały do miasta, luna pożarna rozszerzyła się na niebie, jęki kobiet i dzieci, rozdzierały powietrze...

Wreszcie, z wielkim trudem, zdołano sprowadzić Krukowieckiego do Warszawy, i kapitulacja została podpisana.

Nazajutrz (8 września) wojska rosyjskie wkroczyły do Warszawy.

Jubileusz Akademji Krakowskiej.

Wielką uroczystość święcił Kraków, w r. 1900 a wraz z nim cały świat cywilizowany: minęło pół tysiąca lat od czasu założenia Akademji Krakowskiej. Pięćset lat—to okres czasu ogromny, światło nauki i wiedzy zapalone przez Kazimierza Wielkiego, Jadwigę i Jagiełłę przez tyle wieków nie gasło w grodzie podwawelskim.

«Niechaj to będzie perła nauk przemożnych—życzy ostatni Piast nowo założonej przez siebie najpierwszej w kraju szkole—aby mogła wydawać mężów, dojrzalszą ducha znamienitych, świetnością cnót ozdobionych i biegłych w różnych wiedzy gałęziach! Oby tam wytrysło nieprzebrane źródło nauk, z którego pełni mogliby czerpać wszyscy, wyższej oświaty łaknący».

Słowa tego serdecznego życzenia wielkiego króla urzeczywistniły się, jak świadczy o tym szereg mężów znakomitych, którzy w ciągu wieków zajaśnili nauką i enotą na horyzoncie dziejów, a którzy w Akademji Krakowskiej czerpali wiedzę, którzy jej winni, że jako gwiazdy pierwszorzędnego blasku gorzeć będą wiecznie na horyzoncie nauki i cywilizacji.

Nie podobnaby było na tym miejscu wymienić wszystkich, dość wspomnieć jednak: Witeljona, twórcę nauki o świetle; Jana Długosza, nauczyciela tylu późniejszych królów i wielkiego historyka; dalej Grzegorza z Sanoka, Kopernika, Piotra Skargę, Jana Kochanowskiego, Wojciecha z Brudzewa, Marcina z Żórawicy.

Z dobrodziejów Akademji, oprócz założycieli odznaczyli się: Piotr Wysz, który z Władysławem Jagiełłą otwiera Akademję, kiedy ją przeniesiono do nowego gmachu; Wojciech Jastrzębiec i Zbigniew Oleśnicki, wielki przyjaciel uczącej się młodzieży. Z cudzoziemców, odbywających studia w Akademji, szczególnie się wstawili: Filip Kallimach, Konrad Celtis i Henryk Bebelius.

A była to jedna z najpocześniejszych Akademji, założonych w Europie środkowej, wcześniejsza od wszystkich niemieckich, przyczem wiedzieć trzeba, że Akademia ta za Władysława Jagiełły i wielkiej swojej opieki królowej Jadwigi liczyła już około 300 słuchaczy, wkrótce zaś ta liczba w dwójnasób się powiększyła.

Młodzież, kształcąca się w Akademji, zawsze znajdowała w przewodnikach swoich wielkie do naśladowania wzory, tak pod względem zamilowania wiedzy jak i cnoty. Święty Jan Kanty, ten przyjaciel cierpiącej ludzkości, mąż wielce miłujący prawdę, stoi także w rzędzie tych, którzy byli profesorami wszechnicy krakowskiej. W ubóstwie żyjąc, przebiegał od jednej do drugiej z okolicznych wiosek i pod słomiane zagłądał strzechy, niósł pomoc i radę tym, którzy cierpieli. Któż nie pamięta z nas o pięknym przykładzie zamilowania prawdy, który nam zostawił, będąc napadniętym przez zbójców? Gdy spostrzegł, że mimowolnie wyrzekł nieprawdę, że jeszcze jeden grosz mu pozostał, a on mówił, że wszystko im oddał, co miał, z narażeniem życia wrócił do jaskini złoczyńców i błąd naprawił. A ci ludzie występni, uderzeni światłem miłości prawdy, padli na twarz przed Świętym, ukorzyli się i z ohydą na swoją przeszłość spojrzeli.

I w nowszych czasach nie brakowało młodzieży, kształcącej się w Akademji Krakowskiej, zacnych i wielkiej nauki przewodników, między którymi jakież piękne miejsca zasługi na kartach jej dziejów zajmują: Bandtke, Śniadeccy, Kołłątaj Pol, Kremer, Szujski? A iluż jeszcze w czasach najnowszych!

Wielkie to serca i umysły niepospolite, które aureolą cnoty, talentu i wiedzy opromieniały.

To też niezwykle wspaniałe uroczystości krakowskie dla uczczenia jubileuszu były obchodzone.

Towarzyszą im przedstawiciele wszystkich sfer społecznych, uczeni z całego świata.

Pani matka.

— Cóż wy sobie myślicie?—słonko już dawno wstało, na prymarję przydzwanają, a wy jeszcze się wylegujecie!—wołała pani Zofja Daniłowiczowa, wchodząc do alkierza córek.

— W imię Ojca i Syna!—zawołała w tej chwili Dorotka.

I zrobiwszy znak krzyża świętego, poczęła się szybko odziewać.

— Abym jeno na Mszę świętą zdążyła!

— Teofilko, czemu nie wstajesz?—wołała dalej matka, Teofilka bowiem otworzywszy oczy przymknęła je znowu, jakby chciała chociaż chwilę jeszcze użyć błogiego wywechasy.

— Zaraz, zaraz!—wybaczenie jejmości dobrodziejko... matuleńko kochana!—Ale, ale!..

Zobaczywszy jednak surowe spojrzenie matki, wyskoczyła z łóżka i obejmując rękami jej szyję, mówiła:

— Niech się matuleńka nie gniewa!—ale, ale!..

— I cóż—ale, ale!—zapytała matka, rozbrojona serdecznym uściskiem Teofilki.

— Tak mi było żal dziadusia dobrodzieja, że spać nie mogłam. Tak mi jakoś było smutno, jak gdybym nigdy już nie miała obaczyć—szczebotała Teofilka, tuląc się do matki.

— Ubieraj się prędko i chodź do kościoła—pomodlimy się na tę intencję, aby szczęśliwie z niebezpiecznej wyprawy powrócił — odrzekła pani Daniłowiczowa.

— I wuja Jaska żal mi także—dodała Teofilka, patrząc w zasmucone oczy matki.

— Trzeba się bardzo gorąco modlić, aby ich ominęły tureckie strzały—mówiła matka, wzdychając.

— Czy oni wrócą? Czy Turcy ich nie zabiją?—pytała, ubierając się, Teofilka.

— Wszystko to w ręku Boga! Dla dobrej sprawy i w obronie krzyża świętego poszli walczyć, to ich chyba Pan Jezus i Najświętsza Panienka od niebezpieczeństwa salwować będą—mówiła matka.

I zaraz zwróciła się do ochmistrzyni, która właśnie weszła do powierzonych jej dziewczynek.

— Że też to jejmość nie obudziła wcześniej starościanek! Msza święta na intencję pomyślnej wyprawy jaśnie wielmożnego hetmana, naszego rodzica, zaraz się rozpocznie, a dziewczęta jeszcze nie ubrane!

Ochmistrzyni spojrzała ze zdziwieniem na jejmość dobrodziejkę, nigdy od niej bowiem nie słyszała podobnej wymówki.

— Musi mieć jakieś zmartwienie! — pomyślała sobie — wszystko jej wtedy nie dogadza. A przecie jeszcze nie późno, zaledwie słonko wstało... a starościanki przecie przed słońcem się nie zrywają — myślała dalej.

Tymczasem pani starościna Daniłowiczowa, upewniwszy się, że córki nie spóźnią się na Mszę, odeszła do swojej komnaty w zamyśleniu.

A myśli jej nie były wesołe.

Właśnie ojciec jej, hetman Żółkiewski wyruszył wprost z Oleska sprzątać szyki na wyprawę przeciw Turkom, a syn jego Jan, ten ukochany przez siostry «Jasiek», już od dwóch tygodni poprzedził ojca.

— I starosta zaraz wyrusza z ważnemi sprawami... — pomyślała sobie, ujrzawszy zdala, że mąż jej wydawał jakieś rozkazy. — Ba! czy to pierwszy raz! Ojciec także nigdy doma nie siedział — zwyczajnie hetman! — a i starosta ma sprawy de publicis. Nie pięknieby nawet było, aby męczyzna doma zalegał — mówiła, przywdziewając ciemnego koloru tyftkową suknię, i pozwalając pannie służebnej, ażeby jej wysoki czepiec z szeroką fryzą na głowie upięła.

Tymczasem ozwał się dzwon z kościoła, dźwięcząc czystym, donośnym głosem wśród pogodnego lipcowego poranka.

I z Oleskiego zamku wyszła na nabożeństwo pani Zofja Daniłowiczowa, obok niej: Dorotka i Teofila, za niemi dwór niewieści z ochmistrzą na czele.

A zaraz też sunął pan starosta, Jan Daniłowicz, dając jeszcze po drodze rozkazy. Przy nim czternastoletni syn, Stasiek, o którego się matka zawczasu już kłopotowała, że wkrótce dom opuści.

Przy Staśku szedł ze schyloną głową ksiądz Onufry, nauczyciel, a dalej różnego wieku przyboczni urzędnicy i dworzanie.

Wszyscy szli z tak uroczystą miną, jak gdyby nie do kościoła, lecz na jakąś niezwykłą wyruszano wyprawę.

Lecz pan starosta bełzki, zrównawszy się z żoną, począł mówić wesoło:

— A cóż dziś moja pani tak spuściła głowę, jak siostra zakonna, kiedy idzie do chóru?

Pani starościna podniosła wzrok dziś jakimś smutkiem osłoniiony, i ze zwykłym swym dobrotliwym uśmiechem rzekła:

— Nie wesołość nam jakoś dzisiejszego ranka.

— Pewnieś jeszcze nie zdążyła wszystkich groszy ubogim rozdać i serduszko mojej jejmości się zasmuciło! — mówił żartobliwie małżonek. — Poczekaj, poczekaj jeno, jejmość!... dalekoć jeszcze do wieczora... wypróżnisz mieszek łącznie. A nawet już tam widziałem przed oficynami cały szereg kalek i dziadów z torbami, którzy na swoją «panią matkę» czekają — mówił dalej, żartując z nazwy, którą żonie jego dawali wszyscy ubodzy.

Lecz pani starościna, wesoła z natury i lubiąca krotchwilami na krotchwile małżonka odpowiadać — tym razem westchnęła tylko i rzekła:

— Smutno mi jakoś na duszy i chyba po modlitwie ciężar mi z serca spadnie.

— A jakież tam padł, powiedz jejmość, to go do wspólki odwalimy — mówił pan starosta, ujmując małżonkę pod ramię.

— Ojciec, żegnając się z nami, miał taką smutną minę.

— Baj baj! — czysto babskie przywidzenie! Niby to jaśnie wielmożnemu hetmanowi pierwszy raz iść na Turka!

— Dla tego też, że nie pierwszy raz, a nigdy nie był taki markotny, to mi i smutno! Zawsze szedł na wyprawę, jakby na wesele.

W tej chwili do rodziców zbliżyła się córka ich Dorotka i trzymając różaniec, pobożnie szeptała pa-cierze.

Starosta spojrzał z tklivością na idącą w pobożnej zadumie córkę.

— Zawstydzilać ona nas starych swoją pobożnością... idzie jak przystało do domu Bożego, a nas się smutki trzymają! — rzekła starościna, przybierając powagę.

— Kto zaczął? — zapytał, uśmiechając się, małżonek.

— Juści nie ja! — odparła pani Zofja.

— I nie ja!—zaśmiał się starosta—i nie ksiądz preceptor.

Właśnie ksiądz Onufry skinął na starościca, idącego opodal i począł mu coś do ucha przekładać. Snać nie w smak szła ta mowa chłopcu, bo nagle spochmurniał i szedł przy nauczycielu w milczeniu.

Dzwony umilkły na chwilę, rozkołysane na nowo, dźwięczały, nakazując pośpiech pobożnym, ciągnącym nie tylko od zamku, lecz i z miasteczka. Z ostatnim dźwiękiem trzech dzwonów ozwała się cieniutkim głosem i sygnaturka, oznajmiając chwilę rozpoczęcia świętej Ofiary. W tejże samej chwili państwo Daniłowiczowie wraz z dziećmi i całym dworem wstępowali w progi świątyni.

Modlitwa rzeczywiście ukoila troskę córki hetmańskiej, Teofilka zaś, spojrzawszy na piękny świat Boży i Aniołki w ołtarzu, zapomniała jakoś o smutku, który jej nie dał spać spokojnie.

Zresztą po wyjściu z kościoła tyle spraw czekało na państwa Daniłowiczów, że nie mieli czasu zajmować się własnymi.

Pan starosta niezwłocznie wyjeżdżał na dłuższy czas z domu dla porozumienia się z komisarzami wojskowymi, co przy mającej się wkrótce rozpocząć wojnie z Turkiem było koniecznym; na panią starościcę zaś czekała cała rzesza chorych i biednych, przez których nie napróżno nazwaną była «panią matką».

Przedewszystkim czekali na nią pogorzelnicy z odległego od Oleska o 3 mile Złoczowa, gdzie właśnie wczoraj wieczorem wybuchł ogromny pożar, niszcząc chaty i mienie nieszczęśliwych.

Każdy z przybyłych chciał najpierw przedstawić swoją niedolę, mówili więc wszyscy razem, i tylko starościna, przywykła już do tego rodzaju opowiadań, zdołała ich zrozumieć. Wiedziała, że trzeba jak najspieszniej dopomóc biedakom, tak, jak oni wiedzieli, że «pani matka» ich nie opuści.

Opatrzywszy pogorzelników, przeznaczyła dwie izby dla pomieszczenia nieszczęśliwych i rozpatrywała się, kogoby wysłać do Złoczowa dla zabezpieczenia nieszczęśliwych, tam pozostałych.

— Matuleńko, a gdyby tak ksiądz preceptor?..—ozwała się nieśmiało Dorotka.

— Bóg miłościwy i przez usta dzieci dobre natchnienie czasem podsunie! Dobrześ rzekła, moja córko!

Biegnij-że zaraz, moje dziecko i poproś księdza preceptora, ażeby przyszedł!

— Matusiu! pozwól mi jechać z księdzem preceptorem — prosił Stach — może i ja się tam na co przydam.

— Dobrze chłopcze, jedź i przypatrz się nędzy biedaków.

Wkrótce ksiądz z uczniem swym pojechali do Złoczowa.

Tak duch zacnej matki i jej dobroczynność wnikały niepostrzeżenie w serca dzieci, zwracając ich myśli ku celom zacnym i podniosłym.

Dzień rozpoczęty ubiegał na pracy i myśli o drugich, tak, że wszyscy zapomnieli o smutnych przecuciach, jakie ich mimowoli trapiły po pożegnaniu się z odjeżdżającym na wyprawę dziadem.

I dni takich upływał cały szereg.

Dość śpiesznie wykończono chaty dla pogorzelników w Złoczowie. Urządzono także szpital w Olesku, dla chorych biedaków.

Tymczasem lato miało się ku końcowi. W pięknej Oleskiej winnicy winogrona połyskiwały jasno-złotą lub modrą barwą; zbierano jabłka, wreszcie ostatnie śliwy, w otaczającym zaś zamek parku ścieżki i uliceapełniały już liście pożółkłe, gęsto z drzew spadające.

Nadszedł i koniec września, powrócił pan starosta, lecz chmurny i zafrasowany.

— Złe wieści z obozu, moja pani—rzekł do żony; Turcy biorą górę, nasz hetman pod Cecorą ciężkie ma zadanie. Głód bodaj w obozie!

Mówił to bez swego zwykłego uśmiechu, pragnął bowiem przygotować żonę na wszelkie nieszczęście, jakie mogło spotkać kraj cały i rodzinę.

Lecz pani Daniłowiczowa, choć serce jej bólem się ścisnęło, widząc zafrasowanego małżonka, nie dodała mu już smutku jeno rzekła:

— Lepiejci Bóg miłosierny myśli o swoich, niż oni sami o sobie. Rodzic nasz ukochany tak jest wielce dla kraju potrzebny, żeć go tam chyba Bóg najwyższy salwować będzie.

Widząc pozorny spokój żony, starosta dodał żartobliwie:

— A moja pani podczas pożaru wszystkie sepety wypróżniła i kawał lasu wycięła, boć kiedym wyjeżdżał, stało jeszcze na Złoczowie pogorzelnisko, a kiedym wra-

cał, myślałem, żem zablądził, tak świeci nowemi domami.

— Choćbym i wszystkie lasy wycięła, wszelkiej nędzy nie wspomogę! — odrzekła zacna niewiasta.

I poczęła opowiadać o dzieciach, jak biegły z pomocą.

— Każde dopomagało mi w tych staraniach, a Stach wraz z księdzem preceptorem wszelkie godziny wolne od nauki na doglądanie robotników poświęcał i nie jeden grosz ze swojej skarbonki dołożył.

Lecz mimo pozornego ukojenia padł teraz rzeczywisty smutek na zamek Oleski. Wieści z pod Cecory coraz groźniejsze nadchodziły, a niezwykle wczesna, chmurna i smutna jesień zaglądała w oczy szaremi, bezsłonecznymi dniami, dodając smutku nie tylko ludziom, lecz i otaczającej ich przyrodzie.

Wieściami temi nie zawsze się starosta dzielił z małżonką, lecz pani Zofja czytała to ze zgnębionej twarzy męża.

I każdy szeptał na ucho, że Turcy górę biorą, a pod Cecorą w obozie głód w oczy zagląda! Posmutniały i dzieci.

W kilka dni państwo Daniłowiczowie wraz z dziećmi i całym przybocznym dworem wyruszyli do Warszawy.

Starosta, jako komisarz wojskowy, miał zdać sprawę ze swoich czynności królowi Zygmunтови III, spodziewał się, że w stolicy wypadnie mu dłuższy czas zabawić, nie chciał więc rodziny na wsi zostawiać.

— W stolicy łatwiej o wiadomości z pola bitwy, a biednych co wyciągną do mojej pani rękę o pomoc, nigdzie nie brak — przekładał żonie, która niechętnie opuszczała swój szpital i liczne warstwy tkackie, gdzie każdy znajdował zarobek, i ona największych nawet próżniaków zachęcić umiała.

Tak więc opustoszał zamek Oleski, a ożywił się w Warszawie pałac pana Mikołaja Daniłowicza, podskarbiego koronnego, który część swego świeżo wystawionego pałacu synowcom ustąpił.

Obszerny ogród, ciągnący się za pałacem, chociaż pokryty już barwą jesienną, służył dzieciom do zabawy i przechadzki; miasto pełne pięknych gmachów, rozstawionych z najrozmaitszemi towarami kramów, nęciło wzrok młodzieży, żadnej zawsze nowości.

Starościna zaraz zajęła się po swojemu biednemi, i wkrótce obszerny dziedziniec pałacu zaroił się nędzaczami.

— Moja pani bodaj cały pułk uformuje z chromych i ślepych — mówił starosta, ujrawszy przepelniony nędzą wszelkiego rodzaju podwórzec.

A starościna, uśmiechając się z żartów męża, rozciągała swą dobroczynną rękę, kojąc niedolę setek ludzi i tego drobiazgu, któryby może zmarniał, gdyby nie przytułek założony przez nią na ulicy Piwnej.

Tymczasem minął już do połowy słotny i dżdżysty listopad, a wieści z obozu hetmańskiego jak nie było tak nie było. Wysłani przez rodzinę Żółkiewskich i przez samego króla gońce przepadli, jak kamień w wodzie.

Aż dopiero w pierwszych dniach grudnia 1620 r. przyszła smutna wieść o bezprzykładnej klęsce i o bohaterskiej śmierci hetmana.

— Dziadek zginął pod Cecorą jeszcze 7-ego października, módlmy się za jego duszę! — rzekła pani Daniłowiczowa do dzieci. — I tamując rozpacz, jaka jej serce rozrywała, ukłękła, wołając:

— Boże, przyjmij śmierć jego okrutną za grzechy całego narodu, niechaj krew jego przyniesie spokój krajowi!

— A wuj Jaśko? — zapytał starościec ze łzami w głosie.

— W niewoli tureckiej ale go z niej wykupimy — odrzekła matka.

— Matko, pozwól mi oddać moje piękne szatki i ten krzyżyk złoty na wykupienie wuja! — zawołała Teofilka.

— Poproszę ojca, żeby mi pozwolił pójść odbić wuja. — Mój koń łatwo mnie poniesie, a takich jak ja stanie cały zastęp do walki z Turkiem! — mówił Stacho.

A Dorotka, ukrywając twarz w dłoniach, modliła się, wołając:

— O, Panie, racz przyjąć życie moje w ofierze, a ocal wuja!

Z taką zaś wiarą wypowiadała swoją prośbę, iż zdawało jej się, że wkrótce Bóg zabierze ją do Siebie, a wróci życie dziadkowi!

Nie powołał jej jednak Pan Bóg ze świata, lecz usunął od niego, w kilka bowiem lat potem Dorotka zamknęła się w klasztorze PP. Benedyktynek we Lwo-

wie, który od czasu jej wstąpienia, stał się świętym przytulkiem dla biednych i nieszczęśliwych.

Pani starościna, kojąc swój smutek, oddała się jeszcze więcej miłosiernym uczynom. Wszystkie sieroty po poległych pod Cecorą rycerzach znalazły w niej opiekunkę. Zakłady ufundowane jej kosztem w rozmaitych stronach kraju, stały dla nich otworem, jako i serce tej zacnej ze wszech miar matrony.

To też do nazwy «pani matka» dołączono jeszcze nazwę: «matka ubogich».

Pod tą nazwą pani Zofja Daniłowiczowa znana była, jak kraj długi i szeroki, tę nazwę przekazała jej potomność.

Dobra Teofilka uprosiła posłów, jadących po zwłoki hetmańskie i wykupienie z niewoli jego syna, że do skarbow, jakie wieźli, dołączyli i jej krzyżyk.

Nie oddano go jednak Turkom, bo Jan Żółkiewski zatrzymał ten dar siostrzenicy i nosił na piersiach, i z tym darem, umierając z ran w Warszawie roku 1624, kazał się pochować.

Rezolutna Teofilka w r. 1628 wyszła za Jakóba Sobieskiego i była matką króla Jana III-go.

Zuzanna Morawska.

Obiadek familijny.

Pogardą świat okrywa dorobkiewiczów, to jest takich ludzi, których majątek z mętnego a nieraz z zupełnie brudnego wypływa źródła: ze sknerstwa, krzywdy bliźniego i łez sierocych. Innym jednakże mianem nazywać się godzi takich, którzy w pocie czoła, przy prawości w postępowaniu i nieposzlakowanej rzetelności, dojdą do znakomitych zbiorów, takich ludzi świat nie tylko, że nie potępia, ale jak liczne mamy dowody, szanuje ich i wielbi. I w dawnych czasach nie rzadkie mamy tego dowody, że taki dorobek prawy i szlachetny, czy to dorobek majątku czy sławy i znaczenia, wytykanym nie był; owszem, świat ten dawny, który przywykliśmy uważać jako zapleśniały w przesądach, takich dorobkiewiczów nieraz nie tylko czcią głęboką otaczał,

lecz stawiał ich na świeczniku i uważał za ozdobę kraju. I słuszne było ze wszech miar takie zapatrywanie się na dorobek, bo koniec końców choćby najznamienitsze i najstarsze rody muszą brać początek od takiego prawego dorobkiewicza. Jeden z takich początków rodu choć niezbyt dawnego sięgający czasu, przedsięwzięmy dziś opowiedzieć.

Pani hetmanowa Branicka, kasztelanowa krakowska, z domu Poniatowska, stale zamieszkiwała w Białymstoku i to miasteczko do tak świetnego przyprowadziła stopnia, że otrzymało ono podówczas nazwanie «małego Wersalu». Często jednak hetmanowa przyjeżdżała do Warszawy, a pięknymi przymiotami duszy umiała sobie zjednać miłość ogólną i szacunek powszechny.

W końcu czerwca 1777 r., właśnie podczas jednej z takich jej bytności w Warszawie, przed bramą pałacu Branickich zatrzymała się wygodna bryczka. Wysiadł z niej mężczyzna dobrego wzrostu, niestary jeszcze i żwawy, chociaż koło skroni cokolwiek przypruszone szronem włosy świadczyły, że nie pierwszej jest młodości.

Mały kozaczek w barwie Branickich zeskoczył z koźła i wzięwszy z bryczki jakąś szkatułę, gnąc się pod jej ciężarem, udał się za nim.

Mężczyzną tym był pan Stanisława P... dziedzic małej wioski sąsiadującej z jednym z wielkich kluczów należącym do pani krakowskiej, a od dwóch lat generalny tego klucza administrator.

Po kamiennych schodach dostawszy się na pierwsze piętro pałacu, wszedł do przedpokoju ówczasowej antykamery.

Kilku hajduków w niej się znajdowało: zmierzili oni od stóp do głów przybyłego, a przyzwyczajeni do błyszczącej i pudrowanej elegancji, głośnym parsknęli śmiechem.

— Cicho osły! — krzyknął pan Stanisław, bo was nauczę moresu.

Silny głos jego i mina widać przywykła do rozkazywania, zaimponowała służalcem.

— Ruszaj który do pani hetmanowej i powiedz, że pan P... przyjechał i chce się z nią natychmiast widzieć.

Zerwał się na równe nogi hajduk, na którego oczy mówiącego były zwrócone i pobiegł do dalszych komnat.

Niedługo jednakże powrócił i kłaniając się nisko, otworzył drzwi na ścieżaj.

— Jurek! za mną — powiedział pan Stanisław do swego kozaczka i obadwaj poszli za hajdukiem.

Pani hetmanowa czekała na nich w trzecim zaraz pokoju i z wyraźną radością przyjęła swego administratora.

— Kochany mój panie P... — rzekła zaraz na wstępie, gdy ten w żupanie podróżnym nisko się skłonił — prawdziwie jesteś waszmość słowny i akuratny, ledwie św. Jan minął, a zaraz się zjawileś.

— Verbum nobile, jaśnie wielmożna pani, przyrzekłem dziś być i wyrachować się z rocznej administracji, więc prosta rzecz, że jestem.

— I widzę, że znów nie z próżnemi rękami — rzekła uśmiechając się hetmanowa, rzuciwszy okiem na kozaczka i szkatułkę.

— Ha, cóż, jaśnie wielmożna pani, ciułało się, jak mogło i trochę tam grosza z dochodów pozostało.

— A tą trochę — to nazywasz znów może jakie sto dwadzieścia tysięcy, jak przeszłego roku.

— Rok rokowi nierówny — odpowiedział uśmiechając się nieznacznie pan Stanisław.

— I ja też myślę, że w przeszłym roku to był jakiś nadzwyczajny dochód; zawsze chyba taki być nie może — powiedziała na to hetmanowa — bo jakże nawet wymagać; przecież dawny administrator, jeżeli mi dał 40 albo 50 tysięcy, to już mówił, że to rzecz nadzwyczajna taki dochód z tak nędznego klucza.

— Mogę śmiało przyznać memu poprzednikowi, że prawdę mówił — rzecz nadzwyczajna, bo dwakroć a nawet trzykroć powinno być zwyczajnego dochodu.

— Co waszmość mówi! — zawołała pani krakowska — chyba waszmość żartujesz! Gdzieżby można mieć dwakroć czystego dochodu.

— Niechno jaśnie wielmożna pani raczy porachować, co jest w tej szkatułce, a może trochę więcej się znajdzie.

— Chyba, że waszmość ze swego dodajesz? — zawołała pani Branicka i z ciekawością zaczęła spoglądać na rulony złota, które wyjmował ze szkatuły p. P... i głośno rachując, układał na stole.

Rachunek niedługo się ukończył i pani krakowska z głębokim zdumieniem przekonała się, iż klucz powierzony administracji P... trzykroć dwadzieścia tysięcy czystej przyniósł intraty.

— Nie mogę oczom własnym uwierzyć — rzekła hetmanowa prawdziwie mi waszmość dobrodziejstwo zrobiłeś, zając się administracją tego klucza, ale zmiłuj się i pozwól, abym wywdzięczyć ci się czem mogła.

— Za cóżbyś mi jaśnie wielmożna pani wdzięczną być miała — odpowiedział pan Stanisław — podjąłem się administracji, nieże były urodzaje, cóż w tym wszystkim wielkiego?

— Jakto nie wielkiego! — zawołała pani Branicka — podwyższyłeś niesłychanie intratę, i prawdziwie, że te pieniądze z nieba mi spadły! Rozważ sam przecież, już za twej administracji dobra te tylko 120 tysięcy przyniosły, a teraz...

— Były w przeszłym roku trochę opustoszone, przytym były zaległości, długi, nie więc dziwnego...

— No, to — przerwała hetmanowa — mów sobie, co chcesz; ja te pieniądze uważam za darowane i nie ustąpię, póki się ze mną dochodem nie podzielisz.

— A to co znowu! — zawołał p. Stanisław, a na twarz mu wystąpił rumieniec oburzenia — podjąłem się administracji za uczciwą zapłatę tysiąca czerwonych złotych; takową już sobie potraciłem; nie mi się nie należy, a przecież jaśnie wielmożna pani nie będziesz chciała wynagradzać mnie za rzetelność, bom szlachcie, a nie żaden farmazon!

Pani Branicka, z taktem właściwym szlachetnym sercom, pojęła oburzenie swego administratora i zrozumiała, iż dalsze naleganie byłoby nietylko nadaremne, ale i niedelikatne. To też szybko zwróciła rozmowę na inny przedmiot i w końcu zapytała, gdzie w mieście stanął?

— Już to, przyznam się jaśnie wielmożnej pani — odpowiedział pan Stanisław — że tak mi te cudze pieniądze ciążyły, iż prosto tutaj kazałem zajechać; i dla tego przepraszam jaśnie wielmożną panią, że w mym podróżnym stroju śmiałem się jej przedstawić.

— A to wybornie się stało! — zawołała hetmanowa, klasnąwszy w białe i delikatne dłonie — aresztuję waszmość pana i obliguję, abyś u mnie przyjął gościnę.

Gdy służący we drzwiach się ukazał, hetmanowa nie dając czasu panu P... do opozycji, rozkazała konie

jego umieścić w stajni i dla niego samego przygotować pokoje w pałacu.

— Jesteś moim więźniem, kochany panie P...—rzekła do niego z miłym uśmiechem—prawdziwie po przyjacielsku ze mną postępujesz, pozwól, abym cię równie, jak przyjaciela przyjęła!

Szlachcie głęboko się skłonił, dziękując za łaskawe, a niezasłużone, jak sądził, względy.

— Musisz być waszmość głodny, ale to już pora obiadowa, zaraz podadzą do stołu i będziesz łaskaw zjeść ze mną skromny obiadek familijny.

— Jaśnie wielmożna pani—odpowiedział cokolwiek zafrasowany P... jam sobie prosty ziemianin, nieprzywykły do tych tam ceremonjałów...

— Jakichże ceremonjałów!—przerwała hetmanowa—to będzie obiadek familijny, a zresztą znasz waszmość przysłowie: szlachcie na zagrodzie...

— Równy wojewodzie, to prawda—domówił pan Stanisław — a w duchu domówił sobie: a cóż dopiero dziedzic pięknej wioski i karmazyn! i pokręciwszy węża, dodawał sobie, jak mógł, fantazji.

Sążnisty hajduk drzwi otworzył i donośnym głosem zawołał:

— Jaśnie oświecony książę prymas!

Pan Stanisław drgnął i zmieształ się.

— To przecież mój brat, z uśmiechem rzekła pani Branicka.

— Równy wojewodzie, ale prymasowi?..—pomyślał sobie pan Stanisław i cokolwiek stracił na humorze.

Ledwie nowoprzybyły wszedł do pokoju, gdy znów drzwi się otworzyły, ale tym razem na ścieżaj, a głos hajduka dobitnie wymówił:

— Jego królewska mość!

Pan Stanisław zbladł jak chusta, i znów pani Branicka musiała mu przypomnieć, że to jej drugi brat, a więc, że obiadek naprawdę będzie familijny.

Pani Branicka przedstawiła pana Stanisława nowoprzybyłym, a gdy im opowiedziała świetne rezultaty jego zarządu, król z uprzejmym uśmiechem rzekł do niego:

— Serdecznie wdzięczni jesteśmy waszmość panu za gorliwość, jaką okazujesz w prowadzeniu interesów siostry naszej, i szczerze powiem, że zazdroszczę jej pańskiej przyjaźni.

Pan Stanisław gwałt się do ziemi, dziękując za tako-

wą łaskę monarszą, i ochłonawszy cokolwiek z pierwszego wrażenia, wdał się z królem w rozumowanie o podniesieniu rolnictwa krajowego, a zdrowe i logiczne jego pojęcia, mocno monarchę zajęły.

Wtym marszałek dworu dał znać, że obiad na stole, a pani Branicka pragnąc swemu administratorowi dać dowód najwyższego szacunku, podała mu rękę, żądając, aby ją poprowadził.

— Nigdy tego nie zrobię, jaśnie wielmożna pani—zawołał już naprawdę przestraszony P..., nie znam ja praw etykiety dworskiej, ale wiem, że mi nigdy nie przystoi brać kroku przed moim monarchą.

— Dzisiaj na bok złożyłem koronę i berło—rzekł król, biorąc pod rękę księcia prymasa—jestem na obiedzie u siostry mojej, a więc tak jak domowy, a waszmość jesteście gościem.

— Chyba, że to jest woła waszej królewskiej mości—odpowiedział pan Stanisław z głębokim ukłonem, i pokręciwszy węża dla dodania sobie fantazji, poprowadził mocno się czerwieniąc, hetmanowę do sali jadalnej.

Mały stół kwadratowy był przygotowany do tego familijnego obiadku; naprzeciw hetmanowej usiadł książę prymas, po prawej jej stronie król, a po lewej nasz pocziwy Stanisław.

Pan Stanisław pocił się jak w łaźni, widząc się w takim towarzystwie; chrząkał i pokręcał węża i nieraz chustką czoło ocierał.

Podług ówczasowego zwyczaju biesiadujący zwykle zakładali róg serwety za kołnierz lub przewiązywali ją z tyłu; lecz zmieszany pan Stanisław zamiast serwety drżącymi rękami róg obrusa zatknął za kołnierz żupana, krew mu biła do głowy i nie wiedział sam, co robi.

A trzeba wiedzieć, że Stanisław August zawsze lubił sam nalewać na talerze zupę z wazy; dogadzając temu dziwnemu upodobaniu, zwykle, czy to na zamku, czy na prywatnym innym obiedzie, który monarcha zaszczycał swoją obecnością, wazę stawiano przed nim, a marszałek dworu talerze mu podawał, które on napelniwszy własną ręką, gościom rozdawał. To też i dziś, gdy tylko wazę przyniesiono, król zajął się ulubionym nalewaniem. Pięknie cyzelowaną złotą łyżką napelniwszy pierwszy talerz, król zawahał się, komu go oddać. Na lewo siedziała siostra i gospodyni domu, na prawo brat rodzo-

ny i to młodszy, samemu sobie jakoś nie wypadło oddawać pierwszeństwa; lecz naprzeciwko króla siedział pan Stanisław, zacny i ze wszech miar na uczerzenie zasługujący człowiek, odrazu więc król postanowił jemu ten pierwszy podać talerz.

To już było zawiele na pocziwego ziemianina; jak tylko ujrzał rękę królewską zwracającą się z talerzem ku sobie, krew mu gwałtownie do głowy się rzuciła, serce biło w piersi młotem i zerwawszy się nagle, chciał przyjąć talerz z rąk króla.

Niestety! wiemy już jaką pomyłkę zrobił, siadając do stołu, wiemy, że zamiast serwety, róg obrusa miał za kołnierzem zatknięty, łatwo więc można odgadnąć, co nastąpiło wskutek nagłego jego zerwania się.

Brzęk tłuczonego szkła i talerzy rozległ się w pokoju, zupa gwałtownym strumieniem polala się na nogi króla, wszyscy homerycznym wybuchnęli śmiechem, lecz gdy przyszedli do siebie, pan Stanisław już znikł z pokoju.

Pocziwiec uciekał jakby go kto gonił, stracił zupełnie przytomność, biegł prosto przed siebie, aby tylko wydostać się z pałacu.

Wtym na gładkiej posadzce pośliznął się; upadł jak długi i silnie się w nos uderzył, zerwał się, obejrzał i upadł prosto do antykamer *).

Na widok tego człowieka z włosami i ubiorem w nieładzie, zakrwawionego i pomieszanego, który bez czapki chciał wybiec na miasto, hajducy spojrzeli po sobie a jeden z nich wrzasnął:

— Trzymaj! to morderca!

— Łapaj! nie puszczaj!—zawołali inni i rzucili się ku drzwiom.

— Precz łajdaki! z drogi! — wołał pieniąc się pan Stanisław.

— Trzymaj!—wołali hajducy z trwogą spozierając na krwawe znaki na żupanie.

— Nie warci jesteście ręki mojej, precz z drogi!—krzyczał szlachcic drżąc z gniewu.

— Pójdę po huzarów! — krzyknął jeden blady ze strachu i wysunął się za drzwi.

— Z drogi do kroćset tysięcy!—krzyknął pan Stanisław i jednocześnie, schwyciwszy dwóch za kołnierze, rzucił nimi w przeciwne strony.

*) przedpokój.

Służalcy, krzycząc gwałtu, rozstąpili się.

Wtem nadeszła im pomoc; czterech dworskich huzarów w futrzanych bermycach i czerwonych dołmanach z gołemi pałaszami w ręku ukazało się we drzwiach.

— Z drogi!—rzucając się naprzód i dobywając karabeli krzyknął zajadłe.

— Stój waszmość i nie rzucaj się tak! — wrzasnęli huzary.

Szable zabrzęczały, stal o stal zgrzytnęła, a pan Stanisław rąbnął krzyżową sztuką.

— Crimen lesae majestatis! — krzyknął za nim głos dobrze wszystkim znany.

Naraz szable z rąk huzarom wypadły, a pan Stanisław zmieszany i przerażony odwrócił się do przybyłego.

— Crimen lesae majestatis!—wołał król wesolo—cóżto, mości panie, wojnę nam wypowiedziałeś?

— Miłościwy królu—bąknął, spuszczać oczy pan Stanisław.

Za królem ukazały się uśmiechnięte twarze księcia prymasa i pani krakowskiej.

— Wiesz waszmość, że się nie dziwię gorliwości hajduków—ciągnął dalej król, spoglądając na pana Stanisława—wyglądasz na jakiegoś mordercę, uciekającego przed sprawiedliwością, gdy tymczasem jesteś dobroczyńcą mojej siostry, a moim przyjacielem: chodźże waszmość z nami, dokończymy obiadu, bo ostygnie!

I wzięwszy pod ramię zawstydzonego pana Stanisława, śmiejąc się wesolo, poprowadził go z sobą.

Od tego szczęśliwego obiadku rodzinnego, pan Stanisław rósł w znaczenie i fortunę. Król zrobił go generalnym swoim administratorem z płacą dziesięciu tysięcy czerwonych złotych, a wzięwszy go pod swoją szczególną opiekę, obsypawszy zaszczytami i tytułami zagranicznymi, poswatał dzieci jego z najpierwszymi w Polsce domami. Potomkowie pocziwego i szanownego pana Stanisława dość licznie rozrodzeni, cieszą się znaczeniem, jakiego pewno za młodu protoplasta *) ich nigdy się nie spodziewał.

Zygmunt Ulebicki Józefowicz.

*) przodek.

Ucieczka.

Kartka z dziejów XVIII-go wieku.

W wiekach średnich, w czasach przewagi Turków nad państwami chrześcijańskimi, wywożono do Afryki mnóstwo niewolników i tam ich sprzedawano na rynkach Aleksandrji, Damietty lub Kairu. Dla tych biedaków powrót do kraju zdawał się już niepodobnym prawie. Polska z Turcją miała ciągle stosunki, mogli jeńcy dać znać o sobie rodzinie swej, mogli być wykupieni łatwo, lecz ci, których wywożono za morze, już nigdy wrócić nie mogli z niewoli, bo rozrzućeni po rozmaitych miastach i wsiach, przechodząc od pana do pana, tracąc nawet nazwiska własne, ginęli. Na nic były starania rodziny, na nic częste poświęcenie zakonników zajmujących się wykupem więźniów z niewoli tureckiej: — ginęli nieszczęśliwi w nędzy i ucisku pod gorącym niebem Afryki.

Po klęsce Żółkiewskiego pod Cecorą, gdy do Konstantynopola sporo przybyło jeńców—Polaków, część ich odesłano z eskadrą płynącą do Afryki.

Eskadra ta wiozła dwóch wielkich dygnitarzy państwa Ottomańskiego—Kassym-beka baszę, wielkorządcę Damietty i Rozetty, i Jussuf-Agę, wielkiego sędziego Aleksandrji, wraz z oddziałem spahów.

Wiatr pomyślny towarzyszył okrętom aż do wyspy Metyliny, dawniej Lesbos, poczem nastąpiły burze jedna po drugiej, tak, iż postanowiono zatrzymać się w porcie Stretto, przy niewielkiej wysepce na Archipelagu.

Kassym-bek wysiadł na ląd wraz z częścią załogi muzułmańskiej dla zaopatrzenia się w żywność i wodę.

Na jednej z galer znajdowało się dwustu kilkudziesięciu niewolników chrześcijan, głównie Polaków, a pomiędzy nimi był i Marek Jakimowski, wzięty do niewoli pod Cecorą.

Jakimowski, od chwili, gdy go wpakowano na statek, postanowił sobie, że musi siebie i swych towarzyszków uwolnić. Modlił się więc i czekał na sposobną chwilę, starając się ująć sobie swych zwierzechników.

Gdy więc Kassym-bek wraz z załogą wylądował, uznał, że pora stosowna nadeszła i zamierzył okręt opanować. Zwierzył się dwum towarzyszom niewoli: Ste-

fanowi Szatanowskiemu i Janowi Stołeczynie. Lecz ci zamiar uznali za szalony. Turcy byli dobrze uzbrojeni, Polacy nie mieli nawet noża i byli zajęci przy wiosłach. Galery były urządzone w ten sposób, że po dwóch stronach stały ławki, na których jeden za drugim siedzieli wiosłarze, przykuci do tych ławek. Wiosła ich zatknięte w otwór, skąd ich wyjąć nie mogli, a nad niemi stali dozorecy z batami w rękę; chociaż w tej chwili statek stał na kotwicy, niewolnicy jednak siedzieli przy wiosłach. Innych zaś niewolników, niezbyt posłusznych, okutych, zamykano pod pomostem okrętu; mało było takich, których puszczano wolno, używając do rozmaitych usług, choć i nad temi nadzór rozciągano ścisły.

— Więc jakim sposobem okręt opanować? — pytali ostrożniejsi towarzysze pana Marka.

On im odpowiadał:

— Okręt stoi wysunięty trochę naprzód, oddalony od innych okrętów eskadry. Rzucić się trzeba śmiało, statek opanować, Turków wybić i popłynąć na pełne morze, zdając się na pomoc Bożą.

— A gdy się nie uda?

— Gdy się nie uda—odpierał p. Marek—ukarzą nas okrutną śmiercią. A jeżeli się uda, jeżeli Bóg pobłogosławi, wtedy wolni będziemy i powrócimy pod strzechy ojczyste.

Lecz nie nie mogło przekonać tych ludzi znękanych, więc p. Marek porwał się i z uniesieniem zawołał:

— Prawy mąż więcej Bogu i waleczności swej ufać powinien, aniżeli przeciwnościom.

Wpadł na pokład okrętu i krzyknął:

— Do broni, bracia, bijcie Turczyń!

Szatanowski i Stołeczyn, choć odradzali pierw ten krok zuchwały, rzucili się jednak na pomoc przyjacielowi, inni zagrzeni przykładem napadli na Turków.

Jakimowski wywalił najpierw drzwi do składu broni. Polacy rzucili się po oręż.

Żgiełk, krzyk, szcęk broni nie wyrwał jednak Mustafy, kapitana okrętu, z tego błędnego spoczynku. Myślał, że to jakaś egzekucja, że jakiś dozorca karze zuchwałego giaura, może trochę za srogo, a inni za nim zbyt gorąco obstają, aż i ich chłosta nie minie. Tak myślał, gdy Jakimowski drzwi od jego kajuty wyparł.

Przerażony Mustafa rzucił się z szablą w rękę i zwarł z Jakimowskim. Walka trwała zażarta, lecz krótką: szabla Turka wyleciała w powietrze. Jakimowski porwał kapitana wpół i rzucił go do morza.

Na ten widok muzułmanie z dzikim okrzykiem, z podwójną wściekłością rzucili się mordować bezbronnych jeszcze jeńców, lecz Jakimowski, który objął komendę, zastąpił im drogę, i walka zawrzała znowu z obu stron. Polacy chwytały od poległych szable i, jaką kto miał broń.

Tymczasem Turcy dali sygnały, i z innych okrętów eskadry spuszczone łodzie z żołnierzami, więc muzułmanów dobrze uzbrojonych coraz więcej przybywało.

Jakimowski spostrzegł, że chwila jeszcze, a przeważnej liczbie zuchwała garstka ulec musi, więc odciał kotwicę. Okręt podniósł się i zakolysał na falach; pomimo oporu Turków rozpięto żagle, walcząc o wszystko, o żagiel, o ster, o każde wiosło. Wicher wył straszny, pioruny były, a okręt, party siłą rąk ludzi uciekających z niewoli, miotany burzą, spadając z fali na fale, wypływał z portu.

Kassym-bek, wściekły, biegł jak szalony. Zapominając o swej powadze, klął i wzywał proroka, rwąc brodę z rozpacz, bo na tym okręcie, najlepszym z eskadry, znajdowały się dwie najdroższe mu rzeczy — jego kasa pełna złota i jego żona, Rachmed Redyna, a także zielony sztandar spahów. Rozkazał strzelać. Dano ognia z dział portowych, a łoskot kul zmieszał się z rykiem bałwanów morskich. Zaczęto gonić uciekających. Galery i łodzie wypłynęły, pędząc za naszymi bohaterami, a niebo zasępiało się, coraz czarniejszemi chmurami i deszcz lunął; pioruny były jedne po drugich, fale morskie piętrzyły się, rzucając okrętami jak łupiną orzecha; co chwila jakiś silniejszy bałwan mógł zatopić statek. Galery i łodzie, goniąc chrześcijan, wracały, ratując się same. A Jakimowski płynął dalej na pełne morze. Na maszcie, szarpana wichrem, powiewała chorągiew Kassyma-beka, trzy złote półksiężycy. Nareszcie Turcy zdali się na łaskę i niełaskę. Polacy odebrali im broń i darowali życie. Na okręcie zapanowała cisza.

Burza, na każdym morzu straszna, na Archipelagu zasianym wysepkami, rafami, skałami podwodnemi, niechybną groziła śmiercią. Polacy nie znali okolic ani morza, po którym płynęli, ich nauka geografji nie odznaczała się gruntownością, marynarzami też nie byli,

a jednak płynęli, zdawszy się na Opatrzność i ręką Bożą prowadzeni, po wielu trudach i niebezpieczeństwach dotarli do wyspy Zante. Tam przyjęci byli przez zakonników i ci ugościli pomęczonych, pomogli im naprawić okręt, a gdy niepogoda ustała, Jakimowski, obdarzywszy hojnie z kasy Kassym-beka znacznych zakonników, za ich pomocą dostał sternika i ludzi znających morze, poczym szczęśliwie wymykając się od pogoni tureckiej, zawinął do Messyny.

Wice-król Sycylii, dowiedziawszy się o tych przygodach, chcąc poznać tak walecznych rycerzy, sprowadził ich do Palermo, gdzie sam rezydował, wydał na ich cześć wspaniałą ucztę i obdarzył pięknemi podarunkami.

Odtąd podróż ich była jednym pochodem tryumfalnym... Poprzedzeni sławą nadzwyczajnej ucieczki, dojechali nasi wojownicy do Rzymu. Papież Paweł III za wstawieniem się kardynała Barberiniego pozwoił im odbyć uroczystą procesję do kościoła św. Hieronima. Szli zatem w wielkiej paradzie, otoczeni ludem, wśród hucznych wiwatów, a Papież w obecności kardynałów zaszczycił pana Jakimowskiego orderem Krzyża Świętego.

P. Marek u nóg Ojca Ś-go złożył jedną chorągiew, zdobytą na Turkach. Była ona z pięknej jedwabnej materji z trzema złotemi półksiężycami i rozmaitemi napisami haftowanemi złotem. Papież kazał ją umieścić w kościele Santa Maria della Salute.

Tegoż dnia Jakimowski uroczyście dał wolność dwudziestu kilku Turkom, którzy w walce złożyli broń oraz i Rachmed Redynie, za którą duży okup wzięć-by mógł, lecz uniosłszy się wspaniałomyślnością, nie tylko uwolnił, ale nawet i żonę Kassym-beka i jeńców hojnie na drogę obdarzył. Działo się to 16-go lutego 1621 roku.

Z Rzymu rycerze wrócili do kraju ojczystego, gdzie przyjęto ich z uwielbieniem i radością wielką.

Ewelina Burzyńska.

Koleżeństwo.

Stanisław Konarski reformator szkół u nas w XVIII wieku, zacny i mądry człowiek, pragnął, aby młodzież szkolna żyła ze sobą w przyjaźni. Pisał on, że przyjaźń zawarta podczas pobytu w szkole jest najserdeczniejszą i długotrwałą. Pisał też, że jeśli kto, będąc młodzieńcem, nie nauczy się żyć w zgodzie z towarzyszami, ten później nie zdoła sobie zjednywać ludzi, nie będą go lubili, będą go unikali. Takie gorące napominanie młodzieży do życia zgodnego wynikało stąd głównie, że Konarski żył właśnie w tym czasie, kiedy największe nieszczęścia na nasz kraj spadały, głównie dla tego, że obywatele ciągle się między sobą kłócili, że do żadnej uchwały na zebraniach, czyli tak zwanych sejmach przyjść nie mogło. I wtedy właśnie, kiedy trzeba było koniecznie niejedną rzecz poprawić, niejedną wprowadzić, aby naród mógł żyć spokojnie i szczęśliwie, znajdowali się tak niebaczni lub źli, którzy naprzekór mądrym i dobrym przeszkadzali do zaprowadzenia ulepszeń.

Napróżno i on i inni pisarze wołali do współobywateli, że przez te niezgody kraj do upadku doprowadzą: mało kto chciał ich słuchać i było coraz gorzej.

Wtedy to Konarski, chcąc złemu zapobiec na przyszłość, postanowił założyć szkołę, w którejby tak wychowywała się młodzież, aby tych wad szkaradnych, jakie wówczas były rozpowszechnione, nie przejmowała. Z tej szkoły Konarskiego wyszło wielu niepospolitych ludzi, którzy nauką, różnemi cnotami, i tą cnotą, że umieli żyć w zgodzie z innymi się odznaczyli. Mamy też dowód niezbity, że kto stara się za młodu wyrobić te cnotę w sobie, to ją wyrobić potrafi. I dlatego i ja wierząc w to, postanowiłem z Wami, młodzi czytelnicy, pomówić o tym przedmiocie.

A trzeba mówić o tym, bo bardzo często, niestety, spotyka się niezgodę między rodzeństwem lub między kolegami w szkole. Znam, na przykład, jednego ucznia kl. II, który ciągle skarży się to na młodszego braciszka, to na siostrzyczkę, to wreszcie na służących. Słuchałem sam nieraz tych skarg i przekonałem się, że najczęściej, przykrości, jakich doznawał, nie pochodziły z wi-

ny tych, na których się użalał. Skarżył się, to że mu siostra schowała piłkę, to znowu służąca, sprząając stół, zamyliła mu książkę, zamknęła ją, a on zostawił tam otwartą, gdzie czytał. Narzekał znowu na braciszka, że mu zabiera ołówek i t. p. Jakże nie miała siostra schować piłki, kiedy ją zostawił na podwórzu; służąca znowu nie wiedziała, że umyślnie książkę zostawił otwartą, a mały braciszek wziął ołówek, aby rysować figurki takie, jakie widział w kajecie u niego. Gdyby był dobry, a zgodny, podziękowałby siostrze, pouczyłby służącą, że trzeba założyć w tym miejscu w książce, gdzie jest otwarta, a braciszka pochwalił, że się tak pięknie i pożytecznie zabawia. Ale nie, skargi i narzekania sprawiały mu przyjemność, a cieszył się, jeśli mu starsi uwierzyli i karcili tych, na których się żalił. Co gorsza—to to, że tak się przyzwyczaił do ciągłych skarg, że nawet kłamał i wmawiał w drugich, że go krzywdzili.

Chłopiec ten poszedł potem do szkoły, i tu było to samo. Skoro tylko nauczyciel wchodził do klasy, wyciągał rękę do góry, na znak, że chce mówić i sypał skargi na kolegów. Nauczyciel, myśląc, że koledzy przesładują go istotnie, począł badać. Okazało się, że tak, jak w domu, tak i tu najczęściej sam był przyczyną nieprzyjemności, które go spotykały. Rozparł się, na przykład, w ławce i nie puszczał tych, którzy obok niego mieli siadać. To było powodem, że koledzy siłą go z ławki wyparli, przyczem nie obeszło się bez szturchańca, o co później skargę zanosił. Innym razem położył oba łokcie na ławce i zabrał tyle miejsca, że siedzący obok niego nie mógł pisać kaligrafji. Pokrzywdzony kolega prosił go, aby lewą rękę cofnął; nie chciał i jeszcze umyślnie tak nią posunął, że zamazał pismo sąsiadowi. Wynikły znowu z tego sprzeczki, a potem skargi. W kilka dni nowa skarga. Posadził kolegę o to, że mu wziął scyzoryk. Posadzony bardzo się rozżalił i sam prosił nauczyciela, aby sprawę zbadał i uniewinnił go. Nauczyciel udał się do rodziców skarżącego i okazało się, że scyzoryk leżał na stoliczku, że nasz niezgodnik zapomniał o tym, że go nie zabrał do szkoły. Naturalnie, wstydu miał nie mało, bo musiał publicznie w szkole przeprosić kolegę.

To jednak nie oduczyciela złośliwego chłopca od oskarżeń. Dopiero nauczyciel musiał mu zapowiedzieć, że nigdy podczas lekcji słuchać jego skarg nie będzie, bo sprawdzanie tych skarg zbyt wiele czasu zajmuje. Jeżeli

więc chce na kogo skarżyć, to niechaj zostanie po lekcjach i żale swoje wypowie.

Parę razy został i skargi zanosił; ale pomiarkował się, że gdy koledzy, opuszczali szkołę i swobodnie biegli do domu na obiad, on musiał zostawać i z głodu przypominać. To też wkrótce skarg zaniechał i unikał wszelkich zaczepek, które go na przykrości narażały. Koledzy przestali mu też dokuczać, a gdy nauczyciel pochwalił go, że się poprawił, że teraz po koleżeńsku z towarzyszami postępuje—zasmakował w życiu zgodnym, sam też przyznaje, że źle robił, i powiada, że daleko spokojniej, przyjemniej żyć w zgodzie z kolegami.

Przypatrzmy się teraz innemu wcale obrazowi. Przed kilkunastu laty byłem na popisie w pewnej szkole. Pomiedzy nagrodami rozdawanymi najlepszym uczniom, zauważyłem jedną, która nosiła nazwę: «za koleżeństwo». Nagrodę tę otrzymał jeden ze starszych uczniów. Prosiłem przełożonego szkoły o wyjaśnienie tego sympatycznego zwyczaju. Przełożony mię objaśnił, że w końcu każdego roku uczniowie naradzają się i większością głosów wybierają z pomiędzy siebie jednego, który odznaczał się koleżeństwem i takiego obdarza się nagrodą.

— Jakież to dowody koleżeństwa złożył ten młodzieniec?—zapytałem.

— O, to bardzo dobry chłopiec—odpowiedział przełożony.—Codziennie widzieć go można przed lekcjami, jak pomaga mniej zdolnym kolegom: z tym przerabia zadanie arytmetyczne, tantemu objaśnia zadaną lekcję. Skoro tylko spostrzeże jakąś zwadę między kolegami, zbliża się zaraz, powstrzymuje łagodnie przeciwników, godzi. Za słabszym zawsze się ujmuje. A niechno który z kolegów zasłabnie, wnet go odwiedza, i niejedną godzinę spędził przy łóżku chorego, pocieszając go, zachęcając do cierpliwości, lub czytając mu jakąś książkę, żeby go rozerwać. Kochają go też wszyscy, szanują, chętnie zasięgają jego rady, a często się zdarza, że sami nawet poważnieni pod jego sąd oddają swoje sprawy.

Zbliżyłem się potem do nagrodzonego młodzieńca, serdecznie uściśnałem mu rękę i winszowałem takiej zaszczytnej nagrody i wyróżnienia. Zarumienił się i odrzekł skromnie, że jest ona dowodem dobroci jego kolegów, za co jest im serdecznie wdzięczny.

Upłynęło lat kilkanaście od tego pamiętnego dla mnie «popisu szkolnego», gdy wakacje przepędzałem na

wsi u dawnego mego kolegi. Pewnego dnia zaproponował mi kolega, abyśmy pojechali do gminy, w której odbywać się będą sądy. Pojechaliśmy. Przed domem gdzie sądy gminne odbywać się miały, było wiele wózków, około których gromadkami stali i rozmawiali wieśniacy. Po chwili zaczęli się zjeżdżać oficjaliści wiejscy, obywatele ze wsi sąsiednich. Ogłoszono wreszcie, że sąd się zaczyna. Weszliśmy do obszernej sali i usiedli na ławkach. Przed nami na wzniesieniu stał stół, czerwonym suknem nakryty, a na środku stołu duży krzyż żelazny. Zadzwoniono, uciszyły się gwary i na wzniesienie wszedł trzydziestoletni mężczyzna ze złotym łańcuchem na szyi, oznaczającym godność sędziego. Obok niego, zasiedli dwaj inni panowie, starsi wiekiem, a mój kolega objaśnił mię:

— Ten młody—to jest nasz sędzia, któregośmy przed rokiem na tę godność wybrali, a ci dwaj starsi, to jego doradcy i zastępcy.

Sędzia nasz, chociaż tak młody jeszcze, jest w okolicy bardzo szanowanym obywatelem. Odznacza się wielkim taktem w postępowaniu z ludźmi. Sąsiedzi zawdzięczają mu wiele: temu z radą, temu z pomocą nieraz przyszedł w potrzebie. Jemu to winniśmy, że mamy i kościółek w parafji pięknie odnowiony; za jego staraniem szkółka wiejska jest dobrze prowadzona, a teraz niedawno nakłonił obywateli do założenia ochronny dla sierot i szpitalika dla ubogich chorych. Tak młody, a tyle zasług położył!

Z przyjemnością wpatrywałem się w sympatyczną twarz zacnego obywatela, tym bardziej, że zdawała mi się dobrze znaną. Po skończonych sądach, które prowadził nadzwyczaj rozumnie, a poważnie, choć z ojcowską łagodnością—prosiłem kolegi, aby mię sympatycznemu sędziemu przedstawił. Jakżeż to przyjemnem było dla mnie, gdy po dłuższej gawędce, skoro zaczęliśmy wspominać dawniejsze czasy, skoro przypomnieliśmy sobie wspólnych znajomych, przekonałem się, że tym sędzią był właśnie ten młodzieniec, który na popisie szkolnym otrzymał nagrodę «za koleżeństwo».

Sprawdziło się więc, co nasz Konarski mówił, że kto umie być dobrym kolegą w szkole — będzie kiedyś zacnym obywatelem kraju.

Florjan Lagowski.

U c z t a.

W wielkiej i długiej świetlicy, której ściany obite były kobiercami, stał stół dębowy, ciągnący się przez całą jej długość, a nakryty kijowskim obrusem śnieżnej białości. Jarzące światło z czterech wielkich, sześcioramiennych świeczników, ulanych ze szczerego srebra, padało na ten stół i mnóstwo naczyń ze złota, srebra i kryształu, pod którymi się stół ugiął. Około stołu ustawione były ławy, suknem czerwonym kryte, a w środku, na podwyższeniu, wznosił się tron cesarski, purpurą posyty, ze złotemi frendzlami.

Na ścianach tej świetlicy błyszczwały przepyszne zbroje, pancerze, hełmy, miecze, włócznie, topory, a pod ścianami stały beczki z piwem, miodem i winem zamorskim. Obok beczek stali pięknie przybrani podczaszowie i stolnicy, czekając na pojawienie się gości.

Wśród odgłosu trąb, piszczałek i bębnow wszedł cesarz Otton III, a za nim Bolesław Chrobry, jego żona Kunilda, kobiety dworskie, biskupi, księża i rycerstwo monarchów.

Gdy wszyscy zasiedli na przeznaczonych sobie miejscach, służba poczęła roznosić jadło: na olbrzymich, srebrnych półmiskach udźce sarnie, pieczenie wołowe i cielęce, polędwice z dzika; ptastwo wszelkiego rodzaju a między niem pawia, sztucznie upieczonego, że wszystkie pióra miał na sobie i lśniący ogon roztaczał; śliczne podplomyki z miodem, kluski obsypywane indyjskimi korzeniami. Cały stół tem zastawiono i wszyscy biesiadnicy zabrali się do obfitej uczty żwawo. Podczaszowie poczęli nalewać wina, miodu i piwa w czasie, dzbany i rogi, a choć sto kilkadziesiąt osób przy uczcie zasiadło, nie brakło nigdzie niczego. Cesarz Otton jadł mało i mówił jeszcze mniej. Wziąwszy przed siebie cietrzewia, obłamywał na nim palcami kostki i ogryzał je wolno, rzadko podnosząc swe wielkie czarne oczy. Za to Chrobry jadł ze smakiem, a pił jeszcze lepiej. Ogromna jego twarz zaczerwieniła się mocno, a oczy ciskały groźne błyskawice, patrząc, czy gdzie czego nie brak. Zobaczywszy komornika swego Niemirę, skinął na niego i rzekł:

— Po uczcie wszystkie naczynia złote i srebrne, ko-
bierce z tej izby i zbroje z tych ścian zanieśiesz, jak

wczoraj i onegdaj, do komory cesarza. Niech pamiętają
mnie Niemcy.

Jedzenie było dobre, w świetlicy jasno i ciepło, napoju w bród, to też wkrótce zarumieniły się twarze i gwar mnóstwa głosów i języków rozległ się po sali.

Nagle Chrobry podniósł się i olbrzymia jego postawa zdawała się panować nad całym tym tłumem. W ręku trzymał róg bawoli, w złoto okuty, i podnosząc go w górę, zawołał donośnym głosem:

— Za zdrowie cesarza Ottona, a mego gościa!

Zagrzmiały tysięczne okrzyki, wszyscy się podnieśli, Otto powstał także i, biorąc róg z rąk Chrobrego, kazał sobie nalać węg wina i rzekł swym cichym, melancholijnym głosem:

— Piję za zdrowie mego brata, Bolesława, króla polskiego!—i duszkiem wychylił puhar.

Wyrazy «króla polskiego» zrobiły ogromne na wszystkich wrażenie. W izbie zapanowała cisza, a wszyscy patrzyli na Bolesława, który zerwał się na równe nogi i stał, mocno wzruszony:

Cesarz milczał przez chwilę, poczym tonem uroczystym mówił:

— Rzekłem «króla polskiego». Nie godzi się bowiem tak wielkiego męża hrabią albo księciem nazywać.

To powiedziawszy, zdjął z swej głowy maleńką koronę i włożył ją na potężną, lwią głowę Chrobrego.

Na ten widok wszystkie piersi zagrzmiały potężnym okrzykiem. Jedni krzyknęli: «Niech żyje król Bolesław!», inni «wiwat!», inni «hoch!», jeszcze inni «żywio! i sława!» Wrzawa była ogromna, a jakby na dobitkę zapiszczały piszczałki, zagrzmiały trąby i surmy: rycerstwo nalewało puhary, piło i krzyczało. Polscy wojowodowie pozrywali się z ław i biegli do króla, chwycili go na ręce, podnieśli w górę, i obnieśli tak dokoła po wszystkich izbach, około wszystkich stołów, wołając z pełnych piersi: «Oto nasz król! Niech żyje Bolesław!» A Chrobry, przytrzymując ręką maleńką koronę, śmiał się i mówił: «Jedźcie i pijcie i bawcie się wesoło», lecz w duchu myślał: «Jakie on ma prawo

mie koronować? To przecie tylko jeden papież uczynić może. Ja tu na swoich śmieciach taki cesarz, jak i on».

Przyborowski (Chrobry).

Zgon hetmana.

Nieszczęśliwy był schyłek życia hetmana Stanisława Żółkiewskiego. Sławą tylu zwycięstw okryty, zmuszony był sędziwy hetman zawrzeć z Portą (r. 1617) niekorzystny traktat w Buszy, za który podniosły się zjadliwe skargi przeciw niemu i obmowy. Bohaterski zwycięzca z pod Kłuszyna musiał oczyszczać się z podejrzeń, iż nie śmiał stawić czoła wrogowi. Wytłomaczywszy pobudki tego czynu, prosił starzec króla, ażeby wolno było omdlałym ręką złożyć buławę; król jednak nie chciał uwolnić sługi wiernego. Hetman pocieszał się tylko nadzieją, iż zdarzy się jeszcze sposobność zawstydzic złe języki i dostąpić, czego pragnął przez całe życie—słodkiej śmierci za ojczyznę i wiarę.

Gdy tedy gospodar wołoski Gracjan zażądał (r. 1620) pomocy Rzeczypospolitej przeciwko Turcji, a szlachta cała gorąco domagała się tego, hetmanowi Żółkiewskiemu zdawało się słuszną rzeczą powodować się tym razem głosem powszechnego żądania. Walka z niewiernymi miała zawsze niepowściągnięty urok dla starca, który od młodości marzył o rycerskiej śmierci za wiarę. Chętnie przeto spełnił życzenie króla i narodu i stanął na czele szczupłego wojska, które na prędce zebrać zdołał.

W dniach 2 i 3 września przeprawił się hetman przez Dniestr i, wkroczywszy w granice państwa otomańskiego, obwarował się pod Cecorą, o dwie mile od Jass. Atoli po wielkiej bitwie z Turkami dnia 19 września najznamienitsi panowie i rycerze, jak Kalinowski, Odrzywolski, Chmielecki i inni, uszli przez Prut, pozostawiając hetmana w obliczu wroga.

Hetman wielki Żółkiewski z hetmanem polnym Konięcpolskim i pozostałą resztą rycerstwa jeszcze przez

cały tydzień utrzymali się w swoim obozie cecorskim, przeciw oblegającej zewsząd potędze. Dopiero w dzień św. Michała wieczorem wyszło wojsko polskie taborem t. j. otoczone zewsząd wozami, aby przez środek nieprzyjaciół utorować sobie drogę ku brzegom Dniestru.

Trwała ta droga siedm nocy i tyleż dni. Noce oddane były głównie trudnemu pochodowi, dni zaś trawiono najczęściej na odpieraniu ponawiających się ustawicznie szturmów tureckich. Wszakże od mili do mili wzmagalo się znużenie wojska. Wreszcie z głodu, ze znużenia, osobliwie zaś z bezsenności upadała większa część wojska z nóg. Kiedy nareszcie w taki sposób zbliżył się tabor (dnia 6 października) o dwie mile od Dniestru, zdawało się wszystkim rzeczą pewną, iż zdołają osiągnąć brzegi ojczyzny. Skutkiem tego obawa nieprzyjaciela stała się mniejszą. Wtedy przemogła żądza długo wzbieranego spoczynku, zaczęto powszechnie domagać się zatrzymania pochodu. Napróżno przedstawiali hetmani, że teraz właśnie należy podwoić usiłowania, gdyż nieprzyjaciele tem zażarciej będą nastawali na zgubę wojska. Nie dało się przekonać żołnierstwo, lecz szemrząc coraz głośniej przeciw rozkazom wodzów, porywało się do otwartego buntu. Jedni żądali wypoczynku, drudzy chcieli opuścić tabor i dopadać Dniestru kupami. Tymczasem nieprzyjaciele coraz bliżej i tłumnie otaczali obóz wędrowny. W takim stanie rzeczy w razie silniejszego natarcia nieprzyjaciół nie można już było myśleć o obrobie taboru.

Wtym daje się słyszeć w obozie tentent cwałującej z daleka jazdy. Przestraszona tłuszcza porwała się na koń z obozu i w rozsypkę po stepie. Nie pomogło przekonanie się wkrótce, iż to byli swoi, wracający z pomyslnego podjazdu. Rozwarte raz wrota taboru nie dały się zawrzeć żadnym rozkazem.

Niebawem też naprawdę uderzyli z tyłu Tatarzy i wdarli się do taboru. Co żyło, pierzchnęło cwałem w pole otwarte, aby się ratować ucieczką. Tylko ze 300 rycerstwa zostało przy hetmanach, ustępujących pieszo z taboru. Żółkiewski wobec wszystkich przebił konia swojego na znak, iż w żadnym razie uchodzić nie myśli, poczem oparszy się na ramionach dwóch towarzyszy, puścił się w drogę.

Szli tak wszyscy z ćwierć mili, aż nadleciała chmura Tatarów. Natenczas z ostatnich trzechset towarzysów hetmańskich, kto się tylko dorwać mógł konia, skoczył na niego i pierzchnął. Wkońcu nie więcej jak jedenastu wiernych wytrzymało przy hetmanie. Złamany tym ostatnim zawodem starzec blizkim był opadnięcia na siłach. Obskoczyli go więc przyjaciele, błagając, aby chciał wsiąść na konia. Przyprawiono mu z kolei trzy konie do ocalenia drogiego ojczyźnie życia. Kiedy mu podawano pierwszego, rzekł:

— Nie wsiądę! Miło mi przy was umierać. Niechaj Pan Bóg nade mną wyrok swój, który uczynił,—kończy!

Drugiego konia podał mu ukochany przyjaciel jego, hetman polny Stanisław Koniecpolski. Temu odpowiedział kanclerz:

— Proszę cię, ty wsiądź nań a uchodź. Zachowaj się na lepsze czasy, a ja swym tułowiem do ojczyzny nieprzyjacielowi niechaj drogę zawalę!

Trzeciego konia przysłał mu własny syn jego Jan, błagając, aby się ocalił. Ale kanclerz kazał mu odpowiedzieć:

— Gdzie owce giną, tam powinien zginać i pasterz, bo by się go spytano, gdzie podział owce?

W tej chwili gwałtownie zewsząd natarli nieprzyjaciele.

Krzyk powstał i zamieszanie. Co się dalej stało, nie widzieli już wierni towarzysze hetmana.

Dopiero nazajutrz po bitwie znaleziono ciało hetmana pokaleczone na pobojuwisku między trupami....

wedł. *Karola Szajnochy* («Mściciel»).

Gość nieznany.

Było to wkrótce po śmierci króla Władysława Łokietka.

Na Prądniku pod Krakowem mieszkał kmieć, zdawna już tam osiadły; a było mu na imię Aleksy, ludzie zaś zwali go Leksa i dali mu, jak to naówczas było zwyczajem, przezwisko Wiaducha. Oznaczało ono, że

Leksa ów wiele znał, wiedział wiele, i w kaszy się zjeść nie dał. Kmieć był bardzo zamożny, lecz z rodzajem dumy powtarzał, że z pradziadów jest kmieciem. W chacie było dostatnio, ale Leksa pilnie przestrzegał, aby nad chłopską potrzebę nie tu nie weszło. Sama też chata wyglądała tak biednie, iżby się nikt po niej rzeczystego dostatku gospodarza nie domyślił.

Jednego wieczoru jesiennego, gdy właśnie Wiaduch powracał z plugiem do chaty, syna mając przy sobie i parobka, a żona jego, która wieczernę przygotowała, stała w progu, oczekując męża i syna, ukazał się na drodze mężczyzna, mogący mieć lat nad trzydzieści, który konia kulejącego za sobą prowadził. Ubrany był tak, jak się ziemianie dostatni odziewać zwykli, a z przyborów widać było, że pewnie z łowów powracał.

— Hej! głodny jestem i zmęczony — zawołał, stanawszy za płotem—nie dalibyście mi spocząć i zjeść cokolwiek? Zapłacę dobrze...

Wiaduch przybliżył się, pozdrawiając go, jak należało.

— I bez zapłaty—rzekł — człek przecie człeka głodnego od progu nie odpycha. Ale, miłościwy mój panie, wy, jak to z sukni widać i z twarzy—ani w chacie dymnej odpoczywać ani z glinianej misy drewnianą łyżką jeść nie zwykliście.

— Ho!—rozśmiał się dobrodusznie stojący za płotem.—Głód nie patrzy misy, a zmęczenie strzechy i posłania nie wybiera.

Tymczasem gospodarz otworzył wrota na podwórko i podróżny wszedł, prowadząc za sobą kulejącego konia. Wziął go zaraz parobek, bo mu żal było tak pięknego rumaka, jakiego w życiu w ręku jeszcze nie miał, i ujawszy za chorą nogę, począł się kopytu przypatrywać uważnie. Po krótkim badaniu wbity w nogę cień ostry zręcznie wyjął i zawołał wesoło:

— Nic mu nie będzie, tylko tłustością zalać trzeba.

— Bóg zapłać—rzekł na to podróżny — bo mi koń bardzo miły, a nie radbym go widzieć kaleką.

Potym wszedł do chaty. Obejrawszy się po izbie, siadł na ławie, a gospodyni zakrzętnęła się zaraz około przyjęcia.

Podróżny dosyć niezgrabnie wziął się do ukrajania sobie kawałka chleba, posypał go solą i począł jeść cheiwie.

— Jeżeli łaska—rzekł grzecznie gospodarz—czy pan miłościwy zdaleka?

— Od Krakowa — rzekł gość, wskazując w stronę miasta.

— Pewnie tutejszy ziemianin? — pytał Wiaduch.

— Nie!—rzekł przybyły, potrząsając głową.

Widocznie nie chciał powiedzieć, kim był; Wiaduch dał mu pokój.

— A wam jak się tu dzieje?—zapytał z kolei gość. Gospodarka dobrze idzie?

— A no, idzie i kuleje—mówił poufale kміeć—różnie bywa. Pracować trzeba, bo człowiek zarobić musi i na siebie i na dzieci, na grad i na burzę, na pana i księdza—na wszystkich.

— Tak ci jest, mój stary — rzekł gość, wysłuchawszy — ale wy lejecie pot, a drudzy, was broniąc, krew przelewają.

— To prawda — rzekł gospodarz — ale dzieje się nam nieraz ciężka—bardzo ciężka krzywda.

Tu począł opowiadać Wiaduch, na jakięto krzywdy narażeni są kmiotkowie, jakiego nieraz doznają ucisku od dumnych a niesprawiedliwych panów, a z nikąd nie mają pomocy.

Kiedy gospodarz opowiadał, gość pilnie słuchał i o szczegółyypytywał, jakby to wszystko chciał sobie dobrze spamiętać. Wreszcie zapytał:

— A jakążby na to była rada, aby się sprawiedliwość działa każdemu? boć i kміeć ją mieć powinien.—Przecie macie sędziów?—dodał po chwili.

— Sędziowie są, ale sprawiedliwości niema.

Tymczasem gospodyni z córką zastawiła stół jadłem, a choć ono było niewytworne, chłopskie, gość zabrał się do niego chętnie i, jakby po raz pierwszy w życiu kosztował tych przysmaków — smakowało mu wszystko wyśmienicie.

— Ale kiedy wam się krzywda dzieje—rzekł, kończąc przerwana rozmowę—czemuż nie pójdziecie do króla? On przecie najwyższym jest sędzią.

— Król?—rzekł Wiaduch—ależ on ma o czym innym myśleć, nie o nas.

— I o was powinien—rzekł podróżny.

— Ha, nie znamy go jeszcze. Nieboszczyka starego Łokietka tośmy znali: dobry był, a i z prostym kміciem jak z człowiekiem się rozgadał. Myśmy go i ratowali nieraz, gdy opuszczony od rycerstwa po kraju

się błąkał. Kmiecie za niego broń brali i krew przelewali — pamiętamy to!

— I syn jego wam to pewnie będzie pamiętał—odparł gość zadumany, opierając się na rękę.

— W tym starym myśmy, czuli jakby ojca i brata—mówił gospodarz dalej. — Żył tak jako i my, dla rycerstwa był surowy, dla nas dobry — i Pan Bóg mu to wynagrodził, bo się korony dobił...

Podróżny wstał z ławy, dziwnie poruszony i przejęty. Obejrzał się—wieczór nadchodził.

— Bóg zapłać, gospodarzu! Bóg zapłać, gosposiu, i wam! A nie traćcie, ojeze, nadziei w Bogu i młodym królu. Bóg da, że będzie lepiej, a i król pewnie starań dołoży, ażeby się wam—kmiotkom nie działa krzywda.

To mówiąc, powoli do kalety sięgnął i zabrzęczały w niej grosze.

— Nie czyńcie mi krzywdy—rzekł Wiaduch spokojnie—za gościnę nikt nie bierze zapłaty.

— Dlaczego?—zapytał podróżny.

— Po starym obyczaju nie godzi się to—przerwał Leksa.—Chata nie gospoda. Krzywdy nie czyńcie.

Gość stał wielce zakłopotany, myślał. Nakoniec ściągnął z palca pierścień i skinął na córkę, która zamiast się zbliżyć, skryła się w kącie przestraszona.

— Chciałbym choć dziecku waszemu pamiątkę zostawić—odezwał się.

To mówiąc i nie chcąc dziewczęcia zmuszać, pierścień z dużym świecącym kamieniem położył na stole, pokłonił się i wyszedł.

Wiaduch wyprowadził go na podwórze. Tutaj podróżny jeszcze raz podziękował za gościnę, siadł rażno na wierzchowca i, za bramę się wydostawszy, dosyć śpiesznie odjechał, a zarośla wprędce go zasłoniły.

Gdy Wiaduch do izby powrócił, zastał wszystkich zapatrzonych nad pierścieniem. Był on z czystego złota, a na przedzie prześliczny miał kamień. Nie mogli mu się nadziwić wszyscy, ani nim nacieszyć; tylko Wiaduch stał mocno zadumany, bo napróżno starał się odgadnąć, kto był ten gość, który o sobie nic powiedzieć nie chciał.

Już się dobrze ściemniać zaczynało, gdy na drodze ozwały się krzyki i wołania, a przed wrotami Wiaducha stanęli jacyś ludzie jezdni.

— Hej! jest tam kto?—wołano.

Wiaduch wyszedł z chaty.

- A czego chcecie?
- Jechał kto tą drogą teraz niedawno?
- A kogóż wam potrzeba?
- Czy nie jechał tędy pan jaki?
- Był jeden.
- Na jakim koniu?

Wiaduch opisał maść konia. Na to ozwały się okrzyki: «To on, to on!»

— Był tutaj — rzekł gospodarz — i przed godziną ruszył dalej. Konia miał zranionego w nogę, więc tu spoczywał i posilił się, daliśmy mu, na co nas stało.

— Zdrówże był?

— Jako wy wszyscy, zdrów jak ryba i dosyć wesoły. Tylko mi nie chciał mówić, kto on. Proszę was, powiedzcie wy mnie, kto to był?

— Jedźmy! — wołano — gońmy!

— Ej, szczęśliwy ty, chłopie — odezwał się jeden z za płota — nie wiesz, kogoś przyjmował w twej chacie. Wszyscy panowie zazdrościć ci będą!

— Kogóż to? — pytał Wiaduch.

— Królaś Kazimierza miał! król był u ciebie! — krzyknął ów rycerz i popędził za innemi.

Wiaduch osłupiał. Zacisnął ręce, czoło namarszczył i powtórzył sam do siebie: Król był u mnie?!

Tymczasem parobek, chwyciwszy się za głowę, z krzykiem wpadł do chaty, wołając: To był król! to był król Kazimierz! Tak mówią ci jezdni.

A Wiaduch ciągle jeszcze stał na podwórzu zamyślony.

— Czym ja mu tylko nie powiedział za wiele?... A no — rzekł w końcu, wracając do chaty — wola Boża! Co ma być, to będzie!

J. I. Kraszewski («Król chłopów»).

Maciej Zerwikaptur.

Najechali raz Krzyżacy na ziemię polskie. Król Władysław Łokietek, który to niewiele wyrósł ciałem, ale zato wielki był duszą i sercem, zebrał wielkie wojsko, aby od swoich granic odpędzić wroga. Mnóstwo tam było panów i szlachty i żołnierzy dzielnych wokoło króla, a za panami, jak zwyczajnie, ciągnęło na wszela-

kie usługi wiele chłopków, którzy mieli tylko pilnować koni i wozów pańskich, i zwali się po dawnemu ciurami. A był między niemi niejaki Maciej, nie tyle rosły, co krępy i podsadkowaty, żeby sam na sam i z niedźwiedziem nie bał się pójść w zapasy. Szedł daleko za wojskiem, a ciągle przyśpiewywał.

Pewnego dnia stanęło wojsko w polu, a niebawem król każe trąbić na bitwę. Ledwie był czas, zmówić parę Zdrowaś Marja, a już straszliwy wszczął się krzyk i wrzawa. Nadciągnęli Krzyżacy, a nasi dalej na nich. Ale Krzyżaków siła wielka, nie dają się zrazu, biją się z naszemi. Brzęczą tylko szable i dzidy i okrutny rozlega się hałas.

Sprzyskrzyło się Maciejowi stać za plecami i nie widzieć nawet, jak tam nasi kropią wrogów. Więc odezwie się do jednego ze swych towarzyszy:

— Hej Marcinie, potrzyjcie tu mego konia, a ja pójdę się przypatrzeć, jak tam nasi biją Krzyżaków.

Zasadził magierkę na ucho, wąs podkręcił na ostro i z gęstą miną posunął naprzód. A że, jak to mówią, strzeżonego Pan Bóg strzeże, więc po drodze chwycił bardysz, to jest topór z szerokim ostrzem, który znać jakiś Krzyżak upuścił na ziemię, i stanął sobie na boku pod drzewem, aby się rozglądać dokoła. Ledwie jednak rzucił okiem po swoich, aż tu jakiś sążnisty Krzyżak w żelaznej zbroi z ogromną dzidą bieży prosto ku niemu, a z boku dwóch innych jeszcze.

Maciej wzruszył ramionami i zawołał z daleka:

— Wróćcie się, wróćcie się, panie wojak, boć ja nie żaden szlachcic, tylko prosty ciura, a na wasze skóry to szlacheckiej potrzeba ręki.

Ale oni obces na niego, ba nawet dzidami zmierzają mu wprost do gardła. Zasłania się Maciej bardyszem jak może, ale już mu krew zaczyna kipieć w żyłach. Zachmurzył czoło i mówi groźnie:

— Ejże, panie Krzyżak, nie zaczepiaj mnie, bo da-libóg, że cię palnę.

Ale oni nie słuchają, tylko godzą na niego dzidami. Tego już było za wiele Maćkowi; wpadł w gniew straszny i — jak nie odskoczy w tył, jak nie huknie z całego gardła, a potem jak nie zawinie bardyszem! — a owe trzy Krzyżaki stoją jeszcze chwilkę na nogach, ale ich głowy leżą już na ziemi.

— A widzicie, samiście chcieli — rzekł — pamiętajcie sobie na drugi raz, jak to zaczynać ze mną. A kie-

dyście mię już raz rozłoscili, to wam pokażę gdzie raki zimują! I puścił się za drugimi na wroga. Ale nie było już po co, bo ich nasi tymczasem odparli. Uciekali Krzyżacy, a nasi pędzili za nimi i bili uciekających. Nabił się ich i Maciej nie mało; aż się zmęczył i zasapał, a potem wolnym krokiem powrócił do swoich koni. Ledwie stanął, aż tu wołają go do króla.

Przestraszył się Maciej na razie i myśli sobie:

— Może król jegomość gniewać się będzie, że m truchę poturbował tych Krzyżaków; ale Bóg świadkiem, że m ich nie zaczepiał, tylko jeszcze przestrzegał. Pokręcił wąsa, poprawił ramię w pasie i sunie śmiało do króla.

A król Łokietek w świecącej zbroi stoi na drodze, na około niego panów ciżba, a mnóstwo chorągwi krzyżackich leży mu pod nogami, i gromada pojmanej starszyzny krzyżackiej w pokornej postawie czeka na boku. Przyszedł Maciej między tych panów, a król odezwał się do niego:

— Toś ty zuchu, coś za jednym zamachem trzem Krzyżakom uciął głowy?

Widzi Maciej, że król wesół i bardzo łaskawy w twarzy, więc też pokręcił wąsa i rzecze śmiało:

— A dlaczego, proszę króla jegomości, nie słuchali, kiedy m ich przestrzegał z daleka; niech sobie pamiętają na drugi raz!

Król zaśmiał się łaskawie i panowie zaśmiali się w głos, a Maciej, widząc taką łaskę, dalej prawi:

— Nakłuli ja i innym jeszcze karku—ale to się nie rachuje, proszę króla jegomości, bo już wtedy uciekali.

Na to król przychodzi blisko do Maćka i ręką pogłaskał go po brodzie.

— Tyś Mazur?—pyta.

— A Mazur, Maciej się nazywam, proszę króla jegomości.

— A gdzieżeś się ty tak rąbać nauczył?—pyta król dalej.—Trzy głowy ściąć za jednym zamachem, to rzecz nielada.

— Co mi to za głowy!—powiada Maciej.—Siedziały tak lekko na karku, jakby przylepione; ledwom machnął a opadły jak kaptury od opończy.

Król znowu w śmiech, potem rzecze z powagą i łagodnością:

— Kto tak dzielnie umie kropić wrogów ojczyzny, nie może być prostym ciurą. Od tej chwili jesteś szlach-

cicem na wieczne czasy, a na pamiątkę będziesz miał trzy głowy na swej pieczęci i będziesz się zwał Zerwikaptur.

Padł Maciej do nóg królowi dziękować za tę łaskę a król oprócz szlachectwa udarował go jeszcze i ziemią szeroką.

Po skończonej wojnie Maciej Zerwikaptur osiadł we dworze—i ciągle tylko prosił Boga, aby się rychło trafiła jaka okazja, żeby mógł się wywdzięczyć królowi i ojczyźnie za te łaski.

Walery Łoziński.

Cudowne ocalenie.

Ciężka nam kiedyś była bieda z napaścią Tatarów. Człowiek ani w nocy spać spokojnie ani w dzień pracować nie mógł swobodnie z obawy przed temi barbarzyńcami. Za każdym ich najazdem mnóstwo wsi leżało spalonych, wiele miast opustoszałych, a ile ze sobą wprowadzili w jasyr ludzi, tego się i doliczyć nie można. Waleczni obrońcy kraju opierali się im dzielnie, ale nie zawsze mieli dostateczne siły, by ich zagony powstrzymać.

Razu jednego ksiązę Konstanty Ostrogski, uniesiony szlachetną chęcią odparcia najeźdźcy, nie zważając na małą liczbę swego wojska, uderzył na przemagające siły Tatarów. Lecz nagle obkoczony przez nieprzejrzane ich hordy, mimo całej waleczności swojej i swoich towarzyszy, został pobity i dostał się do niewoli.

Co to była za uciecha dla tych pohańców, dostać w ręce tak sławnego wojownika i tak wielkiego pana! Jakże się radowali na myśl wielkiego okupu, jaki im będą musieli złożyć Polacy, ażeby wydostać księcia z jasyru. Mimo to jednak ksiązę Ostrogski na równi z innymi brańcami musiał ze skrupowanemi rękami odbyć piechotą całą drogę. Oplakany był los tych brańców tatarskich: głodzono ich, bito bez miłosierdzia i zamykano w ciemnych lochach lub przykuwano do ciężkiej pracy. To też wielu z niewygód, niedostatku i tęsknoty za ziemią rodzinną umierało prędko, nie doczekawszy się upragnionego okupu.

Właśnie ta nadzieja okupu kazała się Tatarom lepiej nieco obchodzić z księciem. Osadzono go w Bakeczyseraju w wysokiej wieży, której małe zakratowane okienko wychodziło na jakiś pusty dziedziniec. Tylko raz na dzień przychodził do niego dozorca z jadłem i napojem, poczym drzwi na klucz zamykał.

Samotność, bezczynność i tęsknota za krajem i rodziną dręczyły księcia; ulgi w cierpieniach szukał tedy w modlitwie, to odmawiając pacierze, to nucąc pieśni nabożne lub hymny, a zwłaszcza «Kto się w opiekę poda Panu swemu».

Nie tajną było w osadzie tatarskiej rzeczą, kto to na wieży tak śpiewa, bo sam chan tatarski doniósł królowi polskiemu o wzięciu Ostrogskiego do niewoli i naznaczył niezmiernie wysoką cenę za jego wyzwolenie.

Po niejakiem czasie zauważył książę, że jakiś człowiek regularnie o tym samym czasie przesuwają się przez dziedziniec i spogląda w jego okienko. Zrazu sądził, że to śpiew jego budzi tylko prostą ciekawość u jakiegoś mahometanina. Aż tu pewnego dnia o zmierzchu wpadła przez okno do jego izdebki kamień, owinięty zapisanym papierem. Z powodu ciemności nie mógł książę odczytać pisma, więc je schował, tym bardziej, że o tej porze właśnie przychodził codziennie dozorca. Już ani oka nie zmrużył tej nocy; a skoro tylko dzień zaświtał, z bijącym sercem przystąpił do samego okienka i wyczytał na karteczce następujące wyrazy: «Ufaj w Bogu i nie trać serca, może nieza długo będziesz wolny; wszystko już do ucieczki gotowe; a skoro nadejdzie stosowna pora, uwiadomię cię o niej».

Uradował się książę niezmiernie tą wieścią i dziękował Bogu za niespodziewanego wybawcę. Tymczasem mijały dnie, mijały tygodnie, a nie otrzymywał powtórnego zawiadomienia. Książę gubił się w domysłach, co mogło być tego przyczyną, już nawet wątpić począł w spełnienie śmiałego zamiaru, lecz wreszcie zdał się we wszystkim na wolę Boską.

Kiedy tak jednego wieczora już po odejściu dozorca głęboko się zadumał, usłyszał stuknięcie w izdebce. Był to oczekiwany kamień, owinięty jak za pierwszym razem w zapisany papier, w którym się nadto znalazł mały pilniczerek.

Już ten widok napoił księcia radością, że chwila wyzwolenia się zbliża, co także i wiadomość na karteczce, którą dopiero nazajutrz odczytał, potwierdzała.

Zaraz za nadejściem nocy wziął się do przepiłowania kraty, czynił to jednak z wielką ostrożnością. Za każdym głośniejszym skrzypnięciem żelaza wstrzymywał się przełknięty, żeby go kto nie usłyszał. Po kilkudziesięciu dniach udało mu się wyłamać dwie nadpilowane

sztaby, potem podał na kawałki część ubrania, zrobiony z nich sznur przywiązał do pozostałej kraty i czekał już tylko umówionego sygnału odmawiając w myśli modlitwy.

Niebawem dał się słyszeć w odległości głos puhaça: Ostrogskiemu zadrżało serce z radości, bo ten głos był umówionym właśnie znakiem. Cekał już tylko powtórnego odezwania się jako chwili stanowczej, poczym przeżegnawszy się, wylał otworem i spuścił się po sznurze szczęśliwie. W załamku muru dostrzegł nieznanego swego oswobodziciela, który przyłożywszy palec do ust na znak milczenia, ujął Ostrogskiego za rękę i prowadził długo za sobą krętymi ścieżkami pośród zarośli; aż przeszedszy przez głęboki rów, stanęli na otwartym polu, gdzie czekały dwa osiodłane konie, a na jednym z nich przywiązany był tatarski ubiór dla księcia.

Książę przebrał się co śpieszniej, a zdjętą odzież chciał w rów rzucić, ale milczący przewodnik zwinął ją i zabrał, a księciu dał znak skinieniem do wsiadania. Ostrogski jechał w milczeniu za swym przewodnikiem znowu przez zarośla aż do rzeki. W nią wrzucił przewodnik odzieży Ostrogskiego, którą woda zaraz uniosła poczym zwrócił się w przeciwną stronę i popędził co koń wyskoczy, a księżę za nim. Dopiero gdy się rozwidniło i gdy dotarli do miejsca, które już można było uważać za bezpieczne, przewodnik zwolnił biegu koniowi, poczym odezwał się do księcia po polsku:

— Tutaj, mości książę, możemy chwilę odpocząć i konie nasze nakarmić.

Książę posłuszny wezwaniu zsiadł z konia, a przystąpiwszy do swego wybawiciela, zawołał z uniesieniem:

— Pozwól, bym ci naprzód podziękował za wyświadczone mi dobrodziejstwo, a potem proszę, powiedz mi, kto jesteś, jak ci się będę mógł odwdziaczyć za wyświadczoną przysługę.

— Niema o czym mówić—odrzekł zagadniony—ta ka usługa należy się każdemu rodakowi.

Potym dobył ze skórzanej torby chleba i baraniny i podał je Ostrogskiemu, który z chciwością wziął się do jedzenia; nie ustawał jednak nalegać na swego wybawcę, żeby zaspokoił jego ciekawość.

— Jestem szlachcic herbu Poraj—odrzekł zagadkowy wybawca — nazywam się Piotr Muławski; wstyd mi

wyznać przed tak zacnym panem, żem nędzny i grzeszny człowiek.

Potym opowiedział, jak dostał się w niewolę tatarską, jak nie mogąc znieść pastwienia się Tatarów nad nim, przyjął wiarę mahometańską i imię Abasa, jak zyskał sobie zaufanie ich do tego stopnia, iż mu powierzyli nadzór nad jeńcami. Dalej wyrzucał sobie zapomnienie o Bogu i ojczyźnie, wkońcu nadmienił, jak głośne modlitwy i śpiew Ostrońskiego obudziły w nim pamięć lat dziecinnych i żal dotychczasowego życia, jak wreszcie postanowił odpokutować za swe grzechy, a poprawę rozpocząć od wybawienia księcia.

Nie czekając odpowiedzi i unikając podziękowań księcia, poszedł okiełznać konie i puścili się w dalszą drogę. Jechali najczęściej nocą i manowcami, aż po kilku dniach dotarli szczęśliwie do Dniepru, który wpływ przebyli i stanęli na ziemi ojczystej. W pierwszej zaraz wiosce, nie dbając o możliwą pogoń tatarską, zsiadli z koni, umieścili je w szopie, a sami udali się do kościółka, aby złożyć Bogu korne dzięki za to, że im pozwolił stanąć szczęśliwie na ziemi rodzinnej.

Sądny dzień był tymczasem w Bakeczyseraju. Kiedy dozorca swoim zwyczajem następnego wieczora przyniósł jadło, a księcia nie zastał, nie chciał zrazu własnym oczom wierzyć. Dopiero ujrawszy wyłamaną kratę, zrozumiał, co zaszło, i dał znać do chana. Chan w pierwszym gniewie z powodu utraty takiego jeńca kazał uwięzić dozorcę, choć ten nie zgoła nie był temu winien, i przywołać do siebie Abasa. A gdy mu doniesiono, że i Abas znikł, zrozumiał wszystko i rozkazał licznej straży puścić się natychmiast w pogoń za zbiegami.

— Tylko mi złapcie tych nikezemników — wołał do odjeżdżających — a dam wam kieszę złota; ale jeśli bez nich wróćcie, każę was na pal powbijać.

Zagrany obietnicą i groźbą, która łatwo mogła być wykonaną, oddział tatarski ruszył za zbiegami. Ale szczęściem pogoń została wysłana dopiero w kilkanaście godzin po ucieczce, nadto znaleziona w rzece odzież Ostrońskiego zbiła z tropu goniących, którzy zamiast wprost dążyć ku Polsce, jeszcze przez kilka godzin szukali zbiegów w okolicy, sądząc, że się gdzie ukrywają.

Mimo to nad samą granicą byli już bliżej ich dogonienia, jechali bowiem prosto drogą i daleko śpieszniej, nie potrzebując się kryć jak tamci. Po drodze wypytywali się przechodniów i dowiedzieli się tuż u granicy Polski, że dwóch jeźdźców tatarskich pędziło żwawo w tę stronę. Byli to właśnie nasi zbiegowie, którzy czując się już blisko ziemi ojczystej, nie zachowywali takiej jak poprzednio ostrożności.

Niedługo też goniący wpadli do ziemi polskiej, a nawet do tej samej wioski. Kiedy przejeżdżali mimo kościoła, skąd dolatywały ich śpiewy pobożnych, ozwał się jeden Tatar do swych towarzyszy:

— Słyszycie, jak te psy niewierne piszczą w tym gmachu. Wartoby ich napaść i pozabierać im sprzęty kosztowne. Ale ofuknęli go towarzysze, że szkoda czasu tracić; zresztą, jak zbiegów pochwyca, to z powrotem i tutaj pogospodarują sobie do woli. Puścili się więc śpiesznie w dalszą drogę. Tak więc pobożność powtórnie wyratowała z niebezpieczeństwa Ostrońskiego, którego pogoń byłaby niechybnie dosięgnęła.

Po nabożeństwie puścił się Ostroński z towarzyszem w dalszą drogę i szczęśliwie minął się z pogonią, która tymczasem zaślepiona żądzą dostania w ręce tak pożądanego jeńca, zapędziła się za daleko w granice Polski, aż wpadła na podjazd kawalerji narodowej, który wszystkich schwytał i rozbroił.

Gdy nareszcie Konstanty Ostroński ku wielkiej całej narodu radości stanął szczęśliwie w domu, zaczął się zaraz gotować do nowego najazdu na Tatarów. Mulański zaś, stosownie do powziętego postanowienia, wstąpił do zakonu Braci Trynitarzy, którzy się trudnili wykupem niewolników, gdzie jako władający językiem tatarskim niejedną narodowi wyświadczył przysługę. I tak w ostrej pokucie dni swoich dokonał.

Niespodziewana obrona.

Było to w wieku XVI w porze zimowej.

Książę Konstanty Ostroński, wojewoda kijowski i marszałek wołyński, pan sławny ze swych bogactw i pobożności, gotował się sprawić w zamku swoim dubieńskim wesele księżnie Beacie Dolskiej, wychowanicy

swojej, którą wydawał za księcia Sołomereckiego. Liczny zjazd gości, sproszonych z daleka, krewnych, przyjaciół, sąsiadów i drobnej szlachty, domowi Ostrogskich życzliwej, wypełnił całe podwórze zamkowe mnóstwem koni i kolebek, ciżbą pacholąt i czeladzi. W komnatach gwarno było i wesoło. Mężczyźni przechadzali się, rozprawiając o wojnie, turniejach i koniach.

Naraz stanął u progu komnaty zbrojny kozak, Ukrainiec, widocznie z ważnemi wieściami przybyły. Wszyscy otoczyli go kołem, a książę zapytał:

— Jakież wieści przynosisz? mów!

— Słysząc—rzekł kozak—iż skoro rzeki zamarzną, Tatarzy nadciągną.

— Którędy?

— Wie to jeden Bóg, co tę plagę na nas zsyła. Półki idą, cicho się przekradają; ale jak przyjdą, będzie się dyć za niemi i mogiłami drogę wysypia. Teraz ryją się gdzieś jak krety, że ich spostrzec nie można.

— Wieluż ich jest? czy wielki zagon? jeden czy więcej?

— Pewnie, jak zawsze, tyle co szarańczy. Po stepie ludzie poznali, że ich idzie wielu i że zagon *) pociągnął w tę stronę po cichu.

Na tym urwała się rozmowa.

Książę zaraz polecił kilkudziesięciu kozaków wysłać na zwiady dolinami, ażeby zasięgnąć języka, w domu zaś zakazał wspominać o Tatarach przed kobietami. Ale wieść straszna, spadszy tak niespodzianie wśród przygotowań weselnych, prędko po całym rozniosła się zamku; bo Tatarzy, co tyle razy ogniem i mieczem zniszczyli tę ziemię, straszniejsi byli dla niej nad wszystkie plagi zagniewanego nieba. Kiedy więc mężczyźni szable ostrzyli i broń opatrywali, doszła wieść o groźnym niebezpieczeństwie i do kobiet; dowiedziała się o nim i księżna Beata.

— Ach, ja się tak boję—mówiła družka—ja się tak strasznie boję Tatarów! Takie to poczwary ogorzałe z przypłaszczonemi nosami, z czarnemi ślepiami kocie-mi i odstającymi uszami, co żyją końskim mięsem i w świętą Tróję nie wierzą. O! jak ja się ich boję!

— A ja nie—odpowiedziała panna młoda odważnie.

*) zagon—oddział.

— Ależ nasz zamek nie oprze się ich przemocy—mówiła drżąc ze strachu družka.

— Kto? my się nie oprzemy?—odpowiedziała znowu księżna. — Alboż tu niema murów, dział i ludzi?

— Ale ich tylu!

— Nas mało, ale z nami Bóg nasz! I walczyć będziemy na naszych śmieciakach!

Na te słowa wszedł książę wojewoda.

— Vivat Beata!—zawołał, całując ją w czoło. Tak myśleć, tak mówić powinniśmy wszyscy, a nigdyby u nas Tatarowie nie postali. Ale, moja panno, jeszcze oni daleko, są tylko głuche o nich wieści. My tymczasem myślimy o weselu.

W istocie nie było bardzo bać się czego w Dubnie, bo na ówczesny sposób wojowania ta warownia była dość mocna. Dokoła oblana wodą Ikwy, wielkimi stawami otoczona, niezbyt wprawdzie wyniosła, ale dla murowanych a wysokich rowów niedostępna, mogła się długo bronić wojsku, któreby jej burzyć działami polowemi nie mogło. Trudno także było zapaśne zameczysko wziąć głodem, a Tatarzy, którym zawsze śpieszno było napowrót, nigdy tego próbować nie mogli.

Łatwo więc uspokoił się wszyscy goście zebrani i na zaproszenie gospodarza poszli do biesiadnego stołu, z książęciem przepychem zastawionego.

Już trzecie wniesiono danie, już rozpoczęto toasty za pomyślność państwa młodych, już ozwała się muzyka, gdy nagle z dziedzińca rozległ się krzyk przestrawny, który stłumiwszy wszystko, skamieniał gości i wytrącił z rąk kielichy. Wybladły kozak wpadł do sali.

— Książę—zawołał—Tatarzy! — I padł osłabiony znużeniem i przestrawą.

Wszyscy porwali się od stołu. Gwar, krzyk, zamieszanie, ścis, zgiełk — zajęły cały zamek. Wszyscy wołali: Tatarzy, Tatarzy!

Książę wyjrzał oknem. Na błoniu, za wodami Ikwy pod lasem warczał rozwijając się niepoliczonych Tatarów zagon, który doszedłszy pod Dubno niepostrzeżony, nagle posunął się pod miasto, pędząc przed sobą kozaków, wysłanych przez wojewodę dla dostania języka. W oddaleniu rozeznąć nie można było liczby; szarzał tylko ten tłum, posuwając się coraz bliżej.

Książę zbiegł w dziedziniec. Tu siodłano konie, wyciągano działą, zwodzono mosty. Lud z miasta i przedmieść cisnął się w bramy tłumnie, krzycząc i wio-

dąc ze sobą bydło, konie, wozy. Tymczasem w monasterze św. Krzyża bił dzwon na trwogę, ponuro a śpiesznie. Przestrach był nie do opisania.

A tłuszcza tatarska zbliżała się pod zamek, z krzykiem, a raczej piskiem okropnym postępując naprzód. Jedni z wrogów podbiegali pod mury, a strzały ich, jak posłańcy boju, padały nawet w podwórzec zamkowy; inni grozili stojącym na murze żołnierzom, potrząsając długimi sznurami przygotowanymi do wiązania jeńców.

Gdy się to dzieje, gdy strzały tatarskie coraz gęściej padają obłożonym pod nogi, gdy wszyscy w zamku czekając szturm, stoją w milczeniu i modlą się po cichu—nagle ze wschodów, wiodących z zamku w podwórzec, zbiega panna młoda, wpada między stojących i woła:

— Strzały świszczą koło was, a wy stoicie z założonymi rękami?!

Wszyscy zwrócili się ku niej, a ona środkiem tłumów bieży prosto do dział ogromnego, stojącego z otwartą na dolinę paszczą.

Przed nią rozwija się cały ten straszny obóz tatarski; do jej uszu dolatują głosy ich dzikie; widzi ich łuki napięte i szable błyszczące, i wozy, i konie, i wśród tej zgrai wznoszący się namiot chana, który w blasku pogodnie zachodzącego już słońca świeci się purpurą i rozsiada się z księżcem na czole, grożąc krzyżom kościółów i cerkwi.

Na ten widok staje księżna Beata, patrzy długo i myśli, zdaje się, jakby się po cichu modliła. Wszyscy mileżą, tylko stary kozak nabija dział; księżna sama nim celuje z natchnienia, wyrwa lont zapalony z rąk puszkarza, przykładając... i wystrzał głośny rozbiła się w powietrzu, huczy, grzmi, a kula świszcząc leci w dolinę! Za dymem nic nie widać. Lecz wiatr zachodni rozpędza kłęby dymu. Księżna Beata klasnęła w dłonie i padła na kolana: niema namiotu chana, złoty księżyc leży na ziemi—obaliła go pierwsza kula... może nie kula, lecz modlitwa kobiety.

Z obozu Tatarów słyszeć się daje wrzask okropny; widać, jak się kupią, zbiegają, gromadzą i jak wrzeszcząc, z nową wściekłością rzucają się ku zamkowi. Ale po kilku wystrzałach z dział, zaczęli się ściągać, kupić, nareszcie tabor łamać, wozy zaprzęgać—i popędzili dalej z zagonem.

A kiedy w oddaleniu przy świetle księżyca widać już tylko było czerniejącą ich zgraję, księżna, otrząsając pył z sukni i ocierając czoło, rzekła do wojewody:

— Teraz można do cerkwi!

— Idźmy do ślubu—rzekł książę i, spoglądając na nią z rozrzewnieniem, dodał: — Tyś nas ocaliła!

Józef Ignacy Kraszewski.

(«Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy»).

Wręczenie medalu zasługi.

(Opowiadanie ucznia).

Wczoraj w południe byłem z całą naszą szkołą przed ratuszem, aby widzieć wręczenie medalu zasługi chłopcu, który uratował życie swemu towarzyszowi z nurków wezbranej rzeki. Gdyśmy przybyli na miejsce dla nas wyznaczone, dziedziniec ratusza już był pełen ludzi. W głębi widać było stół, zielonym sukniem nakryty, na nim papiery, a za nim szereg krzeseł dla burmistrza i członków rady miejskiej. Dokoła stołu woźni miejscy przestrzegali porządku, z prawej strony uszykowany był oddział weteranów wojskowych z medalami na piersiach, po lewej straż ogniowa w odświętnym ubraniu; poza niemi z jednej i drugiej strony tłumy ludu różnego stanu i wieku, cywilnych i wojskowych. Wszystkie okna zajęły kobiety i dzieci. Wszyscy rozmawiali wesoło, co chwila poglądając w stronę zielonego stołu, w oczekiwaniu pojawienia się rady miejskiej. Muzyka przygrywała z cicha w głębi kruzganku, wysokie mury w górze oświeślało słońce: widok był prawdziwie piękny.

Naraz wszyscy w oknach, na kruzgankach, w dziedzińcu zaczęli bić w dłonie. Ja podniosłem się na palcach, żeby lepiej widzieć. Tłum, który stał za stołem, rozstąpił się na obie strony, dając wolne przejście kobiecie, mężczyźnie i chłopcu, którego ów mężczyzna prowadził za rękę. Był to właśnie ów chłopiec, który ura-

tował towarzysza, a prowadzący go ludzie, jak poznać było z ubrania, z miejskiego stanu, byli jego rodzice. Chłopak był mały, jasnowłosy, najwyżej lat dwunastu, miał na sobie szarą kurteczkę; rodzice jego ubrani odświętnie, ale skromnie. Na widok takiego tłumu ludzi, słysząc rzesiste oklaski, wszyscy troje stanęli jak wryci, nie śmiejąc ani patrzeć przed siebie ani się poruszyć. Dopiero jeden z woźnych przystąpił do nich i zaprowadził ich przed stół na prawo. Tymczasem chłopcy z tego przedmieścia, z którego był ów chłopiec, wysuwali się naprzód z tłumem, aby się dać widzieć swemu towarzyszowi, oraz pochwalić się przed zebranymi, że są jego znajomymi; poruszali rękami i wołali go z cicha po imieniu. Chłopiec spojrzał na nich i zasłonił się kapełuszem, aby ukryć uśmiech.

Naraz straż zaprezentowały broń: wszedł burmistrz w towarzystwie wielu panów, wszyscy strojnie przybrani. Burmistrz stanął przed stołem, a panowie koło niego z obu stron. Muzyka przestała grać i dookoła zaległo uroczyste milczenie.

Burmistrz zaczął mówić. Pierwszych wyrazów nie mogłem dobrze dosłyszeć, ale zrozumiałem, iż opowiada o bohaterskim czynie chłopca. Potym głos jego się podnosił i tak dobitnie, tak dźwięcznie rozchodził się po całym dziedzińcu, że już ani słówka nie stracił.

— Kiedy z brzegu—powiadał—spozstrzegł towarzysza, który z ostatnim wysiłkiem walczył ze śmiercią w wartkich nurtach rzeki, zerwał z siebie ubranie i rzucił się naprzód bez wahania. Kiedy wołali na niego drudzy: «Stój! co robisz? i ty utoniesz!»—nie nie odpowiadał; chwycono go w pół—wyrwał się; krzyczano nań po imieniu—już był w wodzie. Rzeka pieniała się wezbrana, niebezpieczeństwo groziło nawet dorosłemu człowiekowi. Lecz on, gardząc śmiercią, całą siłą swego małego ciała i swego wielkiego serca, rzucił się w jej fale. Dopłynął do tonącego i pochwycił go za rękę w samą porę, gdyż jeszcze chwila, a byłby znikł w odmęcie. Wyciągnął towarzysza na wierzch jedną ręką, a drugą walczył rozpaczliwie z falami; po kilka razy pograżał się wraz z nim pod wodę, to znowu ukazywał się na powierzchni, i tak z nadludzkim prawie wysiłkiem, walcząc ze strasznym żywiołem, dobił szczęśliwie do brzegu, na który zdumieni towarzysze wyciągnęli obydwu. Śnać Bóg nie dozwolił, żeby czyn taki mężny, taki wzniosły poszedł na marne. Dziecko-pływak wyrwał ofiarę roz-

hukanym falom, a nadto wraz z innymi udzielił omdlałemu pierwszej pomocy. Potym powrócił do domu, sam jeden, spokojny, aby opowiedzieć rodzicom, jakby rzecz najzwyczajniejszą, czego dokonał.

Panowie! Pięknym, godnym poszanowania jest bohaterstwo w człowieku dorosłym. Ale w dziecku, w którym nie odzywa się jeszcze żadna chęć wyniesienia się nad drugih; w dziecku, po którym bohaterstwa nikt się nie spodziewa, które już uważamy za dobre, skoro tylko odczuwa i szanuje poświęcenie się drugim; w dziecku, które potrzebuje mieć tym większy zapas odwagi, im mniej ma sił fizycznych; w dziecku, powiadam, bohaterstwo jest rzeczą tak wielką, tak wzniosłą, iż żadna mowa ludzka wyrazić jej dostatecznie nie zdoła.

Nie chcę przeto ozdabiać krasomówczemi pochwałami czynu, tak wielkiego w swej skromnej prostocie. Oto tu stoi przed wami mężny i szlachetny zbawca życia człowieka. Żołnierze! pozdrowcie go jak brata. Matki! pobłogosławcie go jakby wasze własne dziecko. Dzieci! wraście sobie w pamięć jego imię, jego twarz, aby się już nigdy nie zatarła w waszym umyśle i w waszym sercu. Zbliź się, chłopcze! W imieniu Najjaśniejszego Pana daję ci medal za odwagę cywilną.

Huczne «niech żyje!» zagrzmiało razem z tysiąca piersi, odbiło się od murów ratusza i rozległo się po mieście. Burmistrz wziął ze stołu medal i przypiął go do piersi chłopca, potym go przycisnął do siebie i ucałował. Matka chłopca zakryła sobie twarz dłonią i płakała z radości, ojciec miał głowę spuszczoną na piersi. Burmistrz uściśnął ręce obojgu, potym wzięwszy ze stołu dyplom, potwierdzający nagrodę chłopca, związany wstążką, wręczył go jego matce. W końcu zwrócił się do chłopca i rzekł:

— Niech wspomnienie dnia tego, tak pełnego chwale dla ciebie, tak radosnego dla twego ojca i dla twojej matki, nie da ci nigdy, przez życie całe, zboczyć z drogi honoru i cnoty. Bywaj zdrow, dzielny chłopcze!

Burmistrz odszedł z panami do ratusza, muzyka zagrała, i wszystko zdawało się być skończonym. Naraz oddział straży ogniowej rozstąpił się i chłopczyk ośmio czy dziewięcioletni, popchnięty naprzód przez jakąś kobietę, podbiegł ku nagrodzonemu medalem i rzucił mu się w objęcia. Nowy wybuch okrzyków i oklasków odbił się o mury ratusza: wszyscy zrozumieli od razu, że to chłopiec uratowany od śmierci dziękuje swe-

mu zbawcy. Po uściskaniu, po ucałowaniu go, uczepił się jego ramienia, aby mu towarzyszyć przy wyjściu. Obaj więc chłopcy szli naprzód, a za nimi ojciec i matka. Tłum ludu rozsuwał się przed nimi z uszanowaniem, choć wszyscy cisnęli się naprzód, podnosili się na palce, aby chłopca zobaczyć. Ci, co stali najbliżej, ścisnęli go za rękę. Kiedy przechodził obok chłopców ze szkół, wielu podnosiło czapki w górę. Jego towarzysze z przedmieścia wszczęli wielki hałas, a ciągnąc go za ramiona to za kurtkę, wołali:

— Pin, niech żyje Pin! Wiwat Pinot!

Stałem tak blisko, że gdy przechodził, mogłem mu się dobrze przypatrzeć. Twarz miał zaognioną, wzrok rozpromieniony: medal wisiał na wstążce białej i czerwonej. Matka jego płakała i śmiała się razem; ojciec pokręcał sobie węża, ale ręka drżała mu tak silnie, jak gdyby miał febrę. Z okien ratusza i krużganków posypały się teraz kwiaty, bukiety i grzmiały oklaski; prawdziwy deszcz bratków, róż, fijołków, niezapominajek spadał teraz na głowę chłopca i jego rodziców i rozsypywał się po ziemi. Obecni rzucili się skwapliwie za spadającymi kwiatami i podawali je matce chłopca. Muzyka grała prześlicznego marsza; wielu odprowadziło chłopca z okrzykami aż do domu; wreszcie cały ten różnorodny tłum rozproszył się po mieście.

z «Serca» Amicisa.

Zgon bohatera.

W powiecie złoczowskim, na wschód od miasteczka Pomorzan, znajduje się wioska Hodów, bardzo malowniczo położona. Gęsto po dolinie rozsiane mogiły każą się domyślać, iż toczyła się tu niegdyś krwawa bitwa, a ziemia niemało pewnie poległych ukrywa w swym łonie. Domysł ten stwierdza pomnik kamienny, wznoszący się w samej wsi, na stromym wzgórzu, wśród włosciańskiego ogrodu. Pomnik ten, zbudowany w kształcie piramidy, z żelaznym krzyżem u góry, zaopatrzony jest w napis łaciński, zaledwie w połowie czytelny; bo wszelkie, choćby najtrwalsze dzieła ludzkie pochłonie czas

wszystko niszczący, a tylko sława pięknego czynu przetrwa wieki całe.

Było to w r. 1694. Na tronie polskim siedział Jan III ci, głośny pogromca Turków. Mimo licznych jego zwycięstw nie ustały przecież zupełnie srogie najazdy niewiernych na sąsiednie kraje polskie. I w tym właśnie roku wkroczyli Tatarzy w granice Polski, zapuszczając swe zagony szeroko po Rusi Czerwonej. Mieli oni zasłaniać wozy, które żywność wiozły do Kamieńca, a przytym rabowali kraj i uprowadzali ludność w niewolę. W nocy krwawe na niebie łuny, a we dnie słupy kłębiącego się dymu, wskazywały drogę, któredy się posuwała horda nieprzyjaciół.

Na wieść o strasznym napadzie wysłał ówczesny hetman wielki koronny Stanisław Jabłonowski kilka oddziałów konnicy, a umieściwszy je w miejscach stosownych, kazał bronić kraju przed łupiestwem Tatarów.

Jeden z takich oddziałów jazdy, z trzystu towarzyszków złożony, zastąpił drogę czerni tatarskiej w wiosce Hodowie. Na czele oddziału polskiego stał Stanisław Zahorowski, mąż szczególnie dzielny.

Kiedy nieprzyjaciele szli obarczeni zdobyczą i mnogiemi jeńcami, w jasyr pędzonemi — nagle napadła na nich jazda polska, a wyswobodziwszy brańców, wielu Tatarów zabiła lub raniła. Lecz na wieść o niespodziewanym napadzie przyszły nieprzyjaciółom na pomoc nowe tłumy rozwścieklonej czerni. Zewsząd obkoczony, Zahorowski nie upadł jednak na duchu, lecz bronił się dzielnie z poza wiejskich zapłotków, ścieląc trupem wielką liczbę Tatarów. Gdy go do poddania się wezwano, odpowiedział:

— Myśmy po śmierć w te wąwozy przyszli!

Sześć godzin trwała bohaterska walka, wreszcie za zbliżeniem się nocy, Tatarzy poczęli się cofać.

Powodzeniem tym ośmielony, puścił się Zahorowski za nimi w pogoń i jeszcze niemało im szkody wyrządził. Ale wreszcie strzałą tatarską śmiertelnie raniony, musiał dalszej pogoni zaniechać. Ze łzami w oczach odwieźli żołnierze bohaterskiego wodza do pobliskiego miasteczka, lecz ratunek był już niemożliwy: trzeciego dnia po tym zwycięstwie Zahorowski umarł.

Król Jan, przybywszy następnego roku do Pomorzan, oglądał pobojowisko hodowskie, na którym trzystu Polaków cztery tysiące Tatarów położyło trupem, a na

uczczanie pamięci bohaterskiego dowódcy, którego współczesni z Leonidasem greckim porównywali, jakoteż na pocieszenie matki, która w poległym bohaterze straciła jedyne syna, wznosił ów pomnik, dotychczas jeszcze zachowany.

Na pomniku umieszczono następujący napis: «Bogu najlepszemu i najwyższemu na chwałę, potomności na pamięć, polskim bohaterom na przykład, nieprzyjaciółom ojczyzny na hańbę, wznosił pomnik ten Jan III Sobieski, król polski, na tym miejscu, na którym Polacy pod wodzą Zahorowskiego, między płotami zamknięci, siedm-dziesiąt tysięcy Tatarów odparli, z niezmierną klęską nieprzyjaciół a swoją żadną, dnia 5 czerwca 1694 r.»

Lucjan Tatomir.

Chłopiec na wedecie.

Było to w czasie wojny. W piękny letni poranek oddział konnicy pod dowództwem młodego oficera posuwał się zwolna i w milczeniu połąną drożyną, badając ostrożnie okolicę. Wszyscy patrzyli przed siebie oczyma w dal utkwionemi, przygotowani na to, że lada chwila zobaczą przednie strażę nieprzyjacielskie. Dojechali w ten sposób do wiejskiego domku, otoczonego jeziorami, opodal od wsi samotnie stojącego. Przed domem siedział chłopiec wiejski lat dwunastu, wystrugując sobie z gałęzi laskę; z dymnika na dachu powiewała chorągiewka o barwach narodowych; w domu nie było nikogo.

Spostrzegszy wojsko, chłopiec wstał i zdjął czapkę.

Ładny to był chłopczyca, o ciemnej twarzy, z wielkimi, błękitnymi oczami, z długimi, jasnymi włosami; ubrany po wiejsku.

— Co ty tu robisz, chłopcze? — zapytał go oficer. —

Czemuś nie uciekł przed wojną z twoją rodziną?

— Ja nie mam rodziny — odrzekł chłopiec — jestem sierotą. Pracuję potrosze dla wszystkich. Zostałem, aby wojnę zobaczyć.

— Przechodził tędy nieprzyjaciół? — zapytał oficer znowu.

— Nie, już od trzech dni go nie widziałem.

Oficer pomyślał chwilę, potem zeskoczył z konia, podał go żołnierzowi, i po drabinie, przystawionej do dachu, dostał się na wierzchołek domu. Ale dom był niski, więc z dachu widać było niewielką tylko przestrzeń okolicy.

— Trzeba włożyć na drzewa — powiedział oficer i zszedł na dół.

O kilkanaście kroków od domu, naprzeciwko drzwi, stał jesion, cienki, ale wysoki, najwyższy ze wszystkich dokoła, tak, że jego wierzchołek, poruszany wiatrem, zdawał się kołysać w niebiosy lazure.

Oficer spoglądał to na drzewo, to na swoich żołnierzy; nagle zwrócił się do chłopca i zapytał:

— Chłopcze, masz ty dobry wzrok?

— Ja, panie? — odrzekł chłopiec — toż ja wróbla w gnieździe o milę spostrzegę!

— A potrafisz wyleźć na drzewo?

— Na drzewo? Za jedno Z d r o w a ś M a r j a będę na wierzchołku tego najwyższego jesionu.

— I potrafiłbyś mi powiedzieć, co stamtąd zobaczysz: czy niema gdzie nieprzyjaciela, czy nie widać strzelb, koni?

— Pewnie, że potrafię.

— A czego żadasz za tę przysługę?

— Czego żądam? — odparł chłopiec z zadziwieniem. — A to pięknie, żądać czego!... Nic nie żądam... Żeby to dla cudzych, za niebym tego nie zrobił; ale dla swoich... i w ogieńbym skoczył.

— Zuch z ciebie, mój chłopaku! Właż!

Chłopak zdjął buty w okamgnieniu, zacisnął rękę u pasa, rzucił czapkę w trawę i objął pień drzewa. Oplatał pień silnie rękami, i podsadzał się nogami; w kilka chwil był już na wierzchołku. Ledwie go można było dojrzeć, tak się tam malutkim wydawał; tylko główka jego jasna, którą oświecało słońce, wyglądała z pośród liści jak złota.

— Patrz prosto przed siebie i daleko! — zawołał oficer.

Chłopiec, aby widzieć lepiej, prawą rękę od pnia odjął i przyłożył do czoła.

— Widzisz co? — zapytał oficer.

Chłopiec twarz ku niemu pochylił i rękę zbliżając do ust, aby głos uczynić donośniejszym, zawołał:

— Dwóch ludzi stoi na koniach na gościńcu.

— Daleko stąd?

— O jakie trzy kilometry.
— Co więcej widzisz? — spytał oficer. — Patrz na prawo!

— Koło cmentarza, wśród drzew coś błyszczy, niby bagnety.

— Widzisz ludzi?

— Nie, muszą być ukryci w zbożu.

W tej chwili ostry świst kuli przeszył w górze powietrze i zamarł gdzieś w dali.

— Złaź, chłopcze! — krzyknął oficer. — Spostrzegli cię. Już dosyć. Złaź!

— Kiedy ja się nie boję — odparł chłopiec.

— Złaź! — powtórzył oficer. — Ale co widzisz jeszcze na lewo?

— Na lewo? — zawołał chłopiec. — Zaraz zobaczę.

Prawą ręką chwycił się drzewa, a lewą zaczął rozgarniać gałęzie, gdy wtym ostry świst przeszył znowu powietrze. Chłopiec drgnął, bo kula przeleciała tuż koło niego.

— Bodaj ich kule były! — zawołał. — Naprawdę zawzięli się na mnie.

— Na ziemię! — groźnie i rozkazująco krzyknął oficer.

— Zaraz, zaraz! — odpowiedział chłopiec. — Nie mi nie będzie, drzewo mnie zasłania.

— Złaź mi zaraz! — krzyczał oficer.

Ale chłopiec, wysuwając się do pół ciała z pośród gałęzi, wołał:

— W tamtej stronie, gdzie kapliczka, zdaje mi się, widzę....

Wtym trzeci świst przeleciał górą i niemal równocześnie chłopiec zaczął się spuszczać. Czepiał się zrazu to za pień drzewa, to za gałęzie; nagle ręce mu się rozwarły... leciał już głową na dół.

— Bodajecie przepadli! — wykrzyknął oficer nadbiegając.

Chłopak jak padł na ziemię z rozpostartymi ramionami, tak leżał bez ruchu, struga krwi płynęła mu z piersi. Sierżant i dwaj żołnierze zeskoczyli z koni, oficer ukląkł przy chłopcu, podniósł mu głowę, rozerwał koszulę na piersi, a zobaczywszy krew płynącą z lewego boku, przyciskał chustkę do rany.

— Odwagi, chłopcze! — będziesz żyć!

— Za ojczyznę! — wyjąknął chłopiec, potym westchnął, opuścił głowę i skonał.

Oficer zbladł, przez chwilę wpatrywał się w chłopca, potym złożył jego głowę ostrożnie na trawie, powstał i jeszcze nań patrzył. Sierżant i dwaj żołnierze również nań patrzyli, kiedy siedzący na koniach zwrócenie byli ku nieprzyjacielowi.

Naraz oficer poskoczył do domu, wyrwał chorągiewkę i rozpostarł ją na poległym, zostawiając tylko twarz jego odsłoniętą. Sierżant pozbierał i położył przy jego boku czapkę, buty, laseczkę i nożyk.

— Na koń i marsz! — zawołał oficer. Wskoczyli na siodła, oddział się uszykował i cwałem zawrócił do swoich.

Przednia straż nieprzyjacielska, ukryta w zasadzce, widząc się dostrzeżoną, cofnęła się śpiesznie do odległego obozu, przeciw któremu ruszyła teraz cała armja. Tymczasem wieść o bohaterskiej śmierci chłopca rozeszła się już po wszystkich oddziałach, zanim wyruszyły z obozu.

Tą samą drożyną, którą z rana przebiegł mały oddział strzelców, ciągnął teraz pułk cały. Oficerowie, będący na czele, mijając grupę jesionów około samotnego domku, kiedy dostrzegli małego bohatera, leżącego pod drzewem i przykrytego chorągiewką, uczcili go, prezentując broń. Tożsamo czyniło wojsko, oddział za oddziałem. Jeden oficer zerwał na brzegu strumyka, który płynął przy drodze, dwa kwiaty i rzucił je na chłopca. Za jego przykładem wszyscy strzelcy, w miarę jak przechodzili, rwali kwiaty i rzucali zmarłemu. W kilka minut chłopiec był cały pokryty kwieciami, z pośród którego widniała tylko jasnowłosa główka, oświecona promieniami zachodzącego słońca i jakby aureolą świętości otoczona. Jeden oficer odpiął od swego munduru i rzucił chłopcu swój medal za waleczność; inny przyklękawszy, pocałował go w czoło. A ukłony wojskowe, okrzyki pożegnane wciąż było widać i słyszać, i kwiaty ciągle się sypały na bosc nogi, na pierś skrwawioną, na jasną główkę. Chłopiec zaś spał snem nieprzespanym spokojnie w trawie, owinięty chorągwią, z twarzą uśmiechniętą — jak gdyby słyszał to pożegnanie, jakby czuł owe kwiaty, jakby się radował, że oddał życie za ojczyznę.

z «Serca» Amicisa.

Z młodości Tadeusza Rejtana.

Wielkie były cnoty obywatelskie Tadeusza Rejtana, dzielnego obrońcy praw narodowych w chwili upadku ojczyzny; były one tak wielkie, iż ani Grekom—Arystydesów, ani Rzymianom—Katonów zazdrościć nie mamy powodu. Już młode jego lata, w szkołach spędzone, zawczasu kazały się domyślać, jakim będzie na przyszłość.

Pochodząc ze starożytnego i zacnego rodu, wcześniej już zaprawiał się do cnoty i miłości ojczyzny. W szkołach jezuickich w Nowogródku zjednał sobie miłość i szacunek kolegów, lubo w zabawach najczęściej bywał zamysłony, a nawet ponury. Jeżeli jaki obywatel nawiedzający OO. Jezuitów, o dawnych rzeczach narodowych rozprawiał, Tadeusz wszelkie zabawy opuszczał, w głębokim milczeniu przysłuchiwał się tym opowiadaniom i już nie z zadumania wyrwać go nie mogło. Że klasztor był fundacji hetmana Jana Karola Chodkiewicza i obraz jego w kościele wisiał, to on, bywało, jak oczy w niego wlepi, to aż się śmieją koledzy, a profesor musi go dobrze potrząść, nim się upamięta, że w kościele na ołtarz, a nie na co innego patrzeć potrzeba.—Na korytarzu klasztornym wisiała mapa Polski: otóż, idąc na zabawę, jak na nią okiem rzuci, stanie przy niej jak wryty i w nią się wpatruje tak zamysłony, że już nie koło siebie nie słyszy, i nieraz rekreacja się kończy, a jego przy mapie jak zostawili tak zastają. OO. Jezuici długo usiłowali oduczyć go od tego ustawicznego zamyślenia się; ale przekonawszy się, iż to było napróżno, dali mu pokój, zwłaszcza, że w postępках swoich był bardzo łagodny i dla zwierzchności szkolnej pokorny. Chociaż Jezuici dość byli surowi w prowadzeniu młodzieży, kilka lat upłynęło, a Tadeusz ani razu nie był strofowany.

W szkołach księża Jezuici zaprowadzili byli różne zabawy, które uczniom się spodobały, między innymi potykanie się na palcaty czyli walka na kije. Za klasztorem było miejsce obszerne, a na każdej połowie czyli przestrzeni była usypana mogiła, którą nazywano taborom. Szkoła dzieliła się na dwie części, niby na dwa potykające się wojska. Cała wygrana zależała na opanowaniu taboru przeciwnego. Młodzież biła się

zazarcie, aby obronić swój tabor, a zdobyć nieprzyjacielski. Zwyczaj dzielono się na Polaków i Tatarów — a losy ciągłone stanowiły, do której strony każdy miał należeć. Otóż Tadeusz, co był jednym z najlepszych w palcaty, ile razy wypadło mu być Tatarem, najsłabszym nawet bić się dawał. Kiedy się dziwiono, że guzy dostaje nawet od takich, co ledwo palcatę w rękę trzymać umieją, on, co słynał z siły i wprawy, odpowiadał: «Cóż chcecie? Kiedy ja i żartem znieść nie mogę, aby naszych Tatarzy bili».

Bywały wówczas niekiedy zatargi między studentami a przekupkami i tak częste o to skargi do profesorów, że ci rady sobie dać nie umieli, mając około tysiąca chłopców do szkół chodzących. Wpadli tedy OO. Jezuici na taką myśl, by był sąd szkolny, przez studentów z pomiędzy nich samych wybrany, coby wszelkie ich sprawy z mieszczanami sądził bez odwołania. Gdy to rozporządzenie przyszło do skutku, z początku lękały się przekupki w sprawach swoich zależeć od sądu studentów; ale wkrótce błogosławiły tej ustawie. Popołudnia czwartkowe wolne od nauki szkolnej, były przeznaczone na sądy, składające się z prezidenta, z czterech sędziów, dwóch pisarzy i rejenta; studenci wnosili sprawy, a nawet żalące się stronie sąd dawał obrońcę studenta. Wszystko tak szło porządnie, jakby w sądzie grodzkim, tym sposobem młodzież wprawiała się w znajomość prawa i mówienie publicznie. Co roku był sejm dla wyboru urzędników; ale jak raz wybrano prezydentem Tadeusza Rejtana, nie przestał nim być aż do wyjścia swego ze szkół. Nasz Tadeusz, bywało, aż mu książki z rąk wydzierają profesorowie, tak się prawa uczy, by do niego wyroki swoje mógł zastosować. Razu jednego brat jego Józef przez swawolę jakiejś przekupce garnki porozbijał. Gdy się o to sprawa wytoczyła, Tadeusz wstał, aby nie zasiadać w sądzie. Przekupka tyle ufała jego sprawiedliwości, że się upierała, aby koniecznie on sądził; ale on tego nie przyjął, mówiąc: «Tu nie idzie o ufność, ale żeby robić, jak prawo każe, a prawo nie pozwala, żeby krewny krewnego sądził. Wolę prawa słuchać, niż się cieszyć chlubą, że w sądzie nie oglądałem się na rodzzonego brata». A że jak co wyrzekł, od tego i przed hakami by nie odstąpił, więc się usunął i nie sądził.

Jakim był w szkołach, takim i pozostał i w życiu późniejszym: był mężem prawym i najlepszym obywate-

lem ojczyzny; możnaby o nim powiedzieć, że nie tylko każda myśl jego, ale nawet każde technienie było dla ojczyzny. Kiedy broniąc mężnie praw narodu i wiary, widział, jak wielkie nieszczęścia Polskę dotknęły, z rozpaczy popadł w obłąkanie i targnął się nawet na własne życie.

wedł. *Henryka Rzewuskiego*
(«Pamiętki Seweryna Soplicy»).

Grymaśnica.

Było to przed wielu laty. Przez całą lekcję Mania Józefowiczówna czuła na sobie wzrok damy klasowej. Zaledwie nauczyciel wyszedł, zabrzmiało pytanie:

— Józefowiczówno! Znowu łzy! Kto cię skrzywdził?

Mała, szczupła i wątła panienka, milcząc, wstała z pierwszej ławki.

— Nikt, proszę Pani.

— Więc czego płakałaś? Czy ci kto dokuczył?

— O, nie... proszę pani — odpowiedziała zapytana cichutko.

— Jakto nie? przecież oczy ci nawet zapuchły; i zwracając się do całej klasy nauczycielka rzekła:

— Mania Józefowiczówna bez przyczyny nie płakała—na ten raz poprzestanę na surowej wymówce. Niejedna z was jest znacznie starszą od niej, a żadna nie ma dość serca, rozsądku, ani taktu, żeby powstrzymać siebie lub inne od dręczenia koleżanki, która zaszczyt tylko klasie przynosi. W szkołach męskich małe urwisy mają zwyczaj dokuczania nowym uczniom, ale nie przypuszczam żeby wyższa klasa naszego zakładu mogła przejąć się podobnymi obyczajami. Jeżeli cię kto skrzywdzi — zakończyła, zwracając się do panny Józefowiczówny — proszę cię, moje dziecko, powiedzieć mi koniecznie kto...

I rzuciwszy tę zwięzłą groźbę klasie, dama klasowa wyszła.

Józefowiczówna usiadła cicho, a otworzywszy machinalnie podręcznik historii powszechnej, z której w tej

chwili otrzymała właśnie najlepszy stopień, pochyliła nad nim opartą na dłoniach główkę.

— A to miła rzecz!—przerwała po chwili milczenie złowrogie Zosia Stalska, ruchliwa brunetka o żywych, biegających oczkach.

Natychmiast odpowiedział jej gwar licznych głosów, pełnych oburzenia i gniewu.

— Oto czegośmy się doczekały!

— Tego nie widział jeszcze świat, ani...

— Grymaśnica!

— Oskarżalska!

— «Moje dziecko!»

— Precz z nią!

Wszystkie dziewczynki zerwały się, zamykając z hałasem książki.

Tylko Józefowiczówna nie ruszała się z miejsca.

— Zapewne! Pani przynosi zaszczyt całej naszej klasie—zaczęła, zatrzymując się przed nią jedna z panienek—w tej chwili otrzymałaś pani upoważnienie do skarżenia i donoszenia na nas...

— To prawda—przerwała potok jej mowy Sielawska.—Od kiedy świat stoi tego jeszcze nie było. Miawaliśmy panny z rozmaitemi tytułami; trafiła się od czasu do czasu jakaś skarga przypadkowa, ale stalej donosieli...

— Zechce nam pani wytłómaczyć—zwróciła się do Józefowiczówny, słynąca z dowcipu Bilska—dlaczego to mianowicie za ojcuzkiem pani tęskni? Przecież po mamusi właściwiej byłoby płakać takiemu bebusiowi, co wczoraj jeszcze czepiał się sukni maminej.

— E, bo to widzicie, moje drogie—przy odgłosach śmiechu ogólnego, tłómaczyła inna — pewnie mamusia trzyma panienkę ostro, a ojcuzulek pieści...

— A ile masz latek, moje dziecko? — pytały znów inne, udając głos pani Krupeckiej.

— Ja tam nawet zgoła nie pojmuję — wołał nowy głos — jak ją mogli dopuścić do egzaminu i do naszej klasy? Przecież to wbrew przepisom.

— Co tam przepisy—odparła z kolei Ziwińska, kiedy się ma stosunki..

— Panno grymaśnico!... — słyhać było ze wszech stron dokoła przerażonej dziewczynki — czyż naprawdę żadna z nas nie jest godna odpowiedzi?

— A może bebuś nie umie jeszcze mówić — naśladowała inna szeplenienie dziecinne.

— Powiedz zaraz swojej opiekunce, że my cię przezywamy—mówiła Sielawska.

— Daj pokój!—zaczęła ją odciągać Kramerówna—jeszcze wydała cię za to.

— A to niech wydalają!

— Racja—zawtórowała Stalska—trudno znosić towarzystwo tej grymaśnicy i mieć ciągle z jej powodu przykrości.

Ogólne rozdrażnienie wzmagalo się jak pożar.

— Słuchajcie—zawołała Sielawska—czyż naprawdę będziemy znosiły ją pośród siebie? Trzeba się jej pozbyć.

— Znakomita myśl!—zawołała Kramerówna—napiszemy prośbę do pani przełożonej.

— Co tam prośby, poprostu usuńmy ją z klasy—obstawiała przy swoim Sielawska.

— Czy panna rozumie?—piszczały cienkie, gniewne głosy—proszę się od nas wynosić!

— Jej ojcu nawet już po egzaminach radzono zostawić ją w czwartej...

— Wynosić się!.. wynosić — wołał tłum, oblegający ławkę Józefowiczówny.

Kilka najrozsądniejszych dziewczynek zachowywało się biernie i zdaleka przyglądały się całej awanturze.

— Co my się z nią w czułości bawimy? Nie chce wyjść sama, to wynieśmy ją razem z ławką z klasy—zapropomowała Sielawska.

— Wynieśmy, wynieśmy! Na korytarz!..—zawtórowały inne.

Ta, której dotyczyły się wszystkie te drwiny, przewiska i groźby, siedziała tymczasem bez ruchu na ławce, wcisnąwszy główkę w dłoń, nie czując nawet, że lzy jej strumieniem płyną na otwartą książkę. Tylko kiedy ławka przechylająca się z jednego końca drgnęła, podniosła się i z głośnym okrzykiem schwyciła się rękami za pulpit.

— Otwórzcie drzwi, tak nie przejdzie!.. Drugą polowę!—Stalska naprzód!—wołała Sielawska.

Kiedy ławka z Józefowiczówną znalazła się już w korytarzu, Sielawskiej przyszedł nowy pomysł:

— Do pierwszej z nią!..

— Do pierwszej klasy, do pierwszej! — zabrzmiały dokoła przyciszone troche głosy.

I cały tłum wraz z ławką i siedzącą w niej ofiarą hurmem ruszył długim korytarzem, na którego końcu znajdowała się najmłodsza klasa.

— Damy klasowe!.. Krupecka!—zawołała nagle jedna z panien, która zajęła posterunek strażniczy na skrzyżowaniu się korytarzy.

Niby wiatr zdmuchnął cały tłum. Potracając się i popychając, poleciały dziewczęta na wyprzodki, tłocząc się we drzwiach, wpadły do swojej klasy i po chwili siedziała już każda, wstrzymując oddech, na swoim miejscu przed otwartą na chybił trafił książką lub kajetem. Nie było teraz ani jednej, któraby nie czuła, że się już za daleko posunięto, i nie drżała na myśl o następstwach.

— Nie wydawać! nie wydawać! — biegł szept po klasie.

— Wszystko jedno, ona powie — odezwała się półgłosem Sielawska.

A Józefowiczówna oparłszy główkę na zlanej łzami książce, glucho łkała. Słyszała ona zbliżające się głosy i kroki dam klasowych i idących parami małych pierwszoklasistek. Słyszała, jak ją okrzyki niebawem dzieci; słyszała ich szepty i śmieszki tłumione wraz z nieustannymi: «cicho panienki!», które usiłowała uspokoić swoje stadko prowadząca je dama klasowa: słyszała zdziwione głosy innych dam klasowych, nie zerwała się jednak i nie podniosła głowy, nawet wtedy, kiedy pani Krupecka dotknęła jej ramienia z pytaniem:

— Co tu robisz?

Jedyną odpowiedzią, na jaką zdobyła się zapytana, był jeszcze gwałtowniejszy wybuch płaczu.

— Proszę wstać, niech małe przejdą — rzekła znów pani Krupecka, usiłując ją podnieść.

Józefowiczówna powoli wstała, i zakrywając rękami oczy, obróciła się plecami do małych, wchodzących do klasy.

Ogarnęło ją straszne uczucie wstydu. Takie upokorzenie wobec wszystkich dam klasowych, wobec nawet klasy najmłodszej.

— Józefowiczówna, proszę stać przyzwoicie—zawołała nagle pani Krupecka—pani przełożona idzie...

Ach, gdybyż się ziemia mogła rozstąpić pod nią. Idzie pani przełożona i o wszystkim się dowie.

Biedna dziewczynka od zmysłów wprost odcho-

dziła. Taka zawsze uległa, nie usłuchała tym razem rozkazu pani Krupeckiej, nie odjęła rąk od twarzy.

— Co tej małej? — zapytała nadchodząc w towarzystwie jednego z profesorów, przełożona.

Dopiero na dźwięk tego poważnego i dziwnie imponującego głosu, Józefowiczówna przycichła i stanęła prosto.

I stała tak, trzęsąc się cała od lkań tłumionych.

Tymczasem pani Krupecka przekładała przełożonej, że od samego początku roku, t. j. od dwóch tygodni koleżanki uwzięły się na tę cichą dziewczynkę, zapewne z powodu jej młodego wieku, i że one to niechybnie przyniosły tu biedaczkę, że wielokrotne wymówki a nawet kary nie odniosły żadnego skutku i t. d. Ciemne brwi przełożonej coraz bardziej się ściągały.

— Chodź ze mną, moje dziecko! — odezwała się wreszcie, biorąc za rękę płaczącą dziewczynkę i kierując się do piątej klasy.

Za nią poszedł milcząc profesor i pani Krupecka.

W piątej klasie oczekiwano damy klasowej, ale kiedy weszła sama przełożona, trzymając za rękę Józefowiczównę, wszystkim pannom, które porwały się z miejsc, oddech zaparło w piersiach z przerażenia. Wszystkie stały blade, niby na śmierć skazane.

— Wydała, na pewno wydała — błakało się po głowie Sielawskiej.

— Kto wyniósł Józefowiczównę?

Milczenie grobowe.

— Proszę pani — załkała rozpaczliwym głosem Józefowiczówna — proszę... zatelegrafować do ojca... Ja chcę wrócić domu...

— Kto wyniósł pannę Józefowiczównę? — powtórzyła przełożona zlekka podniesionym głosem, nie zwracając uwagi na wykrzyknik dziewczynki.

Znowu milczenie.

— Kto cię wyniósł, moje dziecko? — zwróciła się do niej przełożona.

Gdyby głosu Sielawskiej nie zdławiła nagle myśl o wydaleniu z zakładu, o gniewie i smutku rodziców, rzuciłaby w tej chwili słowa «ja», tak dalece pewna była, że natychmiast usłyszy nazwisko swoje z ust pokrzywdzonej.

— Nie wiem, proszę pani — wyszeptala cicho za pytana.

— Jakto nie wiesz? — ze zdziwieniem powtórzyła przełożona. — Czyż ci one oczy zawiązały?

— Nie, proszę pani — wyszeptala jeszcze ciszej dziewczynka.

— Więc musiałas widzieć kto! A ty może nie wszystkie koleżanki znasz z nazwiska? — ciągnęła dalej przełożona. — To wskaż mi te, które ciebie niosły.

— Teraz powie, powie napewno — powtarzała sobie w duchu Sielawska.

Józefowiczówna, jak gdyby usłuchawszy rozkazu, podniosła załzawione oczy i powiodła po twarzach koleżanek błędnym wzrokiem, pod którym jednak one wprost drętwiały.

— Więc któż?

— Nie wiem, proszę pani.

— To znaczy że powiedzieć nie chcesz! — z naciskiem w ostatnim wyrazie rzekła przełożona — pamiętaj jednak, że stajesz się współniczką występku złych koleżanek. No cóż, powiesz, czyj to był pomysł i kto go wykonał?

— Teraz już powie, napewno powie — znowu powtarza w duchu Sielawska, w której sercu zaczynała się przed chwilą rodzić nadzieja.

Ale Józefowiczówna milczy dalej. Boli ją niewypowiedzianie, że martwi panią przełożoną, ale głos jakiś wewnętrzny jej mówi, wbrew wszelkim rozumowaniom, że powiedzieć nie można. Ostatnie słowa ojca przy pożegnaniu były: «nie skarż nigdy!»

— No, mów śmiało — łagodnie nastaje przełożona.

— Nie wiem, proszę pani! — ledwo dosłyszalnym głosem szepce znów dziewczynka.

— Niech pani sama zechce dojść prawdy — zwróciła się przełożona do damy klasowej — a teraz miałabym jeszcze z panią do pomówienia o całej tej miłej klasie.

Z temi słowy przełożona wyszła, mówiąc coś z cicha do profesora. Przy drzwiach czekały już w korytarzu służące z ową ławką nieszczęsną, która też natychmiast po wyjściu przełożonej wróciła na dawne miejsce.

— Radzę powiedzieć niezwłocznie — zwróciła się półgłosem pani Krupecka do sprawczyni mimowolnej całego zajścia — inaczej bowiem, jako współniczka, poniesiesz wspólną karę, a kara będzie surowa.

Ale mała «grymaśnica» wciąż milczała.

Lagowski. — Wypisy polskie — II.

Zaledwie drzwi się zamknęły za służącą, która puściła przodem pannę Krupecką, zaledwo zdążyła Józefowiczówna wrócić na swoje miejsce, Sielawska zerwała się i podbiegszy, z głośnym płaczem rzuciła się przed nią na kolana.

— Józefowiczówna, nie odjeżdżaj od nas, przebacz!—łkała.—Myśmy cię tak niesłusznie dręczyły... A ty najlepsza jesteś z nas!.. Tyś anioł naszej klasy!

I rzuciła się jej na szyję. Za nią bez wyjątku cała klasa tłumnie, jak przedtem, otoczyła tę samą ławkę.

— Przebacz!.. Nie jedź!.. My więcej nigdy nie będziemy...—odzywały się zewsząd głosy, a w niejednych oczach łzy drżały.

— Ale nie jedź... My ciebie jak siostrę będziemy kochały...—przebac—leciały ze wszystkich stron przyrzeczenia i prośby.

I dziewczęta jedna przez drugą, tłocząc się, chwytaly za ręce oszołomioną Józefowiczównę, całując jej twarzyczkę zapłakaną.

Ale najbardziej skruszoną była Sielawska. Pamiętaj—wołała—że będę twoją przyjaciółką, aż do śmierci, niechno tylko ktoś palec na ciebie zakrzywił.. boś ty najlepsza i najszlachetniejsza z nas wszystkich, myśmy dumne z ciebie, choć jesteś najmłodsza!

Tak «grymaśnica» pozyskała serce i szacunek swych kolegów.

Józefat Nowiński.

Dwaj przyjaciele.

— To ty, Piotrze?

— To ty, Tomaszu?

I dwaj chłopcy rzucili się sobie na szyję, szczęśliwi z niespodziewanego spotkania.

Działo się to we Florencji, w pierwszych latach siedemnastego wieku.

— Cóż ty tu robisz w naszym mieście? — pytał Tomasz.

— Uciekłem z Cortony i szukałem ciebie przyjacielu; teraz ty powiedz mi, jak ci się tu powodzi—odpowiedział przybyły.

— Doskonale, niema lepszego rzemiosła na świecie, jak być kuchciem u dobrego pana. Jestem zupełnie zadowolony z mego losu — zapewniał wesoły Tomek — i doprawdy boję się bardzo, czy nie utyję zanadto, zjadając tyle przysmaków.

— Przyszedłem właśnie zaradzić temu i to natychmiast przerwał mu Piotr — pożyw mnie, bo nie jadłem od wczoraj.

I dwaj chłopcy, z których żaden nie miał więcej nad lat dwanaście, skierowali się ku mieszkaniu Tomasza.

Służył on w pałacu kardynała Sachetti, tam więc weszli, a drapiąc się po wysokich i niewygodnych schodkach, otworzyli nareszcie izdebkę na poddaszu, w której sypiał mały Tomek.

Izdebka była ciasna i niska, ale przyzwyczajonemu do niewygód chłopcu wydała się doskonałą.

— Pozwolisz mi tu zostać?...—zapytał Piotruś.

— Czy pozwolę? — odpowiedział Tomek, ściskając z radością przyjaciela, i pobiegł do kuchni po zwykłą żywność.

Obiad był tak obfity, że nasycił obydwoh.

— No, a teraz powiedz mi, co myślisz robić? — zapytał gościa gospodarz.

— Myślę się uczyć rysować, a potem malować—odparł bez namysłu Piotr.

Tomek pokręcił głową.

— Zawsze ci te mazaniny w głowie, smarowałbyś lepiej masłem po papierze jak ja, upieczonoby na nim wyborne ciastka, a tak...

— A tak będę malarzem—przerwał mu Piotr, i na tym skończyła się pierwsza artystyczna sprzeczka dwóch pastuszków toskańskich z Cortony, z których jeden miał pozyskać sławę znakomitego rysownika, a drugi wypróbowanego przyjaciela.

Bo potrafił nim być Tomek. Wiernie dzielił z Piotrem każdy kęs chleba. Z początku obaj nie mieli ani grosza, Piotr więc węglem rysował na ścianie swoje obrazy; ale w nagrodę pilnych usług dostał nareszcie Tomasz trochę pieniędzy i odniósł je wszystkie koledze, a ten miał już za co kupić sobie papieru i ołówków.

Odtąd młody artysta siadywał całymi dniami w pięknych florenckich kościołach i przerysowywał obrazy, a w wieczór wierny Tomek karmił go przysmakami, które dostawał od kucharza, a które chował dla przyja-

ciela, podziwiając z pokorą wielki jego talent i obchodząc się często sam najprostszym pożywieniem.

Zdarzyło się raz, że kardynał Sachetti, postanowiwszy przebudować swój pałac, oprowadzał sam po nim budowniczego, któremu powierzał robotę.

Weszli więc obaj panowie i do izdebki, zajmowanej przez dwóch pastuszków z Cortony.

Z największym zdumieniem ujrzeni tam rysunki Piotrusia. Wezwany dla wytłómaczenia ich Tomek, przeląkł się okropnie, ale zapominając o sobie, błagał tylko za przyjacielem.

— Mieście litość nad Piotrusiem!—wołał schylając się do nóg kardynała, to ja zawiniłem, pozwalając mu bawować po ścianach.

Ale jakież było zdziwienie biednego chłopca, kiedy te bazgroły właśnie, z rozkazu kardynała, starannie na ścianach zachowanymi zostały, a młody Piotr z Cortony, obsypany pochwałami, miał teraz zapewnioną pomoc w nauce, która mu dała sławę.

On to malował w Rzymie piękny sufit w pałacu Barberinich. Zwano go zawsze Piotrem z Cortony, a w pięćdziesiąt lat potem Toskania szczyliła się dwoma znanymi i uwielbianymi przez wszystkich starcami. Jeden z nich był chwałą ojczyzny, jako wielki malarz, drugiego pokazywano sobie ze wzruszeniem, mówiąc: oto wzór przyjaciela!

Z. B.

Wiśnie księdza proboszcza.

I.

Prześliczny był ranek majowy. Sędziwy ksiądz proboszcz otworzył okno, wyglądając na ogród; ukończył już pacierze i rozmyślanie, teraz miał iść ze mszą do kościoła. Ponieważ to był miesiąc Marji, więc przechodząc przez ogród, chciał zerwać trochę kwiatów, by świeży bukiet postawić na ołtarzu Najświętszej Panny. A właśnie na jednej grządce miał parę krzaków lilij, na które czatował oddawna, teraz przecież te piękne pączki musiały już zakwitnąć. Ksiądz proboszcz włożył kapelusz i wszedł do ogrodu.

Obejrzał najpierw lilje. Po namyśle przekonał się, że z zerwaniem ich należało trochę poczekać. Jeden kwiat dopiero zupełnie był otworzony, inne pękały za ledwie. Za dni parę rozwiną się w całej okazałości, przypadnie to właśnie na zakończenie nabożeństwa majowego, a to miało być obchodzone z wielką okazałością. Panna Eleonora, kolatorka, obiecała dać do ołtarza nowe firanki muślinowe z niebieskimi kokardami. Lilje białe prześlicznie przy nich wyglądać będą, zwłaszcza, gdy zapalą się wszystkie świece; więc dziś pozostały nietknięte.

Zerwał tylko kilka ładnych różyczek, kilka goździków nakrapianych i parę gałązek bzu białego.

Przechodził potym obok szpaleru, gdzie rosło drzewko wiśniowe, przedmiot szczególnych i najtroskliwszych jego starań. Jeden z przyjaciół proboszcza, będący misjonarzem w Persji, przywiózł mu był gałązkę wiśni rzadkiego gatunku, a ta, zaszczipiona na dzicze, przyjęła się doskonale. Bo też z jaką troskliwością była pielęgnowana! Zaczyna proboszcz własną ręką obwijał drzewko słomą na zimę, a na wiosnę polewał, osłaniał od wiatrów i upału, oczyszczał z gąsienic, żuczków, mrówek, chuchał, dmuchał na ukochaną wisienkę swoją, czuwał nad nią, jak matka nad dzieckiem. I oto tej wiosny spotkało go wielkie szczęście; ze wzruszeniem, łatwym do odgadnięcia, obaczył na drzewku pięć ślicznych pęczków białych kwiateczków.

O, z jakimże niepokojem strzegł teraz swego skarbu! Co wieczór z sercem bijącym oglądał termometr, czy nie zagraża młodocianym pączkom przymrozek, któryby je zwarzył w zawiązku: co rano znów sprawdzał z radością, że żadna kłeska ich nie spotkała, że rozwój odbywał się w sposób prawidłowy i zupełnie pomyślny. Białe płateczki wnet opadły, uniósł je powiew wietrzyka, a na ich miejscu ukazały się zielone kuleczki, zrazu malutkie, lecz powiększały się stopniowo, wypełniały, aż w końcu poczęły się rumienić, i wcześniej bardzo, w porze, gdy inne wiśnie zwyczajne, nawet najżarłoczniejszych malców wiejskich nie nęca, owe perskie, osobliwe jagody dojrzały. Przy końcu maja, co jest rzeczą niesłychaną, ksiądz proboszcz w ogrodzie swoim miał wiśnie purpurowe, błyszczące, soczyste, gotowe do zerwania.

Wsparty na lasce, uradowany, zachwycony, ksiądz proboszcz wpatrywał się przez chwilę w te przepyszne

jagódki. Nie, wzrok go nie mylił, były naprawdę dojrzałe! Gdy wiśnie dojrzeją, należy je zerwać, rzecz prosta; inaczej staną się pastwą łakomych wróbli, os, owadów rozmaitego rodzaju. Nie było co nawet odkładać, wypadło zerwać jagody zaraz, nim słońce przygrzeje; na upale owoc dojrzały długo pozostać nie może, gdyż więdnę i traci świeżość. Staruszek obejrzał się po grządkach, wybrał piękny, duży liść kapuściany, ostrożnie, nie bez wzruszenia zerwał pięć pęczków wisien jeden po drugim. Każdy składał się z sześciu lub siedmiu jagód.

Ułożył z nich ładną wiązanekę, a trzymając ją w ręce i spoglądając na nią z czułością, teraz dopiero pomyślał z pewnym zakłopotaniem, co on z temi wiśniami zrobi? Sam przecież jeść ich nie będzie, uchowaj Boże! Nigdy nie podobnego do głowy mu nie przyszło. Czyż to dla niego rosły i dojrzewały takie przepyszne, nadzwyczajne owoce? Jeśli zaglądał do nich troskliwie rano i w wieczór, czuwał nad nimi i pielęgnował, to nie w tym celu, ażeby tym wyszukany przysmakiem zadowolić własne podniebienie. Łakomstwo tego rodzaju za grzechby uważał.

— Już wiem, co zrobić—rzekł sobie w duszy ksiądz proboszcz — ofiaruję te wiśnie pannie Eleonorze. Ona taka dobra, tyle mam dla niej obowiązków wdzięczności, a chociaż to rzecz drobna, nie wątpię, że jej sprawię przyjemność, nie na dar patrzeć ona będzie, lecz na chęci. Panna Eleonora jest prawdziwą dobrodziejką mego kościoła, jest dobrodziejką ubogich w mojej parafji; ja znów nie nie posiadam szacowniejszego od tych wisien, które wyhodowałem z taką troskliwością, i komuż miałbym je złożyć w hołdzie, jeżeli nie jej? O tak, wiśnie te godne są panny Eleonory, a ona godna tych wisien.

II.

Zadowolony ze swego pomysłu, zacny proboszcz zerwał drugi liść kapuściany, przykrył jagody z wierzechu, ażeby świeżość ich zachować, potem śpiesznie podążył do kościoła, bo godzina mszy się zbliżała. Panna Eleonora szła także ze strony przeciwnej, bo ona nigdy mszy nie opuszczała, czy pogoda, czy słońce lub mróz, codziennie widziano ją w kościele wiejskim.

Dzieje całego życia panny Eleonory możnaby określić jednym wyrazem: poświęcenie. Urodziła się w zamku swym rodzinnym i nigdy go nie opuszczała. Młoda panienką będąc, pielęgnowała chorą matkę, nie chciała jej odstąpić, chociaż choroba ta trwała lata całe, i jakkolwiek ciocia, zamieszkała w Paryżu, zapraszała ją do siebie, wabiła obietnicami zabaw i rozrywek, stosownych do jej wieku. Po śmierci matki nie wyszła za mąż, jakkolwiek nie brakło jej starających się lecz ona nie chciała opuścić młodszej siostry, potrzebującej opieki. Wychowywała ją też starannie.

I tak zawsze, przez całe życie nigdy nie myślała o sobie, tylko dla innych się poświęcała, nigdy też nie okazała, że cierpi, że się czuje nieszczęśliwą. Zawsze tym samym wzrokiem spokojnym i łagodnym na świat i ludzi spoglądała, ten sam uśmiech rezygnacji miała na ustach. Włosy jej pobielały tymczasem, lata mijały i coraz nowe przynosiły jej smutki: utraciła wreszcie tę siostrę ukochaną, dla której wyrzekła się własnego szczęścia i p. Eleonora pozostała sama jedna i opuszczona w zamku rodzinnym.

Wówczas zacna kobieta została opiekunką ubogich, sierot, czas swój zapelniała dobrymi uczynkami. Nie była i teraz nawet nieszczęśliwą, bo umiała być pożyteczną i jednać sobie wszystkie serca. Nie była samotną, gdyż dom swój otworzyła ubogim: kto tylko cierpiał, z ufnością garnał się do niej, a ona, niosąc każdemu pomoc, o ile to było w jej możności, ciągle innymi zajęta, nie miała czasu myśleć o sobie, o własnych smutkach i cierpieniach.

P. Eleonora była prawą ręką pocziwego proboszcza w uczynkach miłosiernych, on ją szanował i wielbił, jak świętą. Zwykle też po mszy widywali się w zakrystji i załatwiali różne sprawy; dzisiejszego rana zeszli się tam także, a gdy p. Eleonora zbliżyła się do proboszcza, on wziął w rękę wspaniałą dar swój, wiśnie owinięte w liście zielone i mówił głosem wzruszonym, z uśmiechem dumy na ustach:

— Przynoszę kochanej pani pierwsze owoce, które dojrzały w moim ogródku, wyhodowane i wypielęgnowane moimi rękami. Drobnostka to jest zapewne, nie mająca żadnej wartości dla pani, lecz szczerem sercem ofiarowana. W każdym razie pozwolę sobie zwrócić uwagę pani, że to nie są zwyczajne, pospolite wiśnie; szczerp otrzymałem parę lat temu od przyjaciela, misjo-

narza, a ten go przywiózł aż z Azji. To też widzi pani, że moje wiśnie dojrzały daleko wcześniej od tutejszych, krajowych, co już samo wartość ich podnosi.

Panna Eleonora nie nawykła była do pieszczot; od dawna już nikogo z bliższych nie miała na świecie, ona zawsze innych obdarzała, sama nigdy nie otrzymywała darów; uprzejmość więc pocziwego proboszcza rozrzucała ją niezmiernie. Serce jej niewinne zachowało uczucia dzieciniego wieku, wrażliwa była, jak młoda panna. Rozpromieniona, rozradowana, nie umiała słów znaleźć na wyrażenie swej wdzięczności, powtarzała tylko raz po raz:

— O, dziękuję, dziękuję, jakież ksiądz proboszcz dobry jest dla mnie!

I w duszy myślała też samo: jakież on dobry, najpierwszych wisien pozbawia się dla mnie! Cóż to za uprzejmość! Wiedział, jaką przyjemność mi sprawi takim dowodem pamięci. Wychodząc z zakrystji, odwróciła się jeszcze na progu i powtórzyła:

— Dziękuję, dziękuję!

Przechodząc przez kościół, uklękła przed ołtarzem, i z dzieciną, rzewną prostotą dziękowała Bogu za tę radość, którą jej zesłał zaraz na początku dnia.

Gdy wyszła z kościoła, odwinęła ostrożnie przykrywający je liść kapuściany; jakież te wiśnie były śliczne, rumiane, soczyste, przezroczyście! Za nic w świecie nie zjadłaby ich sama! Ona większą przyjemność sobie zapewni: rozkosz obdarzenia niemi kogoś!

Dziś właśnie miała odwiedzić młodą dziewczynę, dla której ten piękny dzień słoneczny mógł być ostatnim dniem życia. Choroba jej piersiowa postępowała powoli, wyglądała nieboga, jak lampa gasnąca z braku oliwy. Sama jedna była na świecie, tak jak i panna Eleonora, nikt z bliskich nie czuwał nad nią. Nie opuściły jej jednak dusze miłosierne. Zresztą, dziś już tak niewiele potrzebowała!.. trochę mleka świeżego, owoców, a te najlepiej lubiła; o, jakże w porę p. Eleonora dostała te wiśnie, z jaką radością odda je biednej chorej, aby jej sprawić chwilową przyjemność!

III.

Rozjaśniły się oczy Rozalji, tak się nazywała chora dziewczyna, gdy ujrzała wchodzącą swoją opiekunkę

i dobrodziejkę. Witaa ją co rano wraz z promieniem słonecznym, zaglądającym do jej ubogiej izdebki. Wyciągnęła do niej wychudłą, przezroczyście rękę.

— Patrzno, Rozalko, co ja ci tu przynoszę—rzekła z uśmiechem p. Eleonora — ucieszysz się niezawodnie. Oto wisienki! dojrzały z łaski Bożej wcześniej od innych, abyś pokosztowała ich smaku.

Rozalja podniosła na nią wzrok pełen wdzięczności.

P. Eleonora położyła wiśnie tuż przy niej, posiedziała z godzinę, a gdy odeszła, słowa jej długo jeszcze brzmiały w uszach i sercu chorej, jak dźwięk chórów niebiańskich. Spoglądała na wiśnie z rozrzwiniem, ale ich nie tknęła.

— Co to znaczy, że Antoniowa nie przychodzi?—szepnęła wreszcie i jednocześnie prawie wykrzyknęła radośnie, gdyż drzwi otworzyły się z cicha i weszła staruszka uboga ubrana.

— Spóźniłam się dziś trochę — rzekła wchodząca — ale nie moja to wina, naprawdę, choć słonko Boże tak pięknie świeci i grzeje, trudno już rozgrzać stare swoje kości. Tak mi ten niegodziwy reumatyzm dokucza, że ruszyć się czasem trudno i zanim się uporałam w domu... No, ty mi wybaczysz, kochanko, w moim wieku nie żał chorować, ale, za co ty cierpisz biedne jagniętko?

— Nie żałujcie mnie, Antoniowo, wszyscy są tacy dobrzy dla mnie, wyście mi tyle serca okazali, jak matka rodzona, a ja wam przecież obcą jestem, nie macie żadnego obowiązku czuwać przy mnie po całych nocach, dawać mi mleka!..

— Ta, ta, ta! Co za gadanina niedorzeczna — zawołała staruszka. Ciekawam, co jabym miała lepszego do roboty? Stara już jestem, pracować nie mogę, a czy tu przy tobie, czy w swojej izdebce kądziel pręde, to mi przecież wszystko jedno, ty mi nie przeszkadzasz!

— Antoniowo — mówiła chora słabym głosem — ja mam prośbę do was. Nie odmówicie mi, nieprawdaż?

— Nic ci nie odmówię, ptaszyno moja kochana, jeżeli to tylko jest w mojej mocy.

— Idzie tylko o to, moja dobra Antoniowo, ażebyście przyjęli ode mnie coś, co ja wam ofiarować pragnę. Nigdy nie chcieliście nawet pokosztować tych wszystkich

przysmaków, które mi przynosi p. Eleonora. Ale dziś nie odmówicie tej już prośbie, zapewne ostatniej!..

— Co też ty mówisz, kochanko? dziś lepiej daleko wygładasz, musisz być zdrowsza.

— Ale wyście przyrzekli spełnić moją prośbę—odrzekła Rozalka—weźcież więc te wiśnie, które mi p. Eleonora przed chwilą przyniosła. To wiśnie niezwykajne, wcześniej od innych dojrzały, patrzcie, jakie piękne. Przyjmijcie je odemnie, moja droga Antoniowo, przyjemność mi sprawicie.

— Co, jabyś miała wiśnie zjadać? Co też ty mówisz, gołąbko ty moja! Co mnie starej po takich przysmakach, a ciebie ten owoc soczysty orzeźwi.

Chora ze smutkiem na nią spojrzała:

— Odmawiacie mi, Antoniowo, to niedobrze — rzekła—wy jeszcze doczekacie, jak inne, zwyczajne wiśnie dojrzeją, ja już tego nie zobaczę. Ale przypomnicie sobie wtenczas biedną Rozalkę i żal wam będzie, żeście nie chcieli jej ostatniej prośby spełnić. A przecież wybyście powinni lepiej od innych rozumieć, że przyjemniej jest dawać, aniżeli brać...

— No, no, już dobrze, gołąbeczko moja — mówiła stara, powstrzymując łzy—wezmę twoje wisienki, a muszę być smaczne! Ho, ho! ja tu już ślinkę połykałam, jak tylko je spostrzegłam na stolicku; myślałam sobie: czemu to ja nie zachoruję, żeby panna Eleonora i mnie takie przysmaczki zносиła. Dziękuję ci, kochanko, dziękuję, jeżeli ci to taką przyjemność sprawia, że mi je dajesz, to i ja także z przyjemnością wielką ten dar serdeczny od ciebie przyjmuję.

— O, jakże to dobrze, jak ja się cieszę...

Tu kaszel gwałtowny przerwał mowę chorej, opadła osłabiona na poduszki; lecz po chwili skinęła na staruszkę i szeptem prawie, bo głosu dobyć nie mogła z piersi, do ucha jej powiedziała:

— Jeszcze jedną łaskę musicie mi wyświadczyć, Antoniowa. Pójdźcie po księdza proboszcza, on wprawdzie i sam dziś przyjsć obiecał, ale mógłby się opóźnić. Przepraszam was bardzo za ten trud ostatni, teraz już niezadługo odpoczniecie, Bóg wam zapłać, Bóg zapłać za dobroć waszą dla sieroty. Ach! takbym chciała, żeby ksiądz proboszcz przyszedł prędkiej...

— Przyjdzie, kochanko, przyjdzie, idę prosto na plebanję—i mówiąc to, Antoniowa zabrała wiśnie, owi-

nęła je starannie liśćmi, zamknęła drzwi za sobą i powlokła się na plebanję. Staruszka nie mogła przyśpieszyć kroku, co chwila musiała odpoczywać, przysiadła wreszcie na kamieniu granicznym przy drodze i myślała o biednej Rozalce.

Bo też ona była taka dobra, cierpliwa, wdzięczna, prawdziwie anielskie miała serce. Jakżeż było jej nie kochać? Oto i teraz wyrzekła się tych wybornych wisien, aby obdarzyć niemi staruszkę. Antoniowa z rozrzwienieniem patrzyła na rumiane jagody, odwinawszy liść kapuściany. Wyglądały tak ponętne, musiały być takie soczyste!

Słońce południowe przygrzewało dość silnie. Staruszka była znużona, usta jej zaschły od upału i kurzu, mogła się orzeźwić soczystymi wiśniami, miała je przecież pod ręką. O nie! do czegożby to było podobne? Ta anielska dziewczyna wyrzekła się smacznych jagódek, aby pocziwemu sercu dogodzić, a ona miałaby być tak żarłoczną i przysmaki podobne zjadać! Toż byłoby to łakomstwo niedarowane, znajdzie się przecież ktoś godniejszy takiej ofiary. A i szukać daleko nie potrzeba, któż mógł być godniejszym tego daru od księdza proboszcza?

Zacny proboszcz już także podeszły jest w latach i cierpi nieraz na reumatyzm, a pomimo to z jakąż nieustrudzoną gorliwością spełnia obowiązki swoje! Nie zważa na deszcz, niepogodę, zimą nawet mróz i śnieg go nie powstrzymuje, gotów każdej chwili, czy w dzień czy w nocy, na wezwanie parafjan. A jaki miłosierny i dobroczyanny! Ostatni grosz oddaje nędzarzom. Stara Janowa, gospodyni proboszcza, rzędzi i gderze przed znajomymi, że nie przez niego w domu utrzymać nie można, żadnego porządku niema, ani w kredensie, ani w spiżarni, bo wszystko porozdaje. Biedna Janowa rady sobie dać nie może, ksiądz proboszcz nigdy nie ma pieniędzy na wydatki domowe. Gdy mięsa zabraknie, każe gotować z postem, a i poskarżyć się niepodobna, bo zawsze najlepsze i najmniejsze kawałki dla niej zostawia, powiadając, że on ma jeszcze mocniejsze zęby.

— Tak, tak, musi ksiądz proboszcz zjeść te wisienki, niech mu będą na zdrowie — mówiła stara sama do siebie—byle tylko nie oddał większej części Janowej.

Dowlokła się wreszcie na plebanję o dwunastej godzinie, właśnie dzwonek uderzył na Anioł Pański,

Antoniowa zatrzymała się i odmówiła trzy Zdrowaś za dusze zmarłych.

— W samą porę przychodzę—pomyślała — ksiądz proboszcz siada pewnie do obiadu, ani się spodziewa, jaki pyszny deser mieć będzie.

Weszła bocznymi drzwiami do kuchni.

IV.

— Jak się macie Janowa! czy ksiądz proboszcz jeszcze nie po obiedzie?

— Postawiłam właśnie wazę na stole—odpowiedziała gospodyni.

— To dobrze, poczekam tu sobie, aż się obiad skończy.

Ale drzwi od pokoju jadalnego na wpół były otwarte, ksiądz proboszcz usłyszał głos obcej kobiety i zawołał na Janowę.

— Kto tam jest w kuchni?—zapytał.

— Antoniowa.

— Czy potrzebuje czego?

— Jakiś interes ma do księdza proboszcza, ale ona poczeka.

— Pocóż ma czekać? Niech tu przyjdzie zaraz. Dzień dobry Antoniowo, siadajcie, zostanie przecież i dla was coś z obiadu. A co to za interes macie do mnie?

Staruszka ukloniła się z uszanowaniem. Ksiądz proboszcz siedział przy małym, okrągłym stoliku, przykrytym białym, jak śnieg, obrusem. Jedyny to był zbytek, na który Janowa mogła sobie pozwolić, chociaż nie raz i na mydło z trudnością zdobywała pieniądze. Latem podczas pogody, stół ten zwykle przysuwał się do okna, ksiądz proboszcz sypał zaraz na nie okruszyny chleba, a wróble żarłoki czasem aż na stół wskakiwały i dziobały łapczywie resztki z półmiska. Antoniowa przysunęła się i usiadła na rogu krzeselka, mówiąc:

— Upadam do nóg księdza dobrodzieja, ja już po śniadaniu, jeść mi się nie chce.

Coprawda śniadanie, złożone z filiżanki mleka i kromki suchego chleba, nie odebrało jej apetytu, ale wiedziała, że obiady księdza proboszcza nie bywały za nadto obfite.

— O cóż to wam idzie Antoniowo? — pytał ksiądz.

— To ta biedna Rozalka czuje się dziś słabsza i obawia się, aby dobrodziej nie spóźnił się z Panem Bogiem.

— Rozalka? Miałem właśnie iść do niej po obiedzie, ale jeżeli jej tak śpieszno, to idę zaraz — i proboszcz otarł śpiesznie usta serwetą, rzucił ją na stół, zdjął kapelusz z kolka i do drzwi się zwrócił, gdy wpadła Janowa, wołając przerażeniem:

— A kotlet! Na miłość Boga, niechże jegomość nie idzie bez kotleta!

— Niech postoi na ogniu, Janowa, zjem go jak powrócę.

— Tak! wyschnie tymczasem, jak podeszwa.

— To go zjedz sama, póki miękki, moja kochana.

Janowa obiema rękami chwyciła się za głowę.

— Jegomość kiedyś głodem się zamorzy — wołała z rozpaczą—a toż świętej cierpliwości potrzeba!..

— Dobrodzieju... — odezwała się pokornie Antoniowa.

— Czego chcecie, moja kochana?

— Chciałabym jeszcze, proszę dobrodzieja... wielka to śmiałość z mojej strony, ale mam tu... niech mi dobrodziej tej łaski nie odmawia...

— Ale nie odmawiam, powiedzcie tylko, czego chcecie, moja Antoniowa.

— Ja bo nie nie chcę, tylko sama przyniosłam...

— Jakiś podarunek dla mnie? Cóż to znowu, pewnie ta paczka zielona? Zbytki jakieś, ej, Antoniowa! — i palcem pogroził.

Staruszka rumieniła się, jak młoda dziewczyna, włożyła zawiniątko w ręce księdza i mówiła z zakłopotaniem:

— Niech dobrodziej tę śmiałość wybaczy... i przyjmie dobrym sercem...

— No, no, obaczymy...

Rozwinął paczkę, spojrzał... i obaczył własne swoje wiśnie! Znał je aż nadto dobrze; od kilku tygodni przecież codziennie im się przypatrywał, znał dokładnie kształt niemal każdej jagódki z osobna.

Uśmiechnął się, bo zrozumiał odrazu, jaką drogę odbyły te wiśnie od rana nim powróciły do niego.

— Tak, to już Pan Bóg chciał widać — pomyślał w duszy—ażeby przy mnie zostały. Niema co, trzeba

będzie je spożyć i podziękować Panu Bogu, co też uczynię z prawdziwą przyjemnością.

Nie powiedział jednak Antoniowej, że wiśnie wyszły z jego własnego ogrodu, podziwiał ich piękność, jakby je widział po raz pierwszy, w czym nawet z prawdą się nie mijał, bo rzeczywiście jagody wydały mu się teraz jeszcze daleko piękniejsze, szczerze był niemi zachwycony.

— Pyszny będzie deser — rzekł na zakończenie — nigdy w życiu nie miałem podobnego. Dziękuję ci, serdecznie dziękuję, moja pocziwa Antoniowo. Słońce przygrzewa, zmęczone się i zgrzeję, a jak powrócę, toż mi te wisienki będą smakowały! Ej, Antoniowa! będziesz miała na sumieniu, jeżeli zgrzeszę łakomstwem.

Ksiądz proboszcz śpiesznie poszedł do mieszkania Rózi, udzielił biedaczce pociechy religijnej, a załatwiwszy ten światobliwy obowiązek, wolnym krokiem powrócił do domu. Parę razy zatrzymywał się po drodze i wypoczywał, bo pierwsze upały wiosenne męczące bywają dla starców, przytym dodać trzeba, że godzina obiadowa księdza proboszcza oddawna minęła i głód mu się czuć dawał dotkliwie. To też zdjęwszy kapelusz, zaraz wszedł na próg kuchni i spytał:

— Cóż tam, moja Janowa, czy jest ten kotlet dla mnie?...

— Aha, kotlet! — mruknęła stara gospodyni nadąsana — niema już kotleta.

— Zjadłaś go sama? Dobrze zrobiłaś, moja Janowa.

— Aha! zjadłabym ja tam sama taki kotlet, czy to na moje zęby? Trzymałam go na ogniu z godzinę, aż wysechł, jak róg; tymczasem przyszedł ślepy Wawrzyniec, i ja mu kotlet oddałam. On ma dobre zęby, schrupał go doskonale i kość oddał psu.

— Bardzo dobrze zrobiłaś Janowo, bardzo pięknie i Bóg cię błogosławić będzie za ten miłosierny uczynek. Ja wprawdzie głodny jestem, ale mięso mogłoby mi zaszkodzić w taki upał.

A nie będę przecież głodny; mam tu prześliczne wiśnie, przyniesione przez Antoniową, zarobiłem na nie i zjem wszystkie, co do jednej. Jest tam na stole i kawałek świeżutkiego chleba, będę miał pyszną ucztę; dobrze się stało, że Wawrzyniec dostał kotlet i kosteczkę dla psa. Tylko, że tych wisien za dużo dla mnie jednego, dostaniesz i ty trochę, moja kochana.

Ksiądz proboszcz otworzył drzwi do jadalnego pokoju. Wtym nagle dał się słyszeć szelest gwałtowny, jakby skrzydełek ptasich, towarzyszył mu świegot hałaśliwy i spłoszone liczne stado wróbelków wyfrunęło ze stolika przez okno otwarte do ogrodu.

— Cha! cha! — zaśmiał się ksiądz proboszcz — nie popylałem im okruszyn na oknie, przyszły dziobać na stole. A to łakoma zgraja!

Lecz zbliżywszy się do stołu, umilkł nagle i stanął jak wryty. Liście kapuściane leżały na stoliku porozciągane, pomięte i poszarpane, wisien nie pozostało w nich ani śladu, jedna tylko, jedyna jagódka, zasunęła się przypadkiem pod talerz i uchwalała się przed żarłoczną zgrają. Obrus cały powalany był sokiem wiśniowym, tu i owdzie znalazły się odziobane pestki obok okruszyn chleba. Ochłonawszy ze zdumienia, ksiądz proboszcz parsknął śmiechem.

— A lotry, hultaje! Toż się uraczyły!

Janowa wpadła w gniew straszny.

— I któż temu winien? — wołała — jegomość sam zawsze winien wszystkiemu. Kto to widział przywabiać tę hołotę do pokoju? Wróble, to także same szkodniki, jak myszy.

Ułagodziła się w końcu i przypomniała sobie, że biedny proboszcz nie jadł. Poszła więc do spiżarni, ukroiła dużą kromkę chleba, nasmarowała grubo konfiturami z borówek, jak to się zwykle robi dla dzieci na podwieczorek, i w milczeniu skromny ten posiłek postawiła na talerzu przed proboszczem.

Posiliwszy się chlebem z konfiturami, ksiądz proboszcz wypoczął trochę. Niedługo wprawdzie, bo nadeszła godzina katechizmu, więc wstał znowu, zabrał z sobą ostatnią wisienkę, niedojedzoną przez wróbelki i poszedł do dziatwy wiejskiej, która hurmem zesła się na plebanję. Pokazał wiśnię dzieciom, trzymając ją za krótką szypułkę i rzekł:

— Kto najlepiej odpowie na wszystkie pytania, dostane tę jagódkę w nagrodę. Patrzcie, czy nie ładna? A smaczna być musi!...

Na nagrodę zasłużył mały chłopaczek jasnowłosy i sam jak wiśnia zarumieniony z radości, przybiegł po nią do księdza. Ten jedną ręką go pobłogosławił, drugą włożył mu w usta piękną wiśnię, którą chłopczyk

spożył z rozkoszą i uszczęśliwiony pobiegł do domu. Na tym się kończą dzieje wisien księdza proboszcza.

M. J. Zaleska.

Prawdziwe szczęście.

Niedaleko Gdańska miał kuźnię ubogi kowal, który wyrabiał same tylko skówki do statków, zwane żabkami. Przy szczupłych swoich dochodach, był jednak zawsze wesół: bezustannie śpiewał lub świstał przy robocie.

Pewnego dnia przejeżdżał tamtędy bogaty Anglik, a że ludzie tego narodu są często ponurzy i smutni, nie mógł się więc wydziwić, jak biedny rzemieślnik może się tak weselić. Idzie tedy do niego i wdaje się z nim w rozmowę.

— Mój kochany — rzecze — dlaczego ty zawsze tak wyśpiewujesz? Czy ty się masz za szczęśliwego?

— Zapewne—odpowie kowal — jestem szczęśliwym, prawdziwie szczęśliwym. I czegoż mi braknie? Mam rządzą, dobrą żonę, mam pewny kawałek chleba, jestem zdrow, a po pracy mile mi czas upływa.

— Ale gdybyś miał więcej pieniędzy, możebyś był jeszcze szczęśliwszym—dodał Anglik.

— Kto wie, panie — odpowiedział pracowity rzemieślnik—możebym tak nie śpiewał.

× Bogaty podróżny upuścił nieznacznie kiesę złota pod jego kowalskie naczynie i wyszedł. × Jeszcze czas niejaki miał w tym miejscu zabawić.

Ale następnych dni nie było już słyhać w kuźni kowala ani huku młota, ani wesółych śpiewek.

Ciekawością zdjęty, idzie Anglik do niego i pyta o przyczynę tej zmiany.

— Cóż ci się stało, pocziwy człowieku, wszak miałeś się za zupełnie szczęśliwego?

— Cóż robić, panie — rzekł kowal nieco pomieszany—czasem przyjdzie co na człowieka.

— Mój kochany—mówił dalej podróżny — bądź dobrej myśli, twój smutek prędko przeminie, ale ja nie-
szczęśliwy! zgubiłem tu w tych miejscach kiesę złota, a jest to znaczna część mego majątku.

— Co! Pan zgubiłeś pieniądze?—wykrzyknął z uniesieniem kowal rozweselony—te to nieszczęsne pieniądze właśnie nabawiły mnie takiego smutku. Ja lubię tak żyć, jak żyłem, a pieniądze te uczyniły mnie niespokojnym. Uważałem je za cudze i nie wiedziałem, komu oddać.

Tu się wypytał o ilość i gatunek zawartych w kiesie pieniędzy, a przekonawszy się, że te same, oddał je właścicielowi, rozniecił ogień, rozpoczął zwykłą pracę i znowu śpiewał i świstał wesoło.

E. Estkowski.

Siostry Miłosierdzia.

Świątobliwe te sługi Chrystusowe, pocieszycielki chorych, ubogich, opiekunki sierot, zanadto dobrze są znane, zanadto powszechnie wielbione, abyśmy potrzebowali pochwały ich głosić. Paganie nawet szanują Siostry Miłosierdzia. Gdzie tylko cierpienie, nędza, smutek czuć się daje, tam migają białe kapelusze, jak skrzydła anielskie, otaczające skronie tych prawdziwych aniołów Bożych. Każda Siostra Miłosierdzia pełni obowiązki swe z prawdziwego powołania i z dobrej woli, gdyż nie są związane wieczystymi ślubami, jak inne zakonnice. W każdej chwili mogą wystąpić ze Zgromadzenia i zdjąć zakonne szaty. A jednak wypadki podobne zdarzają się bardzo rzadko, kto raz zakosztował słodczy służby Bożej, nie tęskni do światowej swobody. Słodkie jest jarzmo Chrystusowe!

A jednak dobrowolna służba, podjęta przez te świątobliwe niewiasty, ciężką jest i trudy niemałe pociąga za sobą. Siostry mieszkające np. w szpitalach, muszą wstawać o godz. 4-tej z rana, aby wydołać wszystkim obowiązkom nabożeństwa i służby szpitalnej. Pokarm ich jest nadzwyczaj skromny, bo fundusze na to wyznaczone są bardzo oszczędne, przytym zachowują ściśle posty. Dopelniający modłów porannych i wysłuchawszy Mszy św. w kaplicy szpitalnej, Siostry Miłosierdzia rozchodzą się po salach, gdzie każda ma wyznaczone miejsce. Przez cały dzień nie odstępują chorych, tylko na chwilę oddalają się dla odmówienia modlitw.

Łagowski.—Wypisy polskie.—II.

Sam widok chorych, i to z klas najuboższej ludności, jęczących, często wstrętnymi cierpieniami dotkniętych, nadzwyczaj jest przykry. Cóż dopiero, gdy ludziom tym potrzeba oddawać różne usługi, opatrywać rany, obmywać ich, czesać, paznogie obcinać, przebierać. Pomysłcie tylko, jakie to ciężkie, niemiłe zajęcie! Wielkiego poświęcenia, wielkiej siły ducha potrzeba, ażeby z dobrej woli, bez przymusu, bez zapłaty, podjąć się czegoś podobnego. A jednak pomiędzy Siostrami Miłosierdzia, które dni całe spędzają po salach szpitalnych, rzadko napotkać można twarze posępne, zasmucone. Zazwyczaj z pod skrzydeł białych kapeluszy wyzieraają oblicza pogodne, wesołe nawet, uśmiechnięte, opromienione dziwnym jakimś światłem, jakby odblaskiem nieba. Trudno powiedzieć, ażeby strój ten zakonny był piękny i mógł dodawać wdzięku, a jednak nigdy nam się nie zdarzyło widzieć Siostry Miłosierdzia szpetnej. Po większej części wyglądają na kobiety piękne, taki urok nadaje twarzy wyraz piękności ducha.

Często bardzo siostry Miłosierdzia mają sposobność spełniania czynów prawdziwie bohaterskich, chociaż nie uważają tego wcale za coś nadzwyczajnego. Nikt ich nie wysławia, nie rozgłasza ich poświęcenia, mało kto nawet wie o tym. Jeżeli np. wybuchnie gdzie zaraza, cholera, ospa, lub inna choroba podobna, nikt nie naraża się tak, jak one. Lekarz przyjdzie, obejrzy chorego, może przytym zachować wszystkie ostrożności: lecz Siostra Miłosierdzia ani myśli o jakichkolwiek środkach bezpieczeństwa, opatruje tych chorych, dogląda ich, dotyka, tak samo, jak innych. Nigdy nie widziano, ażeby która okazała choćby cień obawy. To też bardzo często przypłacają to zdrowiem, a nawet i życiem.

Teraźniejszy rząd francuski pousuwał ze szpitali w Paryżu Siostry Miłosierdzia i zastąpił je posługaczkami świeckimi. Tu dopiero okazało się jawnie i w całej pełni, że te służki Chrystusowe nie mogą być zastąpione przez kobiety, pełniące obowiązki przy chorych jedynie za opłatą. Na miejsce jednej Siostry Miłosierdzia dano dwie dozoreczynie świeckie; gdy te nie zdołały sobie dać rady, dodano im trzecią do pomocy, każdej płacono dwa lub trzy razy tyle, ile na skromne utrzymanie swe pobierają Siostry, wszystko na nic się nie zdało. Chorzy nie mają opieki, niedbalstwo daje się we znaki na każdym kroku, zdarzają się liczne wypadki pogorszenia

choroby, a nawet śmierć w skutek niedozoru, jednym słowem skutki są najokropniejsze.

Rząd upiera się przy swoim jedynie przez pychę, lecz lekarze, nawet nie katolicy przerażeni takim stanem rzeczy, raz po raz podają petycje, błagając o przywrócenie Sióstr Miłosierdzia, oraz Sióstr Augustjanek, które we Francji także poświęcają się pielęgnowaniu chorych po szpitalach. Najwymowniej jednak powstają przeciw zgubnej zmianie sami chorzy; ci tłumnie cisną się do kilku szpitali, gdzie jeszcze pozostawiono Siostry Miłosierdzia, jeśli tylko mogą, przenoszą się tam z innych, wykwinniejszych, przenosząc opiekę aniołów swoich nad wszelkie wygody i najdoskonalsze leki.

z *«Wieczorów Rodzinnych»*.

Rozumna kobieta.

Prawie każdemu jest znanym nazwisko Pawła Krügera, nie żyjącego już prezydenta Transwaalu, o którym czytaliśmy tak często w wiadomościach z placu boju, jaki niedawno toczył się pomiędzy Anglikami a Boerami.

Otóż pewnego dnia do drzwi skromnego domu wyższego dostojnika Transwaalu zadzwoniła jakaś pani, wykwintnie ubrana.

Otworzył jej mały chłopczyk, w bluzie płóciennej, ale czysto bardzo ubrany i o wejrzeniu pogodnym.

— Czego pani sobie życzy?—zapytał grzecznie.

— Otrzymać posłuchanie u żony prezydenta Krügera—odparła nieznajoma.

W myśli dodała wszakże:

— Chyba się pomyliłam, to nie może być mieszkania tak wysokiego urzędnika państwa.

— Proszę do gabinetu, babcia obmiata w tej chwili kurz w salonie, gdyż za godzinę ma się u nas zebrać rada panów—mówił chłopczyk, poczym wprowadził gościa do sąsiedniego pokoju.

Tutaj jeszcze większe zdziwienie odbiło się na twarzy pani Le Sage.

— Niepodobna, malec mnie nie zrozumiał, jam się pomyliła i gdzieindziej weszła!—mówiła do siebie, rozglądając się po skromnych sprzętach pokoju.

Wtym drzwi się rozwarły i weszła kobieta poważna już wiekiem, o twarzy bardzo przyjemnej, ubrana w ciemną wełnianą suknię.

— Czym mogę pani służyć? — zapytała uprzejmie.

— Jestem Ludwika Le Sage, przybyłam z Francji. Znajoma moja a przyjaciółka pani prezydentowej, Julja Rabot, wiedząc, że tutaj wyjeżdżam, dała mi list do pani—odparła zmęczona nieznajoma.

— Julja Rabot!—wykrzyknęła głosem zdradzającym wielką radość pani Krügerowa — kochana Julka!.. Ileż to lat jak nie widziałyśmy się!.. Byłyśmy młodemi dziewczętami, gdyśmy się rozstały.

To mówiąc, rozerwała kopertę podanego jej listu, i wskazawszy giestem pani Le Sage krzesło, sama obok niej miejsce zajęła, poczym czytać zaczęła.

— Kochana Julja—rzekła znowu głośno, skończywszy list — odpiszę jej, spełnię jej prośbę. Racz się pani zgłosić jutro po odpowiedź, a tymczasem przyjmij u mnie śniadanie, które mają właśnie podać.

Pani Le Sage nie odmówiła. Wszedłszy do jadalnego pokoju, zdziwiła się poraż trzeci, tak skromną zastawę ujrzała na stole i tak skromne potrawy.

— Podobno zbiera się dzisiaj Rada Państwa, wnucek pani mówił mi o tem.

— Panią to zdziwiło, wszak prawda?—odparła prezydentowa.— Wy, mieszkanki Europy, macie inne od nas pojęcia i zwyczaje. Nam taka praca nie ubliża; ja sama często służbie pomagam: myję razem z nią, piore, zamiatam i gotuję. Prowadzimy wszyscy życie pracowite a skromne. Ubieramy się z prostotą, jadamy tylko zwyczajne potrawy i napoje. Mąż mój powtarza często:

«My, którzy u szczytu stoimy, jesteśmy widziani przez wszystkich, niech więc zepsucie nie splywa z tego szczytu na niższe warstwy, jeno prawda, światło i dobro».

Uznając słuszność jego zdań i stosując się do jego woli. Co gubi rodziny i państwa? — zbytek, wszak prawda?

Strzeżemy więc lud nasz od zbytku, jak od zarazy, i sami skromnie żyjemy, pamiętając, że przykład idzie z góry. Oszczędnością zebraliśmy znaczny majątek, który mąż używa na potrzeby kraju. W ciężkich chwilach, jakie dziś zawisły nad nami, oszczędzony ten grosz jest nam wielką pomocą.

Pani Le Sage oddaliła się z domu prezydenta już nie tylko zdziwiona, lecz zarazem wzruszona i przejęta szacunkiem głębokim.

— Oto rozumna, zacna żona prawdziwie niepospolitego człowieka!—myślała o pani prezydentowej.

Teresa Jadwiga.

Dzielna siostrzyczka.

Sylwia była córką zamożnych rodziców i mieszkała w jednej z prowincji Francji. Miała ona dwóch braci, których bardzo kochała, a będąc od nich starszą o lat kilka, zawsze czuwała nad niemi troskliwie. Z tego powodu chłopcy nazywali ją swoją «małą mateczką». Co dzień rano chodziła ona z niemi na spacer, a rodzice pewni byli, że dzieciom nic złego się nie stanie, bo Sylwia rozsądną i troskliwą była opiekunką.

Pewnego ranka tak było pięknie i pogodnie, iż Sylwia dalej niż zwykle zapuściła się z braćmi. Zmęczeni bardzo, dotarszy do rozległej łąki, postanowili spocząć nieco, zanim z powrotem do domu podążą. Naraz poczęły się gromadzić czarne chmury. Przestraszona dziewczynka wezwała braci, aby wstali i pośpiesznie wracali z niemi do domu. Miała nadzieję, że zdążą dojść do jakiejś chaty wieśniaczej, zanim burza nadciągnie. Lecz zawiodła się: jeszcze łąki nie minęli, gdy czerwone błyskawice rozdarły niebiosy, wichur straszliwy zawył, gromy zahuczały i deszcz lunął potokiem. Chłopcy, z których starszy liczył zaledwie lat sześć, nie mogli już iść dalej. Silny wiatr przewracał ich, a był on tak silny, że drzewa łamał, zrywał z chat dachy i unosił je w powietrze. Przerażona Sylwia wzięła obu braci na ręce: starszemu kazała z tyłu na plecach się umieścić, młodszego otuliła ramionami i biegła zdyszana, obłana potem, zmoczona potokami deszczu, pragnąc jak najprędzej do domu się dostać.

Już, już w dali zarysowały się ściany zamku d'Alencourt, własności jej ojca, już dziewczynka w duszy mówiła sobie:

— Za kilka minut będziemy w domu,—gdy naraz przyszło jej na myśl, że wokół posiadłości ojca znajduje

się rów głęboki. Rów był suchy, gdy szli na spacer, lecz teraz spostrzegła, iż napełnił się wodą. Odważna dziewczynka nie traci jednak przytomności, spuszcza starszego brata z ramion na ziemię, każe mu stać i czekać cierpliwie, z młodszym zaś wchodzi w rów, zanurza się głęboko w wodę, i wydostaje się na brzeg szczęśliwie. Po chwili wraca po starszego i przenosi go w ten sam sposób. Płynąca wartko woda kilkakrotnie popycha ją tak silnie, iż Sylwia aż się zachwiała kilkakrotnie, prąd wody poczyną ją unosić, lecz mężna dziewczynka walczy z falą, opiera się jej i zwycięża. Z wysiłkiem chwytając się traw w wodzie rosnących, krzewów znajdujących nad rowem i wydostaje się na brzeg, zamkowi. Jeszcze braci na ręce i pędzi z niemi ku bierze znowu obu chwil kilka i dostaje się szczęśliwie do domu, oddając ojcu i matce obu chłopczyków.

Rodzice, którzy zaniepokojeni o dzieci na wszystkie strony wysłali służbę, aby ich szukała, ujrawszy zmoczoną i zdysznaną córkę, wbiegającą do pokoju, rzucili się ku niej z otwartymi ramionami. Ojciec dobiegł pierwszy, pochwycił ją na ręce i całując, zaniósł natychmiast do sypialni, by się rozebrała i położyła do łóżka. Matka zajęła się synami. Sylwia spełniła wolę ojca i leżąc opowiedziała całą przygodę, z wielką prostotą, nie nie chwając się i przeceniając swej zasługi, przeciwnie, wiele przygód, które ją przedstawiały jako bohaterkę pominęła.

Nazajutrz rozwinęła się bardzo silna gorączka i Sylwia rozchorowała się niebezpiecznie! Zdawało się, że ostatnia chwila jej życia się zbliża, że już umiera, ale i teraz odważną się okazywała. Widząc łzy w oczach rodziców, zwróciła do nich twarz uśmiechniętą.

— Nie płaczcie—rzekła—nie żałuję życia, bo oddałam je za braci moich. Ja umrę, lecz oni żyć będą, aby wyrosli na pociechę waszej starości...

Cichy płacz rozległ się w komnacie.

— O żebyż Bóg dobry cię uzdrowił, moja ukochana dziecino!—szepiała matka.

I ulitował się Bóg nad dobrą dziewczką: po kilku tygodniach ciężkiej choroby przyszła do zdrowia.

Teresa Jadwiga.

Oszczędnny król.

Było to w roku 1469. W mieście Walladolid, które do dziś dnia istnieje w Hiszpanji, odbywała się wielka uroczystość. Dobra i piękna królowna Izabella, córka królowej Kastylji, brała ślub z królewiczem Aragonji Ferdynandem.

Królowa sprosiła licznych i dostojnych gości, stoły biesiadne uginały się pod złotemi półmiskami, przeładowanemi przysmakami; panowie, zachwyceni przepychem ich otaczającym, wznosili ustawicznie toasty na cześć hojnej królowej.

Wesoło upłynął wszystkim tydzień na zamku kastylskim, bo cały tydzień królowa gości podejmowała; wreszcie Ferdynand oznajmił, że wracać musi do domu.

Gdy młoda para, pobłogosławiona przez matkę, pożegnana przez dwór, zamierzała opuścić zamek, zbliżył się do Ferdynanda jeden z dworzan i rzekł:

— Jego przewielebność, arcybiskup toledański, czeka na królewską parę w swojej komnacie.

Arcybiskup był stryjem Ferdynanda, królewicz i królowna pośpieszyli przeto na wezwanie dostojnika Kościoła.

— Nie chciałem was pożegnać wobec świadków—rzekł do nich starzec surowo—pragnąłem wam powiedzieć słów kilka, które, gdy usłyszycie sami, wdzięczni mi za nie będziecie. Wiedźcie, że wspaniałe gody wasze za pożyczone pieniądze były urządzone, wiedźcie i o tem, że skarby tak Aragonji jak Kastylji są wyczerpane, że oba państwa stoją nad przepaścią, bo Arabowie którzy już większą część Hiszpanji podbili, czyhają na nie. Gdy ją oblegną i zdobyć zapragną, my nie będziemy mieli się za co uzbroić, bo pieniędzy brak wszystkim. Pamiętajcie, że oszczędnością można zebrać miliony, a miliony dźwigają upadłe rodziny i państwa.

To powiedziawszy, pobłogosławił oboje i czule pożegnał.

Ferdynand, oraz Izabella, odziedziczywszy w lat kilka po ślubie oba państwa, w jedno je połączyli i rządy rozpoczęli. Na uroczystość koronacji Ferdynand rozesłał w różne strony państw zaproszenia, pomiędzy innymi i do stryja swego, arcybiskupa.

Miłośnicy zabaw i uczt pośpieszyli z radością na wezwanie.

— Rozpoczną się teraz wesołe czasy Aragonji—mówili do siebie.

I kto tylko mógł, śpieszył na zamek, aby zasiąść do uczty wspaniałej i nacieszyć oczy przepychem królewskim.

Lecz jakież było zdziwienie wszystkich, gdy piękna Izabella, która w niejednego pamięci stała jeszcze żywo w usianej perłami ślubnej szacie jedwabnej, ukazała się gościom w skromnej sukni wełnianej, a Ferdynand w codziennym kaftanie.

Jeden z młodych paniczów, złośliwy w mowie, zbliżywszy się do poważnego wiekiem szatnego królewskiego, rzekł z uśmiechem:

— Zdaje mi się, że suknią, którą ma dzisiaj miłościwy król na sobie, odziedziczył on razem z koroną po śmierci swego ojca?

— Czy odziedziczył ten kaftan, tego pewien nie jestem—odparł szatny z całą powagą—ale to wiem, że kazał po raz trzeci rękawy dorobić, aby nowego nie sprawić na dzisiejszą uroczystość, a w podartym nie wystąpić na zebraniu. Miłościwy nasz król jest wielce oszczędnym, będziemy mu za to z czasem wszyscy wdzięczni.

Weszli właśnie do sali biesiadnej, gdzie służba wносиła srebrne talerze, napelnione zupą.

— Zaiste, co do mnie, oszczędność miłościwego króla nie budzi w mym sercu wdzięczności—odezwał się panicz tym razem bez uśmiechu — podobno przyjdzie mi skosztować po raz pierwszy «ollę» (potrawę ludową w Hiszpanji bardzo pospolitą).

To mówiąc, wykrzywił usta.

Ferdynand na uroczystość swojej koronacji kazał przygotować ucztę bardzo skromną.

— Potrzebuję pieniędzy na coś pożyteczniejszego, niż na dogodzenie podniebieniom smakoszów—rzekł do szafarza, gdy wydawał rozporządzenia na czas uroczystości.

Lekkomyślni nazwali Ferdynanda skąpcem i powrócili niezadowoleni do domu, lecz arcybiskup toledański przy pożegnaniu uściśnął serdecznie bratanka.

— Idź dalej drogą obraną, a imię twoje cała Hiszpanja błogosławić będzie—rzekł do niego.

Ferdynand usłuchał stryja: nietylko sam oszczędzał, lecz i drugich zachęcał do tej cnoty; przykładna je-

go żona, pracowita i rozsądna, pomagała mu dzielnie w tych zabiegach, i skarb państwa wzbogacił się wkrótce.

Roku 1492, odniósłszy nad nieprzyjaciółmi Hiszpanji świetne zwycięstwo, wkroczył razem z żoną swoją do Grenady, stolicy Hiszpanji arabskiej. U bram miasta emir Abu Abdallaka oddał mu klucze sławnego pałacu Alhambry, mówiąc:

— Należą do ciebie, królu, bo tak Allah postanowił. Czyń ze szczęścia swego łagodny i umiarkowany pożytek.

Cała Hiszpanja uczuła wówczas wdzięczność dla oszczędnego króla i zacnej jego żony.

Teresa Jadwiga.

Nauczycielka.

Promień słoneczny, chłodny, bo to była zima, lecz jasny, złocisty, muskał jej główkę. Krzątała się zwawo po skromnym pokoiku: to zbierała książki tu i owdzie porozrzucane, składając je w porządku na stoliku, co stał pod oknem, to przewracała w niektórych kartki, i czytała cicho. Spuszczone powieki nie dozwalały widzieć jej oczu, lecz rumiana twarzyczka świadczyła o jej zdrowiu fizycznym, wąskie wargi o energii charakteru, wyniosłe czoło o zdolności umysłowej.

Z wyrazem smutku na zwiędłych ustach przypatrywała się jej bieluchna, jak gołębka babka, zagłębiona w saffjanowym fotelu, to głową znacząco wstrząsała, to wzdychała czegoś cicho, a wzrok jej mgłą powleczonej wciąż chodził za nią.

— Inną młodość miała twoja matka — odezwała się naraz i głośniejszym westchnieniem zakończyła to zdanie.

Młoda dziewczyna podniosła żywo wzrok od książki i czarne rozumne oczy zwróciła na babkę.

— Takim smutnym tonem mówi to babunia—rzekła z uśmiechem — jakby uważała mnie za bardzo nieszczęśliwą istotę. Protestuję przeciw temu mniemaniu, mnie dobrze na świecie, niechaj babcia mi wie-

rzy, że mówię szczerze!.. Gdy czasem rozmyślam o doli tych nieszczęśliwych ulubienie losu, które od rana do wieczora nie nie robią, to im wcale nie zazdroszczę... Takie życie bez celu, bez obowiązku musi być nieznośne: budzę się rano i pytam siebie, co tu robić z tym dniem, z temi długimi godzinami, jak je zabić, czym zapełnić, by prędzej minęły. Doprawdy, babuniu jam od nich szczęśliwsza!

— Bo jeszcze nie wiesz, co to praca na chleb; co to przymusowy obowiązek; czyś słaba, czy skwar, czy mróz, wszystko to jedno, ty musisz śpieszyć na lekcje.

Jak gdyby na potwierdzenie słów staruszki, w tej chwili za oknami skromnego pokoiku zawył wicher lutowy: wstrząsnął szybami, które aż zadzwoniły ze strachu i rzucił na nie białymi płatami śniegu.

Regina, takie było imię młodej nauczycielki, uśmiechnęła się.

— Alboż to nie zasługa walczyć z przeciwnościami, nie zadowolenie wewnętrzne ze zwycięstwa odniesionego nad niemi?

To mówiąc wróciła do książki, znowu coś w niej szperać poczęła, nakoniec znalazła widocznie to, czego szukała, bo zatopiła się w czytaniu. Babka umilkła, przypatrywała się jej dalej w milczeniu, głową kiwała i wzdychała. Regina zamknęła wreszcie książkę, sięgnęła po leżący na stoliku kapelusz, włożyła go na głowę, potym dobyła z kieszeni czarne rękawiczki i włożywszy je na ręce, zbliżyła się do babki, klękła u nóg staruszki i trochę z uśmiechem pustego dziecka, trochę ze wzruszeniem rzekła, podnosząc jej rękę do ust:

— Prababki twoje, babuniu, kładły krzyż na czoła synów, gdy ci po raz pierwszy szli walczyć z Tatarami lub z Turkami, i ty nakreśl mi krzyż, babuniu, na czole, bo będę walczyć z mrozem, wichrem, błotem, by światło wiedzy rozszerzać w ciemnych umysłach, by prawdę krzewić w serduszkach dzieci.

Babka pochyliła się do niej i na białym jej czole złożyła pocałunek, a potym drżącą ręką krzyż na nim nakreśliła.

— Niech cię Bóg błogosławi!— rzekła głosem wzruszonym.

Regina ujęła powtórnie jej rękę i do ust przycisnęła, poczym wstała śpiesznie i ubrawszy się w ciepłe okrycie, podążyła na ulicę; żwawym krokiem z Marszał-

kowskiej skierowała się na Świętokrzyską, patrzała wyzywająco na przesuwające się nad jej głową chmury, a chmury zagniewane, białymi płatami sypały na nią, wicher je chwycił i rzucał niemi w twarz młodej nauczycielki, lecz ona nie zważała na nie, czasami tylko otrząsnęła je energicznym ruchem głowy z kapelusza i szła wciąż śpiesznym krokiem, nie zatrzymawszy się ani razu.

Z Świętokrzyskiej skierowała się na Włodzimierską; tutaj weszła do jednej z piękniejszych kamienic i zatrzymawszy się na sekundę przed listą lokatorów, zwróciła się następnie do sieni po lewej stronie bramy.

— Sezamie, otwórz się— szepnęła z uśmiechem do siebie, przyciskając dzwonek elektryczny. I Sezam usłuchał, drzwi się rozwarły, Regina wbiegła na pierwsze piętro, tutaj trzeba było powtórnie zadzwonić i znowu za przyciśnięciem sprężyny rozwarły się przed nią podwoje.

Regina weszła do mieszkania hrabiny Suskiej i naraz uśmiech uleciał z jej twarzy, ogarnęła ją nieznaną jej dotychczas nieśmiałość.. Dziwne wrażenie wywarł na niej ten przedpokój, bo też nigdy jeszcze w takim nie była. Panował w nim półcień; weneckie okno, które mogło dosyć światła dawać, zasłonięte było wpół przezroczystą firanką, przez którą niemogły się przedzierać swobodnie promienie słońca; miękkie kobierce, zasłaniający posadzkę, głuszył ciche kroki lokaja, który na odgłos dzwonka przyszedł drzwi otworzyć. Cisza uroczysta panowała tutaj.

— Czy pani jest w domu?— zapytała Regina.

Lokaj zmierzzył badawczo od stóp do głów młodą dziewczynę.

— Co za interes?— rzucił pytanie w miejsce odpowiedzi.

— Przyszłam tu na wezwanie pani hrabiny, rozmówić się o lekcje— odparła Regina.

— Nie wiem, czy pani przyjmuje, pójdę się zapytać. To mówiąc, oddalił się, Regina została sama... Ta cisza tu panująca, ten półcień ją otaczający, dziwnie na nią działały, stawała się coraz bardziej nieśmiałą.

Za chwilę lokaj powrócił i rzekł zniżonym głosem:

— Pani prosi.

Regina skierowała się w tę stronę cicho bez szelestu i weszła do salonu. Wspaniały był to salon, cały zasłany miękkim jak puch kobiercem, strojny w bogate

sprzęty, które go zapępiały. Coraz bardziej zmieszana przepychem, z którym po raz pierwszy w życiu się spotykała, śmiała zwykle dziewczyna szła lekliwie i niezgrabnie wymijając meble, pokryte drogiemi jedwabiami. W salonie panował także półcień: sory przysłaniały niedyskretnie promienie słońca, co próbowały wdrzeć się tu nieproszone. Pod jednym z okien siedziała kobieta lat średnich, w jednej ręce trzymała lornetkę, w drugiej książkę, w tej chwili jedną i drugą miała opuszczone, badawczym wzrokiem przypatrywała się zbliżającej ku niej nauczycielce.

Regina skłoniła się w milczeniu.

— Czy z panną Natolską mam przyjemność mówić?—odezwała się pierwsza pani domu.

— Tak jest—odparła młoda nauczycielka.

Pani S. wskazała jej uprzejmie taboret obok niej stojący.

— Pani udzielasz nauk przyrodniczych?

Skinieniem głowy potwierdziła Regina, siadając na taborecie.

— Przedstawię pani jej uczennicę.

To mówiąc hrabina przechyliła się na poręcz fotelu i zwróciwszy się w stronę, gdzie widać było bogatą portjerę jedwabną, kryjącą zapewne drzwi, zawołała głosem miękkim, dźwięcznym:

— Lilo!

Portjera się rozchyliła i w fałdach kosztownej firanki ukazała się prawdziwa lilijka, smukła, biała, jasnowłose dziewczę, lat 13 liczące, w białej sukni.

Ujrawszy obcą, Lila dygnęła, poczym lekko, tak, iż zdawało się, że nie dotyka stopami puchowego kołnierza, lecz unosi się nad nim, przesunęła się zręcznie wśród foteli, kozetek, stolików i stanęła wyprostowana przy matce.

Regina spojrzała uważnie na swą uczennicę. Smukła, biała, wiotka Lila inne wywarła teraz na niej wrażenie: z błękitnych oczu dziewczynki patrzyły figle, na karminowych usteczkach błakał się pusty uśmiech, ciekawie przypatrywała się przyszłej nauczycielce.

— Oto pani uczennica—odezwała się hrabina.

Lila dygnęła powtórnie, Regina wyciągnęła rękę do dziewczęcia, uścisnęły sobie lekko dłonie.

— Panna Natolska ma zamiar rozpocząć z tobą lekcje od mineralogji, nie od botaniki, jak się tego spodziewałaś—odezwała się znowu hrabina.

Pusty uśmiech uleciał z różanych usteczek Lili, wyraz niezadowolenia je skrzywił.

— Od mineralogji — rzekła — a co to jest mineralogja?—i zapytała: o czym pani będzie mnie uczyć na tej lekcji?

— O rozmaitych kamieniach, o minerałach, znajdujących się w łonie naszej ziemi, o bardzo ciekawych rzeczach.

— Więc i o brylantach? — z zajęciem zapytała Lila.

Regina się uśmiechnęła.

— Naturalna rzecz.

— Mateczko, jabym chciała już dzisiaj mieć lekcję—poczęła prosić Lila.

— Zapytaj panny Natolskiej, czy się na to zgodzi?—odparła hrabina.

— Dlaczegożby nie, mam wolną godzinę, mogę w tej porze zawsze tutaj na lekcję przychodzić.

— A zatem poprowadź Lilo pannę Natolską do buduaru—rzekła hrabina.

Lila skierowała się ku jedwabnej portjerze. Regina podążyła za nią. Szła teraz śmiałym, pewnym siebie krokiem, wspaniały salon nie istniał już dla niej, dążyła na lekcję, widziała w swej wyobraźni tylko stolik różnymi minerałami założony, tylko uczennicę słuchającą jej wykładu. Weszły obie do buduaru.

Nareszcie godzina upłynęła, jedwabna draperja rozchyliła się i w progu drzwi do salonu wiodących stanęły Lila i Regina; obie były zarumienione, na obu twarzach malowało się zadowolenie.

— Mateczko! jestem zachwycona mineralogją!—wykrzyknęła Lila — i podbiegła do hrabiny z pocałunkiem.

Regina zbliżyła się tuż za nią.

— Kiedyż pani przyjdzie znów na lekcję? — spytała hrabina, uśmiechając się do młodej nauczycielki.

— We czwartek—odparła—czy będzie to dogodnym dla Lili?

— Jak najzupełniej.

Regina pożegnała panią S., poczem zwróciła się do Lili. Była z niej zadowolona, z zajęciem słuchała jej wykładu. miała nadzieję, iż pilną i pojętną będzie z niej

miała uczennicę, uściśnęła też serdecznie maleńką rączkę, ku sobie wyciągniętą.

Nie zawiodła się młoda nauczycielka na swej uczennicy. Lila była pilną i pojętną słuchaczką. Z całą też przyjemnością śpieszyła Regina dwa razy na tydzień na lekcje mineralogji, a Lila z utęsknieniem jej przybycia wyglądała; obie bywały ożywione podczas lekcji, obie z żalem ją kończyły.

Mimo to stosunek między uczennicą a nauczycielką zawsze był etykietałny: ograniczał się na wykładzie lekcji i na chłodnym uściśnieniu wzajemnem sobie dłoni przy powitaniu i pożegnaniu; poza lekcją obce były sobie zupełnie, jedna o drugiej nie wiedziały.

Minęło pół roku od dnia pierwszej bytności Reginy w mieszkaniu hrabiny Suskiej. Śniegi dawno już stopniały, pola i łąki mały się świeżą zielonością, pąki na drzewach porozwijały się, wiosna kwitła w całej pełni. Z okien wspaniałego salonu hrabiny widać było w ogrodzie, roztaczającym się u stóp kamienicy, białym kwieciami pokryte wiśnie, grusze i jabłonie, świegot ptaszek, co stały sobie gniazda pod cieniem liści, dolatywał do salonu, jasno i gwaro w nim było dzisiaj, bo wielkie okna o szybach lagrowych były rozwarte, a złociste gryfy, rozpierające się na koronkowych storach nie przstraszyły wiosennego słońca, wdarło się ono przemocą do mieszkania i rozjaśniło je, a ze słońcem wleciał tu wietrzyk wiosenny, a z wietrzykiem woń kwiatów jabłoni, gruszy i śliw: jasno, wesoło i pięknie było w salonie pani Suskiej. Więc czemu jedynaczka jej zasepiona?... Na białym czole dziewczęcia jakaś chmura zawisała, karminowe usteczka ma gniewem zaciśnięte, w oczach smutek, siedzi rozparta niedbale na jednym z miękkich foteli i bawi się jedwabnym chwastem, strojącym go; na przeciw niej hrabina wyszywa pilnie na krosienkach ornat do kościoła białymi perłami; obie milczą, tylko marmurowy zegar coś gada, coś szepcze. Nareszcie Lila wyprostowała się, ciężko westchnęła i spojrzała na zegar.

— Już wpół do dwunastej—odezwała się głośno—nie przyjdzie z pewnością, mniejsza o to, takie nudne te lekcje, iż z ochotą rzuciłabym je całkiem.

Hrabina oderwała wzrok od roboty i zwróciła go na córkę.

— Tak byłaś niemi zrazu zachwyconą?

— Bo też co za różnica, nie masz pojęcia, mamó—odparła Lila—panna Regina dziwnie się zmieniła: taka poważna, teraz zawsze taka smutna, nigdy się nie rozśmiej, żartu nie powie. Załedwie przyjdzie, powiada: wydaj lekcję; gdy wydam, wyklada dalej tonem surowym, monotonnym, potym wstaje, podaje mi rękę i odchodzi. Gdy rzucę jakie pytanie podczas wykładu, mówi zaraz: «nie przerywaj Lilo», albo udaje, że nie słyszy pytania. Dawniej, różnemi opowiadaniem, naturalnie mającemi związek z mineralogją, urozmaicała mi lekcje, teraz nigdy tego nie robi, spóźnia się przytym zawsze, co chwila spogląda na zegarek, jak gdyby się bała zostać trochę dłużej, widocznie nudzi ją lekcja, pragnie się jej pozbyć jaknajprędzej, by pójść może na spacer. Jak mama widzi zaczyna opuszczać lekcje, w przeszły wtorek nie była i dziś znowu nie przychodzi. Lecz mniejsza o to, skorzystam na tym, wyjdę wcześniej na spacer, nie będę już czekać, czy pozwolisz, mamó?

— Jeśli panna Józefina jest niezajętą, wyjdź, zrobicie dłuższy, niż zazwyczaj spacer, to ci na zdrowie pójdzie—odparła hrabina—a do panny Reginy napiszę z zapytaniem; może jest słabą?

Lila podniosła się z fotelu, pocałowała matkę w rękę na pożegnanie i wyszła z salonu. W pół godziny potym z Francuzką, nauczycielką miejscową, dażyła Włodzimierską na Marszałkowską, gdzie, jak mówiła, chciała kupić sobie parę rękawiczek. Załatwiwszy sprawunki, wyszły ze sklepu. Francuzka zwróciła się w stronę ogrodu Saskiego, lecz Lila nie podążyła za nią.

— Pójdźmy dzisiaj ku alejom Ujazdowskim—rzekła.

Panna Józefina lubiła snać dogadzać dziewczęciu, bo słowa nie odpowiedziałwszy, skierowała się ku alejom, uszły załedwie kilka kroków, gdy Lila zatrzymała się.

— Pani taka dobra, pani mi robi jedną rzecz—rzekła.—W tym domu mieszka panna Regina, wstąpmy do niej i dowiedzmy się, dlaczego nie była dziś na lekcji, mamie się zdaje, że jest słabą.

Tyle było prośby w głosie pieszczotki, iż Francuzka uśmiechnęła się przychylnie i weszła do bramy; wisząca tutaj lista lokatorów, wskazała im, gdzie szukać mieszkania nauczycielki. Przez podwórze skierowały się do wąskiej sieni, a z niej na również

wązkie wschody, wiodące do mieszkań, znajdujących się w oficynie.

Regina mieszkała z babką na trzecim piętrze, Lila odpoczywała parę razy i z widoczną ciekawością rozglądała się w około. Nie dziw, przywykła do szerokich schodów kamiennych lub froterowanych, wysłanych dywanami, nie zastanawiała się nigdy nad tym, jak też mieszka jej nauczycielka. Dotarszy na trzecie piętro, znalazły drzwi mieszkania pani Natolskiej otwarte. Zapominając o tym, że to nie wypada, ciekawa, jak każdy podłotek, Lila weszła nie dzwoniąc i stanęła bardziej jeszcze zdumiona; weszła do kuchni, przedpokoju za tym nie było tutaj, na kominie palił się ogień, coś się w garnce gotowało, lecz nikogo nie było; snać służąca dopiero co wyszła i wrócić niebawem zamierzała; świadczyły o tym roztwarte drzwi. Zmieszana otoczeniem tak jej obcym, dziewczynka posunęła się żywo do drzwi, wiodących w głąb mieszkania, a za nią Francuzka. Weszły teraz do niewielkiego pokoju, którego umeblowanie stanowiła kanapka jesionowa, włosiem kryta, kilka takich krzesełek, okrągły stół, włóczkową serwetą nakryty i pianino politurowane. Lila obejrzała się w około i tutaj nikogo nie było, lecz naprzeciw spostrzegła drzwi, wiodące do drugiego pokoju. Skierowała się prosto ku nim. Naraz zatrzymała się, obraz, jaki przedstawiał się jej oczom przykuł ją do miejsca. Naprzeciw drzwi widać było łóżko, na nim leżała kobieta z białymi jak mleko włosami, jak воск żółta; leżała cicho, spokojnie. Obok niej stała Regina. Twarzy jej Lila dojrzeć nie mogła, gdyż zwróconą była do chorej. Tuż przy łóżku siedział poważny mężczyzna, badał puls starej kobiety, był to widocznie lekarz.

— Lepiej jest znacznie—odezwał się po chwili—za parę tygodni mam wszelką nadzieję, iż pani wstanie.

— Dopiero za parę tygodni! — z cichym westchnieniem odparła chora. — O panie doktorze, jabym jutro rada wstać—biedna moja Regina, spójrz pan, jak wygląda—toż to cień dawnej. Już od tygodnia nie kładła się do łóżka, chwili nie wypoczywa: albo mnie służy, albo śpieszy na lekcje, wraca z nich niespokojna, zmęczona; biedna, biedna dziewczyna! Stąd pędzi, by się nie spóźnić na lekcje, z lekcji bieży jeszcze prędzej, by do mnie wrócić.

Na białą twarzyczkę Lili wybiegł rumieniec, przypomniała sobie zarzuty, jakie czyniła dziś Reginie i za-

wstydzila się sama przed sobą, a w sercu jej, jakiś głos przemówił:

— Ona łamała się z boleścią, troszczyła się o chorą babkę, a tyś ją obmówiła, że zaniedbuje swoje obowiązki; ona niespokojnie odbiegała myślą od stolika nauczycielskiego do łóżka chorej, patrzyła coraz na zegarek, za ile minut będzie mogła być znowu przy niej, a tyś posądziła ją, że dla własnej przyjemności skraca i opuszcza lekcje.

Lekarz podniósł tymczasem wzrok na Reginę i uśmiechnął się do dziewczęcia.

— W istocie zmizerniała panna Regina—rzekł—ale młodość prędko wraca do sił, mamy teraz wiosnę, lato nadejdzie niebawem, pojedzie pani na wieś i będzie lepiej jeszcze wyglądać, niż wyglądała.

— Na wieś—powtórzyła chora z goryczą. Nie mamy znajomych na wsi, ona męczyć się teraz będzie usługą przy mnie i bieganiem za lekcjami, a latem męczyć się będzie skutkiem upałów; taka już jej dola!

Lila poruszyła się niespokojnie i bliżej podeszła, szelest jej kroków zwrócił uwagę otaczających łóżko chorej. Regina obejrzała się, spostrzegła Lile i śpiesznie ku niej podeszła, zamykając drzwi za sobą. Lila spojrziała na nią i serce jej bardziej się jeszcze ścisnęło: rumiana zwykle twarzyczka dziewczęcia, białą dziś była, jak kreda, pełne życia oczy powleczone były mgłą smutku, silna postać ślaniała się od zmęczenia.

— Panno Regino, jak pani zmizerniała!—wykrzyknęła Lila i podbiegła do niej, rzuciła się na szyję swej nauczycielce i ucałowała ją poraz pierwszy serdecznie. Tym pocałunkiem chciała wynagrodzić krzywdę, jaką wyrządziła jej dzisiaj, oskarżając ją przed matką. Głośno wyznać swej winy nie śmiała, lecz żal jej był szczery, serdeczny.

— Byłam niespokojna, co się z panią dzieje — mówiła dalej — przyszedłam się dowiedzieć, czy pani nie chora?

— Ja zdrowa jestem zupełnie, lecz babunia chora, dlatego nie byłam na lekcji—odparła Regina, pocałunek, pocałunkiem oddając. — We czwartek przyjdę zapewne, doktor powiada, że babuni znacznie lepiej.

— Niechaj pani nie odchodzi od babci, póki chora—rzekła Lila—proszę bardzo o to — podała rękę Reginie i uściśnęła jej dłoń ciepłej, serdeczniej niż zwykle.—Ja będę tutaj przychodzić na lekcje, póki pani Na-

tolska całkiem do siebie nie przyjdzie—ciągnęła dalej—uproszę o to mamy, bo lekcji pani nie chcę opuszczać. Czy dobrze, czy zgodzi się pani na tę propozycję? A na lato pani z babcią do nas na wieś pojedzie.

— Nie wiem, czy pani S. będzie rada tej propozycji—odparła Regina.

— To już moja sprawa; niechaj pani powie mi tylko teraz, czy to możliwe, abym z nią miewała lekcje w sąsiednim chorej pokoju?

— Czy to możliwe! — powtórzyła z uśmiechem Regina—ależ dla mnie byłoby to szczęściem najwyższem, mogłabym znowu spełniać sumiennie swoje obowiązki, nie opuszczać i nie skracać lekcji, całą myśl w nich zatapiać, bo troska o babkę nie gnębiłaby mnie, bo miałabym ją tuż przy sobie, bo nie pytałabym siebie niepokojnie podczas lekcji, co ona porabia, czy jej niegorzej, czy nie potrzebuje mieć mnie przy sobie.

— Zatym we czwartek niechaj pani czeka na mnie w domu—rzekła Lila i podała znowu rękę Reginie. Po-całowały się raz jeszcze serdecznie.

Regina nie chciała wierzyć, by pani S. zgodziła się na podobny układ; jakaż była jej radość, gdy nazajutrz otrzymała od niej bardzo grzeczny bilecik, w którym uwiadamiła ją, iż póki babka nie wyzdrowieje, Lila będzie do niej przychodzić na lekcje. «Nic a nic nie wiedziałam o chorobie pani Natolskiej»—pisała—gdyby była nam pani powiedziała o swym zmartwieniu, byłabym już dawniej tak urządziła lekcje, aby pani mogła święte obowiązki wnuczki godzić z obowiązkami nauczycielki». Regina byłaby może powiedziała o swej trosce Lili, ale stosunek z nią był dawniej tak etykietalny! Zmienił się on jednak od tej pory, a gdy latem zaproszona przez panią S. pani Natolska z wnuczką do niej na wieś przyjechała, Regina i Lila zawiązały z sobą stosunek szczerzej przyjaźni: młoda nauczycielka, prócz lekcji botaniki, których udzielała teraz młodej panience, rozjaśniała w serdecznych pogawędkach jej uśpione dotychczas serduszek i prócz przyrody nauczyła ją kochać ludzi.

Teresa Jadwiga.

Mały artysta.

Było to u schyłku zeszłego wieku. Pewien pan, posiadający wielkie dobra w północnych Włoszech, dawał wspaniałą ucztę. Zastawiano ją najwymyślniejszymi potrawami; ale goście zaproszeni do stołu, uderzeni zostali jednym szczególnie półmiskiem.

Na srebrnej podstawie wznosił się lew, wyrobiony z masła.

Robota lwa była tak artystyczna, że sam pan i wszyscy obecni, podziwiali piękność rysunku maślanej figury.

— Mój kucharz jest, jak widzę niepospolitym artystą—powiedział gospodarz domu, a zwracając się do gości dodał—pozwolicie panowie, że udzielę mu publicznej za to arcydzieło pochwały.

Przywołany kucharz, z zawstydzeniem słuchał słów swego chlebowawcy.

— Wasza dostojność nie słusznie zaszczyca mnie swym uznaniem—powiedział nakoniec—lwa zrobił sięcieletni chłopiec; jakże mi boleśnie, że nie ja to potrafiłem zadowolnić wykwinny gust prześwietnego zgromadzenia.

Ciekawość obecnych doszła teraz do najwyższego stopnia. Wszyscy zażądali poznać małego artystę.

Wprowadzono chłopczykę. Był nim Antonio Kanova, syn gospodarza z sąsiedniej wioski.

Gospodarz pogłaskał malca po głowie i obiecał, że odtąd będzie jego opiekunem i doradcą na drodze do sławy.

Zacny pan dotrzymał słowa. Małego Antosia oddano do pracowni rzeźbiarza Torretiego, a w dwa lata później, młody uczeń przyniósł swemu dobroczyńcy dwa kosze kwiatów, wyrzeźbione w marmurze, które dziś jeszcze zdobią wejście pałacu Falierów w Wenecji.

Odtąd Kanowa zdobywał sobie coraz większą sławę. Imię jego wkrótce znane było w całej okolicy. Szkoła sztuk pięknych w Wenecji ogłosiła konkurs na najlepszą rzeźbę, nagrodę na nim wziął młody wieśniak z Possagno.

Zasłużwszy na ten zaszczyt, zapragnął teraz spróbować sił na szerszym polu, W tym celu udał się do Rzymu, gdzie jak wiecie, kochani czytelnicy, znajdują

się najbogatsze zbiory rzeźb w świecie. Gromadzili je tam papież, dla pożytku i przyjemności ludów, odwiedzających starożytną Romeę. W muzeum więc Watykańskim pracował oddat Kanowa. On to wyrzeźbił grobowiec papieża Klemensa XIII i XIV a sława artysty zwróciła nań uwagę cesarza Francuzów, Napoleona I-go. Potrafił on ocenić Kanowę; artysta wezwany przez niego do Francji, rzeźbił z marmuru posąg dwóch sióstr cesarza. Ale wrócił do Włoch, które kochał nadewszystko, a do monarchii francuskiej mimo względów, jakimi ten go obsypywał, chował Kanowa słuszny żal za to, że Napoleon zabrał z miast włoskich mnóstwo rzeźb i obrazów, i przewieźć je kazał do Francji. Z wielką też pociechą, w 1845 r. pilnował odbioru zrabowanych w ojczyźnie arcydzieł; w tym bowiem roku, po wywiezieniu Napoleona na wyspę Ś-tej Heleny, ówczesny rząd francuski zmuszony był oddać wszystko, co zabrano w czasie wojen.

Kanowa z rozkazu papieża odwiózł drogocenne te skarby do Rzymu i pozostał tam do śmierci, która nastąpiła w siedm lat potem 1882 roku.

Sława młodego rzeźbiarza jest zupełnie zasłużoną, umiał on z marmuru wykuwać cudne postacie, które najpóźniejsze wieki podziwiać będą.

Przejezdny.

Było to w lecie roku 1820 i któregoś. Kiedy warszawski wóz pocztowy stanął szczęśliwie w Piotrkowie, wysiadł z niego mężczyzna mogący mieć lat trzydzieści kilka. Wzrostu był słusznego, trochę szczupły, delikatny, ruchów ciała śmiałych i zręcznych; coś się w nich żołnierskiego i coś krakowskiego przebijało. Powierzyszy pierwszemu faktorowi, co się nawinał, rzeczy swoje, wprost poszedł na miasto. Po kilkunastu krokach założył, widocznie ze zwyczaju, ręce na plecy; głowę schylił cokolwiek na bok, jak to często bywa nałogiem ludzi myślących i dumających; wchodził to w tę, to w ową ulicę, jak gdyby nie zastał miasto takim, jakim je widzieć pragnął, jakim było dawniej.

— Gdzież jest—mówił do siebie w duchu, całe już prawie miasto obszedł—gdzież jest ów dom gospodarzowego Kazimierza! Gdzie świetne i tłumne zjazdy, sejmy pamiętne! Gdzie mieszkanie tylu wielkich mężów, sławnych i ukochanych królów! Wszystko, wszystko czas rozsypał!

Tak rozmyślając, wyszedł wkrótce na plac i zatrzymał się przed domem, na którym przybita była tablica z napisem: «Dom gościnny». Postanowił pójść posilić się.

Wszedł na pierwsze piętro, gdzie zastał już stół bardzo porządnie nakryty na kilkanaście osób; ale prócz dwóch czy trzech służących, kończących chodzić koło niego; nikogo nie było jeszcze w pokoju.

— Czy obiad prędko będzie? — spytał się, odsuwając jedno z krzeseł przy okrągłym stole i siadając.

Służący zmierzyli go okiem raz i drugi, spojrzeli po sobie.

— Będzie niedługo—odpowiedział jeden, który porządną minę, a zwłaszcza warszawskie ubranie gościa lepiej od innych uważał.

Przybyły wchodząc natychmiast w swoje prawa, przełamał bułkę, co przed nim leżała, i wziawszy jeden kawałek, posypał solą i jadł. Ale w parę minut myślał już o czym innym. Jedną ręką podparty na stole, drugą stuknął z lekką nożem po obrusie. Zapatrzył się w ruchy noża, lecz wcale go nie widział, tak był zadumany. Ani się spostrzegł, jak tymczasem pokój się nappełnił, jak ciekawie na niego patrzano, pytano się służących i coś do siebie szeptało.

— Pozwoli pan dobrodziej służyć sobie barszczem, póki gorący? Czy może wprzód mały kieliszek wódki, po naszymu, po żołniersku? — usłyszał nakoniec zapytanie.

Podniósł prędko głowę, podróżny rzucił okiem wkoło. Okrągły stół obsiadły byli samymi oficerami; ten zaś, co się go tak zapytał, starszy wiekiem i mający szlify pułkownika, zaczynał właśnie rozdawanie zupy i chciał, widać, podać mu pierwszy talerz. Podróżny przypomniał sobie, że przyszedł do traktjerni na obiad, choć się nie spodziewał, że będzie przy wspólnym stole; więc lekkim schyleniem głowy witając nieznanych towarzyszy:

— Proszę o barszcz—odpowie — jeżeli pan pułkownik i dla mnie raczy być gospodarzem stołu.

Zaczął się obiad.

Ale tu zaraz trzeba czytelnikowi wyjawić tajemnicę. Rzeczywiście była w tym domu traktjernia, ale była na dole. Zamyślający się zaś podróżny poszedł wprost na pierwsze piętro, i zamiast do traktjerni zaszedł do mieszkania pułkownika, który tego dnia miał u siebie kilkunastu oficerów na obiedzie. Służący, widząc gościa tak śmiało wchodzącego i siadającego, byli pewni, że to jeden z zaproszonych, lubo zdziwiło ich, iż zamiast pójść na drugą stronę do gości, zbierających się w salonie u pułkownika, przyszedł prosto do stołu. Że zaś pułkownik tak go uprzejmie zupa częstował, to stąd, iż jeden z oficerów poznał gościa. Pułkownik dowiedział się z radością o jego imieniu, wszyscy zgadli odrazu omyłkę, lecz gospodarz postanowił z niej korzystać i aż do końca obiadu nie dać się rzeczy wyjaśnić.

Tego spisku podróżny tymczasem ani się domyślał, pewny, że jest w traktjerni. Zachowywał się też tak, jak wolno jest przejeźdnemu, kiedy się znajduje w publicznym jakim miejscu. Do rozmowy się nie mieszał, ile, że nikogo nie znał. Pułkownik i drudzy spytali go o coś parę razy, ale zbył ich krótką odpowiedzią, i aby tym łatwiej dali mu pokój, odwrócił się do służącego i kazał podać sobie dziennik.

— Proszę o jaki dziennik — powtórzył, widząc, że się tamten nie rusza i patrzy z uśmiechem na siedzących—*Gazetę* albo *Kurjerka*. Musicie przecie coś mieć. Tej potrawy nie jem, tymczasembym przeczytał.

— Przynieście panu *Gazetę* dzisiejszą albo *Kurjerka*—odezwał się także pułkownik—ale ostrzegam, iż nie dziś niema ciekawego—przydał do gościa.—Kapitanie—rzekł jeszcze gospodarz do oficera, koło którego nasz podróżny siedział—nalejże, proszę, sąsiadowi, kieliszek próżny.

Podróżny podziękował uprzejmym skinieniem głowy; nie jednak nie powiedział, tylko zaczął przeglądać przyniesioną gazetę.

Miedzy współtowarzyszami stołu toczyła się tymczasem rozmowa. Wojskowi, mówili więc o rzeczach wojskowych. Zgadało się, o czym ludzie wojny nigdy się podobno nie nagadają, o różnicach i pierwszeństwie broni. Ten wynosił piechotę, drugi utrzymywał, przeciwnie, iż nie masz jak kawalerja.

— Za pozwoleniem panów—przemówił niespodzianie podróżny, który widać nie tak pilnie czytał, żeby

nie słyszeć, co się koło niego mówiło, i w którym na odgłos tej szczerej, żołnierskiej rozmowy, dawna się widać żyłka odezwała—niech też i ja za swoją bronią słowo powiem. Nosilem kiedyś mundur artyleryjski i widywałem, że i piechota i jazda rade bywały naszym baterjom, gdy im niosły pomoc, i że, choć bez bagnetów i bez lanc, takżeśmy coś w bitwie znaczyli.

— Wierzę temu! — rzekł pułkownik, ucieszony, że się podróżny nareszcie odezwał — i niemało znaczyli! Właśnie chciałem powiedzieć, że gdybym obierał broń w starszym wieku, zawszebym obrał artylerję. To widzę mamy wśród siebie jednego kolegę więcej! Mości panowie! za honor artylerji i zdrowie obecnego kolegi artylerzysty wzniesiem wszyscy kielich. Przynieść szampana!

Nalano i wesoło spełniono zdrowie. Tą serdecznością braterską, przypominającą mu dawne i młode czasy, tą grzecznością nieznajomych sobie oficerów podróżny nasz bardzo został ujęty. Chciał też natychmiast i tą samą monetą odpłacić.

— Jeszcze parę butelek tego samego wina, tu przede mnie! — zawołał ochoczo na sługi, żeby się nie dać pułkownikowi pokonać w grzeczności.

Na znak gospodarza, postawiono przed gościem żądane butelki. Wesołość strzeliła na wszystkie twarze. Podróżny, nalawszy kieliszki, a na końcu i sobie, i powstawszy:

— Za uczczenie broni mojej—rzecze — łatwiej mi jest podziękować, bo mówię o dobrej panów znajomej, z którą nieraz mieliście do czynienia i wiecie, czego warta. Ale trudniej mi nierównie podziękować za uprzejmość ich dla mnie osobiście, w którym widzicie nieznajomego tylko podróżnego. Nie tylko więc z podziękowaniem, ale z wdzięcznością wnoszę zdrowie twoje, szanowny pułkowniku, i przytomnych tu panów oficerów.

Zmieniła się zupełnie scena. Najszczersza wesołość przy całym zakrółowała stole. Ów niedawno niemy czytelnik gazety był teraz rzadkiej przyjemności biesiadnikiem, serdecznym kolegą. Pamiątki z życia wojennego nadały miłej twarzy jego niezwykłą żywość. Na pełne dowcipu opowiadania, w których się to żołnierska swoboda, to znów serce artysty malowało, oficerowie nie posiadali się z radości, z wielką je chwytając ciekawością. Obiad najprzyjemniej upłynął. Dano czarną

kawę przy tym samym stole. Pułkownik, niby naturalnie zmieniając przedmiot rozmowy, rzecze do jednego z przytomnych:

— Ale ciebie poruczniku—który z wojną nie miał jeszcze czasu poznać się brat za brat, te nasze obozowe rzeczy nudzą może. Powiedzże nam co o swoim innym świecie, w którym tak lubisz przebywać. Wczoraj odebrałeś z Warszawy coś nowego. Bo nasz młody kolega—kończył zwracając o nim mowę do gościa—jest między nami literat. Wszystek czas wolny od służby topi w książkach.

Podróżny spojrział na młodego literata z wyraźnym zainteresowaniem się; ten na zaczepkę pułkownika i myśl jego zgadując:

— Odebrałem—odpowiē — istotnie parę rzeczy nowych, ale nie bardzo kontent. Nie codziē dobre książki wychodzą.

— Bo ty, kochany poruczniku—mówił pułkownik—prawem swojego wieku jesteś zwyczajnie entuzjasta; zawsze chciałybyś poezji i samej tylko poezji. A ja myślałem, że poezja to tak jest, jak kawalerja; przednia rzecz i świetna, niema co mówić, ale główna siła literatury będzie podobno w prozie, jak siła armji w piechocie. Historję i inne nauki przyrównałbym do artylerji, co i jednej i drugiej potrzebna. A już to trochę poezji, żywość i malarstwo stylu, wszędzie być powinno, choć przy najpoważniejszej rzeczy, jak szwadron asekuracji przy armatach, bo inaczej nudy wpadną i wszystko do diabła zabiorą.

Podróżny rozśmiał się na tę uwagę; pułkownik zaś pytał się młodego oficera, co to za wiersze deklamował rano z takim zapalem.

— A! to mego ulubionego poety, kochanego naszego pisarza Brodzińskiego.

Podróżny schylił nagle głowę i napił się trochę kawy.

— Czymże ten pisarz mógł się panu podobać?—zapytał niby z obojętnością.

— Czym mógł się podobać? — odrzekł z zapalem młodzieniec — poeta tak serdeczny, tak wielki, tak religijny! Któż mający choć najmniej duszy, najmniej poetyckiego uczucia, mógłby bez wzruszenia czytać Brodzińskiego?

— Nadtoś na niego łaskaw, panie poruczniku, i nadtoś w pochwałach szczodry — rzecze z uśmiechem po-

dróżny. — W Brodzińskim, choć go pan tak bierzesz w obronę, nie możesz nie przyznać, iż jest wiele niepoprawności, pośpiechu, jednym słowem wiele rzeczy niedobrych, mało wartych. Być może, że jeszcze napisze co lepszego, jeżeli mu Bóg da życia, ale z dotychczasowych....

— Z dotychczasowych—przerwał oficer — cōż piękniejszego jak «Wiesław?» Jeden taki poemat z tym wszystkim, co pan tam nazwiesz niepoprawnością, więcej wart niż dziesięć tomów poprawnych, gdzieby na próżno szukać tego serca, tej prostoty, tej prawdy.

Na dowód tego zadeklamował z uczuciem, wyraźnie, właściwym tonem, jeden i drugi ustęp z poezji Brodzińskiego. Wszyscy, nie wyjmując podróznego, słuchali z upodobaniem; wszyscy, oprócz podróznego, głośno pochwalili.

— Musisz się pan poddać — odezwał się do gościa pułkownik—ładne, wspaniałe, unoszące! Ja się na tym wprowadzić nie znam, i prędzej poznam, czy dobrze uszytytowany pułk, niż poemat, ale takie wiersze to i mnie się podobają.

Wtedy podróżny wzruszonym wyraźnie głosem odezwał się do porucznika:

— Miał pułkownik rację nazywając pana entuzjastą. Twoja to młoda i ognista dusza tak pełnym, tak pięknym współczuciem poecie odpowiada, że on ci się bogatszy i tkliwszy, niż jest w istocie, wydaje. Nie mam ja interesu bić na szczęśliwego poetę, który w panu znalazł tak łaskawego obrońcę, miło mi jest owszem, żem to o nim usłyszał. Pozwolą panowie—dodał wstając, i zarazem wszystkich do powstania poruszywszy — że im już podziękuję za przyjemnych parę godzin, za braterstwo dla dawnego artylerzysty, nawet panu, panie poruczniku, za pochwałę pisarza, który mnie osobiście z bliska obchodzi. Muszę tylko jeszcze — kończył, dobywszy woreczek i wysypując na rękę pieniądze — podziękować gospodarzowi, bo istotnie obiad i wino doskonałe, kawa jednak była trochę zimna; nie spodziewałem się w Piotrkowie takiej uczy.

I odwrócił się do służących z zapytaniem co winien.

— Z gospodarzem — rzekł pułkownik, zbliżając się do swego gościa, w czasie gdy na twarzach wszystkich oficerów była ciekawość i niecierpliwość — będziesz pan

miał trochę kłopotu, ale wszyscy, których tu widzisz, wstawiamy się za nim.

— Cóż to jest? co on zrobił? — przemówił z niespokojnością podróżny, który ani słów pułkownika, ani mi-ny jego towarzyszy nie mógł zrozumieć.

— Zdrajca jest. Z najszkaradniejszą chytrością skorzystał z twojej omyłki, żeby cię u siebie zatrzymać, i prosić teraz przebaczenia, Tym winowajcą, którego koleżeński obiad raczyłeś pan pomimo woli i wiedzy przytomnością swoją zaszczyścić i który ci za to z duszy serca dziękuje, a za zimną kawę przeprasza — jestem ja sam. Traktjernia, do której zejść chciałeś, jest w tymże domu na dole, a pan w tym momencie jesteś w mieszkaniu moim.

— Czy podobna? i nikt mię nie przestrzegł! — rzecze z wielkim pomieszaniem podróżny — czy można mnie było w takiej omyłce zostawiać!

— Stało się! — odpowie pułkownik — wreszcie oto jest pierwsza wszystkiego przyczyna — dodał, przedstawiając młodego porucznika. — Tento kawaler pana poznał, kiedyśmy cię tu zastali zamyślonego, i od niego dowiedzieliśmy się, kogo przypadek dawał nam za gościa.

— Jakto! i to jeszcze! panowie wiedzieli, kto jestem? — zawołał Brodziński. — Ależ to wino, które kazałem przynieść!...

— Ktoreśmy wypili? — przerwał mu pułkownik. — Było oczywiście z mojej piwnicy: sameś pan znalazł, że niezłe; więc się gniewać nie możesz.

Gniewać się byłoby niepodobieństwo; trzeba było owszem śmiać się, przepraszać, dziękować.

— Dawny żołnierz, przyjmuję — rzecze — od kolegów ten żart takim sercem, jakim był uczyniony, ale na pułkownika areszt kładę, i trzeba mi na nim koniecznie zemsty. Proszę mi przyrzec, że za pierwszą w Warszawie bytnością raczysz pan zjeść obiad u mnie. Na ten dzień, który będzie dla mnie świąteczny, postaram się, żeby i profesorskie wino było nie najgorsze.

— Zgoda! najchętniej! — krzyknął pułkownik, ściskając wesoło rękę szanownego gościa.

Przeszli wszyscy do salonu. Tam Kazimierz Brodziński jeszcze trochę czasu zabawił, żartując ze swojej szczególnej omyłki, śmiejąc się zwłaszcza z owej gazy, którą tak bezpiecznie kazał sobie do stołu przynieść. Wkońcu ponowił jeszcze podziękowanie i, nim od-

szedł, przypomniał pułkownikowi obietnicę; porucznika zaś, który się ofiarował odprowadzić go do hotelu, czule uścisnął.

wedł. *Stefana Witwickiego* («Gadu, gadu».)

Wigilja.

Było to w przededniu wigilji Bożego Narodzenia, (1777 r.), tego narodowego święta, o którym żaden Polak nie zapomina.

Pułaski *) ze swoim oddziałem stał naówczas w Trenton, małym miasteczku, które od Pensylwanji dzielił tylko most, rzucony przez rzekę, amerykański most owych czasów, budowa z ogromnych kłoców drzewa, chwiejąca się, pełna szecerb, a mimo to przeskakująca wody przeszło tysiąc stóp szerokie.

Nadchodzące dni świąteczne, Karolowi, adjutantowi Pułaskiego, poddały myśl urządzenia polskiej wilji. Tał się z tym w początkach, ale naostatek musiał zwierzyć się towarzyszowi Pułaskiego, Maciejowi, bo bez jego pomocy wykonać się to nie dawało.

— Panie Macieju — rzekł — mam do was prośbę; gdybyście mi trochę pomóc chcieli, zrobilibyśmy coś, spodziewam się, miłego generałowi.

— Z duszy, serca, wszak wiesz, że ja dla niego dałbym się w kawałki posiekać — tylko mów.

— Jutro wigilja Bożego Narodzenia. Ja wszystko urządzę: mam już zamówione ryby morskie, jaja żółwie, murzyn nasz ugotuje. Będzie to piąte przez dziesiąte, ale zjemy na sianie po polsku i przy gwiazdach... kraj nam się przypomni...

— A niech ci Bóg płaci! myśl złota... Ale skądże ty opłatka weźmiesz? A bez opłatka, co to będzie za wilja. Niema wilji bez niego, to darmo!

*) Kazimierz Pułaski, konfederat barski. Po upadku konfederacji pojechał do Ameryki, tam pod wodzem Waszyngtonem walczył za niepodległość Amerykanów i zginął w bitwie pod Savannah 9 października 1779 r.

Napróżno łamali sobie głowę... Zgodzono się jednak bądźcobądź zastawić wieczerzę z ryb na sianie, a w kącie snop polski...

Snop!... Miły Boże... skąd tu wziąć w Ameryce ów snop polskiego zboża? Gdzie żyto, pszenica, jęczmień, owies, wszystko, aż do lnu i tatarski?.. bo w snopie na wilję nie powinno brakować.

A im tego wszystkiego potrzeba było, by polską macierz przypominało...

Maciej Rogowski nie śmiał się spytać, skąd się wezmą pieniądze na ucztę, wiedział bowiem, że żaden ich nie miał.

Karol miał od ojca zegarek złoty z łańcuchem; długo oszczędzał go, wahał się, żałował, ale dla wodza ukochanego możnaż było poskąpić ofiary? Poszedł i sprzedał go po cichu... Z tego grosza miała się wilja odprawić...

Szło tylko o opłatek.

Wszystko się dawało albo czymś zastąpić, lub ominąć, niedostatek opłatka był niewynagrodzony... On jeden starczyłby za wszystko... on mógł być wilją całą, bez niego wieczerza na sianie—tą uroczystą ucztą naszą nazwać się nie mogła.

Już Karol rozmyślał o upieczeniu opłatka, gdy dowiedział się, że w niedalekiej osadzie mieszkał ksiądz Francuz, który tam w kapliczce mszę dla szczupłej liczby katolików odprawiał.

Karol siadł na koń, aby pójść do tego księdza. Już minął ostatnie domki osadników, gdy na drodze zjechał się z obcym mężczyzną, widocznie podróżującym. Rysy jego niepiękne, ale miłe i łagodne, miały w sobie coś tak polskiego, że Karol—uderzony i strojem i twarzą—natychmiast konia powstrzymał. Podróżny siedział na koniu objuczonym i miał przewodnika. Wszystkich już w okolicy Karol znał, ten widocznie był obcym gościem zdaleka.

Przyłożywszy rękę do czapeczki, podróżny odezwał się po angielsku:

— Czy znajdę w Trenton brygadiera Pułaskiego? Pan pewnie należysz do jego oddziału; lękam się, by nie był na jakiej wyprawie.

Po wymowie pytającego Karol poznał w nim cudzoziemca; serce mu uderzyło do tego człowieka i sam nie wiedział, jak wyrwało mu się słowo polskie.

— A! Polak! brat! — zawołał ochotczy podróżny i obaj skoczyli z koni, aby uściskać się jak bracia rodzeni.

— Jadę od granic Kanady—rzekł podróżny, umyślnie tu do was, do Pułaskiego, którego poznać pragnąłem. Nazywam się Tadeusz Kościuszko... *).

— O, słyszeliśmy już o was. Jakże generał rad wam będzie... Ja jestem adjutantem Pułaskiego, nazywam się Karol Pluta...

— Ach, nie wiesz — przerwał rozrzucony Kościuszko — co to jest po długim poście posłyszeć mowę swoją, zobaczyć brata!..

Spotkanie najbliższego przyjaciela nie uczyniłoby w kraju na nich obu takiego wrażenia, jak tu zetknięcie się niespodziane dwóch nieznanomych, ale krwią i duchem braci... Stali dosyć długo, ściskali dłonie, nie mogąc się napatrzeć sobie.

W końcu siedli na konie i wrócili do Trenton. Pułaski był szczęśliwy z przybycia ziomka.

Tym sposobem wilja Bożego Narodzenia stała się podwójnie uroczystą dla ugaszczających.

Całą resztę dnia tego spędzili mówiąc o kraju, o dziejach konfederacji, o starych i nowych sprawach.

— Słuchaj, mój Macieju — rzekł Puławski wieczorem do Rogowskiego, odwiódłszy go na stronę — nasz święty ojcowski obyczaj gościa każe pobożnie przyjmować... a jeszcze takiego gościa! naszego Polaka! Sprzedaj, co chcesz, zastaw, pożycz, a trzeba, żeby wiedział, żeśmy mu radzi.

— Panie generale — rzekł Rogowski — proszę być spokojnym, ja z Karolem obmyślimy środki... jakoś to będzie... Tylko co się tyczy jutra... to post i wilja.

— Wilja! a prawda—rzekł smutnie Pułaski.

Cała noc niemal zeszła na gawędzie przerywanej i na nowo wiązanej. Kilka razy rozchodzono się i, pożegnawszy, znów wracano. Mówili o Polsce, nagadać

*) Kościuszko pojechał także do Ameryki, aby tam walczyć za wolność wybijających się z pod przemocy Anglii Stanów Zjednoczonych. Potym wrócił do kraju i został naczelnym wodzem wojska polskiego w 1794 r.

się nie mogli. Każdy z nich był rodem z innego kąta szerokiej ziemi polskiej, ale uczucia i wspomnienia ich łączyły. Kościuszko, Litwin z Brzeskiego, długo żył w Warszawie i na Mazurach, znał dwór, króla, Czartoryskich i wielu znakomitych ludzi owego wieku.

Rogowski z łatwością namówił Pułaskiego i Kościuszkę, aby się z obiadem do gwiazd wstrzymali i zmienili go zwyczajem polskim na wieczrę. Obaj przyklasnęli tej myśli. Dzień zeszedł szybko, poszli oglądać okolicę, potem wrócili, nie nie zobaczywszy, bo mieli co innego na myśli, mówili o Wiśle i Bugu.

Nareszcie przyszedł wieczór... Karol już tylko oczekiwał na ukazanie się gwiazd... był w gotowości.

Serce mu biło, jak swawolnemu studentowi, który zamierza spłatać figla... wszedł do ogródka, po którym przechadzali się wodzowie i, uśmiechając się, rzekł do Pułaskiego:

— Panie gienerale, wieczera na stole.

— A! wieczera! Tak! — podchwycił gospodarz — żartuj zdrów, co mi to za wieczera w Ameryce! Nie polska to nasza, owa wigilja braterska, uczta święta, ale... co Bóg dał... chodźmy.

Ujawszy pod rękę Kościuszkę, zmierzał, jak zwykle na górę. Karol wskazał mu drzwi na dole.

— To tu — rzekł.

— Tu? — spytał Pułaski. — Cóż to jest?

— Tak nam wypadło — odpowiedział Karol.

W tym murzyn otworzył drzwi.

Salka przedstawiała widok niezwykajny i niespodziany. Naga izba ubrała się świątecznie, ściany zawieszane były zielonemi gałęzmi cedrów, jodły i cisów, stół świecił rześisto, okryty białym obrusem, pod którym siana domyślać się było można. W kącie stał ogromny snop zboża, jeśli nie gatunkiem, to formą przypominający nasze godło pracy rolniczej.

Pułaski jak olśniony stanął w progu. Najpierw zobaczył opłatki na talerzu, odwrócił się więc do Karola i ze łzami prawie porwał go za szyję, całując.

— Pocziwy, kochany przyjacielu — zawołał rozrzucony — chyba twoje złote serce dokazać tego mogło.

Drżącą ręką chwycił opłatek i podał go pierwszemu Kościuszcze.

— Gdy w Polsce rozłamiesz go kiedyś z braćmi, przypomnij mnie sobie i Trenton — rzekł cicho.

Mileżący, uroczyście jak w świątyni, z myślą do Boga wzniesioną, łamali się tułacz chlebem życia, a myśli ich i serce biegły tam, gdzie do nich także były piersi stęsknione rodziny, braci, przyjaciół.

Z rozweselonym czołem zasiedli do stołu. Niestety, murzyn barszczu z uszkami zrobić nie umiał, zastępowała go polewka. Inne potrawy, jeśli nie miały smaku naszych, przypominały je przynajmniej z pozoru; murzyn ów, czego nie mógł dobrze wyrozumieć, w to kładł jak najwięcej pieprzu, który w jego przekonaniu zdolnym był zastąpić wszystko i omylić podniebienie. Ryby wszakże z szafranem, po żydowsku z patatami (gatunek kartofli) i smażone z kapustą palmową, wybornie się udały.

Biesiadnicy pozostali długo w noc przy tym stole, pito niewiele, powoli, ale mówiono dużo.

Późno już ktoś przypominał obyczaj wigilij naszej wyciągania z pod obrusa siana; miało to podobno znaczenie, iż kto najdłuższą trawę wysunął, u tego najpiękniejszy len miał obrodzić.

— Ciągnijmy więc — dodał, śmiejąc się, Pułaski — będziemy sobie z tych roślin nowego świata prorokowali o żniwie.

W tym sianie amerykańskim były, prawdę mówiąc, przeróżne rośliny, nie wszystkie do traw należące. Każdy rękę włożył pod obrus, a co pochwycił, wyciągnął i podniósł do góry.

Pułaskiemu dostał się jakiś kwiat nieznany, już zeschnięty, na którego łodydze parę tylko listków zielonych zostało.

Rogowski dobył kiść dość długą, na końcu jej grono nasionek przypominało naszą hreczkę.

Karol wyciągnął łodygę zieloną, z kwiatami jeszcze niezupełnie zwiędłymi.

A pan Tadeusz zdziwił się, wyjawszy uciętą młodą gałązkę o liściach laurowych.

Śmiali się wszyscy, niewiele do tego przywiązując znaczenia, a pan Pułaski rzekł:

— Wam laury, panie Tadeuszu! Daj Bóg, byś je zbierał. Mnie się dostało coś zeschniętego, czarnego, jak ja... i bez życia... taką może pamięć zostawię po sobie...

Wstali wszyscy od stołu.

Jeszcze raz ścisnęły się dłonie, ucałowały usta i każdy poszedł nie zasnąć, ale myślą polecieć ku ojczyźnie.

J. I. Kraszewski.

Nieznajomy skrzypek.

Przed kilkadziesiąt laty wyjątkowa pogoda sprzyjała Bielanom pod Warszawą. Uroczystość Zielonych Świątek, niebo czyste, powietrze wiosenne, wszystko to nęciło do ulubionej wycieczki zamiejskiej. Więc też niezliczone tłumy dążyły do rogatek Marymonckich. Wszyscy byli w wesołym nastroju, zapominając na chwilę o codziennych troskach i kłopotach.

Gdzie wielu się weseli, tam znajdują się i tacy, którzy muszą odwoływać się do miłosierdzia bliźnich; zeszła się też tu znaczna liczba biednych i nieszczęśliwych, w nadziei sowitej jałmużny. Z pomiędzy wszystkich wyróżniał się starzec o drewnianym szczudle. Poważna wyprostowana jego postać, odzież wyszarzana, lecz cała, świadczyła, że człek ten porządny, skutkiem różnych nieszczęśliwych okoliczności, przyszedł do ostatecznej nędzy. Nie naśladował w on towarzyszów swej niedoli, nie wzywał natrętnym głosem przechodniów o pomoc, lecz odwinawszy z chustki skrzypce, stanął pod drzewem i począł grać skoczne tańce, w nadziei, że przechodzący obdarzą go datkiem. Przy nim siedział pies, który trzymał w zębach jego czapkę.

Wesołe gromady przechodziły koło starca, ale nikt jakoś o nim nie pomyślał, nikt nie przypuszczał, że on za ostatnie kilka groszy nabył nowe struny do skrzypiec.

Mijały godziny, starzec wciąż grał, a kiedy dotkliwy głód mu dokuczył, wyjął z kieszeni kawałek suchego chleba, po którego spożyciu znów się zabrał do grania. Napróżno! i teraz wesołe czeredki z obojętnością koło niego przechodziły. Mało kto obdarzył spojrzeniem biednego rzępołę; wzdychał więc po cichu i smutno spoglądał na ludzi, na świetne powozy i skromniejsze bryczki, przeciągające obok niego. Znów głód go trapić począł. Machinalnie sięgnął do kieszeni, była pusta! Chwiejnym krokiem podszedł do źródła, napił się

wody, powrócił na miejsce, gorączkowo pochwycił za smyczek i znów grać począł. Ciężki smutek przygnębiał jego duszę na myśl, iż prawie bez żadnego zasilku powróci do swego nędznego poddasza, w którym na garstce słomy spędzi noc bezsenność.

Lepsza dola była psa jego. Ten od czasu do czasu odbiegał od swego pana, aby spożyć porzucony przez przechodniów kawałek chleba lub kostkę. Wieczór się zbliżał; pomału tłumy przechodzących się poczęły, a zaledwie kilka groszy wpadło do czapki biedaka. Stracił już wszelką nadzieję. Drżąc ręką odmówiła mu posłuszeństwa. Siadł na pobliskim kamieniu, położył skrzypce na ziemi i schylił głowę.

Kiedy tak siedział w smutnym pogrążony dumanie, nie widział, że dosyć wykwintnie ubrany młody człowiek od niejakiego czasu stał pod drzewem z przeciwnej strony drogi i z widocznym współczuciem mu się przyglądał. Ujrawszy rozpaczliwy gości starca, sięgnął do kieszeni, a znalazłszy w niej jedną tylko sztukę monety, zawahał się przez chwilę, poczym z twarzą wyrażającą silne postanowienie, podbiegł do kaleki, a podając mu sztukę monety, poprosił, iżby mu na chwilę pozwoił swego instrumentu.

Podziękowawszy nieznajomemu za datek, starzec podał mu skrzypce. Wtedy nieznajomy nastroiwszy je, stanął obok starca, a powiedziawszy mu, iżby wziął czapkę w rękę, począł grać tak pięknie, iż starzec nie mógł uwierzyć własnym uszom, że z jego to skrzypców wydobywają się tak cudowne tony.

Na odgłos mistrzowskiej melodii zatrzymali się przechodnie, i coraz liczniejsze grono poczęło otaczać nieznajomego i biednego starca. Zdawało się, że jakieś niebiańskie dźwięki płynęły ze skrzypiec, przeplatane tonami smętnymi, przenikającymi do głębi serca. Z każdą chwilą wzrastał tłum otaczający nieznajomego i jego towarzysza. Wszyscy w głębokim milczeniu przysłuchiwali się muzyce; świetne nawet powozy zatrzymywały się przed muzykantem.

Nietrudno było poznać, w jakim celu nieznajomy młodzieniec grał na skrzypcach, to też wkrótce posypały się do czapki starca miedziaki, a nawet srebro. Pies tylko warczał, widocznie niezadowolony z tego, że pan dziś go zastąpił w jego obowiązku.

Powoli czapka się wypełniała; a nieznajomy coraz cudowniejszych dobywał tonów ze skrzypiec. W oczach

jego prawdziwa błyszczała radość, jak zwykle widnieje we wzroku człowieka, spełniającego czyn dobry; a on ustawicznie grą swą przemawiał do serc ludzkich, jakby prosząc o datkę dla kaleki. Zgromadzone tłumy na czas niejaki powstrzymały ruch powozów. Po chwili skrzypce zamilkły. Nieznajomy otarł pot z czoła, a kiedy znów chwycił za smyczek, grobowe zaległo milczenie. Zdawało się, że można było usłyszeć tętno serc wszystkich ludzi, które nieznajomy skrzypek pobudzał to do powolniejszego, to do szybszego uderzania.

Słońce już zaszło, powietrze się ochłodziło, rosa poczęła pokrywać ziemię, zmrok zapadł. Nieznajomy złożył skrzypce w ręce starca, uściśnął go i zniknął w tłumie, nie czekając na podziękowanie kaleki.

— Kto to? — zapytywano ze wszech stron staruszka.

— Nie wiem — odrzekł zapytany. — Wiem tylko, że Bóg zesłał mi go na pomoc. Gdyby nie on, wkrótce umarłbym z głodu.

Wtym wystąpił z tłumy jakiś poważny człowiek, a krótkimi słowy, przemówiwszy do zgromadzonych, wziął z rąk kaleki jego czapkę, obszedł z nią obecnych i raz jeszcze zebrał znaczną sumę dla biednego starca, poczem wymienił nazwisko nieznajomego skrzypka. Był nim młody wirtuoz, Karol Lipiński, przebywający wówczas chwilowo w Warszawie.

Karol Lipiński przyszedł na świat w Radzynie, w Galicji, dnia 30 października 1790 roku. W siódmym roku życia zwracał już na siebie uwagę piękną grą na skrzypcach, a w dziewiątym budził już powszechny podziw. W roku 1817 odbył pierwszą wycieczkę artystyczną do Włoch. W roku 1834 z wielkim powodzeniem grał w Warszawie na koncertach publicznych. W końcu otrzymawszy posadę szefa orkiestry teatralnej w Dreźnie, pozostał tam aż do 1860 roku. W rok później zakończył swój pełen sławy artystycznej żywot w majątku swoim w Urławie.

Henryk Wernic.

Ocaleni.

Obrazek z przeszłości.

Pewnego dnia 1650 roku wielki okręt zawinął do jednej z zatok wysp Archipelagu greckiego.

Dziwny to był statek. Żadna flaga nie powiewała na wysokim maszcie, żadna nazwa, żaden znak nie wskazywały pochodzenia gościa, który kołysał się spokojnie w promieniach zachodzącego słońca.

A jednak był to gość niebezpieczny — statek piratów afrykańskich, który zawitał w to ustronie dla jakichś podejrzaných celów.

Na pokładzie zebrała się załoga, złożona z sześćdziesięciu ludzi, krzycząc i giestykulując żywo. Na twarzach majtków, poczerwiałych od burz i wicherów morskich, dzikich i strasznych, w ich oczach o wyrazie okrutnym malowała się wściekłość i nienawiść, a zaciśnięte pięści z groźbą zwracały się w stronę, gdzie wsparty o maszt środkowy stał jeden tylko człowiek owinięty białym burnusem.

Był to dowódca załogi — szeik piratów.

Wysoki i wysmukły, z lekko siwiejącymi włosami, skrzyżowawszy ręce na piersi, słuchał z pogardliwym uśmiechem groźb i złorzeczeń, jak gdyby to nie jego miały na celu, jakby obchodziły go tyle, co brzęczenie natrętnej muchy.

W pobliżu niego, na skrajnie lin okrętowych siedział stary majtek algierski z ciemną, ogorzałą, a w tej chwili nachmurzoną twarzą, obok zaś tulił się do niego młody chłopiec okrętowy, sierota, którego piraci przemocą na swój okręt porwali. Twarzyczka chłopca wskazywała pochodzenie europejskie, a jasne oczy patrzyły śmiało i energicznie, choć znać było, że nie starszym był nad lat trzynaście lub czternaście.

Obaj w milczeniu przysłuchiwali się złorzeczeniom piratów i dzikim wybuchom ich nienawiści.

Nagle chłopiec zwrócił się do swego towarzysza i rzekł:

— Kalebie, czy nie powiesz im swego przekonania?.. Wszak nie pragniesz zagłady owego okrętu francuskiego, wracającego z Indji z ładunkiem korzeni i futer?...

Majtek wzruszył ramionami.

— Widzisz, mój mały, i dowódca i ja mamy już dosyć tego rzemiosła bandytów. W naszej gorącej Afryce jest jeszcze tyle pięknej ziemi, że wystarczy dla nas. A gdybyśmy nie mogli rozstać się z tym błękitnym morzem, to zostaniemy raczej ucziwami kupcami, jak tylu dzielnych marynarzy, zamiast napadać na podróżnych i rabować ich majątek.

— Szkoda, że nie zawsze tak czuleś i myślałeś! — odrzekł chłopiec z westchnieniem.

— To prawda... dawniej... byłem młody i głupi. I kto mnie miał nauczyć?! Ale widzisz, Kubusiu, od chwili, kiedy cię podniosłem z pokładu tego opuszczonego i tonącego okrętu francuskiego, zrobiło mi się tak jakoś na sercu... Postanowiłem porzucić dotychczasowe rzemiosło. Ja nie chcę żebyś ty był rozbójnikiem, Kubusiu!

— I nie będę nim nigdy! — zawołał chłopiec z oburzeniem w oczach.

— Dowódca także ma tego dosyć. Wycofamy się wszyscy trzej. Może Bóg odpuści mnie i wodzowi nasze ciężkie zbrodnie. Dowódca lubi cię, mój mały!

— Tymczasem załoga mnie nienawidzi — pochwycił Kubuś — wiem o tym. O, Kalebie! — dodał z nagłym wybuchem serdecznej wdzięczności — gdyby ciebie tutaj nie było, wysadziliby mnie już dawno na której z bezludnych wysp, ażeby tam zmarł z głodu, lub plagami kazaliby mi płacić ten kawałek chleba, który jem tutaj.

— Tak, tak — zamruczał stary — wiem, że niech tylko odwróć uwagę lub zajmę się czym na uboczu, natychmiast zaczynają cię bić... A że cię bronie, ciebie, należącego do znienawidzonej rasy białej, nienawidzą i mnie... Ale cierpliwości!

W tej chwili groźniejszy niż dotąd okrzyk wstrząsnął powietrze, i pięści wyciągnęły się w stronę szeika. Lecz ten chłodny i wyniosły ciągnął dalej:

— Jutro podnosimy żagle i wracamy do Algieru. Tam wypłacę wam sowicie wasze zasługi, abyście nie potrzebowali się skarżyć na mnie. Statek jest mój a nie wasz... Strzeżcie się mnie drażnić, jeśli nie chcecie spróbować rzemieni i lochów!... Protesty na nic się nie przydadzą, jam pan i władca — wyście niewolnicy!... Co do statku francuskiego — ciągnął dalej szeik nieporuszoną głosem — nie będziemy go atakowali... Wola moja ma

być wypełnioną: nie będziemy nikogo napadali, gdyż jutro, skoro świt, wyruszamy na pełne morze.

— Na śmierć, na śmierć! — wrzasnęli piraci — a tymczasem zakuć go w kajdany i do lochu!

I cała gromada z wrzaskiem i wyciem rzuciła się na swego dowódcę.

Kubuś i jego towarzysz podnieśli się ze swego siedzenia. W oczach chłopca malowało się oburzenie, a ręce mimowoli zaciskały się w pięści.

— Kalebie, chodźmy mu na pomoc! — szeptał zdławionym głosem, ciągnąc starego marynarza za rękaw.

— Cicho, chłopcze, cicho!.. Nie mu nie pomożemy, zamordują go tylko prędzej, a i nas zamordują.

Buntownicy tymczasem, pochwyciwszy szeika, okuli mu ręce i nogi w ciężkie kajdany i wrzucili do ciemnego lochu pod pokład. Następnie zebrali się znowu na górze, aby wybrać nowego dowódcę, któryby ich chętniej poprowadził na rozboje.

Był to Negr, najdzikszy i najokrutniejszy z nich wszystkich. Wypowiedział krótką mowę i głosem grzmiecym wydał rozkaz przygotowania się do napadu.

Piraci z radością poczęli czyścić broń, szykować armaty, znosić proch i kule, ciesząc się zawczasu z mającej nastąpić bitwy, a przedewszystkim z łatwej a bogatej zdobyczy. Okręt, na który oczekiwali, znajdował się o pięćdziesiąt mil za małą wysepką Tinos. Zatrzymany z powodu jakichś drobnych uszkodzeń, miał przepływać obok ukrytych korsarzy o dwa dni później. Na tę to chwilę czekali oni z takim upragnieniem.

Jakób i Kaleb, nie chcąc zwrócić na siebie gniewu i uwagi nowego dowódcy, przypasali również miecze, lecz myśl ich była przy szeiku, którego postanowili ratować.

— Co robić? — szepnął stary majtek — na co się zdecydować?.. Dałbym się zabić, ale co z tego wyniknie dobrego?

— Cicho! — odrzekł chłopiec — pozwól mi działać samemu.

Nadeszła noc. Korsarze spali w swych hamakach, tylko straż czuwała na pokładzie, przechadzając się miarowym krokiem i wpatrując się coraz uważniej w otaczającą ją ciemność.

Cichuteńko przesuwał się Kubuś pomiędzy pakami z piłką w dłoni, aż do małej kajuty, znajdującej się nad

więzieniem, w którym zamknięto dowódcę. Bez szelestu prawie, nadsluchując i przerywając robotę za najmniejszym podejrzanym szmerem, pracował dzielny chłopiec kilka godzin, dopóki nie wypiłował otworu, przez który szczupła jego postać łatwo przesunąć się mogła.

— Komendancie!—zawołał szeptem — komendancie, czuwaj i miej nadzieję!

Na drugi dzień, zaledwie zapadł wieczór, nowy dowódca zwrócił się do Kubusia i Kaleba, naznaczając ich na pierwszą zmianę straży.

— Wy dwaj będziecie dzisiaj czuwali — rozkazał — a otworzyć mi dobrze uszy i oczy, bo za najmniejszą opieszałość wiecie, co was czeka!

Kubuś spuścił głowę, aby ukryć błysk radości, który jak promień przeleciał mu po twarzy, i milczeniem pokrył groźbę nowego kapitana.

Wkrótce pokład opustoszał. Majtkowie po sutej kolacji, którą im kazał wydać nowy dowódca, pokładli się spać wcześniej, jedynie Kubuś i Kaleb, postawieni na straży, wpatrywali się w niezgłębioną dal nocy. Cisza panowała dokoła, tylko jednostajny szmer fali przeprawy panujące milczenie, lub kiedyniekiedy żalony krzyk mewy pruć powietrze, a potem zapadało wszystko w poprzedni spokój.

Wreszcie Jakób zwrócił się do towarzysza, a głos jego drżał nieco, kiedy rozpoczął pocichu:

— Słuchaj, Kalebie, ja nie mogę żyć dłużej pomiedzy temi ludźmi... Nietylko ich dzikość sprawia mi cierpienia, ale ja myślę ciągle o moim rodzinnym kraju, którego nie znam, a który pragnę widzieć, który kocham z całego serca i któremu chcę służyć. Jeżeli ucieknę...

— Uciekniesz!? — wyszeptał stary majtek zdumiony.

— Tak, to moje stałe postanowienie... Jeżeli więc ucieknę, czy ty, Kalebie, uciekniesz ze mną?

— Z całego serca, drogi mój chłopcze, lecz kiedy i w jaki sposób?

— Kiedy?—powtórzył Jakób—choćby zaraz. Chodź, nie traćmy czasu na próżne słowa, lepiej pomóż mi spuścić szalupę na morze.

Stary marynarz spojrział wzruszony na chłopca, lecz we wzroku Kubusia malowała się taka stanowczość, że nie chciał się dłużej opierać i rzekł tylko:

— A jeśli bloki zaskrzypią i pobudzą wszystkich?..

— Nie bój się—zaśmiał się chłopiec—naoliwiłem je dobrze, śpieszmy się tylko!

W kilka chwil później wspaniała szalupa kołysała się lekko na falach zatoki.

Kubuś z mimowolnym odcieniem wyższości kazał towarzyszowi oczekiwać na siebie, sam zaś cicho i zwinnie wślizgnął się pod pokład, aż tam, gdzie zamknięty siedział nieszczęśliwy szeik.

Minęło chwil kilka, które oczekującemu marynarzowi wydawały się wiekiem, i na pokładzie pojawiła się wysoka postać białym owinięta burnusem.

— Szeik!—szepnął zdumiony stary marynarz—szeik, mój dowódca!

I wyciągając ręce, zbliżył się ku wysokiej postaci.

— Cicho!—szepnął głos Jakóba, który w tej chwili wynurzył się z ciemności — nie mamy czasu do stracenia... Tu chodzi o naszą wolność i życie. Oto lina, czy nie zechcesz zejść pierwszy, komendancie?!

Jeden za drugim trzej śmiałkowie zsunęli się do szalupy. Szeik i Kaleb ujęli wiosła.

Jakób zasiadł przy sterze, kierując wątły statek wprost w nieprzejrzaną ciemność nocy.

— Uratowałeś mi życie, Jakóbie!—przerwał nareszcie milczenie dawny wódz piratów—i życie to należy do ciebie, moje dziecię! Lecz powiedz mi, dokąd nas prowadzisz?

— Wprost do statku francuskiego przy wyspie Tinos—odpowiedział chłopiec—tam znajdziemy najszybsze i najbezpieczniejsze schronienie.

— Masz słuszość! — odpowiedział krótko szeik—prowadź więc nas, kapitanie Jakóbie!

Kilka godzin płynęli w milczeniu, tylko ręce pracowały ze zdwojoną gorliwością, a duże krople potu na czołach wiosłarzy wskazywały pośpiech i wysiłek.

Już na wschodzie ciemności rzednąć zaczęły, kiedy daleko za naszymi zbiegami rozległ się huk, podobny do oddalonego grzmotu. To na statku piratów przekonano się o ucieczce straży, oraz porwaniu więźnia i wystrzałem armatnim ogłaszano zapowiedź pościgu.

Szeik i stary afrykańczyk spojrzeli na siebie, lecz twarz Kubusia pozostała spokojną. Lekki uśmiech rozchylił mu wargi, a dłoń wskazywała szarzejące przed niemi w mgle zarysy wybrzeży i drobny punkcik, w którym bystre oczy marynarzy rozpoznały zbawczy statek.

Wkrótce przed dowódcą francuskiego okrętu stanęli trzej przybysze zmęczeni i ledwie trzymający się na nogach. Najmłodszy z nich, dziecko prawie, wysunął się naprzód, i zdjawszy czapeczkę z jasnych włosów, rzekł zniżonym, lecz czystym głosem:

— Panie, uciekliśmy ze statku piratów. Mój dowódca i mój stary towarzysz porzucają dawne życie, a czy stość ich zamiarów niech poświadczy ta okoliczność, że przybywają wprost tutaj, aby ratować was od strasznego niebezpieczeństwa. Ja zaś, urodzony na brzegach Francji, pragnę żyć i umierać w usługach mego kraju.

Tu dzielny chłopiec powiedział o zbrodniczym zamiarze piratów. Dzięki temu, bogaty okręt, zmieniawszy drogę, uszedł niechybnej zagłady.

Minęło lat kilka i znowu w te strony zawinął wspinały trójmasztowiec. Francuska flaga powiewała na jednym z masztów, a wkoło burty wielkimi literami wypisaną była nazwa okrętu «Kapitan Jakób.»

To dawniejszy więzień piratów, mały Jakóbek energiczną pracą dorobił się własnego statku i znanym jest, jako jeden z najuczciwszych i najdzielniejszych dowódców na okrętach handlowych.

z „Przyjaciela Dzieci.“

Grzegorz z Sanoka.

Na szerokiej drodze, ciągnącej się wśród pól, ukazały się dwie postaci: mężczyzna w wieku podeszłym i chłopię niedorósłe. Stary podpierał się grubym, sękatym kijem, od czasu do czasu wdychał ciężko; chłopiec rozglądał się ciekawie wokoło.

— No—rzekł stary—to i rozstać się nam trzeba; ja dalej iść nie mogę, choćbym i chciał. Ciężka ci dola naznaczona, lecz sam się do niej rwiesz; ja ci nic dać nie mogę, bo w chacie jeszcze pięcioro żywić trzeba. Nie zapomnij, żeś synem prostego kmiecia, nie zapomnij braci twoich i tej wioski, gdzieś pierwszy raz słońce ujrzał, gdzie stoi chata twoja, gdzie mogiła twej matki. Gdy nad książkami zasiądziesz i mądrości się z nich nauczysz, nie pogardzaj temi, co z pługiem po roli chodzą, bo i oni uczciwie pracują, i oni potrzebni na tej ziemi. Niechaj nauka uczyni cię tylko mądrym i dobrym, abyś

mógł przez nią kiedyś bliżnim twoim drogę do szczęścia otwierać.

Chłopak płacząc pochylił się do kolan ojca, uściśnął je, poczym rozstali się; stary podążył ku wsi, której chaty teraz z poza mgły się ukazały, chłopak poszedł naprzód dalej. Kilkakrotnie przystanęli, by popatrzyć na siebie, nakoniec stracili jeden drugiego z oczu.

Po wielu dniach pieszej podróży, w której Grześ niemało zaznał znużenia i głodu, ujrzał wieczora jednego jakieś mury, jakieś wieżycy i dachy przed sobą; a gdy zapytał przechodniów, co to za miasto, powiedziano mu, że to Kraków. Więc dobił się wreszcie do celu!... Gdy dostał się w gwarne ulice miasta, sam nie wiedział, co się z nim dzieje. Błady ze zmęczenia, obdarty, mógł litość budzić i budził ją istotnie. Przechodzący przypatrywali mu się ze współczuciem.

Niespodzianie uczuł czyjąś rękę na ramieniu. Obejrzał się: za nim stał młody ksiądz. Taka dobroć, taki spokój, taka powaga malowały się na jego twarzy, iż chłopiec od razu nabrał zaufania do tego nieznajomego. Ksiądz ten był właśnie przełożonym szkoły przygotowującej do akademii. Wdawszy się z chłopcem w rozmowę, dowiedział się, że pochodził on z pod Sanoka, gdzie uczęszczał do szkoły parafjalnej, i że pragnienie nauki sprowadziło go aż do Krakowa, choć nie miał żadnych zapasów pieniężnych ani środków do życia. Roztropne odpowiedzi chłopca podobały się księdzu, więc postanowił się nim zaopiekować; ale wprzód poprowadził go do egzaminu wstępnego.

Na jednej z bocznych ulic wznosił się piękny muryrowany budynek, schludny i duży. Gdy weszli do niego, Grześ znalazł się w obszernej izbie. Stały tutaj ławy, w których siedzieli chłopcy; naprzeciwko wznosiła się katedra. Zasiadł w niej ów ksiądz i podał Grzesiowi księgę. Malcy nadstawili uszu, czekając, jak Grześ jąkać się zacznie, gdy ku ogólnemu zdziwieniu chłopak przeczytał gładko całą stronicę. Ksiądz go pochwalił, kazał mu potym pisać; i z kaligrafją się powiodło.

Tegoż więc jeszcze dnia syna ubogiego kmiecia z pod Sanoka zapisano do grona uczniów szkoły św. Anny. Skoro dziatwa szkołę opuściła, przełożony przywołał chłopca i powiódł go z izby szkolnej do swej celi, która na tym samym korytarzu się znajdowała.

— O mieszkanie się nie troszcz—rzekł—dam ci kąt

do spania; tylko o obiedzie pomyśleć trzeba. Ale i na to poradzimy; będziesz żył, jak wielu, z jałmużny.

Na bladą twarz Grzesia wybiegł rumieniec.

— Z jałmużny?—powtórzył pytającym głosem.

— Zaraz ci to objaśnię; teraz południe, pójdziesz po obiad. Ci wszyscy, którym z domu nie przysyłają pomocy, żyją tu z jałmużny; mieszczaństwo krakowskie jest litościwe.

To powiedziawszy, zakrzętał się po celi i niebawem podał Grzesiowi glinianą miskę, łyżkę drewnianą i jakąś kartkę.

— Idź z tym na ulicę, zastukaj do pierwszego domu za kościołem, pokaż kartkę, a jeść ci dadzą. Znam ludzi, którzy tam mieszkają; liczną mają dziatwę, więc i ty pożywisz się przy niej.

Grześ patrzył na księdza, spoglądał na miskę i nie odpowiadał; nagle z jego oczu łzy trysnęły.

— I czegoż płaczesz?—spytał ksiądz — wszakże życzenia twoje spełnione, uczyć się będziesz.

Chłopak połknął łzy, skłonił się do nóg księdza, wziął miskę, łyżkę, kartkę i wyszedł z celi. Jeść mu się chciało, ale myśl, iż zebrać ma, przykrą mu była, więc nie śpieszył; szedł zwolna z głową smutnie ku pierśsiom opuszczoną. Wtym ujrzał kilku kolegów z łyżkami i miskami, wysuwających się z bramy szkolnej i dążących do domków, położonych wśród zielonych ogrodów. Gdzie tylko zastukali do drzwi, roztwierały się podwoje: z jednych wysunęła się jakaś mała dziewczynka z garnuszkiem w rękę, uśmiechnęła się do stojącego u progu żaka i nalala mu ciepłej zupy na miskę; z drugich wyszła jakaś sędziwa niowiasta, z innych grzeczne chłopię; ani jeden z chłopców z prózną miską nie odszedł. Grześ patrzył i czuł miłe wzruszenie w sercu: piękny bo też to był obraz patrzeć, jak miasto pomaga dziatwie, by na ludzi wyrosła. Teraz już go nie bolało tak, iż prosić musi; posunął się w ulicę i do domu wskazanego przez księdza zastukał, ale bardzo lekko; otworzono mu wszakże natychmiast, a w progu ukazała się rumiana uśmiechnięta dobrotliwie kobieta.

— Cóż tak kołaczesz nieśmiało? — spytała — czy się boisz, czy się wstydzisz? Pewnoś w Krakowie nieoddawna?

Grześ w miejsce odpowiedzi podał kartkę księdza. Kobieta na nią nie spojrzała.

— Nie masz się czego bać—mówiła dalej—i wsty-

dzić się nie masz czego... My wam dziś damy, potym wy nam dawać będziecie; wprawdzie nie strawy na miskę, lecz coś droższego, czego złotem nie oplacisz... dacie nam naukę, mądrość, światło. Kto wie, może ty kiedyś wnuki moje uczyć będziesz.

To powiedziawszy, pociągnęła chłopca za sobą przez drzwi do sieni wiodące, i za chwilę Grześ siedział w dużej izbie za stołem białym obrusem zasłanym, nad miską pełną krup, suto okraszonych.

Najgorętszemu pragnieniu Grzesia stało się tedy zadość. Znalazszy cudem prawie opiekę, nie potrzebując już troskać się ani o kawałek chleba ani gdzieby mógł złożyć głowę do spoczynku, wziął się szczerze do nauki. Szybko mijały lata, spędzone nad księgami i wśród ustawicznej pracy; aż wreszcie jego pilność, wytrwałość i gorąca miłość nauki zostały uwieńczone. Grzegorz z Sanoka, syn ubogiego kmiecia, z ucznia akademii krakowskiej został jej nauczycielem, a później nawet doradcą królewskim. Zasłużył się ojczyźnie także przez swą naukę, gdyż niejedno złe usunął, niejednen błąd sprostował. Dzięki swym zasługom został w końcu arcybiskupem lwowskim. Umarł w 1477 roku, mając lat 70.

Straż pożarna.

Dzisiaj z rana przemysliwałem nad tym, coby tu obrać za przedmiot do ćwiczenia piśmiennego, którego treść zostawił nam nauczyciel do wyboru. Wtym usłyszałem niezwykle gwar na ulicy, potym głosy na schodach, a po chwili weszło do naszego mieszkania dwóch ludzi ze straży. Jeden z nich, z galonami u munduru, widocznie starszy, ostrzeższy, że nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, poprosił mego ojca, żeby im pozwolił obejrzeć piece i kominy; na dachu bowiem paliło się w kominie, a nie wiadomo było, do którego mieszkania ten dymnik należy. Chociaż nie rozpalaliśmy jeszcze wcale ognia od wczoraj, mój ojciec przystał na to najchętniej, sam poszedł naprzód, otwierał im drzwi od pokojów, a nawet od pieców i kominów. Oni przykładali ucho do ścian i pieców, aby słyszeć, czy płomień nie huczy w sztychach komina, które idą na wyższe piętra domu. Nie znalazzszy nic podejrzanego, wyszli szybko drugimi drzwiami do innych pomieszczeń. Kiedy u nas

nie było niebezpieczeństwa, a strażnicy dalsze odbywali oględziny, przystąpił ojciec do mnie i rzekł:—Oto masz przedmiot do twego wypracowania — «Straż pożarna». Spróbuj opisać to, co ci opowiem.

Widziałem ich przy pracy, pewnego wieczora przed dwoma laty, wracając z teatru. Wchodząc na ulicę Kościelną, zobaczyłem światło niezwykle i fale ludu, nadbiegającego ze wszystkich stron: jedna z wyższych kamienic stała w płomieniach. Języki ognia i chmury dymu wydobywały się z okien i dachu; kobiety i mężczyźni ukazywali się w oknach wyższych pięter, wydając rozpaczliwe okrzyki, to nikli znowu; przed bramą był wielki tłok ludzi, którzy wołali: «Żywcem się spala! Ratunku! Straży!»

W tej chwili nadjechał wóz ze strażą: wyskoczyło zeń czterech strażników i wpadli do płonącego domu. Nim nadjechały sikawki i wozy z przyrządami do ratowania, oczom naszym straszny przedstawił się widok. Na trzecim piętrze, przez kraty żelazne, sięgające do pół okna, przelazła jakaś kobieta z krzykiem przeraźliwym i uczepiwszy się jej, zawisła niemal w powietrzu. Nad jej głową wybuchał dym i ukazywały się ogniste języki, które prawie lizały ją po głowie. Z sąsiednich okien także co chwila wychylali się ludzie.

Wtym strażnicy, którzy pierwsi wpadli byli do płonącego domu, ukazali się w oknie drugiego piętra. «Na trzecie piętro! prosto po nad siebie!» zagrzmiąło ze stu piersi. Strażnicy wyjrżeli przez okno, ujrżeli ową kobietę, usłyszeli krzyki nad sobą i w jednej chwili znikli. Na trzecim piętrze panował zamęt piekielny: płonące belki spadały z dachu, korytarze były pełne ognia, dym dusił. Aby się dostać do pokoiów, w których się znajdowali zagrożeni mieszkańcy, nie było innej drogi, jak tylko przez dach. Natychmiast wdrapali się strażnicy na dach i wkrótce ukazał się człowiek jak czarne widmo uwijający się wśród dymu. Był to sierżant, ten co się tam dostał najpierwszy. Sierżant zbliżył się do krawędzi dachu; wszyscy drgnęli i dech zatrzymując w sobie, nie spuszczaali zeń oka. Spojrzał w dół, szukając okiem kobiety, która ciągle jeszcze wisiała u okna; ogień huczał nad jej głową—jeszcze chwila, a spadłaby na bruk ulicy. Okno to było oddalone o kilka metrów od niego na lewo.—«Niepodobna, aby się tam dostał!»—wołał tłum na dole. Tymczasem sierżant zaczął biedz po gzymsie, zwinnie jak kot, a potem rąbać toporkiem

belki, deski, tynk w suficie, aby sobie otworzyć przejście do środka. Po chwili zanurzył się w morzu ognia i dymu. Za nim przybiegli inni towarzysze i znikali jeden po drugim.

W tym samym czasie olbrzymia drabina ratunkowa, przywieziona przed chwilą, ustawiona została i oparta o mur, skąd dobywały się płomienie i krzyki. Ale sądzono ogólnie, że już będzie zapóźno... «Nikt się nie uratuje, to darmo!»—wołano.—«Strażnicy się spala. Musieli się podusić! Już po nich!»

Wtym, w oknie, na którego poręczy zawisła kobieta, ukazała się czarna postać sierżanta, oświecona od góry do dołu płomieniem; pochwycił on w pół kobietę, podniósł ją i wciągnął za sobą do gorejącego pokoju.

Tłum wydał okrzyk olbrzymi, który zagłuszył trzask i huk pożaru.

— «No, ale inni! Jak tu zejść? Jak się do drabiny dostać!»—wołano.

Tymczasem na okno najbliższe drabiny ratunkowej wyskoczył znowu ten sam sierżant, przechylił się, chwycił się drabiny, stanął na niej lewą nogą a prawą na żelaznej poręczy okna. W takiej postawie, wysoko w powietrzu, brał w ramiona jednego po drugim nieszczęśliwych mieszkańców, których mu podawali towarzysze ze środka domu, i oddawał ich towarzyszowi, który z ulicy dostał się po drabinie w górę, aby wyratowanych z płomieni sprowadzić na dół przy pomocy strażników, stojących niżej na stopniach drabiny. Tą drogą przeszła kobieta, która była uczepiona u okna, potem dziecko, za nim druga kobieta i starzec. Wszyscy byli ocaleni. Po starcu zeszli strażnicy, którzy byli w płonącym domu, a na ostatku sierżant, ten, który pierwszy na ratunek pośpieszył.

Tłum witał wszystkich wybuchem oklasków i wiwatów; a kiedy zeszedł ostatni, przywódca zbawców, okrzyki uwielbienia i wdzięczności nie miały granic. W kilka chwil imię jego, dotąd nie znane nikomu, było już na ustach wszystkich.—«Wiwat, sierżant! Niech żyje!» rozlegały się długo okrzyki w powietrzu.

— Oto jest męstwo! Rozumiesz, Adasiu,—mówił ojciec dalej.—Oto odwaga, co z serca płynie, która nie rozumuje, nie waha się, ale śpieszy na oślep tam, gdzie słyszy wołanie ginących. Zaprowadzę cię kiedyś na musztrę straży ogniowej i pokażę ci tego sierżanta.

Gdy tych słów domawiał, ujrzelśmy tych samych

strażników, którzy byli przed chwilą w naszym mieszkaniu, wracających po ugaszeniu sadzy w kominie na drugim końcu domu.

Ojciec wskazał mi mniejszego z nich, który miał galony i powiedział:

— «Pójdźmy uściśnąć rękę temu sierżantowi» — i pociągnął mnie za sobą. Wyciągnęliśmy do przechodzącego dłonie: sierżant się zatrzymał, ojcu dłoń uściśnął, podał i mnie rękę z uśmiechem, którą ja uściśkałem serdecznie, potym uklonił się i wyszedł.

Był to mężczyzna średniego wieku, trochę już szpakowaty, średniego wzrostu, silnie zbudowany, z wąsem zakreconym z węgierska.

— A dobrze go sobie zapamiętaj! — dodał jeszcze ojciec po jego odejściu. — Z pośród tysięcy rąk, jakie w życiu uściśniesz, może nie wiele będzie takich, coby jego ręki były warte.

Z „*Serca*“ *Amicisa*.

Emiljusz Paweł i Perseusz, król Macedonji.

Kiedy wojna Rzymian z Perseuszem, królem Macedonji, od niejakiego czasu już trwająca, przewlekała się prawie bez końca, Rzymianie, poznawszy nieodbitą potrzebę śmiałego wystąpienia przeciw coraz bardziej wzmagającemu się nieprzyjacielowi, umyślili wysłać przeciw niemu znaczne wojsko, ale pod takim wodzem, na któregooby zdadności się nie zawiedli. Takim zdawał się być wówczas Emiljusz Paweł, już starzec sześćdziesięcioletni, ale mnogością znakomitego powinowactwa, dzielnością własnych dzieci, przymiotami i dziełami swemi godzien piastować los ojczyzny. Jednogłośnie obrany konsulem, objął dowództwo wyprawy przeciwko Perseuszowi.

Był u Rzymian zwyczaj, że wkrótce po swoim wyborze zwoływali konsulowie lud i naówczas składali dziękczynienia za wybór. Szedł za przykładem poprzedników Emiljusz, a gdy przyszło do mówienia, od tego zaczął: «Staralem się o pierwszy konsulat dla siebie, gdyż pragnąłem tego uczczenia; za drugim razem, dla was przyjmuję to dostojęństwo, ponieważ ku tej, którą macie przedsięwziąć, wyprawie, wodza wam potrzeba.

Jak więc nie mam przyczyny dziękować, tak mam prawo powiedzieć wam prawdę. Jeżeli mniemacie mieć ku tej wyprawie doświadczeńszych i sposobniejszych dowódców, odstępuje im miejsca z ochotą; jeśli zaś we mnie pokładacie ufność, nie mieszajcie się do tego, co ja mam czynić. Jeżeli bowiem zechcecie rządzić rządcą, straciecie darmo wyprawę i staniecie się godnemi wzgardy i pośmiewiska.»

Słowa te, pełne godności, wzmocniły ufność ludu rzymskiego ku sędziwemu wodzowi.

Wkrótce potym wyprawił się Emiljusz, przybył do obozu i rządnie a dzielnie przygotowywał to wszystko, co do skutecznienia zamysłów swoich potrzebnym uznawał.

Miejsce, na którym rozłożyli się Macedończykowie, wielce było sposobne ku bitwie. Wyruszył więc w pole i Emiljusz. Przyszedszy, zastał już wojsko Perseusza w porządnym szyku. Widząc niezmiernie mnóstwo nieprzyjaciół, gotowych do bitwy, wstrzymał swoich, a lubo przełożeni pułków, a najbardziej Scypjon, usilnie domagali się hasła, nie dał się użyć ich prośbom, lecz obracając się ku Scypjonowi, rzekł: «I jabym się rwał do walki, gdybym był w twoim wieku; ale otrzymawszy już niejedno zwycięstwo, wiem, w czym błędzili zwyciężeni. Nie jest teraz pora wieść znużonego naszego żołnierza na lud świeży, który sobie wypoczął.» To powiedziawszy, zatrzymał swe wojsko.

Nazajutrz, gdy Rzymianie postrzegli wychodzących ku sobie Macedończyków, ruszyli się wzajem; naonczas Emiljusz, widząc już orzeźwionego spoczynkiem żołnierza, objeżdżał pułki, wzbudzając je ku utrzymaniu sławy imienia rzymskiego.

Czoło wojsk Perseuszowych trzymali Trakowie, z postaci i wzrostu okazali i straszni; trzymali w rękach puklerze, a te białe i świetne błyszczały z daleka. Za nimi szły inne cudzoziemców pułki, z rynsztunkiem każdemu zwykłym; następowali Macedończycy, lud wyborny, w wojny wprawny, w broń opatrzony, w spojrzeniu straszny. Hufiec ów, zawołany od czasów Filipa i Aleksandra, z wyboru narodowego złożony, stanął w pośrodku. Wszczęła się bitwa sroga. Pierwsze natarcie żołnierza rzymskiego nie wzruszyło straszego pułku; stał na jeżony pociskami, tarczami zaś wzajem tak się splotły szeregi, iż się murem lśniącym wydawały. Powtórzyli Rzymianie atak w największym zapale, ale również jak

i pierwwej przedrzeć się nie mogli. Trwał więc z obu stron bój srogi; i zdawało się zwycięstwo już nakłaniać ku Perseuszowi, gdy nagłym przejęty strachem, sromotnie z placu uciekł. Mieszać się zatym poczęły wojska jego, dotąd silnie stojące. Gdy to Rzymianie spostrzegli, ostatnich sił dobywając, przeparli nakoniec skrzydła i ów niewzruszony środkowy hufiec cofać się musiał. Nakoniec przerwano szyki nieprzyjaciół, a wtenczas, gdy wręcz potykać się przyszło, nie mogli wydolać Macedończycy rozjuszonemu niezwykłym odporem zwycięzcy i pułk ten sławny, pierwszy raz wówczas przełamany, do szczętu został zniszczony. Pozostało na placu dwadzieścia pięć tysięcy Macedończyków; wielkie mnóstwo jeńców zagarnęli zwycięzcy, albowiem Macedończycy, widząc ucieczkę swego króla, lubo dotąd niewzruszoną odznaczali się wiernością, opuszczeni i bez żadnej już nadziei obrony zostający, poddali się Rzymianom.

Tymczasem Perseusz nie zdołał ująć pogoni: dostał się w ręce Rzymianom. Gdy go przyprowadzono do obozu, wyszedł przeciw niemu Emiljusz i łączy mu stanęły w oczach na tak okropne igrzysko losu. Padł mu do nóg Perseusz, lecz Emiljusz rzekł doń:

«Pocóż, nieszczęśliwy królu, przez los poniżony, jeszcze się bardziej upadłasz? Odbierasz mi sławę zwycięstwa i Rzymianom chlubę, iż z godnym siebie nieprzyjacielem walczyli. Cnota, choć nieszczęśliwa, godna poszanowania, a nikiżemność, choć i na największym stopniu szczęścia zostaje, wżgardę tylko za sobą prowadzi.»

Jednak mimo te słowa, oddał zwyciężonego króla pod straż. Gdy potem Emiljusz wszedł do swego namiotu w orszaku namiestników, przyjaciół i dzieci, długo milczał, wreszcie tak przemówił:

— Czyby człowiek dlatego, że narody zwojował, miasta niszczył, królestwa podbił, tak był szczęściem zaślepiony, iżby i w tym, co zdziałał, nie spostrzegł, jaka jest na świecie rzeczy niestałość, a własnym doświadczeniem nie uczuł napomnienia, które tenże los niestępczyni i jemu daje! Kiedyż bowiem taka pora znaleźć się może, w którejby szczęściu zaufać można? Ówierć godziny zniszczyła resztę potęgi Aleksandra, i następcy jego dziś u nas chleba żebrają. Nie podnośmy się ze zwycięstwa naszego; kto wie, czyli na nas z czasem kolej nie przyjdzie!

— Mówił to umyślnie, widząc niepohamowaną radość i zbyt porywcze uczucie w młodzieży, która go otaczała i w której chciał przeto uśmierzyć cokolwiek zbytne zaufanie, a przez to wyniosłość.

Rozrządziwszy następnie nowo podbitym krajem, pożegnał Emiljusz Macedończyków, już do państwa rzymskiego przyłączonych, a napomniawszy ich, jak mieli ze skromnością używać swobód nadanych i żyć w jedności, wrócił do ojczyzny.

II.

Wieść o świetnym zwycięstwie Emiljusza Pawła nad królem macedońskim Perseuszem i o przyłączeniu tak wielkiej i tak bogatej prowincji do państwa rzymskiego, niewysłowioną radością napeliła serce całego ludu. Postanowiono zwycięzcy wspaniały urządzać tryumf. Zezwolił nań senat i wnet zajęto się przygotowaniami, ażeby ta uroczystość odbyć się mogła jak najświetniej.

Dawniej, kiedy Rzym był stolicą ludu walecznego, lecz zarazem miłującego cnotę i prostotę obyczajów, tryumfy bywały bardzo skromne; lecz gdy panowanie jego rozszerzyło się niezmiernie, a zdobycie bogatych prowincji ogromne mu skarby przyniosło, wzrósł zbytek, i tryumfy zamieniły się we wspaniałe obchody, których ludność rzymska, chciwa zabaw i uroczystości, niezmiernie łaknęła.

Z niecierpliwością więc oczekiwano powrotu zwycięskich wojsk Emiljusza do ojczyzny. Przybył wódz nakoniec z flotą do brzegów italskich, poczym płynął do Rzymu Tybrem na statku Perseusza, przyozdobionym drogami kobiercami i zdobytą na wrogach bronią, lśniąca od złota i drogich kamieni.

Na taki widok wysypał się lud i uroczyste sędziwemu wodzowi zgotował przyjęcie.

Uświęconym od dawna zwyczajem zwycięzca nie wchodził z wojskiem do miasta, lecz zatrzymał się przed jego bramami, ażeby nazajutrz dopiero rozpocząć wjazd uroczysty. Przez trzy dni odprawiał go z niewidzianą dotąd okazałością. Po wszystkich ulicach i placach, które przechodzić miał pochód, przygotowane były dla ludu podwyższenia, ażeby nań wygodnie mógł patrzeć. Pierwszego dnia wieziono na dwustu pięćdziesięciu ogromnych wozach przedziwnie malowane obrazy, tudzież po-

sągi, najdoskonalszych mistrzów greckich dzieła. Drugiego dnia okazywały się na wielkiej liczbie rzędem idących wozów broń i rynsztunki zdobyte na nieprzyjaciół; tak zaś były kształtnie ułożone i polerowane, iż blaskiem olśniewały oczy patrzących, a szczękami czyniły odgłos wspaniały i groźny. W siedmiuset pięćdziesięciu ogromnych naczyniach, z których każde po czterech ludzi dźwigało, niesione były zdobyte skarby. Potym znów niesiono w innych naczyniach puhary, kubki, czasze, roztruchany, konwie i inne rozmaitego rodzaju naczynia złote i srebrne, wartością i przedziwną robotą znamienite.

Trzeciego dnia, gdy już Emiljusz w tryumfie wjechać miał do miasta, dały się ze świtem słyszeć odgłosy trąb, tak jakby hasła do boju. Szły potym przeznaczone na ofiarę bydłota, przybrane w wieńce i z wyłocnemi rogami; prowadziło je stu młodzieńców, odzianych w białe szaty z purpurowemi szlakami; za nimi szły chłopięta równie przystrojone i niosły narzędzia złote i naczynia do ofiar; niesiono dalej złotą monetę w naczyniach tak wielkich, iż każde z nich po czterech ludzi dźwigało: takich naczyń było 77. Ukazała się potym osobno niesiona czasza, którą ze złota zdobytego ulać kazał Emiljusz na ofiarę dla Jowisza kapitolńskiego. Dalej widać było czasze, puhary i roztruchany, ze skarbcia królów macedońskich zabrane, i cały sprzęt stółowy Perseusza, wszystek ze złota.

Po tym wszystkim szedł wóz króla Perseusza, a na nim korona i płaszcz monarszy; dalej prowadzono dzieci Perseusza z nauczycielami, mistrzami i całym dworem; ci wszyscy płakali rzewnie, a dzieci wznosiły ręce ku patrzącemu ludowi, żebrając miłosierdzia. Dwóch było synów i córka; dzieci te, im mniej były sposobne do odczucia nieszczęścia swojego, tym większe wzbudzały politowanie. Potym szedł sam Perseusz w czarnym płaszczu i znać było w ponurym i dzikim wejrzeniu, iż od zmysłów odchodził. Mówią, iż prosił Emiljusza, aby go nie wiódł na widok;—ten miał mu na to odpowiedzieć: «O co prosisz, w mocy twojej jest.» Przez to, jak się zdaje, chciał mu dać poznać, że mógłby sam raczej dobrowolnie wyzuć się z życia, niż podać się w zniewagę. Ale nie miał tej mocy nieszczęśliwy monarcha.

Niesiono potym dary bogate od miast i narodów—było 400 wieńców ze złota. Nakoniec ukazał się sam Emiljusz, na wspaniałym wozie tryumfalnym, wyrzyna-

nym w piękne rzeźby i przystrojonym złotem i srebrnemi ozdobami. Wóz ten ciągnęły cztery konie białe, bogato okryte i w jeden rząd zaprzężnięte. Zwycięzca sam odziany był we wspaniałą szatę tryumfalną, t. j. w krótką suknię spodnią (tunikę) w palmy wyszywaną i togę purpurową, złotem bramowaną. Trzymając w ręku gałązkę wawrzynową, stał Emiljusz na wozie, a niezliczone tłumy ludu ustawicznie wesołe wznosiły okrzyki i klaskały radośnie.

Poza wozem tryumfalnym szła najpierw jazda, potym piechota, wydając ciągle okrzyki na cześć zwycięzcy.

Cały ten orszak ciągnął zwolna od bramy miejskiej przez najwspanialsze ulice Rzymu aż do Kapitolu. Tam w świątyni Jowisza wódz podziękował bogom za odniesione zwycięstwo i złożył przyprowadzoną z bydła ofiarę. Następnie wydał wspaniałą ucztę dla senatorów i przedniejszych urzędników państwa, po której odprowadzono go do domu wśród odgłosów muzyki i okrzyków ludu.

Powszechna była radość zebranego ludu, sam tylko Emiljusz, smutny i ponury, zdawał się nie podzielać wesela tłumów. Miał też słuszny powód do tego: na pięć bowiem dni przed tryumfalnym swym wjazdem utracił jednego syna, a w chwili kiedy uroczyście wstępował na Kapitol, drugi syn jego leżał ciężką złożony chorobą. Trzeciego dnia po tryumfie i ten życia dokonał. Tak tedy przekonał się wódz sędziwy, iż niemasz w szczęściu trwałości; bo słusznie powiada nasz Jan Kochanowski:

Nie wiecznego na świecie:
Radość się z troską plecie;
A kiedy jedna weźmie moc największą,
Wtenczas masz ujrzeć odmianę najprędszą.

Ignacy Krasicki

(Żywoty zacnych mężów wedł. Plutarcha).

Śmierć Plinjusza.

Plinjusz, sławny przyrodnik rzymski, po którym pozostała nam historia naturalna w trzydziestu siedmiu

księgach, stał się męczennikiem nauki. Chciał on za- nadto blisko przyjrzeć się wybuchowi Wezuwjusza i zo- stał zaduszony wyziewami płomienistej lawy.

Plinusz młodszy, jego siostrzeniec, w liście pisa- nym do Tacyty, sławnego historyka, opowiada w nastę- pujących słowach ten smutny wypadek:

Mój wuj był w Misenum, gdzie dowodził flotą. Dnia 23 sierpnia (79 r. po Chr.), około pierwszej po południu, zdrzemnąwszy się cokolwiek, a potem wypiwszy według zwyczaju szklanek świeżej wody, leżał na łóżku zajęty nauką, kiedy matka moja weszła do niego i oznajmiła, że widać na niebie chmurę nadzwyczajnej wielkości i kształtu. Plinusz wstał, zaczął się przypatrywać zja- wisku, lecz z powodu odległości, nie mógł poznać, że chmura podnosiła się z ponad Wezuwjusza. Podobną była do sosny, miała zupełnie taki sam wierzchołek i ni- by gałęzie. Niezawodnie wicher podziemny wypychał ją gwałtownie i utrzymywał w powietrzu. Kolor jej był naprzemian biały, czarny, to znowu rozmaity, stosownie do tego, jak chmura, a raczej kłęb dymu, napełniony był kamykami albo popiołem.

Wujaszek się zdziwił temu niemało i uznał, że to zjawisko godne bliższego zbadania.

— Przygotować czymprędzej galere—zawołał i za- pytał mnie czy mu nie zechcę towarzyszyć; ale ja wo- lałem zostać przy nauce. Wyszedł więc sam zabrawszy swoje tabliczki do pisania i wszedł na galere.

Ja tymczasem siedziałem nad nauką, potym wziąw- szy kąpiel, położyłem się, ale nie mogłem zasnąć. Trzęsienie ziemi powiększało się co chwila. Wsta- łem, aby obudzić matkę, gdy ona jednocześnie weszła do mego pokoju chcąc mnie obudzić.

Zeszliśmy na podwórze i usiedliśmy oboje. Nie chcąc tracić czasu, kazałem sobie przynieść historję Li- wjusza i zacząłem czytać. Po chwili wszedł jeden z przy- jaciół mojego wuja, który przybył z Hiszpanji, aby go odwiedzić. Zaczął wyrzucać mojej matce jej dziwną spokojność, a mnie zuchwałą obojętność. Tymczasem dom chwiał się do tego stopnia, żeśmy postanowili opuścić Misenum. Widzieliśmy jak ludzie przestraszeni biegli za nami.

Wyszedszy z miasta, zatrzymaliśmy się: nowe dzi- wowisko, nowe przerażenie! Brzeg, który coraz bardziej się rozszerzał, przykryty był rybami pozostawionymi bez wody, z powodu odpływu, przytym co chwilę drgał,

jakby w napadzie konwulsji i daleko odtrącał od siebie bałwany morza wzburzonego; tymczasem przed nami zbliżała się jakby od granic horyzontu czarna chmura, pomieszana z przyémionami płomieniami, które, rozdzie- rając ją co moment, wytryskały niby szerokie, błyska- wiczne wstęgi.

Wtedy przyjaciel wuja nadbiegł śpiesznie.

— Chronicie się—zawołał — to rozkaz twojego wu- ja, jeżeli żyje, a ostatnia jego wola, jeżeli zginął!

— Nie wiemy, co się dzieje z Plinuszem—odrzekli- śmy—jakże więc możemy troszczyć się o siebie!

Po tych słowach Hiszpan zaraz się oddalił.

W parę chwil chmura oderwała się od nieba i po- kryła morze; zasłoniła nam Kapreę i przylądek Mi- senum.

— Uciekaj, drogi synu! — zawołała moja matka— uciekaj! tyś powinien i możesz, boś młody; ja zaś ob- ciężona wiekiem i otyła, byłem się nie stała przyczyną twojej śmierci, umrę szczęśliwa!

— Nie, matko, bez ciebie niema dla mnie ocale- nia!—odrzekłem; ująłem matkę za rękę i pociągnąłem za sobą.

— O mój synu!—rzekła z płaczem — ja opóźniam twoją ucieczkę!

Już popiół zaczynał spadać; obracam głowę, gęsty dym, jak potok zalewający ziemię, pędził ku nam.

— Moja matko! zejźdźmy z drogi — rzekłem—tłum uciekających zadusi nas w ciemności.

Zaledwie zeszliśmy z drogi, nastala noc, i to noc jak najciemniejsza. Wtedy było słyhać tylko płacz ko- biet, jęk dzieci i krzyk mężczyzn. Wśród łkań przedzie- rały się z rozmaitym stopniem boleści te jedynie wyra- zy: „Mój ojczel! mój synu! moja żono!”, poznawano się tylko po głosie. Jedni oplakiwali swoje przeznaczenie; inni los swoich krewnych; jedni wzywali bogów, inni przestawali w nich wierzyć.

Zdawało się, żeśmy wraz z światem byli otoczeni nocą, która już się nie miała rozproszyć na wieki; a wśród tego wszystkiego jakież złowieszcze wróżby, opowiadania, jakie obawy urojone! Przestach zaprze- czał wszystkiemu i wierzył we wszystko!

Wtym blask jakiś przedziera ciemności; ale się zmniejsza, gaśnie; noc staje się dwa razy ciemniejsza, a z nocą spada deszcz popiołu i grad kamieni. Musie- liśmy co chwila stawać, aby otrząsnąć odzież Mamże

wyznać?... wśród tej okropnej sceny, nie wydarła się z mojej piersi najmniejsza skarga; pocieszałem się, że umrę z tą myślą, iż cały świat umiera.

Nareszcie ta gęsta, czarna para zaczęła się rozprasać i znikła; dzień się ukazał, nawet i słońce, ale przyćmione, żółtawe, jak przy zaćmieniu. Jakiż widok ukazał się wówczas naszym oczom, jeszcze nie mogącym dobrze rozróżniać przedmiotów? Oto całą ziemię pokrywał popiół, jak w zimie śnieg, drogi ani śladu. Wszyscy wracają do Misenum.

Wkrótce potem otrzymaliśmy wiadomość o moim wuju; niestety! mieliśmy słuszny powód niepokoić się o niego.

Opuściwszy nas w Misenum, wsiadł na galere, kazał płynąć ku Retinum i innym zagrożonym osadom. Wszyscy z nich uciekali, on się przybliżał. Wśród ogólnego popłochu wpatrywał się pilnie w chmurę; badał wszystkie jej zjawiska i w miarę tego dyktował sekretarzowi swoje spostrzeżenia; ale już gęsty, palący popiół zasypywał galere, już kamienie padały dokoła, już brzegi napełnione były zaspami. Plinjusz wahał się, czy wrócić, czy wyjść na ląd.

— Szczęście sprzyja odwadze—zwołał—azawróćcie do Pomponianusa!

Pomponianus był w Stabiach, mój wuj znalazł go drżącego z obawy; uściskał go, dodał mu odwagi i, aby uspokoić przyjaciela własną spokojnością, zażądał kąpieli, poczym siadł do stołu i wieczerał wesoło lub przynajmniej z wszelkim pozorem wesołości.

Tymczasem w głębi ciemności Wezuwjusz rozpłomieniał się ze wszystkich stron.

— To pożar opuszczonych wiosek—mówił Plinjusz do tłumu, chcąc go uspokoić. Następnie położył się i usnął. Spał jak najgłębszym snem, gdy popiół zaczął napełniać podwórze, tamując wszystkie wyjścia. Pobiegli do Plinjusza, aby go zbudzić; wstał, poszedł do Pomponianusa i naradzał się z nim, jak mają postąpić: czy pozostać w domu, czy uciekać? Jeżeli zostaną, jak uniknąć otwierającej swe łono ziemi? Jeżeli uciekną, czym się osłonić od spadających kamieni? Postanowili uciekać; lud uchodził przez obawę, Plinjusz przez rozsądek.

Wybiegli zatem z miasta, a dla przezorności pokrywali sobie głowy poduszkami. W innych stronach już ukazywał się dzień; ale tam trwała noc, noc stra-

szliwa, którą tylko oświecał płomień przedzierający się przez chmurę. Wuj, pomimo wzburzonego morza, chciał się przybliżyć do brzegu, zszedł, napił się wody, kazał rozciągnąć sukno i położył się. Nagle zabłysnął gorejący potok lawy, poprzedzony mocnym wyziewem siarki; wszyscy uciekli, jak mogli najdalej; Plinjusz przy pomocy dwóch niewolników wstał, lecz natychmiast zaduszony wyziewem znowu upadł—i skonał.

Pogrzeb Gallusa.

Wieść o przedwczesnej śmierci Gallusa głośnym odbiła się echem po całym Rzymie. Na forum, w łaźniach nie rozmawiano dziś o niczym, tylko o zgasyłym w sile wieku ulubieńcu Augusta. Jedni żałowali w nim utalentowanego poety, drudzy tęgiego obywatela, zaś ogół klientów dobrodzieja. Wnet i prowincja dowiedziała się przez pisma urzędowe i listy prywatne o tym najgłośniejszym wypadku chwili bieżącej, jaki zaszedł w stolicy. Znajomi więc i wielbiciele Gallusa z willi przedmiejskich, z morskich kąpieli, a nawet z odleglejszych miejscowości pośpieszyli do stolicy, aby mu oddać ostatnią posługę.

Tymczasem w domu żałoby, którego gościnne podwoje stały dziś jak i zawsze dla każdego otworem, a mozaikowy na progu napis zapraszał do wniścia, panowała uroczysta cisza i smutek głęboki. Przede drzwiami stały smętne cyprysy i naczynie z wodą do umywania rąk, na znak, że któryś z domowników ziemskie opuścił mieszkanie. Wewnątrz zaś krzątała się służba śmierci, ażeby zmarłego namaścić wonnemi olejkami i na jego obliczu zatrzeć starannie ślady ostatniego pasowania się życia ze śmiercią. Przy pomocy Erosa, przybocznego niewolnika, przyodziano zwłoki w białą togę, bramowaną purpurą, a na głowę włożono jeden z wieńców, które odważny ten wojownik zdobył był sobie w krwawych z nieprzyjaciółmi kraju rozprawach. Tak ubrane zwłoki złożono na łożu śmierci, pokrytym gęsto złotem przetykaną purpurą, z pośród której wyglądały tylko stopy zmarłego, białe jak kość słoniowa, i wystawiono je w atrium, twarzą do wejścia. Obok mar, ze srebrnych

kadzielnie wznosiły się wonne dymy arabskich pachnidel, a wierny niewolnik pełnił troskliwie ostatnią służbę przy swym panu, oganiając wachlarzem z piór pawich muchy od rąk i oblicza ukochanego pana.

W czasie kilkudniowej wystawy zwłok roila się ulica przyjaciółmi i znajomymi Gallusa, którzy się cisnęli do domu żałoby, aby po raz ostatni oglądać oblicze swego przyjaciela lub pana i ostatnie «bywaj zdrów!» mu powiedzieć. Niemalże też trud miał odźwierny, który dla uniknięcia natłoku, oddziałami tylko wpuszczał przybyłych do wnętrza.

Zgromadzony przed domem tłum, czekając, aż kolej przyjdzie na niego do wejścia, rozповідаł sobie tymczasem szczegóły ostatnich chwil zgasłego i rozbiegał jego zasługi. A było o kim rozprawiać i o czym, bo też Gallus był to niepospolity człowiek zarówno w boju jak w pokoju.

W czasie ostatniej choroby, w braku krewnych, domownicy czuwali dniem i nocą przy łożu chorego, a gdy mu ostatnia upłynęła godzina i duch jego chciał już na gwiazdy ulecieć, wierny wyzwoleniec, Chresimus, który go jeszcze dzieckiem piastował na ręku, pocałował go w usta, jakby chciał pochwycić i zachować ostatni jego oddech na ziemi; potem zamknął mu oczy, przyciskając zlekka powieki, przyczym gorącym łez potokiem oblał jego oblicze. W tej chwili wszyscy obecni trzykrotnie zawołali umierającego po imieniu, jak gdyby go jeszcze chcieli do życia przywołać, ażeby go pożegnać na zawsze — a potem każdy oddawał się głośnemu żalowi i skargom.

Tak gawędzili ze sobą ci, co przybyli w odwiedzinach do nieboszczyka, a stugębna fama dwoiła, troiła te opowieści, które z ust do ust powtarzane, robiły z Gallusa bohatera, godnego zająć mieszkanie na gwiazdach.

Chresimus zaraz po zaszłej śmierci swojego pana dał znać do świątyni Wenery Libityny, ażeby imię jego do księgi zmarłych wciągnięto i pogrzeb godny dostojenstwa i zasług zmarłego sprawiono.

Osmego dnia po śmierci Gallusa, o czwartej godzinie na dzień, kroczył poważnie herold po ulicach miasta i po forum, zapraszając donośnym głosem lud na pogrzeb i igrzyska.

— Kwiryta umarł! — wołał. — Czyja wola przyłączyć

się do pogrzebowego orszaku Corneliusa Galla, to pora! Zmarłego wynoszą z domu żałoby»!

Wezwanie nie pozostało bez skutku. Tłumy ciekawych i żądnych wrażeń widzów zebrały się, aby być świadkiem wystawnej uroczystości. Pomiedzy tłumem przeciskał się tu i owdzie jakiś przyjaciel lub bliższy znajomy zmarłego, w ciemnej todze, na znak, że nie do widzów, ale do uczestników pochodów pogrzebowego należał.

Wcześniej przez mistrza ceremonji (*designator*) przy pomocy liktorów przygotowany, ruszył o oznaczonej godzinie żałobny pochód ku Forum. Na czele siedł oddział muzykantów, przygrywających na fletach i trąbach na przemian to żalosne melodje, jakby na wyrażenie smutku i żałoby pogrzebowego orszaku, to znowu dźwięczne marsze i huczne pieśni, które się zdawały wielbić zasługi i znaczenie dostojnego zmarłego. Tuż za nimi szły najęte niewiasty, t. zw. płaczki, które z udaną boleścią zawodziły żałobne pienia, wynosząc cnoty nieboszczyka. Za nimi postępowali aktorowie teatralni, którzy recytowali zastosowane do okoliczności ustępy z dzieł dramatycznych, zwracając się przytym do swego przywódcy, który ubiorem, ruchami i mową starał się udawać samego zmarłego.

Poza tą najętą czeredą, z wielką powagą kroczyły szeregiem maski, przedstawiające przodków zmarłego. Byli to umyślnie ze służby domowej wybrani ludzie, którzy woskową maską na twarzy, jako też wiernie zachowanym strojem, mieli przypominać przodków zmarłego, mężów dostojnych i około ojczyzny zasłużonych. Sprawiało to wrażenie, jakoby ci antenaci sami uroczyste wiedli zmarłego na miejsce wiecznego spoczynku.

Za nimi wyzwolenicy nieśli spiżowe tablice, na których wyryte były odniesione przez Gallusa zwycięstwa i imiona zdobytych miast, dalej wieńce obywatelskie, zdobyte w marsowych zapasach, wreszcie zwoje papyrusowe z jego wierszami, które trwalszą miały mu zapewnić sławę, niż piastowane godności i czyny wojenne.

Teraz dopiero szły ze zwłokami zmarłego maryl, które niosło ośmiu wyzwolenców; za nimi postępował wierny stary sługa Chresimus na czele domowych niewolników, t. zw. familji, którzy mieli kapelusze na głowach na znak wolności, otrzymanej dopiero ostatnią

wolą zmarłego. Orszak zamykali przyjaciele, klienci, znajomi i obywatele, którzy wprawdzie nie zostawali w bliższej ze zmarłym zażyłości, ale chcieli w nim uczcić znakomitego obywatela—wkońcu rzesza ciekawych.

Powoli i uroczyście przesuwał się pochód ważniejszymi ulicami ku rynkowi, gdzie zatrzymał się u mównicy. Tu maryl z ciałem postawiono na podwyższeniu, rzekomi przodkowie zasiedli na wspaniałych krzesłach kurulnych, orszak pogrzebowy uszykował się w półkole, a na mównicę wystąpił długoletni przyjaciel zmarłego i w gorących i wymownych słowach skreślił zasługi Gallusa jako wojownika, jako obywatela, poety i człowieka.

Po tej ceremonji zabrano ciało i pochód w tym samym porządku puścił się w dalszą drogę ku okazałemu grobowcowi, który Gallus jeszcze za życia przy drodze Appiusa kazał być sobie z marmuru wystawić. Tu oczekiwał już stos ze smolnego drzewa sosnowego, obwieszony suto dywanami i festonami z liści i z kwiatów, a naokoło niego zasadzone były cyprysy. Na szczycie stosu złożono maryl z ciałem, a dokoła niego zbroję, ozdoby i przedmioty, które zmarłemu za żywota szczególnie były drogie. Z naczyń alabastrowych wylewali drudzy wonne olejki i kosztowne pachnidła na zwłoki, a przyjaciele i znajomi rzucali na nie wieńce i sypali kadzidło, jako ostatni upominek przyjacielski.

Teraz Chresimus wstąpił na stos i tą samą wierną ręką, która zawarła powieki, otworzył swemu panu oczy, ażeby ku niebu spoglądały; poczym ujął w rękę płonącą pochodnię, a odwracając oblicze, podpalił nią stos suchy. Stos, którego wnętrze wypełniały wióry zmoczone tłuszczem, buchnął jasnym płomieniem, a wokół rozległ się śpiew żałobny przytomnych i ogłuszająca muzyka tręb i fletów.

Kiedy płomień strawił już stos i zwłoki, i zarzewie ugaszono winem, przyjaciele zmarłego i Chresimus pozbierali pozostałe szczątki, skropili je starym winem i świeżym mlekiem, osuszyli na lnianych chustach i zsykali w alabastrową popielnicę, w którą przyjaciele wlewali pachnidła, a Chresimus kilka gorących łez uronił. Potym wstawił je w otwarty grobowiec, z którego buchał zapach róż, świeżych i wonnych olejków. Zamknięto wreszcie drzwi grobowca. Zgromadzeni wzniesli ostatni okrzyk pożegnania (*ultimum vale*) ceniom zga-

śłego, a odebrawszy pokropienie wodą oczyszczającą, rozproszyli się z powrotem do miasta.

W tymże czasie co Gallus, umarł i wierny jego niewolnik, nie doczekawszy się wyzwolenia. Wobec zajęcia pogrzebem pana, nie było dotychczas kiedy o nim pomyśleć. «Umarłego pochować» było jednak u starożytnych Rzymian przykazaniem, zarówno religją jak i obyczajami uświęconym; co więcej, wierzone nawet, iż dusza zmarłego dopóty nie zazna błęgiego spokoju na drugim świecie, dopóty błakać się będzie nad brzegami Styksu, dopóki kości jego pozostaną bez pogrzebu i bez mogiły.

To też za powrotem do domu, Chresimus wydał rozporządzenie, aby i niewolnika pochować. W porze nocnej, przy świetle kilku pochodni, zanieśli niewolnicy swego towarzysza niedoli na miejsce wiecznego spoczynku. A jako za życia ledwie kącik miał mały, gdzie mógł głowę strudzoną do spokojnego snu skłonić, tak i po śmierci zadowolić się musiał drobną mogiłą na wspólnym cmentarzu, po drugiej stronie miasta, poza bramą Eskwilińską.

Lew Androklusa.

I.

Rzymski prokonsul czyli rządca Afryki, człowiek srogi i okrutny, miał niewolnika, nazwiskiem Androklusa, z którym najniegodziwiej się obchodził. Razu pewnego za jakieś małe przewinienie skazał go na straszliwą karę cielesną. Nieszczęśliwy Androkłus postanowił ratować się ucieczką. Korzystając z ciemnej nocy, omylił czujność straży i wydostał się za mury miasta; a skoro się ujrzał w czystym polu, puścił się już lotem ptaka. Biegł prosto przed siebie noc całą i poranek po piaszczystej i kamienistej pustyni, aż palące promienie słońca zmusiły go do wypoczynku i szukania sobie schronienia. Naraz ujrzał w bliskości ciemną szczelinę.

wiodącą w głąb jaskini, bez namysłu więc wsunął się do niej. Zaledwie jednak znalazł się w głębi, spostrzegł z przerażeniem lwa nadzwyczajnej wielkości. Na widok człowieka, lew ryknął przeraźliwie aż cała jaskinia zadrzżała. Nie rzucił się jednak na przybysza, tylko przyglądał mu się uważnie; był to widocznie także jakiś lew niewolnik, oswojony z widokiem ludzi, któremu się udało wyrwać z klatki pogromcy. Rozpatrzywszy się bliżej, ujrzał Androkłus, że zwierzę stąpał z trudnością, a z łapy sączyła mu się czarna posoka. Po chwili przystąpił lew do niego, spojrzał wzrokiem wzywającym litości i podniósł ku niemu skaleczoną łapę. Androkłus uspokoiony nieco i zgadując życzenie lwa, wziął go za łapę, obejrzał ją i znalazł pomiędzy pazurami utkwiony cień, wielkości gwoźdźcia; wyrwał więc cień i spiekłą krew wycisnął z rany. Wtedy król zwierząt uwolniony z cierpień legł na ziemi u stóp Androkłusa, oparł głowę na jego kolanach, a potem liżał mu ręce i lekkim pomrukiem usiłował wyrazić całą swą wdzięczność.

Od tej chwili najściślejsza przyjaźń łączyła lwa z niewolnikiem. Lew dostarczał mu pożywienia, które Androkłus w braku ognia piekł na słońcu. Jednak ten sposób życia wnet uprzykrzył się Androkłusowi. Dnia jednego więc, gdy lew wyszedł na łowy, niewolnik pożegnał jaskinię i puścił się w drogę. Dostał się do lasu i ukrył się w cieniu drzew, a noce przepędzał na drzewach, aby uniknąć dzikich zwierząt, i tylko z bojaźnią schodził na ziemię, dla zaspokojenia głodu trawą i korzonkami.

Raz, gdy blady i wynędzniały, zajęty był zbieraniem korzonków, usłyszał w krzakach chrzęst i łoskot nadzwyczajny. Z przerażeniem obejrzał się: wtym tygrys wypadł z gęstwiny, podskoczył gwałtownie i runął u nóg jego ugodzony strzałą. Jeszcze Androkłus nie potrafił sobie zdać sprawy z tego, co zaszło, gdy nadbiegło kilkunastu ludzi. Byli to myśliwi, Rzymianie, a na czele ich srogi prokonsul! W jednej chwili poznany Androkłus, skrepowany, odprowadzony został do pałacu tyrana, który za karę kazał go odesłać do Rzymu na pożarcie w cyrku przez dzikie zwierzęta.

II.

Po jakimś czasie cesarz Klaudjusz wyprawiał ludowi wspaniałe igrzyska; schwytano na tę uroczystość mnó-

stwo dzikich zwierząt i spędzono tłumy nieszczęśliwych więźniów. Wczesnym rankiem o oznaczonej godzinie cały Rzym zbiegł się na widowisko. Schody do cyrku i korytarze dolne były tak obszerne i tak umiejętnie umieszczone, że w jednej godzinie dziewięćdziesiąt tysięcy widzów zajęło stopnie amfiteatru.

Na osobnym miejscu, po lewej stronie szranków, naprzeciw pierwszej mety pojawił się wkrótce cesarz i dał znak rozpoczęcia widowiska, rzucając na tor białą serwetę zwaną mappa.

Igrzyska rozpoczęły się od wyścigów pieszych. Ścigali się młodzi Kretejczycy jako odznaczający się w ćwiczeniach tego rodzaju. Po nich nastąpiły wyścigi wozowe. Cztery wozy, przedstawiające tyleż partji, rozróżnionych kolorami, czerwonym, niebieskim, białym i zielonym, siedm kroć obiegały plac wyścigowy. Cesarz, konsulowie, rycerze i lud oświadczały się każdy za inną faksję, a popierając je z zaciętością, dawali powód do groźnych zamieszek wypływających z posuwanego do szaleństwa entuzjazmu.

Następowały jeszcze walki siłaczy, pasujących się ze sobą, i rzucanie krążkiem kamiennym; ale to był dopiero wstęp do prawdziwych igrzysk. Lud rzymski bowiem, który prawie czwartą część swojego życia przepędzał na stopniach cyrku, znajdował upodobanie dopiero w krwawych widowiskach, jakimi były walka gladiatorów i zażarte szarpanie się między sobą i z ludźmi różnego gatunku drapieżnych zwierząt, puszczonej jednocześnie w szranki. Rozdzierające krzyki bóleści, szpony tygrysów zatopione w drgających ciałach ofiar, ryk lwów, chrzęst łamanych kości, to były najpożądane widowiska, to najmiłsze uciechy ludu rzymskiego. Niekiedy nawet synowie najznakomitszych rodzin, ulubieńcy cesarza, stawali do walki obok płatnych szermierzy, którzy ich wyuczali swego niebezpiecznego rzemiosła.

Na dany znak przez trębaczy otworzyły się podwoje, a z nich wyszli gladiatorowie, uzbrojeni w oszczepy; wchodzili w szranki parami; przedsiębiorca ogłaszał ich broń, aby się przekonać, czy nie uszkodzona. Przechodząc przed cesarzem, pozdrawiali go słowy:

— *Ave imperator! morituri te salutant!* *)

*) Bądź pozdrowion, cesarzu! Idący na śmierć pozdrawiają cię!

— *Avete vos!* *) — odpowiadał Klaudjusz, kłaniając się wzajemnie.

Po przygotowawczych próbach potyczki, odgłos trąb dawał hasło do walki rzeczywistej.

Gdy który z gladiatorów upadł raniony, lud wołał: «*habet*» — i jeżeli chciał, aby ranionego zaraz dobito, wznosił ręce, trzymając wielki palec prosto; jeżeli zaś pragnął ocalić mu życie, wznosił podobnie ręce, z tą jednak różnicą, że wielki palec nakłaniał się ku ziemi. W ostatnim razie przenoszono ranionego do *spolarium*, gdzie, jeżeli lekarze oświadczyli, że rana śmiertelna lub że wyzdrowienie nie prędko nastąpi i nie wróży z pacjenta pożytku, natychmiast go doduszano. Zwycięzcom udzielano palmę, wieniec z liści, a niektórym pieniądze lub wieniec z liści złotych.

Nastąpił wreszcie ostatni akt dramatu—walka ludzi z dzikimi zwierzętami, która miała najsilniej targnąć za nerwy widzów.

Na dany znak otwarto klatki, z których dolatywał ryk zwierząt; zgłodniałe potwory wybiegły w szranki. Szczególnie jeden lew zwracał powszechną uwagę:—był to zwierz olbrzymi, piana toczyła mu się z paszczy, wstrząsał kędzierzawą i gęstą grzywą, bił boki ogromnym ogonem, ryczał krótko, wściekle—widzowie drżeli z uniesienia. Znowu otwarto wrota i wypchnięto oddział nieszczęśliwych ofiar, przeznaczonych na pastwę; każdemu ze skazanych podano jak na pośmiewisko do obrony szpadę i dwa oszczepy. Zaczęła się walka, a raczej rzeź. Chrząst gruchotanych kości i potoki krwi świadczyły o piekielnej zapamiętałości Rzymian. Ofiary padały stosami, wszyscy już wyginęli — jeden tylko człowiek żył jeszcze. Sztywny z przerażenia, leżał nieruchomy z zamkniętymi oczyma, oczekując napaści, od której nie chciał się bronić. Lud nienasycony krwi, żądał, ażeby powstał i walczył. Gdy jednak pomimo wezwań i rozkazów nie chciał, czy nie mógł się poruszyć, widzowie wydali okrzyk: «Ukrzyżować go!»

Nagle lew olbrzym, cały zlany krwią, powiódł iskrzącym wzrokiem i ujrzał swą ofiarę. Lecz o dziwo! Zamiast rozszarpać ją, przystanął przy leżącym, zamruczał radośnie i położył się przy nim. Potym zaczął go obiegać, lizać, skomleć nad nim, jak pies przywiązany.

*) Bądźcie wy pozdrowieni!

Pieszczoty lwa przywróciły człowiekowi przytomność—otworzył oczy i napotkał wzrok lwa: król zwierząt i niewolnik poznali się, uradowali i dawali sobie nawzajem oznaki najszczerzej przyjaźni.

Lud osłupiał — a potem wydał jeden wielki okrzyk podziwu i uwielbienia. «Łaski! łaski!» wołano zewsząd.

Cesarz powstał, zamknął wielki palec — niewolnik był ocalony.

Niewolnik był to Androkłus, lew — jego towarzysz z pustyni. Gdy wyprowadzono ze szranków zwierzęta, cesarz wezwał przed siebie niewolnika. Androkłus opowiedział mu całą przygodę. Wieść o tym nadzwyczajnym wydarzeniu w jednej chwili obiegła wszystkie stopnie amfiteatru. Lud, który przed chwilą domagał się śmierci, potem życia Androkłusa, teraz żądał jego wyswobodzenia. Cesarz obdarzył go wolnością i darował mu lwa-przyjaciela.

Odtąd widziano na ulicach Rzymu, jak Androkłus w towarzystwie lwa przechadzał się po placach i miejscach publicznych, wiodąc na cienkim pasku swego przyjaciela, który nikomu nie wyrządził krzywdy.

Walka z wilkiem.

Z ryczącym chrapaniem klacz stanęła pod Rafałem dęba, piorunem zwinęła się na tylnych nogach, wyszarpnęła mu z rąk cugle i skokiem z miejsca poszła w przestwór. Stało się to tak nagle, że Rafał uczył tylko uderzenie krwi do głowy. Schylił się, ręce wsparł na łęku, nogi wyciągnął po boku klaczy... Na pustych polach, wśród tających śniegów, Baśka*) kopnęła się w przeciwął coraz bardziej chyży. Jeździec miał pełne usta śniegu. Mokre szmaty zamieci chlastały mu twarz, długa końska grzywa siekała policzki.

Wicher do kości go przejął.

W tym biegu nad biegi słyszał ciągle poza sobą cmokające kłapania, jakgdyby zgłodniałych psów.

*) Imię klaczy.

— Wilki za mną...— wyszeptał.

Włosy mu się jeżyły na głowie i lodowate mrowie szło po grzbiecie. Wtedy cichym a ostrym głosem, przechylając głowę do szyi klaczy, przez ściśnięte zęby mówił jej nad uchem:

— Basia, ratuj, Basia!..

Klacz jakby zrozumiała, co mówi. Nie był to już galop, nie cwał. Leciła nad ziemią we fruwających pianach śniegu z chyżemi wilkami w przegony. Nozdrzami jej strzelał ostry świst. Wyciągnięta szyja okryła się gorącą pianą. Była jak godzący pocisk... Rafał zgarnął śnieg z oczu. Dźwignął głowę, wykręcił się na siodle i spojrzał w tył. Ujrzał cztery błyski migocące, gdzieś w głębi. Gdy tak wzrok natężał, że widział prawie cielska ścigających go wilków, wiatr zdarł mu z głowy czapkę. Rafał schylił głowę i uczył wnet, że ma płomień we włosach, płomień pełzający na szyi, na krzyżu. Lecił, mając grzywę ognia na sobie. Bił teraz obcasami konia w zapadłe boki, smagał końcami lejców. Rozpacz okrażała jego czaszkę, zwolna ją oplątała, jak długie, zimne skręty żmii. Wnet z piersi jego wylatywał krzyk, martwiejący na ustach. Klacz przesadzała krzaki, płoty... Tu i owdzie wierzchówka skręcała nagle pod wiatr i z rozwartemi nozdrzami kopała się w dzikich rzutach przez zakłęsłe parowy, a zbierając nogi do kupy, wypadała z nich lwiami susami. Czasem stękała jak człowiek, czasem coś, jak czuły wyraz ze szlochającym krzykiem, zionęło jej z pyska. Były chwile, że cmokanie ucichało.

Na gołych polach Baśka ubiegała wilki o staję, albo i dwie, ale wśród parowów pościg ją doganiał. Gdy do jej uszu doleciał osłuch wilczego cmokania, gnała znowu ze zdwojoną siłą, śmigając jak ptak, skrzydła orle mający u każdej pęciny, brzuchem rozgarniała śnieg na ziemi.

Rafał utracił rozumienie czasu. Chwilami zdawało mu się, że leci już przez całą noc. W głowie jego utworzył się oziębły i pusty ból, który co chwila wybuchał płatami ognia. Niekiedy ciemność rozdzielała się przed rzuconym spojrzeniem, i ukazywało się w jednym blasku widziadło chat, rodzinnego domu, dnia... Za chwilę była to już straszliwa, ciemna otchłań. Nie wiedział już wcale, czy jest ścigany, czy nie. Lecił w powietrzu... W jednej chwili, nie wiedzieć kiedy, usłyszał trzask. Tęczowe ognie napełniły mu głowę i oczy. Machnął kozła przez

łeb klaczy, która runęła na ziemię, i zleciał w głęboką zaspę. Przez chwilę leżał na wznak, po szyję zanurzony w miękkim śniegu, bezwładny i prawie rad z tego, co się stało.

Wtym buchający parą, włochaty potwór z przeraźliwym sapaniem jak koń, zwałił się na niego. Rafał uczył wszczepione w siebie pazury i kły. Straszliwa, długa paszcza wżarła się w kożuch na jego piersiach, przejechała kłaniami grubą, sukienną kurtę i miotając łbem olbrzymim, targała w prawo i w lewo. Kły worały się w ciało. Jakoby obuchem siekiery ciosy tego czarnego łba druzgotały mu piersi, ramiona, ręce.

Czynem rozpaczy Rafał chwycił nagiemi dłońmi ów czerep za nastroszone, grube kudły około stojących uszu. Zdusił żelazne, ogniem zionące gardło. Klęcząc w śniegu, zaczął teraz borykać się, wodził na śmierć ze zwierzem. Był to pod nim, w objęciu jego stalowych łap, w jego pysku, to leżał na nim. Wkrótce jednak wydał wrzask przeraźliwy, gdy ręce znalazły się w rozwartej paszczy. Lśniące widzenie przeraźliwych oczu wilka owionęło go mrozem śmierci. Wtedy obie ręce wydarł z paszczy i zadał w owe ślepia cios zwiniętą pięścią. Ale prawa dłoń trafiła w rozwartą paszczkę i wbiła się aż po gardziel. Piorunowym ruchem Rafał zerwał pięść, i wszystkimi palcami, silniej niż sęp szponami, wpił się w to ogniste gardło u podstawy jęzora. Darł go na zewnątrz.

Wilk rozwarł pysk, wygiął się, jak naciągnięty łuk. Wszystkie cztery nogi wszczepił w piersi Rafała. Pazury zdarły w szmaty, w strzępy, kożuch i orały żywe ciało od gardzieli do brzucha. Tylko gruby pas rzeźmienny osłonił od nich kiszki. Łeb targał się w oszalałych rękach Rafała ze śmiertelną trwogą. Ślepia kołowały. Zagnęła straceniec usłyszał w głowie swej myśl, pełzającą jasnym światłem, dźwięk krótki, jak ostatnie uderzenie dzwonu: Klucz! Cichym, złodziejskim ruchem lewej ręki, z cudownym przeblyskim nadziei ocalenia w duszy, która jak płomyk ciepły stanęła w jego mózgu, skradł się pomiędzy rozwścieczonemi ruchami nóg wilczych do kieszeni rajtuzów i w mgnieniu oka wywlókł z nich żelazo. Ujął je pośrodku długości. Z góry, co siły w zamachu, potężnym ruchem, uderzając, wbił je w lewe ślepie. Ujrzał, że zgasło. Wtedy podwójnym ciosem w drugie, aż się po dłoń zatopiło krzywe żelazo. Gdy zgasły przed nim straszne kagańce, za-

czął bić w czerep między uszy, w kufę. Ostre końce klucza uwieźły między kośćmi nosa i w czaszce. Miażdżył je teraz póty, aż się klucz na poły we łbie wilczym zanurzył. Czuł, że zmasakrował kości i że rozwala mózg. Wtedy sztychem spodnim począł bić w brzuch. Rzygająca jucha oblała go wrzącą strugą, jak z cebra. Wilk wciąż jeszcze był na nim wygięty, pazury łap szarpały go, ale już słabiej, coraz słabiej. Łeb ruszał się coraz wolniej. Wreszcie wśród nieustających uderzeń, Rafał bez tchu runął na cielsko wilcze.

Nie wydobywał jeszcze z pyska prawej ręki, zgiętej skurczem śmiertelnym. Ustał. Bezwładnym już ruchem zgał zwierza, coraz mniej ruchomego. Słyszał gdzieś obok siebie śmiertelne rżenie Baški. Słyszał w samej głębi serca i w szpiku kości jęki jej ostatnie, jakoby wołanie o pomoc. Słyszał, jak ją drugi zwierz rozdziera żywą, jak rozrywa jej szlachetną szyję, drze gardziel, jak chłepce płomienną krew i mlaszczącym pyskiem żre dostojne piersi. Nie miał odwagi wstać. Łkał, leżąc w gorącej topieli krwi własnej i uchodzącej juchy wilka. Resztkami wiedzy i sił kuł jeszcze raz za razem. Łapy zaczęły drgać bezwładnie, wreszcie opadły. Zbliżył twarz swoją do zdruzgotanej mordy i mówił w nią:

— Znaj pana, znaj pana!.. Za Baškę!

Wyrwał z paszczy rękę, jakby z cierni ognistej. Legł na gorącym trupie i spoczął na nim, jak w pościeli.

Nierychło, tknięty jakaś błędną myślą, ścisnął w rękę żelazo i dźwignął się z ziemi. Czuł śmierć nad sobą i niewymowny mróz strachu. Serce ciskało się w nim, chwilami ustawało jak zabite. Zaczął iść wskroś zasy, z krzykiem chwytając w piersi powietrze. Brnął potykając się. Stawał. Zrywał się z kolan i na chwiejących nogach szedł, uciekał, zmykał od łkającego rżenia klaczy. Usłyszał wreszcie wietrzny szum i przypadł do drzewa. Objął pień rękami, jak chłop wszechwładne nogi pańskie. Był to samotny jarzab przydrożny, do pół zadęty przez wiotkie śniegi.

Rafał schował klucz do kieszeni, wdrapał się na drzewo i usiadł między dwiema rozwidlonemi gałęzmi...

Stefan Żeromski.
(z powieści «Popioły»).

Na zamku wieszczki.

Jeden ze znakomitych współczesnych obcych powieściopisarzy opowiadał, iż pewnego razu otrzymał miłościwe zaproszenie wieszczki, aby ją odwiedził w jej zamku.

— U stóp gór niebotycznych—mówi—pośród gęstej kniei, kędy dźwięki wojskowych trąb i myśliwych rogów mieszają się z szumem odwiecznych sosen, znajduje się ten zamek wieszczki, zamek pełen cudnych malowideł i rzeźb, starych zbroi i rzadkich pamiątek, drogocennych gobelinów i kosztownych kobierców, mebli przepysznych i wspaniałych zwierciadeł weneckich. Do rezydencji tej przybyłem jesienią, popołudniu. W blaskach zachodzącego słońca, okna zamku wydawały się, jakgdyby ze szkła różnokolorowych, a mury niby wysadzone złotem i rubinami. Przechodząc przez długi szereg olbrzymich sal, spotykałem poważne damy i wojskowych, młodzieńskie dziewczęta i paziów zajętych wesołą rozmową. Wreszcie otwarto przedemną rzeźbione podwoje, uchylono ciężką adamaszkową portjerę i wprowadzony zostałem do pokoju, który wieszczka swoją pracownią nazywa. Pokój to duży, z widokiem na piętrzące się w oddali szczyty gór. Przez otwarte okna zaglądają gałęzie starych sosen a woń żywicy i pachnących leśnych ziół napływa do wnętrza pokoju. Na jednej ścianie wisi portret króla, męża wieszczki; drugą zajmuje wielki obraz francuskiego malarza Delacroix, przedstawiający złożenie Chrystusa do grobu.

Zastałem wieszczkę przy stalugach. Na pargaminie złotem i kolorami malowała karty wspaniałego mszału. Obok niej młode, piękne, ciemnowłose panny na materji, o płowych, staroświeckich barwach, haftowały jedwabiami wieńce, z fantastycznych kwiatów i liści. Piękne panny były w jasnych, od złota lśniących strojach. Wieszczka miała długą białą, srebrem haftowaną suknię. Białą, przezroczystą, w srebrne gwiazdki usiany welon, w miękkich fałdach spadał od czoła do drobnych jej stópek.

Gdym wszedł, powitała mnie bardzo łaskawie, wyrażając życzenie, abym dłużej w gościnie u niej pozostał. Nigdy w życiu nie otrzymałem dotąd miłszego nad ten rozkaz! przez cały czas pobytu mego w królestwie

wieszczki, w jej zamku, ciągle mi się zdawało, że przebywam w lepszym, doskonalszym świecie.

Wieszczkę otaczało zawsze kilka młodych panien, zmieniających się co parę godzin. Gdy jedna z tych panienek wyszła, natychmiast z poza portjery wysuwała się inna. Złożywszy dworski, głęboki ukłon, zbliżała się cichutko po miękkim jak puch, barwistym kobiercu i całowała ręce królowej. Niektóre klękały u jej stóp i opierały głowę na jej kolanach, a wieszczka tuląc je do siebie z macierzyńską troskliwością, mawiała: «to są moje córki». Nieopisaną dobrocią, a zarazem niewymownym smutkiem brzmiał głos wieszczki, wymawiającej te słowa: «moje córki...»

Do najmiłszych wspomnień z mego pobytu na zamku wieszczki, zaliczam wycieczki do lasu. Zwykle o godzinie dziewiątej zrana do drzwi mego pokoju pukał marszałek pałacowy, oznajmiając, że wieszczka już wychodzi na przechadzkę. Co tchu zbiegałem po wspaniałych wschodach, zaślanych perskimi dywanami. Zastawałem zazwyczaj wieszczkę na tarasie zamkowym. Ubrana zwykle była w białą korcikową suknię. Towarzyszące jej damy i panienki, zamiast wschodnich strojów, które nosiły w pałacu, miały na sobie ubrania tegoczesne bardzo skromne.

Wrześniowe poranki bywały przepyszenie pogodne, lecz chłodne. Ten przejmujący chłód i kropelki zamrznętej rosy, błyszczące wśród zieleni liści i trawników, dziwną stanowiły sprzeczność z cudnym błękitem nieba, właściwym krainom Wschodu. Słońce świeciło jaśniej i weselej niż u nas, a cały orszak wieszczki podążał w gęstwinę olbrzymich sosen ścieżkami wysypanymi żwirem.

Daleko od zamku, gdzie las zaczyna się przerzedzać, znajduje się pałacyk strzelecki, pełen skór niedźwiedzi, rogów bawolich i łosich, wypchanych głów jeleni i dzików. Tam odpoczywaliśmy i tam wieszczka czytywała nam swoje piękne, do druku przeznaczone utwory. Stuletnie drzewa otaczające dokoła pałacyk, rzucały cienie na rzeźbione ściany sali, w której siedzieliśmy: z głosem wieszczki mieszał się szmer spływającego z gór strumyka. Często w tych spacerach towarzyszył nam król, mąż wieszczki, mężczyzna o rysach szlachetnych i regularnych, nadzwyczaj łatwy, ujmujący w obejściu z otaczającymi. I obejście panienek z wieszczką nie ma w sobie nic ze sztywnej etykiety dworskiej:

jest serdeczne, tkliwe, poufale, jakgdyby istotnie były jej córkami. Pewnego razu, wieszczka, rozłożywszy rękopis, sięgnęła po lornetkę zatknietą za pasek i przytwierdzoną agrafą z brylantów przepysznych, jakie tylko monarchowie posiadać mogą.

W tej chwili panienki otoczyły wieszczkę: «nie pozwalamy—wołały chórem—aby wasza królewska mość zakrywała oczy! W tych szklach bardzo nieładnie najjaśniejszej pani!»

Jedna figlarka ze śmiałością rozpieszczonej córeczki odpięła lornetkę. Przeczytawszy parę stron, wieszczka spojrziała smutno na figlarną panienkę.

— Moje dziecię—rzekła słodkim głosem—naprawdę nie mogę czytać bez szkieł; oddaj mi je, proszę!

Przedpołudniowe godziny wieszczka zwykle poświęca literackiej pracy. Resztę dnia przepędza w towarzystwie dostojnych i znakomitych gości i ze swemi «córkami», podczas rozmowy zajmując się malowaniem lub haftem. Wieczorem cały dwór i goście zbierają się w sali koncertowej. Olbrzymie żyrandole rzucają światło na cudnie malowane okna i plafony sali, gdzie wieszczka gra na organach. Gra przepiękne melodie, uroczyste, poważne, wspaniałe, dziwnie smutne! Oczy grającej nie rzadko wówczas zamgla się łzami; na jej obliczu bezmierny smutek osiada... Bo wieszczka, obsypana wszystkimi darami, jakimi los wybranych swoich zwykł obdarzać, przecież nie jest szczęśliwą... Ciężką boleść przed ludźmi, w głębi serca swego ukrywa, lecz o niej zapomnieć nie może. Matka nie może zapomnieć, że Bogu podobało się zabrać do Siebie, jej śliczną, jedyną, ukochaną córeczkę. W parku otaczającym rezydencję wieszczki znajduje się mauzoleum, czyli nagrobek maleńkiej księżniczki. Rzeźba z białego marmuru przedstawia uśpioną dziecinę, z cudną, anielską twarzą. Główna dzieciny spoczywa na marmurowym wezgłowie, na którym wyryte są słowa: «Nie płaczcie, ona nie umarła, lecz zasnęła».—«Nie płaczcie! a jednak... nie przestaje leż ronić matka dzieciny uśpionej snem, z którego już nie obudzi się na tej ziemi». «Dom bez dzieci jest pusty, niby dzwon bez serca», mawia często wieszczka do swoich przyjaciół. A więc wspaniałe rezydencje wydają się jej pustkowiem! więc pośród królów, poetów, artystów żyjąca, liczny orszak dworzan otoczona, czuje się smutną i samotną, odkąd jej córeczka odeszła do nieba... Biedna wieszczka! jej bo-

leść ukryta zdradza uśmiech pełen rezygnacji i włosy bujne, ubielone szronem przedwczesnej siwizny. Biedna wieszczka!

Ale komuż to ów pisarz miano wieszczki nadaje?.. Jakie jest rzeczywiste nazwisko tej królowej i pisarki zarazem?.. tej wszechstronnie uzdolnionej niewiasty, która jednak potrafi zniżyć się do umysłów maluczkich i przez kilka tygodni bawiąc w Sylt, drobną działość zabawiać opowiadaniem ślicznych bajeczek i powiastek?..

Urodzona w środkowej Europie, a monarchini na Wschodzie, zna prawie wszystkie europejskie języki i włada niemi biegle ustnie i piórem; jej starania powołały do życia literaturę narodu, nad którym panuje.

Więcej szczegółów o tej niezwyklej kobiecie nie dodaje, bo i z tego co już powiedziałem, można odgadnąć, że jest to Elżbieta, królowa Rumunii, pisząca pod pseudonimem «Carmen Sylwa».

A teraz kiedy już wiadome wam imię wieszczki, możemy jeszcze o niej samej i o ziemi, nad którą panuje, trochę pogawędzić. Księżniczka Elżbieta Wied otrzymała bardzo staranne wychowanie. Umysłowe jej wykształcenie uzupełniły podróże po Europie, pobyt w Paryżu, w Londynie, w Sztokholmie, na dworze ciotki królowej szwedzkiej. W każdej z tych stolic najznakomitsi mężowie nauki w rozmaitych kierunkach, rozwijali wrodzone zdolności księżniczki Elżbiety. Z tej przyczyny Carmen Sylwa równie dobrą jest pisarką jak malarką i muzyczką, a przytym nie gardzi zajęciami właściwemi swej płci: żadna z robót niewieścich nie jest jej obcą. W r. 1869 poślubiła Karola Hohenzollerna, który od r. 1866 powołany został na tron Rumunii i tam najpierw panował jako książę; obecnie nosi tytuł króla.

Młodziutka księżna, przybywszy do Rumunii niezupełnie jeszcze spokojnej po strasznych wstrząśnieniach politycznych, patrzyła na wiele nieszczęść, łez, smutków. Zrozpaczone wdowy, strapione matki, opuszczone sieroty garnęły się pod opiekę Elżbiety, a ona nie odtrąciła nikogo, pocieszała cierpiących, godziła zwaśnionych, przebaczała występny; wyrozumiała i pełna współczucia dla nędzy wszelkiej, nie zraża się niewdzięcznością, co właśnie stanowi najpiękniejszą stronę jej charakteru.

Panny z orszaku Elżbiety rumuńskiej z małym wyjątkiem wszystkie są sierotami. Królowa usiłuje zatrzeć w ich sercu gorzkie i bolesne uczucie sieroctwa. Dając

im słodkie miano «córek» nie szczędzi macierzyńskich pieczy. Wszystkie też kochają królową jak matkę. Opuszczając dwór po wyjściu zamaż, nie przestają kochać swojej opiekunki.

Zimę przepędzają królestwo rumuńscy w Bukareszcie, lato na zamku w Sinaia. Tam zdala od zgiełku stolicy i etykiety dworskiej, Carmen Sylwa, oddaje się przeważnie ulubionym swoim pracom literackim. Do Sinaia ukoronowana autorka zaprasza znakomitych pisarzy i artystów. Niedawno pożar zrobił w Sinaia wielkie spustoszenie, lecz zapewne królowa Elżbieta każe odrestaurować ulubioną swą letnią rezydencję i na nowo arcydziełami sztuki ją ozdobi.

Rumunowie pochodzą od starożytnych Daków. Pierwotnie potężne i niepodległe państwo, następnie stanowiło prowincję rzymską, później bułgarską i bizantyjską.

Dzieje teraźniejszej Rumunii, utworzonej z Wołoszczyzny, Multan, i Mołdawji zaczynają się w r. 1859 od wyboru na księcia pułkownika Cousa, który w r. 1866 abdykował, a po nim objął koronę i rządy Karol Hohenzollern, do dziś dnia panujący.

Powierzchnia Rumunii po większej części dość płaska. Grunt urodzajny, zajęty przeważnie pod uprawę zboża, kukurydzy i t. p. Są w Rumunii też kopalnie soli kamiennej, saletry, oleju skalnego.

Język rumuński należy do tak zwanych języków romańskich, to jest tych, które pomiędzy X a XIII wiekiem powstały z pomieszania się łaciny z narzeczeniami miejscowemi. Używany jest również w niektórych okolicach Węgier, Siedmiogrodu, Bessarabji. W ostatnich czasach na rozbudzenie ruchu literackiego w Rumunii, przeważnie nawet wpłynęła głównie królowa Elżbieta. Ona to zajęła się zebraniem podań, legend ludowych, pieśni rumuńskich.

Z pomiędzy nielicznych pracowników na niwie literackiej w Rumunii, Assaki, Negri, Sion, poeci liryczni, Aleksandresen, poeta dydaktyczny, Aleksandri satyryk, zasługują na wzmiankę. Rodzinnych talentów pisarskich niewiele jeszcze w Rumunii, natomiast pojawiają się liczne przekłady z literatury zagranicznej.

Halina Tokarzewska.

Quo vadis?

O brzasku dnia dwie ciemne postacie posuwały się drogą Appijską ku równinom Kampanji. Jedną z nich był Nazarjusz, drugą Piotr Apostoł, który opuszczał Rzym i męczonych w nim współwyznawców.

Niebo na wschodzie przybierało już leciuchny odcień zielony, który z wolna coraz wyraźniej bramował się u dołu barwą szafranową. Drzewa o srebrnych liściach, białe marmury willi i łuki wodociągów, biegnące przez równinę ku miastu, wychylały się z cienia. Rozjaśniała się stopniowo zieloność nieba, nasycając się złotem. Zaczynął wschód zaczął różowieć i rozświecił góry Albańskie, które ukazały się cudne, liljowe, jakby z samych tylko blasków złożone.

Świt odbijał się w drżących na liściach drzew kroplach rosy. Mgła rzedła, odkrywając coraz szerszy widok na równinę, na leżące na niej domy, cmentarze, miasteczka i kępy drzew, między którymi białąły kolumny świątyni.

Droga była pusta. Wieśniacy, którzy zwozili jarzyny do miasta, nie zdążyli jeszcze widocznie zaprzęgać do wózków. Od płyt kamiennych, którymi aż do gór wyłożony był gościniec, szedł w ciszy odgłos drewnianych postoiów, jakie podróżni mieli na nogach.

Potym słońce wychyliło się przez przełęcz gór, ale zarazem dziwny widok uderzył oczy Apostoła. Oto wydało mu się, iż złocisty krąg zamiast wznosić się wyżej i wyżej na niebie, zsunął się ze wzgórz i toczy się po drodze.

Wówczas Piotr zatrzymał się i rzekł:

— Widzisz tę jasność, która zbliża się ku nam?

— Nie widzę nic—odpowiedział Nazarjusz.

Lecz Piotr po chwili ozwał się, przysłoniwszy oczy dłonią:

— Jakowaś postać idzie ku nam w blasku słonecznym.

Do uszu ich nie dochodził jednak najmniejszy odgłos kroków. Naokół było cicho zupełnie. Nazarjusz widział tylko, że w dali drżą drzewa, jakby je ktoś potrząsał, a blask rozlewa się coraz szerzej na równinie.

I począł patrzeć ze zdziwieniem na Apostoła.

— Rabbi! co ci jest?—zawołał z niepokojem.

A z rąk Piotra kostur podróżny wysunął się na ziemię, oczy patrzyły nieruchomie przed siebie, usta były otwarte, w twarzy malowało się zdumienie, radość, zachwyt.

Nagle rzucił się na kolana z wyciągniętymi przed się ramionami, a z ust jego wyrwał się okrzyk:

— Chryste! Chryste!..

I przypadł głową do ziemi, jakby całował czyjeś stopy.

Długo trwało milczenie, poczym w ciszy ozwały się przerywane łkaniem słowa starca:

— *Quo vadis, domine?*..

I nie słyszał odpowiedzi Nazarjusz, lecz do uszu Piotrowych doszedł głos smutny i słodki, który rzekł:

— Gdy ty opuszczasz lud mój, do Rzymu idę, by mnie ukrzyżowano raz wtóry.

Apostoł leżał na ziemi z twarzą w prochu, bez ruchu i słowa. Nazarjuszowi wydało się już, że omdlał lub umarł; ale on powstał wreszcie, drżącymi rękoma podniósł kij pielgrzymi i nie mówiąc, zawrócił ku siedmiu wzgórzom miasta.

Pacholę zaś widząc to, powtórzyło jak echo:

— *Quo vadis, domine?*..

— Do Rzymu — odrzekł cicho Apostoł.

I wrócił.

*

*

*

Paweł, Jan, Linnus i wszyscy wierni przyjęli go ze zdumieniem i z trwogą tym większą, że właśnie o brzasku, zaraz po jego wyjściu, pretorjanie otoczyli mieszkanie Mirjamy i szukali w nim Apostoła. Lecz on na wszystkie pytania odpowiadał im tylko z radością i spokojem:

— Panam widział!

I tegoż jeszcze wieczoru udał się na cmentarz Ostrjański, aby nauczać i chrzczyć tych, którzy chcieli się skąpać w wodzie życia.

I odtąd przychodził tam codziennie, a za nim ciągnęły codziennie liczniejsze tłumy. Zdawało się, że z każdej lży męczeńskiej rodzą się nowi wyznawcy i że każdy jęk na arenie odbija się echem w tysiącznych pierśsiach. Cezar pławił się we krwi, Rzym i cały świat pogański szalał. A ci, którym dość było zbrodni i sza-

łu, ci, których deptano, ci, których życie było życiem niedoli i ucisku, wszyscy pognębieni, wszyscy smutni, wszyscy nieszczęśliwi przychodzili słuchać dziwnej powieści o Bogu, który z miłości dla ludzi dał się ukrzyżować, by odkupić ich winy.

Henryk Sienkiewicz («Quo vadis»).

J o d ł a .

(Z podań ludowych).

Na wiosnę i w lecie, kiedy natura budzi się z długotrwałego uśpienia, las cały drży dziwnym życiem, liście na drzewach szepcą tajemniczo i opowiadają jedne drugim długie sny, ożywcze swe rojenia, a w poufnej tej gawędce nagina się zlekka ku białej brzozie dąb poważny, wiaz powierza swe uczucia smukłej grabinie, a niespokojna i ruchliwa zawsze osiczyna, nie mając obok siebie sympatyczniejszego sąsiada, gwarzy sama ze sobą bez chwili spoczynku.

Życiem tchnie cały obszar lasu, a tylko jedno drzewo jakby nie podzielało radości—stoi nieme, ciche, mówić nie chce, i poważną swą szatą dziwnie smutno odbija się na tle gwarne go lasu. Ciemna wśród jasnej zieleni—oniemiała wśród ruchu i gwaru stoi jodła, o zastrzonych drobnych iglicach. Ptaki w leśnej swej podróży nie zbliżają się nawet do niej; szczęśliwi szczęścia szukają, więc i skrzydlata rzesza śpiewaków leśnych woli się ukryć wśród drzew tych, gdzie słyszeć przeciągłe szepty, drgań tysiące, a życie bije z każdego ich listka, z każdego oddechu. Nawet pszczołka, nawet motyle, chrząszcze i barwne świtezianki omijają ciche i poważne to drzewo. W świeży więc dzień wiosenny, jak i w skwarne lato, a nawet i w jesieni stoi wyniosła jodła samotnie, a ciemna jej żałobna szata dziwnie ponure czyni wrażenie.

Może dla tego jest tak milczącą i smutną, że żal jej drzew tych jasných, zielonych, które na jesieni śmierć czeka, a wtedy natura odziera je z ich barwnych szat i blaski tęczowe złotego słońka nie rzucają już ułudnych

światła na ich postacie. W zimie las stoi оголоzony, milczący i jakby wymarły. Otulona lodowym płaszczem królowa zima, wszechwładna śniegu władczyni, chodzi po świecie, a gdzie nogą tylko stąpnie, rzuca na świat martwość.

Wtedy w całej naturze pusto i posepnie. Mroźne wichry żdzierają nocą resztki osłabłych listków, a zima hojnie dłonią swą rzuca po całej ziemi kształtne płyty białego śniegu. Na jedno spojrzenie tej lodowej pani zamiera pulsujące jeszcze dokoła życie, wszystko drży pod jej tchnieniem; jedna tylko nieustraszona spogląda na nią jodła, uśmiechnięta, pogodna w strojnej, zielonej szacie, stoi, wyniosła i dumna w pośród odartej z kraszy leśnej dziatwy. Wszechpotężna zima nie ma nad nią swej mocy, gdyż Bóg litościwy, co najdrobniejszemu stworzeniu udziela chwilę szczęścia, o smutnej i poważnej jodle także nie zapomniał. Raz do roku za cierpliwość i za spokój wynagradza ją najświetniejszą nagrodą, pełną czarów, bardziej uroczą nawet niż życie i rojenia wiosenne, cudniejszą nawet, niż promienne blaski letniego słońka.

W noc wigilijną, w noc tę pełną uroczych tajemnic — na ziemię zstępują niebiańscy gońcy w postaci srebrnopiórych aniołów, jeden z nich płynie do cichej jodły i zdobi ją w wieńce gwiazdzistych szarotek.

O północy słyszeć wówczas w lesie pieśń dziwnie urocą, potężną, a pełną tajemnic: to gałązki niemej jodły tak śpiewają i dźwięczą. Tę pieśń tej jodły w najdalszą głąb leśną, przenikają głuchą ciszę tak, iż ptaki zbudzone wabiącym drżeniem, w odurzeniu sennym, w zachwycie podnoszą skrzydła i dają do czarownej pieśni. Chrząszcze odrętwiałe, uśpione robaczki, muszki, a nawet motyle barwne, ukryte gdzieś w głębi pod mchu ciepłą pokrywą, wszystko to budzi się zwolna, sen ciężki, zimowy z lekkich otrząsa skrzydeł i bieży tam, gdzie słyszeć ton ów przedziwny. Nawet i te z biednych ptasząt, które w ciasne wtrącono więzienie, mieszkający klatek złocistych, dusznych i ciasnych—i one odczuwają dźwięki radosne jodły, w niemej skardze, w zbolalej tęsknocie podnoszą skrzydełka i ranią je o nielitościwe, zimne kraty swego więzienia. Błędne ogniki zwabione tajemną uroczyścią w naturze, wypływają też z ciemnych swych pieczar i w koło jodły bohaterki zawodzą taniec szalony; od światła ich tysiąca jodła płonie cała w blaskach różanych, opromieniona, barwna,

śpiewa, dźwięczy radosną pieśń szczęścia, pieśń Chrystusowi. Śnieg drga w połyskach, jak lzy w niemej radości, błędne ognie suną się długim węzłem i wciąż nowe zawodzą tony. Ruchliwe leśne ptactwo śpiewające, jak i poważne kruki i gderliwe wrony i kawki, zwykle zwinne i żwawe, wzrok teraz mają przyémiony, słuchają—i niemym rozmyślaniem święcą ucztę zaczarowaną i marzą o słońcu, o wonnych kwiatach i o srebrnej rosie.

W tym jodła drgnęła i z gałązek jej tęczowych opadły gwiazdziste białe kwiaty szarotek. Kwiaty te rozsypały się, kształty ich się zmieniły i z białych gwiazd kwiecistych na mchowym kobiercu ukazały się rozliczne nasiona, niby przygotowana umyślnie uczta dla skrzydlatej rzeszy. Do zielonej jodły cisnąć się zaczęły zgłodniałe ptaszęta i zbierać ziarna w szalonym pośpiechu. Krzykiem, gwarem, świegotem dziękowały jodle za sutą ucztę, a wszystko, zda się, w około cieszyło się radosnemu świętu jodły zielonej. Te tylko z drzew okolicznych, które odarte były z liści i niby szkielety świeciły nagością swoją, wstrząsał dreszcz tajemny, a z gałęzi ich suchych opadać zaczęły krople duże, świecące:—były to lzy żalu, a może lzy zazdrości. Sosna wysoka i świerk poważny w noc wigilijną dzieli także radość iglastej swej siostrzycy i z nią razem zawodzą pieśń radosną, pieśń kolendową małemu Jezusowi.

Ignacja Piątkowska.

Poziomka.

(Z podań ludowych).

Kiedy Chrystus jeszcze był dziecięciem, poszedł pewnego dnia do pobliskiego lasu i tam postanowił zerwać piękną wiązanekę kwiatów dla Swej ukochanej Matki Marji.

Las był uroczy, a dziecko Boże oszołomione było widokiem cudnych roślin, które wdzięcznie chyliły się do stóp Jego. Chłopię zrywając śpiesznie barwne kwiaty, coraz radośniej wydawało okrzyki na widok wspa-

niałych kolorów, woni i form przedziwnych w swej rozmaitości.

Naraz oczy Jezusa spoczęły ze zdziwieniem na niepozornej, trójlistnej roślinie z kwiatkiem skromnym, białym i bez woni—w tej właśnie chwili gdy zrywał dumnie stojącą lilję, która z widoczną radością skłaniała się ku Świętemu Dzieciąciu.

— Smutne to życie moje — z westchnieniem, cicho, ledwie dosłyszalnie zaczęła skargę swoją trójlistna roślina—wszyscy uganiają się za moimi siostrzycami, które Bóg obdarował tak cudnie, na mnie oko żadne nie spocznie, a chociaż to urocze, złotowłose Dziecię spojrzało ku mnie, to wiem, że mnie nie zerwie, bo nie mogę równać się z cudną wiązaneką kwiatów, którą trzyma w swej dłoni. Ale, mimo braku urody, nie skarzę się wcale—szepnęła po chwili roślina—to samo słońce, które ogrzewa moje piękne siostry, otula i mnie ożywczo, ta sama rosa spływa na moje listki, a Bóg jest moim opiekunem; to mi wystarcza—kończył z rozrzewnieniem trójlistek.

Szept cichy, ledwo dosłyszalny, dobiegł uszu Boskiego Dziecięcia, schylił się nad wątłą roślina i zerwawszy ją, z uczuciem odezwał się do niej w te słowa:

— Skromność twoja, mój kwiatku, zadowolenie twoje z losu, jaki ci przypadł w udziale, Ojciec mój ci wynagrodzi, odtąd staniesz się wielbiony, przez wszystkich poszukiwany, a owoc twój będzie wonny, smaczny i zdrowy.

Z temi słowy Dziecię na białym kwiataczku rumianemi usteczkami wycisnęło gorący całus, a pod dotknięciem Jezusowych ust kwiatek biały opadł, na jego miejsce zaś ukazał się pąsowy, soczysty owoc; były to narodziny pierwszej leśnej poziomki.

Ignacja Piątkowska.

Fijołek.

(Z podań ludowych).

Z wysokiego nieba zesłał na ziemię Bóg świetlanego swego posła, a ponieważ ziemia była jeszcze pustą, pozbawioną wszelkiej roślinności, polecił ją przyozdobić i ożywić różnobarwnym kwieciami.

Postać niebieskiego gońca była uroczą, piękną,— a zdobiły ją srebrzyste skrzydła i twarz dziewczicy piękności. Główka, okolona zwojami złocistych splotów i oczu duże, szafirowe, gwiaździste, dodawały jej bardziej jeszcze jakiegoś przedziwnego wdzięku—anielskości. Za posłanką niebios sunęły zwabione jej ukazaniem się pta-szęta i zwartym szeregiem towarzyszyły jej, świegocząc radośnie.

Obok anielskiej postaci płynęła w przestworach skrzydlata jej towarzyszka, mniej świetna, a zda się, uległa woli swej pani. W ręku swym unosiła ta druga dziewczica postać dzban złocisty, a w nim zawarte były przedziwnej piękności różnorodne farby.

Na skinienie i znak anielskiej postaci, z ziemi wychylały swe główki trwożliwie kwiatki, a młoda malar-ka na rozkaz pani swej stroiła je wdzięcznie w różnego rodzaju barwy. Kwiaty posiadały już bowiem właściwe sobie formy, ale były bez barw i bez woni. Wspaniały więc tulipan dostał przepiękne złocisto-szkarłatne sukienki;—konwalia umalowaną została na biało, róża w złociste, białe i czerwone barwy; nie zapomniano o żadnej roślinie ani o żadnym kwiatku. Młoda malarka zezręcz-nością mistrzowską spełniła swój obowiązek; z uśmie-chem radości spojrzwały obiedwie na barwne polanki, które pod tajemniczym ich dotknięciem przybrały się w tak urocze barwy.

Już rozwinęły boginki skrzydła do lotu i śpiesznie chciały pójść przed tron Najwyższego, aby opowiedzieć Mu o wynikach swej pracy, gdy nagle z okrzykiem świe-tłana postać zawołała. „Na Boga, co to za kwiatek!“ i z przerażeniem ujrzały niepozorną, bezbarwną i nikłą roślinkę, wychylającą trwożliwie główkę swą z trawy.

— Czy masz jeszcze trochę jakiegokolwiek barwy?— zapytała troskliwie malarke posłanka niebios.

— Nie, pani—z żalem odpowiedziała służebnica.

Boginka uchwyciła z rąk malarki złociste naczynie, ujęła pędzel do ręki, umaczała go w rosie porannej i zamieszawszy starannie, otrzymała jedną kroplę farby, nałożyła ją szybko na pędzel i w jednej chwili własną dłonią umalowała mały bezbarwny kwiateczek.

— Biedne, pokrzywdzone dziecko—szepnęła tklawie i spojrziała na kwiatek, który pod dotknięciem pędzla w jej dłoni, nabrał przepięknej fioletowej barwy; schyliła się wreszcie nad nim uroczą postać i wycisnęła całus pełen miłości. Pod dotknięciem ust anielskiej dzie-

wicy, kwiatek nabrał dziwnie przepięknej woni. Okrzyk zachwytu mimowoli wyrwał się z ust młodej malarki, stojącej na uboczu.

— Skromność twoja i twoja cierpliwość dały ci tę nagrodę, że dla przedziwnej woni będziesz poszukiwany przez wszystkich i przez wszystkich uwielbiany, gdzie się tylko ukazesz—szepnęła boginka.

Po tych słowach, postaci posłanek niebiańskich unio-sły skrzydła i popłynęły hen w dal, aż dosięgły tronu Stwórcy swego i Pana.

Ignacja Piątkowska.

Złote podkowy.

Legiendą góralską.

Żył dawno temu pod Lasownicami ubogi kowal. Miał sporo dzieciaków i żonę chorą, więc bieda pano-wała w jego chacie. Pracowity był bardzo; ochoczo zawsze zabierał się do roboty i rozpalał węgle na ko-minie; synek poruszał miechem, wyjmował rozpalone że-lazo i niebawem młot dzwonił po kowadle, a snopy iskier sypały się dokoła; w krótkim czasie już była podkowa gotowa. Robota jego odznaczała się zawsze starannością wielką. Ale niestety, tej roboty brakło nieraz; w komi-nie zagasłym nie iskrzyły się węgle, młot leżał porzu-cony, a kowal siedział smutny bezczynnie, patrząc błę-dnemi oczami na wynędzniałe i blade swe dzieciaki, na żonę biadającą.

Smutno było wówczas w chacie kowala.

Raz właśnie nie miał od dni kilku roboty i w do-mu ani grosza; na dobitek nieszczęścia zachorowały dzie-ci, synek i córeczka—najmłodsze.

— Co robić?—pytał siebie, ale nic poradzić nie mógł na to.

Wtym drzwi skrzypnęły i na progu ukazała się po-stać starca, otulonego w płaszcz czarny, szeroki, długie siwe włosy spadały mu na ramiona, długa siwa broda—na piersi. Podszedł do kowala i zapytał:

— Czy chcesz dostać robotę?

Zerwał się z miejsca ucieszony wielce kowal i nisko się skłonił starcowi.

— Więc chodź ze mną!

W milczeniu szli długo. Zbliżali się ku góróm, których grzbiety i szczyty wysoko w powietrzu, hen, gdzieś za chmurami zawisły, których stoki, to strojne jodłami i świerkami, zielonym mchem pokryte, to znów równe i gładkie, prostopadłe i poszczerbione.

Stanęli przed rozpadliną skalną, długą a wąską, z góry otwartą i gałęźmi zarośli przykrytą.

Weszli w korytarz zupełnie ciemny i wąski, który niebawem rozszerzył się w obszerną, długą i szeroką pieczarę.

Gdy tak szli, rozległ się głuchy jakiś odgłos.

Kowal na razie nic widzieć nie mógł, zdawało mu się, że wewnątrz pieczary panuje noc ciemna nieprzejrzana. Po chwili atoli oswoił się i spostrzegł, że z góry spływają promienie światła i na malej przestrzeni rozpraszają ciemności. Dojrzał jakieś kształty, niby koni i ludzi, niby jakieś wojsko zaczerowane, zakłęte.

Cisza i spokój wieczysty tu zalegały.

Starzec zapalił pochodnię i wnet cała pieczara zaświeciła tysiącami świateł. Teraz kowal mógł widzieć dobrze. Stały tam nieruchomo w pełnym rynsztunku konie białe, a obok każdego stał rycerz w hełm i zbroję zakuty. Rycerze i konie we śnie byli pogrążeni.

— Podkuj każdego konia, masz tu metal i młot! — rzekł starzec.

Kowal zabrał się rażno do roboty. Starzec, gdy podkowa była gotowa, kolejno podnosił nogi koni.

Gdy kowal uderzał młotem o żelazo, dziwił się, że rozlegał się miły i dźwięczny bardzo odgłos, tysiącnym echem powtarzający się.

— Chowaj każdy okrawek metalu, to twoja zapłata — rzekł starzec.

Westchnął kowal, ale nic nie powiedział; — przerwał na chwilę robotę, bo w myśli stanęła mu nędza jego chaty, blade i głodne dzieci, chora i smutna żona. Westchnął ciężko raz jeszcze i znów zadźwięczał młot, niby muzyka, niby śpiew cudny.

Niebawem już skończył robotę. Ostatnie uderzenie uczynił silną ręką, na znak, że praca jego dobiegła końca.

— Odejdź! — rzekł starzec do kowala.

Pozbierał kowal te okrawki żelaza i poszedł wskazaną drogą. Gdy wszedł na światło dzienne, nic dojrzeć nie mógł. Po chwili, gdy wzrok jego oswoił się, jakiś blask lśnił dokoła. To okrawki podków rozsypały mu się. Patrzy, a one są ze złota. Pozbierał wszystkie i poszedł do domu.

Bronisław Brzozowski.

Dla matki.

Podanie.

Była uboga rodzina: stara matka z dwojgiem dzieci, córką Marysią i synem Jankiem. Ojca już biedne dzieci nie miały, śmierć go zabrała, a ludzie pochowali w ziemi. Nic im po nim nie zostało, tylko drewniana, pochylona chata.

Chata stała na skraju wielkiego lasu jak noc czarnego. Drzewa w tym lesie miały setki lat, a były tak wysokie, że wierzchołkami sięgały, zda się, obłoków. Cały dzień las szumiał, aż ludzi strach przejmował, patrzyli na niego zdaleka, lecz wejść nikt się tam nie odważył. Dziwne rzeczy opowiadali o tym lesie. W najgłębszej kotlinie znajdowało się tam leśne źródelko, ale nawet w najjaśniejszy dzień słońce nie przeglądało się w jego kryształowych wodach, bo złota paproć zasłaniała je zupełnie. A woda jego miała moc cudowną, wracała podobno ludziom utracone zdrowie. Mało jednak komu udało się jej zaczerpnąć.

Dzieci słuchały z zajęciem opowiadań matki o tym lesie bezgranicznie wielkim i o cudownym źródle. W zimie, gdy na dworze wiał zimny wiatr północny, zasypując drogi śniegiem, gdy mróz na oknach porysował kwiaty, słuchało się tych opowiadań najlepiej, siedząc przy płonącym łuczywie. Las szumiał groźnie, a matka nieraz dzieciom mówiła, by o takiej porze nigdy do lasu nie chodziły: „gdyż złe duchy tam czatują, aby człowiekowi krzywdę wyrządzić. Nawet rusałce, która strzeże cudownego źródła, wierzyć nie można. Wielu już to źródło pięknnością swą zwabiło do lasu, gdzie wszakże wilkołaki ich rozszarpały.“

Jaś i Marysia z westchnieniem słuchali tych opowiadań.

W chacie często bywała bieda. Ostatniego roku był nieurodzaj i dzieci nieraz głód cierpiały. W ślad za głodem przyszła choroba, matka ciężko zaniemogła sierotom. Żal dzieciom było matki, lecz pomóc jej nie umiały, po kątach tylko płakały, aby ich nie słyszała. Miłosierni ludzie przynosili im chleba i strawy; przychodziła też i stara Meta, która chciała im matkę leczyć, bo знаła się na różnych ziołach.

Razu jednego, odchodząc do domu, odwołała ona dzieci na bok i rzekła:

— Biedne dzieci! już moje leki nie waszej matce nie pomogą, tylko woda z cudownego źródła może ją jedynie uzdrowić.

Gdy odeszła, dzieci stały chwilę przerażone, potem usiadły na progu i płacząc, poczęły się naradzać, jakby to dostać tej cudownej wody.

— Słuchaj, Maryś, jutro, gdy matka uśnie, pójdę do lasu, będę prosić dobrej wróżki, żeby mi wody ze źródła dała.

— Janku, co ty mówisz! chcesz, aby cię rusalka do głębi lasu zawiodła, żebyś nie wrócił więcej? Nie puszczę cię, nie!

— Nie bój się, będziemy prosić Boga, żeby mnie strzegł i wrócę szczęśliwie,—pocieszał Janek przestraszoną siostrę, aż ta wreszcie pozwoliła mu iść do lasu.

Matka w nocy cierpiała bardzo, lecz ze wschodem słońca zasnęła.

Jaś wyszedł z izby, za nim wybiegła Marysia, przyniosła mu dzbanek i dała kawałek czarnego chleba. Chłopak pożegnał siostrę i poszedł.

Długo chodził po lesie, wołał na wróżkę najśłodszymi słowami, nikt się nie odezwał. Widział wiele źródeł i strumieni, ale nad żadnym nie słała się złota paproć, nigdzie wody cudownej nie było. Im głębiej wchodził w las, tym większe otaczały go ciemności. Zjadł już wszystek chleb, był głodny, lękał się, żeby go noc nie zaskoczyła w tej groźnej puszczy. Chciał już nawet powracać z sercem pełnym żalu, że drogiej matce nie pomoże, ale im szybciej szedł, tym bardziej tracił nadzieję wybrnięcia z lasu. Już zaledwie drzewa dostrzegał przed sobą, taki mrok go otaczał. Przejął go niepokój i strach, w gardle mu zaschło, ledwo mógł oddychać, łzy mu napływały do oczu, nogi się trzęsły, upadł wreszcie, łkając.

— Boże, mój Boże, dopomóż mi, wyprowadź mnie z tego strasznego lasu, toż matuchna i Maryś umarłyby z żalu, gdybym tu zginął!

Lecz echo tylko odpowiadało na te słowa. W końcu z płaczu i zmęczenia chłopiec usnął. Spał długo, aż uczuł lekkie muśnięcie po twarzy, otworzył oczy i spojrzał w okół. Przed nim stała rusalka. Unosiła się nad mchem, w ręku trzymała złotą różczkę, którą dotknęła Jasia. Miała szatę lekką jak mgła, a patrzyła na chłopca z uśmiechem. Biedak zląkł się zrazu, oczom wie-

rzyć nie chciał, lecz gdy przetarł powieki i przekonał się o rzeczywistości widzenia, nabrał otuchy.

— Kiedy się tak mile uśmiecha, krzywdy mi nie zrobi—pomyślał.

— Czego żadasz ode mnie?—zapytała strażniczka źródła leśnego.

— Ach! wróżko dobra, jestem z chaty pod lasem, matka moja chora, i nie jej nie pomoże, tylko cudowna woda, co wytryska ze źródła pod złotą paprocią. Ty wiesz, dobra pani, gdzie jest to źródło ukryte, pokaż mi i pozwól nabrać wody dla matki.

— Sam nigdybyś nie znalazł drogi, ale kiedy tak bardzo matkę kochasz, chodź, to ci pokażę źródło i wody zaczerpnąć pozwolę.

Janek poszedł za rusalką, ta niedługo stanęła pod wielkim dębem, różczką ziemi dotknęła i zaraz ukazało się źródło wśród złotych paproci. Świeciło jaśniej, niż słońce i Janek stanął olśniony.

— No, prędzej zaczerpnij wody, dziecko!—wołała rusalka—śpiesz się, nim północ nastanie.

Janek spostrzegł dopiero, że nie ma dzbanuszkę, musiał go zostawić na mchu, tam, gdzie spał.

— Straciłem naczynie, nie mam w co wody zaczerpnąć—biadał.

— Podnieś muszlę, która leży na piasku przy źródle, i nabierz w nią wody, kilka kropel starczy dla uzdrowienia matki.

Chłopiec usłuchał, odgarnął paprocie i nabrał w muszlę wody. Była czysta jak kryształ, a lśniła jak srebro. Gdy wstał, wróżka dotknęła różczką ziemi i źródło zniknęło, potem skinęła na Janka, aby szedł za nią. Wzniosła się, i mknąc naprzód, oświecała drogę swoją szatą. W tej chwili Janek wspomniał opowiadanie matki i groza go przejęła.

— Teraz zaprowadzi mnie do lasu i odda na pastwę wilkołakom.

I dreszcz go przejął. Chciał krzyknąć na wróżkę, ale zanim się ośmielił, był już na skraju lasu i ujrzał zdaleka światło: to ogień w ich chatce. Chciał wrócić podziękować, ale już jej nie było, został sam. Wszystko wydało mu się snem, tylko muszla, którą trzymał w ręku, świadczyła o rzeczywistości jego przygody. Szybko biegł ku chatce, kierując się świetelkiem z okienka.

Za chwilę Janek był już w domu, zlekka zastukał,

żeby nie obudzić śpiącej matki. Marysia oczekiwała go z niepokojem i natychmiast drzwi otworzyła.

Trudno opisać uszczęśliwienie dzieci, gdy podały matce cudowną wodę, a ona wstała zaraz zupełnie zdrowa. Jaś i Marysia płakali z radości, na klęczkach dziękując Bogu. Jakże się zdziwili, gdy spojrzawszy na stół, ujrzeli, że muszla, którą Janek przyniósł, była ze szczerzego złota, a ziarnka piasku zmieniły się w perły.

Odtąd nędza opuściła ich chatę, odeszła do lasu, gdzie może ją wilkołak udusił, bo już więcej do nich nie wróciła.

Tak to Pan Bóg nagradza miłość i poświęcenie dzieci dla rodziców. A jeśli nie dzieje się to za pośrednictwem wróżek, jak głosi stara baśń ludowa, ma On niezliczone sposoby okazywania swej łaski.

Z „*Wieczorów Rodzinnych*.”

Święty Jan Kanty.

Przyjacielem i mistrzem uczącej się młodzie, a wzorem jej i patronem pozostał na zawsze święty Jan Kanty, którego uroczystość Kościół katolicki obchodzi dnia 19-go października. Urodził się on w roku 1397, zmarł w 1427, a w końcu zeszłego wieku przez Papieża Klemensa XIII w poczet świętych został zaliczony.

Galicyjskie miasto Kęty jest miejscem rodzinnym św. Jana, który jako mąż niezwyklej cnót i świątobliwości, jako uczony profesor, sławny mówca i kaznodzieja, w całym świecie chrześcijańskim znany był pod imieniem Jana z Kent.

Jako młode jeszcze chłopię Jan Kanty wstąpił do Akademii krakowskiej, gdzie najpierw pośród rówieśników swoich zajaśniał pilnością i najlepszymi obyczajami, a później został profesorem. Otrzymał święcenia kapłańskie, odbył pieszo z dwoma towarzyszami pielgrzymkę do Ziemi Świętej i do Rzymu. Później był proboszczem w Olkuszu, lecz wnet prosił biskupa o pozwolenie powrotu na katedrę profesorską, gdyż praca przy kształceniu młodzieńcych serc i umysłów była mu najmiłą.

Do czynów swoich Jan Kanty stosował zawsze te

zasady chrześcijańskie, które wygłaszał. Miewając ówczesnym zwyczajem publiczne dysputy naukowe, częstokroć wiedzą przewyższał, a pięknoscią i siłą przekonywającej słuchaczów wymowy, przyćmiewał innych mówców. Nie pysznił się jednak nigdy z wyższości swego umysłu, ani z daru słowa: uczony profesor, sławny teolog i kaznodzieja cichy był i pokorny, jak prostaczek.

Miłosierdzie i ofiarność Jana z Kent nie znały granic. Raz w zimie spotkał ubogiego boso: bez wahania zdjawszy z nóg swoje obuwie, oddał je biedakowi, a płaszcz spuścił do samej ziemi, aby swój miłosierny uczynek skryć przed oczyma przechodniów. Kiedy indziej, gdy z uczniami swoimi siedział u stołu, żebrak przez otwarte okno prosił go o jałmużnę. Jan oddał mu zaraz swoją porcję. W tej chwili stał się cud: przed świątobliwym kapłanem pojawiła się inna porcja tejże samej potrawy, którą on, odmówiwszy dziękczynną modlitwę spożył. Na pamiątkę tego cudu, przy stole profesorów akademii codziennie zasiadał ubogi, Służący oznajmiał jego przybycie, mówiąc: „ubogi przyszedł.” A najstarszy z obecnych odpowiadał: „Chrystus przyszedł.” Ten piękny, chrześcijański obyczaj utrzymał się bardzo długo.

Nietylko nędza lub niedostatek, ale każdy kłopot, każdy frasunek bliźniego obudzał w Janie współczucie i chęć zaradzenia złemu.

W pewien pogodny, słoneczny poranek czerwcowy, spotkał na rynku młodą, płaczącą wieśniaczkę; upuściła dzban z mlekiem, stłukła go i bała się gniewu swej pani, która ją na targ wysłała. Święty kapłan zebrał rozrzucone po ziemi skorupy i pomodliwszy się, oddał cały dzban uradowanej i zdziwionej dziewczynie, a gdy za jego rozkazem w naczyniu naczepała wody z rzeczki Rudawy, znakiem krzyża św. tę wodę w mleko przemienił.

Niepodobna przytaczać wszystkich świątobliwych czynów Jana z Kent, które ksiądz Piotr Skarga w „Żywotach Świętych” szczegółowo opisał, powiemy tylko jeszcze parę słów o zasadach, które w serca uczniów swoich usiłował wszczepiać.

„Prawdę miłujcie nadewszystko!” — zalecał on, który o ile całą mocą swej duszy kochał prawdę i sprawiedliwość, o tyle znów brzydził się obmową i fałszem! Na ścianach komnaty, gdzie przyjmował odwiedzających,

kazał umieścić łaciński napis: „Strzeż się czernić bliźniego, gdyż pod ciężkim grzechem musiałbyś to odwołać“.

I rzeczywiście, cóż jest piękniejsze, godniejsze cześci nad prawdę?... Co nędzniejsze nad obłudę i obmowę?... O bliźnich, w ich nieobecności, powinniśmy zawsze tak mówić, jakbyśmy pragnęli, aby o nas mówiono, a dobre imię, ten najcenniejszy skarb człowieka, równie łatwo plami obmowa, jak błoto i pył szybko brudzą cudny kwiat lilii śnieżystej białości. A więc: kochajmy prawdę, a wystrzegajmy się obmowy!

Mikołaj Kopernik.

Kopernik od dzieciństwa przykładął się najgorliwiej do matematyki. Każde dziecko polskie powinno wiedzieć, że ten wielki mąż urodził się w Toruniu, r. 1473. Ojciec odumarał go bardzo wcześnie, ale pozostała mu matka i wuj, brat matki, który troskliwie się nim opiekował. Wysłany do Akademii do Krakowa, młody Mikołaj takie okazywał zdolności do matematyki i tak się gorliwie uczył, że został ulubionym uczniem, a raczej przyjacielem profesora Wojciecha z Brudzewa, który tę naukę wykładał w krakowskiej Wszechnicy. Już wten czas obaj, uczeń z nauczycielem, robili wspólne astronomiczne spostrzeżenia. Zapewne niejednen człowiek rozsądny czuł dobrze, że system obrotu słońca naokoło ziemi, powszechnie podówczas przyjęty, miał w sobie coś nieprawdopodobnego. To też Kopernik już w młodości swojej, patrząc na niebo, widział przed sobą wielką zagadkę i szukał jej rozwiązania.

Wyświęcony na kapłana, młody Mikołaj, za staraniem wuja, mianowany został kanonikiem we Frauenburgu. Prawo jednak wymagało, ażeby każdy kanonik miał wyższy stopień naukowy; Kopernik udał się więc do najslawniejszej naówczas akademii włoskiej w Bolonii. Tam, idąc za dawnym upodobaniem, gorliwie oddawał się matematyce, nie zaniedbując innych nauk. Otrzymawszy stopień naukowy, Kopernik przebył czas jakiś w Rzymie i zasłynął jako znakomity nauczyciel matematyki. Na wykłady jego młodzież uczęszczała

z wielkim zapalem. Powrócił potem do Frauenburga, ale niedługo tam bawił, żądza wiedzy powiodła go znów w świat daleki. Udał się do Padwy, gdzie jeszcze lat cztery strawił w akademii. Niespracowany ten człowiek uczył się tam jeszcze medycyny, bo naówczas był zwyczaj taki, że kapłani bywali często zarazem lekarzami. Nakoniec, zamieszkawszy ostatecznie we Frauenburgu, znowu z zamiłowaniem oddawał się spostrzeżeniom astronomicznym.

Prawdziwie dziwić się należy, jak mu na wszystko czasu starczyło. Oprócz bowiem kapłańskich obowiązków, najgorliwiej poświęcał się powołaniu lekarza, śpiesząc na każde wezwanie na ratunek cierpiących. Choroego wuja doglądał ciągle z najczulszą troskliwością i pomimo tak licznych, różnorodnych prac, obmyślił, uporządkował najgienialniejszy systemat naukowy.

Joachim Retyk, najmilszy uczeń i największy wielbiciel Kopernika, podał do druku uczone jego dzieła o obrotach ciał niebieskich. Ale tymczasem Kopernik zaniemógł i już tylko tę ostatnią miał przed śmiercią pociechę, że na kilka dni, a jak niektórzy utrzymują, na kilka godzin przed zgonem oglądał dzieło swoje drukowane. Nie kosztował więc sławy za życia, nie doznał także prześladowań, których nie potrafił uniknąć następcy jego w poszukiwaniach prawdy, Włoch Galileusz.

Za czasów Kopernika nie znano jeszcze szkieł powiększających, nie było zatem teleskopów, bo chociaż do obserwacji używano rur, nie miały one żadnych szkieł. Kopernik gołym okiem robił wszystkie swoje spostrzeżenia. W tych czasach więc nie znano jeszcze wszystkich obecnie znanych planet, bo nie wszystkie mogły być widziane bez teleskopu. Kopernik liczył ich tylko sześć, jakoto: Merkury, Wenus, które są bliżej słońca aniżeli ziemia, potem następują Mars, Jowisz i Saturn. Za naszych czasów odkryto jeszcze pomiędzy Marsem i Jowiszem mnóstwo drobnych planetek, które nazywają asteroidami, a po Saturnie, w większej jeszcze od słońca odległości, Urana i Neptuna.

Kopernik wszystkim znanym sobie planetom poznaczał właściwe miejsca, i księżycowi także, ale księżyców innych planet nie mógł bez teleskopu obaczyć. Przekonawszy się, że słońce nie zawsze w jednakowej od ziemi znajduje się odległości, nakreślił drogi wszystkich planet zupełnie okrągłe, a słońce umieścił nie pośrodku, lecz nieco z boku. I tak też jest rzeczywiście,

tylko Kopernik, nie mogąc sam jeden wszystkiego zba-
dać, nie wiedział jeszcze o tym, że planety biegiem swoim
nie zakreślają dróg okrągłych, tylko mniej lub więcej
podłużne; drogi te nazywają się elipsami.

Następcy Kopernika, mając już przez niego przygo-
towane pole, wszystkie te niedokładności rozjaśnili.

Lecz on sam podłożył podwaliny nowej nauki i do-
wiódł prawdy krążenia Ziemi i innych planet naokoło
słońca.

M. J. Zaleska.

Stanisław Jachowicz.

I.

Zasługi Jachowicza.

Nie jeden z was, kochani czytelnicy, zna już dobrze
to nazwisko, bo nieraz może je wyczytał pod wierszy-
kami lub powiastką w swojej książeczce. Mało kto jed-
nak zapewne z was dzisiaj wie coś więcej o tym zasłu-
żonym mężu nad to, że pisał ładne bajeczki; a przecież
życie tego człowieka przedstawia tyle pięknych uczyn-
ków, powiedzmy nawet, jest ono całe tak piękne, że war-
to je poznać aby je podziwiać, aby brać z niego przy-
kłady postępowania, aby się szczerzyć, że społeczeństwo
nasze wydawało takich ludzi, iż mógłby ich nam cały
świat pozazdrościć. Szczególniej nasza młodzież powin-
na poznać życie Jachowicza, bo on ją serdecznie uko-
chał i wszystkie swoje prace, wszystkie troski jej szczęściu
poświęcił.

Nim przystąpimy do przedstawienia szczegółów ży-
cia tego wielkiego przyjaciela młodzieży — zaznamy-
my, że wśród ciężkich prac i mozołów, które ponosił ja-
ko opiekun sierot, jako pocieszyciel i wspomagający
strapionych i nieszczęśliwych w każdej potrzebie, jako
nauczyciel wielu szkół i dziatwy, pobierającej domową
naukę; wśród tych ciężkich prac i mozołów, powtarzam,
pisał to wierszem to prozą, i napisał tyle i w tak różnych
przedmiotach, że przez długie lata młodzież nasza prze-
ważnie jego pismami się karmiła. Pisma te jego, zaw-
sze zajmujące a pożyteczne, tym więcej jeszcze były da-
wniej drogocenne, że przed Jachowiczem mało kto umiał
zrozumiale pisać dla młodzieży, a szczególnie dla dzie-

ci młodszych. To też dzieci, które nie miały przy sobie
kogoś, coby im wytłumaczył to, co w książeczkach czy-
tały, niewiele też mogły mieć przyjemności i pożytku,
bo nie mogły zrozumieć tego, o czym tam była mowa.
Naturalną jest bowiem rzeczą, że trudno, aby dzieci ro-
zumiały to, co się pisze dla starszych, którzy już dużo
rzeczy widzieli na świecie i dużo się uczyli.

Z nieopisaną więc radością chwyтали młodzi czytel-
nicy każdą książeczkę, każdy wierszyk, każdy numer
gazetki, które pisał dla nich Jachowicz. A w wierszy-
kach Jachowicza znajdowali: to opowiadanie o dobrych
lub złych postępkach swych rówieśników, to opisanie
pięknego widoku natury, to zajęć i zabaw życia dziecię-
cego, to piosenki wesołe, a czasem takie rzewne, że łzę
wycisnąć musiały. Powiastki pisane prozą odznaczały
się podobną rozmaitością, a wszystkie były tak zajmu-
jące, że się oderwać od nich nie można było.

Oprócz wierszyków i powiastek — pisał też nasz
autor i wiele artykułików z dziedziny nauk przyrodni-
czych, szczególnie zaś lubił opowiadać o zmyślności
zwierząt i przychylności ich do ludzi. Często też
w «Dzienniczku dla dzieci» pomieszczał opowiadania
z geografji i historii. A ponieważ pragnął, aby dzieci
nie tylko naukę z jego gazetki, ale i zabawkę czerpały,
od czasu do czasu pomieszczał różne zabawne anegdot-
ki z życia dzieci.

Nie było też wówczas zbyt wiele książeczek do nau-
ki dla dzieci i młodzieży, więc zacny Jachowicz, co wy-
czytał z książek i pism niemieckich i francuskich, albo
co sam wymyślił, jakby tu niejedną naukę łatwym spo-
sobem wyłożyć, to zaraz pisał o tym, lub książeczkę ta-
ką układał. W pismach tych podawał także sposoby na-
uczania arytmetyki, szczególnie dawał rady i uwagi
co do nauki czytania, pisania i gramatyki polskiej. Sły-
nał zaś sam, jako znakomity nauczyciel języka pol-
skiego. Do dziś dnia dochowało się wiele listów, w któ-
rych uczniowie i uczennice jego wynurzają mu serdecz-
ną wdzięczność za pracę nad niemi, a nauczyciele i na-
uczycielki za sposoby łatwego a zachęcającego naucza-
nia dzieci.

Nie tylko dla dzieci i młodzieży pisał ten niezmor-
dowany pracownik: i starsi niemało z jego pism korzy-
stali. Nie będziemy tu jednak o tym mówili, bośmy po-

stanowili przedewszystkim zaznaczyć to, przez co Jachowicz powinien sobie zaskarbić wdzięczność w sercach naszej młodzieży.

II.

Młodzieńcze lata St. Jachowicza.

W jednej z najpiękniejszych okolic, bo w Galicji, powiecie Tarnowskim, we wsi Dzikowie przyszedł na świat Jachowicz w dniu 17 kwietnia 1796 roku. Z okien domku, w którym mieszkali jego rodzice, roztaczał się widok na Wisłę z jej uroczemi brzegami. Miejsca rodzinne wywarły głębokie wrażenie na duszę naszego przyszłego poety: zawsze o nich marzył, tęsknił za nimi. W jednym też z jego utworów spotykamy wspomnienie o tych «chwilach słodkich», które przepędził pod strzechą domku rodzicielskiego.

Stoi tam dworek nad Wisły potokiem
W cichym zakątku; drzew go szczyty kryją;
A z okna przestrzeń niedojrzana okiem
I starożytne szczątki w oczy biją.
Tam wzięłem życie, tam dni pierwiastkowe
Pływały cicho tak, jak strumyk płynie,
Aż miło wspomnieć słodkie chwile owe
Samotnych zabaw w ojezystej dziedzinie.

Słodkie te chwile lat dziecinnych, pod opiekuńczym skrzydłem macierzyńskim spędzone mroczył cień żalobny: w trzecim roku bowiem swego życia stracił był Stanisław zasnętego ojca, po którym wieczną łzę widział w oku matki: spędzał też te chwile samotnie, bo jedyny brat jego Józef był ciągle prawie zdala od domu i tylko, jako uczeń gimnazjum tarnowskiego, podczas wakacji i świąt, ożywiał siedzibę osieroconych — najdroższych dla niego istot na świecie.

Żywo się też zachowały te chwile, razem z bratem spędzane, w sercu naszego Stanisława i znowu w jednym z wierszyków swoich wspomina o wspólnych z bratem zabawach:

Czasem ołtarzyk wystawiłem maty
Skromne go tylko ozdabiały kwiaty,
A książki szkolne służyły za mszały,
Z srebrnych papierów robił brat ornaty.

Przyszedł na koniec czas, że trzeba było opuścić dom rodzicielski i udać się po naukę do miasta. W roku 1806 spotykamy Stanisława już jako ucznia w szkole rzeszowskiej.

Z lat tych pobytu Jachowicza w Rzeszowie pozostał do dziś dnia dowód, jak już w dziecinnym wieku myślał on poważnie i szlachetnie. Dowodem tym jest akt spisany przez niego i przyjaciela jego, niejakiego Feliksa Kowalskiego, że obaj nigdy o sobie nie zapomną, że wspierać się zawsze będą we wszelkich potrzebach, że przyjaźń ich do końca życia trwać będzie. I wistocie, w papierach pozostałych po naszym nauczycielu, poecie, znajdujemy ślady ciągłego, a serdecznego stosunku między przyjaciółmi. Listów, naturalnie, Jachowicza pisanych do Kowalskiego nie mamy, ale Kowalskiego do Jachowicza przechowało się kilka z lat różnych. W listach tych troszczy się serdeczny przyjaciel o zdrowie powodzenie i przyjemności swego druha, przysyła mu różne pamiątki. Tak np. przechował się dotąd kajecik, w którym Kowalski starannie przepisał kilkanaście modlitewek i przysłał je na pamiątkę przyjacielowi. Przechował się też list Kowalskiego, w którym już jako człowiek dorosły prosi Jachowicza, aby zajął jego mieszkanie, gdy przyjedzie do Warszawy i tam go oczekiwał, dopóki z podróży nie wróci. Musiał też nasz Stanisław odwzajemniać się troskliwością o losy przyjaciela, bo w listach Kowalskiego czytamy serdeczne podziękowania.

Przyjaźń z Kowalskim nie była faktem szczególnym w życiu Jachowicza; wskazuje ona tylko, że już od bardzo wczesnych lat odznaczał się on sercem, które umiało kochać szczerze i wywołało dla siebie wzajemność. W dalszym życiu bowiem Jachowicza napotykały ciągle dowody, że był bardzo kochany od kolegów, i że wielu bardzo o jego przyjaźń się ubiegało. A nasz pedagog umiał to cenić: do dziś przechowały się listy jego przyjaciół i kolegów, które starannie, jak skarby chronił od zniszczenia. W listach pisanych do niego, obok wynurzeń serdecznej przyjaźni, spotykamy i dowody, że go otaczano szczególnym szacunkiem, że jego rady wysoko ceniono, a przedewszystkiem ufano mu nieograniczenie. Każdy prawie list zaczyna się zwykle od wymówek, że rzadko pisuje, że jego listy są krótkie. Wymówki te są dowodem, że każdy pragnął, aby ukochany Staś jeszcze częściej i jak najobszerniej pisał do

niego, nie chcąc uwzględnić, że zajęcia szkolne nie dozwalały na korespondencje zbyt wiele czasu zabierające.

W listach tych uderza jeszcze jedna okoliczność: każdy z nich prawie wyraża serdeczne podziękowanie za jakąś przysługę, którą Staś oddał koledze; niema zaś wzmianki w żadnym, że Staś o coś prosił kolegi i że ten mu czymś służył. Widocznie w całym życiu Jachowicz umiał pracować dla innych — nie za to dla siebie nie żądając. A niełatwo było nietylko nieść usługi, ale nawet odpisywać na liczne listy, bo praca szkolna wymagała wiele czasu i natężenia umysłu. Gimnazjum w Stanisławowie, do którego był oddany, jak wszystkie zresztą ówczesne szkoły było bardzo trudne. Nie upadał jednak nasz Stanisław nigdy na duchu: im większe napotykał trudności, tym usilniej, wytrwalej pracował i mamy oto przed sobą cenzurę, która świadczy, że i tu należał do uczniów celujących i odznaczających się wzorowym postępowaniem.

Tak samo było, gdy przeszedł do uniwersytetu lwowskiego, gdzie przez parę lat uczęszczał na wydział filozoficzny. Pracował on tu bardzo: oprócz zwykłych obowiązków, jakie każdy student spełnia — pracował jeszcze oddzielnie nad temi przedmiotami naukowemi, których go w szkołach nie uczono: starał się mianowicie o książki i, o ile tylko zbywało mu czasu od zajęć obowiązkowych — studjował gramatykę polską, historję i literaturę. Nadto — a było to najulubieńszym jego zajęciem — tłómaczył piękne wiersze z języka łacińskiego i niemieckiego na polski. Czasem też układał i oryginalne wierszyki.

Mimo to, że te jego utwory odznaczały się niemałemi już zaletami — nie tylko drukować ich nigdy nie chciał, ale najserdeczniejszym przyjaciółom jedynie czytać je pozwalał. Gdy go zaś proszono, aby je dał do czytania i mniej znajomym, to zawsze się wypraszał, mówiąc, że on tłómaczy i pisze tylko dla wprawy, dla własnej nauki, a nie dlatego, aby się popisywać autorstwem, do czego daje prawo dopiero wiele lat pracy nad nauką.

Kiedy rozpatrujemy listy pisane do naszego Jachowicza, z czasów uniwersyteckich, to uderza nas jeszcze jedna jego zaleta. Oto — szuka on znajomości tylko z takimi kolegami, którzy potym w życiu odznaczali się nauką, talentem, przymiotami charakteru. Widocznie ta-

ka to już była natura jego od lat najwcześniejszych, że dobre towarzystwo tylko sprawiało mu przyjemność, złe budziło w nim odrazę.

Nie należy sądzić, aby ci zacni jego koledzy nie umieli być ludźmi wesołemi. Owszem, w listach ich jest dużo humoru, dowcipu, wspomnień o niejednej chwili bardzo wesoło spędzonej. Ale to wszystko jest takie niewinne, przyjemne, że nie spotykamy tam i jednej wzmianki, ażeby kiedy przykrość komu wyrządzili lub na naganę zasłużyli. Przeciwnie, zabawy ich najczęściej połączone są z chęcią sprawienia komuś przyjemności. Tak np. czytamy o tym, że na imieniny któregoś z profesorów lub krewnych kolegi, wyuczuli się jakiegoś śpiewu, który chórem odśpiewali; to znowu jakiejś komedyjki, którą wśród zgromadzonych gości odegrali i t. p.

Aż się serce raduje, jak ta młodzież dziwnie zaciętością się odznaczała, jak ona myślała nad tym, żeby drugim przyjemność, pociechę przynieść. Jednym z takich faktów jest np. troskliwość ich o kolegę, który bardzo zachorował i z tego powodu musiał szkoły opuścić. Jak oni bezustannie o jego zdrowie się troszczą, jak się starają dla niego o książki, które najbardziej czytać lubił!

Najbardziej jednak z pomiędzy nich troszczył się o nieszczęśliwego nasz Jachowicz. To też mamy kilka listów, w których ów chory (nazywał się Adam Unifantowicz) nie może znaleźć wyrazów, któremiby mógł swoją wdzięczność odmalować. Jakże on pragnie żyć, aby choć w części mógł odplacić się swemu serdecznemu koledze. Niestety, choroba piersiowa przecięła wkrótce męczeński jego żywot. To też mocno bardzo odczuł nasz Stanisław tę stratę; nigdy bez łzy nie mógł wspominać imienia przyjaciela, a najdrobniejsze pamiątki po nim chował jak relikwie.

Wszystkie te stosunki koleżeńskie nie były tylko chwilowe: wiele lat one przetrwały. Dorosłemi już byli, niemłodemi już nawet, los ich po różnych miejscach — ba — po różnych krajach rozrzucił, a oni nigdy nie zapomnieli o związkach przyjaźni.

Nie można bez rozrzewnienia czytać tych listów, które ci sami, co z wakacji szkolnych pisywali listy pełne humoru i pustoty młodzieńczej — piszą już jako ludzie poważni, posiwiali — donosząc o swoich losach

i pracach. A z tych listów widzimy, że zawsze gotowi nieść pomoc w potrzebie dawnemu koledze, że go nigdy kochać nie przestali.

III.

Jachowicz jako nauczyciel i opiekun sierot.

W roku 1818, po ukończeniu nauk uniwersyteckich, przybył Jachowicz do Warszawy, aby objąć urzędowanie w jednej z instytucji sądowych. Jednocześnie dawał lekcje prywatne, jako nauczyciel języka polskiego. Wkrótce atoli tak się rozmiłował w zawodzie nauczycielskim, tak zapragnął pracować dla młodzieży, że porzucił swój urząd, który mu zbyt wiele czasu i sił zabierał i oddał się wyłącznie nauczaniu. Odtąd nietylko w domach, ale i szkołach prywatnych męskich i żeńskich dawał lekcje, ale jednocześnie pisał śliczne wierszyki, powiastki, oraz «dzienniczek» dla młodzieży.

Na tym stanowisku czuł się nader szczęśliwym. Ale niezadługo dotknęły go bardzo ciężkie ciosy: utracił ukochaną matkę, a potem żonę i syna. Nieszczęście to odcierpiał bardzo; modlitwa tylko i praca krzepiła go—i Bóg dał mu tyle siły, że przeżył te ciosy, że mógł z pożytkiem dalej pracować dla dobra bliźnich i ukochanej dziatwy.

A koło tej dziatwy rozszerzało się bezustannie: powołany bowiem został na członka Towarzystwa Dobroczynności i opiekuna szkółki sierot. Szkółce tej poświęcił odtąd całe swoje staranie. Trudno opisać, ile poniósł trudów, aby wystarać się o odpowiednie fundusze na wystawienie domu dla ukochanych swoich uczniów; ale też trudno opisać szczęście Jachowicza, kiedy już ujrzał pragnienia spełnione swoje. O ile czas i siły pozwalały, przebywał ciągle wśród drogiej mu rzeszy, pracując nad udoskonaleniem szkółki; a gdy mu sił zabrakło i musiał w domu, z powodu niezdrowia pozostać, wydawał na piśmie polecenia i wskazówki, jak należy w ciągu dnia postępować z dziećmi. Codziennie też ustnie lub piś-

miennie zdawali mu nauczyciele i dozorczy sprawę o zachowaniu się każdego z wychowanców.

„Z rozkoszą i ja wspominam (pisze jeden z jego przyjaciół), kiedy w towarzystwie tego czcigodnego męża odwiedzałem czasem szkółkę. Widziałem jaśniejącą radością oczy jego, kiedy zastał, jak mówił, dzieci swoje grzeczne, widziałem i smutek, kiedy się dowiedział o uchybieniu którego z nich.“

Największym staraniem Jachowicza było wprawdzie, aby sierotki w jego szkółce wychowane, odznaczały się bogobojnością i moralnością; starał się jednak bardzo i o to, aby każde z tych biednych dzieci, gdy szkółkę opuści, umiało sobie na chleb zapracować. Dlatego też prócz nauk tam wykładanych, uczyły się one i różnorodnych rzemiosł. Jak nam jednak wiadomo, rzemieślnik potrzebuje własnych narzędzi, czyli, jak to nazywamy warsztatu. Starał się więc i o to zacny opiekun—i niejednego z wychowanców zaopatrzył w taki warsztat. A czuwać nad ową młodzieżą nie przestawał, chociaż ukończyła szkółkę: odwiedzał dawnych swych uczniów, kierował ich postępowaniem, doradzał, krzepił na duchu w każdej przykrzejszej chwili, pomagał w każdej potrzebie, o ile mu tylko środki i okoliczności pozwoliły.

Nie tylko wszakże dla wychowanców był takim aniołem opiekuńczym. „Niech to potwierdzą (pisze tenże przyjaciel) owe tysiące ludzi, którym Jachowicz rozmaitemi sposobami świadczył dobrodziejstwa! Spytajcie każdego, kto go znał, czy jest z nich jeden, któryby nie doświadczył jego dobroci i ludzkości!... Do czynienia dobrze i wyświadczenia usług bliźnim nigdy mu nie brakło sposobności, bo ją umiał wynaleźć, jako człowiek, który w wykonywaniu cnoty znajduje prawdziwą rozkosz i uszczęśliwienie. I tak, gdy spotkał kogo ze znajomych, a po serdecznym i miłym powitaniu, jakto było jego zwyczajem, dowiedział się z pogadanki o jakim jego wypadku lub zmartwieniu, już chwycił zręczność pocieszenia go, czy datkiem, czy wstawieniem się za nim, czy wreszcie rozsądną a zawsze prawie skuteczną radą... Było też wielu i takich biedaków, którym Jachowicz nietylko pieniądze, ale własną odzież oddawał, lub nie mogąc innym sposobem dopomóc, dawał kilka, kilkanaście egzemplarzy swoich dziełek, aby je rozprzedali i z „nędzy się ratowali.“

Nie było też nasze społeczeństwo niewdzięczne wobec cnoty tego niezwykłego człowieka: czczono go po-

wszechnie. A dowód tej czci pozostał w książce, na które złożyli się wszyscy najznakomitsi nasi pisarze. Nosi ona tytuł „Wieniec.“ Z dzieła tego przytoczymy jeden z wierszyków, napisanych przez Franciszka Szalezego Dmochowskiego, w którym autor tak maluje skromny, a pełen zacnych uczynków żywot naszego pedagoga:

Jest mąż daleki od piśmiennej wrzawy:
Sercem i duszą umiłował dziatki,
Nie pragnął zysku, wziętości i sławy,
Z ojezystej niwy zbierał dla nich kwiatki.

Nauczycielską pełniąc pracę świętą,
Był dla nich wzorem, przewodnią zachętą,
On się jak dziecię z dziatkami zespolił,
Z niemi się cieszył, z niemi się mozołił.

W sercach szlachetne rozbudzał uczucie,
Z nędzy wyrosłe wypleniał zepsucie,
Litosną dłonią kojąc lzy sieroce,
Biednym rozdawał swych trudów owoce.

Tak mu dzień po dniu, rok po roku płynął,
Zbawienne ziarenka przyrzucał do ziarenka;
Była to cicha, skromna gospodarka,
Lecz z niej się z laty bujny plon rozwinał.

A ileż razy, co było dla niego najmiłsze, owe dzieci dały dowody, że całym sercem kochają swego drogiego przyjaciela! Jedno z pism perjodycznych (Kurjer Warszawski) przechował nam opis hołdu, jaki publicznie złożyło grono dzieciak Jachowiczowi. Było to już w ostatnich latach jego pracy. Skołatany trudami, zapadł on bardzo na zdrowiu. Dla poratowania sił, udał się za poradą lekarzy do Ciechocinka i tam całe lato przebywał. Codziennie, po odbytej kuracji, siadał zwykle na ławeczce dla wypoczynku. Otóż w jeden z pięknych letnich poranków, liczna gromadka dzieci, znajdujących się z rodzicami na kuracji w Ciechocinku, otoczyła starszaka siedzącego na swojej ławeczce, wieńcem z kwiatów uwitym, i wobec tłumu gości kąpielowych odśpiewała chórem pieśń na cześć jego ułożoną, a jedna z dziewczynek wygłosiła prześliczny wierszyk.

Rozrzewniony starzec chciał wyrazić podziękowanie słowami, ale lzy zatamowały mu mowę. Rozpostarł więc tylko ręce ponad główkami dziatwy i wzniósłszy oczy w niebo, wyszeptał cichą modlitwę. Tak nieme błogosławieństwo zakończyło tę uroczystą chwilę, tak piękną dla wszystkich tam obecnych.

Niezałdugo już potem umarł Jachowicz (r. 1857); do dziś jednak istnieje zakład sierot przez niego utworzony, a zacni ludzie nie zapominają o nim; przeciwnie—pielegnują go, rozszerzają. Zbrakło założyciela i opiekuna, ale pozostał wzór, przykład—miłości i poświęcenia dla bliźnich.

Florjan Łagowski.

Klementyna z Tańskich Hofmanowa.

(1798—1845).

Klementyna z Tańskich Hofmanowa była to jedna z tych kobiet, których na szczęście nigdy nie brakło w naszym kraju, a które swe życie poświęcały rozumnej, pożytecznej działalności, zapominając o sobie i pracując niezmordowanie nad rozpowszechnieniem tego wszystkiego, co dobru ogólnemu służyć może.

Urodziła się w Warszawie w 1798 roku, wkrótce jednak rodzice jej wynieśli się na wieś. Ojciec był czas jakiś sekretarzem księcia Czartoryskiego, musiał być zatem człowiekiem wykształconym i zacnym, bo dwór puławski takich tylko w koło siebie gromadził. Ojciec umarł młodo, gdy Klementyna miała zaledwie lat siedm. Pamięć jego zalet, wspomnianych przez krewnych i znajomych, przyświecała córce w dalszym jej życiu i pobudzała do doskonalenia się.

O dzieciństwie jej mamy mało wiadomości: chowała się po części u panny Szymanowskiej w Izdebnie, a później u pani kasztelanowej Połonieckiej, matrony słynnej z wielkich cnót i rozumu.

Młodość jej przypadła na czasy bardzo różne od obecnych. Wychowanie kobiet zwłaszcza było zupełnie odmienne od tego, czym jest dzisiaj. Panienki uczyły się wówczas tak niewiele! Za rzecz najważniejszą uważano naukę języka francuskiego. Istniał bowiem ogólnie niedorzeczny zwyczaj wyłącznego używania tego języka, nawet w domu i najbliższym kółku rodzinnym, tak, iż wiele kobiet ówczesnych prawie nie znało własnego języka i nie umiało się nim wyrażać.

Reformę w tym względzie panna Tańska zaczęła od samej siebie; zrozumiała, jak niedokładną była jej

znajomość języka ojczystego, wzięła się więc do czytania dawnych wzorowych dzieł polskich: Skargi, Jana Kochanowskiego, Górnickiego, a z bliższych wczytywała się w Krasickiego, a szczególnie w Woronicza, który nie ustępował pięknnością języka autorom tak zwanego wieku złotego. Tym sposobem nie tylko nauczyła się dobrze pisać po polsku, ale wykształciła swój smak literacki i wyrobiła sobie sąd zdrowy, oparty na porównaniu tych autorów z modną literaturą francuską, która chociaż modna, nie mogła się równać z poważną literaturą naszą.

Zawód swój autorski rozpoczęła Klementyna mając zaledwie lat ośmnaście, a pełna zawsze skromności, zaczęła pisać pod imieniem „Młodej Polki.“

Pierwsza jej książka, był to zbiór rad dla dziewcząt, jakoby przez umierającą matkę zostawionych córce pod tytułem: „Pamiętka po dobrej matce.“ Książka pełna zacności, bogobojności i rozumu, podobała się powszechnie, tak, iż musiano przedrukowywać ją kilkakrotnie; odrazu też przyniosła swojej autorce sławę, a co więcej, dała szerokiemu ogółowi poznać jej poglądy.

Klementyna, ciesząc się, że pożyteczna ta książka rozpowszechniła się szybko, na następnych podpisywała się już „Autorka pamiętki po dobrej matce.“

Najmilszym zadaniem życia Klementyny było nauczanie. Zajmowała ją całe młode pokolenie kobiet, bo czuła, jak wiele zależy od dobrych matek i nauczycielek. Dla tego też, jako dalszy ciąg „Pamiętki po dobrej matce“ napisała: „Amelja matką.“ Amelja była to owa córka, do której matka zwracała swe nauki. W tej drugiej książce wskazywała autorka, jak Amelja z tych rad skorzystała i jak według nich wychowywała swe dzieci.

Młodsza siostra Klementyny Tańskiej poszła za mąż i miała córeczkę Helenkę, dla której rozumna i kochająca ciocia napisała najpierw „Wiązanie Helenki,“ przeznaczone dla dzieci bardzo małych, a następnie „Drugie wiązanie“ dla trochę starszych.

„Wiązanie Helenki“ stanowi prawdziwą epokę w ogólnym naszym wykształceniu, gdyż była to pierwsza polska książka nie naukowa dla małych dzieci, które do tego czasu, dla rozrywki, albo czytały po francusku, albo nie czytały wcale.

Po Helence napisano mnóstwo książek w tym rodzaju, niektóre autorki nawet pilnie naśladowały Tańską, można jednak śmiało powiedzieć, że żadna jej nie

dorównała, żadna nie była tak przystępną i zajmującą dla małych czytelników i równocześnie tak pożyteczną.

Zachęcona przyjęciem, jakie znajdowały jej dzieła, Klementyna Tańska zaczęła wydawać pismo periodyczne dla młodzieży: „Rozrywki dla dzieci,“ które miały wielkie powodzenie. Zajęcia jednak literackie nie odebrały autorki od życia czynnego. W r. 1825 ówczesna Komisja Oświecenia mianowała Klementynę Tańską nadzorczynią i wizytatorką szkół żeńskich w Warszawie, zajmowała się więc niemi gorliwie. Za jej wpływem wykształcenie kobiet postąpiło znacznie, zaczęto uczyć dziewczęta historii, własnego języka, własnej literatury, a co najważniejsze, nadano wychowaniu kierunek praktyczny.

W 1829 r. Klementyna Tańska poślubiła historyka Karola Hofmana, który umiał ocenić jej rozum i wielkie zalety. Pani Hofmanowa udała się z mężem za granicę i wraz z nim osiadła w Paryżu. Pisała teraz bardzo wiele zawsze w tym samym duchu, a pomiędzy innymi kilka powieści; „Karolinę,“ „Krystynę,“ „Jana Kochanowskiego w Czarnolesiu.“ W dwóch pierwszych skreśliła wzór, jaką ma być kobieta w małżeństwie, a jaką, jeżeli za mąż nie pójdzie. W Janie Kochanowskim, na tle wiejskiego życia poety, dała wdzięczny obraz wiejskiego dworu w XVI wieku, jego wyglądu, charakteru, zajęć, obyczajów i rozrywek.

Liczna dziatwa Kochanowskiego występuje w tej powieści; ze szczególnym zamiłowaniem autorka opisuje cudowne dziecię — Urszulkę i jej śmierć, która zostawiła w sercu ojca żal wieczny i wywołała jeden z najpiękniejszych jego utworów — „Treny.“

Napisała jeszcze Hofmanowa „Święte niewiasty“ i wiele dzieł wychowawczych i moralnych, oraz „Nowe rozrywki dla dzieci,“ bo do tego rodzaju literatury miała zawsze zamiłowanie. Śmierć przecięła zbyt wczesnie pasmo tego pracowitego i pożytecznego życia.

Umarła w Passy pod Paryżem w r. 1845, opłakiwana najwięcej przez tych, co mieli sposobność ją poznać i widzieć, jak zasady swoje stosowała w życiu. Zawsze skromna, dobra, czynna, gotowa była zapomnieć o sobie dla drugich, i nie myśląc nigdy o własnych zasługach, umiała ocenić je i uczyć u innych.

Pamięć jej pozostanie na zawsze wyrytą w historii naszego umysłowego rozwoju, a każda kobieta, odbierająca dzisiaj staranne i praktyczne wykształcenie, z wdzięcz-

nością myśleć powinna o Hofmanowej, która pierwsze kroki uczyniła w tym kierunku i tym sposobem utorowała drogę pokoleniom następnym.

W. M.

Klementyna z Tańskich Hofmanowa jako córka i siostra.

Jak już wspomnieliśmy, Klementyna do czternastego roku przebywała w Izdebnie, w domu pani Szymanowskiej, starościny wyszogrodzkiej. W pamiętnikach swoich tak o odwiedzinach rodziców wspomina: „Corok przyjeżdżali na parę miesięcy lata; wtedy w całej okolicy było święto (tak ich powszechnie szanowano). Pamiętam i ja te chwile, i zapewne z tego wrażenia wzrosło we mnie uwielbienie dla rodziców i otoczył się ich obraz w umyśle moim jakimś urokiem szczęścia...”

Tęskniła zawsze za matką, siostrami, domem. „O! dla mnie—pisze w pamiętniku—matka, jej starania i pieśczoły, zabawy z siostrami w rodzicielskim, a zatym w swoim domu, u siebie, były tym żywotem lubym, i dusza moja drżała do tych rodzinnych pamiątek, tęskniłam za ich powrotem...” „Gdzież, kiedy jaka opieka zastąpi dla dziecka matkę, a jeszcze taką, jak moja, otoczoną takim urokiem, jak ona była dla mnie... Z jej ust, jak łatwo się domyśleć, spływały dla mnie same błogosławieństwa, pochwały, czułości, bo widując mnie tak mało, czasu na co innego nie miała; wreszcie za każdym razem, gdy mnie widziała, zwłaszcza, gdy już była starszą i bardzo smutną, nie tała się z tym, że pragnie, jak zbawienia duszy mieć mnie przy sobie, odebrać na zawsze; że po stracie męża, dzieci są całym jej skarbem; że nie wątpi, iż nastąpi kiedyś chwila szczęśliwa, w której nas zbierze koło siebie...” To też pisze dalej: „ja marzyłam o niej, o moim z nią połączeniu, gubiłam się w myślach, jakim cudem się to stanie, układałam sobie różne okoliczności tego wydarzenia; słowem to połączenie... było szczytem szczęścia, upragnioną zmianą i ustaleniem mojego losu.”

„...Właśnie kiedy kończyłam rok czternasty, po różnych wypadkach, z których niejednen sprawdził marzone przezemnie przygody, dostałam się nareszcie zupeł-

nie na zawsze do matki, do sióstr, do rodziny, i zaręczyć mogę, że osiągnąwszy spełnienie tak długich, tak żywych pragnień, już nie życzyłam sobie niczego więcej, nie marzyłam o niczym...”

Spełniły się więc najgorętsze życzenia Klementyny: powróciła do domu, do ukochanej matki, do sióstr.

Matka jej mieszkała już wtedy w Warszawie, dokąd też sprowadziła się i siedemdziesięcioletnia babka Prowidencja Czempińska. Tak więc grono rodzinne, kochające się serdecznie, było dość liczne. Rodzina cała nie mogła się liczyć do bogatych, nawet może zamożnych, ale stosunki materialne tak się ułożyły, że na konieczne potrzeby nie brakowało, a zbytków nikt tu nie pragnął. Starczyło nawet na to, że można było ugościć w swoim domu przyjaciół, przywykłych do wykwintnego otoczenia. Okupywało się to wprawdzie niepospolitą oszczędnością, bo jak w dzienniczku notuje: „kawa, cukier, wino z naszego domu wygnane zostało...” po mieszkaniu jednak, urządzenie domu zastoso-owane było do przyjmowania osób przywykłych do zamożności.

Oprócz wielu przymiotów, jakie Klementyna opisuje, mówiąc o swej matce, podziwia jeszcze w niej talent liczenia się z dochodami: „Ów talent i wykonanie jego, przypisuję jedynie temu, że często rachowała pieniądze swoje i nigdy grosza nad przychód nie wydała.”

Chociaż nasza przyszła autorka spędziła lata dziecięce w domu daleko zamożniejszym, a przez to przywykła do wygód niemałych, czuła się jednak bardzo szczęśliwą między swoimi. „Teraz dopiero - pisze,—zaczęłam poznawać zwyczajną rzeczywistość, a co większa znajdować w niej upodobanie. Co przedtym zdawało mi się stratą czasu, jak roboty ręczne, domowe zachody, to wnet w miłą powinność się zamieniło.”

W pamiętniku zapisuje też, że uczyła się, czytała w domu bardzo wiele. Szczególniej kształciła się teraz w języku polskim, bo, chociaż dawniejsze jej opiekunki bardzo dbały o jej wykształcenie w wielu naukach, to jednak język ojczysty zaniedbywały.

Nie poprzestała jednak Klementyna na pracy około wykształcenia samej siebie, miała ona siostrzyczkę o sześć lat młodszą i jej nauką się zajęła. Uczyła ją religii i historii, druga zaś starsza siostra wzięła na siebie inne przedmioty. Trudno to było z początku, bo i uczennica nie bardzo słuchać chciała młodzietkiej nauczycielki i młoda mistrzyni nie umiała być dość wyro-

zumiała dla uczennicy. Ale trudności się pokonało wytrwałością, a wzrastające doświadczenie i dobra wola nasunęły sposoby kierowania umysłem uczennicy. Na pracy więc nad nauką, przeplatanej robotami ręcznymi, zajęciami gospodarskimi, zabawą wśród rodziny i towarzyszek, upływały lata szczęśliwie, chmurne tylko chwilami, gdy ktoś z rodziny zapadł na zdrowiu.

Ze miłą, wykształcona panna Tańska zostanie autorką słynną, nikt zapewne dotąd nie myślał. A ona sama? Ona—pragnęłaby pisać, ale nie przypuszczała nawet, że ludzie będą to czytać, boć przecież i niemało umieć trzeba i trzeba mieć talent. Nie śmiała nawet marzyć o tak niedościgłych dla siebie, jak sądziła, przymiotach. Pragnienie to nasuwała, podniecała niezawodnie pamięć na prace literackie ojca, o których przyjaciiele domu pani Tańskiej z uznaniem mówili. A i sama pani Tańska, widząc zamięłowanie córki do książek, widząc, jak chętnie zabawia się pisaniem „dzienniczka“, w którym i myśli coraz rozumniejsze i styl coraz piękniejszy się zjawia zachęcała ją, aby kształcić się nie przestawała, podsuwając zwolna myśl, że kiedyś może będzie mogła pójść śladami ojca. Przeczytawszy raz jej utwór, który wydawał jej się bardzo udatny, ośmieliła córkę, aby go posłała do czasopisma „Pamiętnik Warszawski“, ale z podpisem przybranym, t. j. pseudonimem.

Długo „Pamiętnik“ nie drukował owego utworu, i Klementyna sądziła, że go odrzucono. Tymczasem w noworocznym numerze z r. 1818, pojawia się jej artykuł. „Radość wielka! (zapisuje w dzienniczku) Prawdziwie trudnoby mi wyrazić, jak mi razem dziwno było i miło, gdym ujrzała pismo moje drukowane.“

Od tego czasu śmieiej już brała za pióro, czytała jeszcze gorliwiej.

Pierwszy ten tryumf na polu literackim budzi w niej nadzieję. Wkrótce postanowiła napisać książeczkę, w którejby mieściły się rady matki, jak postępować powinna córka, aby się stała miłą Bogu i ludziom. Pisząc tę książeczkę, marzyła o jej powodzeniu i pisała w swoim dzienniczku: „Jakżebym była szczęśliwą, gdyby te nadzieje spełnionemi zostały; ileżbym mogła sprawić przyjemności matce, siostrze, sobie; zanadto wielkim na tę ziemię to szczęście mi się wydaje. Przez pracę własnych rąk przestać być ciężarem dla matki, móc przysłużyć się drugim! wspomóc biednych! Boję się, czy nie zanadto od losu wymagam; jedna ta myśl, że Bóg dobry

niczego nie szczędzi, kiedy idzie o niewinne zadowolenie żądań ludzkich, ufność w Jego dobroć, rzeczywistość jakąś tym nadziejom nadaje.“

Niepokoји się atoli, czy przez oddawanie się ulubionym książkom i pisaniu nie zaniedbuje innych obowiązków. Uspakaja się jednak po obliczeniu się z sumieniem i powiada: „Wyrzutów sumienia nie mam żadnych, bo dla pisania innych nie zaniedbuje zatrudnień; pomimo tego, że niby jestem autorką, najczęściej nasze pokoje moją uprzątniętą ręką; wszystko, co mam na sobie, moją ręką uszyte, Wicunię uczę tak jak i dawniej...“

Spełniły się nadzieje dwudziestoletniej autorki. W 1819 r. wyszła jej książeczka, zatytułowana: „Pamiętka po dobrej matce przez młodą Polkę.“ I tu nazwiska swego jeszcze podpisać nie śmiała. Dziełko to nadzwyczaj spodobało się czytelnikom; zewsząd pojawiły się wielkie pochwały: drukowano te pochwały w gazetach, przysyłało „młodej Polce“ listy z podziękowaniami i powinszowaniami powodzenia, znajomi przychodzili osobiście winnować; nieznajomi pragnęli poznać.

A jakże przyjmowała te uwielbienia młoda autorka? Oto—co pisze: „...dziwić mi się tylko wypada, a dziwując się, składać dzięki Opatrzności tego Boga, tak błogosławiącego moim zamiarom. Bezwątpienia Jemu jedynie winnam to całe powodzenie: On mi obrał ten zawód, On mię w nim prowadził, On opiekuje się mną od dzieciństwa; dał mi takich, którzy zaszczytali w duszy mojej zasady wiary i cnoty; wybrał mi matkę, która więcej przykładem, niż słowy, dokonała rozpoczętego przez nich dzieła, uczynił mię zdolną do skreślenia na papierze tego, co czuje serce... Bogu winnam wszystko, talent mój bez Jego opieki byłby niczym, Jemu składam dzięki! I często pytam się sama siebie, czym zasłużyłam na tę troskliwą opiekę? Lecz nie moje, ale rodzicielskie zasługi Bóg we mnie nagradza...“

Florjan Lagowski.

Z młodych lat Fryderyka Chopina *).

Chopin, największy muzyk polski, był za młodu dzieckiem niezmiernie wrażliwym, i tkliwym,

*) Czyt. Szopen.

a przytym obdarzony był niesłychaną żywością charakteru i zadziwiającą bystrością umysłu. Dziecko to, gdy patrzyło na ludzi swemi ciemnymi i pełnymi wyrazu oczkami, zdawało się śledzić najmniejszy odcień ich charakteru; dlatego też okazywało później talent naśladowania i udawania innych, posunięty do wysokiego stopnia doskonałości. Nauki szły Fryderykowi z niezmierną łatwością, muzyka zaś najsilniejsze zawsze na nim czyniła wrażenie. Zwróciło to uwagę rodziców i, chociaż dalecy byli od myśli obrania synowi zawodu artystycznego, postarali się o dobrego dla niego nauczyciela muzyki, nie odrywając go wcale od innych nauk, które pobierał w liceum warszawskim.

W nauce gry na fortepianie młodziutki Fryderyk tak nadzwyczajnie postępował, że w salonach ówczesnych warszawskich często o tym ze zdumieniem wspomniano. Kiedy w r. 1818, Towarzystwo Dobroczynności postanowiło urządzić koncert na dochód ubogich, Niemcewicz i inne znakomite osoby wezwały piśmiennie poczynającego dziewiąty rok życia wirtuoza, ażeby w nim przyjął udział. Nie można było odmówić. Więc pierwszy krok zawodu swego artystycznego, który później taką chwałą miał jaśnieć, rozpoczął Chopin od dobrego uczynku; pierwiastki swego talentu poniósł w ofierze cierpiącym, błogosławieństwo zaś biednych współbraci opromieniło je aureolą, której do samego końca artystycznego zawodu nie zatrzeć, nie zmniejszyć nie mogło. Na parę godzin przed owym koncertem, postawiono Frycka—tak go bowiem powszechnie w domu nazywano—na krzesło i poczęto ubierać do godnego przed liczną publicznością wystąpienia. Frycek szczególnie zadowolony był z pięknego kołnierzyka, który mu na ciemny spencerek włożono. Kiedy po skończonym koncercie, matka, która na nim być nie mogła, wzięwszy synka w objęcia i okrywając pocałunkami, wypytywała, co też się najwięcej publiczności podobało, bez wahania odpowiedział, iż jego kołnierzyk. „Wie mama?—wszyscy tylko na mój kołnierzyk patrzyli.“

Umysłowe zdolności kształcącego się wszechstronnie Fryderyka były tak wielkie, iż zdumiewały otaczających go i upoważniały do najświetniejszych nadziei o jego życiu przyszłym. Niezmierna żywość charakteru pobudzała go do ciągłej czynności, zaostbrała dowcip, który w rozmaity sposób co chwila się objawiał. Wyrysować karykaturę, ułożyć wierszyk, udawać kogoś ze

znajomych, urządzić jaką zabawę, np. teatr, rozdać i odegrać rolę, w potrzebie ułożyć sztukę dramatyczną—było to dla Fryderyka dziełem jednej chwili; a zawsze przebiegał się w nim dar spostrzegawczy i humor niepospolity. Zdarzało się, że grając dramat albo komedię, kiedy sufler dla jakich powodów nie odpowiedział mu słów, należących do roli, wówczas Fryderyk, niezmiernie wcale improwizował, a improwizował tak śmiało, stosownie do rzeczy i doskonale, że widzowie ani się nawet tego domyślić nie mogli. To też dar muzykalnej improwizacji przyczynił się później do jego rozgłosu i chwały. Owładnąwszy wcześniej, pod umiejętnym kierunkiem Elsnera, techniką muzyczną, stawszy się jej zupełnym panem, mógł Chopin na podany sobie temat improwizować bez końca, a zawsze pięknie, logicznie i z głębokim wyrazem.

Ojciec jego, jako profesor języka francuskiego w wyższych zakładach naukowych, miewał u siebie na pensji kilku zwykle młodzieńców, kształcących się w jego domu i pod jego troskliwym okiem. Otóż razu pewnego, zdawszy opiekę nad chłopcami guwernerowi, sam zmuszony był wieczorem wyjść za jakimś interesem. Chłopcy zaczęli niezmiernie dokazywać; a był pomiędzy nimi jeden szczególnie psotny i do wszystkich figlów niezmiernie skory. Guwerner, wyczerpawszy wszystkie środki grózb i upomnień, nie wiedział już, co począć, ażeby ich zmusić do spokojności i wzięcia się do nauki; udaje się wreszcie do Fryderyka, błagając, aby mu w tym dopomógł. Fryderyk zaprasza chłopców do sali i powiada, że będzie im ciekawą historję improwizował na fortepianie. Na te słowa zaprzestają figlów, bo piękna gra przyszłego wielkiego artysty miała już wtedy dla nich powab nadzwyczajny i dla niej z ochotą porzucali najzabawniejsze pustoty. Fryderyk siada do instrumentu, chłopcy przysuwają się do niego z krzesłami, on gasi świece, gdyż zwykle improwizował po ciemku, i rozpowiada im najpierw historję o złodziejach i złoczyńcach, jak wkradłszy się po drabinie przez okno do domu, zabierają co mogą, potem spłoszeni uciekają, kryją się w lesie, dzielą łupami i wśród pogodnej i cichej nocy zaspiają. Każdy z tych epizodów wyraża jednocześnie muzyką. Chłopcy słuchają w głębokim milczeniu, zachwycają się prawdą, tonami muzyki objawioną; a kiedy Fryderyk począł malować im nocną ciszę lasu i sen ogarniający złoczyńców, pomału oczy słuchaczy przymykać

się zaczęły; dźwięki dobrze pochwyconej w charakterze muzyki działały jak opjum, jak kołyska na dzieci; im dłużej trwała improwizacja, tym głębszy sen ogarniał wszystkich, nawet sam guwerner nie mógł się oprzeć i zasnął wraz z innemi. Obaczywszy to, Fryderyk przestaje grać, wychodzi na palcach z pokoju, biegnie do matki i siostry i prosi ich, ażeby ze świecami w rękę, lecz cicho i ostrożnie udały się za nim, a pokaże im coś ciekawego. Widok śpiących na krzesłach w rozmaitych pozach chłopców wraz z guwernerem bardzo był pocieszny. Wtedy Fryderyk zbliża się na palcach do fortepjanu i uderza z całej siły przeraźliwy akord. Aż tu każdy ze śpiących zrywa się nagle przestraszony, nie wiedząc, co się dzieje—i dopiero śmiech ogólny!...

Ale, jeżeli skutkiem niezwykle potężnej twórczości ducha, gdy był do tego stosownie usposobionym, improwizacje niewiele go kosztowały, zato nad utworami muzycznymi, które przeznaczał do druku, sumiennie i troskliwie pracował. Czasami myśl jakaś tak dalece nim owładnęła, że stawał się milczącym, posępnym, siadał w kątku, unikając ludzi i rozmów. W nocy, kiedy się wszystkim zdawało, że śpi, on tymczasem zrywał się z pościeli, biegł do instrumentu, uderzał kilka akordów, rozwiązując sobie tym sposobem jakąś zawiłą kwestję harmonijną, potem kładł się do łóżka, ażeby się znów zerwać do fortepjanu, i tak nieraz trwało aż do świtu. Słudzy, słysząc, jak panicz po nocach wstaje, jak uderza w klawisze ni to ni owo i potem kładzie się i znów wstaje, ubolewali nad nim, w prostocie ducha przekonani, że jest umysłowo chory.

W częstych wycieczkach po za miasto, zwykle w towarzystwie ojca dokonywanych, jeżeli kiedy Fryderyk posłyszał wiejskie skrzypki, rozlegające się z chaty lub karczmy, stojącej przy drodze, stawał, przysłuchiwał się uważnie, tonął duszą w sielskiej melodji, napawał się nią i nie było sposobu odciągnięcia go stamtąd; póty w głębokiej zadumie stał i słuchał, aż skrzypki ucichły, aż nabrał przekonania, że już się więcej nie odezwą. Stądto pochodzi ten duch narodowy, jaki cechuje wszystkie prawie utwory jego, począwszy od najskromniejszej piosneczki, aż do koncertów, pisanych z towarzyszeniem orkiestry.

Wsluchując się w muzykę ludową u samego jej źródła, przejął się nią do tego stopnia i tyle z niej zaczerpnął, iż wystarczyło mu to na całe późniejsze życie.

Nawet kiedy osiadł w Paryżu, zdala od swoich, duchowi temu pozostał wiernym. Rodzinną bowiem ziemię swoją ukochał miłością tak silną i tak wytrwałą, że ani świetne powodzenie, ani długoletnie pośród obcych przebywanie w niczym nie mogło jej zmniejszyć ani zatrzeć. I nikt też lepiej od niego nie wyraził tego uczucia w utworach muzycznych: jego polonezy, mazurki, ballady, koncerty nawet, wszystko to nacechowane jest piętnem najdelikatniejszych odcieni rodzinnych, z niesłychanym wdziękiem oddanych.

Marja, Julja z Perłowskich Zaleska.

Urodziła się w r. 1831 we wsi Medwedówce pod Czehrynem; następnie rodzice jej przenieśli się do gubernji podolskiej. Językiem najczęściej używanym w domu państwa Perłowskich, rodziców Julji, był język francuski, znała go też w dzieciństwie lepiej, niż ojczysty. Z dziełami Mickiewicza spotkała się dopiero w ośmnastym roku życia, a te tak silny wpływ na nią wywarły, że zaczęła ukradkiem pisywać polskie wierszyki. Języka niemieckiego nauczyła się od nauczyciela muzyki, Niemca, a angielski sama sobie przyswoiła. Na żadnej pensji nie była, a wysokie ukształcenie, jakie posiadała, samej sobie tylko była winna, swemu gorącemu pragnieniu wiedzy.

Ojciec jej zarządzał dobrami p. Róży Sobańskiej: znajdowała się tam biblioteka obficie zaopatrzona w dzieła francuskie i niemieckie dla młodzieży, z których młoda dziewczynka czerpała dowoli, i tak zasmakowała w nauce, że potym już szukała jej wszędzie, gdzie tylko znaleźć ją mogła. Szczególniej miłowała nauki ścisłe, znała biegle matematykę, algebrę nauczyła się z książek ojcowskich, a księga przyrody była dla niej skarbnicą, dającą pomysły do najpiękniejszych prac. Minerale, zwierzęta, rośliny, gwiazdy nawet, nie miały dla niej tajemnic. Rozumiała ich życie, naturę, obyczaje—i jak wróżka dobroczynna wprowadzała młodzież w ten świat tajemniczy, tłumacząc jej najtrudniejsze do pojęcia prawa przyrody w sposób dziwnie przystępny, jasny i pociągający. Ziarna mądrości sypała w postaci

kwiatów, których barwa i woń tak były ponętne, że nauka wsiąkała w młodociane umysły, nie nużąc ich wcale, jak szlachetna rozrywka, jak zabawka prawie. Gruntowną znajomością astronomji zadziwiła astronomów, którzy czytając jej «Pogadanki naukowe», wierzyć nie chcieli, że wyszły z pod pióra kobiety; głębokością zaś poglądów w kwestjach społecznych i filozoficznych dawała do myślenia filozofom, którzy zdania jej, ukryte pod męskim pseudonimem, stawiali obok zdań najznakomitszych myślicieli.

Do tej uczoności dzielna ta kobieta doszła tylko własną pracą, samouctwem, bo dom nie dał jej w tym żadnej pomocy. Ojciec zajęty był gospodarstwem rolnym, a matka domowym; sama zatem zdobywać sobie musiała wszystko i osiągnęła nareszcie to, czego pragnęła. Jakiż to piękny przykład do naśladowania!

W r. 1855 Julja wyszła za mąż za p. Seweryna Zaleskiego, doktora medycyny i zamieszkała najpierw w Niemirowie, a potem w Kamieńcu Podolskim. Bóg ją obdarzył trzema synami, z których najstarszy umarł w dziesiątym roku życia, ciężką i nigdy niewygasłą boleścią napełniwszy serce matki. Dwaj młodsi wychowali się szczęśliwie i przez nią samą długo kształceni byli. Dla nich to rozpoczęła pisać swoje książki naukowe, z których potem korzystały wszystkie dzieci polskie.

Pierwszą jej pracą były «Wieczory czwartkowe» zawierające popularny wykład fizyki. Książka ta miała świetne powodzenie i doczekała się kilku wydań. Pisząc ją Marja Zaleska uczyła właśnie brak gruntownej znajomości języka polskiego: zabrała się więc do usilnej nad nim pracy, i przy pomocy gramatyki Małeckiego doszła do takiej biegłości, że potem jako autorka celowała łatwością wyrażania myśli, potocznością stylu, pięknnością języka, obok nadzwyczajnej jasności i prostoty. Za «Wieczorami» poszło wiele innych prac, zaw sze mających na celu popularyzowanie nauki.

W r. 1867, w r. 1879 obliteracki «Wieczorów Rodzinnych». Praco-
kobiety była prawdziwie zdumiewająca: oprócz
i tłumaczonych, oprócz artykułów do
ów, znajdowała jeszcze czas na liczne
tylko z dorosłymi ale i z dziećmi; na
udzielanie rad młodym autorkom,
mawiała zachęty i pomocy—wresz-

cie na dobroczynność. Ubodzy i cierpiący znali ją i kochali.

Zdrowia delikatnego, od lat wielu już była mocno cierpiącą na płuca, a później na artretyzm. Ostatnie to cierpienie, pociągające za sobą nabrzmienie stawów u rąk, pozbawiło ją jednej z największych przyjemności, bo możliwości zajmowania się muzyką, w której miała wielkie zamiłowanie, i którą doprowadziła do stopnia wysokiego artyzmu. Pomimo strasznych cierpień, pracowała do ostatniej chwili życia, bo dopiero na trzy dni przed śmiercią położyła się do łóżka. Od czterech lat nie wychodziła z domu, a od trzech prawie nie wstawała z fotelu, do którego przykuwała ją niemoc. Łzy cisnęły się do oczu na widok tej szlachetnej postaci, nadludzkim wysiłkiem woli pokonywającej cierpienie, na widok ręki nabrzmiałej z bólu, trzymającej jednak pióro wytrwale, choć każdy ruch tej ręki był bolesny! Nie mogąc utrzymać jej na wyższym poziomie, pisała na kolanie, na podkładzie z płóciennej teczki, a pismo było piękne i wyraźne, bo miała słabość do kaligrafji. Swoim przykładem uczyła ona wytrwałości w pracy i męstwa w cierpieniu. Było to bohaterstwo ciche, ale tak wielkie, że wszystkie rozgłosne przy nim bladły—ona zaś sama, tym, co się nad nią zdumiewali, mawiała z prostotą, że to właśnie sił jej dodaje i pozwala zapominać o cierpieniach.

Kto ją choć raz widział, ten zapewne nie zapomni jej nigdy, ani pomyśli o niej bez wzruszenia. Kochała serdecznie młodzież, która też dawała jej dowody przywiązania: odbierała ze wszech stron kraju, od dzieci, setki liścików, fotografji, kwiatków zasuszonych i świeżych, a te objawy wdzięczności i pamięci wzruszały ją do głębi. Łagodne jej, rozumne szare oczy, napełniały się łzami rozrzewnienia, a usta tchnące wyrazem niewypowiedzianej dobroci, ożywiały się uśmiechem. Kochała was bardzo, młodzi czytelnicy i pragnęła waszego dobra, a to pragnienie i ta miłość podtrzymywały gasnące życie.

Kto krok za krokiem śledził jej pożyteczną działalność, widział, że nie tylko pragnęła przelać w was własną wiedzę, ale i uczucia obywatelskie zaszczerpić. Obywatelką była w całym znaczeniu tego wyrazu, i pragnęła, aby młodzież, której przewodniczyła, na pożytecznych obywateli wyrosła. Wielkie serce przestało bić, ale jeżeli wy, coście czytali utwory Marji Julji Zaleskiej, zro-

kwiatów, których barwa i woń tak były ponętne, że nauka wsiąkała w młodociane umysły, nie nużąc ich wcale, jak szlachetna rozrywka, jak zabawka prawie. Gruntowną znajomością astronomji zadziwiała astronomów, którzy czytając jej «Pogadanki naukowe», wierzyć nie chcieli, że wyszły z pod pióra kobiety; głębokością zaś poglądów w kwestjach społecznych i filozoficznych dawała do myślenia filozofom, którzy zdania jej, ukryte pod męskim pseudonimem, stawiali obok zdań najznakomitszych myślicieli.

Do tej uczoności dzielna ta kobieta doszła tylko własną pracą, samouctwem, bo dom nie dał jej w tym żadnej pomocy. Ojciec zajęty był gospodarstwem rolnym, a matka domowym; sama zatem zdobywać sobie musiała wszystko i osiągnęła nareszcie to, czego pragnęła. Jakież to piękny przykład do naśladowania!

W r. 1855 Julja wyszła za mąż za p. Seweryna Zaleskiego, doktora medycyny i zamieszkała najpierw w Niemirowie, a potem w Kamieńcu Podolskim. Bóg ją obdarzył trzema synami, z których najstarszy umarł w dziesiątym roku życia, ciężką i nigdy niewygasłą boleścią napelnivszy serce matki. Dwaj młodsi wychowali się szczęśliwie i przez nią samą długo kształceni byli. Dla nich to rozpoczęła pisać swoje książki naukowe, z których potem korzystały wszystkie dzieci polskie.

Pierwszą jej pracą były «Wieczory czwartkowe» zawierające popularny wykład fizyki. Książka ta miała świetne powodzenie i doczekała się kilku wydań. Pisząc ją Marja Zaleska uczuła właśnie brak gruntownej znajomości języka polskiego: zabrała się więc do usilnej nad nim pracy, i przy pomocy gramatyki Małeckiego doszła do takiej biegłości, że potem jako autorka celowała łatwością wyrażania myśli, potocznością stylu, pięknnością języka, obok nadzwyczajnej jasności i prostoty. Za «Wiezorami» poszło wiele innych prac, zawsze mających na celu popularyzowanie nauki.

Osiadłszy w Warszawie w r. 1867, w r. 1879 objęła kierunek literacki «Wieczorów Rodzinnych». Pracowitość tej kobiety była prawdziwie zdumiewająca: oprócz prac oryginalnych i tłómaczonych, oprócz artykułów do różnych dzienników, znajdowała jeszcze czas na liczne korespondencje, nie tylko z dorosłymi ale i z dziećmi; na przeglądanie prac i udzielanie rad młodym autorkom, którym nigdy nie odmawiała zachęty i pomocy—wresz-

cie na dobroczynność. Ubodzy i cierpiący znali ją i kochali.

Zdrowia delikatnego, od lat wielu już była mocno cierpiącą na płuca, a później na artretyzm. Ostatnie to cierpienie, pociągające za sobą nabrzmienie stawów u rąk, pozbawiło ją jednej z największych przyjemności, bo możliwości zajmowania się muzyką, w której miała wielkie zamiłowanie, i którą doprowadziła do stopnia wysokiego artyzmu. Pomimo strasznych cierpień, pracowała do ostatniej chwili życia, bo dopiero na trzy dni przed śmiercią położyła się do łóżka. Od czterech lat nie wychodziła z domu, a od trzech prawie nie wstawała z fotelu, do którego przykuwała ją niemoc. Łzy cisnęły się do oczu na widok tej szlachetnej postaci, nadludzkim wysiłkiem woli pokonywającej cierpienie, na widok ręki nabrzmiałej z bólu, trzymającej jednak pióro wytrwale, choć każdy ruch tej ręki był bolesny! Nie mogąc utrzymać jej na wyższym poziomie, pisała na kolanie, na podkładzie z płóciennej teczki, a pismo było piękne i wyraźne, bo miała słabość do kaligrafji. Swoim przykładem uczyła ona wytrwałości w pracy i męstwa w cierpieniu. Było to bohaterstwo ciche, ale tak wielkie, że wszystkie rozgłośnie przy nim bladły—ona zaś sama, tym, co się nad nią zdumiewali, mawiała z prostotą, że to właśnie sił jej dodaje i pozwala zapominać o cierpieniach.

Kto ją choć raz widział, ten zapewne nie zapomni jej nigdy, ani pomyśli o niej bez wzruszenia. Kochała serdecznie młodzież, która też dawała jej dowody przywiązania: odbierała ze wszech stron kraju, od dzieci, setki liścików, fotografji, kwiatków zasuszonych i świeżych, a te objawy wdzięczności i pamięci wzruszały ją do głębi. Łagodne jej, rozumne szare oczy, napelniały się łzami rozrzewnienia, a usta tętnące wyrazem niewypowiedzianej dobroci, ożywiały się uśmiechem. Kochała was bardzo, młodzi czytelnicy i pragnęła waszego dobra, a to pragnienie i ta miłość podtrzymywały gasnące życie.

Kto krok za krokiem śledził jej pożyteczną działalność, widział, że nie tylko pragnęła przelać w was własną wiedzę, ale i uczucia obywatelskie zaszcześcić. Obywatelką była w całym znaczeniu tego wyrazu, i pragnęła, aby młodzież, której przewodniczyła, na pożytecznych obywateli wyrosła. Wielkie serce przestało bić, ale jeżeli wy, coście czytali utwory Marji Julji Zaleskiej, zro-

zumieiliście jego uderzenia, to ta, która was opuściła, żyć będzie zawsze w waszych sercach, przez pracę wytrwałą, przez myśli szlachetne, przez męstwo i siłę woli, przez cierpliwość, dobroć, miłosierdzie i miłość bliźniego, przez czyny obywatelskie, przez wszystko, do czego natchnęły was jej dzieła i jej przykład. Kwiaty, tak przez nią ulubione, pokrywały całkowicie jej trumnę, wiezioną ku Powązkom.

Wiosna, za którą tęskniła i która miała jej przynieść trochę zdrowia, owiała ciepłym tchnieniem jej grób! Nad grobem tym unosi się błogosławieństwo matek, wychowawców i nauczycieli. W piękny, słoneczny dzień, pożegnała wszystko, co kochała na ziemi.

Zofja Urbanowska.

Z życia Benjamina Franklina.

Było to w roku 1721. W małej drukarni, w mieście Bostonie, kilku tamtejszych literatów odczytywało właśnie artykuły nadesłane do dziennika, którego wydawcą był właściciel owej drukarni. Nieopodal od nich stał szesnastoletni drukarczyk, pochylony nad swoim pulpitem i zajęty składaniem czcionek, oczekując z niepokojem chwili, w której z kolei odczytać miano i osądzić artykuł dobrze mu znany. I on bowiem nie mógł się oprzeć pokusie, napisał także artykuł do dziennika swego pryncypała i wrzucił go do skrzynki redakcyjnej. Ale nie chcąc się narazić na śmiech i drwiny, artykułu nie podpisał, a nawet pismo swoje do niepoznania odmienił.

Właśnie w tej chwili — bo już tytuł przeczytano — następuje z kolei ów artykuł. Według zwyczaju, jeden z redaktorów czyta, a inni słuchają. Drukarczykowi serce mocniej uderza. Żaden z redaktorów nawet nie przeczuwa, co się dzieje w młodzieńcu, nad czcionkami pochylonym. Skończono czytanie — nastąpiła mała przerwa, a twarz drukarczyka pokryła się trupią bladością. Był on bowiem nie raz już świadkiem, jak artykuły, nadesłane redakcji, po przeczytaniu «tonęły w zapomnie-

nia fali», czyli ginęły w wielkiej skrzyni, na ten cel w drukarni umieszczonej. Zdawało mu się nawet, jakoby słyszał szelest, który zwykle powstawał, gdy nieudalony twór literacki pomnożyć miał zasób owej złowrogiej skrzyni. Ale nagle krew uderzyła mu do głowy i rumieńcem oblała czoło i policzki. Czy tylko dobrze słyszy? Czy go słuch własny nie myli? Oto jeden z redaktorów chwali artykuł i to nawet z niezwykłą żywością. Drugi zgadza się z nim w zdaniu, a trzeci zdania obu dwu potwierdza.

Ktoby to mógł być autorem tej niepospolitej pracy? — każdy zadaje pytanie. Na różne wpadając domysły, redaktorowie wymieniają nazwiska osób, znanych w mieście ze zdolności i nauki.

Gdyby drukarczyk zwrócił się był twarzą ku mówiącym, a redaktorowie z uwagą przypatrzyli by się tej twarzy młodzieńczej, radością rozpromienionej, natenczas, zdziwiwszy się zapewne niemało, byłiby niezawodnie wpadli na trop autora. Ale uszczęśliwiony autor wcale nie myślał się z tym wydawać, tylko jeszcze skwapliwiej chwycił i układał czcionki; a robota szła mu tak szybko, jak gdyby ukryta jakaś sprężyna ruch jego ręką nadawała.

Któżto był tym uczniem drukarskim, co go właśnie tak błoga ożywiała radość?

To Benjamin Franklin, ten sam, który później zasłynął głośno jako obywatel i uczony. Franklin znany jako wynalazca gromochronów czyli konduktorów piorunowych i czczony powszechnie na obu półkulach obrońca wolności; ten sam, o którym powiedziano, iż

«Wydarł grom niebu, a berło tyranom».

Franklin ujrzał świat w Bostonie w roku 1706. Ojciec jego był biednym mydlarzem i miał liczną rodzinę, nie stać go więc było na to, aby dać synowi staranne wychowanie. Ponieważ Benjamin okazywał wielkie zamiłowanie do książek, oddał go ojciec na naukę do drukarza. Tutaj znalazł sposobność do zaspokojenia swej ciekawości; czytał też, co mu tylko do rąk wpadło; nieraz jadł tylko suchy chleb, a za oszczędzone pieniądze kupował sobie książki. Niestrudzoną usilnością zdobył też sobie wkrótce znaczne wiadomości, został pisarzem, a prace jego literackie życzliwego doznały przy-

jęcia. W 21-szym roku życia przeniósł się do Filadelfji, gdzie założył własną drukarnię. Dewizą jego tu było: «Tylko enotliwy człowiek może być prawdziwie szczęśliwym». Więc też pilnością, prawością i oszczędnością, zjednał sobie w krótkim czasie powszechne zaufanie, dorobił się znacznego majątku i poważania u współziomków. Wiadomości swoje i doświadczenia składał w pismach, które były rozchwytywane i rozchodziły się szeroko, a majątku swego używał na cele, powszechnemu użytkowi służące: założył wielką bibliotekę i szpital dla rzemieślników; a tak dbając o dobro ciała i duszy swoich współobywateli, został ich prawdziwym dobroczyńcą.

Jako wynalazca gromochronu zasłynął w całym świecie. To też, kiedy w roku 1776 przybył do Paryża w poselstwie od swojej ojczyzny, całe miasto się poruszyło, każdy bowiem chciał zobaczyć sławnego obywatela nowego świata. Do sędziwej starości Franklin pozostał niezmordowanie czynnym około dobra swojej ojczyzny. Ostatnią jego czynnością publiczną było podpisanie petycji o zniesienie handlu niewolnikami w Ameryce. Umarł w roku 1790, syt wieku i sławy; a choć już wiek upłynął od jego śmierci, pamięć jego żyje u potomnych pokoleń całego świata, a czyny jego służą za wzór, czego to człowiek przy pracy i prawości dokonać może, choć w trudnych warunkach krwawo dobijać się musi na świecie mienia i znaczenia.

wedł. *Zygmunta Sawczyńskiego.*

Żądza wiedzy.

Nieraz zdarzało się, iż wielcy i głośni w świecie mężowie nie mieli za młodu sposobności nabycia potrzebnych nauk szkolnych, że nie uczęszczali do szkół wyższych, ani nie korzystali z bibliotek i muzeów; co więcej, każdy prawie krok rozwoju swojego umysłu okupywali największemi ofiarami — a przecież wielkie okolo ludzkości położyli zasługi i głośną okryli się sławą. Pochodzi to stąd, iż wszystko to, czego im los odmówił, zdobyli własną gorliwą i wytrwałą pracą. Takim był

między innymi Piotr Anich, który żył w połowie przeszłego stulecia.

Był on synem ubogiego górala w Alpach tyrolskich. Wzrósł pomiędzy krowami i owcami. Jak tylko dorósł, posłano go do szkółki wiejskiej, gdzie nauczył się prędkiej i łatwiej czterech działań rachunkowych, niż czytania i pisania. Dlatego nauczyciel radził mu zostać kupcem, przepowiadając mu wielki majątek.

Ukończywszy nauki w szkole, Anich wrócił do trzody w górach, uprawiał rolę, a w zimie pod kierunkiem ojca zajmował się misternemi wyrobami z drzewa, w czym nadzwyczaj celował. Był zawsze poważny i nieśmiały, zastanawiał się uważnie nad wszystkim i wiele myślał; najchętniej jednak przypatrywał się obszarowi nieba i krążącym po nim gwiazdom.

Po śmierci ojca nie mógł już powstrzymać gorącej chęci nauki. Umiał zaledwie czytać, pisać i rachować, a miał już lat 28! Pędzony naprzód nieprzepartą żądzą wiedzy, pewnego dnia wziął laskę, kapelusz — i powędrował do Insbrucku. Tam udał się prosto do profesora matematyki w uniwersytecie i zapytał go:

— Panie, czy to ty zajmujesz się uważaniem gwiazd i nieba?

— Tak jest — rzekł profesor — ale dlaczego o to pytasz?

— Bo i ja także chciałbym poznać bieg gwiazd. Kiedym pasał bydło, z przyjemnością się im przypatrywałem.

Uczony profesor nie wierzył uszom swoim, słysząc te słowa z ust wieśniaka, którego ręce i twarz ogorzała wskazywały większą sposobność do pługa niż do uczonych książek. Mimo to, celem zbadania jego zdolności, zadał mu kilka trudniejszych zapytań, na które młody wieśniak odpowiedział jasno i trafnie. Prosił go tedy profesor, ażeby go w każde święto odwiedzał.

Od tego dnia w ciągu czterech lat można było widzieć Anicha, bez względu na stan pogody, odbywającego w każde święto długą drogę z gór do Insbrucku. Przychodził i pracował z tym samym porządkiem i systematycznością, jakiej coraz więcej uczył się poznawać we wzniosłym układzie wszechświata. Postępy jego w matematyce, w optyce i astronomji były tak szybkie, tak niemal cudowne, że uniwersytet, uznając jego naukę, powierzył mu wykonanie globusu niebios.

Ażeby godnie odpowiedzieć położonemu w nim zaufaniu, Anich zaprzagnął przewyższyć wszystko, co dotychczas w tym kierunku zrobiono. Zanim się zabrał do dzieła, w chwilach wolnych nauczył się pisać kaligraficznie i rysować. Wtedy dopiero, mając wszelkie ku temu potrzebne wiadomości, rozpoczął pracę, w której przydała mu się niemało wprawa mechaniczna, nabyta w ciągu długich wieczorów zimowych. Na tokarni toczył z drzewa oba globusy, na których rysował później cały zastęp gwiazd, uszykowanych w konstelacje, a do tego z mosiądzu wyrzynał pierścienie, zęby i cały potrzebny mechanizm. Wreszcie ukończył to arcydzieło, wielkością i dokładnością przechodzące wszystko, co w tym rodzaju znano. Za pomocą mechanizmu, przez Anicha wynalezonego, kula gwiazdzista obracała się zupełnie tak, jak się sklepienie niebios pozornie obraca około ziemi. Kiedy jednak globus ukończony twórca jego chciał odstawić do Insbrucku, okazało się, iż tak ogromnej kuli nie można było przez drzwi wytoczyć; musiano aż ścianę domu rozebrać, ażeby uprzętnąć przeszkody. Z owocem pięcioletnich trudów Anich pociągnął do Insbrucku tą samą drogą, którą tylekroć odbywał, nie zważając na burze i słoty, zimna lub upały.

Do dzisiejszego dnia globus Anicha znajduje się w Insbrucku, stanowiąc prawdziwą ozdobę tamtejszego muzeum; podziwiają go uczeni i prostaczkowie nie tylko jako rzecz niezmiernie ciekawą, lecz także jako wymowny dowód tego, co człowiek uczynić może, jeżeli tylko chce.

J. Szujski (S. Smilesa: «Prawdą a pracą»).

Siła woli.

O losie człowieka rozstrzyga siła jego woli. Uczy nas tego życie jednego z najsławniejszych dziś mężów, Tomasza Edisona.

Urodził on się w r. 1847 w małym miasteczku Ameryki północnej. Ojciec jego był tak ubogi, że syna swego zaledwie przez ośm tygodni mógł posyłać do szkoły. Na szczęście miał Tomasz matkę wykształconą, która dokładała wszelkich starań, ażeby go nauczyć tyle, ile sama umiała. Już w dziesiątym roku życia znajdował Edison

upodobanie w poważnych dziełach historycznych, ale nadewszystko z wielkim zamiłowaniem czytywał dzieła z zakresu chemji i fizyki jakie tylko do rąk dostał.

Mając lat dwanaście, musiał już sam pracować na życie. Nie wiedząc, co począć, jał się sprzedawania dzienników i cygar na stacjach pewnej amerykańskiej kolei żelaznej. Krzątał się tak zapobiegliwie około swego przedsiębiorstwa, że już w pierwszych miesiącach musiał wziąć sobie czterech pomocników. Przed upływem roku—a miał wtedy zaledwie lat trzynaście—oddał swemu ojcu, którego ubóstwiał, sumę dwóch tysięcy dolarów jako czysty zysk ze swej pracy. «Była to — powiada sam o tym — pierwsza wielka uciecha w moim życiu».

Pomimo swych zajęć Edison uczył się ciągle. Przez czytanie dzieł poważniejszych nabył wiele wiadomości, a przez rozważanie tego, co przeczytał, nauczył się myśleć jasno wyrażać. Założył dziennik, który sam redagował i sam drukował na małej ręcznej prasie podczas jazdy pociągiem. Dziennik jego bardzo wielkie miał powodzenie. Gdy jednakże zamiłowanie jego do chemji i fizyki wzrastało, zamienił swój wagon drukarski na laboratorium chemiczne. Na nieszczęście podczas pewnego doświadczenia, które wykonywał, wszczął się ogień, a konduktor prowadzący pociąg, wyrzucił z wagonu młodego drukarza i chemika wraz z jego przyborami.

Edison nie zraził się tym niepowodzeniem, lecz założył dziennik w innym miasteczku, przy innej linii kolejowej. Z narażeniem własnego życia wyratował on tam z niebezpieczeństwa syna naczelnika stacji kolejowej. Ojciec, odwdzięczając się Edisonowi za to dobrodziejstwo, pozwolił mu badać urządzenia telegraficzne na stacji kolejowej. Teraz dopiero trafił Edison na właściwe pole dla swoich zdolności. Po dwóch miesiącach został biegłym telegrafistą, co więcej, w przyrządach telegraficznych, które były na stacji, wprowadził takie ulepszenia, iż one zwróciły uwagę ludzi uczonych. Miał wtedy lat zaledwie piętnaście, a przecież wynalazkami swemi taką już zdobył sobie sławę, iż go przezwano małym Franklinem.

Od tego czasu uczył się Edison bez wytchnienia i ciągle badał różne zjawiska elektryczne, a praca ta doprowadziła go do wielkich i niespodziewanych wynalazków. Udoskonalił telefon, t. j. przyrząd, za pomocą

którego można przysyłać głos swój na znaczną odległość, jak np. ze Lwowa do Krakowa, z Wiednia do Pragi, i t. p. Wynałazł fonograf, który wiernie zapisuje wszystkie tony, nawet głosy mowy ludzkiej i każdej chwili tony te może odtworzyć. Wynałazł lampę elektryczną, która będąc wielkości zaledwie jaja kurzego, wydaje światło tak silne, jak pięćdziesiąt świec. Lampa ta świeci w dowolnym położeniu i miejscu, nawet pod wodą. Światło w tej lampie powstaje w ten sposób, że prąd elektryczny przechodzi przez małą bańkę szklaną zupełnie próżną (bez powietrza) i rozżarza umieszczony w niej węgiel do białości. Najsilniejszy wicher światła takiego zgasić nie zdoła.

Mnóstwo jeszcze innych ważnych i zajmujących wynalazków poczynił Edison, przeto należy do rzędu najuczeńszych i najslawniejszych ludzi teraźniejszości. Jest on też największą ozdobą swej ojczyzny. Stoi on obecnie na czele największej na świecie fabryki przyrządów elektrycznych.

Jan Henryk Pestalozzi.

Dziś, kiedy wszystkie narody oświecone gorliwie dążą do rozpowszechnienia oświaty wśród ludu, wydaje się nam nieprawdopodobnym, ażeby nie tak dawno jeszcze, bo zaledwie sto lat temu, nikt nie myślał o tak ważnej sprawie. Uboga ludność miejska i wiejska żyła w ciemnocie.

Wśród tej ogólnej martwoty w drugiej połowie 18 wieku, zjawiał się w Szwajcarii Pestalozzi, człowiek wielkiego umysłu i gorącego serca, który nadewszystko na świecie ukochał upośledzonych od losu prostaczków.

„Już od młodości—pisze on w jednej ze swych książek—serce moje dążyło, jak rwący potok, do jednego celu, to jest do zwalczania nędzy, w której widziałem pogrążony mój naród.“ Owładnięty tą jedną myślą, że „w szczęściu wszystkich są wszystkie cele,“ Pestalozzi pracował nad podźwignięciem z ciemnoty swych spółziomków.

Pestalozzi urodził się w roku 1746 w Szwajcarii, w Zurychu. Wcześniej stracił ojca, wychowywała go matka ze starą służącą. Rzadko pozwalano mu bawić

się na ulicy z innemi dziećmi, gdyż matka bała się, żeby zbyt szybko nie niszczył ubrania, którego nie było za co sprawić. Od chłopięcych więc lat Pestalozzi walczył z niedostatkiem.

Po ukończeniu szkoły wyższej w Zurychu, z zapalem oddawał się czytaniu; wielki wpływ wywarł na niego filozof francuski Rousseau, który uważał, że jedynie życie na wsi korzystne jest dla rozwoju umysłowego człowieka. Pod jego to wpływem Pestalozzi postanowił osiąść na roli i pędzić życie wieśniacze. Wtedy ożeniwszy się, kupił sobie małą posiadłość ziemską. Jednak pomimo ciężkiej i pilnej pracy po kilku już latach młoda para doszła do zupełnego niedostatku. Tu schylić można czoło przed bezgraniczną miłością Pestalozziego dla wydziedziczonych od życia współbraci, kiedy cierpiąc sam nędzę prawie, zbiera u siebie kilkadziesiąt bezdomnych sierotek, a ucząc je i przyzwyyczajając do pracy, stara się wychować na ludzi pożytecznych.

Przez sześć lat, przy bardzo nieznacznej pomocy przyjaciół, utrzymuje on ten dobroczynny swój zakład, aż wreszcie dochodzi do tego, że sam nie ma na chleb dla siebie i żony.

Cóż począć w takiej ciężkiej doli? Dziwne się nam nieraz wydawać mogą drogi, któremi postępuje duch wielkich ludzi: Pestalozzi, upadając pod brzemieniem niedoli, najpiękniejsze wykonywał prace. Tak i teraz, przebywając w domu swego przyjaciela w Zurychu, napisał powieść, w której pragnął dowieść ludziom, że tylko oświata, zstępująca do najniższych warstw społeczeństwa, oświata mająca nadewszystko na celu kształcenie charakteru, może dać szczęście ludzkości. Książka ta, napisana z porywającym zapalem gorąco bijącego dla nieoświeconych serca, zdobyła sobie odrazu sławę we wszystkich krajach cywilizowanych. Następne jego dzieła jednak nie znalazły już uznania u współczesnych i dziś dopiero oceniamy należycie, jak wiele cennych wskazówek zawierają one dla wychowawców młodzieży.

To też nieoceniony przez współczesnych wedle swej wartości, Pestalozzi przez lat osiemnaście pędził życie pełne trosk o chleb powszedni.

W r. 1798 wtargnęli Francuzi do Szwajcarii i wśród ciągłych potyczek z nieprzyjacielem wiele Szwajcarów poległo, osierocając swe dzieci. Liczba tych sierot stała się w końcu tak wielką, że jeden z dyrektorów ówczes-

snej rzeczypospolitej francuskiej, Legrand, zlecił Pestalozziemu zajęcie się niemi.

Wtedy przez półtora roku dla gromady tych od czterech do dziesięciu lat liczących dzieci Pestalozzi był wszystkim: ojcem, nauczycielem i sługą. Sam nazywał ów okres czasu najbardziej w owoce bogatym, bo choć nie dano mu długo prowadzić tego zacnego dzieła, choć stracił przy nim zdrowie, jednakże wówczas to przyszedł do przekonania, że powinien zużytkować skarby poświęcenia i wychowawczych zdolności i wtedy to powiedział sobie: zostanę nauczycielem!

W Kantonie Bern założył Pestalozzi z pomocą rządu zakład, w którym miał kształcić przyszłych nauczycieli szwajcarskich, według swej metody. Jest to metoda pogładowa, znana dziś jako podstawa wszelkiego nauczania. Pierwszym jej twórcą jest Pestalozzi, prawdziwy reformator wychowania młodzieży, zwiastun owej epoki nauczania dla wszystkich oświeconych ludów Europy. Nauczających podług systematu Pestalozziego powoływano do wszystkich stolic europejskich, a mistrz ich cieszył się ogólnym uznaniem.

Mimo to jednak, usunąwszy się jako starzec osiemdziesięcioletni do swej wiejskiej posiadłości, nie czuł się Pestalozzi zupełnie szczęśliwym, bo widział, że z jego działalności korzystają tylko klasy zamożne, a ten świat prostaczków, który on tak gorąco ukochał, wciąż jest jak i przedtem, ciemny i od losu upośledzony. Bo Pestalozzi nie doczekał już tego, kiedy posiew jego gienjuszu przyniósł plon obfity i dla tych jego ubogich braci.

Dziś czułby się zupełnie szczęśliwym, gdyby mu dano było widzieć, że nigdzie bujniej, jak w jego ojczyźnie nie zeszło ziarno przez niego zasiane.

Dumą każdej szwajcarskiej wioski jest podobna do pałacu—szkoła ludowa, a tysiącom dzieci od szóstego do piętnastego roku życia dają miasta i kantony bezpłatną naukę,—słabowite z pomiędzy nich wysyłane są na kolonje letnie w górach; a kiedy młodzież szwajcarska już ukończy nauki, znajduje ona znowu tysiące sposobności do pomnażania nabytych w szkole wiadomości. Teatry urządzają przedstawienia ludowe, towarzystwa muzyczne koncerty o doborowym programie dla najuboższych pracowników; a pierwszy do tego pęd dał Pestalozzi, któremu ojczyście jego miasto Zurych niedawno piękny wystawiło pomnik.

Aniela Kamińska.

Pisanki.

Pisanki, zwane także piskami i kraszankami, jaja malowane na Wielkanoc. O malowaniu jaj w starożytności mamy już wzmianki w dziełach Owidjusza, Plinjusza i Juwenala. Zwyczaj barwienia jaj wielkanocnych w Polsce jest prawdopodobnie tak dawny, jak wprowadzenie wiary chrześcijańskiej. Wincenty Kadłubek, biskup krakowski, w kronice swojej z początku wieku XIII mówi: „Polacy z dawien dawna byli zawistni i niestali, bawili się z panami swemi jak z malowanymi jajkami (pictis ovis). Wyrażenie to Kadłubka jest ciekawe, dowodzi bowiem, że nie tylko zwyczaj malowania jaj wielkanocnych był już w wieku XIII powszechny w Polsce, ale i zabawa z niemi, zwana dziś „na wybitki“, w bitki, w której dwaj przeciwnicy uderzają swoje pisanki jedna o drugą, a który stłucze jajko przeciwnika, wygrywa takowe. Kadłubek, porównyując niestałość Polaków dla panujących książąt, do zabawy z malowanymi jajkami, nie mógł dobitniej wyrazić swojej myśli.

Zwyczaj malowania jaj wielkanocnych był powszechny w narodzie. Zajmują się tym dziś głównie dziewczęta. Farbują jaja w brezylji czerwonej i sianej, w odwarze z łupin cebuli, z kory dzikiej jabłoni, listków kwiatu malwy, kory olszowej, z robaczków, czerwcem zwanych, w szafranie, krokoszu i t. d. Rysują jajko rozpuszczonym woskiem, aby farba nie pokryła miejsc powoskowanych. Rysowanie zowią „pisaniem“, stąd nazwa „pisanki“, tak jak dawnych „dzbanów pisanych“ czyli malowanych.

Upowszechnione desenie mają swe nazwy od wzorów i podobieństw, rysują więc w gałązki, w drabinki, w wiatraki, w jabłuszka, w serduszka, w dzwonki, w sosenki, w kogutki, w kurze łapki i t. d. Jako narzędzi do pisania używają szpilek, igieł, kozików, szydeł, słomek i drewniek. Był stary zwyczaj taczania pisanek na mogiłach przy obchodzie pamiątki zmarłych i oddawania tych jaj potomnym dziadom. Starzy ludzie pamiętają go w Wilnie a i krakowska rękawka jest pamiątką tego zwyczaju naszych praojców.

Z. Gloger.

Kądział.

Len, wełna lub konopie, przygotowane do przedzenia na kołowrotku lub do wrzeciona, zowią się kądzielą. Ponieważ przedzenie było udziałem niewiast, kądziel przeto od najdawniejszych czasów u wielu narodów była symbolem zniewieściałości i zadowolenia. — „Bajki to kądzieli godne,” wyraża się Birkowski. W zwyczajach ludu polskiego z niektórych okolic, pannie młodej, powracającej od ślubu, podają w domu kądziel w rękę, na znak, że odtąd przedzą ręki swojej będzie okrywała rodzinę.

Kądzielą zowie się przenośnie w języku polskim linja żeńska, tak jak mieczem męska. Krewni matki są krewni „po kądzieli.” Szczerbicz powiada, że „choćby mężczyzną był kto, a krewnym po matce, siostrze, albo którejkolwiek białogłowie, tedy mi jest blizkim po kądzieli i wrzecieniu.”

Kiedy powoływano młodzież szlachecką do broni, Polki posyłały kądziel temu, który stronił od oręża, a jeżeli uciekł z pola boju, to kądziel i skórę zajęczą. Shańbiony w ten sposób, miał domy obywatelskie, a nawet dom rodziców i krewnych przed sobą zamknięty. Tradycja taka była w narodzie odwieczną, bo już Długosz i Kadłubek opisują jak Wszebor, wojewoda Bolesława Krzywoustego, gdy pierzchnął podczas bitwy z Węgrami, odebrawszy od Bolesława kądziel, wrzeciono i skórę zajęczą, na znak tchórzostwa mu przyslaną, powiesił się ze sromu i rozpaczy na sznurze u dzwonu we własnej kaplicy.

Z. Gloger.

Gonitwy.

W narodzie i w stanie rycerskim do najmilszych zabaw należały popisy, ćwiczenia i szermierki rycerskie. Tak było zresztą w całej Europie, gdzie turnieje na dworach królów, książąt i panów, stanowiły codzienną zabawę towarzyską. W pojęciach bowiem średniowiecznych oddawano większe hołdy zręczności i sile fizycznej, niż przymiotom umysłowym, które zostawione były stanowi duchownemu.

Turnieje odbywały się wszędzie w tak jednostajny sposób, że opisywać ich tutaj jako zabawy narodowej nie można. Artykuły marszałka wielkiego koronnego r. 1578 w Warszawie ogłoszone, dają nam obraz gonitw publicznych, które odbyły się w Ujazdowie pod Warszawą, wobec króla Stefana Batorego, znakomitych gości i tłumów ludu „ku ozdobie przenosin Jana Zamojskiego, podkanclerzego koronnego.”

Podług tych przepisów, ktokolwiek stawał w szranki, musiał być ubrany ozdobnie, bez ostrej broni, mogącej służyć do krwawego starcia, objeżdżał plac i stawał w jednym końcu, oczekując hasła. Sędziowie dawali je każdemu osobno. Rycerz, goniący w całym pędzie konia, usiłował trafić kopją w pierścień, wiszący na sznurze. Stopień jego zręczności sędziowie oznaczali liczbą. Kto pierścień wdział na kopję, zapisywano mu 6, kto górą weń uderzył, miał 3, dołem 2, a kto z boków — ten dostawał najniższą liczbę 1. Rycerze gonitwę kilkakrotnie powtarzali. Kto kopją sznur przeniósł, tracił wszystkie razy, równie jak ten, komu noga ze strzemienia wypadła, albo hełm spadł z głowy. Kto kopję zламаł albo ziemi nią dotknął, musiał opuścić szranki. Dla najdzielniejszych były 3-stopniowe upominki.

Tego rodzaju gonitwy do pierścieni, do głów tureckich, odbywały się i przed dworami i dworskami szlachty. Bywały gonitwy i na ostre, pieszce i konne. Insi okazali różne sztuki, siedząc na koniach.

Przepisy turniejów, do których powinni byli wszyscy się stosować, przybijano na wrotach zamkowych. Górnicki, mówiąc o gonitwach i ćwiczeniach, nadmienia, że w jego czasach „kamieniem ciskanie i w zawód (do meoty) bieganie, skakanie i inne podobne temu, nie do końca jeszcze zagasło.” Powiada, że był zwyczaj w Polsce grać piłę (w piłkę), na koń skakać, ale go niema teraz. „A jako piły nie grawamy, tak zasię morzpręgi, chodzenie po powrozie na mietelnictwo poszło, a szlachcicowi by kęsa nie przystoi.”

Kobiety polskie dosiadały nieraz konia, a nawet przywdziewały zbroję w czasie zabaw i próbowały współzawodniczyć z braćmi i ojcami. W r. 1719 po całej Europie gadano o Helenie Ogińskiej, wojewodziance wileńskiej, która podczas wesela królewicza Fryderyka Augusta z Marją Józefą, córką cesarza Józefa I, w Dreźnie, na słynnym karuzelu, przez młode damy odprawionym, mając lat 18, wszystkie rycerskie sztuki z taką

201 —
dzieinością i zręcznością odbyła, że pierwszeństwo przed wszystkimi wzięła i wyznaczoną nagrodę otrzymała.

Ze śmiercią Jana III, zwycięzcy z pod Wiednia, gonitwy rycerskie przestały być zabawą szlachty na dworach królów polskich. Za Sasów odbywały się już tylko karuzele. Stanisław Poniatowski próbował raz jeszcze wskrzesić gonitwy pod nazwą karuzelu w r. 1788 przy odkryciu pomnika Sobieskiego w Łazienkach, ale był to już tylko popis sfrancuziałych paniczów.

Z. Gloger.

Wieniec, wianki.

Kolisto upleciona wiązanka z kwiatów lub ziół, zowie się wieńcem, wiankiem. Wieniec w pojęciach narodu polskiego był zawsze godłem dziewictwa. Stąd dziewczęta ubierają głowy swoje w wianki, których mężatki nigdy nie nosiły, zabraniał im tego zwyczaj narodowy, będący prawem zwyczajowym. To też gdy Dąbrówka, żona Mieczysława I, wychowana pod wpływem oświaty niemieckiej, lekceważyła sobie ten zwyczaj i w wieku podeszłym nie kwefiła głowy, ale, (jak powtarza za współczesnymi Długosz), na wzór dziewic przystrajała się w czółko i wieniec, tak to się dziwnym wydawało Polakom, że aż przeszło do podań i na karty ich dziejopisów.

Statuta djecezji wrocławskiej z czasów Jagielly zakazały duchowieństwu kujawskiemu noszenia wieńców na głowie podczas wesel i tańców. Był to widocznie stary zwyczaj miejscowy, o którym mówi około r. 1419 w swoim edykcie archidjakon wrocławski Stanisław z Kornorznik, a i prymas Łaski w djecezji gnieźnieńskiej za Zygmunta I, który także nieraz chadzał w wieńcu różnym.

W czasie obchodów weselnych wianek odgrywa ważną rolę. Ślubny wieniec jest ostatnim, który zdobi czoło dziewczycy. Wicie wieńców dla panny młodej i pana młodego podczas „dziewiczego wieczoru,” z towarzyszeniem rzewnych pieśni, jest obrzędem wzruszającym i bardzo pięknym. Gdy panna młoda wnosi do świetlicy rutę na wianki, towarzyszki jej podnoszą śpiew starożytny:

— 235 —
Rozsypała Kasieńka,
Drobną rutkę po stole
Któż tę rutkę pozbiera,
Kasi wianek uwije?

Gdzie przybywają na „dziewiczy wieczór“ drużbowie po wieńce, tam bywa piękny, uroczysty taniec polski z wieńcami. Nazajutrz przed wyjazdem do ślubu następuje oddanie wieńca pannie młodej z przemową „marszałka weselnego.“

Lud dotąd zachowuje zwyczaj tych oracji, na które wysiłał się przed wiekami dowcip staropolski, jak to widzimy ze słów Miaskowskiego: „Miewał wieniec swój dowcip przed laty.“ Kupno wieńca u braci panny młodej przez drużbów pana młodego, a później zdejmowanie go z głowy przy oczepinach stanowią dalszy ciąg obrazów tego poetycznego i czysto słowiańskiego obyczaju w życiu domowym rodziny polskiej.

Przy obchodach rolniczych, jak dożynkach i okrężnem, wieniec główną gra rolę. Wielkopoleanie nazywają nawet dożynki „wieńcem.“ „Wieniec kłosiany żyzność znaczy, tego więc używają żęncy, zebrawszy z pola.“ Wieniec dożynkowy, który gospodarzowi po zakończeniu żniwa przynosi z pola na czele gromady najdzielniejsza żniwiarka, bywa wspaniałą, kształtu piramidalnego, uwity z kłosów żyta, pszenicy, kwiatów, a nieraz jablek i orzechów, jako symbol plonu pól, sadów i lasów.

Podczas sobótek dziewczęta wily wieńce z bylicy. W ową noc świętojańską z 23 na 24 czerwca, gwoli wróżbom zamażpójścia, płynęły wianki dziewcząt po falach Wisły, Warty, Niemna i po innych „dunajach“ naszych. Świętojańskie „Wianki“ są jednym z najstarszych i najpiękniejszych prastarych polskich zwyczajów. Dziewczęta, zebrane o zmroku, rzucają swe wianki na nurty rzeki, a młodzieńcy na łódkach idą w zawody za wieńcami. Dola wianka, komu się dostanie, czy zatonie lub popłynie w kraj świata, stanowi wróżbę dla dziewczęcia, powód do niepokojów, radości, nadziei... Na Mazowszu nad Narwią przy puszczaniu wianków dziewczęta śpiewały prześliczną pieśń:

W polu lipieńka, w polu zielono,
Listeczki opuściła,
Pod nią dziewczyna, pod nią jedyna
Parę wianuszków wyla.
Oj czego płaczesz, moja dziewczyno,
Ach cóż ci za niedola?

Oj nie płacz Kasiu, smutnaś po Jasiu,
 Ach będziesz ci go miała.
 O mój Jasieńku, o mój jedyny,
 Da stałać mi się szkoda,
 Uwiłam ci ja parę wianuszków,
 Zabrala mi je woda.
 Moja dziewczyno, moja jedyna,
 Nie frasuj ty się o nie,
 Oj mam ja parę białych łabędzi,
 Popłynąć one po nie.
 Już jeden płynie, po rokićcinie,
 Goni za wiankiem strzałą,
 Już drugi płynie, aż się odhynie,
 Ale z pociechą małą.
 Łabędzie płyną, wianeczki tona,
 Bystra je woda garnie,
 Moje wianeczki, z drobnej ruteczki,
 Mam-li was stracić marnie?
 Łabędzie płyną, wianeczki gina,
 Bystra je woda niesie,
 Nie masz wianeczka, moja dziewczeczko,
 Już ja cię nie pocieszę
 Łabędzie wróćcie, serca nie smućcie,
 Wianeczka nie przyniosły,
 Tylko rąbeczek, to na czepeczek,
 Na twoje złote włosy.

Powszechny jest w Koronie i Litwie zwyczaj poświęcania wianków w oktawę Bożego Ciała, podczas ostatniego nieszporu. Woń ziół uważana jest jako symbol cnoty, a Kościół w modlitwie, którą odmawia kapłan przy ceremonji poświęcania, prosi Boga, aby przyjął wonne enoty tych, którzy składają Mu na ołtarzu wieńce i zioła. Wieńcami zdobi się monstrancja podczas tego nabożeństwa.

Tym sposobem znaczenie dawne wieńców i ziół sobótkowych w pojęciach ludu polskiego uświęcone zostało przez Kościół. Wianki te i zioła poświęcone zawieszają na ścianach, u obrazów lub nad drzwiami, i przechowują przez rok cały, przypisując im cudowne własności. Kładą je pod podwalinę zakładanych domów, pod pierwszy snop, zwieziony do stodoły we żniwa, okazują jak sobótkowemu dom i gumna w przekonaniu ochrony od pioruna, także dobytek w wilję św. Jana i dzieję chlebną. W wielu domach wito zawsze dziewięć tych wianków, każdy z innego ziółka, a mianowicie: z macierzanki, rozchodniku, nawrotka, kopytniku, rosiczki, mięty, ruty, stokroci i barwinku. Używany jest także lubczyk, kopelnik, targownik i dzwonki, w Krakowskim bobownik i niezapominajki, w Wielkopolsce

gałązki lipy i jabłecznik. Wiankiem z rozchodniku okazują dom przed burzą, wierząc, iż od tego rozchodzą się chmury gradowe i pioruny. W języku staropolskim było wyrażenie „wiankami nakadzić“, a gdy komu przychodziło coś bardzo łatwo i szczęśliwie, mówiono: „jakby wianki wił“. Szymonowicz w sielankach powiada: „I wieniec piękniejszy jest, kiedy przeplatany“, to znaczyło: kwiatami różnych barw, Falibogowski bowiem (za Zygmunta III) pisze: „Panienka kiedy wije, część go jasnymi, część ciemnymi kwiatkami przeplatać zwykła.“

Odwiecznym typem wianka dziewczęcego u ludu w Polsce był wianek jak dłoń maleńki, ruciany. Ruta dla tego została uprzywilejowaną, że jej listki zachowują pod śniegiem przez całą zimę piękną zieloność. Jan Kochanowski mówi o „wieńcu rucianym“. U szlachty, mieszczań, a potem i u ludu wszedł w użycie i zaczął rugować rutę rozmaryn, wreszcie mirt. Lud pod Krakowem kupuje gotowe wianki ślubne, ze świecideł papierowych i blaszek robione. O ile wieniec z kłosów zboża był symbolem plonu, o tyle ze słomy wymłóconej był obelżywy. Wieniec grochowy, czyli z pustych uwił grochowin, oznaczał odprawę dla załotnika, płonność jego zamiarów. Młodzianowi, za którego wydać panny nie chciano, dawano to do zrozumienia grzecznym sposobem przez podanie na obiad czarnej polewki (na Żmudzi potrawy zwanej „szupienie“), postawienie na stole arbuza, lub ukazanie mu „grochowego wieńca.“

Z. Gloger.

Narzędzia muzyczne w Polsce.

Miedzy rzeczami z przeszłości polskiej godzi się wymienić przynajmniej pokrótce narzędzia, na których grywali dawni Polacy w smutku lub wesołości, w świątyniach pańskich lub obozach, idąc na boje z bisurmany.

Przytoczymy tu naprzód wesołą kolędę z wieku XVII, w której wspomnianych jest wiele narzędzi muzycznych, na jakich w owe czasy grywano:

Anieli się w niebie cieszą,
 Pasterze do szopy śpieszą, hej nam hej!
 Opuścili swe bydła
 A pobrali instrumenta, hej nam hej!

Do Betlejem gdy przybiegli,
 Szopę z wszystkich stron oblegli, hej nam hej!
 Poustawiali się w szyki,
 I wzięli się do muzyki, hej nam hej!
 Stach najpierwszy na swym rogu
 Rozpoczął rznąć chwałę Bogu, hej nam hej!
 Wach na lirze, rzeżko gmyrze
 Jacek Krupa, w drumłę chrupa, hej nam hej!
 Janusz bzdurzy na bandurze,
 Sobek sobie w kobzę skrobie, hej nam hej!
 Wojtek ryczy na basicy,
 Knapik wali na regali, hej nam hej!
 Wawrzko chełce na surmeczce,
 Kuba Łyczek, złamał smyczek, hej nam hej!
 Stasiek z Dębni w kotły bębni,
 Fabijanek trąbi w dzbanek, hej nam hej!
 Kurantów z konwic dobywa,
 Temu owemu nalewa, hej nam hej!
 Tomek doi na oboi,
 Kopet graje w szalamaje, hej nam hej!
 Filip plecie na kornecie,
 Kryś bełkoce na fagocie, hej nam hej!
 Arfy z sobą nie przynieśli,
 Naprawić ją dali cieśli, hej nam hej!
 Z tub—maryną Bartek prostak,
 Idąc przez wieś, w karczmie został, hej nam hej!

Pisarz arabski Al-Beckri, piszący o Polsce i słowianach wieku X i XI, powiada, że mają różne instrumenty muzyczne ze strunami i dęte. Mają jeden dęty, którego długość przechodzi 2 łokcie i drugi z 8-miu strunami płaski, a nie wypukły. Jan Łódzia, biskup poznański, (zmarły r. 1346), który ułożył wiele pieśni kościelnych, dotąd śpiewanych w Polsce, nie znał chwil szczęśliwszych nad owe, „gdy sobie doma, (jak mówi dziejopis), gwoli wesołości na cytrze przygrywał.“ Arcybiskup gnieźnieński Mikołaj, oprócz cytary rozkoszował się w „luteń, trąb, piszczałek i reszty gędziebnych narzędzi chórze.“

Widzimy z tego i z innych wzmianek Długosza o muzyce „dobrej“, że kapele były już w dobie piastowskiej znane w Polsce. Aldona żona Kazimierza W., litwinka, (zmarła r. 1339) lubiła się otaczać chórem śpiewaków i grających na bandurach, cytarach i lirach, co—jak słusznie wnosić można—dowodzi istnienia kapeli królewskiej. Wogóle, jak widać, litwinki rozmilowane były w muzyce, bo Aleksandra Olgierdówna, siostra rodzona Jagiełły, poślubiona Ziemowitowi, księciu Mazowieckiemu, przejeżdżając do Krakowa na dwór brata, wozila z sobą flectistów nadwornych. Zwierzchnikiem kapeli na dworze Jagiełły był Jan Śledź, herbu Doliwa,

później biskup przemyski, zmarły r. 1411. Byli w niej i żydzi. Jan Tarnowski, wojewoda krakowski, ma także muzykantów nadwornych. Wnukom Jagiełły, Aleksandrowi i Zygmunтови, przygrywa nadworny lutnista Czyrałko. Opaci dla rozrywki grywali czasem wesołe piosenki na organach.

Głos kobzy ceniono w Polsce na równi z dźwiękami cytry hiszpańskiej. Huczne tony wydobywano nie tylko z kobzy (z «koziego rogu, z kozła»), ale także z trąb i bębnów. Rej wyraża się, że «wrzeszczał kozi róg za uchem, tłuczono w bęben by w pudło, aż welbie trzeszczało». Krzykliwe były kornety i fujary, głośnie sztorty, szalamaje, pomorty, regał, skrzypice, puzony.

Cicha muzyka nazywała się gędźbą, gędzeniem. Należały do nich lutnie, arfy, padwany, szczebiotliwe flety, wykwentne mutety. Bandury używano do szkolnych tańców. Lud prosty najlepiej lubił skrzypice, dudę i bęben z brzękadłami. Żacy lubili drumłę, pastercze piszczałkę, żydzi cymbalki. U mieszczan lwowskich w owych czasach spotykamy często klawikordy, lutnie i pozytywty. Grandziary używali Cyganie. Surma, w rodzaju trąbki, piszczałka turecka, była w Polsce rozpowszechniona. Brzękadelka były to narzędzia do wybijania taktu w kapeli janczarskiej. Bandura, bandurka, rodzaj lutni o strunach mosiężnych z krótką szyją czyli gryfem.

W Polsce słynęli bandurzyści kozaccy, którzy tańcząc i śpiewając przygrywali na bandurze. Teorban był ulubionym narzędziem na dworach szlachty, która utrzymywała stałych teorbanistów, i sama chętnie w chwilach odpoczynku na teorbanach grywała. Teorban był rodzajem gitary, w kształcie przekrojonej gruszki, o długim gryfie i 33 strunach. Do grania zawieszał się na taśmie przez ramię, a śpiewający przyjmował postawę stojącą i ruchami całej postaci odpowiadał treści i uczuciom, które pieśń jego wyrażała. Polacy upowszechnili teorban na Ukrainie, gdzie znalazł on uosobionych do gry na nim bandurzystów i najdłużej pozostawał w użyciu. Na dworze Rzewuskich i Sanguszków znaną była przez kilka pokoleń w ostatnich czasach rodzina teorbanisty Widorta.

W przeszłości spotykamy często wzmianki o dudach, gęśli, klawicymbałach i tołumbasach. Tołumbas był to wielki bęben muzyki tureckiej czyli janczarskiej

uderzany z góry pałą do oznaczania taktu i główniejszych rytmów, gdy bęben wojskowy szybko werbował.

Komuż wreszcie, gdy mowa o instrumentach, nie przypomni się wiersz z «Pana Tadeusza»: «Patrz stoi cymbalista, skrzypek i kozice». Niewątpliwie do pierwotnych narzędzi muzycznych w Polsce, lubo nie tańecznych i wesołych, ale pasterskich, myśliwskich i hańsowych, należy wielka trąba drewniana, zwana ligawką.

Z. Gloger.

Kulig staropolski.

Pan Starosta, starzec już sędziwy, szanowany był w całej okolicy. Żona jego, osoba równie wiekowa, ale czerstwa zawsze i wesoła, chętnie urządzała zabawy w domu swoim dla młodzieży. Zaraz tedy po Nowym Roku ułożyła pani Starościna kulig do państwa Skarbnikowstwa, którzy mieszkali o sześć mil od wioski pana Starosty. Sprowadzono z pobliskich miasteczek krawców do szycia sukien i tak się zwinięto, że wszystko było gotowe na 20 stycznia.

Postanowiono naprzód odbyć próbę. Pani Starościna zaprosiła wszystkich do kuligu należących, na dni kilka do siebie. Wystąpił naprzód poważny organista, jeden z synów Starosty, ze swą żoną, jako organiści, i ognistą wypalił przemowę. Mowa ta, pełna dowcipu, serdecznie rozweseliła sędziwego ojca. Tańce udały się wybornie.

Na drugi dzień chciano zrobić niespodziankę dla pani Starościny. Kiedy się dobrze zmierzchno, usłyszano we dworze odgłos piskliwych fujarek z bębnami. Gdy oboje Starostwo spojrzeli na siebie zdumieni, wbiegła młodsza synowa, i klaszcząc w ręce radośnie, prosiła ich, żeby pozwolono wniść Cyganom. I zaraz za nią zaczęła się tłoczyć cała banda, a ze środka jej wysunął się ogromny niedźwiedź bury i począł niezgrabny taniec przy brzmieniu fujarek i dwóch bębenków.

Starosta pierwszy poznał w przebranych Cyganach swoich znajomych, ale przed żoną utaił swoje odkrycie. Dopiero gdy cała banda chórem dobranych głosów za-

nuciła pieśń na cześć gospodarstwa, zerwała się Starościna z kanapy i zaczęła ścisnąć i całować Cyganki.

W tej chwili wysunął się naprzód niedźwiedź, oddał niezgrabny pokłon, pochwycił rękę Starościny i pocałował.

— A toż kto? — zapytała przestraszona nieco gospodyni domu.

— Cóż to, mateczka nie poznała? — odezwała się starsza synowa; — to przecież pan Jacenty.

— Ktoby go tam poznał w tej niedźwiedziej skórze! — odrzekła Starościna — taki straszny... a wybornie udawał niedźwiedzia!

Pan Jacenty był to daleki krewny Starosty, który jako leśniczy zawiadywał obszernymi jego lasami.

Dobrze tedy udała się próba; zaczęto więc robić przygotowania do wyjazdu kuligowego. Nazajutrz po śniadaniu postanowiono wyruszyć wcześniej, bo było blisko sześć mil do dworu państwa Skarbnikowstwa. O świcie dwadzieścia kilka sań napelniło obszerny dziedziniec przed dworem. Służba dworska i czeladź związała się żwawo: wnet wszystko było gotowe. Mróz był lekki, powietrze miłe, chociaż chłodne.

Godzina naznaczona uderzyła: zajechały pierwsze saneczki jednokonne, a ciągnął je najlepszy biegun ze stajni Starosty. Wybiegł arlekin w masce czarnej, z drewnianą trzepaczką w ręce, uderzył nią każdego ze stojących na ganku, zarzucił niedźwiedzie i zniknął z oczu. On to miał być zwiastunem najazdu kuligowego we dworze Skarbnika. Niedługo wszystkie sanki ruszyły z podwórza.

Sanna była wyborna, a śnieg ubity nieraz pod kopytem, ostro kutym, iskry wyrzucał. Konie same ochotczo leciały. Szum cichy puszczy, parskanie rączych biegunów, pokrzyk woźniców i wesoły gwar jadących mieszały się w dziwną a radosną harmonję.

Po trzygodzinnej podróży wjechaliśmy wreszcie bramą otwartą, a muzyka kuligowa zabrzmiała przy wtórze pieśni.

Na ganku zjawił się niespodzianie nasz arlekin i wprowadził orszak kuligowy. Na progu, przy drzwiach rozwartych, trzymając na tacy chleb i sól, sędziwi Skarbnikowstwo powitali z gronem rodziny swojej oczeki-

wanych gości. Starosta rzucił się w objęcia Skarbnika. W tej chwili kapela zabrzmiała poloneza, wszyscy ruszyliśmy do sali. Na czele długiego szeregu par stał pan Skarbnik, wiodąc za rękę Starościny; w drugiej parze postępował Starosta ze Skarbnikową. Dwaj ci sędziwi starcy z poważnymi matronami, wiodąc rej w tym polskim tańcu, stanowili główną jego ozdobę. Przybrani w granatowe kontusze, w perłowe żupany i bogate, srebrem i złotem przerabiane pasy, postępowali wolnym krokiem w takt tańca, a za nimi w ich tropy rozwijał się długi korowód par statecznych i młodzieży.

Aby poznać całą powagę i piękność tańca, którego tradycję coraz bardziej zatracamy, trzeba było widzieć naszych starych kontuszowców, z jaką gracją wiedli swoje damy; z jakim uszanowaniem pochylali siwe głowy przed nimi, gdy zataczali kołem w inną stronę; z jaką energją i życiem przytupywali w taktowym, posuwistym chodzie, z jakim wdziękiem i z jaką składnością to ujmowali się pod bok ręką, to pokręcali sumiastego wąsa, z jaką wreszcie *attencją* i *rewerencją* tanecznicę swoje odprowadzali na miejsce i dziękowali ucałowaniem ich rączek, że raczyły towarzyszyć im w tańcu.

Na dany znak umilkł polonez. Starosta ze Skarbnikiem i podżyłymi przyjaciółmi i krewniakami przeszedł do bocznego pokoju, gdzie na tacy zastawiono kieliszki i opleśniałe butelki z węgrynym; starsze wiekiem matrony pozostały w sali, patrząc na wesołą młodzież, jak się zabierała do ochoczych tańców.

W sali kapela zabrzmiała dziarskiego mazura. Zerwał się pan Jacenty i z zamówioną córką Kapitana, sąsiadującego ze Skarbnikiem, stanął do tańca. Trzeba było widzieć, jak on go tańczył! Słyszał też niedarmo na całą okolicę. Trudno dziś zobaczyć równie energiczny, dziarski taniec, jakim bywał mazur w owe czasy. Zawiodło nareszcie dwanaście par wielkie koło i mazur się skończył.

Trzy dni trwała wesoła zabawa. Powtórzyła się tu znowu scena bandy Cyganów; tylko już pan Jacenty nie przedstawiał niedźwiedzia, bo zastąpił go jeden ze zwinnych parobczaków folwarcznych. Przybył do tej bandy jeszcze tur i żuraw z gromadą wiejską, która po odśpiewaniu kolend hojnie została uraczona.

Na czwarty dzień znowu arlekin pod wieczór wyruszył swemi saneczkami do dworu państwa Kapitanow-

stwa z zapowiedzeniem kuligu. Mieliśmy bowiem nazajutrz napaść na ich skromny dworek.

Przy zmierzchu wieczorem ruszył nasz kulig cały, powiększony gronem rodziny Skarbnikowstwa. Zaledwie wjechaliśmy w opłotki, huk wystrzałów odbił się głuchym echem w ciemnej puszczy.

Na ganku oczekiwał już Kapitan z żoną i córką.

Po serdecznym powitaniu weszliśmy do wielkiej izby.

Tutaj bawiliśmy się ochoczo przez całe dwa dni. Trzeciego dnia, kiedy już sanie nasze zajechały, Kapitan na klęczkach uprosił, by pozostać jeszcze dzień jeden. Skarbnikowa i Starościna pierwsze mu przyrzekły, że zostaną, reszta drużyny poszła za ich przykładem.

Po samym obiedzie, kiedy wzniesiono puhar staroświecki, Starosta, napełniwszy go, powstał, a prosząc o głos, w te odezwał się słowa:

— «Mościwi, a mnie wielce miłościwi Panowie bracia i przezacne damy! Używając w domu tym szanownym takiej staropolskiej gościnności, pozwolicie, że wniosę i powtórzę raz jeszcze zdrowie gospodarstwa, ich córy i rodziny!»

— Niech żyją!—zawołało sto głosów.

— Pijąc zdrowie to szanowne, wspomnieliśmy o córce wielmożnych Kapitanowstwa. Owóż dobra pora, jako baczymy, abyśmy, wnosząc jej zdrowie, wstawili się zarazem za naszym krewniakiem, panem Jacentym, który od dawna stara się zasłużyć na jej rodziców względy i teraz przez moje usta prosi o jej rękę.

Jacenty upadł do nóg Kapitanowstwa.

— Pewny będąc aprobaty — dodał Starosta — projektuję, abyśmy dziś pozostawszy, zaręczyny młodej pary odbyli.

Kapitan, hamując wzruszenie, wyrzekł tylko:

— Na tak poważne życzenie z chęcią się z moją żoną zgadzamy.

— *Vivat!*—zawołał Starosta ze Skarbnikiem. — *Vivat!*—powtórzyło uradowane całe koło.

Przyniesiono pierścionki na tacy, ksiądz proboszcz miejscowy poświęcił je, a młoda para zamieniła je wobec gości.

Po chwili gospodarz dał znak chłopcu, ten przyniósł szkatułkę, a z niej Kapitan wyjął skrzypce swoje.

— Panie Starosto! Mości Skarbniku posłuchajcie,

zagram wam piosenkę, dobrze wam znaną. Grywałem ją i śpiewaliśmy ją w obozie.

I pociągnął smyczkiem; tęskne a rzewne tony poruszyły obu starców. Skarbnik i Starosta porwali się z miejsc swoich, ręce ich prawe spoczęły nagle na lewym biodrze, jakby szukały rękojeści szabel: ale zaraz rzucili się w objęcia wzajemnie i głośno zaszlochali.

O! był to widok, który zachowuje się wiernie do grobu. Płacz starców roztkliwił wszystkich obecnych. Padaly łzy Kapitana gęstymi kroplami na skrzypki, a on grał, dopóki nie dograł piosenki całej!...

Kazimierz Władysław Wójcicki.

Klasztor na Jasnej Górze.

Każdy z nas słyszał o Częstochowie i o słynnym obrazie Najświętszej Panny w kościele OO. Paulinów na Jasnej Górze? Ze wszystkich ziem dawnej Polski, a nawet z dalszych krajów, od wielu wieków rok rocznie śpieszą tutaj pobożni, ciągną liczne tłumy pielgrzymów, szukając ulgi w cierpieniu lub składając dzięki za łaski doznane od Opatrzności. Tu królowie polscy we wszystkich ważniejszych chwilach dążyli z modlitwą i prośbami do najwyższej Królowej niebios i ziemi; tu hetmani po szczęśliwie ukończonych wyprawach składali dziękczynienia, jak również zdobyte na nieprzyjaciółach sztandary i różne bogate wota; tu wreszcie cały naród zwracał się z ufnością w chwilach nieszczęścia i radości, pewien opieki i łaski Królowej swej i Pani.

Na północny zachód od Krakowa, na drodze, wiodącej z Śląska ku Warszawie, nad rzeką Wartą, wśród szeroko ciągnących się równin leży Częstochowa, której założenie sięga niepamiętnych czasów. O pół mili od tegoż starożytnego miasta wznosi się Jasna Góra, na której szczycie są warowne mury klasztoru OO. Paulinów i kościół, gdzie się znajduje ów słynny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Wszystkie te zabudowania tworzą razem niby małą warownię, otoczoną murem, z poza którego baszty i wieże kościoła wybiegają w górę, niby kwiaty z kamiennego wazonu. Mury klasztoru

były niegdyś silną warownią i niejednokrotnie oparły się szturmom wojsk nieprzyjacielskich; lecz w nowszych już czasach warownię zniesiono, a mury wraz z basztami zniżono o połowę. Pozostały więc dziś już tylko szczątki dawnych fortyfikacji.

Przez cztery bramy i mosty, niegdyś zwodzone, wchodzi się w dziedziniec klasztorny. Wejście to zachowało do dzisiaj wejrzenie warowni obronnej.

Nad pierwszą bramą, zbudowaną z kamienia, wymalowany jest obraz Matki Boskiej z podpisem łacińskim «Pod Twoją obronę».

Nad drugą bramą wykute jest na marmurowym medaljonie popiersie króla Stanisława Augusta, nad trzecią bramą ustawiono figurę Matki Boskiej, a nad czwartą, głęboko sklepioną, w ostatnim wale, wymalowany jest wizerunek Władysława, księcia opolskiego, który na dłoni trzyma kościół częstochowski, na znak, że on to kościół ten założył i w nim sławny ów obraz umieścił.

Przy każdej z tych bram wzdłuż całej drogi rozłożone stoją kramy z obrazkami Świętych, medalami, różańcami, książkami do nabożeństwa, które wszyscy przybywający tutaj pobożni kupują na pamiątkę swej pielgrzymki na Jasną Górę.

Wszedszy na dziedziniec wewnętrzny, mamy przed sobą liczne zabudowania, częścią klasztorne, częścią należące niegdyś do fortyfikacji i służące do obrony. Najobszerniejszym z tych zabudowań jest sam klasztor dwupiętrowy z sześciu wybiegającymi ponad mury basztami.

Obok wznosi się wspaniały kościół z wieżą o sześciu stopniowaniach; przy kościele znajduje się kaplica, w której umieszczony jest Obraz, będący celem modlitw i pielgrzymek, odbywanych do tego miejsca. Wokoło kościoła i klasztoru ciągną się zabudowania różnego kształtu i przeznaczenia, jakoto: sala do bierzmowania, zbrojownia, pokoje królewskie, apteka, stajnia — słowem niby małe miasteczko, pancernem obronnego muru objęte.

Wejdzmy do kościoła. Wspaniała ta świątynia ma kształt podłużny. Ściany jej mozaikowane, sklepienie rzeźbą okryte, drzwi zaś, do bocznych kaplic prowadzące, wykładane marmurem. Szczególnej piękności jest wielki ołtarz, złożony z grupy posągów naturalnej wiel-

kości, z jednej sztuki ciosowego kamienia wykutej, Grupa ta wyobraża wniebowzięcie Najświętszej Panny Marji, którą trzej aniołowie do nieba unoszą. Jest to szczególnie w swoim rodzaju arcydzieło sztuki rzeźbiarskiej. Niema w tym ołtarzu, jak zwykle w innych, ani malowideł, ani gzymsów, ani filarów.

Ale pobożny pielgrzym, wszedszy do kościoła, dąży jak najspieszniej do kaplicy, w której znajduje się cudowny Obraz, wymalowany na cyprysowej desce, według podania, przez św. Łukasza. Tłok pobożnych, któremi zawsze przepełniona jest kaplica, z trudnością dozwala zbliżyć się do jej wnętrza. Przed obrazem odprawiają się Msze św. od rana do godziny dwunastej; o dwunastej przy odgłosie muzyki, trąb i kotłów, spuszcza się srebrna zasłona, zakrywająca Obraz święty; o godzinie trzeciej znów się podnosi i rozpoczynają się nieszpory: taki jest codzienny porządek nabożeństwa.

Kaplica przedzielona jest kratą. Pobożni na klęczkach obchodzą ołtarz, składają dary i wota. Przed ołtarzem wisi ośm lamp srebrnych, z których jedna jest darem króla Jana III. Sam Obraz owieszony jest kosztownymi darami, klejnotami i drogiemi kamieniami, tak, że z poza nich widać tylko twarz Matki Boskiej i Pana Jezusa. Głowy obie ukoronowane są złotemi koronami, a cały obraz odziany w sukienkę, drogiemi kamieniami i perłami szytą. Trzy są takie sukienki kosztowne: perłowa, djamentowa i rubinowa; wyszyto je jeszcze przed dwustu prawie laty i dotąd co roku w Wielki Czwartek w inną z tych sukienek obraz ubierają.

Tak to tym, co się po ludzku najdroższym i najświetniejszym zdawało, zdobiono Obraz Królowej swojej dla okazania Jej jak największej czci i poszanowania.

Równie bogate są mnogie dary królów i panów, z czcياً największą przechowywane w skarbcu klasztornym. Jest tam krzyż srebrny i takież monstrancja, dar Zygmunta I; pomiędzy wielu ornatami szczególną na siebie uwagę zwraca ornat wyszyty perłami ręką królowej Jadwigi. Znajduje się tu także sztandar turecki i zegar brązowy, ofiarowany przez Sobieskiego jako zdobycz z wyprawy pod Wiedeń. Są też kosztowne buławy hetmanów, np. Stanisława Rewery Potockiego, a obok nich widzieć można także skromny kij pielgrzymi, z którym Mikołaj Radziwiłł, zwany Sierotką, od-

był pielgrzymkę do Ziemi Świętej, do grobu Zbawiciela.

Tak to łaskami i przywilejami monarchów i hojnemi datkami i ofiarami pobożnych pielgrzymów wzbogacany, wzrastał klasztor coraz bardziej i stał się z czasem najświętszym i najdroższym miejscem dla wszystkich ziem polskich. Przez rok cały dążą pobożni gromadami ku temu miejscu świętemu; od świtu do nocy przepełniony jest kościół i dziedzińce klasztorne; rozlegają się śpiewy pobożne, z tysiąca piersi wznoszą się ku niebu modlitwy i głosy błagalne; a kiedy zmrok padać zaczyna, pielgrzymi rozechodzą się po gospodach. Wtedy nad kaplicą, w której umieszczony jest Obraz, zapalają w górze lampę, migocącą światłem, widnem z daleka. Wśród zapadających coraz bardziej cieni nocnych jeszcze szarzej tu i owdzie klęczące postacie pobożnych, jeszcze rozlega się echo pieśni, na cześć Marji śpiewanych—aż ku północy wszystko cichnie, noc ciemna wszystko ogarnia i tylko światełko gorejącej w górze lampy pozostaje ni-by świadectwo nieustającej nad ludem i krajem opieki najwyższej Królowej nieba i ziemi.

Władysław Zawadzki.

Katedra św. Jana w Warszawie.

I.

W dniu 5-tym stycznia 1406-go roku wydany akt, którego mocą kościół św. Jana w Warszawie, podówczas parafjalny, podniesiony został do stopnia kolegiaty. Stało się to dzięki zabiegom Janusza, ówczesnego księcia mazowieckiego. Już w r. 1402-im książę ten otrzymał w Rzymie pozwolenie na przeniesienie kolegiaty z Czerska do Warszawy; akt właściwy jednak wydany został w trzy lata później za zgodą kapituły gieneralnej poznańskiej, a podpisany przez biskupa poznańskiego, Wojciecha Jastrzębca. Od tego też czasu zaczyna się świetna epoka katedry warszawskiej, będącej jednym z najstarszych, a bez wątpienia najwspanialszym po-

mnikiem budownictwa odległych wieków dawnej i innej Warszawy.

Kolegjata św. Jana przetrwała przez cały czas istnienia Rzeczypospolitej Polskiej. Dopiero za czasów pruskich, za staraniem króla pruskiego Fryderyka Wilhelma, papież Pius VI wydał bullę, mocą której ustanowione zostało biskupstwo warszawskie. Bulla ta nosi datę dnia 15 listopada 1798 r.

Za czasów już Królestwa Polskiego w r. 1817 biskupstwo warszawskie podniesione zostało do godności arcybiskupstwa, kościół zaś św. Jana odtąd nosi tytuł kościoła metropolitalnego.

Kiedy i przez kogo został wzniesiony pierwszy kościół św. Jana — niewiadomo. Krążą opowiadania, że w miejscu, gdzie dziś wznosi się stara Warszawa, był bór gęsty, a w nim, pod uświęconym dębem odbywały się ceremonie religijne pogańskie. Na miejscu owego dębu stanąć miała kaplica drewniana. O ile to jest prawdą, stwierdzić niepodobna. Niewątpliwą jest tylko rzecz, że pogaństwo najdłużej utrzymało się w Polsce w tych właśnie okolicach Mazowsza; pewnym też jest, że pierwszy kościół w Warszawie wzniesiony został pod wezwaniem św. Jerzego w r. 1133, również w borze; od kościoła tego — po którym dziś już niema śladu — nosi nazwę ulica Świętojerska. Możliwem zatym wydaje się, że i pierwsza kaplica św. Jana powstała w borze, który należał do kanoników w Czerwińsku.

Najdawniejsza Warszawa zaczęła wznosić się w okolicach dzisiejszej ulicy Świętojerskiej. Pierwsze budowle dzielnicy zwanej dziś starą Warszawą, zaczęły się pojawiać dopiero w wieku XIII. Wówczas też powstała i kaplica św. Jana. Był to kościółek drewniany, prawdopodobnie niewielki, stanowił filję kościoła parafjalnego w Górze.

Pierwsze lata istnienia kościoła, jak zresztą i samej Warszawy, giną w pomroce dziejów. W połowie XIII wieku już Warszawa musiała być grodem dosyć dużym, skoro Konrad II, syn Ziemowita, po zniszczeniu przez Krzyżaków zamku książąt Mazowieckich w Jazdowie (Ujazdowie) pod Warszawą, przeniósł swoją rezydencję do Warszawy i tu «zamek» dla siebie wystawił. Skromny to był, jak na dzisiejsze czasy, zamek. Resztki jego widnieją dziś jeszcze w formie starej kamienicy na rogu rynku Starego Miasta i ulicy Wązki Dunaj.

Pierwszym faktem historycznym, to jest stwierdzonym dokumentami, dotyczącym Warszawy, jest sąd zwolany na Krzyżaków, którzy, opierając się na sfałszowanym wyroku papieskim z r. 1321, zajęli liczne ziemie polskie. Sąd ten odbył się w Warszawie «w kościele farnym św. Jana» we wrześniu 1339-go roku. Przybyli nań dwaj delegaci papiescy, liczni świadkowie nieprawości krzyżackiej, przedstawiciele króla Kazimierza Wielkiego i wiele osób wybitnych. Krzyżacy wcale delegatów swoich nie przysłali, wiedząc z góry, że sprawę przegrają. Toczyły się rozprawy przez dni kilkanaście, wreszcie 25-go września wygłoszono wyrok zaoczny, skazujący Krzyżaków na zwrot ziem zagrabionych i zapłatę wielkiej grzywny. Krzyżacy do wyroku tego nie zastosowali się wcale.

II.

Pewna i dokładna historia kościoła św. Jana zaczyna się dopiero od czasu księcia Mazowieckiego, Jana Konrada, zwanego zwykle Januszem, który pierwszy założył podwaliny późniejszego rozwoju Warszawy.

Ponieważ zarówno Warszawa, jak i kościół św. Jana wiele zawdzięczają księciu Januszowi, należy mu się tu kilka słów wspomnienia. Długosz mówi o nim, że był najmędrszym i najznakomitszym pomiędzy książętami swego wieku; o przyjaźń jego, o jego radę ubiegali się nie tylko książęta, ale i królowie.

«Książę Mazowsza i Rusi, pan i dziedzic na Czersku, Warszawie, Zakroczymiu, Wyszogrodzie i Ciechanowie» — (taki tytuł figuruje w nadaniach Januszowych) — był synem Ziemowita III Mazowieckiego.

Przez lat 47 panował na Mazowszu, a rządy jego wszystkim za wzór stawiano. Spokrewniony z Jagiellą przez żonę swoją, córkę księcia litewskiego Kiejstuta, a siostrę Witolda, księżnę Annę, żył w najlepszych stosunkach z mężem Jadwigi, królowej polskiej. Zarzucają mu, że nie poparł brata swego młodszego, Ziemowita, księcia płockiego, który po śmierci Ludwika węgierskiego usilnie zabiegał około objęcia berła Piastów i zaprowadzenia nad całą Polską. Janusz rozumiał, że przyszłość Polski zapowiada się jedynie w sojuszu z Litwą i do sojuszu tego w miarę sił i możliwości się przyczynił.

Dla dziedzicznego swego Mazowsza, nad którym panował nieograniczenie jako lennik króla polskiego, był ojcem i dobrodziejem prawdziwym. Za jego rządów Mazowsze kwitło w szczęściu i dobrobycie. Śmiało powiedzieć można, że czym Kazimierz Wielki był dla Polski, tym Janusz dla Mazowsza. Nawet działalność obu wielce była do siebie podobną. Za staraniem Janusza uregulowano prawa zwyczajowe i ujęto je w jeden statut. Książę ten pobudował wiele miast i osad, ugruntuwał porządek i bezpieczeństwo publiczne.

Upodobawszy sobie Warszawę, przebywał w niej stale, nadał jej liczne przywileje, wznosił dla siebie nowy zamek, który był początkiem dzisiejszego, mianował Warszawę stolicą księstwa Mazowieckiego, rozszerzył kościół św. Jana, do tych rozmiarów, w jakich go dziś widzimy, wreszcie zamienił go w kolegiatę, którą hojnie uposażył licznymi prebendami i przeniósł do nowej kapituły kolegiackiej kanoników z Czerska.

Tu dodać należy, że kolegiata jest poniekąd filją katedry biskupiej, na jej czele zaś stoi zwykle kanonik—infułat, mający prawo używania oznak biskupich (infuły i pastorału) ale zależny od biskupa diecezjalnego. Kolegiata warszawska przez cały czas istnienia swojego zależną była od katedry poznańskiej.

Wróćmy jeszcze kilku słowami do Janusza Mazowieckiego, «ojca Warszawy». Dwie cechy widnieją w całej działalności tego księcia: miłość kraju swojego i nienawiść do Krzyżaków. Powodowany pierwszą, czynił, co tylko mógł, aby Mazowszu zapewnić przyszłość jak najświetniejszą. Z nienawiści dla Krzyżaków przyczynił się do objęcia berła Piastów przez Jagiellonów, zabiegał na każdym kroku około wzmocnienia związku Polski i Litwy, godził zwaśnionych Jagiełłę i Witolda, uczestniczył we wszystkich za jego życia toczonych wojnach z Krzyżakami, organizował sam przeciw nim wyprawy z rozmaitym szczęściem, raz nawet dostał się do niewoli krzyżackiej, ujęty podstępnie wraz z całą rodziną. Ówczesny wielki mistrz krzyżacki Konrad Walenrod, wypuścił go jednak na stanowcze i połączone z groźbą wezwanie Władysława Jagiełły. W bitwie pod Grunwaldem chorągiew księcia Janusza, z dwoma orłami i dwoma puhaczami w białej i czerwonej szachownicy, okazała zajmowała miejsce, a przemówienie księcia Janusza po bitwie, podczas nabożeństwa dziękczynnego—z przyznaniem, że nieszczęście krzyżackie sprowa-

dził na Polskę praszczur książęcy — stało się historycznym.

Dzięki olbrzymim sumom, wyłożonym na wzniesienie kościoła św. Jana i na jego uposażenie i przyozdobienie, świątynia ta stała się jedną z najpiękniejszych w Polsce.

Zygmunt III, przeniósłszy stolicę królewską z Krakowa do Warszawy, aby mógł być bliżej swego kraju ojczystego, Szwecji, zakrzętnął się około rozszerzenia swej rezydencji i kapituły warszawskiej.

Za niego przerobiono cokolwiek front kościoła. Wewnątrz stanął wielki ołtarz (w roku 1610), istniejący do dnia dzisiejszego, prawdziwe dzieło sztuki, oraz kilka innych ołtarzy; w tymże czasie kościół wzbogacił się licznymi a cennymi utensyljami oraz pomnikami.

Najważniejsza w owych czasach przeróbka dokonana została za Władysława IV. Zmieniono wówczas cały front kościoła; przetrwało to do roku 1836-go, w którym rozpoczęła się przebudowa według planu budowniczego Adama Idźkowskiego. Wzniesiono wówczas fasadę, odpowiadającą całości gmachu i oryginalną w pomysł, uważaną przez znawców za jedno z arcydzieł budownictwa ostrołuńskiego. W ostatnich czasach zmieniono przedsionek, zastępując go nowym, iście koronkowej roboty, według planu budowniczego Józefa Dziekońskiego.

Zaciśnięta w wąskiej uliczce, katedra św. Jana kryje w murach swych mnóstwo wspomnień. Tu królowie obieralni, zaczawszy od Władysława IV-go, przysięgali na pacta conventa, owe zasady wolności szlacheckiej; tu koronowali się Stanisław Leszczyński i Stanisław August; tu złożył przysięgę ostatni król Rzeczypospolitej polskiej na konstytucję 3-go maja.

Lata biegną za latami, Warszawa w ciągu wieków różne przechodziła koleje; świątynia Świętojańska była świadkiem chwil najświetniejszych i dni pochmurnych, szczęścia i bólu narodu—i jak przed wiekami, tak też dziś wznosi dumne a piękne swe czoło, ku któremu zwracają się spojrzenia mieszkańców. A pod wspaniałym stropem tej świątyni wzlatują w niebiosa westchnienia, zarówno dziękczynne w chwilach radości, jak i błagalne w czasach nieszczęścia i smutku.

H. Michałowski.

Marywil w Warszawie.

Gdzie dziś wznosi się okazałe Teatr Wielki i Rozmaitości, za czasów króla Jana Sobieskiego była pusta i opuszczona okolica pozamiastowa. W czasach Zygmunta III stały tu drewniane budowle, na skład soli przeznaczone, czyli, jak wówczas zwano Żupa solna; ale zniszczyli je ogniem Szwedzi, zajmując Warszawę, i puste piaszczyste pole zostało.

Królowa Marja Kazimira, małżonka Jana III, na pamiątkę rocznicy zwycięstwa nad Turkami i oswobodzenia Wiednia (w r. 1683) wybudowała wielki gmach, który przeznaczyła dla zagranicznych kupców, do stolicy przybyłych na składy towarów i nazwała go od swego imienia Marywilem (*Marie—ville*).

W pierwotnym planie naśladowała paryski Palais Royal.

Gmach cały był w półkole zabudowany, w nim mieściły się: kaplica, bursa dla kupców, do czterdziestu sklepów z mieszkaniami, a w środku był ogród.

W ostatnich latach panowania Stanisława-Augusta od roku 1792—1793 Marywil liczone do znakomitszych domów zajezdnych, gdzie obok klasztoru Panien Kanoniczek były pokoje do wynajęcia.

Współczesny F. Schultz, Inflanctzyk, zacytowany przez F. M. Sobieszczańskiego w jego dziele tak opisuje Marywil w tym lat okresie:

«Szczególny to gmach w Warszawie; czegoż tu dostać nie można, i kto się tu nie mieści! Traktjernie i księgarnie, artyści i rzemieślnicy, tancieciarze i bankierzy: wszyscy razem mieszkają. Bardzo rzadko w całym tym gmachu, który do małego miasteczka jest podobny, można znaleźć stałe mieszkania niewynajęte, bo te są w całej Warszawie tutaj najtańsze; nawet sklepy w podziemiach zawsze są zajęte».

Od prawej strony Marywilu pomiędzy ulicami Senatorską i Nowo-Senatorską, kiedy żydom pozwolono w r. 1784 zamieszkiwać w częściach oznaczonych po za Starą-Warszawą, pałac Pocijów, który stał po tym skrzydle Marywilu zaczęto przerabiać na sklepy i w nich osiedlali się swobodnie izraelici.

Przybudowano rzędy sklepików o jednym piętrze, w nich to mieścił się cały handel żydowski; tu była

wszelka tandeta, stare suknie, sprzęty, kramarszczyzna cała, żelastwo, pojazdy, bryczki i uprząż na konie.

Taniej sprzedając, mniejszym ciesząc się zarobkiem, żydzi w niedługim czasie wzięli przewagę nad kupcami chrześcijańskimi, których też niedługo z całego Marywilu wyparli i sami w nim osiedli.

Jakkolwiek później przenieść się musieli w inną stronę miasta, gdziekolwiek się pojawili z tym handlem, miejsca te lud warszawski nazywa Pocijowem. Niedosyć, nazwa tej rodziny kiedyś zamożnej, dała początek przysłowiu:

«Pocijowska praca, lub robota» na oznaczenie, niemającej żadnej wartości wykonanej roboty albo czynności.

W pierwszych latach Królestwa Polskiego, ogłoszone zostały jarmarki w Warszawie; a głównym ich zbiorowiskiem był właśnie Marywil.

W pośród gwaru i tłumu jarmarcznego, wyszczerzowały się piękne i dorodne Torunianki, które w bramach umyślnie dla nich wystawionych, sprzedawały słynne pierniki toruńskie, a przy tym wypiekały wafle na poczekaniu, dla żądających tego przysmaku.

Cały świat modny zgromadzał się wtedy w Marywilu. Tłumy mieszkańców Warszawy, jak i przybyłych z prowincji, od godziny dziesiątej z rana do późnego wieczoru przepełniały obszerny podwórzec Marywilu.

Gmachy jego przez liczną ludność i długie lata nadniszczone w r. 1819 oddano na rzecz Urzędu Muncypalnego.

Panny Kanoniczki przeniesiono do kościoła i zabudowań, należących do parafji św. Andrzeja. Równocześnie, tak kaplica, jak ogród zniesione zostały.

Obszerny plac zaś następnie po przyłączeniu jeszcze przyległych, przeznaczono na wzniesienie Teatru Wielkiego. Runęły stare zabudowania Marywilu, i wznosił się prześliczny gmach dla sceny naszej, kosztem miasta do 4,300,000 złp. wynoszącym, podług planu i kierunku Ludwika Kozubowskiego, budowniczego.

Osiem lat trwała budowa tego teatru od r. 1825 do 1833, w którym ten przybytek sztuki pierwszy raz dla publiczności otwarty został.

K. Wł. Wójcicki.

Zamek Łęczycki.

Kto zwiedza Łęczycę, ten prastary gród polski, dawną stolicę rozległej ziemi łęczyckiej, nie może pominąć zamku, bo leży on niemal w samym środku miasta.

Wysiadłszy z karetki pocztowej przed hotelem Polskim, i uszedłszy kilkanaście kroków na lewo, znalazłem się wobec tego starca, co wieki przeżył, setki lat służył kilkunastu pokoleniom, a i dziś jeszcze daje przytułek kilku rodzinom. Zrobił na mnie wrażenie staruszka, wspartego na koszturach. Tu i owdzie podparty podstawą z cegieł; szczyty i dachy mchem i brzezina porośnię. Szaty podziurawione kulami na wylot lub połatane dobroczynną ręką tych, co albo pamiątkę przechować, albo sobie zapewnić schronienie pragnęli.

Z zakątków pleśń i stęchlizna wieje, wewnątrz dziedzińca lekki wiatr szepcze pieśń odwieczną, opowiada dzieje sejmów, obrad, walk, bitew, narad, huku dział i okrzyki wiwatów, jakby dotąd w te mury zaklętych, jakby grzmiących jeszcze echem po tych zaułkach tajemniczych.

Śród bagien i błot nieprzebytych, może jeszcze w epoce przeddziejowej, tu usypano wzgórze sztuczne i na nim wzniesiono zamek pierwotny. Wszak prastara Łęczyca już za czasów Bolesława Krzywoustego zaliczona była w poczet grodów ważniejszych. W r. 1180 tu odbył się zjazd panów możnych, a przewodniczył im Kazimierz Sprawiedliwy. Później kolejno przebywają na tym zamku posiadacze ziemi łęczyckiej: Konrad, Leszek Czarny, Kazimierz, a wreszcie Władysław Łokietek, a w tych też czasach odbywały się tu sejmy i synody. Zamek więc musiał istnieć, by przyjąć gości w swych murach, by bronić od napadów nieprzyjaciół wspaniałą kolegiatę tuską i miasto u stóp jej rozłożone. Naszli wreszcie ziemię łęczycką Krzyżacy w r. 1331 i spalili zamek, zrujnowali całe miasto. Kazimierz Wielki odbudowywał jednak warownię, a gdy mieszkańcy, porzuciwszy dawną siedzibę, zaczęli bliżej zamku budować domy, otacza je też murem warownym. Przewidujący król, by zapewnić załodze zamkowej wszelkie bezpieczeństwo na wypadek oblężenia, pod zamkiem urządza liczne piwnice, a z nich dwa przejścia podziemne buduje: jedno do kolegiaty tuskiej pod rzeką Bzurą, a drugie do już istniejącego kościoła z klasztorem Dominikanów (dzisiejszy gmach

więzienny). Przejścia te, aczkolwiek zamurowane mające drzwi wchodowe, istnieją dotąd. Na jedno z nich natrafiono później przy wierceniu studni na placu zamkowym.

W r. 1406 powtórnie napadają Krzyżacy i znowu palą zamek i miasto. Odrestaurowany gmach już w r. 1448 gości w swych murach Kazimierza IV, przybyłego na sejm, na którym uchwalono znany statut łęczycki. Późniejsi monarchowie również częstemi tu byli gośćmi, a szlachta łęczycka chętnie do zamku zjeżdżała, by we wspaniałych jego komnatkach dać folgę chęciom do wesolej zabawy.

Po trzech wiekach oczekiwania o mury zamku tego obili się nareszcie echa wystrzałów armatnich, a kule w pierś jego uderzyły. To szturm wojsk szwedzkich w r. 1655. Liczne zastępy żołdactwa wkroczyły do twierdzy i burząc a rabując okolicę, zapanowały nad zamkiem. W roku następnym jednak wojska polskie stanęły pod murami, by upomnieć się o swą własność. Po jedenastu dniach oblężenia Szwedzi, poniosszy znaczne straty, opuścili zamek, przedstawiający ruinę, sterczącą wśród stosu gruzów, w jakie obrócono nieszczęśliwe miasto. Odtąd już, jakby zgębiony walką starzec, chciał leć we własnych gruzach; minęły dni świetności, których powtórnie ujrzeć się nie spodziewał. Rząd pruski rozbierając mury miejskie, polecił też obniżyć wieżę zamkową, a w r. 1809 Austrijacy, zrabowawszy miasto, mścili się na rozkładającym się trupie zamkowym i w jego murach niejeden wyłom zrobili. W końcu zapragnęli przetrząść tajemnicze lochy zamkowe. Kilkunastu śmialków wtargnęło w podziemia, lecz stamtąd nie sądzony był im powrót. Padli ofiarą braku powietrza w lochach i nie posiadzy tajemnic odwiecznych, zwiększyli je jeszcze.

Opowiadane przedtym legiendy o duchach i skarbach w podziemiach zamkowych spotęgowały się odtąd pomiędzy ludem.

Skarbów tych strzec miał djabeł Boruta, w chwilach wolnych wiele figlów płątający mieszkańcom okolic. Błądził on po moczarach podmiejskich, zaczynał po drodze zakonników, strofując za odmawianie pacierzy wieczornych rano, lub rannych wieczorem, podróżnych na trzęsawiska naprowadzał i śmiał się później, a śmiał głośno i donośnie, że śmiech ten w mieście słyszać było. Pewnego razu wybrał się nawet na wesele, a gdy zbyt

natarczywie zapraszał pannę młodą do tańca, urażony małżonek wyzwał go na szable. Boruta w pojedynku stracił dwa palce. Innym razem tenże Boruta w jakiejś swadzie stracił piętę, przytrzaśniętą mu drzwiami. Lud go widywał. W kontuszu, przy szabli, kulawy, zawsze był wesół, ale po północy do swych skarbów powracał i zasiadał na beczkach złota. Dziś cicho o Borucie i o jego figlach, ale w istnienie skarbu mieszkaniec Łęczycy wierzy i zawsze na zamek spogląda jak na wielki los, w kole loteryjnym ukryty. Niedawno nawet zamieszkały w zamku ogrodnik z bratem, przed kilkunastu laty chciał się dokopać wrót, z wieży do lochu prowadzących, by stamtąd wydobyć nareszcie owo złoto. Obsunęła się ziemia i zginęli straszną śmiercią chciwi grosza ludzie.

A zamek ten był wielokrotnie i dla wielu pokusą.

W r. 1833 burmistrz ówczesny mury zaczął rozbierać, by dom sobie z cegieł postawić. Władza jednak te zapędy burzyciela pamiątek ukróciła. Powoli jednak czas zębem swoim zaczął kruszyć mury. Pewnego ranka oberwała się ściana z lewej strony podwórza, spadając na dół i obnażając część domu drewnianego, zajmowanego wówczas przez sekretarza magistratu. Nieco później oberwał się w nocy cały narożnik od strony rzeki, to znowu narożnik z głównego gmachu. Wówczas to obniżono mury, rozebrano narożnik przy bramie, a miejsca zagrożone podmurowaniem wzmocniono. Wewnątrz stoi budynek o bardzo grubych murach, zajmowany na piekarnię wojskową. Dawniej podobno służył na skład broni i prochu. Po lewej stronie bramy stoi gmach główny z marmurowym obramowaniem u okien, dotąd w części mieszkalny. Po prawej stronie wieża o murach kilkułokciowej grubości. Do zamku wchodzi się przez bramę wprost z rynku, z przeciwnej strony, poziom ulicy za murem tylnym jest o trzy piętra niżej. Wewnątrz więc był nasyp sztuczny, a w nim są piwnice.

Zostawmy ich tajemnice pokoleniom następnym. Uszanujmy tę ciszę i spokój, wiejące z tych murów, co lat siedemset na burze i walki spoglądały. Szat strzępionych przez Tatarów, Szwedów, Prusaków i wojska austriackie nie targajmy do ostatka; te sale, co echem mów królewskich i rycerzy przesiały, tę ziemię, co stopy przodków walecznych zdeptały, pożegnajmy z uczuciem szacunku i pozwólmy, aby te szczątki same w proch się rozsypały; a nim to nastąpi, by były jeszcze czas

jakiś pamiątką dla dzieci naszych i wskazówką, skąd czerpać mają wytrwałość w pracy na polu nowego życia, nowych celów.

L. V. Jacques.

Puszcza Białowieska.

I.

Nie ma już stara Europa równie obszernych lasów, jak te, które się ciągną nad górną Narwią w guberni Grodzieńskiej, na przestrzeni około 17 mil kwadratowych, a które puszcza Białowieską zowiemy.

Wspaniała swą powagą i obszarem, tajemnicza swą niedostępnością, szumi ona od wieków, obojętna na zmiany pokoleń ludzkich, boć dla jej niebotycznych dębów i sosen zab czasu zda się tylko igraszką, a lata, jako jedna dla innych chwila.

Groźna zasiekami, niedostępными gąszczami i bagnami, bywała puszcza bezpiecznym schronieniem przed morową zarazą, napadami tatarskimi i najazdem Szwedów, a liczny zwierz pędził tu żywot w pierwotnej niemal swobodzie i spokoju.

Abym się wszakże dostać w głąb puszczy, jedzie się od strony Bielska krajem otwartym, płaskim, gdzie tylko przyrzeczne łąki przerzynają jasną zielenią jednostajność szarej, uprawnej ziemi, bo lasów naokół puszczy brak już zupełny, i oko objąć może daleki widnokrąg, na którym jedyną różnaitość tworzą dwory szlacheckie i bogate osady chłopskie.

Od Hajnówki dopiero poczyną się zarysowywać dookoła ciemno-siny pas lasu.

Droga z Hajnowszczyzny prowadzi do Białowieży i dalej przez lasy. Jest to trakt pocztowy między Brześciem a Grodnem.

Zrazu pojedyncze wysuwają się sosny z fantastycznie powykęcane konarami, niby na straży stojące wojsko z bajecznych podań ludowych.

Ale oto i sama puszcza. Sosna, dąb, jesion, osika, świerk, rosną tu obok siebie w bezpośrednim sąsiedztwie. To też zajrzawszy w głąb, dostrzega oko wszystkie odcięcia zieloności, a ta różnaitość odejmuje widokowi pośpy charakter jednolitego lasu, jaki tylko w pojedynczych częściach straży się znajduje.

Łagowski.—Wypisy polskie—II.

Obok tej cechy nadzwyczajną jest również wyniosłość drzew, które dążąc do światła, jakie tylko góra zachwycić mogą, strzelają ku niebu równym, wysmukłym pniem i tam dopiero rozkładają się w gałęzistą koronę. Nawet rozłożyste zwykle lipy i dęby przypominają tu raczej wysmukłe topole, u których stóp młoda rozkłada się zielen.

Mijając wielką smolarnię i baniaste piece do pędzenia terpentyny, dostrzegamy wkrótce bogatą zagrodę z ładnym, drewnianym domkiem, który jest mieszkaniem wielkiego łowczego, a całe ogrodzenie kilkowłókowej przestrzeni tworzy miejsce, przeznaczone na zwierzyniec dla jeleni, sarn, łosiów i żubrów.

Grunt tu przedstawia równinę, gdziekolwiek tylko falistą, poprzecinaną wielu rzekami i strumieniami. Liczne są wszakże ostępy, bagna i oparzeliska, kędy stopie ludzkiej wstęp utrudniony, gdzie bezpiecznie kryje się zwierz dziki, i wznoszą spróchniałe zawały drzewne, które niby domy piętrzą się jedno nad drugim. Bo skoro legnie olbrzym wiekowy, druzgocąc wkoło siebie niedorosłą młodzież, wyrывa też korzeniami swemi szeroką przestrzeń ziemi i wnet w powstałych dołach zbiera się woda, a gdy tak grunt pełen jest zasadzek i przeszkód, wyziewy zgnilizny przesycają powietrze.

Ostępy takie omija uważnie człowiek, bo jak mówi Mickiewicz w IV księdze pana Tadeusza:

„Któż zbadał puszczy litewskich przepastne krainy
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?
Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;
Myśliwiec kraży koło puszczy litewskich łoża,
Zna je ledwie po wierzchu, ich postać i lice,
Lecz obce mu ich wnętrze serca tajemnice,
Wieść tylko albo bajka wie, co się w nich dzieje,
Bo gdybyś przeszedł bory i poszyte knieje,
Trafisz w głębi na wielki wał pniów, kłód, korzeni,
Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni
I siecią zielsk zarosłych i kopcami mrowisk.
Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkim męstwem,
Dalej spotkać się z większym masz niebezpieczeństwem:
Dalej co krok czyhają niby wilcze doły,
Małe jeziora, trawą zarosłe na poły,
Tak głębokie, że ludzie dna ich nie dosłedzą,
(Wielkie jest podobieństwo, że djabły tam siedzą).
Woda tych studni lśni się, plamista rdzą krwawą,
A z wnętrza ciągle dymi, zionąc woń plugawą,
Od której drzewa wkoło tracą liść i korę;
Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore,
Pochyliwszy konary mechem koltunowate,
I pnie garbiące, brzydkimi grzybami brodate,

Siedzą wkoło wody, jak czarownice kupa,
Grzejąca się nad kotłem, w którym waży trupa.

Za temi jeziorami już nie tyle krokiem,
Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem,
Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem,
Co się wiecznie ze trzęsnych oparzelisk wznosi.

II.

Wrażenie wspaniałości puszczy wzrasta w porze jesiennej, gdy liście różnych odmian drzew zabarwiają się, od ciemnej purpury do jasno złocistych odcieni, i w bladym świetle pół-mroku, jaki tam stale panuje, w uroczystej głębokiej ciszy, z lekkim szelestem ścielą się na ziemię, niby deszcz barwnych drogich kamieni.

Pięknym mianowicie jest ostęp Starego Zameczyska, gdzie klon, dąb, sosna rosną w pomieszaniu obok siebie, a u stóp grubych ich pni, których nie zdołają objąć ramiona trzech mężczyzn, szarzeje niska gęstwina. Tutaj właśnie poznać można tak zwane suche drzewko, roślinę dziwną: wydaje się uschłą, choć rośnie i żyje. Miejscowi ludzie utrzymują, że jedynie to miejsce upodobała ona sobie i oprócz puszczy nie znajdzie jej nigdzie.

Ostęp ten zwie się Zameczyskiem dla niegdyś stojącego tam zamku, i choć nikt nie pamięta, kiedy to było, wszelako o rzeczywistym jego istnieniu świadczą stosy olbrzymich głazów i widoczne szczątki podwalin grubych murów, pośrodku których obecnie wyrastają stuletnie może już drzewa.

Wśród Budników, t. j. chłopów zamieszkujących puszczy, krają wieści o niezmiernych skarbach, ukrytych tam w podziemiach, skarbach, które zapadają się głębiej, gdy je ręka ludzka odkrywszy, zagarnąć zamierza. Nic zresztą dziwnego, że podań, legend i baśni nie brak u tego ludu, którego wyobraźnię wykołysała pełna tajemnic cisza leśna.

W samym środku puszczy leży obszerna wieś, Białowieżą zwana, mająca do jedenastu wiorst rozległości, zamieszkała przez ludność mieszaną.

Nazwa wsi jako i całej puszczy, pochodzić ma od jakiejś białej wieży, która się tu przed wiekami wznosiła, po której jednak śladów dziś już nie ma.

Lud puszczański przeważnie zamożny i oświecony, zamknięty w puszczy zdala od świata, zachował więcej dawnych zwyczajów i tradycji, niż mieszkańcy okoliczni.

Rośli, chociaż bardzo szczupli, o ciemno bład wło-

sach, wielkich niebieskich oczach i delikatnych rysach twarzy, są oni nad wyraz sympatyczni. Mowa ich przeciągła jest i śpiewna, więcej aniżeli w którejkolwiek części kraju.

Puszcze swą kochają nadewszystko i za nic w świecie nie przenieśliby się na odkryte pola, a uważając się z dawną za równych drobnej szlachcie, dbają o to, by każdy z nich miał naukę, t. j. każdy umiał czytać i pisać.

Zważywszy obszar i niedostępność puszczy, łatwo nam pojąć, że tylko wychowany w niej mieszkaniec może ją znać na tyle, by nie zablądzić, to też nawet urząd leśniczych przechodzi tu z ojca na syna, tworząc niejako odrębną kastę.

Zwierzyna, a mianowicie żubry kryją się w puszczy tak, iż możnaby ich długo tam szukać z wątpliwym powodzeniem. Ale zamówieni chłopci z Bud i puszczańscy, umieją zapędzać ich przed oczy zwiedzających, którzy im wtenczas dokładnie przypatrzeć się mogą, ukryci za grubemi pniami drzew.

A nie próżną jest ta ciekawość, boć wszakże tu tylko spotkać się można z żubrem, tym królem lasów i jedynym już przedstawicielem swej odmiany, choć przed wiekami, jak twierdzą o tym kroniki, zamieszkiwał on również lasy Francji i Niemiec, a polowanie na niego uważane było za wyłączny przywilej królewski.

Żubr litewski przypomina pokrewnego mu bizona amerykańskiego, tylko głowa u bizona jest mniejszą i mniej wyniosłą przód, garb też na grzbiecie nie tak wydatny i nieco jeszcze krótsze nogi. Szeroko rozwiniętą przednią część ciała, pokrywa czarny, kudłaty długi włos, który pod pyskiem w długą opada brodę, gdy na tylnej, stosunkowo szczupłej, porasta włos krótki i lśniący. Oczy dzikie krwią nabiegłe, rogi na głowie krótkie, prosto i silnie osadzone.

Liczba żubrów nie przenosi obecnie pięciuset sztuk, mimo troskliwej opieki, jaką objęto w ostatnich czasach nad nimi.

Nawet surowe kary wyznaczone na „kłusowników“ t. j. złodziei zwierzyny, nie usunęły ich w zupełności; dużo też szkody wyrządziły wilki, które rozmnożyły się w ilości nadzwyczajnej, gdy przez jakiś czas, właśnie dla ochrony żubrów, wzbronionym zostało wszelkie polowanie w puszczy, a jeśli, jak twierdzą budnicy, żubr łatwo pokonywa niedźwiedzia, to napadnięty przez wilki, ulec im w końcu musi.]

Jest to zresztą zwierzę płochliwe, mimo nadzwyczajnej swej siły i gdy puszcza coraz więcej się zaludnia i ruch na drogach wiodących przez ostepy, zwiększa się z każdym rokiem, nie ma on już dawnej swobody na szerokich obszarach, lecz bojaźliwie usuwa się w uroczyska.

W zwierzyńcu jest ich obecnie trzydzieści pięć sztuk, stanowiących jedno stado. Ostrożnie wszakże trzeba zbliżać się ku nim, bo skoro dojrzą człowieka, płoszą się i rozbiegają z nadzwyczajną szybkością. Nawet młode cielątka z nadmiernie dużym łbem w stosunku do drobnego wzrostu ciała, które niby czarne kule skaczą wesoło i zwinnie obok swych matek na polance, lub skubią soczystą trawę, baczne są na lada szmer i raz po raz podnoszą kudłaty łeb, nastawiając uszy.

Rzadko kiedy żyjąc w stadzie, uderzają żubry na człowieka, tylko stare samce chodząc pojedynczo, są zuchwałe, złe i bywają niebezpieczne. Zimową porą zwłaszcza, często taki samotnik staje w poprzeg drogi i jakby szukał zaczepki nie ustępuje nie tylko pojedynczemu człowiekowi, ale i gromadzie całej. To też gdy chłop puszczański, jadący saneczkami, dojrzy z daleka tę czarną, olbrzymią postać, zjeżdża natychmiast w las, uciekając przed oczywistym niebezpieczeństwem.

Oprócz żubrów kryje puszcza w swym cieniu wielką ilość drobniejszego zwierza, więc raz po raz rdzawe futerka sarn i jeleni migają wśród zarośli, lub wysunie się wdzięczny łebek łani i wielkie jej szafirowe oczy, rozglądają się niby zdziwione dokoła. Chwila jedna, a już jej niema, tylko gałązki drżą poruszone lekkim skokiem uciekającej.

Ale oto i łos wielkości dużego żrebaka z rozłożystymi, płaskimi rogami. Widno nie do smaku mu suche wzgórze leśne, bo najchętniej odbiega ku bagnistym uroczyskom, a tych znajduje najwięcej w lasach Świśtockich, które ostatniemi czasy do puszczy przyłączone, były niegdyś własnością rodziny Tyszkiewiczów.

z Wieczorów Rodzinnych.

Mazury.

Za dawnych czasów dysputowano nieraz, która prowincja stanowi najlepszą część Rzeczypospolitej Polskiej; więc każdy uznawał za takową tę, w której się urodził, lub w której zamieszkał. Były to spory niewinne a nierozstrzygnięte, boć oczywista rzecz, że wszystkie prowincje były zarówno dobrymi, tylko, że niejedni w duchu myślał sobie, ba i myśli dotąd jeszcze, że ta okolica, w której się urodził, jest najpiękniejsza. Stąd, póki innych nie zobaczył miejscowości, myślał, że właśnie w jego zakątku wszystko jest najlepsze. Do plemion, składających Polskę, liczą się i Mazury, którzy zamieszkiwali szeroki pas ziemi, od ich imienia nazwany Mazowszem. Mazowsze od południa kończyło się na rzece Pilicy i sąsiadowało z Małopolanami; na wschód ciągnęło się do Niemna, na północ do Bałtyku, a na zachód szły daleko mazurskie sioła, gdzie dziś i śladu tej ludności niema, prócz w poprzekręcanych z niemiecką nazwiskach miast i wiosek mazurskich.

Od strony północno-wschodniej lud mazurski mieszał się z ludem litewskiego pochodzenia; ale pomimo różnicy plemiennej i języka, obydwa te szczepy żyły zgodnie z sobą, a rodziny nieraz się łączyły, jakby przezuwając mające kiedyś nastąpić dobrowolne zjednoczenie się. Lud mazurski dzielił się jeszcze tak, jak każdy inny w całym świecie, na rozmaite małe plemiona, nazywane od okolic, w których one mieszkaly. Dzisiaj te nazwy nie już nie stanowią, gdyż Mazury również, jak i inne większe plemiona, przestały już być od wieków plemionami oddzielnymi, a są tylko narodem polskim, w różnych stronach naszego kraju zamieszkałym. Między polaków, którzy od Mazurów pochodzą, weszło także wielu kolonistów niemieckich i osiadło między niemi, jednak ludności naszej jest jeszcze wiele w prowincjach, zwanych Prusy właściwe i stanowiących część państwa Pruskiego, oprócz tego zamieszkuje ona część Pomorza. Tu, nad rzekami Lebą i Szklabą, gdzie za czasów polskich były starostwa Bytom i Lębork, przebywa jeszcze do 200,000 mieszkańców polskich także mazurskiego pochodzenia. Niemcy poprzęzywali inaczej dawne mazurskie nazwiska miast i wsi, ale ludność tamtych stron nazywa je zawsze tak, jak zdawna, i ani spamiętać może tych nowych niemieckich imion. Więc gdy u niem-

ców nazywa się miasto Berend, to Mazury mówią po swojemu Kościerzyna; Schönek-Skarszewy, Neustadt-Wejrowo; Dirschau-Tczewo; Hohenstein-Pszczółki; Cechlau-Ciechoczewy; Buschpol-Boże pole i t. d. Mazury cenieni byli zawsze w Polsce, jako ludzie pracowici, zabiegliwi, a w służbie wojskowej żołnierze nieporównani.

Jak wysoko ceniono dawniej charakter Mazurów, to najlepiej wskazuje odwieczne przysłowie polskie, wyliczające cztery rzeczy najlepsze na świecie: koń turek, chłop mazurek, czapka magierka, szabla węgierka. Nazywano ich jeszcze prawowiernymi Mazurami, gdyż byli do wiary katolickiej zawsze żarliwie przywiązani. Mówiono też jeszcze o Mazurach, zwłaszcza o tych, co w dawnej ziemi Wyszogrodzkiej mieszkali: «ślepy Mazur,» a ten przydomek powstał stąd, że w bitwie zacięcie walczyli choćby przeciw najliczniejszemu nieprzyjacielowi. Dla tej ich odwagi, było za dawnych czasów najwięcej w całej Polsce szlachty mazurskiego pochodzenia; bo wiele ludu, z tej prowincji pochodzącego, obdarzano przywilejem szlachectwa i ziemią w różnych stronach kraju. Na Mazowszu nie było nigdy wielkich magnackich majątków: miał kto wioskę jedną, lub dwie, to już był bogatym. Po największej jednak części wioski były dawniej porozdzielane na części i cząstki: tu sobie mieszkala drobna szlachta, tu znowu kmiecie, albo też razem i w jednej wiosce obok siebie żyli, bo tak różnie bywało, jak Bóg dał. A że gruntu nie mieli wiele, więc Mazury rozchodzili się po świecie za szczęściem i osiadali po różnych stronach Polski, gdzie często nadawano im jeszcze ziemie obszerne za ich zasługi na wojnie. Stądto Mazurów spotykamy i na Podlasiu, na Litwie, Ukrainie, w Kurlandji i w wielu jeszcze innych miejscach, gdzie zamieszkiwali czy pojedynczo, czy też całymi osadami, jak np. na Litwie. Byli też między niemi i tacy, co nawet w daleki świat, aż za morze wędrowali, gdzie niejedni z nich odznaczyli się później znakomitemi czynami. Jeden z tych Mazurów—Arciszewski, był wodzem wojsk holenderskich i walczył świetnie aż w południowej Ameryce.

Żadne może plemię polskie nie było tak związkami familijnymi połączone z sobą, jak Mazury. Drobna bowiem szlachta, będąc spokrewnioną przez rozmaite koligacje z bogatszymi, wchodziła znowu w związki z kmieciami tak, że dziś wszyscy tu z sobą spokrewnieni i wszyscy swojacy. Niektórzy, co nie znają Mazow-

sza, mniemają, że ten lud nie jest tak hoży, jak np. Krakowiacy: zdanie takie jest błędne, bo Mazury nie ustępują nikomu i w niczym. Już Święcki, opisując Mazurów, tak się o nich wyraża: «lud wiejski, hoży, wesoly, odważny, a bitny. Strzelbę na odpusty i jarmarki każdy z sobą nosi, stąd wiele kalectw i zabójstw się zdarzało. Teraz jednak strzelby już się nie nosi, ale często przy zwadzie kolki z płota są w wielkim użyciu».

Zresztą jest to wyborowy lud pod każdym względem, zdalny do wszelkiej roboty i ochoczy do niej. Umie się też i wesoło zabawić i lubi śpiewać tak przy pracy, jak i przy odpoczynku. Więcej ma tańców swoich własnych niż wszelkie inne polskie plemię. Ma bowiem aż dwa tańce narodowe: mazura i obertasa.

Mazur, owa świetna melodia, którą gdy usłyszysz, to aż krew jakoś raźniej płynie ci w żyłach, jest huczny i wesoły, ale ma w sobie odrobinę czegoś smętnego, niby przypomnienie czegoś. Taniec znowu jest jakby nieporównanego wdzięku marszem, niby pochodem wspianym wojennym albo tryumfalnym. Patrzmy: oto już pary suną mazura; jak zgodnie mkną długi ich szeregi, para tuż za parą. Wszyscy tak robią, jak przodujący prowadzi. Nareszcie zatrzymali się i przytupnęli, jakby im coś na przeszkodzie stało, więc razem biorą [się do dzieła i już znowu naprzód biegną. O! w mazurze jest niejako cała przeszłość wyrażona!

Z mazura, niby idei prowincjonalnej, wyrobiono inną, która dla całego już kraju służy i nosi nazwę poloneza (Polonusa); z melodji podobny do mazura, nosi jeszcze większe do niego podobieństwo w wykonaniu samego tańca. To już nie pochod młodości, to marsz ludzi dojrzałych, pełen powagi i taktu. Obertas, niby przeciwieństwo niemieckiego «langsam walca», tak czczego w myśli, tak wirującego aż do znużenia zawsze w jednym kółku, tańczy się u nas na lewo, czyli w inną stronę, jak walce, a z wielką zręcznością i z życiem.

Prócz obdarzenia tak pięknymi tańcami całej Polski, Mazury przysłużyli się jej jeszcze wybornym gatunkiem płacków, które się od ich imienia mazurkami zowią. Co do mowy swojej to Mazury mówią czystym polskim językiem, tylko, że lud wiejski w dialekcie swoim robi małą zmianę głosek *sza, cza*, wymawiając *sa, ca*, prócz tego *ż* wymawiając jak *z*.

Ubiór włóścian składa się z siwo-białej kapoty sukiennej, która u bogatszych jest koloru granatowego,

a w każdym razie ma pętle, czyli szamerowanie na piersiach, czego, wogóle przy ubiorze swym lud polski zawsze chętnie używa. Sukmana jest przepasana czerwonym włóczkowym pasem, a to przy kolorze granatowym wcale pięknie odbija. Przytym noszą buty długie, co jest również wszędzie w Polsce ulubionym zwyczajem, a czapka Mazura wielka, wysoka, z siwego baranka, z dnem aksamitnym i kokardami ze wstążek z boku kończy ubranie. Kobiety na Mazowszu ubierają się pięknie, a może często porządniej, niż w innych stronach kraju. Noszą one granatowy kaftanik z guziczkami, spódnicę różnowzorzystą i fartuch. Na głowie układają niby zawój z chustki zrobiony, pod którą mężatki kładą jeszcze czepek. Do skompletowania ubioru należy jeszcze noszenie na szyi paciorków wielkich z bursztynu, jaki się wykopuje najczęściej w Ostrołęckim, a który jest wyrzucany przez fale Bałtyku naszego. W niektórych okolicach Mazowsza ubiór ten czasami jest odmieniny, zwłaszcza co do kolorów, np. Kurpie, czyli mieszkańcy Ostrołęckiego, noszą sukmany brunatne.

Pod względem wartości ziemi i jej dobroci do uprawy rozmaitych gatunków zbóż, to Mazowsze ma dobrą ziemię, która najlepszą jest w Ciechanowskim, Wysogrodzkim i w okolicach Grudziądza.

Z. Gloger.

Kurpie.

Odroślą Mazurów są Kurpie, zamieszkujący okolice rzeki Narwi (od miasta Ostrołęki do Łomży), w kierunku północnym ku miastu Myszyncowi, a na południe do miasta Broku nad Bugiem.

Kurpie czyli Kurpiki od niepamiętnych czasów zaludniają słynne niegdyś swoją rozciągłością i zwierzyną puszcze Mazowieckie, poczynające się w okolicach Ostrołęki i ciągnące się aż do granic Niemna. Żyjąc w pewnym odosobnieniu, wyrobili oni sobie odpowiednio do ziemi, która była dla nich ojczyzną, właściwy sobie charakter, gospodarstwo, sposób życia i obyczaje. Kurp' mało mając ziemi, zdatnej do uprawy rolnej, zwrócił

całą swą uwagę na korzystanie z pólów, jakie dać mu mogła puszcza. Dlatego mniej był rolnikiem, a więcej łowcem, myśliwcem i bartnikiem, czyli pszczolarzem. Na małych półkach wokoło chaty, zakładał ogrody, gdzie oprócz warzywa, koniecznego na domową potrzebę, główne miejsce zajmował len i konopie, z których niewiasty wyrabiały płótno nie tylko na własny użytek, ale i na sprzedaż. Kilka krów, obficie karmionych na bujnych pastwiskach, dawało dostatek nabiału, masła i sera; trzódka zaś owiec miejscowego gatunku dostarczała wełny na sukmany, spodnie i jubki, skóry na kozuchy, mięsa na pokarm i łoju na omastę. Zanim poznano kartofle, czyli ziemniaki, na owych drobnych półkach sieli Kurpie grykę czyli tatarkę i groch, oprócz żyta na chleb. Kurp', osiadły w dzikiej puszczy leśnej, nie mógł utworzyć gromadnych wiosek, jak to miało miejsce w innych okolicach z uwagi na wspólne bezpieczeństwo i inne dogodności społecznego życia; stąd też pierwotne kurpiowskie osady, pojedynczo rozrzucone, zaledwo później po wytrzebieniu miejscami lasów zaczęły się układać w większe osady, a następnie wioski. Samotne życie w szczupłej gromadce jednej tylko rodziny wytworzyło w nich charakter szorstki i zamknięty w sobie; ale za to znowu ciągła praca wyrobiła w nich niezwykłą zręczność ciała i wytrzymałość na wszelkie trudy. Kurp' oddawna słynie jako zawołany myśliwiec i celny strzelec, co uwieczniono nawet przysłowiem: «strzelać jak Kurp'». Wyrządzoną mu krzywdę, a nawet urazę, niełatwo przebacza, ale też znowu wyświadczone sobie dobrodzieństwo umie cenić i odwdziżyć.

Nazwa Kurpiów, którą się i sami mianują, choć niejednemu zdawać się niewłaściwą i ubliżającą, w pomnikach piśmiennych pojawia się dopiero w XV wieku w zastosowaniu do mieszkańców puszczy: Łomżyńskiej, Skwańskiej i Ostrołęckiej. O dawności ich siedzib najlepiej przekonywa ustawa bartnicza, spisana z ustnych podań przez K. Niszczyckiego, starostę ciechanowskiego i prasnyskiego, a zarazem dzierżawcę starostw w wielkich lasach zamieszkałych przez Kurpiów. Prawa, tą ustawą objęte, dochowane za pomocą ustnego podania, i święcie pomiędzy Kurpiami szanowane, niewątpliwie sięgają bardzo odległych czasów.

Kurpiom bartnikom, owym stróżom dzikich pszczół i pszczelnictwa leśnego, zawdzięczamy wytworzenie bogatego języka z dziedziny przemysłu pszczelniczego,

który wiekami urabiając się, tak wzbogacił nasz język, że wiele innych może nam pozazdrościć takiego mnóstwa wyrażań dotyczących bartnictwa.

Od dziecinnego już wieku Kurpie zaprawiali się do pracy i trudów życia; przed upowszechnieniem się strzelby siedmioletni Kurpik musiał już strzelać z łuku zrzuć z wierzchołka wyniosłej sosny lub dębu, zawiązany tam przez ojca, kęs chleba, zanim go mógł spożyć; następnie zaś kulą strącać go musiał. Nie też więc dziwnego, że jeden Kurp' raz pewnego popisowywał się przed królem Stanisławem Augustem w ten sposób, iż strzelając do tarczy, wypisywał na niej kulami litery S. A. R., tak złożone z sobą, jak to widać na strojach z owego czasu.

W dawnych czasach Kurp' łowiec polował całymi dniami i nocami; upędzał się w ciemnej puszczy za niedźwiedziem, którego skóra dawała piękny grosz, a łapy i polędwica wyborną strawę, krzepiącą jego siły i odwagę; polował także na rysie, brodate żubry i tury, rosochate łosie i raczej jelenie; wdzierał się na drzewa, aby z leśnych barci podbierać miód i воск; stawiał więcierze na jeziorach i rzekach, sidła na dzikiego zwierza i ptactwo, nie myśląc o tym, że ktoś może wzbronić mu łowów w nieprzejrzanym kniejach, i byle tylko miał strzelbę i proch, nie pytał o granice, ale szukał zwierzyny. Bartnictwo, łowy i ćwiczenia strzeleckie były niemal wyłącznym zatrudnieniem Kurpiów.

W obecnych czasach, gdy przetrzebiono puszcze, a niektóre nawet wycięto, znikły barcie pszczół leśnych, a zwierzyna wyginęła, zubożeni tedy Kurpie musieli zmienić sposób życia. Trudnią się więc teraz najwięcej ścinaniem drzewa, żdzieraniem kory, wywózką i orylką. Uprawa roli także się powiększa, oraz różne rzemiosła. Zamieszkali w puszczy Skwańskiej w r. 1652 uwolnieni zostali od pańszczyzny i wszelkich danin, a płacili tylko umiarkowany czynsz, to też należeli zawsze do zamożniejszych niż inni. Spodziewać się więc należy, że i reszta tego przemysłnego i pracowitego ludu wskutek uwłaszczenia włościan dojdzie także do lepszego bytu.

Ogólną liczbę Kurpiów podają na 60,000.

Zwyczajnym ich ubiorem jest sukmana po kolana z ciemno-siwego sukna z granatowymi klapami, ze stojącym kołnierzem, fałdowana z tyłu, z kieszeniami po bokach i pas czerwony lub różnokolorowy wełniany.

Kapelusz nizki z wążkami skrzydłami, obwiązany sznurkami szychowemi z kutasami, ozdobiony jak zwykle pawim piórem. Noszą także i baranie czapki. Obuwie stanowią chodaczki z łyka lipowego lub ze skóry. Biała koszula zawiązuje się pod szyją czerwoną wstążką; spodnie płócienne lub sukienne. Inni Kurpie, zwani Gociami, to jest ci, którzy odrabiali pańszczyznę czyli zaciąg, noszą sukmany długie, parobczaki zaś w święta noszą spencerki granatowe i także spodnie, pasy zaś różnokolorowe. W ubiorze płci żeńskiej niema różnicy. Kobiety w dzień powszedni noszą sukmany bure lub siwe, spódnice w pasy własnej roboty; głowy okrywają dużą chustką, związaną w tyle; latem chodzą boso lub w chodaczkach, a w zimie w trzewieczkach z czarnej skóry. W niedzielę lub święta dziewczyny ubierają się w różnobarwne gorsety i w jasne perkalowe spódnice głowy okrywają jak mężatki. Pończochy są lniane lub wełniane, a trzewiki sukienne, najczęściej niebieskie, na wysokich korkach; koszule białe płócienne wyszywane bywają przy kołnierzu, ramiączkach i rękawach czerwonym gurem czyli sznurkiem. W zimie, zamiast gorsetów, ubierają się w kaftaniki sukienne granatowe lub zielone, fałdowane z tyłu, zapinane na guziki; na głowę zaś kładą czepek pod chustkę. W stronie północnej ubiór ten zmienia się nieco: sukmana bowiem jest tam z grubego sukna szarego, u chłopów krótka do kolan, pas rzemienny szeroki, kamizelka z perkalu czerwonego, w żółte kwiaty, spodnie szerokie płócienne lub sukienne, ale białe z wypustką czerwoną lub zieloną, onuczki ponad kostkę. Zamożniejsi noszą długi surdut z sukna granatowego i także spodnie, na głowie czapkę rogatą z barankiem, buty w święto, chodaki w dzień powszedni.

Wyborne ziemniaki z piaszczystej roli, a kapusta z przybliżonych nizin, oraz wieprzowina i słonina, barszcz i flaki są podstawą pokarmu Kurpiów, groch zaś, jak na całym Mazowszu, ulubionym przysmakiem i przyprawą weselnych uczt, oraz placki gryczane, które dały nawet przezwisko Gryczanów owym Kurpiom; zamieszkaliśmy w Nowogrodzie przy ujściu Pisny do Narwi, dlatego, że ci trudnią się wypiekiem i sprzedają tych ulubionych placków.

Konie tutejsze, lubo nadzwyczajnie małe, są jednak wytrwałe i rące; nie zwalniają one biegu i po sypkim piasku.

Do sposobu zarobkowania policzyć należy i kopanie bursztynu, czemu chętnie się oddają i z którego wyrabiają różne części do fajek oraz inne przedmioty służące do ozdoby lub użytku codziennego, z taką dokładnością, że i najlepszy tokarz lepiej nie zrobi. Wyrabiają także wozy, brony, kopanki (noszki), łopaty i inne przyrządy domowe. Wyroby te sprzedają na targowiskach pobliskich miast i miasteczek, suszone zaś grzyby wywożą do Warszawy a nawet i dalej.

Kurpie mają także zwyczaje tylko sobie właściwe. I tak: gdy jedno z małżonków jest wdową lub wdowcem, wtedy małżonkowie tacy nie wchodzą do swojego domu drzwiami, ale oknem z tego powodu, że kiedy pierwszy mąż lub żona, choć wchodzili drzwiami, a po marli, zatem lepiej wleźć oknem, aby nie umrzeć tak rychło. U Gociów znów zachowuje, a przynajmniej zachowywał się zwyczaj, że weselnicy drugiego dnia po ślubie szli do dworu na «dzień dobry». W takim razie drużbowie, przywiązawszy chustki do żerdzi, powiewali niby chorągiewami. Jeden z nich zaś dziwacznie przebrany, występuje jako dobosz: zamiast kaszkieta ma baryłkę, ręce zaś słomą pookręcane, a niosąc przed sobą ceber, wywrócony do góry dnem, bębni na nim z całej siły. Po ucztowaniu we dworze gorzałką, wytańczywszy się z parą godzin, odchodzą, dziękując temi słowy: «Pseprosoma wielmożnych państwa, ześmy sobie narobili subiekeyi». Powróciwszy do domu, hulają jeszcze przez cały tydzień lub dni kilka, wedle zamożności, dłużej lub krócej.

Znane są tu i inne wesołe zabawy, stosownie do pory roku lub jakiejś okoliczności, mniej więcej także same, jak w innych stronach kraju. Zabudowania mieszkalne i gospodarskie mogą być wzorem dla wszystkich zresztą Mazurów. Niema tu w izbie razem z dziećmi cieląt, prosiąt i gęsi; chata zazwyczaj w węgiel zbudowana, obszerna, okna czyste i duże, częstokroć nawet z pomalowanymi okiennicami. Wewnątrz jedna izba większa, druga mniejsza, wszystko ochędóżne; piec zwykły z polewanych kafli, na półkach misy i naczynia kuchenne, w głębi czyściutki stół, a przy oknach krośna tkackie. Dawniej na ścianie każdego niemal domostwa wisiała strzelba, torba borsucza i inne przyrządy myśliwskie.

Al. Połujański pisze *): «Pobożność Kurpiów widzieć się daje w obchodzie dni świątecznych. Święto niedzieli zaczyna się zwykle od południa w sobotę. Do kościoła uczęszczają gromadami. Prawie każda wieś stanowi rodzaj bractwa kościelnego i posiada swe chorągwie... Gdy panuje epidemia lub innego rodzaju klęska, wtedy taka uroczysta procesja odbywa się w pole lub na drogi krzyżowe, gdzie stanawszy, całe zgromadzenie słucha Ewangelji, przez włoścjanina czytanej, a następnie kazania tegoż... Chrzcziny, małżeńskie gody i zabawy w dniu świąteczne odbywają się zwykle w karczmie przy kieliszku, śpiewach i skokach z tą osobliwością, że mężczyźni bawią się w swoim kółku, kobiety zaś oddzielnie...»

Lubo u mieszkańców puszczy i innych postronnych okolic, tak samo jak u górali, stare zwyczaje dłużej się utrzymują, uległy one jednak w postępie czasu i u Kurpiów różnym zmianom. Ze starodawnych obrzędów i zwyczajów wiele poszło w zapomnienie. Dawne odwieczne obuwie, od którego (jak utrzymują niektórzy) przybrać mieli swoją nazwę, a nie odwrotnie, choć sami Kurpie swoje obuwie nazywają chodakami, chodaczkami, a inni tylko kurpiami—coraz bardziej wychodzi z użycia, a ich miejsce zastępują skórzane buty. Nigdzie tyle w Polsce nie palą tytoniu, co na Kurpiach. Kurp' nie ruszy się bez fajki. Kradzież między niemi prawie nieznaną. Pozostawiają tu bez dozoru na polu ładowne wozy z zaprzęgiem; konie puszczone bywają w lasy na całe lato i tylko w nagłej potrzebie przypędzane są do domu, a żaden nie ginie, chyba że go ukradnie jakiś złodziej, z obcej strony przybyły. Wstrzemięźliwość od gorzałki bardzo się upowszechniła.

Mowa Kurpiowska podobna jest trochę do narzecza mazurskiego i kaszubskiego. Piosnki ich odznaczają się zarówno dosadnością wyrażen w oddaniu każdej myśli, jak i prawdziwym dowcipem. Niewątpliwie liczba Kurpiów w dawnych czasach była o wiele większą aniżeli dzisiaj, kiedy z samej puszczy Myszynieckiej i Ostrołęckiej mogło stanąć do boju 6,000 strzelców. Po wycięciu szańców i puszczy, wielu Kurpiów musiało się przesiedlić do innych okolicznych wsi i miasteczek, gdzie wśród ludności miejscowej zatarli typy sobie właściwe.

Ad. N. N.

*) Wędrowki po guberni Augustowskiej w celu naukowym odbyte. Warszawa, 1859.

Wisła.

I.

Ze wszystkich rzek, które do Bałtyku wpadają, największą jest Wisła, królową rzek polskich zwana. Jej dorzecze tak szeroko i gałęziste jest rozłożone, iż daleko na wszystkie strony sięgają źródła tych strug i potoków, które z nią razem do morza uchodzą.

Zródła Wisły wytryskają na północnych stokach góry Baraniej, leżącej w zachodnim Beskidzie na Śląsku. Pośród górskiego boru sączą się tam dwa strumyki: jeden zwany «Czarną,» drugi «Białą Wisłą.» Przelewając się po ogromnych złomach kamieni, lecą one z szumem w głęboką, lesistą dolinę; niebawem łączą się razem i już jako znaczniejszy potoczek dopływają do wsi, noszącej także miano Wisły. Tutaj zasilają nurt rzeki inne leśne strumyki, a wszystkie razem złączone w jeden strumień spadają z szumem ze skały, tworząc wspaniały wodospad. Taką jest kolebka królowej rzek polskich.

Koło Dziedzic zbliża się Wisła ku granicom Galicji i przyjmuje od prawego brzegu rzekę Białą, która tworzy granicę między Galicją a Śląskiem austrijackim. Dalej płynie Wisła wzdłuż granicy pruskiej. Naprzeciw Oświęcimia wpada do niej z lewego boku Czarna Przemsza, nadpływająca ze Śląska pruskiego. Odtąd staje się już Wisła rzeką poważną. Płynie wśród okolic pagórkowatych aż do Podgórze. Stąd prawy jej brzeg wygładza się w równinę, gdy lewy aż pod Sandomierz jest jeszcze miejscami pagórkowaty. To też począwszy od Krakowa rozlewa się już Wisła szeroko, a w czasie wezbrania zatapia nieraz nadbrzeżne okolice, pustosząc pracę rolnika.

Koryto rzeki często się zmienia. Dzieje się to mianowicie, kiedy woda wzbiera, albo raczej, kiedy powódź już opada; stąd też dwojakie bywa łożo Wisły: stare, zwane Matką i nowe, zwane Łachą. Matką płyną statki w każdym czasie, Łachą tylko na większej wodzie. Jedno z takich dawnych koryt oddzielało Kraków od przedmieścia Kazimierza, lecz dziś jest zasypane i w ulicę zamienione.

Dno Wisły jest przeważnie piaszczyste, rzadko gdzie żwirowate i kamieniste. Drobne laski olszyny, topoli, osiczyny lub gęste zarośla wikliny porastają miejscami

212 —
pobrzeżne jej piaski; tu i owdzie ciągną się wzdłuż rzeki podmokłe łąki i pastwiska, a wśród nich stawy lub ślady byłych stawów i starych koryt. W czasie wylewów wyrzyna Wisła w miękkiej ziemi odnogi, podmula i odrywa brzegi, odsypuje niskie ławice piasku w środku koryta i dzieli się na wiele ramion. Stądto w łożu Wisły napotyka się często na wyspy, które zazwyczaj leżą pomiędzy nowym a starym korytem Wisły (Wiśli-kiem), pomiędzy Łachą a Matką albo też na ujściu rzek wpadających do Wisły w górnym jej biegu. Wyspy takowe są dwojakie: kędy z dawna porasta dębina i nadwiślańska topola, nazywają to ostrowem; kędy zaś nagie odmiały piasku lub żwiru i kamieńca wikliną i wierzbą z czasem dopiero porastają, wyspę taką nazywają kępą. Czym bliżej do ujścia, tym większe są te wyspy; od samej Warszawy tylko do Gdańska jest na Wiśle takich kęp i ostrowów 52.

Wisła wzbiera często, najbardziej zaś o wiośnie, podczas topnienia lodów i znoszenia kry, potem około św. Jana w czerwcu (wylew świętojański) i w lipcu około św. Jakóba (Jakubówka).

Namul żyzny, którym się po powodzi okrywają porzeza Wisły, jakoteż doliny wszystkich jej dopływów górskich, pokrywa jałowe kamieńce i piaski. Puchy wierzb, wiklin i topól posiewają te namuły i jeszcze z końcem tego samego roku porasta cały obszar zieloną trawą brzegowych łąk i posiewem wiklin, które poziom gruntu na Powiślu z laty coraz wyżej podnoszą.

Długość biegu Wisły w naszym kraju wynosi 34 mil (258 km.), a szerokość łożyska przy ujściu Sanu, gdzie Wisła już opuszcza Galicję, przeszło 280 metrów.

Począwszy od Sandomierza płynie Wisła w północnym kierunku, skręca się zwolna ku zachodowi, przybywa pod Warszawę, a dalej pod Toruń.

Szeroką wstęgą, poważnie snuje się tutaj Wisła, a jej łoże całe zasiane jest rozkosznymi ostrowami. Miejscami wznoszą się gliniaste, urwiste i dosyć wysokie zabrzeża, a zamiast samego brzegu ciągną się wzdłuż rzeki groble i tamy, które od Torunia aż do ujścia Wisły zajmują przestrzeń 45—48 mil.

Poniżej miasta Gniewa rozdziela się Wisła na dwa ramiona, z których wschodnie czyli prawe, zwane odtąd Nogatem, płynie na Malborg i dwudziestu odnogami wpada do zatoki Fryskiej — lewe zaś czyli zachodnie, znacznie głębsze, jeszcze raz rozdzielone, dwiema odno-

213 —
gami uchodzi do morza (Leniwką czyli Gdańską Wisłą i Szkarpową czyli Elbląską Wisłą). Długość całego biegu od źródeł do ujścia wynosi 141 mil.

Wszystkich większych i mniejszych dopływów jest około 120. Najważniejsze z nich są: od lewego brzegu Przemsza, Rudawa, Prądnik, Pilica; od prawego brzegu: Biała, Soła, Skawa, Raba, Dunajec, Wiśłoka, San z Wiślokiem, Narew z Bugiem.

Nic więc dziwnego, że Wisła rośnie coraz bardziej; pod Warszawą szerokość jej łożyska dochodzi już do 1000, a pod Toruniem 1500 metrów.

II.

Splaw i żegluga na Wiśle rozpoczyna się już od ujścia Przemszy. Od Krakowa szły dawniej galary, szkuty, dubasy, berlinki, krypy i innych nazw statki i tratwy. Mniej ich teraz chodzi w górnym biegu, zato między Warszawą a Gdańskiem jest obecnie stała żegluga parowa. Z dawien dawna krakowska ziemia i Mazowsze dostarczają żeglarzy wiślanych, którzy się zowią flisakami. Flisak w słomianym kapeluszu lub magierce mazowieckiej, w siemiedze, przepasany rzemieennym pasem, a z odkrytą piersią, stoi na galarze, wsparty na rękojęści drygawki (wiosła) i wywołuje swe hasła: «Na wodę! do łądu! wara! prądowina! i t. p.»

Z pierwszemi dniami wiosny, gdy lody na Wiśle pękają i spłyną do Bałtyku, a nad polami zacznie dzwonić swą piosenkę szary skowronek i ziemia powoli rozmając się zielonością zaczyna, cała okolica Powiśla i wybrzeża nadrzeczne pod Warszawą ożywiają się niezwykle. Jeszcze rolnik wygrzewa się przy ciepłym kominie, i nie myśli o pługu, żeby niwę orać, a już flis i oryl, z ożywionym obliczem oczekują hasła swego retmana, aby dosiąść tratwy i z wesołą pieśnią uderzyć w takt drygawkami.

Malowniczą i pełną ożywienia jest chwila, gdy na kłocze drzewa, powiązane wiciami i ułożone jedne na drugich w warstw kilka, zwane tratwami, ładują się wory ze zbożem i innemi produktami rolniczemi, drzewo w sągach i węgle.

Na jednej z takich tratw jest budka drewniana, z desek zbitya i nakryta, którą zajmuje pisarz, co wypłaca należytny zarobek flisom i orylom, a nadto rozdaje po-

trzebną żywność. Zdarza się bowiem nieraz, że tratwy muszą przybić na spoczynek nocny do takiej przystani, gdzie nie znajdują ani wioski ani osady w pobliżu. W tej samotni pożywienie biorą z owej budy, którą skarbonką nazywają. Spiżarnia ta niezbyt urozmaicone ma zapasy: kasza jęczmienna i jaglana, groch polny, słonina i wódka—oto przybory do kuchni orylskiej. O zmierzchu w różnym oddaleniu na wodzie błyszczą ognie na tratwach i słychać głos skrzypiec, bo dawnym flisów zwyczajem na każdej tratwie bodaj jeden skrzypek być musi. Z dźwiękiem skrzypiec miesza się zazwyczaj wesółą piosnka mazowiecka, bo flisak, nie darmo nazywany «gębatym», z zamkniętą gębą nie usiedzi. Dopiero gdy zmrok gruby osiedzi ziemię, a księżyc na niebo nie wypłynie, przycicha gwar, ognie zbliżają się do brzegów, przygasają i statki stoją w zatokach. Lecz gdy nazajutrz pierwszy promień wschodzącego słońca zarumieni wzgórza, znów duże, do statków przytwierdzone wiosła uderzają w wodę. Czasem pomiędzy powolniej idącymi statkami przemknie się szybki parowiec, buchając kłębam dymu i ciągnąc za sobą kilka leniwych galarów i tratw.

Wisła była dawniej najgłówniejszym gościńcem handlowym dla Polski. Wszystko zboże sprzedawane Niemcom, Holendrom i Anglikom, wywożono na galarach Wisłą do Gdańska. Odkąd bite drogi i koleje żelazne rozpowszechniono, ma handel inne środki przewozu, przecież taniego przewozu Wisłą nie zarzucono całkowicie. Jak dawniej, tak i teraz przewożą na galarach i tratwach drzewo, węgiel kamienny, zboże, owoce, ryby, jaja, gips, kamienie, żelazo i t. p. Przewóz ten daje flisakom dobry zarobek, a rybakowi dostarczają nurty Wisły wiele bardzo cennych, a nieraz i nadzwyczaj wielkich ryb.

Łysa-Góra.

Miasteczko Słupia, dawniej dziedzictwo opactwa Benedyktynów, u stóp Łysej albo Święto-Krzyskiej góry położone, drewniane i małe, posiada kościół pod wezwaniem św. Wawrzyńca. Słupia, lubo szczyci się odległą starożytnością, nie okazuje żadnego wszelako jej

śladu. Już w roku 1410 była miastem, gdzie, jak pisze nasz kronikarz, Marcin Bielski: «mieszkał dwa dni Władysław Jagiełło, skąd szedł na górę do kościoła św. Krzyża bosemi nogami, gdzie czynił wielkie nabożeństwo».

Była to chwila, w której błagał pomocy Boga, idąc walczyć z przeniewierczym zakonem Krzyżaków, a Bóg wysłuchał tych modłów, dawszy mu najpiękniejsze zwycięstwo pod Grunwaldem. Ze Słupi otwiera się droga długa i przykra, zarosła z obu stron bukami, grabiną i jodłami, przerznięta mnóstwem strumieni, spadających z pośród skał na dolinę, wiodącą na szczyt Łysej Góry.

Przy samym wejściu z miasteczka na górę znajduje się starożytny posąg, nieudolnego dłuta, wyobrażający klęczącą postać ze złożonymi do modlitwy rękami.

Lud o nim przechował podanie, że w czasie napadu Tatarów na klasztor Łyso-górski, kiedy rabowano kościół, jeden z przywódców porwał drzewo Krzyża Świętego, złożone tu jako najdroższa relikwia od najdawniejszych czasów; ale zaledwie się go dotknął, niewidzialną siłą został pozbawiony władzy w rękach. Gdy jednak ze czcią złożył je na ołtarzu, został uzdrowiony, a na pamiątkę tego zdarzenia postawił ów posąg u stóp góry.

Z wierzchołka góry cudny się widok naokoło otwiera. W dzień pogodny z wieży kościelnej można dojrzeć Kraków i za nim bielejące śniegiem Karpaty.

Łysa Góra, wpośród przerwisk skalistych lasami okryta, wznosi się na 1930 stóp nad poziomem morza Bałtyckiego. Na niej stoi kościół świętego Krzyża z dawnym klasztorem księży Benedyktynów. Często chmury ocierają się o jej szczyty, a nieraz, gdy deszcze i burze panują na dolinie, na wierzchołku góry używać można najpiękniejszej pogody.

Z miasteczka Słupi spoglądając, czasem widzieć można, jak chmury całkowicie klasztor zakrywają. Uroczy to widok, kiedy, wznosząc się, rozplywając, lub opadając powoli, wspaniałe gmach kościelny wychyla swe mury i, jakby w pośrodku chmur poważnie kołysany, zapada na szczycie Łysej Góry.

Kościół ma wchodową i tylną ścianę ułożoną z ciosu, jest wewnątrz ozdobiony marmurowymi posągami opatów i rycerzy, nie nosi jednak na sobie cechy starożytności. Po pożarze odnowiony przed 50 laty, przybrał postać nowożytną. Wilgoć przesiąka te mury; gdy deszcz ma padać, woda kroplami występuje na posadz-

kę marmurową. Każdy zakonnik nowo-przybywający czuje nie małą na sobie zmianę i czasu potrzeba, zanim do tutejszego powietrza przywyknie.

Z tej przyczyny piękne obrazy znakomitego mistrza Smuglewicza, zdobiące ten kościół, uległy zniszczeniu. W wielkim ołtarzu znajdują się dwa słupy mozaikowe, w środku których obraz wspomnianego malarza przedstawia Tróję Świętą. Sześć innych obrazów ręki tegoż malarza upiększa ściany, tworząc sześć bocznych ołtarzy. Dwa z nich szczególnie zwracają uwagę. W jednym, Emerykowi, synowi Stefana, króla węgierskiego, będącemu na łowach, anioł, spuszczać się z obłoków, wskazuje miejsce, gdzie ma klasztor wystawić i złożyć część drzewa z Krzyża świętego, na którym był Chrystus Pan przybity; w drugim, gdy Helena, matka Konstantyna, znajduje ten Krzyż na górze Kalwarji w przytomności biskupa Jerozolimy i zapytuje, azaliż jest istotnie szukany Krzyżem Chrystusa.

W bocznej kaplicy znajdują się w oprawie szczątki tego drzewa Krzyża Świętego, złożone przez Emeryka; cesarz Wschodu przysłał je był ojcu jego jako wielki upominek, a które on, jak Kromer pisze, za najprędniejszą ozdobę nosił.

Za Bolesława Wstydliwego w roku 1260 klasztor tutejszy, uważany jako skład bogactw i przytułek ludzi z okolicy, został napadnięty, złupiony i zburzony. Kapłani zaś, wraz ze wszystkimi, co szukali w nim schronienia, zostali okrutnie wymordowani.

Za króla Ludwika w r. 1370 Litwini, pod wodzą swoich książąt, Kiejstuta i Olgierda, pustosząc ziemię Sandomierską, odarli ten kościół z bogatych sprzętów i skarbów.

Nie minęło lat kilkanaście, gdy znowu napadł na kościół łysogórski oddział Litwinów pod dowództwem Dowojny. Zdobyli wtedy bogate łupy, bo każdy podczas trwogi chronił się do świątyni ze swym mieniem w nadziei, że święte miejsce będzie szanowane. Zabrał wtedy Dowojna w niewolę znaczną ilość więźniów, między którymi była piękna i bogata polka, herbu Habdank, co Bogu poślubiła czystość. Pomiedzy łupami zawieszone mi do Wilna znajdował się również kawałek drzewa Krzyża Świętego.

Ktokolwiek dotknął tego drzewa, padał martwy na ziemię. Gdy przestraszony książę Jagiello nie wiedział

co czynić, pobożna branka radziła z winną czecią odwiedzić relikwie na miejsce.

Klasztor świętego Krzyża został założony wpośród skał i lasów przez Bolesława Chrobrego między rokiem 1008 i 1009. Niektórzy mniemają, zgodnie z dawnym podaniem, że Mieczysław I wystawił tu pierwszy kościół z modrzewia na szczycie góry, która odtąd Święto-Krzyską, a w słowiańskich wiekach Łysą-Górą była nazywana. W r. 1826 przeor tutejszego klasztoru pokazywał nam mały cmentarzyk w pobliżu kościoła, otoczony parkanem, utrzymując, że to jest właściwe miejsce, gdzie za bałwochwalstwa wznosiła się świątynia bóstwa Lelum-Polelum, i gdzie, po przyjęciu wiary chrześcijańskiej, na zwaliskach pogańskiej bożnicy Mieczysław zbudował drewniany kościół i osadził Benedyktynów. Kawały zdrowego modrzewia, z którego był wystawiony, opierając się przeszło ośmiu wiekom, przetrwały dotychczas. W roku 1827, w czasie jubileuszu w mieście Słupi, proboszcz ksiądz Molentowski rozdawał krzyże, wyrobione z tych szczątków modrzewiowych. Zakonnicy tutejsi byli pierwszymi nauczycielami, którzy zaszczepili nauki i rozszerzyli w okolicy uprawę roli z ogrodami w osadach.

Czarodziejski jest widok góry i klasztoru przy bladym świetle księżyca, w pogodną noc. Nie dziwota, że wyobraźnia naszego ludu ogłosiła te góry i lasy ponure, co tak majestatycznie rozwijają się przed naszymi oczyma, za miejsce schadzek czarodziejskich istot.

Na szczycie wysokiej góry, zarosłej ogromnemi bukami i jodłami, wznosi się samotna świątynia.

Kiedy ją osłonią chmury i zacząną rzednieć i opadać lub ulatniać się, poglądając na nią, zdaje się wtedy, że one jak olbrzymy zagarniają w objęcia swoje tysiące drzew wyniosłych, to jakby potwory straszliwe, kołysane wiatrem, chwijające się na szczycie stromej góry, to znowu w kształcie widma dziewicy, w lekką osłoniętej szatę, spływają ze sfer wyższych i kryją się w ponurych cieniach lasu, to znów jak zbrojny rycerz w hełmie z tarczą, przesuwają się zwolna i jak mgła nikną.

Lud nasz Łysą-Górę ogłosił jako główne miejsce czarownic, które w każdy czwartek po nowiu księżyca zlatują się na nią na miotłach i łopatach w celu odprawiania swoich uczt i biesiad. Wpośród tych gór rozbójnicy niegdyś mieli także dogodne kryjówki. Gęsta puszcza, niedostępne skały, jary i jaskinie, wszystko dawało

im w dawnych czasach tutaj bezpieczne schronienie. Stąd powstało przysłowie znane u ludu: «zbójca święto-krzyski», które oznacza oblicze odrażające i dzikie, spojrzenie ponure i surowe, albo gdy kto bójkę bez powodu wszczyna, lub kiedy się nad bezbronnym pastwi. Podania miejscowe zachowały drugie przysłowie: gdy kto komu dokuczy, mówią, że tak się daje we znaki, jak Zakuta Zarzycki. Był to dowódca śmiały licznej bandy rozbójników, który przez zuchwałe napady był postrachem całej okolicy i w pamięci ludu uwiecznił imię swoje.

Opactwo Benedyktynów należało do najbogatszych w Polsce. Okoliczni mieszkańcy dotąd opowiadają o wielkich skarbach, które raz Szwedzi w r. 1656, po zamordowaniu kilku zakonników, złupili. Zakon Benedyktynów tutejszych został w r. 1819 zniesiony, a bogata biblioteka przewieziona została do Warszawy i wcielona do byłego Uniwersytetu Warszawskiego; potym klasztor z kościołem oddany został księżom demerytom.

K. W. Wójcicki.

Wycieczka na Czarnohorę.

W góry, w góry, miły bracie!
Tam swoboda czeka na cię!

Tak pomyślałem sobie i ruszyłem w drogę. Przez Nadwornę i Delatyn przybyłem do Tatarowa na noc. Noc była ciemna, gęsta mgła rozścieliła się wzdłuż doliny; słychać było tylko szmer wartko po kamykach pomykającego Prutu. Ze wschodem słońca wyruszyłem dalej z dwoma przewodnikami, obznajmionymi dobrze z tutejszemi górami; wzięliśmy ze sobą dwa konie, z których jeden objuczony był niezbędnymi w podróż rzeźcami, drugi zaś miał mi służyć jako wierzchowiec.

Już z daleka na krańcu widnokładu w stronie południowej dostrzegłem dumnie wznoszący się szczyt góry, kształtem do głowy cukru podobny. Oczarowany tym widokiem zapytałem górala po chwili, jak się nazywa ten wspaniały szczyt góry.

— To właśnie Howerla, najwyższy szczyt Czarnohory—rzecze przewodnik;—pod jej szczytem dziś nam nocować. Śpieszmy więc, bo droga daleka.

Usluchałem wezwania i ruszyłem dalej.

Wkrótce dostaliśmy się w rozległy las świerkowy, położony w obszernym i głębokim dole. Myśliwy nazywałby go głuchą knieją. Cisza wokoło. Przez popłatanane konary drzew promienie słoneczne ledwie się przeźrzeć zdołają. Paprocie, porosty i mchy wskazują, iż się znajdujemy w krainie górskiej. Smukłe i zdumiewających rozmiarów świerki wznoszą się w górę jak piramidy, a pośród nich widać tu i owdzie obumarłe już świadki przeszłych stuleci, które bez gałęzi i wierzchołków, obnażone z kory a podziurawione przez dzięcioły stoją tu jako pomniki dawnej wielkości. Wszereż i wzdłuż leżą powalone drzewa jakby umyślnie sporządzony zaskiek. To wiatry swawolne gospodarowały tak w lesie i zrobiwszy raz wyłom, rozpoczęte dzieło zniszczenia szerzą coraz dalej.

Opuściwszy miłą ciszę leśną, około południa zdażyłem do polany, zwanej Bukowiną. Zdziwiłem się nie mało, spostrzegszy tu wśród rozległych lasów kilka zamieszkaných domów. Maleńki ogródek, kawałek łąki leśnej, a przytym kilka sztuk bydła—oto cały dobytek biednego Hucula i jego rodziny. Chciałem wstąpić do chaty, ale nie było czasu, musiałem śpieszyć; a zresztą oprócz drobnej dziatwy i wiekiem złamanych starców nie byłbym tam zastał nikogo; wszystko z trzodami wyruszyło w góry.

Poza polaną weszliśmy znowu w las odwieczny, ale zupełnie odmienny niż tam w dolinie. Tu gleba płytka i gęsto bryłami kamieni przetkana, więc i wzrost drzewa ustaje, im dalej w górę postępujemy. Tam spokój panuje i cisza; każda roślina swobodnie się rozwija i pewna bytu swego, dumnie w górę się wznosi; tutaj pozrywane przez wiatr wierzchołki, połamane gałęzie, głęboko i daleko pomiędzy skał szczeliny zapuszczone korzenie świadczą o ciągłej walce o byt.

Wspinając się długo po kamienistych ścieżkach, wyszliśmy wreszcie z lasu i stanęli na połoninie, zasypanej odłamami skał i grubym rumowiskiem. Już słońce zaszło. Trzeba było pomyśleć o noclegu. Udaliśmy się do znajdującej się w pobliżu koliby czyli szałas pasterzy. Zewsząd opadły nas psy, nie dozwalając przekroczyć granicy powierzonej ich dozorowi. Ale głos watażki powstrzymał je w zapędzie; rozstały się wprawdzie na boki, lecz mrucząc nie spuszczały nas z oka, jak gdyby nam nie dowierzały. Pozdrowiwszy watażkę,

prosiłem go, aby nam pozwolił przenocować. Hucuł, znany z gościnności, uprzejmie nas powitał i na nocleg przyjął.

Wkrótce przystąpiono do dojenia owiec, a uporawszy się z tą czynnością, rozeszli się pasterze, ażeby oglądać, czy wszystko jest w porządku. Po chwili usłyszałem wystrzał jeden, potem z przeciwnej strony drugi, a w końcu trzeci. Odgłos rozległ się po całym lesie i odbijając się o nagie szczyty tysięcznym echem, zwolna przycichał, aż umilkł gdzieś daleko, pod sklepieniem niebios. Jest to środek używany zwykle przez pasterzy w celu wystraszenia niebezpiecznego dla trzody zwierza.

Gdy się wszyscy poschodzili, weszliśmy do wnętrza koliby. Pasterze i moi przewodnicy obsiedli watę (t. j. ognisko), ponad którą zawieszony był kocioł dosyć obszernych rozmiarów. Watażka krzątał się około sporządzenia wieczerzy. Ugotowawszy mamaligę, wyrzucił ją z kociołka na talerz drewniany, odciął kawał dla mnie, obdzielił nią pasterzy, a resztę postawił przed przewodnikami.

Dla mnie przysposobił nadto bundza i mleka. Zanim rozpoczęliśmy wieczerzę, wyjąłem flaszkę wódki i wręczyłem ją watażce, by wszystkich poczęstował.

Po wieczerzy każdy z mieszkańców koliby obdarzony przeze mnie tytuniem, zajął się sprzątaniem; jeden wypłukiwał dojnice, drugi karmił psy żentycą, inny przysposabiał drzewo do watry, a wszystko spełniali na skinienie watażki, gdyż on tutaj ich panem. Ja zaś wyszedłem przed kolebę i usiadłem na kamieniu, by się przypatrzeć precudnej nocy gwiazdzistej. Wszystko już spoczywa. Uroczystą ciszę czarownego ustronia przerywa tylko głuchy szum lasu i szmer pobliskich strumyków. Zdaje się, jak gdyby cała natura śpiewała modlitwę wieczorną i wzywała człowieka, aby wziął udział w tym chórze i złożył hołd Stwórcy wszechświata.

Byłbym długo jeszcze tak rozmyślał i marzył, gdyby watażka nie zwrócił był mojej uwagi, że noc krótka, a wschodu słońca mam oczekiwać na szczycie Howerli. Usłuchałem dobrej rady i udałem się na spoczynek.

Zaledwie zorza ranna zaczęła rozpraszać ciemność nocną, wstałem i z jednym przewodnikiem udałem się na szczyt Howerli. Nieopodal od koliby wznosi się dosyć obszerny teras, zasiany wielkimi bryłami kamieni, porośniętymi kosodrzewiną. Ponad tym terasem wznosi się drugi. Z wyższego wypływa strumyk i po krótkim pochodzie zrzuca swoje wody z kilkunasto-metrowej wy-

sokości, tworząc wodospad, nazwany tutaj „hukiem,” wiecznie bowiem pluska, szemrze i szumi.

Wspinamy się dalej. Ścieżka wiodąca na szczyt Howerli, zasiana grubym żwirem i przetkana bryłami kamieni, wije się niby wąz. Wejście nie jest niebezpieczne, ale dosyć uciążliwe. Dla dostania się na szczyt potrzebowaliśmy jeszcze dwóch godzin.

Słońce już zeszło było i ozłociło szczyty, a w jego promieniach krople rosy świeciły jak kryształ. Rozlewały się stąd roztacza się widok. Jak daleko wzrok zasięganie, widać istny labirynt dolów, wąwozów, jarów, przesmyków, kotlin i Bóg wie jak tam nazwać wszystkie te rozmaitych kształtów zagłębienia. Z tych wszystkich wklęsłości mgła jeszcze nie ustąpiła, jak gdyby umyślnie, by żadnemu nowych wrażeń widzowi przygotować miłą niespodziankę. Po chwili promienie zawitały w dolinę i odsłoniły nam nowe widoki, które mgła ukrywała przed nami. Tu u podnóża góry na wschodzie, w dolinie, którą Czarny Czeremosz płynie, ciągnie się wieś Żabie; tam na krańcu widnokregu w kierunku północnym leży Kołomyja, a dalej na zachód Stanisławów. Inne osady i miasteczka, rozsiane wśród krętych dolin, zasłaniają przed okiem widza wznoszące się poprzeczne górskie pasma. Jak daleko oko sięga, policzyć można wszystkie szczyty, które się wznoszą jak kopuły kościołów, ręką samego Stwórcy zbudowanych; tu wierzchołki gór naszych, tam piękne szczyty bukowińskie, a owdzie na południe szczyty gór węgierskich. Co chwila zmieniają się krajobrazy, a jeden piękniejszy od drugiego—i zdaje się, że gdyby człowiek cały dzień w nie się wpatrywał, coraz odkrywałby coś nowego i zajmującego. Pierwszy widok tak silnie sprawia wrażenie, iż w zdumienie wprowadza człowieka; lecz później myśl widza, ochłonięwszy z podziwu, nieprzerwanym pasmem płynie jak te górskie strumyki, które wydobywają się z piersi gór, a potem wesoło i swobodnie zmiierzają coraz dalej i dalej.

Przeszło godzinę poilem się temi widokami, wpatrując się w jeden krajobraz po drugim; i byłbym jeszcze pozostał na miejscu, gdyby nie mgła gęsta, wilgotna i zimna, która, osłoniwszy szczyty, zakryła przed nami wszystkie piękności. Trzeba było wracać.

Nie żał mi było trudów podróży, bo też niemi okupiłem widoki, jakich gdzieśbądź nie spotkać; obce bowiem, choćby okazalsze czy bardziej niezwykle, nigdy nie potrafią przemówić ci do duszy tak jak swoje. Tutaj

wrażenie silniejsze, gdyż potęguje je uczucie miłości tej ziemi; przed tobą, jak daleko ku północy okiem rzucisz, leży kraj rodzinny, nasze wody, góry nasze, piękne lasy i pola żyzne. Szum tutejszych lasów dźwięczy gdyby głos ojczysty, a szmer strumyków jak dźwięk mowy rodzinnej. Słusznie powiedział Wincenty Pol, stojąc na szczycie Tatr:

Gdzie ty znajdziesz w obcej stronie
Takich jezior takie tonie?
Takie góry nad wodami,
Takie niebo nad górami!

Piramidy i Sfinks przy świetle księżyca.

Niema zapewne Europejczyka, któryby, bawiąc w Kairze, nie odwiedził Piramid i Sfinksa; ale mało kto czyni tę wycieczkę w nocy. Mnie również nie przyszłoby to było do głowy, gdyby jeden ze znajomych nie był mi opowiadał o wrażeniu, jakie czyni Sfinks, widziany przy świetle księżyca. Postanowiłem najać w Kairze powóz i jechać. Wycieczka to łatwa, musiałem jednak czekać kilka dni, albowiem noce były chmurne. Nakoniec przyszła jedna, jeśli nie zupełnie pogodna, to przynajmniej pogodniejsza od innych: więc nie odkładając dłużej, wyruszyłem wraz z trzema towarzyszami przed północą.

Drogę z Kairu do Piramid przebywa się w ciągu półtorej godziny. Niegdyś jechało się dłużej, przez małownicze arabskie i beduińskie wioski, to blisko nad rzeką, to dalej, przez lasy palm i pola bujne. Dziś wytknięto nieubłaganą linię prostą, która skraca czas drogi, ale pomija wszystko, co jest godne widzenia. Nawet w dzień wioski zostają poza granicą wzroku; w nocy nie widać nic, prócz pni akacji przydrożnych, oświecanych przez latarki powozu. W pobliżu Piramid kończy się kraj uprawny, i kończy się, jak prawie wszędzie w Egipcie, bez żadnych przejść. Po zielonej runi zbóż, która w nocy wygląda czarno, poczyną się nagle wielka, odkryta, jaśniejsza przestrzeń: to już piaski—pustynia; na niej widać trójkątne zarysy Piramid.

Księżyc już zeszedł, ale ukrywa go szeroki pas chmur, a raczej lekkich obłoków, które w dzień wyglą-

dają jak stada owiec, pasące się na wysokościach, a po zorzy wieczornej, rumieniacej ich welnę, zbijają się w jedną gromadę i układają się do snu nad ziemią. Światło księżyca nie przedostaje się przez nie, ale rozświeca je od wewnątrz, więc noc nie jest zbyt ciemna—raczej szara, niż srebrna.

Piramidy, które z daleka rysowały się czarno, z blizka wydają się szare. Przychodzimy tuż do Cheopsa. Stojąc u samych stóp, nie widzi się szczytu, bo trójkątna płaszczyzna, idąc pochyło w górę, usuwa się z promienia oka, skutkiem czego piramida wygląda jak obłe wzgórze. Opodal majaczeje Chefren. W tym mroku oko dostrzega i rozróżnia przedmioty, ale kształty są niepewne; zarysy ich rozpraszają się, topnieją i zlewają z otoczeniem. Wszystko jest blado-szare: i piasek pustyni i głązy piramid i utworzone z pokruszonych odłamów stosy kamieni—wszystko jakieś widziadłowe, senne, jakby pozbawione bryłowatości i ciężaru.

Cisza, aż w uszach dzwoni! Można ją nazwać grobową, bo przecie jesteśmy wśród grobów. Naokoło świat obumarły. I my mówimy cicho—i mało. Wspiąwszy się nieco na piramidę Cheopsa, siedzimy w milczeniu i każdy stara się zdać sobie sprawę z własnych wrażeń. To wszystko, co nas otacza, takie jest odmienne od tego, co się w życiu widziało, takie dziwne—wśród nocy i ciszy, że myśl onieśmielona wydaje się sama sobie tak marną, jak marnym jest człowiek wobec tych olbrzymów.

Schodzimy wreszcie, by zbliżyć się do Sfinksa, bo przez chmury widać, że księżyc wzniesie się wkrótce nad ich pas i wyjrzy na czyste niebo. Mijamy gromadkę pomniejszych piramid. Są one grobowcami tych Faraonów, którzy panując przez krótkie lata, nie zdołali sobie wzniesić równie olbrzymich mauzoleów, jak Cheops, Chefren i Menkera. Z tych mniejszych wybierano przez całe wieki kamienie, skutkiem czego zostały zrujnowane prawie doszczętnie i zwłaszcza po nocy wyglądają jak bezkształtne masy gruzu. Wszędzie rozrzucone kamienie większe i mniejsze; grunt pokryty rumowiskiem; doły powybijane w piasku; wszędzie ślady spustoszenia—droga niepewna i zmuśna. Ale oto na tle nocnego nieba zarysowywa się coś przed nami, jakby olbrzymia ciemna plama—to Sfinks.

Przychodzimy bliżej. Niezmierna jego głowa, wykuta z czerwonego kamienia, jest zupełnie czarna, jakby skupiała w sobie noc. Rysów twarzy nie widać, ciała

również, albowiem spoczywa ono w dole niżej od poziomu pustyni. Nie tak dawno, jak odrzucono na obie strony pokrywające je piaski; że zaś jest jednej z niemi barwy, więc w mroku oko nie może go wyróżnić i tylko głowa wznosi się nad pustynię, ogromna i tajemnicza.

Stanowczo Sfinks większe czyni od Piramid wrażenie. Piramidy są to, bądź co bądź, geometryczne bryły. Niema w nich duszy, natomiast jest coś tak suchego jak w matematyce. Tymczasem Sfinks, to olbrzymia istota. Stanąwszy przed nim, mimowoli przypuszczasz, że w tym głuchym milczeniu on coś rozważa i myśli o rzeczach wielkich i tajemniczych.

Księżyc wytoczył się wreszcie z za zrębu chmur na czyste niebo—i wówczas zaczęła się dla mnie jedna z najpiękniejszych nocy, jakie w życiu widziałem. Głowa Sfinksa z czarnej stała się ciemnozieloną, niby stary brąz; płaszczyzna twarzy wypełniła się ludzkimi rysami, zbudziła się jakby ze snu i roześmiała do księżyca. Sfinks staje się do tego stopnia żywym, iż próżno sobie powtarzać, iż to tylko złudzenie światła. Niepodobna oczu oderwać od tej twarzy, która, zwrócona wprost na księżyc, uśmiecha się ciągle. Widziałem ją potem we dnie; ale przy świetle słońca dostrzec można w niej szczyrby, które porobił czas—w nocy zaś, w srebrnym blasku, jest to zupełnie twarz ludzka, która drga, myśli i czuje. W dzień widać rozkopane piaski, które pokrywały ciało Sfinksa, ale w nocy czyni to takie wrażenie, jakoby on sam je odrzucił i podniósł się z pod ziemi, aby powitać księżyc i pogadać z nim o dziejach tak dawnych, jakich nikt prócz nich nie widział, nie zapamiętał i nie zapisał.

Bo czego on nie widział, ten Sfinks—on, którego początek jest tajemniczą zagadką—on, którego już Cheops naprawiał? Stał już, gdy wznoszono Piramidy, i tenże sam Cheops chronił się zapewne w jego cień przed skwarem słońca. Potym widział Mojżesza i Kambyzesa, Aleksandra i Ptolemeuszów, Cezara i Marka Antonjusza—łunę pożaru Aleksandrji i dzikiego Amru, świętego Ludwika i Napoleona. Wszystko to widział i uśmiechał się tak samo nocami do księżyca. Wszystko to przeszło—on jeden został. Jest tak odwieczny, że się go prawie nie uważa za dzieło rąk ludzkich i mimowoli widzi się w jego ogromie coś pierwotnego, jakby był stworzony z tego samego żywiołu, co i ten księżyc, z którym rozmawia w jasne noce.

I patrzą tak obaj na siebie, w srebrnym świetle, wśród śpiącej pustyni. Płowe jej piaski stają się teraz jasno-zielone; opodal błyszczą się Piramidy, za niemi przestrzeń pusta bez końca. Wszystko tu dobrane. Ogrom, tajemnica, samotność i wielkie groby, a prócz nich naokół nic—żadnej rozmaitości przedmiotów, jeno w krąg pustynia, zalana blaskiem uroczystym i ogromnie smutnym.

Spokój na okół. Tylko księżyc wzbija się wyżej i wyżej. Z rozgrzanej w dzień od promieni słonecznych ziemi wstają opary i pełzną po pustyni, choć niema najmniejszego wiatru. Na chwilę przesłoniły Sfinksa, ale księżyc wnet go wydobył, opar zaś poszedł dalej i obwinął Piramidę Menkera, która ze srebrnej stała się nagle różową, potym zgasła, a potym odzyskała swą barwę księżycową.

Do świtu było jeszcze daleko; a w namiotach beduińskich, leżących w głębi pustyni, ozwało się pianie koguta, a za tym pierwszym ozwał się drugi, trzeci, dziesiąty; nagle dało się słyszeć skrzypienie piasku i jakieś głosy: widocznie ktoś się zbliżał. Jakoż po chwili na piaszczystym wzniesieniu za Sfinksem pokazał się wielbłąd, a pod zgietą jego szyją dwóch beduinów, przybranych w długie, białe szaty.

Henryk Sienkiewicz («Listy z Afryki»).

Dzień w Brazylii.

Bije godzina trzecia zrana; opuszczam mój hamak, otwieram okiennicę i spoglądam na ciemną uroczą noc. Świetnie błyszczą gwiazdy i tuż płynąca rzeka odbija światło zachodzącego księżyca; wszystko dokoła w tajemniczej ciszy. Biorę ślepą latarkę i, chodząc po rzeźwiącym nocnym chłodem gaju, przypatruję się drzewom i krzakom. Niektóre śpią ze złożonymi liśćmi, inne stoją spokojnie, rozpostarszy się wśród nocnej ciszy. Rzadko gdzie kwiaty są rozwarte; tylko słodko woniejące krzaki paulinji pozdrawiają swojemi wyziewami przechodnia, a cienista manga podnosi swoją gęstolistną koronę dla zaslonienia go od nocnej rosy.

Dokoła błędnego światła mojej latarki unoszą się jak widma ogromne, nocne motyle. Coraz silniej rosa przenika wdychające ją łaki, i wilgotne powietrze nocy orzeźwia rozgrzane członki. Cykada swoim głosem zaprasza mnie napowrót do domu, gdzie brzęczenie moskitów, podobne do bębnienia, skrzeczenie ogromnych żab i płaczliwe nawoływania ptactwa już mi usnąć nie dają. O godzinie piątej widzę szarzejący dokoła poranek. Jednostajna przezroczysta szarość, połączona z różowym światłem jutrzeńki, rozpościera się wszędzie po niebie; tylko w zenicie pozostaje ono ciemnym; kształty drzew robią się coraz bardziej widoczne, różowe światelko zaczyna się odbijać na ich wierzchołkach; wiatr poranny wzrusza ich gałęzmi i liśćmi, chrabąszcze dudnią, komary brzęczą, ptaki się odzywają, mały wrzeszczą, cisnąc się napowrót w gęstwiny boru, nocne motyle uciekają przed światłem dnia w ciemność leśną; gryzące zwierzęta chowają się po swoich kryjówkach, a chytre kuny umykają pocichu od ptactwa domowego, które głośny kogut budzi swoim rannym pieniem.

Coraz jaśniej w powietrzu: nadchodzi dzień. Z pod widnokręgu ukazuje się okraina słońca, jak czerwona błyskawica, i słońce wschodzi. W jednej chwili staje ono całe ponad widnokregiem i strzela swoimi palającymi promieniami ponad ziemią. Żadnego obłoczka nie masz na niebie i zupełnie czyste jego sklepienie obejmuje ziemię. Wszystko dysze życiem: rośliny i zwierzęta rozpoczęły używanie i walkę. O godzinie siódmej rosa znika, wiatr lądowy zaczyna ustawać, i już czuć gorąco. Słońce wznosi się szybko i prosto w górę po czystym i przejrzysto-szafirowym niebie, w którym jednostajnie rozpuściły się wszystkie pary, aż później na zachodnim krańcu widnokręgu zbierają się z nich małe, białe, pierzaste chmurki, które się coraz dalej rozpościerają. O godzinie dziewiątej już łąka wyschła, las wystawia cały przepych swoich liści laurowych, i kwiaty się rozwijają. Jeszcze godzina a obłoki się gromadzą, piętrzą się coraz wyżej i przedstawiają się w ogromnych i gęstych masach. Rośliny drżą pod silnie palącymi promieniami słońca i omdlałe poddają się upajającemu ich działaniu. Złociste chrabąszcze i kolibry brzęcząc fruwały, a pstre motyle, igrające w powietrzu, przedstawiają ciągłą grę kolorów.

Po wszystkich ścieżkach roją się tłumy mrówek, w długim pochodzie ciągnących liście do swojej budo-

wy. Ale już i wielkie leniwe zwierzęta doznają przyjemności słońca; krokodyl wydobywa się z nadbrzeżnego mułu i rozciąga się na gorącym piasku; jaszczurki i żółwie wychodzą ze swoich ciemnych i wilgotnych kryjówek, i świecące pstremi lub ciemnymi barwami węże wylazą na oblane gorącym światłem słońca trawniki. Tymczasem obłoki zbierają się niżej, coraz gęstsze, cięższe i ciemniejsze, zaciągają cały widnokrąg, zakrywając słońce zupełnie; lecz rozgrzane powietrze uciska tym większym upałem ziemię.

Nadchodzi południe. Głód i pragnienie pędzi tu i owdzie zwierzęta, i tylko ocieźałe i leniwe, zebrawszy się pod cień lasu, nie czują, co się w przyrodzie gotuje. Już powietrze się ochładza, i gwałtowne wiatry w nim podmuchują tak, że wzruszają las, a potem morze, które zaczyna się pienieć i bałwanić. Zrywa się burza. Trzy lub cztery razy jaskrawa błyskawica rozdziera obłoki, trzy lub cztery razy rozlega się po niej grzmot, i deszcz spada gęstymi kroplami. Rośliny wyciągają ku niemu chciwie swoje zwiedle od upału liście i kwiaty. Jeszcze jeden grzmot, i już nie deszcz, ale potop: wody spadają potokami, las oddycha, kwiaty pochylają się, liście opadają, wyschłe i spróchniałe gałęzie wicherek obłamuje i unosi daleko.

I świat zwierzęcy odczuwa wściekłość burzy. Kiedy z trzaskiem lecą obrywane z drzew liście i gałęzie, roje owadów, drżąc, szukają pod nimi schronienia. Zmordowany łowami zwierz ustaje w ściganiu swej zdobyczy. Tylko zimnokrwiste zwierzęta ziemnowodne rade są z ulewy, i tysiączne głosy żabie odzywają się z zalanych łąk. Źródła wzbierają mętną wodą, ta zaś strumieniami bieży po lesie i wpada w rozpadliny popękanej od upałów ziemi. Odświeżone powietrze pozbywa się całego znoju. Chmury, wylawszy z siebie całe brzemie wód, rozchodzą się i nikną. Jeszcze chwila i burza przeszła.

W świeżym blasku występuje słońce z poza mas obłoków, ściskających się i ustępujących coraz dalej na północ i na południe. Znowu niebo roztwiera swoje szafirowe przezrocza nad ziemią i ta wnet zapomina o niedawnym swoim strachu. W godzinę potym niema już i śladu przeszłej burzy, i oto nadchodzi wieczór. Słońce zniża się i, okrążone mieniącymi się w powietrzu barwami, spada pod widnokrąg. Z jego zajściem ustają niespokojne ruchy w państwie zwierzęcym, które cicho

udaje się na spoczynek. Jeszcze ostatnie odbłyśki zachodzącego słońca świecą tu i owdzie na podniosłych szczytach drzew. A wtym ponad ciemnym lasem wznosi się pełną twarzą cichy i łagodny księżyc, i wszystkie przedmioty przybierają w jego świetle nowe formy. Nadchodzi noc, i przyroda pogrąża się w sennie marzenia. Z kornym zaufaniem spogląda człowiek w niebo, iskrzące się nad nim tysiącami gwiazd, i pokój go ogarnia po zeszłym dniu, jego zachodach i trwogach.

Tak przechodzi każdy prawie dzień w tej skwarnej strefie, a przynajmniej przez większą część dni w roku powtarzają się te zjawiska. Odmiany pór roku ledwo dają się tu rozpoznawać, i z małemi różnicami spotykają się z sobą pory sucha i dżdżysta. Podsycana od gorąca i wilgoci roślinność okrywa przez cały rok ziemię najbujniejszym zarostem, a wiele roślin więcej niż raz na rok kwitnie i wydaje owoce. Niektóre z nich uobecniają wiosnę, inne jakby równoczesną jesień. Lasy nigdy nie pozbywają się zielonej szaty; kiedy stare liście opadają, wnet na ich miejsce rozwijają się nowe pączki. Takiemu rozrostowi roślin odpowiada obfitość i piękność owoców, to też mieszkańcy tylko ze słuchu znają tu nieurodzaj i niedostatek.

Wieczór wiosenny.

Słońce kłoniło się już ku zachodowi, a po przez liście i igły sosen wchodziły coraz czerwieniejsze jego promienie, pokrywając grunt leśny wielkimi, złotymi plamami. Powietrze było suche, na zachodzie rozlewała się już wielka zorza wieczorna, niby morze roztopionego złota i bursztynu. Cichy, ciepły wieczór wiosenny płonął na niebie. W lesie ustawała powoli dzienna praca. Ucichło pukanie dzięcioła, czarne i rude mrówki wracały szeregami do mrówisk. Jedne z nich niosły w pyszczkach sosnowe igielki, inne drobne gąsienice. Między ziołami kręciła się tu i owdzie mała czarna pszczołka leśna i dopełniała ostatniego ładunku miodowego pyłku. Ze szpar w popękanej korze drzewnej poczęły chrząszczyki nocne nucić żalosalną piosenkę. Na drzewach ptaki wy-

bierały miejsca na nocleg. Czasem zaświstał jeszcze żółtodzioby kos lub załopotały skrzydłami wrony, które, obsiadły jedno drzewo, poczęły się kłócić o najwygodniejsze gałęzie. Ale owe głosy coraz rzadsze były i coraz cichsze. Powoli ustawało wszystko a cichość prze-rywały tylko szmery drzewne. Leszczyna podnosiła siwe listki do góry, król-dąb pomrukiwał zeicha lub brzoza zaszemrała warkoczami. Cisza...

Ale oto brzoza stała się jeszcze czerwieniejszą, a na wschodzie pociemniał głęboki błękit niebieski. Więc już i wszystkie szmery leśne zwały się w poważne i ciche, choć ogromne chóry:—to bór, nim zaśnie, przed nocą, modli się i odmawia pacierze. Drzewa opowiadają drzewom chwałę Bożą i rzekłybyś, ludzką rozmawiają mową.

Ach! tylko bardzo niewinne dusze rozumieją tę wielką i błogosławioną mowę! Ach! tylko bardzo niewinne serca słyszą i rozumieją, gdy pierwszy chór ojców-dębów tak rzecz zaczyna prowadzić:

— Siostry sosny, radujcie się! Oto Pan dał nam dzień cichy i ciepły, a teraz noc gwiazdzistą po ziemi czyni. Wielki Pan, a mocny, a mocniejszy od nas, a dobrotliwy, więc chwała Mu na wysokościach, na wodach, na łąkach i na powietrzu!

A sosny przez chwilę rozważają słowa dębów a potem ozwą się zgodnie chórem:

— A oto, Panie, na chwałę Twoją, niby kadzielnice ofiarne, ronimy balsam wonny i mocną a mocną woń żywiczną. Ojcie nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje!

A potem brzozy:

— Zorze wieczorne płoną na niebie, o Panie, a w blaskach ich listeczki nasze złote są i pałające. Więc listkami naszymi złotymi pieśń Ci czynimy, o Panie, a cienkie gałązki nasze grają, jak harfy, o dobry Ojcie nasz!

I znowu smętne świerki:

— Na umęczone upałem posępne czoła nasze pada rosa wieczorna. Chwała Panu! Bracia i siostry, radujcie się, bo pada rosa wieczorna!

I wśród tych chórów jedna tylko osieczyna drży lękliwie, bo dała drzewa na krzyż Zbawiciela świata, i czasem tylko zajęczy cicho:

— Panie zlituj się nade mną:

A czasem znowu, gdy dęby i sosny zamilkną na chwilę, od stóp ich podnosi się cichutki, lękliwy głosik, cichy, jak brzęczenie komara, cichy jak cichość sama. Głosik ten śpiewa:

— Jagódkam jest, o Panie! maleńka i w mchu utulona. Ale Ty mnie usłyszysz, odróżnisz i ukochasz, bo chociażem maleńka, pobożnam jest i śpiewam Tobie na chwałę!

Tak modli się co wieczora las i taka kapela podnosi się co wieczór od ziemi ku niebu i leci wysoko, wysoko, aż tam, gdzie niema już żadnego stworzenia, gdzie niema nic, tylko pył srebrny gwiazd i mleczne szlaki i gwiazdy, a nad gwiazdami—Bóg.

Henryk Sienkiewicz.

Zwiastuny wiosny—bociany.

Z licznych gromad naszego ptactwa, wiele jest takich, które, nie mając czym żywić się tu w zimie, w cieplejsze z nastaniem jesieni odlatują strony i z tego powodu otrzymały nazwę ptaków przelotnych. Takimi są: skowronki, jaskółki, zięby, bociany i wiele innych. Pomówimy o bocianie.

Górna i dolna szczeka jego niezmiernie długiego dzioba, tak są ułożone, że uderzając jedna o drugą, wydają klekot, który jest naturalnym głosem bocianim. Ptak ten wygląda jak na szczudłach, gdy idzie na wysokich, czerwonych nogach, których spięte silną błoną trzy przednie palce, ułatwiają mu chodzenie po bagnach i miejscach wilgotnych. Opatrzony silnymi skrzydłami stosunkowo do długiej szyi, głowę ma dosyć małą. Dładowszy brudno-białej barwy upierzenie ciała, z wyjątkiem krótkiego, czarnego ogona i takiegoż koloru skrzydeł, mamy dokładny obraz bociana.

Nie stroni on bynajmniej od ludzi, owszem towarzyski z natury, upatrzywszy dogodne miejsce na dachu mieszkalnego domu, stodoły, stajni, lub, co częściej się zdarza, na wysokim drzewie, buduje sobie tam duże, okrągłe gniazdo z gałęzi, chróstu, słomy, które znosi

pracowicie w dziobie; wyściela je następnie mchem i pieprzem, aby wygodne i miękkie było.

Jeżeli nadleci, w zamiarze osiedlenia się w tym miejscu lub w pobliżu, druga para bocianów, zagnieżdżone tu ptaki wszechynają z przybyszami bójkę, która kończy się zwykle porażką słabszej strony i zmuszeniem jej do ucieczki. Innym jednak ptakom nie wzbraniają bociany przebywania blisko ich gniazda.

Nie w każdej wiosce gnieżdżą się bociany: wybierają one zazwyczaj miejscowości wilgotne, w pobliżu jeziora, rzeki, błot i łąk, a ponieważ pożywieniem ich zwykłym są żaby, węże, jaszczurki, polne myszy i rozmaite dla zasiewów szkodliwe robaki, małe żabki, możnaby było uważać je za ptaki względnie pożyteczne, gdyby nie inne ich wady, jak zjadanie pszczoł i niszczenie piskląt ptactwa i młodych zwierząt, które bocian ciągle chodząc i żeru szukając, odnajduje. Jednak uważają go za ptaka przynoszącego więcej pożytku aniżeli szkody.

Z powodu usług, jakie bocian rolnikowi przez wytępienie szkodliwych żyjątek wrzekomo oddaje, uważają go ludzie za ptaka szczęście przynoszącego. Nie czyniąc mu krzywdy żadnej, starają się owszem zwabić go do wsi i w tym celu kładą na drzewie koło od starego wozu, ażeby bociana do uwicia gniazda zachęcić, co niekiedy sprowadza rzeczywiście w to miejsce parę bocianów. Raz się zdarzyło, że w pewnej okolicy wystrzelano wszystkie bociany; niebawem jednak ukazała się na łąkach taka moc żab, susłów, mszyc i innych niszczycieli traw i zasiewów, że ludzie starali się bociany napowrót do siedlisk swoich sprowadzić.

Można też czasem widzieć na wsi oswojonego bociana, który chodzi sobie po podwórzu w towarzystwie gęsi, kaczek, gołębi i wspólnie z nimi się żywi.

Gdy z nastaniem jesieni ropuchy i żaby skryją się w szlamie podwodnym i pod kamieniami, węże zaś i jaszczurki w gęstwinie leśnych zarośli, a pszczoły cicho w ulu osiadają, niema już wówczas dla bocianów pożywienia i nic im nie pozostaje jak odlecieć w cieplejsze strony. Kto wtedy trzyma oswojonego bociana, musi go zamknąć w stajni lub innym budynku, aby słysząc klekot braci, w drogę się z nimi nie udał.

Bociany, podobnie jak i inne przelotne ptaki, niezmiernie wielką stosunkowo do sił swych przebyć muszą przestrzeń. Posiadają wprawdzie zmyślność, za którą

rej kierunkiem idąc, trafiają zawsze w miejsce, gdzie morze najwcześniejsze jest do przebycia; zdarza się jednak częstokroć, że stado bocianów zgłodniałe i bezsilne pada na żeglujący po morzu okręt, a wtedy z łatwością chwycić je można.

Znając niebezpieczeństwo tak długiej podróży, bociany już na czas pewien przedtem przygotowują się do niej, wspólnie do coraz dłuższego zaprawiając się lotu; jeżeli zaś w tych próbach okaże się który chwiejnym lub nazbyt słabym, nie dopuszczają go towarzysze do wzięcia w zamorskiej wędrówce udziału i z obawy, aby dążąc za nimi, nie stał im w drodze na zawadzie, silnym uderzeniem dziobów na miejscu pozbawiają go życia.

Gdy piękną jeszcze jesienią, idąc wśród pól ogołoconych z plonów i w górę spojrzawszy, widzimy przeciągające stado bocianów, nieraz bierze nas ochota zawołać na nie:

I co też to wam w głowie moi przyjaciele,
Przedsiębrać taką podróż, mając sił niewiele!
Po co wam tak lecieć do słońca promieni,
Czy was straszą dni chłodne posępnej jesieni?

Ale daremnie! bociany lecą wciąż dalej i gdyby klekot tych ptaków był dla nas mową zrozumiałą, usłyszeliśmyby pewno taką odpowiedź:

Pędzimy w dal, chociaż nam żal,
Lecz już na polach wiatr chłodny,
Więc dłużej być, dłużej tu żyć,
Nie możemy: każdy z nas głodny...

Odlot bocianów—to zapowiedź kończącego się lata i poczynającej się jesieni, i choć daleko jeszcze do zimy i śniegu, nie radząc się wcale kalendarza, bociany odleciały. Nic więc dziwnego, że wywołuje to smutne i ponure myśli, że ludzie niechętnie patrzą na odciągające te ptaki, jakgdyby zabierały one ze sobą ciepło i pogodę.

Kraj, do którego odlatują od nas bociany, nie jest ich ojczyzną; nie wiją też tam gniazd, bawią tylko czasowo, niby w gościnie i pilno im do nas wracać. Jak nie wszystkie gatunki ptaków równocześnie odlatują, tak i powrót ich nie w jednym następuje czasie. Dawno

już zauważono, że najpierwsze przylatują z powrotem skowronki, ale biedaki tracą też czasem na zbytnim pośpiechu, bo zmienna u nas pora wiosenna chłoszcze je niespodziewanym zimnem i o śmierć z głodu przyprawia. Przezorniejsze bociany, jaskółki i słowiki rzadko narażone bywają na taki zawód i za powrotem zastają już zwykłe pożywienie, jakiego im potrzeba. A jaka to uciecha, krętanina, jakie wrzaski radosne wydaje ta skrzydlata rzesza, gdy przecucie wiosennego ciepła na dawne ją sprowadzi siedziby!

Wnet bociany zabierają się do poprawienia uszkodzeń w ich gnieździe przez zimowe zawieje zrzadzonych.

Młode bociany—pisklęta, potrzebują długo troskliwej opieki i starania, zanim wzmogą się w siły. Wtedy starry bocian, znosząc w dziobie żaby, karmi tych malców po kolei i bacznie pilnuje porządku, w jakim otwierać mają dzioby, aby każde swą działkę dostało. Matka ze swej strony, otula je skrzydłami, chroniąc od nocnego szczególniej chłodu. Gdy zaś małe bocianki, codzień w bujniejsze porastając piórka, za instynktem własnym i przykładem rodziców, lotu próbować zaczęły wtedy to widzieć warto, jak troskliwie i umiejętnie zabiegają około nich stare ptaki. Podczas gdy bocian drogę i sposób lotu im pokazuje, matka spogląda z niepokojem i skoro tylko ujrzy, że które z młodych upada, zrzęcznie podfruwa, ażeby je na swoje barki przyjąć.

Póki nowe to pokolenie sił dostatecznych nie nabierze, rodzice karmią je ciągle; lecz nieznacznie zmniejsza się porcja dostarczana do gniazda i jednocześnie z ukończeniem nauki lotu, zmuszone głodem, młode bociany same sobie pożywienia szukać zaczynają. Wtedy można o nich powiedzieć:

Na jednej nodze poważnie stoi,
Zimna i głodu już się nie boi.

Żyjąc w pobliżu mieszkań ludzkich, łatwo się bocian oswaja i zaprzyjaźnia z człowiekiem. Różne o tym ludzie prawią opowieści; pomiędzy innemi, jedna z nich szczególnie zasługuje na uwagę.

Podróżnik jakiś będąc w Norwegji, widział w pewnej wiosce tego kraju, nad bramą kościoła, oraz nad drzwiami wielu domów mieszkalnych, wykutego na płycie kamiennej bociana. Gdy pytał ludzi miejscowych

o przyczynę tak ogólnie przyjętego godła, usłyszał o tym następujące opowiadanie:

Żyła w tej wiosce przed laty uboga wdowa z synem jedynakiem, imieniem Henryk. W pobliżu ich chaty mieściła się para bocianów. Ptaki te, doznając zawsze od pocziwej kobiety i jej syna dobrego obęjścia, a przytym trochę przez nich żywione, tak się oswoiły, że byle Henryk pokazał się na podwórzu i gwizdnął, zaraz bijąc skrzydłami, leciały rade do jego ręki. Ale nadeszła pora, że trzeba było Henrykowi wziąć się do pracy; zaciągnął się tedy do służby okrętowej i został majtkiem. Pracowity i oszczędny, uzbierał sobie trochę grosza i posłał matce, pisząc do niej w słowach prostych a serdecznych, jak szczęśliwym się czuje, że może tą sumką ulgę jej przynieść. Lecz biedna kobieta nie otrzymała ani listu, ani pieniędzy. Gdy minął rok jeden, drugi i trzeci, a żadnej o synu nie miała wieści, sądziła, że śmierć znalazł na morzu i smutno jej było bardzo, szczególnie, gdy na wiosnę przyleciały bociany, które jej dawne, szczęśliwsze przypominały chwile, od łez się powstrzymać nie mogła.

Tymczasem okręt, na którym Henryk służył, napadnięty został przez rozbójników morskich; ci wraz z całą załogą zabrali go do niewoli, skąd już nie było sposobu ani się wydostać, ani dać znać o sobie. Cierpiał nad tym biedny chłopiec równie jak jego matka.

Aliści, gdy razu pewnego pracował na dworze, nadfrunął w to miejsce bocian. Widok tego ptaka przypomniawszy Henrykowi żywiej jeszcze kraj rodzinny, matkę, błogie chwile lat dziecinnych, gdy razem karmili bociany i ciężko mu się bardzo zrobiło na sercu. Gwizdnął mimowolnie prawie — i o, dziwo! bocian trzepocąc się podleciał ku niemu, a Henryk poznał w nim dawnego milego mu towarzysza.

Odtąd sam, niewiele dostając żywności, od ust sobie odejmował, aby się z nim dzielić, a gdy nadeszła pora, w której ptaki przelotne, w ojczyście wracają stromy, pomyślał z żalem:

— Mój Boże! gdyby też ten ptak matce o mnie powiedział!

I błysnęła mu naraz myśl szczęśliwa, choć niepełna. Napisał na kawałku grubego papieru, gdzie jest, i co się z nim dzieje, przywiązał nitką kartkę do nogi

bociana, a ten, jakby rozumiejąc, że mu dano ważne polecenie, odleciał.

Gdy na podwórku norwęgskiej wioski pojawiły się bociany, wyszła, jak zwykle, matka Henryka witać przybyszów. Lecz jakież było zdziwienie jej i radość, gdy spostrzegłszy kartkę u nogi bociana, odjęła takową i na niej pismo syna poznała.

Uwiadomiony o tym radosnym a niezwykłym zdarzeniu, proboszcz miejscowy, odczytał w następnej niedzielę zebranych w kościele parafjanom pismo Henryka, a ci tak rzecz tę wzięli do serca, iż wyszedszy z kościoła, uradzili, aby zrobić składkę na wykupienie z niewoli syna biednej wdowy, którą wszyscy lubili. Pocziwe ich chęci weszły w wykonanie, i zaraz proboszcz w imieniu całej osady, napisał prośbę do króla, ażeby się za biednym chłopcem wstawił. Nietrudno było dobremu monarsze użyć swej władzy i zanim jeszcze na jesieni bociany odleciały, już Henryk oglądał rodziną wioskę.

Na przybycie jego uderzono w dzwony, a zgromadzeni w kościele wieśniacy, wraz z uszczęśliwioną wdową i jej synem, dziękowali Bogu za cudowne wyswobodzenie z niewoli dobrego chłopca. Trzeba to podać ludzkiej pamięci na długie lata, zawnioskowało wielu, a za niemi wszyscy i wkrótce wmurowano nad drzwiami kościelnymi kamienną tablicę, z wykutym na niej wyobrażeniem bociana.

Później wielu z mieszkańców ozdobiło swe chaty takim samym godłem, aby zaznaczyć, jaką to przysługę nawet bocian człowiekowi w potrzebie oddać może.

Każdy w ptaku, w zwierzęciu znajdzie przyjaciela,
Kto krzywdy mu nie czyni, pomocy udziela;
Przeto człowiek, co stoi w istot wyższych rzędzie,
Niech dla niższych od siebie dobrym zawsze będzie.

z *«Przyjaciela Dzieci»*.

Ptaki zimowe.

Zima wyludniła lasy, gaje i ogrody, liczne ptactwo, ożywiające je latem wesołym swoim świągotem, uleciało

do cieplejszych krajów, z nami tylko pozostały wrony, szare wróbelki i niewiele innych, znoszących ostry nasz klimat przez rok cały. Śliczna raszka należy wprowadzić także do ptasząt wędrownych, odlatujących na zimę, lecz dość często się zapóźnia, w listopadzie i początkach grudnia pojawia się w pobliżu mieszkań ludzkich, do których wówczas śmiało się przysuwa, szukając pożywienia. Niekiedy raszki zimują nawet u nas, można je zatem napotkać pośród śniegowej zawiei.

Odlot ptaków na zimę powszechnie jest znany, lecz nie każdemu wiadomo, że gdy jaskółki, bociany i wiele innych odlatuje z naszych stron ku strefom południowym, natomiast od północy zalatują znów czasem do nas odmienne gatunki ptaków, nie widziane w lecie. Najosobliwszym i najpiękniejszym ptakiem z tej gromadki jest jemiołuszka, na dalekiej północy mieszkająca. Opierzenie jej ma barwę główną, niezbyt jaskrawą, różową, szarą, lecz ożywiają je ozdoby czarne z żółtem obrzeżeniem, a zwłaszcza piękne płatki karmazynowe na końcach skrzydeł i wysoki czubek na głowce. Jemiołuszka zamieszkuje okolice podbiegunowe, od Laponii aż do Kamczatki, w Ameryce przebywa także w tej samej strefie północnej. Na zimę przelatuje na południe w Azji do Chin, Japonii i Mandżurji, w Europie środkowej ukazuje się mniej lub więcej licznie co rok podczas miesięcy zimowych. Ptaszki te lecą zwykle niezbyt licznymi gromadkami, świegocąc głośno, na odpoczynek sadowiają się na szczytach drzew wysokich. Następnie rozpraszają się po lesie, szukając ulubionych jagód, jarzębiny, jałowcu lub jemioły, a w braku tych nie gardzą i kaliną. Od jałowcu mięso ich nabiera mocnej woni; jagody jemioły, od których nazwa ptaszków pochodzi, najwięcej je tuczą i delikatny smak mięsu nadają.

Stadka trzymają się zawsze razem, chociaż na żer rozlatują się pośród krzaków, po nasyceniu zwołują się znowu świegotem silniejszym i razem wypoczywają. Osobne stadka nie łączą się z sobą, każde koczuje w innym miejscu; ptaki te jednak spokojne mają usposobienie, nigdy nie spoztreżono, aby wiodły pomiędzy sobą jakie swary lub walki.

Jemiołuszki są bardzo nieostrożne, łatwo się dają podchodzić strzelcom i łowić w sidła wszelkiego rodzaju, przykład nawet nie uczy ich roztropności, gdy jedno padają pod strzałami, lub trzepią się w więzach, inne

spokojnie pozostają w pobliżu, nie uciekają na widok niebezpieczeństwa. Na wiosnę, gdy jagód zabraknie, objadają pączki drzew, zwłaszcza owocowych.

Przez czas długi nie zdołano wyśledzić gniazd jemiołuszek, niezbyt dawno dopiero angielscy ornitologowie wyśledzili je w północnej Norwegii, Laponii i Finlandji. Ptaszki te urządzają swe gniazda na świerkach i sosnach w różnych wysokościach, niekiedy bardzo nisko nad ziemią, z patyczków suchych, trawą i porostami pospajanych, wewnątrz wyściełają je puchem, mchem i sierścią renów. Jemiołuszki amerykańskie i wschodnie azjatyckie różnią się nieco od tych, które do nas zalatują i noszą właściwe nazwy gatunkowe.

Drugim gościem zimowym, najpospoliciej do nas zalatującym, jest gil północny, większy nieco od gila pospolitego, zresztą zupełnie do niego podobny. Nie potrzebujemy opisywać tego pięknego ptaka, któż nie widział gila w karmazynowej kamizelce, tak świetnie odbijającej przy białości śniegu. On także zajada ze smakiem wszystkie jagody, lubione przez jemiołuszki, a że jest bardzo żarłoczny i przytym nieogłębny, bo psuje dużo jagód i ziarna, chociaż ich nie może pożreć, więc wypłasza zwykle z okolicy jemiołuszki, za co myśliwi żal mają do niego.

Przylatuje też do nas na zimę z tych samych okolic północnych, mała, zwinna i zgrabna czeczotka. Poznać ją łatwo po ozdobnym, dużym krążku czerwonym, który zarówno samiec jak i samica mają na głowce. Samiec oprócz tego odznacza się różowym zabarwieniem na piersiach. W ciężkie zimy ogromne stada czeczotek spadają na lasy brzozowe i olszowe, lub na łąki, gdzie wydobyć mogą z pod śniegu jakiegokolwiek resztki ziół, lub rozsypane nasiona chwastów. Lebiodę szczególnie lubią niezmiernie. Zwykle oznajmiają obecność swoją donośnym gwarem.

W listopadzie zazwyczaj przybywają do nas stadami śnieguły, ładne ptaszyny, trzymające miejsce pośrednie pomiędzy poświerkami i skowronkami. W naszych stronach, w porze zimowej, śnieguły mają opierzenie jasnoszarawe, z rudawymi smugami, lecz w ojczyźnie swej, na północy, prawie zupełnie bieleją, co stąd pochodzi, że szare obrzeżenie pierza ściiera się stopniowo. Śnieguły przebywają zwykle na ziemi, stada ich sadowiają się na otwartych łąkach i zjadają nasiona ziół różnych, z pod śniegu dobywane, zbierają też i po drogach po-

gubione ziarna zbożowe. Gnieźdzą się w północnych okolicach, w miejscowościach skalistych, pomiędzy kamieniami i w szczelinach różnych, gniazdo wyściełają sierścią lisów i renów, zbieraną starannie i puchem innych ptaków, zwłaszcza miękkimi piórami pardwy.

Z Wieczorów Rodzinnych.

Odlatujące bociany.

Bociany różnią się swą wędrówką od innych ptaków. Kiedy większa część ptaków wędruje w nocy, one najczęściej wędrują w dzień. Gdy pora późna lub wiatr pomyślny, lecą dzień i noc, nie spoczywając, wyjąwszy czas potrzebny do zaspokojenia głodu. Nie śpieszą się w wędrówce. Kiedy już są na miejscach zbornych, wtedy, mając żer obfity, i tydzień cały bawią, poczym się skupiają i znowu na oznaczone miejsce lecą, aby kilka dni wypocząć i pożerować.

Ciekawy to widok, gdy w połowie sierpnia zaczynają się u nas gromadzić bociany.

Na wielu gniazdach dorosłe już młode bocianki przez tydzień cały próbują skrzydełek, a nie mając dosyć miejsca na gnieździe, trącają się i spychają wzajemnie. Gdy niebezpieczeństwo spadnięcia się wzmacnia, każdy szuka równowagi—i spokojność na chwilę przywrócona. Lecz niebawem najstarszy próbuje jedno wyciągnąć skrzydło, które swą nogą rozpycha, jak tylko może, tak dalece, że zakrywa braci i siostry; potym tak samo postępuje z drugim. Rodzeństwo zazdrosne naśladuje starszego. Kiedy już skrzydła dobrze wypróbowane, a rodzice przez dni kilka nad gniazdem dla przykładu i zachęcenia toczą koła powietrzne i próżniakom młodym już pożywienia nie przynoszą, aby ich do lotu zmusić, wtedy podrywają się bocianki na kilka stóp w górę i spadają na gniazdo, jeden po drugim. Później podnoszą się na kilka metrów, aż nareszcie najodważniejszy puści się lotem na sąsiedni budynek; za nim puszcza się drugi i całe rodzeństwo, a spróbowałszy jeszcze raz skrzydeł, czy się na nie spuścić można, odlatują nareszcie i wszystkie razem coraz szersze koła toczy.

Osiem do czternastu dni ten sam tryb życia prowadzi, oddane wyłącznie kółku familijnemu; a gdy już młodzież doskonale krąży i zręcznie żeruje, wtedy jak gdyby na umówione miejsca lecą i tam w tym samym czasie z innemi rodzinami się spotykają. Widzimy ich najpierwej 12, później 18, 24, 30 i t. d.; prawie zawsze szóstkami przybywają: dwoje starych, czworo młodych. Rano zawierają się znajomości, młodzież osobno, starsi w innej stronie; jedni drugim się przypatrują, a gdy już nastąpiło pobratanie, wtedy liczne te rodziny poważnym krokiem przemierzają pola, szukając pożywienia. Ku wieczorowi wznosi się całe towarzystwo do lotu, krąży coraz wyżej, aż nareszcie pod obłokami wydają nam się jak ptaki wielkości wrony i znikają z widnokręgu.

Niechże nikt nie myśli, że to już odlot, bo tak nie jest. Każde grono rodzinne po tych przygotowawczych manewrach powraca do gniazda, jakby na ostatnie pożegnanie; tam wszyscy wieczorem i rano chórem zakłapią i śpieszą na miejsce ogólnego zebrania. Trwa to dni kilka. Już w czasie tych częściowych zebrań zdarzają się pojedyncze egzekucje lub prześladowanie niedorodków, i dopiero po ćwiczeniu, codziennie odbywanym, wznosi się gromada, złożona z 20, 30, 40 bocianów, po dług tego, jak licznie w blizkiej okolicy się gnieździły, i znowu jak gdyby na umówione miejsce lecą i zastają jedną lub dwie gromady równie liczne. Na tych liczniejszych zborach odbywają się takie same ceremonje, znajomości, ćwiczenia powietrzne; a jeżeli się już uznają za skompletowany korpus, wybierają się w podróż lub ciągną na miejsca jeszcze większych zebrań. Na tych sejmikach musztrują się wzajemnie, próbują w powietrzu sił swoich, przyczym widocznie stare bociany są nauczycielami; widać ich, jak się nasamprzód podnoszą, kołując w powietrzu, górują nad innemi, wnoszą się pod błękit nieba, przywołując młodzież do tych ćwiczeń, potrzebnych niezbędnie, aby odbyć przyszlą podróż. Na tych ogólnych miejscach zgromadzenia, najczęściej na bagnistych łąkach, mokrych stepach lub nadrzecznych płaszczynach, bawią dni kilka, radzą, sejmikują, dzielą się na partje, każdego z osobna egzaminują, jednych zabijają, drugich odgonią—aż nareszcie, najczęściej do dnia, bez hałasu znikają, a to tak cicho, że chwili tej zajmującej dopatrzeć trudno.

Kazimierz Wodzicki.

Przywiązanie jaskółki do człowieka.

Pewien badacz przyrody bardzo ciekawe podaje szczegóły o przywiązaniu jaskółki do człowieka.

Było to w miesiącu czerwcu. Parka jaskółek dymówek wywiodła szczęśliwie pięcioro piskląt i wyprowadziła je już na świat. Lecz nastało wilgotne zimno, które wszystkim żyjątkom nadzwyczaj dokuczało. Posiadały tedy biedne jaskółczęta szeregiem na gałęzi stojącej przed domem akacji i w smutnym usposobieniu czekały na żer, który rodzice miały im przynieść. Mijały godziny, a jaskółki mimo wysileń nie mogły złowić owadów, które się pochowały były przed słońcem. Głód i zimno już tak zniszczyły pisklęta, że najmniejsze spadło na ziemię nieżywe, a drugie, żałośnie piszcząc o pomoc, spuszczały skrzydełka i z napuszczonym pierzem trzęsły się wszystkie.

Badacz ów, widząc to srogie nieszczęście, które już całą rodzinę ogarnąć miało, otworzył najbliższe jaskółek okno i puścił im złowione w pokoju muchy. Ptaszki chciwie chwytaly ulatujące owady, a uczony badacz, zapomniawszy o książkach, łapał z dziećmi muchy po kuchni i po pokojach, aby je podać jaskółkom. Ptaszka poznała to dobrodziejstwo i gdy tylko otworzyło się okno, trzepotała radośnie, oczekując żeru, a stare jaskółki, okrążając okno, wdzięcznie nuciły, jakby swemu dobroczyńcy dziękując. Tym sposobem uratował ów badacz biedne ptaszki od śmierci. Odtąd przez całe lato pamiętały to okno i codziennie wlatywały, gdy im otworzono. Nadszedł termin odlotu, więc powędrowały jak inne.

Lecz następnej wiosny jakież było zdziwienie owego badacza, gdy pewnego ranka zobaczył, iż jaskółka trzepoce przed oknem, domagając się wpuszczenia. Gdy jej otworzono, wleciała, okrążyła pokój cały i siadła na ulubionym swym miejscu, na szafie, nuciąc wesołą pieśń powitania. Odtąd wlatywała często, a nawet z czasem wybrała sobie miejsce do spania na szafie. W pierwszych dniach, gdy świece wnoszono, bardzo się płoszyła i latając tłukła się o ściany; ale później przyzwyczaiła się do tego i to sztuczne słońce wcale jej nie raziło.

Po tygodniu sprowadziła drugą, która zrazu nie chciała wlatywać do pokoju, lecz po jakimś czasie ośmieliła się to uczynić i usiadła przy tamtej na szafie. Odtąd bez obawy już przylatywały obie do pokoju. Niedługo trzeba było pomyśleć o gniazdeczku—a tu jak na

złość ściany tapetami były obite, a drzewo gładkie tak, że nigdzie bryłki błota nie można było przylepić. Co przylepiły jedną bryłkę i po drugą poleciały, wróciwszy znajdowały tamtę na ziemi. Smutnie usiadły na szafie i nuciły zcicha, jakby radziły nad tym, czy dach ten gościnny opuścić mają. Gospodarz umiał tej biedzie zaradzić: odłupał w stajni przeszloroczne gniazda i przybił z nich parę do deski, którą umieścił na szafie. Jaskółki wzięły się zaraz do naprawy i dalszej budowy, wykończyły gniazdo i po jakimś czasie wywiodły pięcioro piskląt.

Samiec, wdzięczny za opiekę, w szczególny sposób okazywał swe przywiązanie uczonemu przyrodnikowi: kiedy powracał do domu, luba ptaszyna leciała na przeciwko i okrążała go kilkakrotnie, wołając „*diwit! wit-wit!*“ Kiedy odchodził z domu, wylatywała okienkiem i odprowadzała go dość daleko; a jeżeli czasem zamyślony na jej przymilanie się nie zważał, wówczas nad samą głową trzepotała, okrążała go coraz bliżej i uspokajała się dopiero wtedy, gdy na nią zawołał. Nawet z pomiędzy licznych towarzyszek nad wodą lub pod obłokami, gdy na nią zawołał, przylatywała, aby go pozdrowić, poczym okrążywszy go kilka razy, dalej bujać leciała. Z końcem lata, kiedy już młode wprawione były do lotu, a czas odlotu nadszedł, powędrowały i te jaskółki z drugimi.

Trzeciego roku, ku końcowi kwietnia, spostrzegł badacz hurmę jaskółek, przelatującą nad jego ogrodem. Zawołał—i w tej chwili pędem strzały spuściła się przywiązana ptaszyna ku niemu, dając dowody swej uciechy i pamięci. Co prędzej otworzono okno i jaskółka wleciała do pokoju; obleciała każdy kącik, na dawnym miejscu usiadła i długo nuciła swe pieśni, dowodząc, że nie zapomniała. Cała rodzina, do płaczu poruszona, zbiegła się do pokoju, aby posłuchać śpiewu tak wdzięcznego i przywiązanego ptaszęcia; każdy podziwiał tę pamięć serca w tak drobnym żyjątku, w tej ptaszynie, która—pomimo tylu przeciwności, mimo dalekiej wędrówki, mimo sześciu miesięcy, spędzonych za morzem między ludźmi czarnymi—nie zapomniała, że pewien Europejczyk od śmierci ją wybawił, że ją gościł, że jej ze swej opieki nie wypuścił.

I znów przez całe lato ta luba ptaszyna uprzyjemniała życie rodzinie przyrodnika i jeszcze czulszą, jeszcze bardziej przywiązaną się okazywała. Kiedy w je-

sieni znowu nadszedł czas odlotu, z żalem żegnano lubą ptaszynę; wszyscy posmutnieli, bo jakieś żałobne przecucie ogarnęło ich serca, i niespokojnie pytali, czy ich miluchna towarzyska na wiosnę powróci. Prawdziwe było przecucie, usprawiedliwiona obawa, bo w roku przyszłym daremnie czekano jej powrotu, daremnie szukano koło stajni i nad wodami: powędrowała na obowiązkową pielgrzymkę i—niestety!—już nie wróciła.

Kazimierz Wodzicki.

Z życia wróbla.

Jak u ludzi, co głowa to rozum, tak co wróbel, to inny pomysł w obieraniu miejsca na gniazdo.

W porze zimowej szuka ciepłego miejsca po miastach i po wsiach, gnieździ się na gzymsach kominów, pod strzechami i dachami, na strychach, w owczarniach i stajniach, nawet w dymnych chatach. Gdzie w świątyniach okienko wybite lub szpary są w murach, tam się umieszcza wróbel, ściela gniazdo, hałasuje, żyje muszkami i pajakami, dziobie lój w lampach, wyszukuje pokarm przemysłem. Dzwony i organy, śpiew i muzyka, światło i ruch—nic go nie odstrasza; czasem siedzi na ołtarzu i swoim głosem wtóruje śpiewom pobożnego ludu. Na wiosnę urządza swą siedzibę po wieżach, w dziuśłach między gałęziami, w koronie i po konarach drzew, wędruje na skały i umieszcza się w ich rozpadlinach, leci do lasów, gajów, pasiek, nawet do drzew, osobno po polach stojących. Najciekawsze jednak i najpospolitsze ich gniazdo bywa w rynnach przy dachu. Pojąć nie można, jak ten przezorny i rozumny, a tak praktyczny ptak, może narażać swą rodzinę na to nieustające niebezpieczeństwo, że przy każdym ulewnym deszczu woda gniazdo zaleje i materiały w nim popsuje; po kłesce doznanej z wielkim wysileniem znowu w tym samym miejscu gniazdo zakłada.

Ptak to czasem odważny nad miarę, ale i prze-myślny. Znajdujemy go niekiedy tam, gdziebyśmy nawet nie śmieli przypuścić, żeby wśród zgiełku ludzi i hałasu wychował pisklęta. Nie podobają mu się niskie krzaki i ziemia, natomiast opuszczone gniazda srok, wron i wiewiórek wysoko ceni; nawet drobniejszych ptasząt

gniazda przywłaszcza sobie, a czasami siłą mocą je zdobywa; najwyżej ceni gniazda jaskółcze, chroniące od przeciągów, bo dobrze zamknięte, które sobie podług potrzeby i zachcianki urządza. Ciśnie się do gołębników, ściela gniazda wśród gałęzek gniazd bocianów, orłów i innych ptaków drapieżnych: wszędzie umie bezpieczną wynaleźć kryjówkę. Podziwienia godny jest w tych ostatnich razach. Zdarza się, że go te ptaki porządnie nastraszą i poczubią, lecz on jak mysz włazi i wyłazi, szydząc z gniewu właścicieli; wie dobrze, że go się pozbyć nie mogą—istny, natrętny pasożyt. Gdy tylko miarkuje, że już na siebie uwagi nie zwraca, natychmiast wybiega lub wylatuje na zwiady; a trzymając się gniazd tych dlatego, że w nich mnóstwo bywa robactwa i niespożytego mięsa, wróbel zaś niczym nie gardzi i każde pożywienie na swój pożytek obraca. Zabawny widok wróbla, gdy wśród orląt i bocianiąt biega, kręci się i szuka, jakgdyby był do biesiady zaproszony; zdarza się wszakże, iż życiem łakomstwo przypłaci, lub ugodzony dziobem z bolesną raną odejdzie.

Jak jest ostrożny aż do podziwienia, tak znowu natrętny jest i zaślepiony, gdy nie przypuszcza i nie zna niebezpieczeństwa; to prowadzi go często do zguby. Widziałem dwa razy, jak wróble wypędziły z gniazda jaskółki i wróbliska jaja w nie zniosły; tymczasem jaskółki, zgromadziwszy mnóstwo mścicielek, zalepiły otwór i udusiły napastnicę. Częściej jednak wróble bez szkody zabierają gniazda jaskółek, nim jeszcze powrócą; a gdy nadlecą te biedne, nieśmiałe ptaszęta, nie mają ani siły ani odwagi do odebrania swej własności i lepią świeże.

Powieśmy wysoko na pniach, po ogrodach lub laskach garnki nakryte, z otworem na boku, albo małe koszyczki, a niebawem można zobaczyć stare wróble nadlatujące, by obejrzyć tę nowość; z początku z ostrożnością, z oddalenia je badają, później się zbliżają, zacierają do środka, włączają, próbują i w końcu ścielają w nich gniazdo. Nieraz umyślnie im sporządzają koszyki i pudełeczka z gontów lub też z bardzo cienkich desek porobione, aby ułatwić tak wróblom jak szpakom gnieźdzenie się po sadach i ogrodach i sprowadzić jak największą ilość tych ptaków, celem wytopiania owadów.

Mimo swojego sprytu, nie okazuje wróbel zdolności jako budowniczy; gniazdo jego budowy niekształtne jest i wiotkie. Są to źdźbła słomy, siana i różne ko-

zronki, niedbale splecione. W środku musi być pierze, nie gardzi jednak wróbel wełną ani drobnymi szmateczkami, sierścią, szczecina ni mehem; wszystko to razem układa, przeplata i ugniata. Sprytny w wynajdywaniu potrzebnego materiału, wie, gdzie gęsi gubią pierze, zna wszystkie kurniki, chodzi za kurami i ptactwem domowym. Zabawną bywa rzeczą, gdy znajdzie długie pióro koguta lub kapłona i uszczęśliwiony zdobyczą, próbuje je zabrać; nie mogąc znaleźć równowagi, dopóty nim obraca, dopóki z piórem nie uleci i do gniazda go nie włoży.

Rodzice usiłują jak najprędzej wykarmić i wypędzić żarłoczne pisklęta, którym trudno nastarczyć pożywienia; straszliwie też z głodu piszczą, na brzeg gniazda wyłażą i wołają o pożywienie. To tłómaczy, dlaczego tak często znajdujemy pod domami i drzewami młode wróble zabite: biedactwo, piszcząc i nachylając się ustawicznie, wypada z gniazda. Nadchodzi nareszcie chwila, w której uznają rodzice, że młodzież dorosła może już dom rodzicielski opuścić; wypędzają je więc przemocą, same bowiem siedziałyby pomimo lichej strawy jeszcze dni parę. Z krótkim, niedorośniętym ogonkiem, z żółtym przy nasadzie dzióbem—już bywa wróbel wygnany. Najpierwej skakać muszą po dachu lub po gałęziach, ojciec zachęca je do lotu, najmłodszego jeszcze dzień lub dwa karmi, starszym przyniesie zmiękzone ziarneczko, to muszkę lub gąsieniczkę i poczwarkę, lecz im to kładzie opodal; wróble zgłodzone lecą na ponętę, i tak coraz dalej ojciec wprawia je do lotu i szukania żeru. W kilka dni leci z niemi na kwatery jarzyn, w pole na kupy nawozu, uczy ich i ćwiczy, a przekonawszy się o zdolności wróbląt, puszcza je samopas. Cała ta rodzina trzyma się razem, bieduje z początku, lecz że to potrzeba jest matką wszystkich wynalazków, więc się wróble dosyć prędko wyuczają zaspokajania swych potrzeb. Czworo lub pięcioro wróbląt, rzuconych na los szczęścia bez opieki i pomocy, tuła się po miejscach, wskazanych przez ojca; razem nocują, tuląc się jedno do drugiego; a jak w każdym gronie jakiegokolwiek żyjątek znajdzie się zawsze przewodnik, który siłą i zdolnością zajmie stanowisko kierownika i zdobędzie posłuch, tak i w tej gromadce któryś wróbel bierze towarzyszy w swą opiekę i w świat prowadzi.

Na tych wędrówkach spotykają w tym samym położeniu będące inne sieroty, więc się kojarzą i tworzą

spółkę, która się z każdym dniem powiększa, aż nareszcie tworzy owe liczne w sierpniu i wrześniu stada nawiedzające nasze łany pszenicy, jęczmienia i prosa. Dni i noce razem spędzają do zimy, dając nam na dachach czy na drzewach hałaśliwe koncerty. Gdy zaś zima przycisnie, gdy uśpi świat owadów, zakryje pola swym całunem, otrząsie jagody i nasiona; wygnane z lasów wróble stadami cisną się do domów, do gumien, miast i wsi, aby przy człowieku znaleźć ciepły kącik i potrzebne pożywienie.

Gdziekolwiek człowiek co wybuduje, zaraz zjawia się wróbel, bada, ogląda, sam i z drugimi; a jeżeli budowę uzna za stosowną, zaraz tam młodzież osadza lub sam się przenosi. W górach przejął zwyczaj górali: w zimie na dołach bawi i po wsiach, w lecie towarzyszy góralom do kolib *) i szałasów, umiając się stosować do ich zwyczajów. Gdy plóg ziemię pruje, zaraz i wróbel tam zaziera, pewny, że znajdzie pędraka lub poczwarkę. Wszędzie go pełno, od Stockholmu do Neapolu, od Lizbony do Tobolska; żyje w ciepłym i zimnym klimacie, między dobreimi i złemi ludźmi.

Ptactwo, żyjące w bliskości człowieka, naprzykład drób domowy, przyznaje wyższość wróblowi. Z drapieżnych ptaków mało który rzuca się na wróble, czasem krogulec go złowi, kuna lub tehórz w gnieździe schwyci, lecz i to nie często bywa. Człowiek tylko jeden sieci nań zastawia w zimie i pisklęta mu w lecie wybiera, pomimo że jego mięso czarne i dosyć twarde. Z dziwną zręcznością ucieka wróbel przed krogulcem; wpada w gęste krzaki, pod strzechę lub w snopki, życie ratując, a kiedy się już bezpiecznym czuje, zaraz się obraca, główkę wychyla i świegoce tonem radosnym, jak gdyby mówił: «O to mi się udało!».

Na wolności można go przyswoić podrzucaniem pożywienia, jednak rzadko kiedy z ręki przyjmuje pokarm. Bezczelny w swej natrętnej śmiałości, w mieście pcha się pod nogi przechodniów, na wsi szuka pożywienia wśród robotników i psów; młocków pilnuje i znajdzie chwilę, w której zdola ukraść ziarno; lecz raz zdradzony, pamięta to długo i z doświadczenia korzysta. W niewoli niczym niepokieszony. Tłucze się po klatce, dziobie i rozbić chce swoje więzienie; nawet czas, ten lekarz

*) Koliba, chata.

wyborny, uspokoić go nie zdoła; najczęściej też tak się potłucze, że i ginie. Pragnie i potrzebuje wolności, bo na nią zasłużył, bo jej używać umie; wśród ludzi wychowany, zna wartość życia bez kajdan i pętów.

Kazimierz Wodzicki.

Obyczaje dzięcioła.

Dzięcioły są ptakami nadzwyczaj pożytecznymi, gdyż niszczą ogromną ilość owadów lasom szkodliwych; bez nich właściwie gospodarstwo leśne prawieby istnieć nie mogło. A jednak niewdzięczni ludzie źle im odpłacają to dobrodziejstwo, gdyż prześladowają je na każdym kroku, i to nie tylko lud wiejski, który niszczy ich gniazda, ale i myśliwi, nie mający pojęcia o ich pożyteczności. Niedorzeczne jest mniemanie, że one przebijając korę drzew zdrowych, psują je zupełnie; właśnie wytępiając gąsienice i poczwarki owadów drzewo niszczących, nadzwyczaj są pożyteczne. Dlatego powiada jeden z największych u nas badaczy przyrody: «Kto chce mieć urodzajne sady i lasy dobre, niech hoduje wszystkie ptaki śpiewające i dzięcioły; od nich nasza roślinność zależy».

Bardzo ciekawy jest sposób jego życia.

Pewien uczony z szczególnym zamiłowaniem badał obyczaje dzięcioła, którego w tym celu sam wychował i własnymi odkarmił rękoma. Był ów dzięcioł od samego początku tak łaskawy, iż na każde zawołanie, t. j. świshnięcie, natychmiast przylatywał i z ręki przyjmował pożywienie. Widząc wyciągniętą ku sobie rękę z jakąś łakocią, np. z migdałem, z kawałkiem twardego sera lub piernika, brał nastawiony przedmiot w dzióbek i nie oddalając się, wbijał go podającemu między palce, jak gdyby mu go trzymać kazał. Jeśli palce za słabo trzymały, tak, iż migdał wypadł, uderzył je kilka razy dzióbem, podnosił migdał z ziemi i kładł go powtórnie między palce; jeżeli zaś po kilku próbach nie chciano mu go trzymać jak należy, oddalał się zniechęcony i wkładał przysmak w jakąkolwiek szparę, już poprzednio przygotowaną.

Przynoszono mu umyślnie ścinane gałęzie i utwierdzano je mocno, ażeby się nie chwiały. Ptak natych-

miast zabierał się do roboty i pracował tak usilnie, iż rozbijał gałęzie w niedługim czasie.

Nie czynił tego bynajmniej z głodu, gdyż miał pod dostatkiem wszelkiego pożywienia; jeśli jednak znalazł wypłoszoną z drzewa gąsienicę lub jaki owad, cieszył się widocznie i zjadał go z największym smakiem.

Niekiedy nie można było wyjść z podziwu, przylatując się jego pracy; uderzał bowiem dzióbem w drewno z taką siłą i z takim zamachem, a przytym uderzenia te powtarzał tak często, że pojać było trudno, jak mu to nie szkodziło. Lecz im więcej pracował, tym weselszy był i zdrowszy, a napracowawszy się, przylatywał do obecnych w pokoju domowników i siadał albo na ich ramieniu lub piersiach albo też na stole.

Towarzystwo lubił niezmiernie; sam nigdy długo nie wytrzymał. Jeśli był w klatce zamknięty, a w pokoju nie było nikogo, to krzyczał bezustanku i kuł w drzewo z taką natarczywością, że aż klatka się chwiała. Jeżeli zaś wtedy wszedł kto do pokoju i zbliżył się ku niemu, podbiegał z rozpostartymi skrzydełkami do ścian klatki i całym swym zachowaniem wielką okazywał radość. Kiedy znów ktoś obcy wchodził do pokoju, a on bawił się na środku, natychmiast w głąb umykał i chował się za nogę stołu albo poza inny jaki sprzęt domowy, skąd wyglądał ciekawie i ostrożnie. Unikając zbliżających się do niego gości, krył się ciągle, dopóki sam gospodarz nie zbliżył się ku niemu i nie wyciągnął doń ręki; w takim razie natychmiast przylatywał do niego i jakby z radości wsuwał dziób pomiędzy palce lub uderzał w nie zlekka.

Razu pewnego wszedł do pokoju mosiężnik z twarzą żółto-brunatną, oddawna zapewne nie mytą. Dzięcioł swoim zwyczajem wskoczył za nogę stołu. Spostrzegł go jednak mosiężnik, a zaciekawiony niezwykłością ptaszka, zbliżył się nieco i zaczął mu się uważnie przyglądać. Dzięcioł zachowywał się spokojnie i tylko przestępując z nogi na nogę, chował się poza stół; dopóki mosiężnik trzymał ręce przy sobie, nie zdradzał ptak żadnym ruchem skrytych swych zamysłów. Lecz gdy ów, okazując swoje zdziwienie, wyciągnął rękę w stronę ptaka, choć nie postępując naprzód ani się schylając, ten z ogromnym krzykiem w lot rzucił się na rękę, uderzając w nią z całej siły dzióbem, a gdy człowiek cofnął ją do kieszeni, dzięcioł rzucił mu się na twarz, na głowę i z taką zapalczywością uderzał, że go ledwie można było odpe-

dzie od przestraszonego mosiężnika. Nawet po odejściu mosiężnika nieprędko udało się uspokoić ptaka, który się takim gniewem zapalił na widok tak niezwykle ciemnego oblicza.

Ponieważ najczęściej latał swobodnie po całym mieszkaniu, a okna w lecie były prawie zawsze otwarte, wylatywał więc na podwórze i do ogrodu i tu siadał na chwilę na drzewach, rozglądał się naokoło i zaraz wracał do domu; jeśli zaś zabawił nieco dłużej, przylatywał natychmiast, gdy się go zawołało znanym mu świstnięciem. Raz tylko jeden, odleciawszy znacznie dalej do wielkiego w sąsiedztwie ogrodu i znalazłszy tam wiele zajęcia na starych gruszech, nie wrócił zaraz ani nie dał się przywabić wołaniem, potym zaś zmyliwszy drogę, już nad wieczorem do obcego wleciał pomieszkarnia, skąd go przyniesiono. Od tego czasu nie puszczał się już na dalsze wędrówki.

Zajmowały go bardzo wszelkie drobne, szczególnie błyszczące przedmioty, które chwycił, a pobawiwszy się niemi nieco, zanosił je do jednej ze swoich kryjówek (miał ich kilka) i tam je chował w szparę. Jeśli w jego nieobecności wyjęło się kilka takich przedmiotów z kryjówki, podlatywał i brać ich nie dozwalał, wydzierając je mocno z pomiędzy palców; był też nad wyraz uszczęśliwiony, gdy mógł taki przedmiot napowrót otrzymać i do kryjówki zanieść.

Psów i innych mniejszych zwierząt domowych nie obawiał się wcale, a tylko będąc na środku pokoju, chował się przed niemi poza nogi sprzętów, a prześladowany podlatywał na wyższe przedmioty. Jeśli pies zbliżył się do klatki wtedy, gdy dzięcioł w niej siedział, poczęstował go dzióbem jak się należy, poczym pies natychmiast odskakiwał i zaczynał szczekać z odległości kilku kroków. Obawiał się jednego tylko stworzenia i nie mało się przeląkł przy pierwszym jego widzeniu. Był nim rak. Zapewne dziwaczna postać i wielkie kleszcze musiały się dzięciołowi tak strasznymi wydawać: zaraz rzucił się w tył z rozpostartymi skrzydełkami, latał po całej klatce, wyciągając naprzód szyję i wznosząc się wysoko na nogach, śledził uważnie każdy najmniejszy ruch raka. Zaledwie zwolna uspokajał się potym.

Codziennie jego życie bardzo było proste. Jadał niemal wszystko to, co i człowiek, szczególnie rzeczy gotowane: groch, bób, ziemniaki i t. p. Bardzo lubił orzechy, migdały, pestki wiśniowe lub śliwkowe, niemniej także

robaczki, owady, gąsienice i pajaki. Kąpiel zimna sprawiała mu wielkie zadowolenie, to też kąpał się codziennie, latem i zimą a kąpał się tak, że jednego piórka suchego nie pozostało na nim. Wodę na to miał na obszernej misce na środku pokoju, ażeby sobie nie zalewał klatki. Wykapawszy się, natychmiast uciekał do klatki i zawieszał się u jednej ze ścian, pozostając w tym położeniu, dopóki nie wysechł. Sypiał zawsze, schowawszy zlekka główkę pod skrzydełko, albo u góry klatki na dół zwieszony albo w położeniu pionowym u tej ściany klatki, która w stronę okna była zwrócona.

Razu pewnego nad wieczorem, kiedy ptaszek już zasnął w postawie pionowej, a wszyscy domownicy wyszli byli z pokoju, wpadł przez otwarte okno wielki kot i udusił dzięcioła łapą, zanim służba na krzyk jego zdążyła z pomocą. Wypadek ten wielkim smutkiem okrył dom cały, bo wszyscy nadzwyczaj przywiązani byli do pocziwego ptaszka.

Kot Czarnuch.

Do kurnika zachodził niekiedy z nadzwyczajną ostrożnością duży czarny kot, wychowaniec chłopskiej chałupy. Były i we dworze dwa koty: jeden czarny, drugi biały; lecz o nich można powiedzieć, że oddawna zrzekły się zwyczajów barbarzyńskiego sposobu życia swych przodków. Te tłuste pieszczoły wysypiały się na łózkach, kanapach, krzeselkach, żyły z psami w jak najlepszych stosunkach, a u ludzi nie podpadały nigdy w podejrzenie. Plondrujący zaś po kurniku i po innych budynkach kot był nawpół dziki, nieprzystępny dla idei życia cywilizacyjnego.

W chałupie, gdzie się wychował, gdzie był stałym lokatorem, jeść mu nie dawano, ponieważ gospodarz jego sam nie miał co jeść. Że zaś kot w owej chacie z przyległościami wyłowił wszystkie myszy, jakie były, przeto domu mógł tylko używać o tyle, o ile mu się spać chciało. Choćby w tej chałupie było nawet co ukraść, nie opłaciłoby się, bo gospodarz i gospodyni sprawili mu kilka razy takie wały, że sam widok ja-

kiejś smakowitej rzeczy w tym miejscu nabawiał go formalnego wstępu.

Szedł kot zatym w szeroki świat, a jeśli miał zamiary przywłaszczania sobie cudzych rzeczy, to gdzież iść, jak nie do dworu? We dworze i o myszy było łatwiej, gdyż miejscowym kotom przez myśl nawet nie przeszło, aby zużywać energję na takie mało produkcyjne polowanie. Tutaj w stodołach, na dworskim ziarnie, karmiły się setki młodych, jak kluski pulchnych wróbelków, które piskiem same zdawały się dopraszać, aby je kto zabrał.

Taki łowca, kot szeszwany, znał na wylot wszystkie dziury; wiedział, którędy się zakraść i którędy zmykać. O zmroku można go było widzieć, jak pomykał przez drogę, czając się po wszystkich przykopach i rowach, a co chwila ciskając dokoła niespokojnym wzrokiem za każdym ruchem, bodaj chrabaszcz brzęknął, lub zmierzchny motyl furknął. Idąc tak bacznie, dostawał się czarny kot w istny las bulw, rosnących za dworem, i tu przesuwiał się z całą zręcznością akrobata: żadne stworzenie nie posłyszało jego chodu. Jeżeli po drodze wypadło się zacząć i pochwycić jaką zdobycz, wykonywał on to z wielką dokładnością.

Na swoje wyprawy kot wybierał się w różnych porach dnia, ale prawie zawsze go spostrzeżono; jeśli go nie zauważyli ludzie, to niezawodnie spostrzegły kury, gołębie, indyki, wróble i t. d. Wtedy sygnał niebezpieczeństwa rozchodził się wśród ptactwa i wszystko zachowywało się odpowiednio.

Raz po południu wszedł był czarny kot do kurnika, gdzie przywarował, ponieważ zdało mu się, iż mysz przebywa pod koszykiem, w którym siedziała kwoka ze swoim, dopiero co wylęgłym maleństwem; istotnie, mysz tam była i od czasu do czasu wysuwała się, aby pochwycić ziarno rozsypanej kaszy jaglanej. Kot poskoczył, lecz mysz uciekła. Z gniazda porwała się też wściekła kwoka i ze strasznym krzykiem uderzyła na kota, a była tak natarczywa, że biedak nie miał nawet czasu na ucieczkę; posypały się teraz na niego bolesne ciosy dzioba i dotkliwe uderzenia skrzydłami, co wyszło na zadawanie kulaków pod żebra i między oczy! Zgiełk walki poruszył inne kury w kurniku i rozległo się rozgłosne: «gda, gda, gda, gdaa!»

Kot próbował walczyć, ale rozjuszona kura częstowała go tak gęstym gradem pocisków, że nie mógł przyjąć

do siebie; zaledwie wydarł z niej nieco pierza, które mu obległo język i podniebienie.

Z biedą nareszcie wydostał się na ścianę, a i tu, gdy się wspinał, kura, podlatując w górę, jeszcze go raziła. Poturbowany, uszedł przez dziurę, i odprzysięgł się prawdopodobnie zachodzenia do kurnika. Ale konieczność rządziła jego zamiarami, a nie chwilowe usposobienie woli. Przecież, oprócz awanturniczych kwok, były także w kurniku dobroduszne gołębie, z którymi sprawa o wiele łatwiejsza; spożycie zaś tłustego gołąbka, będącego w pałkach na wylocie, warte było dla kota znacznie więcej, niż jakieś tam kilka sztuk myszy.

I nadal przeto zabiegał do kurnika, a gdy mu się w kurniku łowy nie udały, wówczas chyłkiem wymykał się dziurami i poprzez chwasty podążał między dworskie budynki. Po drodze zatrzymywał się pod topolą, obfitującą we wróble gniazda, posłuchał trochę ptasiego świegotania, mrużąc oczy bursztynowej barwy i spieszył dalej. Szedł następnie pod przyciesie śpichrza, gdzie miewał spotkania z różnemi stworzeniami, prowadzącymi cichy żywot w ciemnościach. Z pod śpichrza przemykał się znowu około parkanu, pomiędzy gospodarskimi narzędziami do stajni i obory, gdzie zwykle znajdował najlepsze ukrycie i najbezpieczniej odbywał polowanie. Jeżeli w oborze czy stajni schwycił gołębia, uchodził z nim tym samym traktem, którym tutaj przybył, to jest—pod śpichrz, w chwast na piwnicach, stąd w kurnikowe dziury, z kurnika w las bulw, a stamtąd już prosto do domowego ogniska.

Nie można powiedzieć, ażeby się w tych wędrówkach obeszło bez przygód. I najzręczniejszy linoskok kark nieraz skręci, gdy się całe życie na szwank naraża. Nasz kot dużo przeszkód spotykał na drodze życia. Nawet we własnym domu nie był bezpieczny, bo kiedy raz powrócił z łowów, niosąc sporego gołębia, spotkała go gospodyni, łup odebrała, przyrzadziła z niego potrawkę i zjadła z mężem, zostawiając zaledwie grubsze kości dla kota.

Jednego dnia w śpichrzu znowu natrafił na gniazdo os czy trzmiełow, które go z zajądlnością obsiadły i dzięki temu spotkaniu, musiał się przez kilka dni lizać, pozostając w domu na surowej djecie, ponieważ od ukąszeń tych owadów spuchł mu był łeb, że patrzeć nie mógł.

Innym razem zaszedł do krowiarni, gdzie mu wypadło z planu przebierać się po jakiejś żerdce, bardzo słabo przytwierdzonej do powały; ta żerdka się oberwała i kot wraz z nią spadł do cieletnika, a tu jedno z cieląt tak go kopnęło tylną nogą, iż zaledwie stamtąd wyjść zdołał.

A ile on to nieraz strachu zażył wśród koni, brząkających łańcuszkami uźdz przy żłobie, stukających kopytami, uzbrojonych w podkowy i mielących ogonami! W oborze również nabawiał go ryk bydła niemalej drżączki. Cóż dopiero, gdy do takiej stajni, czy krowiarni, wchodzili ludzie z grubemi widocznie instynktami, miotający nieustannie przekleństwa w najokropniej brzmiących słowach! Z biciem serca przesiadywał kot wtedy gdzieś w słomie, wtłoczywszy się jak można najgłębiej, aby nie być spostrzeżonym.

Atoli najgorsze były wszystkie odkryte place na podwórzu, nie dające się ominąć w przejściu z jednego budynku do drugiego; albowiem na podwórzu bardzo często wylegiwał się pies Satyr, dosyć grzeczny podobno dla kotów miejsowych, ale okrutny wróg cudzoziemców. Pies był bardzo czujny. Z tym kundlem przyszło raz kotowi odbyć straszną awanturę, o mało co nie kosztującą życia. Kiedy bowiem po daremnych poszukiwaniach powracał był kot ze stajni i dla większej ostrożności szedł poza parkanem między gęstwiną kukurydzy, dyń, słoneczników, maku i tyczkowego grochu, naraz spotkał leżącego tutaj w cieniu Satyra. Los chciał, że pies nie spał, gdyż musiał się nieustannie borykać z muchami. Satyr właśnie podniósł głowę i, ścigając okiem jakąś natrętą muchę, w strasznej złości kłapnął zębami, kiedy nasz kot cichutko wylazł z pod liści dyni i, ujrawszy niespodziewanie psa, strasznie się zmieszał... Było się czego przerazić, bo co tu robić? W ucieczce pies mógł z tyłu pochwycić i rozszarpać; w otwartym zaś spotkaniu, oko w oko, można było użyć pazurów i w razie konieczności dać psu nawet dobrą naukę. Satyr atoli wcale się nie zmieszał i nie namyślał się, lecz raptownie poskoczył do kota, który teraz, chcąc nie chcąc, musiał stoczyć walkę. Pies z początku zdawał sobie lekceważyć pojedynek: przypadł do kota i chciał bez ceremonji wziąć za kark. Czarny wygiął grzbiet w kabłąk i wyciął psu taki policzek, że kundel odskoczył, oblizał się tylko i łapą poskrobał po gębie, jakby chciał zetrzeć przylepionego klapsa. Skorzystał

Czarnuch z owej rejterady, w kilku susach dopadł topoli i w mgnieniu oka wdrapał się na sam prawie wierzchołek drzewa. Lecz Satyr miał w duszy zemstę, pobiegł pod topolę, usiadł tu na tyle swego ciała, a wpatrując się zjadliwie w przyczajonego między liściem kota, począł go z niecierpliwością oszczekiwać.

Szło teraz o to, kto kogo przetrzyma, inaczej mówiąc—kto jest cierpliwszy.

Donośny psi głos mocno niepokoił kota; dałby on dużo za to, żeby Satyr zachowywał się spokojniej. Para rozwścieczonych oczu psa ciągle wymieniała spojrzenia z parą niepokojem błyszczących, żółtych oczu kota.

Zwinięty w kłębek i ku dołowi spoglądający Czarnuch byłby długo może wysiadywał na topoli, atoli na szczekanie Satyra odezwał się też głośno i przywiązany w pobliżu na łańcuchu Kwiatek. Na spokojnym podwórzu zrobił się zamęt: każda sztuka drobiu zdawała się zapytywać: «Co to znaczy?» Kury powyciągały szyje, nie wiedząc, czego wypada oczekiwać; indyki też kontemplacyjnie rozglądały się to na prawo, to na lewo; perlice znowu bez żadnego zastanowienia uchodziły co tchu w ukrycie.

Właśnie z kuchni wyszła na to wszystko Klameczyna, wyniosła w fartuchu jakieś ostrużyny i rozsypała je kaczkom, nawołując: «taś, taś, taś!» Szczekanie Satyra oraz rwanie się w budzie na łańcuchu Kwiatka zaniepokoiły ową niewiastę: «A może ktoś po drób się skrada!» Z rękami przeto założonemi na brzuchu podeszła ku spichrzowi i poczęła przez parkan zaglądać w kukurydzę.

Czarny kot spostrzegł niebawem, że jego położenie na topoli staje się coraz niebezpieczniejsze; na widok więc Klameczyny skoczył z topoli i, nie tracąc chwili czasu, z nadzwyczajną zręcznością dał nura na spichlerz. Gdyby kot miał istotnie tchórzliwą duszę, to owo zdarzenie oduczyłoby go raz na zawsze łowów podworskim terytorjum. Jeżeli wszakże czymś trybem życia jest nieustanne ryzyko, to taki musi się już ciągle narażać: Czarnuch więc polował i nadal na folwarku.

Adolf Dygasiński.

Jak trawa rośnie?

W ciągu grudnia śnieg pokrywa trawy i liczne zioła, które poźółkłe i zeschłe wcale nie są podobne do tych, które wzorzystą, zieloną szatą pokrywają nasze pola i ogrody i stanowią podszycie lasów w lecie.

Zaledwie jednak zabłyśnie wiosenne słońce, choćby to było w początku marca, najdalej w ciągu trzech do czterech dni ukazują się świeże, jasno-zielone ździebka trawy pod murami, na ścianach rowów i pochyłościach wzgórzy, ku południowi zwróconych. Skądże się te trawy biorą? Czy wschodzą z nasion, czy słońce je stworzyło, czy jakaś nieznana tajemnicza potęga wydobyla je z ziemi?

I jedno i drugie. Z nasion wprawdzie nie wschodzą jeszcze. Na to potrzeba i dłuższego czasu i więcej ciepła. Po kilku tygodniach ciepłej pogody, przy dostatecznej wilgoci, ukazują się tu i owdzie cienkie, jak włos listeczki, to będą trawki z nasienia wyrosłe.

Lecz ta pierwsza zieleń zwiastująca upragnioną wiosnę, jeszcze na długo przed pojawieniem się jaskółek, współcześnie z żółtymi pierwiosnkami, a służąca do ulubionej gry w zielone, nie pochodzi z nasion.

Większość traw, rosnących w kraju naszym, zarówno jak i ziół przeróżnych lekarskich, pożytecznych, lub dla człowieka obojętnych, ginie na zimę tylko pozornie. Cała ta ich część, któraby wystawiona na igraszkę mrozu, wiatrów, i zawiei uciepnieć mogła, jako soczysta, delikatna, a niezabezpieczona twardą korą chropowatą, przed nadejściem zimy, powoli obumiera, zanika. Soczysto-zielone liście traw, za nadejściem mrozu żółkną od wierzchołka coraz dalej ku podstawie, aż nareszcie powiędnęte, zmartwiałe, staną się symbolem zgrzybiałej starości.

Podobieństwa zaś pomiędzy starzeniem się trawy i człowieka jest znaczne, choć na pozór niewyraźne. Zanim wstąpi do mogiły, wprawdzie oddaje starzec ziemi rodzinnej, co był powinien. Wychował dzieci, wszczepiwszy w nie dobre zasady, tradycje przez ojców przechowane, wreszcie tę mądrość, którą doświadczeniami, a często i nauką zdobył w długiej pielgrzymce. Więcej nawet—niekiedy pracę tę wychowawczą udało mu się prze-

nieść i na drugie pokolenie—gdy brał udział w wychowaniu wnuków.

Tak czyni przeciętny człowiek. Niejeden zaś pozostawia po sobie dorobek większy, który mu przez czas pewien, to dłuższy, to krótszy, stosownie do wartości, zapewni dobre imię i wdzięczność potomnych po śmierci. Ten był wielkim poetą a utwory jego długo jeszcze będą wstrząsały dusze rodaków i zapalały w ich sercach miłość Boga i bliźniego, lub chęć do wielkich czynów. Inny zasłynął jako wynalazca, a liczne pokolenia błogosławić go będą za pożytek z prac jego płynący. Jeszcze inny w mądrych książkach zamknął prawa, które remi się długo jeszcze, choć sam zniknie, będą ludzie rządili, lub dał im wskazówki szukania prawdy i wiecznego szczęścia.

O wiele skromniejszy, a jednak pożyteczny jest zakres działania listków drobnego zieleń. Przez całe lato nie tylko ozdabiają one przyrodę, nie tylko stanowią dla niej piękne tło i łagodzą zbyt jaskrawe światło, któreby szkodzić mogło oczom zwierząt i ludzi, ale co więcej: one wszystkie pracują całe lato od najwcześniejszego świtu do późnego zmroku, bo przyswajają dla rośliny to, co z powietrza pochwytać mogą, a nadewszystko węgiel, stanowiący główną masę rodzimego ciała.

W ich to zielonych komórkach odbywa się, jak w ludzkim kanale pokarmowym, przemiana surowych mineralnych materiałów, w wodzie rozpuszczonych, na wytwory roślinne, takie jak: cukier, krochmal, śluz, gumy, żywice, garbniki, olejki wonne i barwy. Wyrobite w niezmiernie drobnych pracowniach, bo pojedynczych komórkach, głównie liść stanowiących te przetwory, przez lato w znacznej części znajdują się w liściach samych i łodyżkach. W miarę jednak skracania się dni i ochładzania powietrza, a co za tym idzie i ziemi, wytwory te pożywne i mające dla rośliny wielką wartość w przyszłości, przenoszą się powoli do części podziemnych i odkładają się w nich, jakby w magazynach. Za magazyny takie służą kłącza czyli łodygi podziemne, jakich wybornym przykładem są sznurkowate, białe, grube korzenie perzu. Inne trawy, turzyce, powójki, podbiały i t. p. mają łodygi podziemne podobnej budowy, jeszcze inne posiadają bulwki i kłęby lub choćby tylko zwykłe, ale bardzo obfite korzonki.

Wszystkie te części pokrywa płytsza lub grubsza warstwa ziemi, otula je i zabezpiecza; do pomocy jej

w tym celu służy jeszcze i śnieg. Otóż na jesieni, a wogóle przed nastaniem właściwej zimy, chronią się do części podziemnych: cukier, mąka, oleje i olejki wonne, jednym słowem to wszystko, co stanowić będzie materiał do zbudowania pierwszych liści następnej wiosny, więcej nawet, do wydania szypulek kwiatowych i kwiatów, a potem owoców. Bo większość roślin trwałych, zakwita wczesną wiosną, kosztem tego, co wypracowały i nagromadziły przez lato poprzednie. Wszak przebij-śniegi, przylaszczki, pierwiosnki, fijołki, kaczeńce, sasaniki i tyle innych kwiatów, ukazują się w marcu, kwietniu i maju. W maju też kwitną zboża i inne trawy zimujące.

Oddając do korzeni, co ma w sobie lepszego, wartościowego, liść jesienny traci zielen, która mu użyczała miłej barwy, pozbawia się soków i pożywnych części, a pozostaje w nim tylko trochę niepotrzebnego już szcianu wapnia i innych soli wapiennych, oraz drzewnik, z którego zrobione są ścianki komórek. Wapno znajduje się wszędzie w ziemi, często w wielkiej obfitości; drzewnik, zrobiony jest z węgla, którego w formie kwasu węglowego dosyć jest w powietrzu i wody, której ziemia im dostarcza, więc te materje dla przyszłej rodziny nie mają wielkiej wartości.

Tak ogołocony ze swej treści, liść trawy zsycha się nareszcie, ale nie ginie aż do następnej wiosny. Rola jego nie jest skończona. Teraz gdy dzieci jego mozolnej pracy schowały się pod ziemię, trzeba je zabezpieczyć znowu od srogości zimy. Więc też zeschnięte liście wspólnymi siłami utworzą nad śpiącym w podziemnym łóżeczku potomstwem, ciepły, bo puszysty kożuszek, który z wolna strawi się, zniszczy i ustąpi miejsca nowym listkom, gdy te przebijają się z pod niego pod ciepłym słońcem wiosny.

Gdy człowiekowi bardzo jest źle na świecie, niechże jak trawa, swe życie w korzeniach, potrafi w sercu swoim zachować lepsze na przyszłość zadatki; niech umie je uchronić od mrozu niewiary i zwątpienia. Po ciężkim, pełnym trosk, prób i niepowodzeń życiu, przyrzeczono mu wybawienie wiecznej wiosny. Zmartwychwsta-
nia. Nie traćmy więc nadziei, ale wierzy i ufajmy.

Edmund Jankowski.

Poświętniki i księżycoróg.

Któż z nas nie zna różnych gatunków żuków gnojowych? Któż nie napotka ich na pastwiskach i drogach, wogóle wszędzie, gdzie chodzi bydło lub konie?

A te drobne stworzenia jakże są pożyteczne!

Niszczą one różne odpadki, które, będąc pozostawione samym sobie, gnilyby i psuły powietrze. Uprzątając je, spełniają żuki rolę stróżów i policjantów, dbałych o czystość i porządek na drogach. Wprawdzie u nas takie owady nie są konieczne potrzebne, bo ludzie sami myślą o tym, ale w krajach gorących, których mieszkańcy są najczęściej napół dzicy i gdzie wskutek wielkich upałów wszystko psuje się znacznie prędzej, tam tacy opiekunowie są prawdziwymi dobroczyńcami. Bez nich różne zaraźliwe choroby grasowałyby bez przerwy wśród niechlujnych wsi i miast tamecznych.

Z tego względu żuki gnojowe musimy zaliczyć do owadów bezwzględnie pożytecznych, a tym samym takich, których poznanie jest podwójnie ciekawe. Niezależnie od korzyści, przynoszonych przez nie, niektóre z tych żuków odznaczają się niezwykłą pieczołowitością względem swych dzieci i dla tego tymbardziej zasługują na zabranie z nimi bliższej znajomości.

Do takich należy poświętnik. Jest to duży owad, mający długości do 3 centymetrów. Ubarwienie posiada ciemne, w części lśniąco-czarne, a w części ciemno brązowe. Głowa jego ma kształt płaski, półkolisty z kilkoma ostre ząbkami z przodu. Odrazu widać, iż taką głową można wybornie rozcinać ziemię lub nawóz, że jest to narzędzie w rodzaju motyki lub piły do niezbyt twardych przedmiotów. Spójrzmy na łapki przednie poświętnika a zobaczymy, że i one mają budowę inną niż u większości owadów: są mianowicie płaskie, szerokie i zaopatrzone w szereg zębów z boku. Obie pary tylnych łapek posiadają zwykłą budowę, ale oprócz tego na każdej z nich znajduje się potężny kolec. Kolce te stanowią wygodną podpórę dla owadu, gdy mu wypadnie dźwigać ciężar nieco większy.

Taka budowa poświętnika czyni go uzdolnionym do dwu czynności naraz: rozcinania i kopania z jednej strony, oraz podnoszenia ciężarów z drugiej. Może on być jednocześnie kopaczem i tragarzem.

Poznajmy bliżej jego obyczaje, a przekonamy się,

iz jest on także wybornym budowniczym i rodzajem to-
karza w jednej osobie, wszystkie zaś prace swoje wy-
konywa w sposób nadzwyczaj staranny.

Poświętnik zamieszkuje Egipt oraz inne kraje nad-
śródziemno-morskie, między innymi Europę południową.
Przebywa koło stad bydła, żywiąc się nawozem. Nie
spożywa go jednak wprost, jak to czynią inne żuki gno-
jowe, lecz sporządza z niego pierwszej bardzo zgrabne kule.

W tym celu przy pomocy swej piłkowatej głowy
oraz krających łapek przednich, oddziela pewną ilość
nawozu, następnie tacza ją w różnych kierunkach, do-
póki całość nie przybierze kształtu kuli, prawie zupełnie
prawidłowej. Wówczas wchodzi na nią, wygładzając i wy-
równywając ostatecznie łapkami jej powierzchnię. Kula
taka co najmniej dorównywa wielkością owadowi, w więk-
szości zaś wypadków przewyższa go znacznie.

Z tego powodu przygotowanie jej nie jest rzeczą
łatwą i poświętniki najczęściej wykonywają tę pracę pa-
rami. Gdy kula jest już zupełnie gotową, toczą ją do
przygotowanego dołka i tam zakopują. Takie zatocze-
nie do dołka bywa zazwyczaj jeszcze trudniejsze, niż
samo zrobienie kuli, zwłaszcza, gdy trafi się grunt nie
zupełnie równy. To też tutaj pracująca para poświętni-
ków musi nieraz przywoływać współbraci, znajdujących
się w pobliżu, i dopiero wspólnymi siłami udaje się
im przezwyciężyć wszystkie trudności i umieścić kulę
w gnieździe.

Gniazdo to jest również bardzo kunsztownie zbu-
dowane. Na zewnątrz zdradza swą obecność niewielką
kupką poruszonej ziemi, wyglądającej zupełnie tak, jak
kretowisko. Od tej kupki idzie w głąb korytarz piono-
wy, długi przeszło na palec; następnie zmienia kierunek
na poziomy i ostatecznie prowadzi do rozszerzonej ko-
mory, tak wielkiej, jak pięść. Komora ta stanowi wła-
ściwe gniazdo, w którym poświętnik umieszcza zrobio-
ną kulę.

Jedna z kul służy na pokarm dla dorosłych owa-
dów, które ją zjadają spokojnie i bez przeszkód w swym
zaczynnym zakątku. W inne natomiast poświętniki skła-
dają po jednym jajku, umieszczając je blisko powierzch-
ni i następnie wyciągając śpiczasto tę część kuli, w któ-
rej jajko się znajduje. Wymaga to znów nadzwyczaj
starannej i umiejętnej pracy. Ostatecznie pod zgrabne-
mi łapkami owadu kula przyjmuje kształt gruszki. Takie
umieszczenie jajka w zwężonej części gruszki zapewnia

mu znacznie większy dostęp powietrza, niż gdyby ono
znajdowało się gdzieś w głębi kuli. Dostęp zaś powie-
trza jest rzeczą konieczną, gdyż bez niego żaden rozwój
nie może się odbywać i młody owad nie mógłby się
wylęgnąć.

Złożywszy jajka i wykończywszy gruszkę, samica
opuszcza gniazdo. Spełniła wyśmienicie swój obowią-
zek: z jednej strony zabezpieczyła jajko przez zatocze-
nie gniazda i ukrycie jajka w kuli, z drugiej zaopatrzy-
ła larwę, która się z niego wylęgnie, w zupełnie dosta-
teczny zapas pokarmu. Może więc odejść bezpiecznie,
gdyż dziecko jej potrafi już dać sobie radę samo. Ale
samica poświętnik nie odchodzi na próżniactwo: skoń-
czywszy jedną gruszkę, bierze się natychmiast do dru-
giej, dla każdego bowiem jajka, które składa, musi przy-
gotować inną kolebkę. W ten sposób pracuje nieprzer-
wanie, ciężko i wytrwale dla zabezpieczenia losu po-
tomstwa, aż póki nie zginie z trudów i wyczerpania.

Za to młode larwy mają się bardzo dobrze. Wy-
łęgszy się, biorą się zaraz do spożywania zapasów, na-
gromadzonych przez matkę i zjadają powoli całą zawar-
tość gruszki z wyjątkiem warstwy zewnętrznej, która
wskutek zeschnięcia staje się bardzo twardą. Stanowi
ona dla nich wyśmienitą ochronę przoz cały czas dzie-
ciństwa. Dzięki obfitemu pokarmowi larwa wciąż roś-
nie; wreszcie po kilku tygodniach przestaje jeść i prze-
kształca się w poczwarkę. Z tej ostatniej wychodzi do-
rosły poświętnik, który opuszcza swą kolebkę dopiero
wtedy, gdy deszcze padające w tym czasie (w jesieni)
zmiękcza należycie jej twardą skórę i umożliwią mu zro-
bienie w niej otworu.

Niezwykły rozwój tego owadu, a zwłaszcza umię-
jętność wyrabiania kul z nawozu ściągnęły nań uwagę
już w starożytności. Dawni Egipcjanie, nie mogąc zro-
zumieć, aby mały owad sam przez się mógł posiadać
taką zdolność, uważali go za jakiegoś mniejszego bożka
i oddawali mu cześć, jak to zresztą czynili i względem
wielu innych stworzeń. Dzięki swej sztuce, poświętnik
uważany był przez nich za godło słońca i świata całego,
a jednocześnie za jakiegoś opiekuna mężnych wojowni-
ków, którzy obowiązani byli nosić na piersiach samego
owada lub jego podobiznę. Jak dalece cześć poświęt-
nika była rozpowszechnioną w starożytnym Egipcie,
przekonywają nas o tym liczne jego podobizny, znajdo-
wane w świątyniach i grobowcach egipskich, a znane

pod nazwą «skarabeusów». Podobizny te, wykute z kamienia, posiadają niekiedy wielkość olbrzymią.

Z naszych owadów zdolnością wyrabiania kul z nawozu odznacza się księżycoróg, nazwany tak dla zagiętego rogu, który posiada na głowie. Jest on dość pospolity na pastwiskach, odwiedzanych przez konie lub bydło. Barwę ma lśniąco czarną, głowę o brzegu równym, niezazębionym, ale za to łapki przednie płaskie i zębate zupełnie tak, jak u poświętnika. Wskazuje to, iż oba owady muszą mieć pokrewne obyczaje, i tak też jest wistocie.

Wprawdzie księżycoróg dla siebie nie wyrabia wcale kul, zadawalniając się wprost spożywaniem nieprzyrządzonego nawozu, jajka jednak składa tak samo do ulepionych brył kulistych, którym następnie nadaje kształt jajowaty. Gniazdo jego również składa się z korytarza i komory podziemnej.

Różni się on natomiast od poświętnika pod dwoma względami: przedewszystkiem składa w jednym gnieździe kilka gruszek, oszczędza więc sobie pracy kopania osobnych gniazd, ale za to wolny czas poświęca całkowicie na pilnowanie tych gruszek. Samica nie opuszcza wcale gniazda, siedzi bezustanku przy kolebkach swych dzieci, wygładza je i porządkuje, ciągle czyszcząc je starannie z ukazującej się na nich pleśni, która byłaby w stanie zniszczyć całą kulę i spowodować w ten sposób śmierć zamkniętej w niej larwy. Pod tym względem poświęcenie dla dzieci tego stworzenia wzbudza jeszcze większy podziw, niż pracowitość poświętnika.

B. Dyakowski.

Ogień ze słońca.

Gdy dawni przodkowie nasi palili drzewa swych lasów, wierzyli, że zwracają słońcu ogień, który od niego otrzymali.

Był czas, gdy człowiek pierwotny nie umiał jeszcze ognia krzesać, gdy nie znał go wcale. Trudno dziś wyobrazić sobie, jak nędzny wiódł żywot. Nagi, narażony był na chłody nocy i zimy; zgłodniały, żywił się jedy-

nie korzonkami roślin dzikich i ich owocami cierpkimi; bezbronny, stawał się pastwą zwierząt drapieżnych, od niego silniejszych i bardziej rączych.

Piorun, może inny przypadek, wzniecił pożar lasu. Wobec tak nowego a groźnego zjawiska, człowiek uciekł strwożony. Ogień taki nieraz wybuchał i człowiek zwolna z nim się oswoił; poznawszy, że niszczący ten żywioł może stać się i dobroczynnym, odważył się ująć rozpaloną głównię, przeniósł ją do swych siedlisk, umieścił obok swych jaskiń i lepianek, w których przebywał.

Rozpalać ognia zapewne długo jeszcze nie umiał, strzegł więc ogniska i baczył pilnie, by nie wygasło. Skoro człowiek stał się panem ognia, wzmógł swą potęgę i warunki bytu swego poprawił. Mógł się rozgrzać i strawę zgotować, a zwierz dziki nie zdołał przekroczyć tej zapory ognistej; za tą zasłoną płomienną człowiek czuł się już bezpiecznym od napaści tygrysa lub wilka.

Potym nauczył się w ogniu wypalać naczynia gliniane, a z rud z ziemi wydobywanych, nauczył się wytapiać metale. Wtedy uzbroił się w oręż żelazny, pokonał zwierzęta dzikie, oswoił je, uczynił z nich sprzymierzeńców swoich, pomocników w swych pracach, życie stało się dogodniejsze i spokojniejsze, zwolna rozwijała się cywilizacja. Ogień dobroczynny wydawał mu się pochodzenia boskiego.

Według mitologii greckiej pierwsze zarzewie ognia pochwycił bogom z Olimpu Prometeusz i na ziemię sprowadził, za tę podstępną kradzież został przykuty przez mściwego Jowisza do skał Kaukazu, gdzie sęp olbrzymi bezustannie serce mu szarpie.

Łatwo rzeczywiście wzbudzić się mogła wiara, że ogień z nieba pochodzi. Codziennie przecież po sklepieniu niebieskim przesuwają się od wschodu ku zachodowi ognista bryła słoneczna, darząca nas światłem i ciepłem; ogień ziemski wydał się człowiekowi odbłaskiem tej promienistej gwiazdy dziennej, iskrą od niej oderwaną, jakby ze słońca był zrodzony.—Naiwne i dziwne jest dla nas dziś takie pojęcie ludów pierwotnych. Jakżeż może płomień na ziemi wzniecony pochodzić od słońca, które przecież mieści się w olbrzymiej od nas odległości dwudziestu milionów mil geograficznych, w jakież sposób mogłaby przestrzeń tę przebiec iskra przez słońce odzrucona?

Nauka jednak dzisiejsza nie potępia tej baśni ludowej, przyznaje, że kryje się w niej jądro rzetelne, a owe

narody dawne miały jakby przecucie prawdy, gdy ogień wyprowadzały ze słońca, choć sobie z tego sprawy jeszcze nie zdawały.

Czego wówczas nie pojmowano, umiemy teraz jasno wytłómaczyć.

Odlamek drewna, który w piecu naszym płonie, jest szczątkiem drzewa, które niegdyś żyło i które wyrosło z drobnego nasienia. W nasieniu tym, jak to widzimy w ziarnku grochu lub żyta, mieścił się drobny zasób pokarmu na pierwsze potrzeby młodej, kielkującej rośliny, gdy jeszcze samodzielnie utrzymywać swego bytu nie mogła. Skoro jednak kielek swój wynurzyła nad powierzchnię ziemi i na świat wyjrzała, zabrakło już zasobów odżywczych w nasieniu, sama zdobywać sobie musiała pokarm, czerpać go z łona ziemi i otaczającego powietrza.

Drzewo z różnych składa się materiałów, ale nie trzeba być nawet chemikiem, by poznać, że przedewszystkim zbudowane jest z węgla. Gdy drzewo się wyżarzy, gdy spłonie niezupełnie, to zostaje po nim bryła węgla; węgiel ten zawierać się musiał przeto w drzewie, choć w połączeniu z innemi jego pierwiastkami ukrywał czarną swą barwę i inne swe właściwości, a ukazał się dopiero, gdy ze związków tych się oswobodził.

Główną więc częścią składową drzewa i każdej wogóle rośliny, choć tak pięknie i rozmaicie zabarwionej, jest węgiel. Skądżesz zdobywało go drzewo za życia, skąd brało ten materiał, tak do budowy jego tkanek niezbędny?

Znaleźć go mogło jedynie w powietrzu. Powietrze nie jest wprawdzie obciążone sadzą, czarnym pyłem węglowym, ale unosi się w nim kwas węglany, jako ciało lotne, jako gaz przez nas nie dostrzegany, nie wyróżnia się bowiem zgoła od reszty powietrza, od innych, składających je gazów. Jest to ten sam gaz, który z szumem wyrывa się z wody sodowej, z wina szampańskiego, z kredy polanej octem lub innym kwasem. Nazywamy go kwasem węglanym, bo rzeczywiście zawiera w sobie węgiel, jest związkiem węgla z tlenem, z gazem, który obficie znajduje się w powietrzu.

Kwas węglany w drobnej tylko ilości występuje w atmosferze, gdyby go bowiem było więcej, nie mogliby żyć ludzie, ani zwierzęta, bo jest on dla nich zabójczym. Wystarcza on jednak dla roślin, które go w atmosferze wyszukać umieją, i z niego to zdobywają węgiel,

by go sobie przyswajając i na swą korzyść obracać. Węgiel ten wszakże w powietrzu, jak powiedzieliśmy, nie jest bynajmniej swobodny, jest związany, złączony z tlenem; aby go osiąść, musi roślina każdą, najdrobniejszą cząsteczkę kwasu węglanego rozdzielić, rozerwać, musi pokonać ścisły związek węgla z tlenem. Wymaga to przecież wysilenia, pracy; któż więc moc taką daje roślinie, kto jej daje tę dzielność, tę energję do wykonywania pracy tak wielkiej?

Roślina żyć może tylko w blasku światła dziennego. Gdy jej blasku tego poskapimy, gdy ją umieścimy w ciemnicy, dokąd promienie słoneczne przedrzeć się nie mogą, roślina więdnie, liście jej żółkną, tkanki jej stają się wiotkie i słabe, a cała roślina rychło obumiera. Promienie słońca niezbędne są do życia rośliny; w cieple tylko słonecznym rozwija się i wzrasta, ono to daje jej zdolność do pracy, ono to raczej pracuje w roślinie i z kwasu węglanego wyrывa węgiel, z którego roślina tworzy włókna swe i komórki, rozwija się i wzrasta.

Gdy tu mówimy, że ciepło pracuje, nie wyda się to zapewne dziwactwem temu, kto jeździł koleją, lub fabrykę jakąkolwiek zwiedzał. Będziecie twierdzili, że to para wozy żelazne ciągnie i olbrzymie koła obraca, ale przecież, by parę otrzymać, potrzeba ognia, ciepła. Maszyny parowe pracują kosztem ciepła, albo raczej ciepło wykonywa prace, do jakich je człowiek zagną.

W roślinach podobnie pracuje ciepło słoneczne. Roślina żywi się i byt swój utrzymuje kosztem ciepła słonecznego, rozwija się i wzrasta nakładem promieni słońca, jego energii promienistej. Ta praca słońca nie niszczy się wszakże, nie zużywa bezpowrotnie, ale pozostaje jakby utajona, przechowana i zaoszczędzona w drzewie, w tkankach rośliny. Odradza się znowu jako ciepło, gdy drzewo palimy.

Palenie drzewa jest to bowiem działanie wręcz przeciwnie temu, co miało miejsce, gdy drzewo to wzrastało. Wtedy kwas węglany rozkładał się na składowe swe części, na tlen i węgiel; teraz zaś, gdy drzewo płonie, węgiel jego łączy się z tlenem i powstaje znowu kwas węglany, który z dymem uchodzi w powietrze i nowym pokoleniom roślin pożywienie dawać będzie. Ile się ciepła słonecznego zużyło na wytworzenie węgla w roślinie, tyleż teraz wzbudza się ciepła, gdy węgiel ten płonie, gdy łączy się z tlenem powietrza; przy tym przeo-

Drukarstwo.

I.

brażeniu więc ciepło słoneczne nie zginęło bynajmniej, odradza się w zupełności, odnajdujemy je w naszych ogniskach. Ciepło, które nas w zimie ogrzewa, zawdzięczamy więc słońcu; ogień na kominku naszym płonący, rzeczywiście ze słońca się zrodził. Legienda ludów pierwotnych rzeczywistością się staje.

Gdy, zamiast drzewa, piece nasze opalamy węglem kamiennym i w tym razie z ciepła słonecznego korzystamy. Węgiel kamienny bowiem, w łonie ziemi złożony, powstał ze szczątków drzew, które niegdyś żyły na ziemi, w czasach nader dawnych, gdy jeszcze człowieka na ziemi nie było, gdy nie żyły nawet jeszcze zwierzęta ssące i ptaki, zaledwie gady snuły się na lądzie, a w morzach pływały ryby, różne od dzisiejszych. Drzewa także były odmienne: paprocie i skrzypy drzewiaste, drzewa iglaste, jakie dziś już nie istnieją. Drzewa te żyły, rosły i zamierały, liście ich, gałęzie i łodygi butwiały zwolna, tworzyły torfowiska, jak to i teraz jeszcze dzieje się na gruntach bagnistych. Ciągnęło się to przez długie okresy czasu, nieraz morze zalewało odwieczne te lasy, gdy grunt się obniżał, a gdy ląd znów się wznosił, morze ustępowało, ale lasy i torfowiska, które dawniej powierzchnię ziemi zalegały, znajdowały się już pod przytłaczającymi ją osadami, które z wód morskich opadały. Pod tym naciskiem torfowiska ulegały dalszym zmianom, torf przeobrażał się zwolna w węgiel brunatny, a ten w dalszym ciągu, po długich wiekach, zamieniał się w bryły węgla kamiennego. Gdy dziś czarne te bryły z głębi ziemi dobywamy i w piecach naszych palimy, odzyskujemy ciepło, które słońce nadsyłało ziemi w epoce niesłychanie dawnej zapewne, przed setkami tysięcy lat. Odradza się to ciepło, które przez tak długi ciąg wieków w utajeniu pozostawało.

Wszelki więc ogień, jaki na ziemi rozpalić umiemy, ze słońca swój początek bierze.

Człowiek pierwotny przeczuwał to, czego jeszcze nie pojmował dokładnie.

Jak w tej, tak w wielu baśniach ludowych mieści się często ukryte jądro prawdy, które nauka stara się odsłonić i wyjaśnić.

St. Kramsztyk.

Coby to było, gdyby przed 450-ciu z górą laty Jan Gutenberg, lub kto inny później nie był wynalazł druku? Przedewszystkiem czytelnicy nie czytali by tych słów, bo nie wychodziłaby żadna gazeta, a książki, które teraz stanowią względnie rzecz taną i rozpowszechnioną, byłyby kosztowne i rzadkie, dla tego, iż trzeba by było każdy egzemplarz przepisywać ręcznie.

Skutki takiego stanu rzeczy każdy wyobrazi sobie z łatwością.

Umiejętność czytania byłaby równie rzadką, jak w średnich wiekach, nie byłoby milionów książek do nabożeństwa, dzieł naukowych, powieści i t. p.; słowem, nauka i oświata byłaby znana tylko w małym kółku osób. Brak gazet zaś stworzyłby tysiące niedogodności, o których teraz nie możemy nawet mieć pojęcia.

Nic więc dziwnego, że w roku, w którym przypada 500-na rocznica urodzin wynalazcy druku Jana Gutenberga—rodzinne jego miasto Moguncja nad Renem święciło uroczyste tę rocznicę, a cały świat łączył się z tym miastem i z wdzięcznością przypominał sobie dzieje wynalazcy, który za życia nie otrzymał należnego za swój pomysł i trudy wynagrodzenia.

Podajemy tu kilka szczegółów o Gutenbergu i rozwoju drukarstwa.

Drukarstwo, to jest sztuka rozmnażania szybko i tanio tej samej książki, a zatem czynienia dostępnymi dla wszystkich skarbów myśli i wiedzy, wynalezione i wprowadzone zostało w użycie w środku wieku XV-go. Początku tego nieśmiertelnego wynalazku nie można odnosić do epok dawniejszych, albowiem Chińczycy i inne które narody europejskie, którym go przypisywać usiłowano, znały jedynie to, co dzisiaj nazywamy drzeworytnictwem (ksylografią), to jest sztukę otrzymywania odbitek z tablic drewnianych, rytowanych wypukło lub wklęsłe. Ruchome czcionki i odlewanie ich z metalu, są podstawą drukarstwa, a jedno i drugie wynaleziono dopiero około r. 1450, to jest mniej więcej na czterdzieści lat przed odkryciem Ameryki (1492).

Przed XV-stym wiekiem nie znano druku; posługiwano się jedynie rękopisami, które w bardzo niewielkiej liczbie stanowiąc biblioteki uniwersyteckie, klasztorne i zamkowe, wykonywane były w sposób następujący:

Najpierw tak zwany «księgarz» librarius, który był człowiekiem «biegłym we wszystkich umiejętnościach», powierzał kopiście rękopis przeznaczony do przepisywania.

«Pergaminarz» przysposabiał skóry miękkie, świecące, gładkie, na których «pisarz» kopjował poruczone sobie dzieło.

Następnie «artysta» upiększał stronnice rękopisu malowidłami i złoceniami.

Wreszcie oprawiarz czyli introligator spajał pojedyncze kartki w jedną książkę i oddawał ją do biblioteki.

Łatwo zrozumieć, że książki w ten sposób powstające, były bardzo kosztowne, a więc rzadkie. Przechoywano je w bogato rzeźbionych szkatułkach, lub też przytwardzano je do pulpitu za pomocą łańcucha. A jednak drogie te książki niewielkie oddawały usługi ogółowi, przepisywacze bowiem używali skrótów, w czytaniu których nawet ludzie uczeni nieraz niemałej doświadczały trudności.

W pierwszych latach wieku XV-tego, gdy żądza nauki wzrastać poczęła, a drogość rękopisów stawiała nieprzełamane w zadość uczynieniu jej przeszkody, powzięto myśl rytowania na deskach drewnianych kart geograficznych, obrazków nabożnych i t. p., do których dołączano krótkie legiendy objaśniające. Pociągano te deski tłustym czernidłem, kładziono na nie pergamin lub papier i odbijano na nich przez naciskanie rysunek wyrytowany na drzewie. Zwolna, długość legiendy wyrytej na desce zwiększała się coraz bardziej, tak, iż w końcu zaczęto w ten sposób odbijać całe stronnice pisma. «Biblia ubogich» (B. pauperum) w ten sposób wydrukowana ukazała się na początku XV w.

Ten pierwszy sposób drukowania, jak utrzymują, miał być znany u Chińczyków już w XIII w. naszej ery; nie można go jednak uważać za początki drukarstwa, którego główną podstawą i cechą są, jak to już mówiliśmy, czcionki ruchome.

W pierwszej połowie XV w., artysta holenderski nazwiskiem Wawrzeniec Coster, wynalazł w Harlemie

sposób drukowania czcionkami ruchomymi, odlewaniem z metalu w formach.

Gutenberg udoskonalił wynalazek Costera.

Jan Gutenberg urodził się w Moguncji w r. 1400 z patrycjuszowskiej rodziny tamecznej. Część młodości przepędził w domu ojcowskim. Dom ten ozdobiony był rzeźbami i ornamentami alegorycznymi, obyczajem średniowiecznych kamieniarzy. Ponad główną bramą wyrzeźbiona była głowa olbrzymiego byka z napisem: «Nie mi się oprzeć nie zdoła!» Napis ten na domu pod «Czarnym Bykiem» w Moguncji, stał się dewizą Gutenberga, a po dziś dzień jest dewizą sztuki drukarskiej.

W piątym roku życia straciwszy ojca, po którym niewielki odziedziczył fundusz, Gutenberg jako młodzieniec opuścił Moguncję i podróżował przez lat kilka, aż nareszcie w Harlemie posiadał tajemnicę sposobu drukowania za pomocą czcionek ruchomych, wynalezionego przez Wawrzeńca Costera. Następnie osiadł w Strassburgu z zamiarem udoskonalenia nowego wynalazku, i przez dziesięć lat bezustannie nad tym pracował. Przyszedszy do znakomitych na tej drodze rezultatów, ujrzał fundusze swoje wyczerpane, i zmuszony był wejść w spółkę z trzema mieszczanami Strassburga, którzy mieli dostarczyć pieniędzy na dalsze prowadzenie rozpoczętego dzieła.

Gutenberg przez owe dziesięć lat udoskonalił sposób rytowania metalowych czcionek ruchomych, szło tylko o uzyskanie jakiegoś kruszcu lub kruszcowej mieszaniny odpowiedniej celom, do których czcionki były przeznaczone. Żelazo było za twarde: krajało papier; ołów był za miękki, i rozgniatał się pod ciśnieniem prasy. Drzewo nie przedstawiało też twardości ani wytrzymałości pożądanej.

Wynalazca blizkim był celu, gdy znaczne wydatki zrujnowały odważnych jego współników. Aby doprowadzić do skutku chlubne dzieło, które przedsięwzięli, ludzie ci nie zawahali się sprzedać swoje sprzęty, klejnoty, a nawet swoją ojcowiznę. Najmniejsza skarga nie wyszła z ich ust, tak silnym przejęci byli przekonaniem o wielkości dzieła i gienjuszu tego, który nim kierował.

Nazwiska tych trzech ludzi, którzy mieniem swoim i głową tak dzielnie pomagali Gutenbergowi do udoskonalenia wielkiego kunsztu, były: Hejلمان, Dryzehn i Riff.

Żaden z nich nie doczekał upragnionej chwili tryumfu wspólnych usiłowań.

Do żywego dotknięty śmiercią swych współników, zniechęcony, ścigany przez wierzących, Gutenberg zaprzestał prac swoich i opuścił Strassburg.

II.

Wróciwszy do rodzinnego swego miasta, Moguncji, Gutenberg wziął się napowrót do pracy. Rysował i rytował, odlewał, próbował rozmaitych mieszanin na czcionki i rozmaitych sposobów odbijania. Niezadowolony z tych rezultatów, zaczął pracować w innym kierunku, ale ponieważ brakowało mu środków, wszedł więc w nową spółkę z Janem Faustem i Piotrem Schoefflerem.

Jan Faust był to bogaty bankier moguncki. Przebiegły a przewrotny, pożyczył on pieniędzy Gutenbergowi, zapewniając sobie z góry wszystkie korzyści z przyszłego wynalazku. Schoeffler był to młody, bardzo zręczny kopista, zięć Fausta.

Utrzymując, że Gutenberg wynalazszy czcionki ruchome z kruszcu, nie zdołał jednak wynaleźć odpowiedniej na nie mieszaniny kruszcowej, co dopiero miało się udać Piotrowi Schoefflerowi, który połączwszy w pewnym stosunku ołów z antymonem, otrzymał mieszaninę miększą od żelaza, ale dość twardą, żeby ciśnienie prasy wytrzymała. Od tej chwili wynalazek druku stał się faktem dokonanym.

Ale od tej chwili też scena zmieniła się zupełnie. Po dokonaniu wynalazku, wynalazca stał się niepotrzebnym, a chytry Faust zaczął myśleć tylko o tym, jakby się pozbyć Gutenbergą. Korzystając ze swego charakteru wierzącego, zmusił Gutenbergą do zrzeczenia się wszelkich praw do jakichkolwiek pożytków z wynalazku.

Przywiedziony do nędzy, ojciec drukarstwa, zmuszony był opuścić Moguncję.

Po usunięciu się Gutenbergą, Faust, przyjąwszy do spółki zięcia swego, począł ciągnąć korzyści z nowego kunsztu, sprzedając bez skrupułu drukowane książki za rękopisy. Robotnikom swoim, niezadowolonym z postępowania tego z «mistrzem», kazał przysięgać na Biblię, że dochowają tajemnicy. Dla lepszego zaś zapewnienia się o ich milczeniu, stary lichwiarz kazał im wystawiać

sobie rewersy na pewne sumy, których wytrąceniem z płacy zagroził im w razie, gdyby nie umieli utrzymać języka za zębami. Wreszcie urządził drukarnię w głębi ponurej piwnicy i robotników trzymał w niej pod kłuczem.

Dzięki tym ostrożnościom, Faust sprzedawał mnóstwo książek, które brano powszechnie za rękopisy. Ale wśród największych sukcesów umarł, tknięty zarazą.

Zięć jego Schoeffler w postępowaniu swoim względem Gutenbergą nie naśladował wcale Fausta. Faust matactwami swoimi byłby może zupełnie pozbawił Gutenbergą sławy wielkiego wynalazcy, gdyby Jan Schoeffler nie kazał być wydrukować na czele jednej książki z roku 1505, dedykowanej cesarzowi Maksymiljanowi słów następujących: «W Moguncji ta cudowna sztuka wynaleziona została przez gienjalnego Jana Gutenbergą, w roku 1450, a następnie ulepszona dla potomności trudami Fausta i Schoefflera».

Gutenberg dwoma latami tylko przeżył niewdzięcznego swego współnika. Opuściwszy Moguncję, wrócił do Strassbruga, gdzie przy pomocy kilku przyjaciół założył drukarnię. Pod koniec życia przygarnął go do siebie arcybiskup moguncki, zaliczając go w poczet swoich dworzan i wyznaczając mu pensję. Dzięki tej wspaniałomyślnej, choć nieco spóźnionej protekcji, Gutenberg mógł ostatnie chwile życia poświęcić rozmaitym w drukarstwie ulepszeniom. Umarł 15 lutego 1468 roku.

z «Wieczorów Rodzinnych».

Zastosowania papieru.

Pisząc na papierze nie wiemy, iż może on służyć jeszcze do wielu innych użytków, nie mających nic wspólnego z drukiem, rysunkiem, z zawijaniem towarów i t. p. czynnościami.

Znamy go też w jednej tylko postaci, jako arkusze grubsze lub cieńsze, stosownie do tego, jakiemu z wyżej wymienionych celów mają służyć.

W ostatniej dobie wszakże technika zwróciła baczniejszą uwagę na ten materiał. Przekonano się, że papier poddany silnemu ciśnieniu w prasie hydraulicznej, nabiera nadzwyczajnej trwałości, nie ustępując pod tym względem kamieniowi a nawet żelazu; posiada on w takim stanie budowę zupełnie prawie jednolitą, jest bardzo złym przewodnikiem ciepła, dobrze znosi wilgoć i ogień, zwłaszcza, jeżeli nasycić go roztworami pewnych soli; daje się obrabiać na tokarni, zupełnie tak jak metal, a ma wytrzymałość równą tym ostatnim. To też dziś papier używa się do takich celów, o zastosowaniu go do których nikt nie myślał jeszcze niedawno.

Wyrabiają z niego bardzo trwałe koła do wagonów które nie psują się prędzej od żelaznych; wiele naczyń kuchennych, subtelne koronki, mocne i piękne łodzie, daleko pozostawiające za sobą zwykłe drewniane, płyty na posadzki, niektóre części mebli i t. d.

Niedawno nawet w Ameryce, w Stanach Zjednoczonych zastosowano papier do budowania domów. Do tego celu używa się dość grubych, długich na kilka stóp, a szerokich na 2—3 stóp płyt z nieprzemakalnej masy, ściskanej w prasie.

Budynki postawione z masy papierowej są nadzwyczaj ciepłe, gdyż, jak powiedzieliśmy, materiał ten stanowi zły przewodnik ciepła, a nadto, mieszkańcom ich nie grozi pożar, co chyba jest rzeczą bardzo ważną.

Zwykły papier w arkuszach, jak wiadomo, pali się łatwo; tektura grubsza—już trudniej; książki zaś, zwłaszcza w prasie ściśniętej, prawie wcale nie chce wziąć ognia. Jeżeli jeszcze masę papierową nasycimy chlorkiem cynku, wtedy staje się ona ogniotrwałą prawie; zwęgli się raczej aniżeli zapłonie.

Zastosowania papieru prasowanego mnożą się z dniami każdym; trudno nawet było wspomnieć tutaj o wszystkich. Mieć nadzieję jednak należy, iż nowy materiał zastąpi z czasem zupełnie drzewo, a w niektórych razach nawet metale.

Wł. U.

B. POEZJE.

1. K o l e d a .

Dzieciątko Boże, twarde ma łóżo
Na sianku między bydlety;
A tam u góry, aniołów chóry
Wołają: Święty, o Święty!

Gwiazda promienna, wielka niezmienna,
Wnet królom drogę ukaże;
Lecz do pasterzy, sam anioł bieży
I do stajenki iść każe.

W gorącej wierze przyszli pasterze,
Przyszli do nóżek Dzieciny;
Niechże się cieszą, zanim pośpieszą
Króle z odległej krainy.

Dadzą mu złoto, dadzą z ochotą,
Ale cóż dadzą pasterze?
Ach lżę mu dali! Pan się użali,
I lżę jak perłę zabierze.

Ta lezka droga, którą uboga
Ludzkość do żłobka przynosi,
Duszy wierzącej pacierz gorący
Może czas lepszy uprosi.

W tym Nowym roku, może z obłoku
Gwiazdka rozsiej promyki
Na pałac, chatę—biedne, bogate,
Na sługi i na zwierzechniki.

Może te blaski, rozsypią łaski
Na lud, co kocha i wierzy;
Anioł skrzydlaty, zstąpi do chaty
Przemówi, jak do pasterzy.

A choć nie zdoła ujrzeć anioła
Śmiertelne oko człowieka,
To przecież wszędzie ład Boży będzie
Anielska będzie opieka.

Więc na kolana, garstko wybrana!
Przy żłobku serce niech śpiewa;
Tam kolęd głosy lecą w niebiosy,
Mesjasza chwała rozbrzmiewa.

.....
Dzieciątko Boże twarde ma łóże
Na sianku, między bydlety,
Ale u góry, aniołów chóry
Wołają: Święty, o Święty!

A. F.

2. Na lechickim polu.

Przez lechickie puste pola
Cichy pielgrzym idzie w gości...
A gdzie przejdzie, ziarna rzuca
Słonecznej jasności.

— Kto ty jesteś, o pątniku,
Co posiewasz ziemię w zorze?—
— Jam apostoł, Wojciech święty,
A tu niosę słowo Boże.

— Jakże przejdiesz, o pątniku,
Między obce ci pogany?
— Poprowadzi mnie ten Chrystus,
Co był za nas na śmierć dany!

— Jakąż bronią, o pątniku,
Walczyć będziesz w twojej drodze?
— Ja miłością będę walczył,
Światło siejąc, gdzie przychodzi!—

— Jakich-że to ech, pątniku,
Tak za tobą słychać granie?
— To jest pieśń, Bogarodzica,
Co tu z ludem się ostanie!—

M. Konopnicka.

3. Z piosenek i pieśni M. Konopnickiej.

Poszłabym ja na kraj świata,
Jak ten wiatr, co w polu lata,
Jak ten wiatr, co chmury pędzi,
Białe chmury, puch łabędzi,
W ciemną mroczną dal...

Tylko mi cię żal,

Ty ziemio,
Gdzie kurhany ciche drzemią,
Gdzie się w stepach białą kości,
Gdzie kwiat mdleje od żałości,

Tylko mi cię żal!

Poszłabym ja w świat daleki,
Jako idą bystre rzeki,
Jako idą bystre wody,
Do Dunaju, do swobody,
Do szumiących fal...

Tylko mi cię żal,

Ty chato.

Pod tą lipą rosochatą,
Pod tym sadem pełnym rosy,
Pod błyskami jasnej kosy—
Tylko mi cię żal!

Poszłabym ja w ukraię,
Za to morze, za to sine,
Poszłabym ja na stracenie,
W bezmiesięcznej nocy cienie,
W niepowrotną dal...

Tylko mi cię żal,

Sokole,

Co nad nasze latasz pole,
Ponad pole, ponad niwę,
Latasz, gubisz piórka siwe—
Tylko mi cię żal!

4. Z 11 pieśni.

Hej, tam nad rzeką stoją tumany!
Jakżeś daleko kraju kochany,

Jakżeś daleko, smężna i mglista,
Piastowa chato, ziemio ojczysta!

Sto lat do ciebie w głodzie i chłodzie
Idziem po ładzie, płyniem po wodzie,
Sto lat do ciebie, wędrowne ptaki,
Lecim przez chmurne, wichrowe szlaki...

M. Konopnicka.

5. Z łąk i pól.

Temu tylko plug, a socha,
Kto tę czarną ziemię kocha,
Kto ten zagon zna do głębi,
Kogo rosa ta nie ziębi.
Kto rodzinnych swoich pól
Zna wymowę—lzy i ból!
Temu tylko ostra brona,
Na kurhanach wyszczerbiona,
Kto ukochał lud w siermiedze,
Kto zna twardej doli nędze,
Kto wyciągnął jako brat,
Dwoje ramion do tych chat!
Temu tylko kosa krzywa,
Kto w przyszłości wierzy żniwa...
Kto po nocach cichych słucha
Przyjścia zorzy, technienia ducha,
Komu lemiesz, to dziś—miecz...
A wy, zimni, z pól tych precz!

M. Konopnicka.

6. Do skowronka.

A witajże, gończe wiosny,
Skowroneczku lube ptaszę,
Modrych niebios dzwonku głośny,
Witaj szczęściem pola nasze!
Myśmy długo wyglądali,
Kiedy, kiedy do nasz wrócisz,

Czym powitasz nas z oddali,
Jakie pieśni nam zanucisz.
Oj, bo nie wiesz, co tu było,
W jakie burza grała tony!
Pole śniegiem się dymiło,
Wicher płasał jak szalony.
I gdzie spojrzeć dookoła,
Mróz krępował pierś przyrody,
Śnieg pozginał drzewom czoła,
Lodem skrzepły szmerne wody.

Słonko jasne tak niechętnie
Wciąż zukosa nam patrzyło,
Blask rzucało obojętnie,
I nie grzało, choć świeciło.
Więc zaśpiewaj: niechaj z błoni
Prędzej, prędzej śnieg już zginie,
Niechaj skarby swe odsłoni
Piękna wiosna na dolinie.

Niechaj ciepło pierś ogrzeje,
Pierś natury i pierś naszą;
Niech łąn smutny zajaśnieje,
Niech nas wichry już nie straszą!

Wł. Syrokomla.

7. Lipy kwitną.

Już lipa roztula
Słoneczny swój puch,
A dalej tam z ula,
Na pracę, na ruch!
A dalej tam z ula,
Na pole na znój!
Piastowe my pszczoły,
Piastowy my rój!
Ta stara pasieka
Na plon czeka nasz,
My lecim od wieka,
Z łąk kwiatnych i z pasz...
My lecim od wieka,
I trud niesiem swój...
Piastowe my pszczoły,
Piastowy my rój!

I brzęczy i radzi
 Złocisty nasz wiec,
 Jak bożej czeladzi
 Pracować, jak lec.
 Jak bożej czeladzi
 W ten bratni iść strój...
 Piastowe my pszczoły
 Piastowy my rój!
 Nas budzi świt mglisty,
 A spędza nas noc,
 Gdy z lipy ojczystej
 Żar bierzem i moc,
 Moc życia, żar czynu,
 Na mir i na bój...
 Piastowe my pszczoły
 Piastowy my rój!
 I w kropli my miodu
 Niesiemy w nasz ul,
 Prastarą woń rodu,
 Co wiedzie się z pól,
 I słodycz my pieśni
 Sączymy w serc zdrój...
 Piastowe my pszczoły
 Piastowy my rój!

M. Konopnicka.

8. Pieśń o domu.

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
 Co w letnią noc wśród srebrnej mgły,
 Szumem swych lip wtórzy twym snom,
 A ciszą swą koi twe łzy?
 Kochasz ty dom, ten stary dach,
 Co prawi baśń o dawnych dniach,
 Omszałych wrót rodzinny próg,
 Co wita cię z cierniowych dróg?
 Kochasz ty dom, rzeźwiącą woń
 Skoszonych traw i płowych zbóż,
 Wilgotnych olch i dzikich róż,
 Co głogom kwiat wplatają w skroń?

Kochasz ty dom, ten ciemny bór,
 Co szumów swych potężny śpiew
 I duchów jęk i wichrów chór
 Przelewa w twą kipiącą krew?
 Kochasz ty dom, rodzinny dom,
 Co w pośród burz, w zwątpienia dnie,
 Gdy w duszę ci uderzy grom,
 Wspomnieniem swym ocala cię?
 O, jeśli kochasz, jeśli chcesz
 Żyć pod tym dachem, chleb jeść zbóż,
 Sercem ojczystych progów strzeż,
 Serce w ojczystych ścianach złóż!...

M. Konopnicka.

9. Na śniegu.

Białą się pola, oj białą!
 Zasnęły krzewy i ziola
 Pod miękką śniegu pościelą,
 Biała pustynia dokoła.
 Gdzie była łączka zielona,
 Gdzie gaj rozkoszny, brzozowy,
 Drzew obnażone ramiona
 Sterczą z pod zaspy śniegowej.
 Opadła weselna szata,
 Zniknęły wiosenne czary,
 Wiatr gałazkami pomiata,
 Zgrzytają suche konary.
 Tylko świerk zawsze ponury,
 W tym samym żalobnym stroju,
 Wśród obumarłej natury
 Modli się pełen spokoju.

Adam Asnyk.

10. Pieśń włóczka.

Łódka moja, łódka! suwaj po głębinie;
 Moja ty kolebko, w tobie życie płynie!
 W tobie życie płynie tak mile i prędko,
 Jak ta złota rybka, co goni za wędką.

Łagowski.—Wypisy polskie.—II.

Łódko moja, łódko! O moja ty chato,
W tobie mile bieży i wiosna i lato;
I wiosną i latem kołyszą się wody,
A ja po nich płasam jak jaki pan młody.
Łódko moja, łódko! Posuwaj się śmiało,
Kto ma serce czyste, ten się minie z skałą;
Ten się minie z skałą, dopłynie do brzegu
I po burzy dozna słodkiego noclegu.

Edmund Wasilewski.

11. Skąd lecisz?

Śnieżku, mój śnieżku,
Skądże ty lecisz?
Czy od słoneczka?
Że tak się świecisz.
Skąd się tam bierzesz
W górze, wysoko?
Skąd się tak sypiesz,
Nie dojrzy oko!
Czy z pod niebiosów
Od Stwórcy Pana,
Twe płatki jasne
Lecą od rana?
Czyżby cię w górze
Niebios anieli
W swe jasne szaty
Biało odzieli?
A ty otulasz
W one białości
Ziemię zmarzniętą,
Drżącą z żalości.

M. J. Keller.

12. Jaskółka.

Po zimie, po smutnej, gdy wiosna nadchodzi,
Ja lecę, świergocąc jej gońcem,
W łagodnej powiewów woniącej powodzi,
Olśniona wschodzącym z mgły słońcem.

I wracam szczebiocąc pod słomianą strzechę,
Rzuconą w jesienne zawieje;
Stęsknionym, zwątlonym przynoszę pociechę
I błogą dni lepszych nadzieję.

Ja niebo, gdy zewsząd groźnie się zachmurzy
I dyszy ciężarna wciąż spieka,
Przelatam, zwiastując przyjście strasznej burzy,
Nim gromy nadciągną zdaleka.

Nim wichry szalone zadną w całej sile,
Wód łono muskając skrzydłami,
Szybkiemi nad głową migając kręgami,
Niebaczne ostrzegam oryle.

Na moich skrzydełkach piórka białe, czarne,
Zmieszane ze sobą spór wiodą.
Ja wróżę wam burze gromami ciężarne,
I ranki śmiejące pogodą.

Więc komu pierś gniecie ta cisza ciężąca,
Kto tęskni za gromem, za wiosną,
Witajcież serdecznie u siebie ich gońca,
Wróżbę wam przynoszę radosną.

Roman Zmorski.

13. Dziewczyna.

Oj, wesolał ja dziewczyna,
Wszystko mi się śmieje;
Dla mnie kwieci się dolina,
Dla mnie wietrzyk wieje;
Dla mnie wschodzą ranne zorze
I wieczorne gwiazdki;
Dla mnie dałeś wszystko, Boże,
Na piosnki, powiastki.
Bo i któryby myślał w świecie
O powoju, co się plecie
Po krzakach, przy zdroju;
I o lichej tej ptaszynie,
Co w wieczornym chłodzie
Śpiewa sobie na kalinie
W matuli ogrodzie.

Już ja o tym myśleć muszę,
To mój kłopot cały,
Żeby w letnią skwarną suszę
Kwiatki nie zwiędniały;
Żeby chłopcy nie wybrali
Małych ptasząt z gniazdka;
Zdrój oczyszczam, żeby w fali
Przejrzała się gwiazdka.
Za to od lilji, ruty
Kwiatki mam dla siebie
A ptaszek mnie uczy nuty
Do pieśni o niebie.
Od źródła mam orzeźwienie,
Tę świeżość poranka,
A z gwiazd lecą mi promienie,
Jakby srebrna tkanka.
I tak dobrze, tak mi lekko
U matki jedynej,
Że i nie wiem, jak tam cieką
Lata, dni, godziny.
Bo chociaż ja tak wesoła,
Taka śmieszka psotna,
Lecz i najsmutniejsza z siola,
I często samotna.
Lada co, to mnie ucieszy,
Lada co—zasmuci;
Czasem mała rzecz rozśmieszy,
Mała rzecz zakłóci.
Teraz to mniej śpiewam sobie,
Mniej skaczę, jak dziecię;
Od czasu, jak brat mój w grobie,
Smutniej mi na świecie.

T. Lenartowicz.

14. Wyjazd bez powrotu.

Stoi jawor wedle wody,
A chyła się, chyła,
Płacze rzewnie kozak młody,
Bo ciężka nań chwila.
O nie chylaj się, jaworze,
Zielonyś, młodziutki!
I tyś, chłopcze, w rannej porze,
Na co ci tam smutki?

Jak się jawor chyłać nie ma?
Fala wśród gałęzi!
Jak z suchemi stać oczyma?
Serce na uwięzi.
Kozak żegna kraj swój wiecznie:
A gdzie w innej ziemi
Tak miłują się serdecznie?
Tak tęsknią za swemi?
Jedzie, jedzie przez dąbrowę
Na cudze już strony;
Siodło pod nim orzechowe
I koń jego wrony.
O, za Dunaj jedzie siny,
Na chleb gdzieś tułaczy:
Swojej lubej Ukrainy
Nigdy nie zobaczy.
Rok za rokiem w krwawe boje,
Przez długie tam lata,
Jak potomstwo liczy swoje,
Hoduje dla świata.
Idą przecież miłsze chwile,
Grób stoi gotowy!
Prosi wszczepić na mogile
Kalinę u głowy.
Będą ptaszki dniem i nocą
Dziobać po kalinie;
Może kiedyś zaszczebiocą
Wieść o Ukrainie.

B. Zaleski.

15. Pajęczyna.

Pajak jestem, pajak, Snuję sobie nici, Puszczam je w powietrze, Każda gdzieś się chwyci.	Piosnka jedna, druga Z wsi do wsi przeskoczy, Rozwiązuje serca, Porozwidnia oczy.
Śpiewak jestem, śpiewak, I piosenki snuję, Puszczam je po świecie, Każda ktoś odczuje.	Jak z tysiąca nitek, Tak z tysiąca pieśni, Coraz lepsza siatka, Zawęźli się cieśniej.
Nitka jedna, druga, W poprzek, wzdłuż przeleci, Tak sobie powoli Zasnowiąwam sieci.	A pajak bezpieczny Pod siatką swych nici, I z wichrów żartuje I muszkę pochwyci.

Pod siatką piosenek
My żywi i zdrowi,
I złego człowieka
Ta siatka ułowi.

L. Kondratowicz (Syrokomla).

16. Do wierzbiny.

— A kto ciebie, ty wierzbino, wychował?
A kto twoje fujareczki czarował?

— Wychowałci mnie mój rodzic,
Ciemny las,
Kędy stoję w chłodnej rosie,
Aż po pas.

Wykarmiła mnie ta ziemia, jak matka,
Płakiwała ze mną brzoza, sąsiadka...
Czarna rola podawała
Chleb i sól...

Wykołysał wiatr szumiący
Z łąk i pól.

Latał ci on miesięczneminockami,
Nad sennemi wioski naszej chatami...
W srebrnej strudze maczał skrzydła,
Jako ptak...

I roztulał dzikie głogi,
Polny mak.

Z starych mogił zbierał skargi i żale...
I otrząsał po kalinach korale...

I uderzał grzmiącą piersią
W czarny bór,
Aż się ozwał siwych dębów
Głośny chór!

Tęskność, smutek, lzy sieroce, jak białe
Tuman z łąki, za nim w ślady leciały...

Wiatr gałązki moje gibkie
Całował...

Na fujarki je urzekał,
Czarował!...

M. Konopnicka.

17. Dwie dusze.

Gdzie Boży Święci jak gwiazdy świecą,
Ze dwojej strony dwie dusze lecą:
Pierwsza okryta płachtą, ponura,
Po tantym świecie leci jak chmura.
A druga biała, okryta biało,
Jakby się słonko chmurką odziało.
Kiedy się zbiegły dwie nieboszczyce,
Spojrzały sobie w umarłe lice.

— «To ty, Barbaro?—«To ty, Maryjo?»
I swoje długie szaty rozwijają.

— «Jakaś ty czarna! powiedz, siostrzyczko,
Coś poczerńiło rumiane liczo?
Tyś była taka biała, jak ściana,
A czasem jakby róża różana.
Czy ciebie w jakim ziele kapano?
Czy tobie złego ziela zadano?»

— «Ej! nie to, nie to; od liści ziela
Człek ni się czerni, ni się wybiela.
Jam nieraz matce hardo odrzekła,
Że aż niebodze i lza pociekła;
I tak krótkimi powiem słowami:
Cała ludzkiemi zmyłam się łzami,
A lzy, co na mnie spadały marną,
Taką mnie oto zrobiły czarną.
Lecz ty mi powiedz, sioostro bez grzechu,
Na jakim tyś się bielila blichu?
Pamiętam ciebie, jak żęłaś zboże;
Popychadełko, czarne nieboże;
Miłosiernemi patrzy oczyma,
A dzbanek z wodą ledwie utrzyma;
Kto spojry na cię, to się odwróci,
A kto wesoly, to się zasmuci.
I w jakim tyś się zdroju kąpała,
Ześ wybielała i wypiękniała?
Czy na tym stawie, na tym jeziorze,
Gdzie łabędź pływa pod złotą zorzę
I od niedzieli tak do niedzieli
Szerokie skrzydła płucze i bieli?
Czy w ciemnym lesie, kędy z pod drzewa
Zdrój się tajemny cicho wylewa?»

A owa rzeczę głosem pokornym,
 Jakby dalekim echem klasztornym,
 Kiedy pod koniec cichego dzionka
 Siostry się zejdą za głosem dzwonka:
 — «Jam się nie myła w jasnym jeziorze,
 Gdzie łabędź pływa pod złotą zorzę
 Ani w tym źródle, co w lasów cieni
 Z pod drzew wiekowych leci zieleni;
 Otoć krótkimi powiem słowami:
 Ja się własnemi obmyłam łzami.»

To rzekszy w płachtę zwinie się białą
 I leci w stronę, gdzie powidniało.

Teofil Lenartowicz.

18. R u t.

Pada piękny łąn jęczmienia
 Pod sierpami stu żniwiarzy,
 Brzmia wokoło śmiechy, pienia;
 Sam tu dziedzie gospodarzy:
 Tych zachęci, tych pochwali,
 A przemawia, by szli dalej.
 Więc się skorsze wzniosły pieśni,
 Na wyścigi żeńcy śpieszą;
 Im ukończą łąn swój wcześniej,
 Tym się dłużej w noc ucieszą.
 Jeszcze w górze twarz jest słońca,
 A już pole blizkie końca.
 Za wesołym żeńców kołem,
 Od Betleem strony miasta,
 Ze spuszczone w ziemię czołem
 Trwożnym krokiem szła niewiasta;
 Cudzoziemska na niej szata,
 W oczach młode błyszcza lata.
 Uronionych kłosów szuka,
 Cała potem już oblana,
 Jeszcze każdy ją ofuka,
 Że bez wiedzy czyni pana,
 Więc się boi nieszczęśliwa,
 Czy nie straci tego żniwa.

Pan ją widząc, wraz się pyta,
 Czy nie wiedzą, co za jedna?
 — «Jakaś obca znać kobieta,
 Odpowiedzą,—pewnie biedna.»
 Smutna siadła koło drogi,
 Przy niej snopek dnia ubogi.
 Pan ją woła:—«Lube dziecię,
 Powiedz jakie twoje losy?
 Czy zarabiasz tak na życie,
 Czy przez chciwość zbierasz kłosy?
 Wyznaj, moje to jest pole,
 Mogę zmniejszyć twą niedolę...»
 — «Niech nagrodzi Bóg twe słowa,
 Dobry panie! (we łzach powie)
 Jam Noemi jest synowa,
 Rodem z Moab, Rut się zowie,
 Kłos zebrany z twojej ziemi
 Ma mnie żywić i Noemi.
 Opuściłam dom rodzinny,
 By zachować matki lata;
 Dla niej przysłam w kraj ten inny,
 I na koniec szłabym świata;
 Dla niej znoszę pracę, znoje,
 Bo jej szczęście—szczęście moje.
 Wejrzyj na nas litościwie,
 Racz darować, dobry panie,
 Tych zgubionych na twej niwie
 Kilku kłosów uzbieranie.
 Uczyni łaskę tę sierotom,
 Bóg nagrodzi twoim cnotom.»
 Gdy o głodzie tak od rana
 Szuka kłosów, złana potem,
 Czyliż biedna odpędzana
 Choć pomyślić mogła o tem,
 Że zostanie pół tych pania?
 Że ci żeńcy robią na nią?
 A tak było; pan wzruszony
 Jej młodością, wiarą stałą,
 W Rut cnotliwej szukał żony,
 Przez nią dom swój okrył chwałą:
 Że z Obeda, jego syna,
 Dawidowa szła rodzina.

Stefan Witwicki.

19. Święty Jacek.

Koło Krakowa, w rozkosznej dolinie,
Gdzie Wisła nasza srebrną wstęgą płynie,
Leży Kościelec, wieś piękna, wesoła;
Sady i niwy wieńczą ją dokoła,
Na których Mazur, kmiotek pracowity,
Owoc swej pracy zbiera, snop obfity;
Tam ludek żyje wesoły, zamożny,
Bo pracowity, trzeźwy i pobożny.

Było to właśnie pod wieczór soboty;
Dojrzał w polu kłos pszeniczki złoty,
A jęczmień, ostrym wężem najeżony,
Na sierp czekając, pokrywał zagony.
Już gospodarze sprzątają stodoły,
Parobcy jarzma gotują na woły,
Dziewczęta hoże przy głośnej gawędzie
Pachnącą rutę zbierają po grzędzie;
A w chatce, stojąc przy dymnym kominie,
Prostą wieczerczę warzą gospodynie
I cała wioska krząta się tak żywo,
By w poniedziałek już rozpocząć żniwo.

Lecz o jak płonne są ludzkie nadzieje!
Jutro zapłacze ten, kto dziś się śmieje.
Boskich wyroków nikt zgłębić nie zdoła:
O wiosko! dzisiaj szczęśliwa, wesoła,
Ty doznasz wkrótce, na jakie odmiany
Człowiek w tej życia pielgrzymce skazany.

Wicher się nagle od północy zrywa
I błękit nieba chmurami pokrywa.
Runął grom; niebo i ziemia zadrżała,
A grad rozdarł chmurę wysypała.
I leci z szumem, traskiem i hałasem
I ścina kłosa, ach! ścina przed czasem.
Zabłysnął dzionek i niebo się śmieje,
Ale na ziemi już znikły nadzieje.
Łzom gorzkim radość ustąpić musiała,
Kiedy na pole wyszła wioska cała.
Sąsiad sąsiada żałośnie się pyta:
— «Gdzież ma pszeniczka?» «Ach! tutaj... wybita,
Bo ją moc Boska przed czasem złamała
I sierpów naszych już czekać nie chciała».

A gdy tak wszyscy już wkoło dumają
I łzami kłosa złamane zlewają,
Pan wójt gromady z posiwiąłym włosem
Takim do wszystkich odzywa się głosem:
— «Słuchajcie tylko, słuchajcie, gromada!
Tutaj już żadna nie pomoże rada;
Lecz Bóg w tej ciężkiej pocieszy nas biedzie—
Oto ksiądz Jacek wprost tu do nas idzie!»
— «Ksiądz Jacek!» wszyscy radośnie krzyknęli,
Z uszanowaniem czapki z głowy zdjęli.

— «Czegóż tak smutni pobożni wieśniacy?»
— «Ach, księżo, patrzaj, owoc naszej pracy
Oto tu leży—potłuczone zboże.
Już nikt nam więcej dopomóc nie może.
Ach, cóż to teraz dźiać się będzie z nami
I co z biednymi poczniemy dziatkami!»
— «Ach, ludku Boży! kto się Boga boi,
Takiemu rozpacz nigdy nie przystoi;
A gdy was ciężka dziś trapi niedola,
Rzeknijmy razem: Stań się Twoja wola!»
I rzekł i westchnął, na kolana pada,
A z nim przyklęka i cała gromada:
— «Wszechmocny Boże, wiekuisty Panie!
Daj, niech to zboże stłuczone powstanie;
Jakoś zasmucił, pociesz lud twój wierny,
Pokaż, o Boże, żeś jest miłosierny!»

Rzekł i ku ziemi korne chyli czoło.
Wtym wójt z przestachem:—«Cud!»—krzyknął; wo-
—«Cudo!»—powtarza gromada zdumiała— [koło:
Jakiego jeszcze ziemia nie widziała!
Wszakże w radości nie myli nas oko?
Ach, nie, nie! Kłosa wznoszą się wysoko
I każdy kłosek, ze żdźbłem swym spojony,
Piękniej niż pierwej pozłocił zagony.
Ach, księżo Jacku, wszak to prośby wasze
Gradem złamane wzniosły kłosa nasze!»
— «Nie mnie, lecz Bogu niechaj będzie chwała!
To, co widzicie, moc Jego zdziałała».
I to wyrzekszy, lud pobłogosławił
I do Krakowa Wisłą się przeprawił.

K. Antoniewicz.

20. Święta Kinga.

Przez polskie łąny, przez zieleń riw
Cóż to ucieka, goni, aż dziw?
Czy to przed burzą, przed burzą czarną
Owieczki trwożne do dom się garną?
Oj! nie owieczek białych to ślad,
Pomiędzy które grom niebios padł;
Królowa Kinga to, biała, święta,
Wiedzie do Węgier swoje dziecięta.
A za królową, za Kingą tuż
Czy to nadciąga sto wrogich burz?
Czy to dzień sądny świta na ziemi
Z krzykami piekła, z łuny krwawemi?
Oj! to nie burza, nie chmurzysk cień,
Ale na Polskę sądny to dzień:
Bo po raz pierwszy czarnemi szyki
Szarańczą straszną spadł Tatar dziki!
Miotły na niebie i szczera krew;
Psy wyją, świszczą wierzchołki drzew;
A po rosistej, zielonej łące
Dzwony pływają na gwałt bijące.
Tam od Krakowa nadlata gwar,
Jęk słyhać, widać promieni żar,
Krzyk mordowanych, jęk uwięzionych
Leci po niwach, niwach zielonych.
Zewsząd się ludek przygarnia wraz:
— «Królowo Kingo, ratuj ty nas!»
A biała Kinga powiada, święta:
— «Ze mną do Węgier, moje dziecięta!»
W wstążce jej szaty wiatr niebios wiał,
Z ust jej się uśmiech anielski śmiał;
Laseczkę białą trzymała w dłoni,
A z dyamentów wieniec u skroni.
Gonia dzień cały i całą noc,
A coraz bliższa tatarska moc,
A coraz bliższe kopyt tententa:
— «O ratuj, ratuj nas, Kingo święta!»
Świt ranny błysnął, straszliwy brzask—
Słyhać już, słyhać Tatarów wrzask!
Słońce się szybą świeciło krwawą
Za dymem zgłiszczów, kopyt kurzawą.
Ku białej Kindze, by wiatrem gnan,
Chyli się ludu szeroki łąn.

I w jęk boleści pani się skarży:
— «Ratuj nas, Kingo—oto Tatarzy!»
Królowa Kinga wstrzymała bieg,
Z szaty bieluchnej, jak ranny śnieg,
Niebieską wstążkę na wiatr rzuciła,
Aby w ucieczce jej nie wadziła.
Wstążka rzucona—o! cudów cud!—
Między Tatarów i Boży lud
Wpadła szeroką szumiącą rzeką
I gdzieś w kraj świata leci daleko.
Zawyla tłuszcza i w męty wód
Leciała wściekła, gdzie Boży lud;
A lud on Boży nogą skrzydlatą
Za białą pani pośpiesza szatą.
Lecz już przez fali szumiącej toń
Leci Tatara szalony koń;
Leci, dosięga ludek ubogi:
— «O ratuj, Kingo!—tam Tatar srogi!» —
I oto Kinga u ludka głów
Jako Stróż Anioł stanęła znów
I z drobnej dłoni laskę rzuciła,
Aby w ucieczce jej nie wadziła.
Laska z jej ręki—o! nowy cud!—
Między Tatarów a Boży lud
Stanęła lasem gęstej świerczyny,
A las się rozrósł w świata kończyny.
Zawyla znów dzicz i w lasów cień
Pędziła naprzód przez długi dzień,
A ludek Boży borów odmětem
Stapał za śladem królowej świętym.
Lecz już się skończył świerkowy las:
— «O pani! Kingo! ratuj ty nas!»
Bo krok za krokiem czarnemi szyki
Już nas dogania Tatarzyn dziki!»
I oto Kinga, jak Anioł Stróż,
Przed swoim ludkiem stanęła już;
Koronę z głowy rzuciła miłą,
Aby nic w drodze jej nie wadziło.
Korona jasna—o! cudów cud!—
Między Tatarów i Boży lud
Stanęła Tater czarną opoką
I gdzieś pod niebo wzrosła wysoko.
Stanęła—stoi jak wielki mur,
Świecącym szczytem dotyka chmur

I słońca promień jak tęcza wita,
Nieprzełamana już, nieprzebita.
Za temi skały, jak wichrów wiew,
Skonał bezsilnie Tatarów gniew,
A biała Kinga, królowa święta,
Wiodła do Węgier swoje dziecięta.
Lecz na pamiątkę świętych jej dróg
Niebieską rzekę zachował Bóg;
Wstęgę się sunie jasną, świetlaną
I nosi zdawna Dunajca miano.
I na pamiątkę świętych jej dróg
Lasy świerkowe zachował Bóg,
A drzewo w lasach proste jak świeczka
Jako królowej Kingi laseczka.
I na pamiątkę korony jej
Bóg dał, że dotąd ziemi lśni tej,
Że u jej skroni poważnej, białej,
Dyjadem Tater błyszczy wspaniała.
A gdy na Tater lodowy szczyt
Wejdzie rumiany poranka świt,
To się rozbłyszcza jak dyjamenty
W koronie Kingi, królowej świętej.

Józef Szujski.

Z poematu Bohdana Zaleskiego p. t.

21. Przenajświętsza Rodzina.

Wzdłuż po przysionkach i wschodach kościoła
Gołębie i wonne kwiecie i zioła;
Pełno z cackami, z przysmakami budek.
Takić obyczaj; przytym miły chłódek.
Wokół się snuje i młodzieź i dziatwa,
Chciwa łakoci, więc i sprzedaż łatwa.

Młodzieź—o! młodzieź nielada dziś hula!
Jako roisko pszczolne koło ula,
Lata i brzęczy swoją pustą nutą,
Głuszy wieść inną wśród ludu rozsnutą.

Jest tu młodzieńczyk pomiędzy mistrzami,
Któremu mistrze dziwują się sami;
Mówi o Bogu i pewnie i śmieje,
A pewniej, śmieiej niż nauczyciele,
I większe, lepsze stokroć rzeczy umie!

Niepostrzeżenie—w cisnącym się tłumie
Do odźwiernego w kościele filara
Jakaś przysionkiem pomyka się para:
Starzec poważny, wzniosły, siwobrody,
Obok niewiasta przecudnej urody,
Postawa skromna, polotna, dziewicza:
Kiedy niekiedy owal jej oblicza
I blask od czasu odsuwa zasłonka,—
To Józef z Maryją.

Jak miły dźwięk dzwonka,
Dziecięcy głosik zwiastuje nadzieję;
Mówi pieściwie, nad ludźmi boleje.

Aby nie spłoszyć od Niebios przybysza,
Lud powzajemnym znakiem się ucisza.
Tam, to sam jeno ktoś w skrusze uklęka,
Tam, to sam oczy mokre otrze ręką:
I jako wprzód—cichość, cichość wielka...

Z pomiędzy niewiast Święta Rodzicielka,
We łzach świecąca—a miła i słodka,
Leciuchnym chodem wsuwa się do środka.

Na kobiercowym, kwiecistym wzniesieniu
Stoi pacholę w błękitnym odzieniu;
Oczka ku Niebu, a z skroni od oczek
Nieme dumanie buja jak obłoczek,
Niby z włosami jasnemi się wije
Na obnażone ramiona i szyję.

Skinął Młodzieńczyk i ozwał się w mowie;
A mowy Jego język nie wypowie,
Więc aby rzeczy swej prostaczkom dowieść,
Snuł przezroczystą, świecąca przypowieść.

Sędziwi mistrze dociekają treści
Niebem pachnącej owej przypowieści.

Kiedy młodzieńczyk podniósł się na nogi,
Uśmiech po licu igrał jeno błogi:
Spotkał wzrok Matki, z daleka wysnuty,
Wzrok nieco mętny—gotów na wyrzuty.
Jak rybka z wody zachwycona wędką,
Poskoczył ku niej wesoło i prędko.

Józef w swym sercu wcale go nie winił,
Lecz Matka swoje:—«Przecz, żeś to uczynił?
A my cię długo—tak długo szukali!»

— Matko, niewiasto kochana, ażali
Nie przekonałem Ciebie—twoją duszę,
Że w rzeczach Ojca—przy Ojcu stać muszę!
Matka słuchała—o! nie gniewna zgoła.

Józef, Maryja i Jezus z kościoła
Obok—dłoń w dłoni—razem wychodzili
I gwar niemal rozgrzmiewał po chwili,
Bowiem szeptali i starzy i młodzi;
— «Oto On idzie: On to, On nadchodzi!
Nowa Syońska łaska i nadzieja!
Pański nasz Prorok! Pański kaznodzieja!»

W rozbrzmieniu świeżej, duchowej nauczki
Ten to ów z ciżby, kto w sercu maluczki,
Całował szaty to Syna to Matki.
Dziewczęta wonne podawały kwiatki,
Jezus przyjmował i skinieniem ręki
Pomiędzy lud swój rozdzielał podzięk.

Bohdan Zaleski.

22. Grosz wdowi.

Gdy Święty Wojciech opuścił Kraków,
Szedł dalej z krzyżem uczyć pogany;
A gdy po drodze kruszył bałwany,
Staął nad morzem pośród Prusaków,
I głosząc wiarę podług słów Pańskich,
Poznosił wszędzie drewniane bogi.
Lecz w nienawiści poganin srogi
Śmierć mu zadaje w mękach tyrańskich.
Bolesław Chrobry zasłyszał o tym,
A żył nie samym szczękiem oręża—
Więc wielbiąc cnoty świętego męża,
Zamierzył ciało wykupić złotem.
Co chciał poganin, dawał z ochotą;
Złote kładziono na wagi bryły;
Lecz święte szczątki zbyt ciężkie były.
Czyż cnotę kiedy przeważy złoto?
Już i nie stało skarbów królowi.
Czym niecną chciwość nasycić można?

Wonezas przybywa wdowa pobożna,
Dorzuca w darze grosz wdowi.
Niebo ocenia szczerość ofiary:
Pieniądz obłany wdowiemi łzami,
Unosi w górę wagę z zwłokami,
A na dół ciężą królewskie dary.

Mateusz Gralewski.

23. Jałmużna.

Maj to był właśnie. Ledwie jutrzienka
Rozlała blaski i wonie,
Gdy, płacząc rzewnie, jakaś maleńka
Biegła dziewczynka przez błonie.
I znać, że śpieszno było niebodze,
Że pełna żalu i trwogi,
Bo mija krzyżyk, co stał przy drodze;
Pod krzyżem siedział ubogi.
— Pan Jezus z tobą, dziewczynko miła!
Gdzie to tak śpieszysz i czego?
Uczcij krzyż Pański!—Bóg pomoc zsyla
Tym, co jej proszą u Niego.
Na taki widok, na głos staruszka,
Dziewczynka nagle się wstrzyma
I łyzy otarszy końcem fartuszka,
Mierzy go długo oczyma.
A starzec znowu: — I cóż tak stoisz,
Tak patrzysz? — Skąd te łyzy twoje?—
Czy czego żadasz? czy się mnie boisz?—
— Ja się ubogich nie boję.
Bo oni biedni, kochać ich trzeba,
Często słyszałam od matki;
Zawsze im sama wynoszę chleba,
Gdy który przyjdzie do chatki.
Ale, mój dziadku, matka mi chora,
Chce mnie, jak mówi, porzucić;
Z łóżka nie może wstać już od wczora:
Ach! jakże nie mam się smucić!
Całą noc słysząc jęk nieustanny,
Klęcząc, prosiłam ze łzami

Łagowski.—Wypisy polskie—II.

Pana Jezusa, Najświętszej Panny,
 By mieli litość nad nami.
 I ty, staruszkę, módl się do Boga,
 Proś Go o zdrowie mej matki,
 A przyjm to—choć ja sama uboga,
 Choć to już nasze ostatki.
 Chciałam dziś za to bochenek chleba
 Kupić dla siebie, lecz lepiej
 Tobie to oddam; proś tylko Nieba,
 Niech moją matkę pokrzepi!
 — Tak jest, pokrzepi, będę Go prosić,
 Nie próżna twoja otucha!
 Przestań, dziewczynko, ócz łzami rosić,
 Bóg szczerą prośbę wysłucha.
 Bo kto biednemu poda jałmużnę,
 Cierpiącym boleść osłodzi,
 Temu, rzekł Jezus, niebo jest dłużne
 I Bóg go hojnie nagrodzi.
 Zaledwie skończył, aż w mgnieniu oka
 Blask nagły błysnął dokoła,
 Z plec mu szat grubych spadła powłoka:
 Starzec się zmienił w anioła.
 I gdy dziewczynka nagłym widzeniem
 W dłoni strwożony wzrok chowa,
 Z tkliwym uśmiechem, z wdzięcznym spojrze-
 [niem,

Te miłe do niej rzekł słowa:
 — Nie płacz dziewczynko, wracaj do chatki,
 Bóg twoją żalność obaczył,
 I drogie zdrowie wrócił dla matki
 I dla cię szczęście przeznaczył.
 «Bo kto biednemu poda jałmużnę,
 Cierpiącym boleść osłodzi,
 Temu, pamiętaj, niebo jest dłużne
 I Bóg go hojnie nagrodzi!»
 Długo dziewczynka z bojaźni blada,
 Jak wryta na miejscu stała,
 Anioł już zniknął, ona choć rada
 Wracać do matki nie śmiała.
 Wróciła wreszcie—o, co za radość,
 O, co za szczęście tam było!
 Stało się serca życzeniom zadość:
 Matce jej zdrowie wróciło!

Antoni Edward Odyniec.

24. Odważne dziewczę.

Panowie bracia! dalej na konie!
 Daleko mamy pohasać!
 Tam w onej stronie, gdzie łuna płonie,
 Tam, tam będziemy popasać.
 Na konie wskoczą, sztandar roztoczą
 Wesół trąbka zadzwoni;
 Rumaki spięli, bramę zamknęli,
 A na ich czele on goni.
 Pędzą bez trwogi, miną rozłogi,
 Miną i stepy i pola,
 Aż gdzie dokoła plądruje sioła
 Okrutnych czartów swawola.
 Hej! bracia wiara! męstwo i wiara,
 Odwaga, bracia! Bóg z nami!»
 Furknęły piki, runęły szyki,
 I już się sieką z wrogami.
 «Ho! ho! gdzie nasza zafurknęła pika,
 Próżno się bronisz Turczynie!
 Hartowna pika w krwi najeźdźnika
 Łupieżcy serca nie minie.
 Znajcie, zuchwali, grom naszej stali!
 Już ich wysiekli i lecą,
 Aż gdzie za siołem tańczą półkołem,
 Gdzie półmiesiące się świecą.
 «Hej! bracia wiara! męstwo i wiara!
 Odwaga bracia, Bóg z nami!»
 Zgęszczą się szyki, zafurkną piki,
 I już się sieką z wrogami.
 «Wiara! wesół!» Wpadli na czoło
 I już na karkach im siedzą:
 Szyki złamali, w trąbkę zagrali,
 Tatarzy gdzie ujsć, nie wiedzą.
 Tam, tam na prawo mknie Tatar żwawo,
 Przy nim na siodle dziewczyna:
 «Hej! za mną dzieci!» kordem zaświeci,
 To moja córka jedyna!»
 Ten żwawo goni, ów żwawo stroni,
 Lecz przed Tataram Dniestr płynie,
 Wstrzymał się w biegu, stanął u brzegu,
 Spiał konia—już na głębinie.

Dziewczę się zrywa i Boga wzywa,
I pchnie Tatara na tonie,
Konia zwróciła, na brzeg wskoczyła,
I już u ojca na łonie!

W. Jabłonowski.

25. Niedziela palmowa.

Otóż Wierzbna, otóż Kwietna
Zawitała nam niedziela
Wnet nastanie chwila świetna
Zmartwychwstania Zbawiciela.
Do świątyni gronem wszystkim
Idą młodzi, idą starzy,
Różczkę wierzby z młodym listkiem
Niosą święcić do ołtarzy.
Boga w mękach, Boga w chwale
Do swej duszy biorą żywo,
I na nutę boleściwą
Wyśpiewują «Gorzkie żale».

26. Wielki Czwartek.

Chrystus Pan w dzień czwartkowy
Piotra z Janem słał ku miastu,
By wieczernik był gotowy,
Spożyć Paschę we trzynastu.
A gdy przyszła już godzina,
Siadł z uczniami na wieczerzę,
I chleb Paschy w rękę bierze,
Bierze w rękę kielich wina,
I rozłamie chleb na dwoje
I donośnym głosem powie:
«To prawdziwe ciało moje,
Pożywajcie je uczniowie!»
A podniószy kielich wina,

Rzekł, oddając go w koleję;
«To krew moja, krew jedyna,
Która za was się wyleje».

27. Grób Chrystusa.

Noc na dworze, a w kościółku
Urozyste światła płoną;
Grób Chrystusa oświetlono
Od podłogi do wierzchołku.
Malarz wiejski, prosty, tani,
Wymalował skały, groty,
Wymalował szczyt Golgoty
I trzy krzyże widne na niej.
Wymalował trzy Maryje,
Co nad grobem Pańskim płaczą,
Choć zorana twarz rozpaczą,
Lecz nadzieja w oczach żyje.

28. Rezurekcja.

U stóp grobu kapłan klęka
Przed hostyją Zbawiciela,
Co z za opon, z za okienka,
Promiennemi blaski strzela.
Jeszcze zmówił ciche modły,
Ostateczny psalm pokuty,
I już dźwięki się rozwiódły
Alleluja brzmiącej nuty.
Wśród chorągwi, wśród latarni,
Wśród radosnych dzwonów dźwięku,
Z sakramentem świętym w rękę
Kapłan idzie wprzód owczarni.
Dwakroć, trzykroć w krąg kościoła
Idzie naród, głowy skłania,
I silniejszym głosem woła:
Alleluja — zmartwychwstania!

Władysław Syrokomla.

29. Wielkanoc.

Już po dworach ruch nieznany
Wszystkie twarze uwesela:
Czyszczą domy, białą ściany
Na przyjęcie Zbawiciela.
Z nad kominów wałą dymy,
Że aż poczuć je zdaleka;
To obyczaj nasz rodzimy,
To święcone się wypieka.
Każda krząta się niewiasta,
Boć to dla niej ważne święto:
We sto kształtów idą ciasta,
We sto kształtów mięs nacięto.
Więc i z pola, więc i z kniei
I domowych ptastw gromada;
Wszystko tutaj po kolei
Na paschalny stół się składa.
A gdy jutro po obiedzie,
Jako zwyczaj przekazany,
Święcić jadło ksiądz przyjedzie
I przeżegnać domu ściany...
Lubił szlachcie starej daty
Wskazać ład swój i dostatek:
Stół sążnisty wśród komnaty,
Obrus biały, jak opłatek,
Umajony w zieleniźnie,
Zastawiony jadłem szczerze,
Że i wąż się nie prześliźnie
Między misy i talerze,
Gdzie stawione z cudnym szykiem
Rzędy jadła i napoi.
Gdzie baranek z proporczykiem
Na najpierwszym miejscu stoi.
Woń tak lechce, wzrok tak nęci,
Że ucztował by człek sobie,
Gdyby nie miał na pamięci,
Że Pan Jezus jeszcze w grobie.
Ksiądz przychodzi w komży, w stule,
Kędy pascha już nakryta,
Gospodarzy wita czule
I nad stołem modły czyta:
«Boże któryś na pustyni

Błogosławił pięciu chlebom,
Niech Twa łaska nam przyczyni
Chleba, życia ku potrzebom!»
Potym jadła i napoje
Poświęconą kropi wodą:
«Wielki Boże, dary Twoje
Niech do grzechu nas nie wiodą;
Niechaj człowiek przypomina
Wśród biesiady, że są głodni;
Niech pienisty kielich wina
Nie podusza go do zbrodni!
Pożywając dary Boże,
Niech Anioła-Stróża słucha;
Niechaj ciało nie przemoże
Świętych natchnień Twego Ducha!

Władysław Syrokoma.

30. Wstęp do «Pana Tadeusza».

Litwo! Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie!
Ile cię trzeba cenić, ten się tylko dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie!
Panno Święta, co Jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz Bramie! Ty co gród zamkowy
Nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem—
Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,
Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę
I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu
Iść, za wrócone życie podziękować Bogu—
Tak nas powrócisz cudem na ojczyznę łono!...
Tymczasem przenoś moją duszę utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych;
Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłaczanych pszenicą, posrebrzanych żytem,
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,
A wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą
Zieloną, na niej zrzadka ciche grusze siedzą.

Adam Mickiewicz.

31. Dwór szlachecki.

Śród takich pól przed laty, nad brzegiem ruczaju
Na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju
Stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany *).
Świeciły się zdaleka pobielane ściany,
Tym bielsze, że odbite od ciemnej zieleni
Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.
Dom mieszkalny niewielki, lecz zewsząd chędogi,
I stodołę miał wielką, i przy niej trzy stogi
Uzątku, co pod strzechą zmieścić się nie może;
Widać, że okolica obfita we zboże,
I widać z liczby kopie, co wzdłuż i wszerz smugów
Świecą gęsto, jak gwiazdy; widać z liczby pługów,
Orzących wcześniej łany ogromne ugoru,
Czarnoziemne **), zapewne należne do dworu,
Uprawne dobrze, naksztalt ogrodowych grządek,
Że w tym domu dostatek mieszka i porządek.
Brama, nawcięż otwarta, przechodniom ogłasza,
Że gościnna i wszystkich w gościnę zaprasza.

Adam Mickiewicz.

32. Zachód słońca na wsi.

Słońce ostatnich kresów nieba dochodziło;
Mniej silnie, ale szerzej niż we dnie świeciło.
Całe zaczerwienione, jak zdrowe oblicze
Gospodarza, gdy prace skończywszy rolnicze,
Na spoczynek powraca.—Już krąg promienisty
Spuszcza się na wierzch boru i już pomrok mglisty,
Napełniając wierzchołki i gałęzie drzewa,
Cały las wiąże w jedno i jakoby zlewa.
I bór czernił się naksztalt ogromnego gmachu,
Słońce nad nim czerwone, jak pożar na dachu.
Wtym zapadło do głębi. Jeszcze przez konary
Błysnęło, jako świeca przez okiennic szpary,

*) t. j. na murowanych fundamentach.

**) z czarnej, urodzajnej gleby.

I zgasło....

I wnet sierpy, gromadnie dzwoniące
We zbożach, i grabiska, suwane po łące,
Ucichły i stanęły: tak pan włości każe;
U niego ze dniem kończą pracę gospodarze.
Pan świata wie, jak długo pracować potrzeba.
Słońce, jego robotnik, kiedy zejdzie z nieba,
Czas i ziemianinowi ustępować z pola.
Tak zwykł mawiać pan włości, a ta jego wola
Była ekonomowi pocziwemu świętą;
Bo nawet wozy, w które już składać zaczęto
Kopę żyta, niepełne jadą do stodoły:
Cieszą się z niezwykłej ich lekkości woły.

Adam Mickiewicz.

33. Sad wiejski.

Był sad.

Drzewa owocne, zasadzone w rzędy,
Ocieniały szerokie pole; spodem grędy.
Tu kapusta, sędziwe schylając łysiny,
Siedzi i zda się dumać o losach jarzyny;
Tam płacząc strąki w marchwi zielonej warkoczu,
Wysmukły bób obraca na nią tysiąc oczu;
Ówdzie podnosi złotą kitę kukuruza;
Gdzieniegdzie otyłego widać brzuch harbuza,
Który od swej łodygi aż w daleką stronę
Wtoczył się jak gość między buraki czerwone.

Grędy rozcięto miedzą. Na każdym przykopie
Stoją, jakby na straży, w szeregach konopie,
Cyprysy jarzyn, eiche, proste i zielone;
Ich liście i woń służą grędom za obronę,
Bo przez ich liście nie śmie przecisnąć się żmija,
A ich woń gąsienice i owad zabija.
Dalej maków białawe górują badyle;
Na nich, myślisz, iż rojem usiadły motyle,
Trzepocąc skrzydełkami, na których się mieni
Z rozmaitością tęczy blask drogich kamieni:
Tylu farb żywych, różnych mak żrenicę mami.

W środku kwiatów, jak pełnia pomiędzy gwiazdami
 Kragły słonecznik, licem wielkim, gorejącem
 Od wschodu do zachodą kręci się za słońcem.
 Pod płotem wąskie, długie, wypukłe pagórki,
 Bez drzew, krzewów i kwiatów: ogród na ogórki,
 Pięknie wyrosły; liściem wielkim, rozłożystym
 Okryły grzedy, jakby kobiercem fałdzistym.
 Pośrodku szła dziewczyna, w bieliznę ubrana,
 W majowej zieloności tonąc po kolana;
 Z grząd zniżając się w brózdy, zdała się nie stapać,
 Ale pływać po liściach, w ich barwie się kąpać.
 Słomianym kapeluszem osłoniła głowę,
 Od skroni powiewały dwie wstążki różowe
 I kilka puklów światłych, rozwitych warkoczy;
 Na rękę miała koszyk, w dół spuściła oczy,
 Prawą rękę podniosła, niby do chwytania.
 Jako dziewczę, gdy rybki w kąpieli ugania,
 Bawiące się z jej nóżką, tak ona co chwila
 Z rękami i koszykiem po owoc się schyla,
 Który stopą nadtrąci, lub dostrzeże okiem.

Adam Mickiewicz.

34. Polowanie z chartami.

..... «Wyczha! Tuż z pod koni
 Smyknął szarak; już Kusy, już go Sokół goni.
 Psy wzięto na obławę: wiedząc, że z powrotem
 Na polu łatwo można napotkać się z kotem.
 Bez smyczy szły przy koniach; gdy kota spostrzegły,
 Wprzód nim strzelcy poszczuli, już za nim pobiegły.
 Rejent też i Asesor chcieli końmi natrzeć,
 Lecz Wojski wstrzymał, krzyząc: «Wara stać i patrzeć!
 Nikomu krokiem ruszyć z miejsca nie dozwolę;
 Stąd widzimy wszyscy dobrze, zajęć idzie w pole».
 Wistocie, kot czuł z tyłu myśliwych i psiarnię,
 Rwał w pole, słuchy wytknął jak dwa różki sarnie,
 Sam szarzał się nad rolą długi, wyciągnięty,
 Skoki pod nim sterczały, jakby cztery pręty;

Rzekłbyś, że ich nie rusza, tylko ziemię trąca
 Po wierzchu jak jaskółka wodę całująca.
 Pył za nim, psy za pyłem: zdaleka się zdało:
 Że zajęć, pył i charty jedno tworzą ciało;
 Jakby jakaś przez pole suwała się żmija.
 Kot jak głowa, pył z tyłu jakby modra szyja,
 A psami jak podwójnym ogonem wywija.
 Rejent, Asesor patrzą, otworzyli usta,
 Dech wstrzymali. Wtym Rejent pobladnął jak chusta;
 Zbladł i Asesor; widzą—fatalnie się dzieje,
 Owa żmija im dalej, tym bardziej dłużej,
 Już rwie się w pół, już znikła owa szyja pyłu,
 Głowa już blisko lasu; ogony gdzie?—z tyłu!
 Głowa już niknie; raz jeszcze jakby kto kutasem
 Mignął: w las wpadła; ogon urwał się pod lasem.
 Biedne psy, ogłupiałe biegały pod gajem,
 Zdawały się naradzać, oskarżać nawzajem.
 Wreszcie wracają, zwolna skacząc przez zagony,
 Spuściły uszy, tulą do brzucha ogony
 I przybiegszy, ze wstydu nie śmiejąc wznieść oczu
 I zamiast iść do panów, stały na uboczu.

Adam Mickiewicz.

35. Grzybobranie

Był gaj zrzadka zarosły, wysłany murawą;
 Po jej kobiercach, nawskroś białych pniów brzowych,
 Pod namiotem obwisłych gałęzi majowych,
 Snuło się mnóstwo kształtów, których dziwne ruchy,
 Niby tańce, i dziwny ubiór—istne duchy.

Któżby zgadnął, że owi tak mało ruchomi,
 Owi milczący ludzie są nasi znajomi,
 Sędziowscy towarzysze?—z hucznego śniadania
 Wyszli na uroczysty obrzęd grzybobrania.

Grzybów było w bród. Chłopcy biorą krasnolice,
 Tyle w pieśniach litewskich sławione lisice;
 Panienki za wysmukłym gonią borowikiem,
 Którego pieśń nazywa grzybów pułkownikiem.
 Wszyscy dybią na rydza; ten wzrostem skromniejszy

I mniej sławny w piosenkach, za to najsmaczniejszy
 Czy świeży, czy solony, czy jesiennej pory,
 Czy zimą. Ale Wojski zbierał muchomory,
 Inne pospólstwo grzybów, pogardzone w braku,
 Dla szkodliwości albo niedobrego smaku;
 Lecz nie są bez użytku; one zwierza pasą
 I gniazdem są owadów i gajów okrasą.
 Na zielonym obrusie łąk, jak szeregi
 Naczyń stołowych sterczą: tu z kragłemi brzegi
 Surojadki srebrzyste, żółte i czerwone,
 Koźlak, jak przewrócone kubka dno wypukłe;
 Lejki jako szampańskie kieliszki wysmukłe;
 Bielaki kragłe, białe, szerokie i płaskie,
 Jakby mlekiem nalane filiżanki saskie;
 I kulista, czarniawym pyłkiem napęczniona
 Purchawka, jak pieprzniczka;—zaś innych imiona,
 Znane tylko w zajęczym lub wilczym języku,
 Od ludzi nieochrzczone—a jest ich bez liku.

Adam Mickiewicz.

36. Nasze drzewa.

... Zaczęli rozmowę o niebios błękitach
 Morskich szumach i wiatrach wonnych i skał szczytach,
 Mieszcząc tu i owdzie, podróżnych zwyczajem,
 Śmiech i urąganie nad ojczystym krajem.
 A przecież, wkoło nich ciągnęły się lasy
 Litewskie, tak poważne i tak pełne krasy!
 Czeremchy opłatane dzikich chmielów wieńcem,
 Jarzębiny ze świeżym pasterskim rumieńcem,
 Leszczyna, jak menada, z zielonemi berły,
 Ubranemi jak w grona, w orzechowe perły;
 A niżej dziatwa leśna: głóg w objęciu kalin,
 Ożyna, czarne usta tuląca do malin.
 Drzewa i krzewy liśćmi wzięły się za ręce,
 Jak do tańca stojące panny i młodzieńce.
 Wkoło pary małżonków: stoi pośród grona
 Para nad całą leśną gromadą wzniesiona
 Wysmukłością kibici i barwy powabem:
 Brzoza, biała kochanka, z małżonkiem swym grabem,

A dalej jakby starce na dzieci i wnuki
 Patrzą, siedząc w milczeniu: tu sędziwe buki,
 Tam matrony topole i mechami brodaty
 Dąb, włożywszy pięć wieków na swój kark garbaty.
 A czy nie piękną jest nasza pocziwa brzezina,
 Która, jako wieśniaczka, kiedy płacze syna,
 Lub wdowa męża, ręce załamie, roztoczy
 Po ramionach do ziemi strumienie warkoczy?...»

Adam Mickiewicz.

37. O Wiśle.

Nasza się Wisła ukochana toczy
 Przez kraj pszeniczny, polisty, uroczy;
 Z źródeł Karpackich coraz szersza bieży,
 Unosząc obraz rozkosznych wybrzeży.
 Nad nią tu, owdzie, wioska się uśmiecha,
 Chata się bieli, pochyla się strzecha,
 Ryczy bydelko, pomrukują trzody,
 Gdy je dziewczęta prowadzą do wody.
 A nasza Wisła tak spokojna, cicha,
 Że jej nie słyhać, tak lekko oddycha,
 I jakąś ciszą uroczą okola
 Nadbrzeżne wioski, pastwiska i pola.

Wisło! ty niesiesz na swoim przestworze
 Nasze ziarniste, pozłociste zboże,
 Niesiesz i drzewo i sól i gips biały,
 Owoce, jaja i świeże nabiały.

Niesiesz, gdy zechcesz. A gdy nie masz woli,
 Próżno berlinka żaglami swawoli,
 Lub galar wiosłem twoje fale liżnie;
 Ty nie chcesz—muszą stanąć na mieliznie.

A gdy cię, Wisło, ścisną zimne lody,
 Tyś jak zwierciadło, jak srebrna tablica,
 Na której słońce maluje swe lica,
 Aż lód przepali; wtedy z strasznym grzmotem
 Łamiesz kry, tworzysz rozłożyste fale,
 Pienisz się, płyniesz szeroko, wspaniale,
 I pierś swą wzdymasz za wiosny powrotem...

A kiedy w górach potopnieją śniegi,
Ty nagle, groźna, wychodzisz nad brzegi,
Zalewasz pola i unosisz z sobą
Wieśniacze chaty z całą ich chudobą;
Powalasz domy, i na twojej fali
Nieraz niemowlę w kołysce się żali...

A potym znowu wracasz w swe ukrycie
I cicho płyniesz w odwiecznym korycie.
W starym korycie, o, rodzinna rzeko,
Niechaj spokojnie twoje nurty cieką;
Niech na twych błoniach, tak pełnych tęsknoty,
Bóg litościwy da urodzaj złoty.

Antoni Czajkowski.

38. P o d o l e.

Jasne słońko nad Podolem!
Po parowach kraj się zboczył,
Wielkim łukiem, czy półkołem
Dniestr ku morzu się zatoczył...
Jarem, jarem za towarem,
Obłagami, za wołami,
Manowcami za owcami,
Pobereżem na Podole,
A w Podolu jak w stodole!
Jak zaległy ziemie Boże,
Przebież kraje, przerzuć role,
Zejdź świat cały, przepłyni morze,
Niema kraju nad Podole!
Jak zasięgnie tylko oko,
I daleko i szeroko,
Świat kłosami tylko płynie
I w obszarach oko ginie...
Tu kraj cały jednym łanem
I nadany wszelkim płodem;
Płynie mlekiem, płynie miodem,
A lud cały wielkim panem!
Ziemie czarne, niepochybne,
Pasze żyzne, wody rybne,
Mało wprawdzie, trochę lasa,
Ale za to chleb do pasa!

Z rolą człek się tam nie kłopi,
Słomę pali, nawóz topi,
I co zmoże, w skład wyrze,
A jak umie Boga chwali!
Kilkoletnie sterty, brogi,
W toku z laty pocerniałe,
Jak miasteczka stoją małe,
Niestrzeżone na obszarze.
I na polu skot w koszarze,
Co zabiela dniem rozłogi.
A skot bywa szerści siwej,
A koń bywa gęstej grzyw, w
Nóg żelaznych, twardej skóry,
Bez narowu, lecz ponury.
Za okopem lub za płotem
Wsie zamknięte kołowrotem;
A choć rzadkie, duże, syte,
Chaty czysto wymuskane,
Strzechy grubo, równo szyte,
Drogi rowem okopane.
Kiedy spuścisz się ku wodzie,
Toś zajechał niby w góry:
Skała żebrem wzrok ubodzie,
Brzegowiska istne mury;
Po nich pną się zarośl młoda,
Z nich urwisko skał opadło,
Na łokotach szumi woda,
A staw czysty jak zwierciadło!
Lecz gdy wymkniesz się z parowu,
Skały znikną, szum ustanie,
Jakbyś był na stepie znowu,
Równy, cicho znów na łanie...
Cicho—jednak niby ludno:
Wszędy zboże, wszędy krzyże,
Konik polny piosnkę strzyże,
O mogiłę też nie trudno...
Kłosa płyną w lekkiej fali,
A gdzieś widne w sinej dali
Brzozy smutne i powiewne,
I dąbrowy staro-drzewne...
A i ludu wdzięczne lica,
Boć to czysto, białe odzian,
Jak dąb młody, rzeźki młodzian,
A dziewczeczka—jak pszenica!

W chacie też to człeka radzi
Bogiem, chlebem witać w progu;
I Bóg gościa spać prowadzi,
I na drogę zleca Bogu.

W. Pol.

39. Cerkiew wiejska.

Była to cerkiew, z modrzewia jej ściany,
Już pochylone, wsparte na podpory;
Promieniem słońca błyszczał dach blaszany;
Słońce, wzierając przez te szyby drżące,
Różne już na nich wybiło kolory;
Nad dachem rosły trzy brzozy płaczące,
Krzyż się przeglądał przez ich szczyt wyniosły,
Na progu żebrak pacierze powtarza,
Wokoło cmentarz, kwiatami zarosły
I wiejskie groby błyszcza wśród cmentarza.
Daleko słychać wiejski dzwon kościelny,
Zadzwonił, zewsząd lud śpieszy przez pola.
Było to święto, był to dzień niedzielny;
Dziś pług spoczywa, zieleni się rola,
Dziewice ołtarz przystroili w kwiaty,
Zabrzmiała młodzież do śpiewu gotowa;
Wyszedł ksiądz ze mszą pochylony laty;
Tłumi się coraz pieśń ludu niknąca...
Ucichła: ksiądz tylko słychać słowa,
Cichy szmer brzozy, co o szyby trąca;
Niekiedy dzwonek jękliwy uderzy,
Niekiedy starzec księdzu odpowiada;
Świergocą wróble i pod szczytem wieży
Pierzchnie jaskółka i w gzymsy zapada.

Juljusz Słowacki.

40. Kołek bronowy.

(Fraszka żołnierska).

Z pod Saragosa wojak stęskniony
Wraca powitać ojczyste strony;

Darł się jak tygrys, rabał jak mistrze,
Toż za to dźwiga pustki w tornistrze.
Na grzbiecie mundur skiereszowany,
Na piersi krzyżyk, pod nim dwie rany;
Na czole szramę i kulkę w biodrze,
Ot, los wojaka obdarzył szczodrze!...

Wraca radośnie, lecz coś nie sporo,
I choć sękatą zbrojny podporą,
Z czasu do czasu syknieniem wyzna,
Że ta lub owa dolega blizna,
Że kiedy w biodrze hiszpańska kula,
Trudno udawać biegaczów króla!

Syknie i wolniej omija lany,
Chyba, gdy zoczy kościółek znany,
Starą dzwonnice, pochyłą wieżę,
Albo znajome sioło dostrzeże.
Wstrzyma się chwilę, bije mu serce,
Już zapomina i o żołnierce,
I że dolega noga pobita,
Tylko ze łzami te pola wita,
Co swym powietrzem, co wonią swoją,
Ciała i ducha boleści goją!
Stanie, poduma, Boga pochwali
I pokrzepiony wędruje dalej.

Słońce zachodzi, noc niedaleko,
Rodzinna strzecha za trzecią rzeką.
Jeszcze do domu niemało drogi,
A już do reszty ustają nogi;
Trzeba posiłku, spoczynku trzeba,
W tornistrze niema kawałka chleba,
Ale w pobliżu bieleje wioska;
Po nad chatami Opatrzność Boska,
W chatach mieszkają dobrzy ludziska,
Toć nie odmówią mu przytuliska!
A choć i takich spotkać się zdarzy,
Co odprawiają z niczym nędzarzy,
Przemysłny wiarus spokojny o to,
Trafić do serca jego robotą,
Przyjaznym słówkiem, żartem na dobre,
Niewinną psotą zjedna je sobie;
I choć na wstępie zagrożon klęską,
Zawsze w ostatku wyjdzie zwycięsko:

Łagowski.—Wypisy polskie.—II.

Umiał się przedrzeć przez Pireneje,
Toż mu nie łatwo tracić nadzieje!

Więc trochę prędzej naprzód się zbliża,
Aż na rozdrożu, około krzyża,
Odkrywszy głowę jak wszyscy wierni,
Spostrzegł na ziemi, że się coś czerni.
Zwykle co w myśli, to przed oczyma,
Chleb u głodnego pierwszeństwo trzyma,
Toż wojak sądząc, że łaska nieba
Zsyła mu w porę krajanek chleba,
Schylił się żwawo, lecz zawiedziony,
Pochwycił w rękę kołek od brony.

Posmutniał biedny—ha!—myśli sobie —
Także i z tego użytek zrobię;
Chleb byłby lepszy, już to rzecz pewna,
Ależ go upiec trudno bez drewna,
I to się przyda, pod chleb podpali,
Więc do tornistra.—I ruszył dalej.

Doszedł do wioski, do pierwszej chaty,
Prosi o nocleg wiarus wąsaty,
Ale na wstępie coś gospodyni
Niezbýt pocieszną nadzieję czyni,
Coś jej nie wzrusza stary kaleka;
Na ciężkie czasy przed nim narzeka,
Bolesnym skargom rozpuszcza wodze,
Jak mąż daremnie pracuje srodze,
Jak się i ona krwawo mozoli,
Jednak nie zdoła przemóc niedoli;
Aż zakończyła w sposób najgładszy:
— «Panie żołnierzu, niech Bóg opatrzy!» —

Ale się żołnierz uludzić nie da,
Pozna gdzie dobrze, pozna gdzie bieda.
Spojrzał po izbie—i jakoś weale
Nie mógł uwierzyć w udane żale.
A suty ogień, co grzał z kominka,
A przy tym ogniu garnek i rynka,
A z rynki zapach głodnemu miły,
Kłamstwo gosposi całkiem zdradziły.
— «Ha! rzeczy zatym,—kiedy w komorze
«Strudzony kąta znaleźć nie może,
«Toż go obdarzcie wytechnienia chwilką,
«Dajcie u ognia ogrzać się tylko,

«Więcej nie żądam, bo na złe czasy
«Noszę w tornistrze własne zapasy.
«Siedzi w nim sztuczka!... w skorym zapędzie
«Przyporządziwszy, rosół z niej będzie!...
I raz powziąwszy koncept do głowy,
Wyjął z tornistra kołek bronowy.

— «O, święty Jezu! to z każdej strony
«Wygląda jakby kołek od brony!...
«I z tego rosół?»...

— «Czekajno matko,
«Jak się opłucze, oskrobie gładko,
«Trochę posoli, trochę opieprzy,
«To i w Hiszpanji nie bywał lepszy!»...
Więc gospodynię ciekawość zdjęła,
A zmyślny wiarus dalej do dzieła.
Aż mu z pośpiechu ręce się trzęsą;
Płócze, żyłuje nibyto mięso,
Nalewa wodą, do ognia stawia,
I jeszcze bardziej ją zaciekawia.

Po chwili w garnku burzy się, pieni.
Żołnierz tymczasem szuka w kieszeni,
Szuka w tornistrze, aż mimowoli
Gospośia pyta—«czego brak?»

— «Soli!»
— «No bieda ciężka, słowo nie płóche,
«Ależ znów soli znajdzie się trochę.»
I miarka soli wleciała w wrzątek,
Żołnierz pomyślał:—niezły początek!
Więc po przystanku, przebiegła sztuka,
Znowu w tornistrze szuka i szuka.
— «Czegóż wam braknie?»

— «At!... nic!... widzicie,
«Różnie się rosół jada w Madrycie;
«Raz z kartoflami jedzą z ochotą,
«Niekiedy z grochem, lub kluski gniotą,
«Ale, że kluski zajęciem straszą,
«Więc w Saragosie najlepszy z kaszą!»
— «A to jak u nas!... jeno nam bieda
«Nawet od święta rosółu nie da!
«Nie pomnę smaku... pustka w komorze!
«No, aleć i kaszy znajdzie się może»...

I zabawiwszy weale niedługo,
Wsypała garstkę jedną i drugą,

Aż żołnierzysko pokreślił wasa
I znów warząchwia kolek potrzasa:
Miesza przyprawę w tę i w ową stronę,
Wreszcie rzekł:—«szkoda, że nie kraszone!
«Na Pirenejach sposób jedyny,
«Dodawać smalcu albo słoniny,
«Lecz w Pampelunie ta moda zgasła,
«Jak niema szperki, dodają masła...»

— «Oj! bieda! bieda! ciężkie to czasy!
»U nas się rosół je bez okrasyl!...
«Ale, że krówkę mamy w oborze,
«To krzyne masła wynajdę może.»—

I wynalazła;—aż żołnierzysko
Zasalutował przed pełną miską!
Okrasil owoc ciężkich obrotów
I rzekł:—«Bóg zapłać, rosół już gotów!»

Gospoia patrzy:—«O, Matko nasza!
«Dyż ten rosół rychtyg jak kasza!
«Jeno, że trochę pachnie żywicią.»

«Żołnierze chętnie takim się sycą;
«Tylko widziecie, że w stronach owych,
«Czasem nam brakło kołków bronowych!...»

Jan Chęciński.

41. P i a s t.

Gdy Popiel w chwilach okropnego zgonu,
Karzącej zbrodni doświadczył prawicy,
Naród, chcąc wybrać następcę do tronu,
Zebrał się w pięknych równinach Kruszwicy.
Stały nad Gopłem Słowiany rozliczne,
Długie oszczepy, puklerze staliste;
Zamku Popielów wieże niebotyczne
Odbijały się o jezioro czyste.
Gdzie wielkie mnóstwo, ciężko szukać zgody;
Na głośnych sporach czas upływał drogi:
Głód się czuć dawał, a obce narody,
Szerzyły w Polsce najazdy i trwogi.

Ale Bóg dobry spojrział na Polaków,
Bo ich do wielkich przeznaczeń gotował;
Wpółród Kruszwicy spokojnych wieśniaków
Był Piast, co bogów i ludzi miłował.
Dom jego szczupły, ale zewsząd czysty,
Za Gopłem małą pasiekę posiadał,
Cienił lepiankę jawor wiekuisty,
A na nim bocian gniazdo swe zakładał.
Znaną sąsiadom była naokoło,
I dobroć jego i gościnna hojność;
Znajdował (lemiesz prowadząc wesóło)
W pracy swą żywność, w sumieniu spokojność.
Dzień nadszedł świetny dla skromnej drużyny
Gdzie jak pogańskie prawo nakazało,
Pierworodnego syna postrzyżyny
Obchodzić miano przez ucztę wspaniałą.
Hoża Rzepicha i Piast nasz sędziwy
Od rana całym trudnią się obchodem;
Stół zastawiają tłustymi mięsami,
I duże czary napełniają miodem.
W gronie przyjaciół zaczęły się gody,
Pierwszemi dary już uczczone bogi;
Gdy dwóch młodzieńców precudnej urody
Wechodzi w gościnne biesiadników progi.
Piast i Rzepicha z czołem nachylonym,
Proszą, by miejsca chcieli zasiąść swoje;
Lud się gromadzi, a z tłumem zwiększonym
Mnoży się pokarm i słodkie napoje.
Po uczcie, świetni zniknęli młodzieńcy,
A lud zgodnemi zawołał głosami:
«Piast luby bogom, pocóż czekać więcej?
Niech będzie królem, rządzi Polakami!»
«Większej, mąż rzecze, potrzeba mądrości,
By berłem rządzić podług ludu woli;
Zostawcie Piasta w szczęśliwej mierności
Przy jego pługu, pasiece i roli.»
Gdy wieczór nadszedł, Piast głowę na ręce
Oparszy, siedział pod jaworu cieniem,
Znów przed dom jego ci sami młodzieńce
Przyszli, światłości okryci promieniem.
Postać ich Niebian mieszkańców wskazuje:
Od barków śnieżne skrzydła się podnoszą,
Białe ich szaty do ziemi zstępują,
A ciemne włosy woń lubą roznoszą.

Rzekli do Piasta: «Pan co mieszka w niebie,
 «Co zedrze wnukom twym błędów zasłonę,
 «Aniołów swoich przysyła do ciebie
 «Z rozkazem, żebyś wziął polską koronę.
 «Szanuj w pokorze świętą Jego wolę;
 «Wielkie on Polsce zakreśla zawody,
 «Do chlubnych czynów otworzy wam pole,
 «Da wam zwycięstwa, chwałę i swobody.
 «Z plemienia twego dzielni wojownicy
 «Pędząc przed sobą barbarzyńskie kupy,
 «Na wschód i zachód kres państwa granicy
 «Naznaczą w rzekach żelaznemi słupy.
 «Przez dziewięć wieków ród wasz istnieć będzie.
 «A po was inni tron Piastów osiada
 «Ujrzy się Polska w pierwszych mocarstw rządzie,
 «A cne książęta hołdować jej będą.
 Tu znikły męża w światłości powodzi,
 A Piast zdziwiony pozostał samotnym;
 Słodki się zapach w powietrzu rozchodzi
 Jak woń fijołków po deszczu wilgotnym.
 Jeszcze Piast dumał, gdy z jutrzeńki blaskiem
 Lud niecierpliwy tłumnie się gromadzi,
 Wita go panem z radosnym oklaskiem,
 I na królewskie komnaty prowadzi.
 Już wdział purpurę, wziął miecz wojowniczy,
 Świętą koroną uwieńczył swe skronie,
 A wdzieczny, pragnąc uczcić stan rolniczy,
 Rozkazał pług swój postawić przy tronie.
 «Ziomkowie, rzecze, kiedy mam panować,
 «Gdy wy i same Nieba tak zrzędziły,
 «Zaklinam, chcecie rolnictwo szanować:
 «W mieczu i pługu są Polaków siły»

Juljan Ursyn Niemcewicz.

42. Poseł Lacki.

Na wysokim zasiadł tronie
 O poręczach z białej kości,
 Dumny Henryk w pysznym gronie
 Swej cesarskiej wielmożności.

Już zajęli miejsca swoje
 I biskupi i pisarze;
 Lecz zachmurzy poseł Lacki
 Te niemieckie butne twarze!..
 Acz z spokojem w progi wchodzi,
 Dumnym wzrokiem orszak mierzy,
 Szabli imąc się, łuskową
 Rękawicę w dłoni dzierży.
 A na palcu drogi pierścień;
 Aż się oczy Niemcom żarzą
 I już liczą wartość jego,
 Na łakomstwa wagach ważą.
 — Pokój tym, kto trzyma zgodę,
 Kto braterskie przyjmie ramię,
 Z tym nietylko bój powściągnie,
 Lecz się chlebem Lach rozłamie.
 A kto nie, kto złości chowa,
 Kto się jedna z jego wrogi,
 Rękawicę mu łuskową
 Rzuci rycerz Lach pod nogi!—
 Tak spełniwszy swe poselstwo,
 Rycerz polski wpośród stanie,
 I położy dłoń na zbroję,
 Wzrok w niemieckim utkwii panie.
 Cesarz zasię przewielmożny,
 Zakręciwszy w koltun brodę,
 Rzecze pysznie:—Nie na pokój,
 A na wojnę męża wiodę.
 A bogactwa mi otworzą
 Wszystkie śpichrze Europy.
 I najtwardsze bramy pękną
 I pod moje padną stopy.
 Spójrz!—i skinie na swe knechty,
 By otwarły skarbów wieka.
 Alić próżno podziwienią
 Z ust polskiego pana czeka..
 Poseł Lacki nie rzekł słowa,
 Jedno gdy mu wróg urąga,
 Przezłocisty swój rodzinny
 Przed cesarzem pierścień ściągą,
 I podnosi rękę w górę,
 I do skrzyni pierścień miota,
 Owo rzekąc:—niechże złoto
 Domieszywa się do złota.

Co zbyteczne Lechji starej,
Chciwość wasza niech zabierze,
Lachom, niech z ojczystych żelaz
Ukowają miecz płatnerze!

Oto, Niemcy, wam wyzwanie!—
Rękawica z brzękiem padła,
Aż połowie cnych Giermanów
Z trwogi w sercu krew się zsiadła.

Teofil Lenartowicz.

43. Kazimierz Wielki.

Przez trzy wieki z męstwa znany
W męstwie Polak miał swe cnoty:
Na koniu burką odziany,
Znosił głód i przykre słoty.

Ugorem stały obszary,
On bił Niemce i Tatary.

Było to widzenie nowe,
Gdy król zwołał do Wiślicy
Polaków plemie marsowe;
Oni w zbrojach i przyłbicy,
Sądząc, że wojować mieli,
Licznemi hufcy stanęli.

Kazimierz rzekł im: «Nie boju
Dziś od was żądam, Polacy!
Czas, byście żyli w pokoju,
I rycerze i wieśniacy.

Niech kraje bronią zajęte,
Uszczęśliwią prawa święte».

To mówiąc, spisane księgi
Z ręki Mielsztyna odbiera:
Pieczęć wisiała u wstęgi.

«Ten zakon—rzecze—zawiera
Przyszłego szczęścia zarody,
Waszą całość i swobody!

Niedość obce ludy gromić,
Czas jest szczęśliwym być w domu,
Zuchwałą przemoc poskromić,
By nie szkodziła nikomu;
Gdzie sądu zwierzchność surowa,
Nie zapłacze nędzna wdowa».

Jak w dzień majowej pogody,
Gdy deszcz ciepły przejmie rolę,
Budząc uśpione zarody,
Żyzne zazieleni pole:
Tak rządem, co mądrość dała,
Zakwitnęła Polska cała.

Przychodzień tłumem się zbiera
Na odgłos lubej swobody,
Już pustynię plug rozdziera,
Wspaniałe wznoszą się grody;
Szereg twierdz, co granic strzeże,
Obronne baszty i wieże.

Nieraz król po włościach chodził,
I nieraz z kmieciem rozmawiał,
Wspierał w pracach, spory godził,
Nagradzał, w błędach poprawiał;
Ceny pochwały nie znano,
Gdy go «królem chłopów» zwano.

Już pod berło Kazimierza
Cisną się blizkie narody,
Zakres się państwa rozszerza:
Ci, co piją Sanu wody,
Wołyń naówczas bezdrożny,
I Lwów, i Halicz przemożny.
Szczęśliw wraca do stolicy,
A lud go wita wesoło,
Radne pany, wojownicy,
Otaczają go wokoło;
Niosły przodem hufce mnogie
Korony i skarby drogocne.

Tam wnuczkę cudnej urody
Z cesarzem śluby kojarzy;
Wzywa na weselne gody
Czterech potężnych mocarzy,
Królów, książąt z Niemiec całych
Mieści po gmachach wspaniałych.
Widziano przepych nieznan
W ucztach, turniejach, gonitwach,
Od piękności dank przyznany
Zwycięzcy w szczęśliwych bitwach:
Kto na ostrze dzielnie godził,
Wśród oklasków z szranków schodził.

Monarchów poczet wesoły
Prosi do siebie Wierzynek.

Od srebra gięły się stoły;
 Każdy biorąc upominek
 Myśli: szczęśliwy kraj cały,
 Gdy tak mieszczanin wspaniały.
 Kazimierz w wieku sędziwym
 Doznał prac tylu nagrody:
 Pod nim naród był szczęśliwym.
 Żyzne pola, pyszne grody,
 Na urzędach ludzie zdatni:
 Takim był z Piastów ostatni!

44. Król Łokietek.

Oto jedzie król Łokietek!
 Co to ludzie o nim wierzą,
 «Że nie w korzec chłopą mierzą».
 Nie wielkiego bywał wzrostu,
 Lecz Piast z Piastów bił po prostu!
 Zarwali się z nim Krzyżaki,
 Otóż dał się im we znaki—
 Otóż huknął nad szołdrami:
 «A bił Niemce, bo Bóg z nami!»
 I jak trzcinę ich wyłożył—
 I djabłowi dusz przysporzył:
 «A znaj szołdro, znaj,
 Że to Piastów kraj—
 W Polskę się nie pchaj!

W. Pol.

45. O Florjanie Szarym.

Szumia lasy, polskie lasy, Krzyżak lasem wali
 Ciężką szablą pobrzękuje, ludzkie siola pali;
 Zmyka zając, podrygając, i słuchami strzyże:
 Oj, nieboże, siedźże w norze, boć tam Krzyżak lizie,
 Szumia lasy, polskie lasy, nasi lasem gonia,
 Podzwaniają szabelkami i w podkówki dzwonia;

Leci górą gołabeczek, prosi Pana Boga:
 Dajże Boże im zwycięstwo, Panienczko droga!
 Ot, jak zwarło się to bractwo, mój ty mocny Boże!
 Wrogi lecą jak brytany spuszczone z obroże.
 Aż tu nasi jeno krzykną: Jezus!... święte słowo.
 I śmignęli, aż się onym zrobiło niezdrowo.
 Król Łokietek naszych wie, hej wojuje setnie,
 Kędy Krzyżak się nawinie, łeb mu duchem zetnie,
 A już jak ci większą siłą zwali się hołota,
 To ich człowiek tak nasieczy, het na przygarść błota.
 Tyle brzęku! tyle szczęku! wali człek na człęka,
 A ten tego, a ten tego w łeb szabliskiem sieka;
 Strach na wrogi pada srogi, jeden, drugi tchórzy,
 Aż i reszta nogi za pas, zmyka, aż się kurzy.
 Oj, aż czarno, tak ci leżą na zielonej łące,
 Hej, a ze krwi się zrobiły potoki płynące;
 Leżą Niemce kute w zbroje, leżą polskie chłopcy,
 Oj, nieżywe jak po żniwie na ściernisku snopy.
 Jedzie sobie król Łokietek między trupy w pole:
 Tyle śmierci, mocny Boże!—aż go w serce kole,
 Patrzy, aż ci jeden leży, brzuch ma rozporany,
 Ręką sobie wewnątrz wpycha do okropnej rany.
 Oj, zasmucił się król wielce, przystanął powoli:
 «Hej, mój miły! toć ta rana pewno srodze boli?»
 «O, nie bolić ona, królu, nie boli tak srodze,
 Jak zły sąsiad, co się z onym het po sądach wodzę».

— Jak się zowiesz?

— Zwię się Szary.

— Weźcie go na mary

I zanieście go do mego namiotu złotego.
 Bądźże zdrowy, mój bojowy, toć się znajdzie rada,
 Żeć cię może ja uwolnię od złego sąsiada.
 Siedzi sobie sroka, siedzi na wierzbini starej,
 Idzie w goście, choć do króla, zdrowy Florjan Szary.
 Król przyjmuje, obejmuje, sadowi na ławy,
 Każe przynieść flaszę wina i królewskiej strawy.
 Razem wina się napili, a król rzecze stary:
 — Setnieś rzezał wrogi nasze, mój Florjanie Szary!
 Toż ci daję do twej tarczy one koźle rogi,
 I trzy włócznie na pamiątkę, żeś tak rzezał wrogi.
 Znowu wina się napili, w szklanki uderzyli,
 A król rzecze: — Jestci rada, wolnyś od sąsiada:
 Weźże sobie oną wioskę, kędyś we krwi brodził,
 A nie będziesz się już więcej ze sąsiadem wodził.
 Siedzi sobie sroka, siedzi na wierzbini starej,

Z królewskiego idzie dworu wesół Florjan Szary;
A i ja tam w on czas byłem, wino z niemi piłem,
Aż się w gębie nie zmieściło, tyle tego było.

Grześ z Mogiły.

46. Królowa Jadwiga.

Oto Jadwiga Królowa!
Wonna róża z Piastów rodu —
A Polska pamięć jej chowa
Jako świętości narodu!
Bo jako anioł ofiary
Ostatnia z rodu na straży
Podparła królów dom stary
I Litwę z Polską kojarzy!
Gdy przywiodła pod Krzyż Pański
Całej Litwy lud pogański,
Pan Bóg przymierze odnowił,
Bo z krzyża do niej przemówił.
Co rzec raczył — tajemnicą,
Ale w łasce Bożej rosła
I tę starą szkołę wzniosła,
Która światła jej krynicą...
Choć ostatnia z Piastów krzewu,
Przecie sławna jest z posiewu
Wiary, światła i miłości,
Co narodom drogę prości.
To też naród ją najczulej
W wielkim ołtarzu pochował,
I tak ją wielce miłował,
Że tron odtąd naszych króli
Na Jadwigi stawiał grobie
I korona siadła sobie...

Wincenty Pol.

47. Zawisza Czarny.

Wśród gór Karpackich, w zamku starożytnym,
Mieszkał rycerz zawołany:

Był on przed laty i sławnym i bitnym,
Lecz dzisiaj wiekiem złamany.
Już tylko dawne wspominając boje,
Patrzył z westchnieniem na wiszącą zbroję.
W starości jedna została otucha:
Syn, w którym miał się odrodzić;
W nim z młodu niecił wojennego ducha,
Uczył, jak na ostrze godzić;
A gdy Zawisza już umiał wojować,
Sam ojciec chciał go rycerzem pasować.
W obliczu ludu, wśród Pańskiej świątnice,
Bierze młodzian cześć rycerza,
Ojciec mu wkłada pancierz i przyłbicę,
I mieczem trzykroć uderza,
I mówi, oręż mu dając niezmierny:
«Broń twej ojczyzny, bądź kochance wierny».
Zawisza Czarny, gdyż z tego imienia
Znany był później u świata,
W ciężkiej koleczudze, nie tknąwszy strzemienia,
Lekko wskoczył na bachmata.
I gdy wesoło wpośród szranków pisał,
Wywijał mieczem, kopiją potrzasał,
Wkrótce się wslawił czyny walecznemi,
I tak śmiałość jego znano,
Że w Niemczech, Włoszech i tureckiej ziemi,
Kiedy kogo wychwalano,
Przysłowiem było bojów towarzyszy:
«*Polegaj na nim, jakby na Zawiszy*».
Obdarzon zbroją, litym złotogłowem,
Do własnych wraca orszaków,
I pod Grunwaldem, i pod Koronowem,
Przeważnie gromi Krzyżaków:
Tam czarny rycerz, łamiąc pyszne hordy,
Siał wszędy postrach i okropne mordy.
Lecz już Jagiello Zofiję ślubuje,
Maż równie hojny, jak śmiały,
Cesarza, królów w domu swym częstuje,
I panów orszak wspaniały.
Ale najtkliwsze wznieciło wspomnienia,
Dwunastu książąt z Piastów pokolenia.
Zygmunt, co wszystkie nadzieje pokłada
W męstwie czarnego rycerza,
Gdy państwa jego Muzułman napada,
Jemu los wojny powierza.

I sam, gdzie Dunaj Gołąbnę oblewa
Z ogromnym wojskiem bystry nurt przebywa,
Ledwie na drugiej stanął cesarz stronie
Gdy ujrzał tureckie hurmy,
I blask księżycy i meże i konie,
I wrzask przeraźliwej surmy:
Na groźny widok trwodze się poddaje,
Wraca za Dunaj i obozem staje.
Lecz wraz postrzegszy, że Zawiszy niema,
Szle poń jedną z swoich łodzi.
Mąż, gońca mierząc srogimi oczyma,
Rzekł: «Zawisza nie uchodzi;
Ci, co się zlekli, ci mogą uciekać,
Polacy wołą chlubnej śmierci czekać.
Koń mój i zbroja!» zawołał na sługę,
Ten podaje miecz niezłomny,
Czarną z srebrnemi gwiazdami kolczugę,
Wkłada mu szyszak ogromny,
Z wierzchołka czuba czarna końska grzywa
Jeży się w górę i na barki spływa.
Tu, tarcz ściskając zbrojnemi rękami,
Podług rycerstwa zwyczaju:
Żegnam was—woła—twarz skrapiając łzami,
«O luba żono i kraju!»
Wtym zniża drzewce, bodźcem konia zwierza,
I samotrzeci na tłumy naciera.
Ta zbroja czarna, okropnie wspaniała,
Ten orzeł wpośród pancerza,
I blask oręża, i postać zuchwała
Zdziwieniem Turków uderza.
Nie na śmierć, pomny na swych poprzedników,
Wpada Zawisza w tłumy zbrojnych szyków.
Gdzie płomienistym orężem zabłyska,
Pod ciosami płytkiej stali
Na Karacenach srebrna łuska pryska,
Padają trupem zuchwali;
Jak groźny Ajaks, lub Achilles śmiały,
Kędy uderzył tysiące pierzchały.
Znużon zwycięstwem, gdy już słabiej władza
I nikną siły mdlejące,
Z okropną wrzawą mściwy Turczyn wpada
I topi mieczów tysiące...
Poległ, a gdy krew dreszcz śmiertelny ścina,
Konając, lubą ojczyznę wspomina.

48. Stefan Batory.

Ledwie Batory osiągnął koronę,
Car Iwan wkroczył do Litwy;
Rewel i Ryga wojskiem obleżone,
Już się zwodzą ciężkie bitwy.
Słyszy to Stefan, gniewem się zapala,
Gromadzi swoich rycerzy;
Jak mórz spienionych wzdęta wichrem fala,
Zwycięski oręż swój szerzy.
Przy królu Bekiesz z węgierską piechotą,
Zamojski z pułki czarnemi
Walczyli, kto się więcej dzielną enotą
I czyny wsławi świetnemi.
Już dziełem męstwa i wojennej sztuki
Połock, Uściata, Newela
I najeżone spiżem Wielkołuki
Poznały swego mściciela.
Radziwiłł, niosąc śmierć i spustoszenia,
Nad ogromną Wołgą staje;
Uczuły ciężar polskiego ramienia
Niezwiedzone dotąd kraje.
Car z gmachów swoich z niewielu stronniki
Widzi rzeź, pogorzeliska,
Patrzy na swoje pierzchające szyki,
Żal ciężki serce mu ściska.
Już go ostatnia czekała zniewaga,
Lud tyrana odstępował;
Wtenczas ugięty, gdy pokoju błaga,
Król polski winę darował.
Jak tylko boje ukończył zawzięte,
Innym się trudem zajmuje;
Wskrzesza nauki, daje prawa święte,
I szczęście państwu gruntuje.
W stolicy Litwy, kędy szczęk oręża,
Kędy trąb razily brzmienia,
Na głos naukom przychylnego męża
Muz dziewięciu brzmiały pienia.
Batory, wszystek dla kraju wylany,
Wrócił Polsce wieki złote;
Przestępstwu srogi i nieubłagany,
Korzył dumę, wznosił enotę.

Dzielnością swoją on mógł był poprawić
Naród pogrążon w swych wadach,
I możne państwo na przyszłość postawić
Na wiekuistych zasadach.

Inaczej gienjusz zawistny narodu,
Inaczej wyroki chciały:
Wśród zbawiennego dla Polski zawodu,
Skńczył dni szczęścia i chwały.

J. U. Niemcewicz.

49. Duma o Stanisławie Żółkiewskim.

Za szumnym Dniestrem, na cecorskim błoni,
Gdzie Żółkiewskiego spotkał los okrutny,
Jechał Sieniawski, odważny i smutny,
W błyszczącej zbroi i na śnieżnym koniu.
Maj właśnie drzewa i kwiaty rozwijał,
Księżyc, w noc cichą świecąc roztoczony,
O srebrne skrzydła i hełm się odbijał,
Lecz rycerz wzdychał, żalem obciążony.
I dumał, alić po bladym promieniu
Błyszczącą widzi stał pomiędzy krzaki:
Był to hełm, na nim w zbyt drogim kamieniu
Herb Żółkiewskiego i rdzy krwawej znaki.
Zdjął go i na tak tkliwe widowisko
Jął mężny rycerz rzewne łzy wylewać,
A widząc srogie walk pobożowisko,
Usiadł i takie rymy zaczął śpiewać:
«Cecorskie pola i wy głuche lasy,
Co na wierzchołkach swych wiatry niesiecie!
Roznieście ciężkie żale me po świecie
Nad wodzem sławnym w wiekopomne czasy.
Mężu! co sławy chęć wyssałeś w mleku,
Zamojski twoje przepowiadał enoty;
Pod jego znakiem w wiosny jeszcze wieku
Słałeś mord srogi w liczne Niemców roty.
Cóż gdy hetmanem zostałeś z rycerza
I świetnym pułkom przywodzić zaczęłeś?
Granice Polski ręka twa rozszerza,
Podbiłeś państwa i już Moskwę wzięłeś.

A gdy się wał wieże niebotyczne
Dawnego grodu, oręż twój gotowy,
Wojska moskiewskie rozproszywszy liczne
Wkłada na carów zwycięskie okowy.
Hetmanie pełen nieśmiertelnej sławy!
Dniu w sercach polskich nigdy niezmazany!
Kiedys z szczęśliwej wróciwszy wyprawy,
Przed zgromadzone stawiał jeńców stany.

Król Zygmunt siedział na tronie, a wkoło
W szkarłatnych szatach poważni ojcowie,
Młody Władysław pozierał wesoło;
Wtym wszedł Żółkiewski, a za nim carowie.

«Królu! narodzić wolny i potężny!
Wiodęć ród carów nieszczęsny, lecz mężny.
Przyjm go nie jako chluby widowisko,
Lecz jak odmiennej fortuny igrzysko.

Bodajby nieba, co nam dziś szczęściły,
Wiodły zwycięstwa za orły polskiem!]
Bodajby wnuki sposoby srogimi
Za krzywdy przodków nigdy się nie mściły!
Ty Władysławie, byś jej klęski słodził,
Moskwę przeze mnie śle poddaństwa śluby;
Rządź nią, lecz wspomnij, kędyś się urodził,
Niechaj ci kraj twój zawsze będzie luby!

Tak mówił hetman: — Któżby rzekł, że chwile
Tak świetne w ciężkie zamienią się klęski?
Że, nie mogąc się Turków oprzeć sile,
Szanowną głowę da pod miecz zwycięski!

Obóz mu cały wśród łez i rozpacz
Wyniósł grobowiec i zwłoki w nim schronił,
Na nim ten napis śmierć i cnotę znaczy:
«On piersi swemi ojczyznę zasłonił».

Ty, drogi hełmie, skronie mu wieńczyłeś
I włos zsiwiał na pracach ojczyzny,
Ty w bitwach młodym rycerzom świeciłeś,
Tyś mu na czole krył szlachetne blizny.

Przysięgam, że cię na głowę nie włożę,
Aż nieprzyjaciół krwią mego nie zmyję,
Aż cieniem wodza ofiary nie złożę,
I pół cecorskich trupem nie okryję.
A tak Sieniawski każdy bój stoczony
Chciał, by dla niego był chwałą lub zgubą;

Dotrzymał słowa i, laurem wieńczony,
W ogromnym hełmie stanął przed swą lubą.

J. U. Niemcewicz.

50. Stefan Czarniecki.

W szlachetnym domu, znanym tylko z cnoty,
Dzielny Czarniecki się chował;
Z dzieciństwa pełen wojennej ochoty,
Braci swych hufce szykował.
A kiedy słyszał, jak męstwo chwalono,
Żądze do bojów czuł niepowściągniętą.
W Kazanowskiego zaczął służyć znaku;
Ubiór jego niebogaty;
Z kopją w rękę, w żelaznym szyszaku,
Jeździł na podsłuch i czały
Acz młody, w bitwach sławą się ozdobił,
Bo gdzie się ruszył, nieprzyjaciół pobił.
Na Ukrainie, ochoczy i śmiały,
Przyszedł pod Monasterzyska;
Z gołemi piersi wpadł pierwszy na wały
I wszędy mieczem połyska;
Gdy twarz mu ciężkim postrzałem przeszyto
Krwiaż zany pyta: *a miasto zdobyto?*
Nie było walki w tych krwawych zapasach
Bez Czarnieckiego pomocy;
Okryty burką, w słotach i niewczasach
Trawił w boju dnie i nocy;
A żona, słysząc, jak często krew leje,
Czcząc bohatera, o męża truchleje.
On jeden Szwedów najazdy hamuje,
W zamku krakowskim zawarty;
Tysiączne szturmy mężnie wytrzymuje,
Szwed nieraz z klęską odparty;
Ściśniony głodem gdy bramy otwiera,
Gustaw oglądać pragnie bohatera.
Wkrótce z rycerstwem, pod znaki zebrany,
Szybkiej błyskawicy lotem
Tu Szwedów schodzi i gromi nad Sanem
Owdzie niespodzianym zwrotem
Rzuca się z koniem wpław, rzekę przebywa,
Uderza, pole trupami okrywa.

Nie liczy Szwedów, ale gdzie są?—pytał,
Z hufcem rycerzów dobranych
W Rudniku ledwie Gustawa nie schwycił.
Znowu mszcząc się krzywd zadanych,
Wpada w Pomorze, najeźdźników płoszy
I kraj ten ogniem i mieczem pustoszy.
Zaniósł Czarniecki w pamiętnej wyprawie,
W obcą ziemię Polski chwałę,
Przez wały morskie na wątpliwej nawie
Prowadzi szyki zuchwałę;
Dziwią się ludy, jak odwaga męża
I nieprzyjaciół i burze zwycięża.
Im więcej Polskę los srogi ciemnił,
Tym więcej wzbudzał rycerza;
Wszędzie przytomny, tu Moskwę zwyciężył,
Tam Rakoczego uśmierza,
I nigdy dzielnej nie składając broni,
Znosi Kozaków lub Tatarów goni.
Po tylu trudach, pełen pięknej sławy,
Gdy miał zasiadać w senacie,
Z dzielnym rycerstwem przybył do Warszawy,
W rysiach i bisiurnej szacie;
Prowadził łupy, jeńców znakomitych,
I sto piętnaście chorągwi zdobytych.
Gdy pułk Holzacki zbliżał się do bramy,
Suknie miał stare, wytarte;
W twarzach postrzały i głębokie szramy
Świadczyły bitwy uparte;
Król mu dziękował za wierność stateczną,
Lud okrzykami witał młódź waleczną.
Już osiwały w trudach obozowych,
Kiedy nad Dniepr przybywa,
I mieczem bunty uśmierza Koszowych,
Ciężka go niemoc porywa;
Po drodze starzec, laurami wieńczony,
Na słomie w wiejskiej lepiance złożony.
Tu mu od króla list przynosi goniec,
Z buławą dla wojownika.
Wódz rzekł:—„Ta łaska, kiedy życia koniec,
Już mię zapóźno spotyka!“
Lecz widział Polak, że i bez buławy
Można zwyciężać i dobić się sławy.
Już blizki zgonu, rzekł: „Niech koń mój biały
Wnijdzie jeszcze do tej chaty.“
Wstępuje rumak: rząd na nim wspaniały

I obok tarczy buzdygan bogaty,
 Siodło sajdaków pyszne dźwiga brzemię,
 Lecząc widząc pana, głowę spuścił w ziemię.
 Wódz rzekł do giermków: „Dla mojego wnuka
 Niechaj się koń ten zachowa,
 Niechaj rycerskiej sławy na nim szuka,
 Niechaj pamięta te słowa:
 Kto kraj swój kocha i Boga się boi,
 Ma szablę, konia,—o resztę nie stoi.“

J. U. Niemcewicz.

51. Jan III.

Przed kim Osmana uległa potęga,
 Kto świeżym laurem czoło swe ozdobił,
 Ten po najwyższą godność śmieie sięga,
 Wart berła, kto się mieczem berła dobił.
 Trapił bezbronną Polskę Turczyn dziki,
 Płoneły miasta pożarem i dymem,
 Kiedy Sobieski, z nielicznymi szyki,
 Zniósł bisurmańskie hufce pod Chocimem,
 Jeszcze nie otarł szabli krwią oblanej,
 Aż już nieszczęsny Michał żyć przestaje.
 Sobieski, chlubny z tak świetnej wygranej,
 Z zwycięskim wojskiem w polu obrad staje.
 Wielu się książąt o tron ubiegało,
 Świetnych potęgą i licznym orszakiem,
 Ci rodem.—Jan nasz jaśniał tylko chwałą,
 Umiał zwyciężać, był naszym rodakiem.
 Już z wodza królem, rządząc dwa narody,
 Szkodliwe błędy zamyśla naprawić,
 Lecz gdy w tym znalazł niezłomne przeszkody,
 Zostało tylko orężem się wślawić.
 Kara Mustafa, tłum Turków zawzięty,
 Groźnie się zbliżał ku wiedeńskim szancom.
 Uciekł Leopold, bojaźnią przejęty,
 Stolicę na łup wydaje pohancom.
 Tu posel jego, widząc króla Jana:
 „Ratuj—zawołał—i Wiedeń i państwo!“
 To mówiąc z płaczem upadł na kolana,
 A legat przydał: „Ratuj chrześcijaństwo!“
 Bohater, tknięty głosem potrwożonych,
 Sam śpiesznie wiedzie swe hufce dobrane,

Już na Kalbergu, w oczach obłęzonych,
 Widać proporców lasy nieprzejrzane.
 Jak orzeł, kiedy w dole zoczy zwierza,
 Lotnym się szybem z pod obłoków ciska,
 Z tym pędem wojsko Polaków uderza
 I szablą w pośród nieprzyjaciół błyska.
 Rozprasza tłumy rycerstwo skrzydlate
 I Mahometa chorągiew wydziera.
 Zdobywa obóz i łupy bogate,
 A Wiedeń bramy zwycięzcom otwiera.
 Wjeżdża Jan Trzeci z swojemi hetmany,
 W pośród radosnych pospólstwa okrzyków;
 Gdzie się pokazał, wszędzie głos słyszany:
 „Oto nasz zbawca, pierwszy z wojowników!“
 Niechętnie cesarz dobroczyńcę wita,
 W licznym orszaku jadą z nim dworacy,
 Szata ich złotem i perłami szyta,
 Przy królu zbrojno na koniach Polacy.
 Odmienne były monarchów postacie,
 Chciał cesarz mówić, lecz gdy słów nie stało,
 Rzekł mu król polski: „Rad jestem mój bracie.
 Żem ci uczynił tę przysługę małą.“
 Król, co tak dzielnie postąpił w tej sprawie,
 Nie znalazł później wdzięczności zapłaty;
 W każdym przymierzcu i w każdej wyprawie,
 Nie widział tylko zawody i straty.
 Wśród trosków wolnej chcą używać doby,
 Gdzie Wisła raz się okaże, znów chowa,
 Zgromadza głazy i świetne ozdoby
 I wznosi pyszne gmachy Wilanowa.
 To było jego najmiłsze ustronie;
 Tam słodząc troski zbyt przykrych niedoli,
 Z swym Jabłonowskim, lub w uczonych gronie,
 Chodził pod cieniem odwiecznych topoli.
 Tu umarł,—a jak słońce u zachodu
 Jaśniejszym ziemię oświeca promieniem,
 Tak i Jan dzielnie wzniosł sławę narodu,
 Nim Polska smutnym okryła się cieniem.

J. U. Niemcewicz.

52. Giermek.

Złoci wieczór łan Podola;
 Ciągną wojska, tabor, wozy;

Tętnią całe lasy, pola,
 Stoją groźne dwa obozy:
 Z jednej strony sztandar wiary,
 Siwy hetman, młodzież dziarska;
 Z drugiej wściekłość, krew, pożary,
 I straszliwa czerń tatarska.
 Jutro, jutro z rannym brzaskiem
 Dzień gonitwy, dzień rozprawy.
 Słońce krwawym zaszło blaskiem;
 Bój to będzie straszny, krwawy.
 Ledwie pierwszy mrok zapada,
 Polski hetman kord przypasze,
 Z młodym giermkim na koń siada
 I objeżdża czaty nasze.
 Jedzie—patrzy w obóz dziczy,
 Słucha gwaru, rżenia koni,
 Pyta zważa, ognie liczy
 I już w myśli łamie, goni.
 O! nie ciesz się wodzu stary:
 Zmienne wojny są koleje,
 Nie tak łatwo to z Tatary;
 Słuchaj, patrzaj, co się dzieje!
 — Hura! hura!—pędzi horda,
 Nocny napad w obóz leci;
 Giermek za broń, wódz do korda;
 — Na koń! woła, na koń, dzieci!
 Śpieszą, biegną do swych szyków,
 W pośród nocnych pędzą cieni,
 Gdy wtym z grzmotem nowych krzyków
 Zewsząd czernią otoczeni.
 Tną i walczą na przebicie:
 Rąbie hetman, giermek łamie,
 Całą młodość, ogień, życie
 W wojujące przelał ramie.
 I już słyszą, słyszą w dali,
 Jak nadbiega polska wiara;
 Ale już ich nie ocali,
 Już nie wyrwie z rąk Tatara.
 Wzięty giermek, hetman wzięty;
 Krzyczy, huczy, motłoch dziki,
 Bucha gniewem chan zacięty,
 Patrząc na swe niewolniki.
 Wre i zemstą ryczy srogą;
 Każe jednym skuć żelazem

Nogę giermka z wodza nogą]
 I tak obu więzić razem.
 Smutnie wzrok ich wzniósł się, zwrócił
 Na wysokie gwiazd sklepienia;
 Ale na cóżbym wam nucił
 Ich boleści, ich marzenia?
 Kto w półdzikim, podłym tłumie
 Nie włókł ciężkich lat niedoli,
 Nie—nie pojmie nie zrozumie,
 Jak jest gorzkim chleb niewoli!
 Zasnął hetman siwobrody,
 Zasnął, jakby między swemi;
 Nie śpi, czuwa giermek młody
 Długo o swej duma ziemi.
 I łza tryska mu z żrenicy,
 Żal i rozpacz serce tłoczy,
 Gdy wtym nagle w swej ciemnicy]
 Zapomniany topór zoczy.
 Patrzy, duma, drży i marzy,
 Serce szczytnym ogniem płonie,
 Wielki w duszy zamiar waży,
 Topór w obie chwyta dłonie.
 I podnosi rękę śmiałą,
 Mężnie ku swym pętom zwróci,
 Tnie—odcina nogę całą
 I hetmana swego cuci.
 Wolnyś,—rzecze;—straż zaspana:
 Uchodź, ocal twą krainę,
 Śpiesz i pobij wojsko chana!
 Ja z radością tutaj zginę.—
 Powstał hetman i wzniósł dłonie,
 Rzewnemi się łzami zalał,
 Żegnał, Boskiej zdał obronie,
 Ścisnął, uszedł i ocalał.
 I straż nagle z snu się zrywa,
 Wieść ucieczki wodza szerzy,
 I sam wreszcie chan przybywa
 I zaledwie oczom wierzy.
 Długo, długo wzrok swój wryty
 W śmiałych topi mu żrenicach,
 Stoi, jakby gromem zbity,
 Po dostojnych czyta licach.
 I odpycha wszystkie straże;
 Cnota dzikość zwyciężyła,

Każe leczyć, darzyć każe
 I do Lachów go odsyła.
 W świetnym dworzan, wodzów gronie,
 Szkarłatnemi szaty odzian,
 Siadł król polski na swym tronie,
 Wdzięczny przed nim stanął młodzian.
 W miejscu nogi, prosta kula
 Ujmującą postać wspiera,
 I dwór cały się rozczula,
 Z szmerem dziwu nań spoziera.
 I dwaj wiodą go rycerze
 Kornie przed tron przystępuje:
 Król z wezglowia szczerbiec bierze
 I rycerzem go pasuje.
 Gdy wtym z pośród wodzów koła
 Hetman nogę niesie złotą:
 — Oto herb twój!—król zawoła—
 Wysłuszony twoją enotą.

Franciszek Morawski.

53. Zgon konfederata.

Obozem hufce stanęły na błoniach
 Spocząć; Pułaski poglądał na morze:
 Złote się gwiazdy migotały w toniach
 I rubinowe kąpały się zorze;
 Fala za falą wstawiała z zwierciadła
 I szła i do nóg wodzowi się kładła.
 Jeden z nim tylko druh konfederacki
 Poszedł za morza, na wspomnienia smętne.
 Na bojach żywot leci mu tułacki;
 Szkaplerz położył na serce namiętne,
 A w rękę szablą, grom na wrogów głowy,
 Szablą z Najświętszą Panną z Częstochowy.
 Już świt. Już wrzasły trąby ostre głosy,
 Słońce wnet błysło na morze i błonia;
 Pułaski szablę otarł z rannej rosy,
 Przeżegnał piersi i wskoczył na konia;
 Mgła się po ziemi rozścieliła ranna,
 Wódz pomknął, za nim grzmiało: «Na Savannah!»
 Lecz jechał smutny i do towarzysza
 Mówił o swoim zgubionym szkaplerzu:

«Wkrótce, mój bracie, będzie w sercu cisza,
 «I drobna prochu garść po twym Kaźmierzu.
 «Zły znak!... Duch czuje drogę, bracie miły!...
 «Jam się spodziewał w ojezyźnie mogiły.»
 «Bez sakramentów zginę!... Bądź Twoja wola!...»
 Rzekł—a Savannah już mu widne z dali;
 Czwałem więc z jazdą kopnął się na pola,
 Kędy Anglicy szeregiem stali
 I usypane reduty ze szańców
 Siały kartaczów gradem na powstańców.
 I w porę przypadł, bo pod jego wzrokiem
 Wrzała już bitwa zacięta wśród łąk,
 Już szli Anglicy wyciągniętym krokiem
 Z bagnietem w rękę na Amerykanów;
 Wnet jedna chwila los bitwy przeważy...
 A jemu zapal zajaśniała twarz.
 «Naprzód!»—i w dwieście poskoczyli koni,
 Za bohaterem lecieli na działa,
 Wiatr ich zaledwie dościgał na błoni,
 Szable migały w słońcu, ziemia drżała...
 I przełamali Anglików dwa fronty—
 A wtym błysnęły na okopach lonty.
 Zagrzmiało... «Jezus, Maryja!» wódz krzyknął
 I padł—zwycięzca padł na polu chwały
 I skonał śmiercią, do której przywyknął;
 I leżał z szablą swą jak posąg biały,
 I Bóg mu rozlał na obliczu ciszę...
 W koło płakali druh i towarzysze.
 I usypali mu grób pod Savannah,
 I krzyż na grobie zatknęli brzozywy:
 Niech cię przed Boga wiedzie święta Panna,
 Tak jak ty w taniec wodziłeś bojowy.
 A módl się za nas, niech nam Bóg obudzi
 Takiego jak ty pośród wiernych ludzi!

Mieczysław Romanowski.

54. Karliński.

Pod Olsztynem obozem wkół leżą
 Księcia Maksa wojenne szeregi.

Raz i drugi do szturm uderzą,
 Lecz się łamią jak fala o brzegi.
 Zdobyć twierdzy obronnej nie mogą,
 W niej Karliński dowodzi załogą.
 Więc na sioło przyległe napadli,
 Na wieś wodza załogi fortecznej.
 „Ach, spalili ci dom, i wykradli
 Twoje dziecko, o wodzu waleczny!
 Twego synka, niemowlę w pieluchach,
 O złocistych na główce swej puchach!
 Twoje dziecię z piastunką, co płacze,
 Zapędzili pod mury Olsztyna!”
 I mówiły te dusze żołdacze:
 „Olsztyn w ręce da nam ta dziecina.
 Więcej zdziała od naszych oręży,
 Serce ojca wnet wodza zwycięży.”
 Przypadł goniec pod okop zamkowy
 I zatrafił pokoju sygnałem;
 Z dzielnym wodzem zażądał rozmowy
 I odezwał się słowem zuchwałem:
 „Otwórz bramy przed armją niemiecką!
 Oddaj Olsztyn—lub zginie twe dziecko!”
 Skroń wodzowi oblała się potem,
 Zblednął, zgrzytnął, boleścią rozdarty;
 Serce biło o pancerz jak młotem,
 Długo, milczał na szabli oparty.
 Nagle cały się wstrząsnął gwałtownie
 I zawołał: „Nie oddam warowni!”
 Ha! do szturm już biegną ich rotty!
 A jak biała chorągiew na przedzie
 Świeci dziecię, aniołek ten złoty.
 Czyż do boju szatanów tych wiedzie?...
 A głos w dzikim rozlega się gwarze:
 „Przecież strzelać do syna nie każe.”
 Lecz dowódca stał niemy na wałach;
 Oko żarem straszliwym mu świeci,
 Bombardjery na hasło przy działach
 Oczekują... Wódz nagle lont chwyci—
 Błysnął płomień, padł wystrzał armatni,
 Padł od strzału syn jego ostatni.
 Wszystkie działa ryknęły wystrzałem,
 Huczą pieśnią zniszczenia straszliwą,
 Dymy gęstym rozsiadły się waleń,
 Napastnicy nie ujdą stąd żywo!

Pod czarnemi fortacy murami
 Całe błonie zasłane trupami.
 I jak oko daleko zasięże,
 Pod Olsztynem nie widać już wroga..
 Wojownicy otarli oręże;
 Ale milczy zwycięska załoga,
 Dziś nie pora okrzyków wesela,
 Wojsko wodza żałobę podziela.
 On mileżący wciąż stał przy armacie;
 Długo patrzył na krwawy plac bitwy.
 Czy skamieniał po wielkiej swej stracie?
 Czy w ciche utonął modlitwy?
 Spojrzał w niebo, potym głowę skłonił
 I twarz rękami zasłonił..
 Stoi orszak rycerzy szlachetny,
 Lecz nikt nie śmie przerywać tej ciszy,
 Wtym się zwrócił, on, ojciec bezdzietny,
 I do swoich rzekł towarzyszy:
 „Wyście świadkiem, mężowie olsztyńscy,
 Że tak poległ, jak wszyscy Karlińscy.”

Adam Pajgert.

55. Powrót konia.

Kurz się drogą bałwani,
 Świat tumany cienia;
 Jada, jada ułani
 Sandomierską ziemią.
 Białe na nich wyłogi:
 Dyć to pułk nam znany!
 A gdzież Jonek z Ożogi?
 Gdzie nasz brat kochany?
 Wszyscy święci anieli!
 Cały pułk już minął—
 Gdzieście brata podzieli?
 „Zginał!”—rzekli—„zginał!”
 A wtym znowu ktoś jedzie:
 Dwóch ułanów czesze;
 Jeden konia z nich wiedzie,
 Drugi ognia krzesze.
 Koń się szarpnął przed górką,
 Zarżał, urwał wodze

I co wyskok w podwórko
 Poleciał po drodze.
 O dla Boga! dla Boga!
 Skądże go to macie?
 Wszak to konik z Ożoga,
 Konik po mym bracie!
 Oj sierotą już chata,
 Kiedy on zabity!
 Gdzieżeś podział mi brata,
 Koniu jabłkowity?“
 A obadwa ułani
 W podwórko przybyli
 I obadwa stroskani
 Na dziewczkę patrzyli.
 „Zatrzymajcie go sobie!
 Nikt go wam nie bierze,
 Oj wasz Jonek już w grobie—
 Tu jego szkaplerze!
 Jam je zabrał z szczerości,
 Bo legł od Moskala,
 A tych naszych świętości
 Niechaj wróg nie kala!
 Możeć moje szkaplerze
 Da tam kto ojcowi!
 No, niech Bóg was tu strzeże—
 Bywajcie nam zdrowi!“

W. Pol.

56. U stóp pomnika Mickiewicza.

Że z nas powstałeś i dla naszej chwały
 Struny twej lutni tak potężnie grały,
 Że miłość ku nam wplotłeś w własne życie,
 Odlany w śpiżu, wsparty na granicie,
 Jak dąb stuletni na tej ziemi wzrosły
 Stanąłeś taki wielki i wyniosły.

Nieśmiertelnego twego ducha czczono
 I wtedy—kiedy w obcej ziemi lono
 Kładli tve szczątki i wtedy, gdy one
 W prastarym grodzie zostały złożone,
 I dziś, gdy naród jedna myśl przenika,
 Oddać wieszczowi hołd u stóp pomnika.

I oto słyhać szmery tajemnicze
 Tłumów, co płyną tu wezbraną falą,
 Aby zobaczyć szlachetne oblicze,
 Podsycić znicze, co się wkoło palą
 I chwytac uchem wibrujące tony
 Tego, co cierpiał i czuł za miljony.

I co przynieśli, o wieszczu jedyny,
 Ci wszyscy, co się dziś do ciebie garną?
 Czyli twe myśli przyoblekli w czyny,
 Czyli z twych siewów wydobyli ziarno?
 I czy pragnienia w twych księgach zawarte
 Wtłoczyli w życia powszedniego kartę?

I czy ich serca biją w takt pochodu,
 Co uporczywie od tyłu stuleci
 Ku zrumienionym widnokręgom wschodu
 Dąży i ufność w ludzkich piersiach nieci.
 I czy ten orszak świetlanego dwora
 Dziś jest liczniejszy, niżeli był wczora?

Z źródła miłości, co wiecznie wytryska,
 Czyli ich dłonie nie czerpią leniwie?
 Czy do wielkiego schodzą się ogniska
 Lub przy dymiącym zbłąkani łuczywie—
 Czy z odrętwienia, lub też chęci braku
 Nie mogą znaleźć przydrożnego znaku?...

I czyli młodość nakreśliła koła
 Złote, przez ciebie wymaganej próby,
 Czy z gwiazd koroną u białego czoła
 Niesie znamiona potęgi i chluby?
 I czy się ramię do ramienia zbliża
 W myśl poświęcenia bijącego z krzyża?

I czy serdecznie pieśń rozkolysana,
 Kiedy za życia twym marzeniem całym
 Było ją słyszeć pod strzechą włościana—
 Jako zwiastunka świtu brzmi hejnałem?
 Czy tam myśl z pracą w jedną całość zlane
 Goją powoli jęczącą się ranę?

Cisza... O! wielki arcymistrzu słowa,
 Niejedna spadnie tu łza brylantowa...
 Niejeden zastęp ludzi się przerzedzi,
 Nim uwolniony świat z pleśni i śniedzi

Wzniesion na skrzydłach cudotwórczej pieśni
Twe ideały wielkie ucieleśni.

W. Doroszewicz.

57. Wąwóz Samosierry.

A czyż to imię,
Rozlega się sławą?
Kto walczył za Francję
Z Hiszpanami krwawo?

To konnica polska,
Sławne szwoleżery
Zdobywają cudem
Wąwóz Samosierry.

Już francuska jazda
Cofa się w nieładzie,
Pod śmiertelnym ogniem
Wół trupów się kładzie.

A wtym Napoleon
Na Polaków skinał:
Skoczył Kozietulski,
W czwórki jazdę zwinął.

Na wiarusów czele
Jak piorun się rzucił,
Wziął pierwszą baterję,
Ale już nie wrócił.

Skoczył Dziewanowski,
Jak piorun się rzucił,
Wziął drugą baterję—
Ale już nie wrócił.

Skoczył Krzyżanowski,
Jak piorun się rzucił
Wziął trzecią baterję—
Ale już nie wrócił.

Jeszcze się została
Ta baterja czwarta...
Bronią jej Hiszpanie
Walka wre zażarta.

Niegolewski młody
Spiął konia ostrogą—
— Może stracę życie—
Lecz przedam je drogo!

Jak wicher się rzucił,
I jak błyskawica
A za nim, jak burza
Ta polska konnica.

Już biorą armaty,
Już tną kanoniery,
Już wzięli Polacy
Wąwóz Samosierry!

Niegolewski ranny
Z konika się chyli—
Napoleon do piersi
Orła mu przyszpili.

I rzecze ściskając
Rannego junaka:
— Niema niepodobnej
Rzeczy—dla Polaka!

J. Sawa.

58. Kto dla siebie pracuje.

Kto dla siebie pracuje, ten siły utracą,
Ręk jego, jego ramion znikoma jest praca,
A wicher czasu, lecąc szeroko po świecie,
Przędę ową pajęczą uniesie i zmiecie.

Kto dla drugich pracuje, ma moc za miliony—
Rośnie w siłę, jak olbrzym o ziemię rzucony:
Czas mu cegły podaje, utrwała budowę,
I kładzie na jej szczycie swe piętno wiekowe.

Marja Konopnicka.

59. Kmieć i Merkury.

Ufając sobie w boskiej opiece,
Kmiotek drwa łupał przy rzece.
Uskoczy w wodę siekiera.

Podniósłszy ręce ze łzami:

«Jakże—zawoła—los mną poniewiera!
Nie dość ciężkimi znosić mię trudami.

Ostatni jeszcze sposób mi odbiera
Cóż teraz pocznę? o nieba!

Czym zarobię na kęs chleba?

Alić (o cudo!) z ponadbrzeżnej góry
Spuści się razem Merkury,
Bożek ludzi utrapionych

I patron rzeczy zgubionych.

Z ulitowaniem: Cóż ci to? — rzecze—
Czego tak płaczesz, miły człowiecze?

«Nie wiem—odpowie—z jakiej przygody
Siekiera wpadła mi do tej wody,
Ostatni sposób życia straciłem:

Z niej tylko żyłem!»

Tu Merkury nurkiem sięgnie,
Siekierę złotą wyciągnie.

«A co?—spyta się—czy twoja?»

«Nie—mówi—nie, to nie moja».

Srebrną potym wydobędzie:

«Może ta będzie?»

«Nie ta». Tu za trzecim razem
 Dobywa drewno z wsadzonym żelazem.
 «To jest ta!» skoczy i, czyniąc podziękę,
 Boską całuje mu rękę.
 Bożek, cnotliwą tknięty prostotą,
 Wziąwszy zarazem srebrną i złotą,
 Rzekł mu: «Człowiecze szczerzy!
 I te miej sobie siekiery».
 Oddawszy zniknął, a kmieć w radości
 Uniesie za nim ręce z wdzięczności.
 Gdy takim darem bogaty,
 Począł się chlubić przed swojemi bratyi;
 Gdy opowiedział, aż do zazdrości,
 Boskiej nad sobą cud opatrności:
 Jeden z nich także postanowił sobie
 Użyć fortelu w podobnym sposobie.
 Nie mówiąc o tym nikomu,
 W toż samo miejsce zaszedł pokryjomu.
 A co pierwszemu trafi się z przygody,
 Umyślnie wrzucił siekiere do wody.
 Zaczął płakać, ręce łamać.
 I przed całym niebem kłamać.
 Przybył Merkury z równą ochotą;
 Siekiere naprzód wyciąga złotą;
 «Mój przyjacielu! czy to ma być twoja?»
 A on, z radości wyskakując, krzyknie:
 «Ach! moja właśnie, moja to jest, moja!»
 Taka bezczelność bożka przeniknie.
 I rzekł Merkury ku wszystkich nauce:
 «Brzydę się sercem podłego przechery!
 Nie tylko ci tej nie oddam siekiery
 Ale i tamtej nie wrócę».
 A tak, co zdradą radby się zbogacił,
 I złotej nie wziął i żelazną stracił.

F. D. Książnik.

60. Pszczółka.

Oj, niezła to dola
 I pszczółką być małą

Okrażać swe pola
 Wytrwale, nieśmiało!
 Jej latem i wiosną
 Czas bieży, jak woda —
 Przy pracy radosno,
 Przy słońku swoboda.
 Uroczą i cicha
 Wśród wiejskiej zagrody,
 Z kwietnego kielicha
 Pożywne ssie miody.
 Co zbierze i zgarnie,
 Do piersi przytula
 I niesie ofiarnie
 Do matki, do ula.
 Nie zbliży się do niej
 Swawolne pacholę,
 Bo pszczołka dogoni
 I żądłem ukole.
 Obiegaj zagony,
 Robaczku ty Boży,
 A ciche twe plony,
 Bóg łaską rozmnoży.
 Ziół nie brak w te czasy,
 Wydają ich siła
 Ugory i lasy
 I cicha mogiła.
 Twa praca wytrwała
 Niech sennych rozbudzi!
 O pszczołko ty mała,
 Bądź wzorem dla ludzi.

S. Duchńska.

61. Mrówka i pszczoła.

W jesiennej porze, gdy straszna nawala,
 Całe zniszczyła mrowisko
 I, jak wieść niesie, dwa tysiące blisko
 Mrowiego ludu załaza:
 Jedna z nich, biedna, płynąc przez czas długi
 Na drobnej słonce jakby Noe drugi,

Gdzieś się tam na brzeg wywlokła,
A szczęsnym pszczółkę napotkawszy losem,
Zziębła, drżąca, głodna, zmokła,
Takim zapłakała głosem:
«Posił mię, posił, pszczółko dobra, tkliwa!
Patrz, jak jestem nieszczęśliwa:
Nie mam i jutra czym dożyć.
Nikt na litości nie traci,
Niebo ją stokroć odplaci;
A i ty możesz zubożeć!
Wesprę cię wówczas, jak ty mnie w tej dobie,
Bo jak ty drugim, tak i drudzy tobie;
«Wymowną jesteś—pszczółka jej odpowie;—
Lecz kiedy taka boleść cię przenika,
Przypomnij sobie biednego konika,
Co także w pięknej wymowie
Twej się litości domagał;
Wszakże o ziarnko tylko błagał,
A ty nie tylko, żeś mu nic nie dała,
Jeszcześ mu skakać kazała!»
Mrówka się łzami w swym zalewa wstydzie,
Zwraca się, milczy i umierać idzie,
Kiedy z natury swej pocziwa pszczoła
Tak ją odwoła:
«Wróć, wróć—nie chciałam z twojej szydzić biedy:
Przybliż się, zasil w potrzebie,
Lecz jeśli znowu z bogacisz się kiedy,
A nędzarz przyjdzie do ciebie,
O, niechże prośbą nie błaga daremną!
Nie gardź tą niebios przestroga:
Pomnij, że i ty płakałaś przede mną
I jak on byłaś ubogą».

F. Morawski.

62. Osieł i lis.

Tak się raz osieł dąsał,
Tak się też z innych natrząsał,
Taki był pyszny zuchwały,
Że go inne nie poznały;

Pojać nie można było,
Co mu się zrobiło.
Nakoniec wszystkim dowodził,
Że się szlachcicem urodził,
Dwie godziny o tym gadał.
Powiadał,
Co to miał za przodków sławnych,
Jak niezmiernie dawnych.
Wyliczał lata za laty,
Jak się ciągnęły jego antenaty *)
Jak się wznosiły do góry,
Coraz w większą sławę rosły,
Jakie to były głowy i figury,
Co to były za osły!
A lis mu na to:—Jakżeś nierozsądny,
Zawsze twoich chwalisz przodków,
I ty nie jesteś z wyrodków,
I z ciebie osieł porządny!

Fr. Morawski.

63. Zajac i żaba.

Szarak, co nieraz bywał w kłopotach i trwogach,
Nie tracąc serca, póki czuł się rączy,
Teraz podupadł na nogach,
Poczuł, że się źle z nim skończy.
Więc jęknął z głębi serca: «Ach, nie masz pod słońcem
Lichszego powołania, jak zostać zajacem!
Co mię w dzień pies, lis, konik, kania,
I wrona
Nawet i ona,
Jak chce tak gania.
A w noc gdy drzemie, oko się nie zmruża,
Bo lada komar brzęknie przez siatki pajęcze,
Wnet drży me serce zajęcze,
Tchórzac tchórzliwiej od tchórza.
Zbrzydło mi życie, co jest wiecznym niepokojem,
Postanowiłem dziś je skończyć samobojem.

*) antenaty—przodkowie.

Zegnaj więc miedzo, lat mych wiośnianych kolebko!
Wy, kochanki młodości, kapusto i rzepko.
Pożegnałnemi łzami pozwólcie się skropić.
Oznajmuję wszem wobec, że idę się topić».
Tak z płaczem, gdy do stawu zwraca kroki słabe,
Po drodze stąpił na żabę.
Ta mu jak raca, drgnąwszy z pod nóg szusła
I z góry na łeb w staw plusła.
A zając rzekł do siebie: «Niech nikt nie narzeka,
Że jest tchórzem, bo cały świat na tchórze stoi;
Każdy ma swoją żabę, co przed nim ucieka
I swojego zajączka, którego się boi».

Adam Mickiewicz.

64. Osieł i pies.

«Jeżeli chcesz ośle, by pies kochał ciebie,
Kochajże ty psa», słowa są Lokmana.
Rozumiał je nasz osieł, boć już nie był źrebie,
Ale z nich drwił. Ta lekkość jak była skarana,
Opowiem dla was, bydląt potomnych, nauki:
Ten osieł, nosząc jak zazwyczaj juki,
Szedł w ślad za panem, a za nim z tyłu
Mający nad jukami i bydłociem dozór,
Ledwie widny w kłębach pyłu,
Biegł pies wywiesiwszy ozór.
Bogdaj takich dozorców. Przez drogi czas wszystkich
Nie tknął się swego podwładnego lytek;
Owszem, bawiać go, to z boku harcuje,
To się naprzód wysforuje,
Ogonem wciąż dla zachętu
Krętu — wētu...
Szli tak aż do południa. Pan na skwar narzekał,
Siadł pod drzewem i zasnął. Tegoć osieł czekał.
Obejrzał się i naprzód darń przy drodze siekał,
Potym podstrzygać zaczął czubek miedzy;
Nakoniec przez rów hopsa!
Widzi się w łące, jakoś mimo wiedzy.
Nie znalazł—ci tam przysmaków
Chwastowiska ni bodziaków,

Lecz koniczyny do pasa.
«Będziesz się miała z pyszna! Tylko ty człowiecze
Zmiłuj się, śpij!» Tak westchnął i siecze a siecze.
Psu oskoma i pokusa:
«Mój osłasiu, od rana jestem naczecz, mdli mię...
Ty masz wędzonkę w jukach, aż stąd czuć po dymie,
Pozwól, że dam jej całusa!
Wiesz, jak zrobimy? Ja stanę na łapy dębkiem,
A ty przykleknij na jedno kolano».
Nasz egoista, jakby do muru gadano,
Siecze a żuje, milcząc. Aż wreszcie półgębkiem
Wypchanym konieczyną: «Co się tu wałęsasz?
Poszedłbyś psie, do nogi. Jak jegomość wstanie,
Da ci śniadanie».
Odpowiedzi nie czekał. I obuszczał znowu
Tak zarwał trawy, że aż wygryzł w ziemi dołek,
Klnąc psa, że mu przeszkadza.
Wtym nagle z za rowu,
Błysnął ku niemu parą krwawych świec wilkołek,
Biorąc go na cel i na tuj.
Wtedy do psa: «Bracie, broń, ciu, ciu! na tu! ratuj!»
A pies: «Ja nie twój Ratuj, ani twój pan Broniec;
Nie wrzeszcz i łąki nie tratuj;
Czekaj, aż jegomość wstanie,
Na waści obronienie i poratowanie».
W tej że chwili wilk osła dorznął.
Ot i koniec.

Adam Mickiewicz.

65. Lis i kozieł.

Już był w ogródku, już witał się z gąską,
Kiedy, skok robiąc, wpadł w beczkę wkopaną,
Gdzie wodę zbierano.
Ani pomyśleć o wyskoczeniu,
Chociaż wody nie było i nawet nie grzązko.—
Studnia na półczwarta łokcia:
Za wysokie progi
Na lisie nogi;
Zrąb tak gładki, że nigdzie nie wścibić paznokcia!

Postaw się teraz w tego lisa położeniu!
Inny zwierz pewno załamałby łapy
I bił się w chrapy,
Wołając gromu, ażeby go dobił,
Nasz lis takich głupstw nie robił;
Wie, że rozpaczać, jest to zło przydawać do zła
Zawsze maca wkoło zębem,
A patrzy w górę.
Jakoż wkrótce ujrzał kozła,
Stojącego tuż nad zrębem
I patrzącego z ciekawością w studnię.
Lis wnet spuścił pysk na dno, udając że pije.
Cmoka mocno, głośno chłepce
I tak sam do siebie szepce:
«Oto mi woda! Takiej nie piłem, jak żyję!
Smak lodu, a czysta cudnie!
Chce mi się całemu splukać,
Ale mi ją szkoda zbrukać,
Szkoda!
Bo co też to za woda!»
Kozieł, który tam właśnie przyszedł wody szukać,
«Ej!—krzyknął z góry—ej, ty, ryży kudła!
Wara od źródła!»
I hop w dół. Lis mu na kark, a z karku na rogi,
A z rogów na drag — i w nogi.

Adam Mickiewicz.

66. Lew i zwierzęta.

Gdy się wszystkie zwierzęta u lwa znajdowały,
Był dyskurs, jaki przymiot w zwierzu doskonały.
Słoń roztropność zachwalał, żubr mienił powagę,
Wielbłądy wstrzemięźliwość, lamparty odwagę,
Niedźwiedź moc znamienitą, koń ozdobną postać,
Wilk staranie przemyślne, jak zdobyczy dostać,
Sarna kształtną subtelność, jeleni piękne rogi,
Ryś odzienie wytworne, zając ręce nogi,
Pies wierność, liszka umysł w fortele obfity,
Baran łagodność, osiel żywot pracowity.
Rzekł lew, gdy go się wszyscy o zdanie pytali:
«Według mnie ten najlepszy, co się najmniej chwali».

Ignacy Krasicki.

67. Lew, niedźwiedź i komar.

Z krajów szczęśliwych, gdzie ni mniej, ni więcej,
Zima trwa dziesięć miesięcy,
Niezgrabny niedźwiedź, znudziwszy się w borze,
Ni pytany, ni proszony,
W cieplejsze powlókł się strony.
Było to właśnie w tej porze,
Gdy w dni pogodne i ciepłe wieczory
Cieszą się wszystkie twory,
Gdy wszystkie robaczki, ujęte rozkoszą,
Tłumem się wkoło unoszą.
Wolno się bawić każdemu;
Nie tak się zdało gościowi naszemu:
Jął więc łapami machać i rzucać się cały.
Wtym go spotkał lew wspaniały.
— Na kogóż, pyta, tak okropna kara?
I któż śmiał waszą niezgrabność obrazić?—
Niedźwiedź odpowie: — Zabijam komara,
Śmiałpo moim uchu łązić!
— A jam myślał,—rzecze lew otwarty,
— Ze tygrysy lub lamparty
Gotujesz się wpół rozdzierać?
Możeszże gniew swój wywierać
Nad robakiem, co nawet nie wie o swym błędzie?
Na mnie, gdy komar usiedzie,
Zemsty to mojej bynajmniej nie wznieci,
Wstrząsnę głową i uleci.

Tak każdy podług siebie postępuje:
Pastwi się dziki, wspaniały daruje.

Juljan Ursyn Niemcewicz.

68. Łabędź, szczupak i rak.

Zgoda—to błogi, to święty dar boży,
Zgoda i w słabych siły cudem mnoży;
A najsilniejsi, skoro brak im zgody,
Zamiast pożytków zbiorą tylko szkody.

Rak i łabędź ze szczupakiem
 Uradzili walną sprawę —
 Wraz się najając pod dostawę,
 Wóz prowadzić bitym szlakiem!
 Ciężar mały, droga gładka,
 Iść powinnioby jak z płatka;
 Cóż, gdy łabędź rwie się w chmury,
 W tył się cofa rak przekora
 Szczupak ciągnie do jeziora,
 Ani z miejsca ruszyć fury!
 Kto z nich winien, a kto prawy,
 Nie rozsądzę ja tej sprawy;
 To wiem tylko bracia moi,
 Że wóz jak stał tak i stoi.

Adam Pług.

69. Gil i słowik.

Pan gil, z słowikiem wszedłszy w przymierze,
 W znajome lasy gdzieś tam wędrował;
 Pierwszy miał cudne nad podziw pierze,
 A drugi głosem wszystkich czarował.
 Ledwieco weszli do boru oba,
 I spojrzeć nie chce nikt na słowika
 Wszyscy do gila; to mi osoba!
 A ten być nie wart za pacholika.
 Lecz kiedy słowik zaśpiewał czysto,
 I wszyscy dali dank jego pienu,
 Zgasł, jak klecha przed organistą,
 Mój panie gilu w kraśnym odzieniu!
 Małoż jest takich gilów na świecie,
 Których bez zasług odyma pycha?
 Wielcy z pozoru tylko: a przecie:
 Habit, jak mówią, nie czyni mnicha.

A. Naruszewicz.



SPIS RZECZY.

A. PROZA.

	<i>Strona</i>
1. Staropolska gościnność, przez J. I. Kraszewskiego . . .	1
2. Król w gościnie, przez Henryka Rzewuskiego . . .	2
3. Przywiązanie do rodzinnej strzechy, przez W. Łozińskiego . . .	4
4. Dobry syn, przez E. Estkowskiego . . .	7
5. Grosz ubogiego, przez E. Estkowskiego . . .	8
6. Trafna odpowiedź, przez E. Estkowskiego . . .	9
7. Pomoc Sobieskiego . . .	10
8. Dobry gospodarz, przez T. J. . . .	11
9. Stopka królowej Jadwigi, przez K. Wójcieckiego . . .	12
10. Szopka, przez K. Wójcieckiego . . .	13
11. Święty Kazimierz, z Kurjera Litewskiego . . .	17
12. Kościusko w Ameryce, z Wypisów pols. Próchnickiego i Wójcika . . .	20
13. Kościusko w Szwajcarii, przez H. Micha . . .	22
14. Korpus kadetów, przez Z. Glogera . . .	24
15. Młodzież krakowska w r. 1655, przez Wł. Bełzę . . .	25
16. Z życia księcia Józefa Poniatowskiego, przez J. T. . .	27
17. Bitwa Grochowska . . .	31
18. Zdobyte Warszawy . . .	35
19. Jubileusz Akademii Krakowskiej . . .	37
20. Pani matka, przez Zuzannę Morawską . . .	39
21. Obiadek familijny, przez Zygm. Ulebickiego Józefowicza . .	46
22. Ucieczka, przez Ewelinę Burzyńską . . .	54
23. Koleżeństwo, przez Florjana Łagowskiego . . .	58
24. Uczta, przez Przyborowskiego . . .	62
25. Zgon hetmana, przez Karola Szajnochę . . .	64
26. Gość nieznany, przez J. I. Kraszewskiego . . .	66
27. Maciej Zerwikaptur, przez Walerego Łozińskiego . . .	70
28. Cudowne ocalenie . . .	73
29. Niespodziewana obrona, przez J. I. Kraszewskiego . . .	77
30. Wręczenie medalu zasługi, przez Amicisa . . .	81
31. Zgon bohatera, przez Lucjana Tatomira . . .	84
32. Chłopiec na wędzie, przez Amicisa . . .	86
33. Z młodości Tadeusza Rejtana, przez Henryka Rzewuskiego .	90
34. Grymaśnica, przez Józefata Nowińskiego . . .	92
35. Dwaj przyjaciele, przez Z. B. . . .	98
36. Wiśnie księdza proboszcza, przez M. J. Zaleską . . .	100
37. Prawdziwe szczęście, przez E. Estkowskiego . . .	112
38. Siostry Miłosierdzia, z Wiecz. Rodzinnych . . .	113
39. Rozumna kobieta, przez Teresę Jadwigę . . .	115
40. Dzielna siostrzyczka, przez Teresę Jadwigę . . .	117
41. Oszczędny król, przez Teresę Jadwigę . . .	119
42. Nauczycielka, przez Teresę Jadwigę . . .	121
43. Mały artysta . . .	131

	Strona
44. Przejedny, przez Stefana Witwickiego . . .	132
45. Wigilja, przez J. I. Kraszewskiego ! . . .	139
46. Nieznajomy skrzypek, przez Henryka Wernica . . .	144
47. Ocaleni, z Przyjaciela Dzieci . . .	147
48. Grzegorz z Sanoka . . .	152
49. Straż pożarna, przez Amicisa . . .	155
50. Emiljusz Paweł i Perseusz, król Macedonji, przez Ignacego Krasickiego . . .	158
51. Śmierć Plinjusza . . .	163
52. Pogrzeb Gallusa . . .	167
53. Lew Androkłusa . . .	171
54. Walka z wilkiem, przez Stefana Żeromskiego . . .	175
55. Na zamku wieszczki, przez Halinę Tokarzewską . . .	179
56. Quo vadis, przez Henryka Sienkiewicza . . .	184
57. Jodla, przez Ignację Piątkowską . . .	186
58. Poziomka, przez Ignację Piątkowską . . .	188
59. Fijołek, przez Ignację Piątkowską . . .	189
60. Złote podkowy, przez Bronisława Brzozowskiego . . .	191
61. Dla matki, z Wieczorów Rodzinnych . . .	193
62. Święty Jan Kanty . . .	196
63. Mikołaj Kopernik, przez M. J. Zaleską . . .	198
64. Stanisław Jachowicz, przez Florjana Łagowskiego . . .	200
65. Klementyna z Tańskich Hofmanowa, przez W. M. . .	209
66. Klementyna z Tańskich Hofmanowa jako córka i siostra, przez Florjana Łagowskiego . . .	212
67. Z młodych lat Fryderyka Chopina . . .	215
68. Marja, Julja z Perłowskich Zaleska, przez Zofję Urbanowską . . .	219
69. Z życia Benjamina Franklina, przez Zygm. Sawczyńskiego . . .	222
70. Żadza wiedzy, przez J. Szujskiego . . .	224
71. Siła woli . . .	226
72. Jan Henryk Pestalozzi, przez Anielę Kamińską . . .	228
73. Pisanki, przez Z. Glogera . . .	231
74. Kądział, „ „ . . .	232
75. Goniłwy, „ „ . . .	232
76. Wieniec, wianki, przez Z. Glogera . . .	234
77. Narzędzia muzyczne w Polsce, przez Z. Glogera . . .	237
78. Kulig staropolski, przez K. W. Wójcickiego . . .	240
79. Klasztor na Jasnej Górze, przez Wład. Zawadzkiego . . .	244
80. Katedra św. Jana w Warszawie, przez H. Michałowskiego . . .	247
81. Marywil w Warszawie, przez K. W. Wójcickiego . . .	252
82. Zamek Łęczycki, przez L. V. Jacquesa . . .	254
83. Puszcza Białowieska, z Wieczorów Rodzinnych . . .	257
84. Mazury, przez Z. Glogera . . .	262
85. Kurpie, przez Ad. N. N. . . .	265
86. Wisła . . .	271
87. Łysa-Góra, przez K. W. Wójcickiego . . .	274
88. Wycieczka na Czarnohorę . . .	278
89. Piramidy i Sfinks przy świetle księżyca, przez Henryka Sienkiewicza . . .	282
90. Dzień w Brazylii . . .	285
91. Wieczór wiosenny, przez H. Sienkiewicza . . .	288
92. Zwiastuny wiosny - bociany, z Przyjaciela Dzieci . . .	290
93. Ptaki zimowe, z Wieczorów Rodzinnych . . .	295
94. Odlatujące bociany, przez Kazimierza Wodzickiego . . .	298
95. Przywiązanie jaskółki do człowieka, przez K. Wodzickiego . . .	300

	Strona
96. Z życia wróbla, przez Kazimierza Wodzickiego . . .	302
97. Obyczaje dzieciola . . .	306
98. Kot Czarnuch, przez Adolfa Dygasińskiego . . .	309
99. Jak trawa rośnie, przez Edmunda Jankowskiego . . .	314
100. Poświętniki i księżycoróg, przez B. Dyakowskiego . . .	317
101. Ogień ze słońca, przez St. Kramsztyka . . .	350
102. Drukarstwo, z Wieczorów Rodzinnych . . .	322
103. Zastosowania papieru, przez Wł. U. . .	329

B. POEZJA.

1. Kołeda, przez A. F. . . .	331
2. Na lechickim polu, przez M. Konopnicką . . .	332
3. Z piosenek i pieśni M. Konopnickiej . . .	333
4. Z 11 pieśni . . .	333
5. Z łąk i pól, przez M. Konopnicką . . .	334
6. Do skowronka, przez Wł. Syrokomlę . . .	334
7. Lipy kwitną, przez M. Konopnicką . . .	335
8. Pieśń o domu, przez M. Konopnicką . . .	336
9. Na śniegu, przez Adama Asnyka . . .	337
10. Pieśń włóczka, przez Edmunda Wasilewskiego . . .	337
11. Skąd lecis, przez M. J. Kellera . . .	338
12. Jaskółka, przez Romana Zmorskiego . . .	338
13. Dziewczyna, przez T. Lenartowicza . . .	339
14. Wyjazd bez powrotu, przez B. Zaleskiego . . .	340
15. Pajęczyna, przez L. Kondratowicza . . .	341
16. Do wierzbiny, przez M. Konopnicką . . .	342
17. Dwie dusze, przez Teofila Lenartowicza . . .	343
18. Rut, przez Stefana Witwickiego . . .	344
19. Święty Jacek, przez K. Antoniewicza . . .	346
20. Święta Kinga, przez Józefa Szujskiego . . .	348
21. Przenajświętsza Rodzina, przez Bohdana Zaleskiego . . .	350
22. Grosz wdowi, przez Mateusza Gralewskiego . . .	352
23. Jałmużna, przez Antoniego Edwarda Odyńca . . .	353
24. Odważne dziewczę, przez W. Jabłonowskiego . . .	355
25. Niedziela palmowa . . .	356
26. Wielki Czwartek . . .	356
27. Grób Chrystusa . . .	357
28. Rezurekcja, przez Władysława Syrokomlę . . .	357
29. Wielkanoc, przez Władysława Syrokomlę . . .	358
30. Wstęp do Pana Tadeusza, przez A. Mickiewicza . . .	359
31. Dwór szlachecki, przez A. Mickiewicza . . .	360
32. Zachód słońca na wsi, przez A. Mickiewicza . . .	360
33. Sad wiejski, przez A. Mickiewicza . . .	361
34. Polowanie z chartami, przez A. Mickiewicza . . .	362
35. Grzybobranie, przez A. Mickiewicza . . .	363
36. Nasze drzewa, „ „ . . .	364
37. O Wiśle, przez Antoniego Czajkowskiego . . .	365
38. Podole, przez W. Pola . . .	366
39. Cerkiew wiejska, przez Juliusza Słowackiego . . .	368
40. Kołek bronowy, przez Jana Chęcińskiego . . .	368
41. Piast, przez J. U. Niemcewicza . . .	372
42. Poseł Lacki, przez Teofila Lenartowicza . . .	374

43.	Kazimierz Wielki	Strona	376
44.	Król Łokietek, przez W. Pola		378
45.	O Florjanie Szarym, przez Grzesia z Mogiły		378
46.	Królowa Jadwiga, przez Wincentego Pola		380
47.	Zawisza Czarny		380
48.	Stefan Batory, przez J. U. Niemcewicza		383
49.	Duma o Stanisławie Żółkiewskim		384
50.	Stefan Czarniecki		386
51.	Jan III		388
52.	Giermek, przez Franciszka Morawskiego		389
53.	Zgon konfederata, przez Mieczysława Romanowskiego		392
54.	Karliński, przez Adama Pajgerta		393
55.	Powrót konia, przez W. Pola		395
56.	U stóp pomnika Mickiewicza, przez W. Doroszewicza		396
57.	Wąwóz Samosierry, przez J. Sowę		398
58.	Kto dla siebie pracuje, przez Marię Konopnicką		400
59.	Kmieć i Merkury, przez F. D. Książnika		400
60.	Pszczółka, przez S. Duchyńska		400
61.	Mrówki i Pszczółka, przez F. Morawskiego		401
62.	Osioł i lis, przez F. Morawskiego		402
63.	Zając i żaba, przez A. Mickiewicza		403
64.	Osieł i pies, przez A. Mickiewicza		404
65.	Lis i kozioł, przez A. Mickiewicza		405
66.	Lew i zwierzęta, przez Ignacego Krasickiego		406
67.	Lew, niedźwiedź i komar, przez J. U. Niemcewicza		407
68.	Łabędź, szczupak i rak, przez Adama Pługa		407
69.	Gil i słowik, przez A. Naruszewicza		408

SPIS RZECZY WEDŁUG PRZEDMIOTÓW

A. PROZA.

I. Powiastki i opowiadania z życia współczesnego.

	Str.		Str.
Estkowski E. Grosz ubogiego	8	Estkowski E. Prawdziwe szczęście	112
— Trafna odpowiedź	9	Teresa-Jadwiga. Rozumna ko-	
Łagowski Fl. Koleżeństwo	58	bieta	115
Amicis. Wręczenie medalu za-		— Dzielna siostrzyczka	117
sługi	81	— Nauczycielka	121
— Chłopiec na wedecie	86	Amicis. Straż pożarna	155
Nowiński J. Grymasnica	92	Żeromski St. Walka z wilkiem	175
Zaleska M. J. Wiśnie księdza		Tokarzewska H. Na zamku	
proboszcza	100	wieszczyki	179

II. Wspomnienia i obrazy z przeszłości.

Rzewuski H. Król w go-		Burzyńska E. Ucieczka	54
scinie	2	Przyborowski. Uczta	62
Łoziński W. Przywiązanie do		Szajnocha K. Zgon hetmana	64
rodzinnej strzechy	4	Kraszewski J. I. Gość nie-	
Estkowski E. Dobry syn	7	znany	66
Pomoc Sobieskiego	10	Łoziński W. Maciej Zerwi-	
T. J. Dobry gospodarz	11	kaptur	70
Wójcicki K. Stopka królowej		Cudowne ocalenie	73
Jadwigi	12	Kraszewski J. I. Niespodzie-	
Kościuszko w Ameryce, z Wy-		wana obrona	77
pisów pols. Próchnickie-		Tatomir L. Zgon bohatera	84
go i Wójcika	20	Rzewuski H. Z młodości Ta-	
Mich H. Kościuszko w Szwej-		deusza Rejtana	90
carji	22	Z. B. Dwaj przyjaciele	98
Gloger Z. Korpus kadetów	24	Teresa-Jadwiga. Oszczędny król	
Bełza. Młodzież Krakowska w r.		Mały artysta	131
1655	25	Witwicki St. Przejezdny	132
J. T. Z życia księcia Józefa		Kraszewski J. I. Wigilja	139
Poniatowskiego	27	Wernic H. Nieznajomy skrzy-	
Bitwa Grochowska	31	pek	144
Zdobycie Warszawy	35	Ocaleni, z „Przyjaciela Dzieci”	
Jubileusz Akademji Krakow-		Grzegorz z Sanoka	152
skiej	37	Śmierć Plinjusza	163
Morawska Z. Pani matka	39	Pogrzeb Gallusa	167
Glebicki Józefowicz Z. Obia-		Lew Androkłusa	171
dek familijny	46	Sienkiewicz H. Quo vadis	184

III. Zyciorysy.

Święty Kazimierz, z „Kurjera Litewskiego”	17	Łagowski Fl. Klementyna z Tańskich Hofmanowa jako córka i siostra	212
Krasicki I. Emiljusz Paweł i Perseusz król Macedonji	158	Z młodych lat Fryderyka Chopina	215
Święty Jan Kanty	196	Urbanowska Z. Marja Julja. z Perłowskich Zaleska	219
Zaleska M. J. Mikołaj Ko-pernik	198	Sawczyński Z. Z życia Benjamina Franklina	222
Łagowski Fl. Stanisław Jachowicz	200	Kamińska A. Jan Henryk Pestalozzi	228
W. M. Klementyna z Tańskich Hofmanowa	209		

IV. Legendy i podania.

Piątkowska Ig. Jodła	186	Brzozowski Br. Złote podkopy	191
— Poziomka	188	Dla matki, z „Wieczorów Rodzinnych”	193
— Fijołek	189		

V. Opisy i charakterystyki.

Wójcicki K. Szopka	13	Wójcicki K. W. Łysa góra	274
Głoger Z. Pisanki	231	Wycieczka na Czarnohorę	278
— Kądział	232	Sienkiewicz H. Piramidy i Sfinks przy świetle księżyca	282
— Gonitwy	232	Dzień w Brazylii	285
— Wieniec, wianki	234	Sienkiewicz H. Wieczór wiosenny	288
— Narzędzia muzyczne w Polsce	237	Zwiastuny wiosny - bociany, z „Przyjaciela Dzieci”	290
Wójcicki K. Kulig staropolski	240	Ptaki zimowe, z „Wieczorów Rodzinnych”	295
Zawadzki Wł. Klasztor na Jasnej Górze	244	Wodzicki K. Odlatujące bociany	298
Michałowski H. Katedra Św. Jana w Warszawie	247	— Przywiązanie jaskółki do człowieka	300
Wójcicki K. W. Marywil w Warszawie	252	— Z życia wróbla	302
Jacques L. V. Zamek Łęczycki	254	Obyczaje dziecięce	306
Puszcza Białowieska, z „Wieczorów Rodzinnych”	257	Dygasiński Ad. Kot Czarnuch	309
Głoger Z. Mazury	262	Dyakowski B. Poświętniki i księżycoróg	317
Ad. N. N. Kurpie	265		
Wisła	271		

VI. Rozprawki.

Kraszewski J. I. Staropolska gościnność	1	Jankowski Ed. Jak trawa rośnie	314
Siostry Miłosierdzia, z „Wieczorów Rodzinnych”	113	Kramsztyk St. Ogień ze słońca	320
Szujski J. Żądza wiedzy	224	Drukarstwo, z „Wieczorów Rodzinnych”	325
Siła woli	226	Wł. U. Zastosowanie papieru	329

B. POEZJA.

I. Bajki.

Kniaźnin F. D. Kmieć i Merkury	399	Krasicki I. Lew i zwierzęta	406
Morawski F. Mrówki i pszczoła	401	Niemcewicz J. U. Lew, niedźwiedź i komar	407
— Osieł i lis	402	Pług Ad. Łabędź, szczupak i rak	407
Mickiewicz A. Zając i żaba	403	Naruszewicz A. Gil i słowik	408
— Osieł i pies	404		
— Lis i kozieł	405		

II. Śpiewy historyczne i dumy.

Konopnicka M. Na lechickim polu	332	Niemcewicz J. U. Stefan Batory	383
Jabłonowski W. Odważne dziewczę	355	— Duma o Stanisławie Żółkiewskim	384
Niemcewicz J. U. Piast	372	— Stefan Czarniecki	386
Lenartowicz T. Poseł lacki	374	— Jan III	388
Kazimierz Wielki	376	Morawski Fr. Giermek	389
Pol W. Król Łokietek	378	Romanowski M. Zgon konfederata	392
Grześ z Mogiły. O Florjanie Szarym	378	Pajgert Ad. Karliński	393
Pol W. Królowa Jadwiga	380	Pol W. Powrót konia	395
Niemcewicz J. U. Zawisza Czarny	380	Sawa J. Wąwóz Somosierry	398

III. Legendy, podania i powiastki.

Lenartowicz T. Dwie dusze	343	Zaleski B. Przenajświętsza Rodzina	350
Witwicki St. Rut	344	Gralewski M. Grosz wdowi	352
Antoniewicz K. Święty Jacek	346	Odyniec Ed. Jałmużna	353
Szujski J. Święta Kinga	348	Chęciński J. Kołek bronowy	368

IV. Pieśni, dumki i elegje.

A. F. Kolenda	331	Keller M. J. Skąd lecis?	338
Konopnicka M. Z piosenek i pieśni	333	Zmorski R. Jaskółka	338
— Z 11 pieśni	333	Lenartowicz T. Dziewczyna	339
Konopnicka M. Z łąk i pól	334	Zaleski B. Wyjazd bez powrotu	340
Syrokomla Wł. Do skowronka	334	Kondratowicz L. Pajęczyna	341
Konopnicka M. Lipy kwitną	335	Konopnicka M. Do wierzbiny	342
— Pieśń o domu	336	Mickiewicz Ad. Wstęp do Pana Tadeusza	359
Asnyk Ad. Na śniegu	337	Doroszewicz W. U stóp pomnika Mickiewicza	396
Wasilewski Ed. Pieśń włóczyka	337		

V. Poezja opisowa i pouczająca.

	<i>Str.</i>		<i>Str.</i>
Niedziela Palmowa.	356	Mickiewicz A. Polowanie z char-	
Wielki Czwartek	356	tami	362
Grób Chrystusa.	357	— Grzybobranie	363
Syrokomla Wł. Rezurekcja	357	— Nasze drzewa	364
— Wielkanoc	358	Czajkowski A. O Wiśle	365
Mickiewicz A. Dwór szlachecki.	360	Pol W. Podole.	366
— Zachód słońca na wsi	360	Konopnicka M. Kto dla sie-	
— Sad wiejski	361	bie pracuje	399
		Duchńska S. Pszczółka	400